

**Dean R. Koontz**

**Ostatnie drzwi przed niebem**

*(One Door Away From Heaven)*

*Przełożyła: Maciejka Mazan*

*Książkę tę dedykuję Irwynowi Applebaumowi,  
który zachęcił mnie, bym „kierował pociąg tam,  
gdzie pociągi zwykle nie kursują”, i który zarówno  
jako wydawca, jak i człowiek sprawił,  
że odzyskałem wiarę w rynek wydawniczy,  
przemysł literacki, kaprys czy jakkolwiek  
by to nazwać.*

*Oraz:*

*Tracy Devine, mojej redaktorce, która nigdy  
nie wpada w panikę, gdy długo po przekroczeniu  
terminu oznajmiam, że chciałbym napisać  
czterdziestą wersję książki; która dysponuje okiem  
redaktorskiego snajpera; która jest wcieleniem  
wdzięku; dzięki której każda faza pracy  
nad książką jest rozkoszą – i która uzna,  
że ta dedykacja jest zbyt rozwlekła i należy  
ją skrócić. Tym razem nie ma racji.*

*Poczucie humoru to chaos  
emocjonalny, o którym myślimy  
w chwili spokoju.*  
James Thurber

*Śmiech wstrząsa wszechświatem,  
wywraca go na drugą stronę,  
wnętrzościami na wierzch.*  
Octavio Paz

*Dlaczego człowiek zabija?  
Dla chleba. I nie tylko dla chleba  
– często chodzi też o napój.*  
Woody Allen

*Na końcu wszystko jest gągiem.*  
Charlie Chaplin

*Niepohamowany śmiech wstrząsa  
niebiosami.*  
Homer, „Iliada”

*I śmieszni bywają smutni.*  
Jerry Lewis

Świat jest pełen okaleczonych ludzi. Balsamy, plastry, cudowne leki i czas nie zbliżnią krwawiących serc, zwichniętych umysłów, rozdartych dusz.

Najnowszą terapią, jaką Micky Bellsong zaordynowała sama sobie, było słońce, a południowa Kalifornia pod koniec sierpnia stanowiła aptekę z doskonale zaopatrzonej magazynem.

Było wtorkowe popołudnie, a Micky wyciągnęła się na leżaku na podwórku ciotki Genevy, mając na sobie tylko bikini i olejek do opalania. Nylonowe obicie miało odcień zgniłej zieleni i ledwie się trzymało, a aluminiowe rusztowanie skrzypiało przy każdym ruchu, jakby leżak był starszy od Micky, która liczyła sobie dopiero dwadzieścia osiem lat, ale czuła się jak dinozaur.

Ciotka, którą życie pozbawiło wszystkiego z wyjątkiem niezawodnego poczucia humoru, nazywała podwórko „ogrodem”. W charakterze ogrodu występował samotny krzak róży.

Działka była szersza niż dłuższa, by przyczepa mieszkalna ciotki mogła stać bokiem do ulicy. Od frontu nie było trawnika ani drzew, tylko wąskie zadaszone patio. Na tyłach domu biegł wąski pasek trawy, ale kuchenne drzwi do siatki ogrodzenia dzieliły najwyżej cztery metry. Trawa rosła bujnie, bo Geneva podlewała ją regularnie wodą z hydrantu.

Natomiast krzak róży reagował na czułą pielęgnację w perwersyjny sposób. Mimo iż słońca, wody i nawozu miał pod dostatkiem, mimo regularnego napowietrzania i okresowego podawania odmierzonych dawek pestycydów, pozostał paskudny i łysy, jakby pojono go jadem i karmiono czystą siarką w szatańskich ogrodach piekła.

Micky smażyła się z zamkniętymi oczami na słońcu już pół godziny, usiłując oczyścić głowę z myśli, lecz przegrywała z natarczywymi wspomnieniami; wtem obok niej rozległ się cienki słodki głosik: – Masz tendencje samobójcze?

Odwróciła głowę i ujrzała dziewięcio- lub dziesięcioletnią dziewczynkę, stojącą za niskim, chylącym się ku ziemi ogrodzeniem pomiędzy przyczepą ciotki a działką od zachodniej strony. Oślepiający blask słońca zacierał rysy dziecka.

– Rak skóry zabija – wyjaśniła dziewczynka.  
– Podobnie jak niedobór witaminy D.  
– Mało prawdopodobne.  
– Kości robią się od niego miękkie.  
– Krzywica. Wiem. Ale witamina D znajduje się w tuńczyku, jajkach i produktach mlecznych. To lepsze niż za dużo słońca.

Micky zamknęła oczy i wystawiła twarz na śmiercionośne promieniowanie.

– I tak nie zamierzam żyć wiecznie.  
– Dlaczego?  
– Może jeszcze nie zauważyłaś, ale każdy kiedyś umrze.  
– Możliwe, że ja nie.  
– Jak to się robi?  
– Wystarczy trochę pozaziemskiego DNA.  
– Ach. Więc jesteś spokrewniona z kosmitami.  
– Jeszcze nie. Najpierw muszę nawiązać kontakt. Micky znowu otworzyła oczy i przyjrzała się niedoszłej kuzynce E.T.

Naogłądała się za dużo „Z Archiwum X”.

– Mam czas tylko do następnych urodzin. Potem będzie już za późno.

Dziewczynka przeszła wzdłuż pochyłego ogrodzenia do miejsca, w którym siatka kładła się na ziemi.

– Wierzysz w życie po śmierci?

– Szczerze mówiąc, nie wierzę nawet w życie przed śmiercią.

– Wiedziałam, że masz tendencje samobójcze.

– Nie mam, tylko się wymądrzam.

Nawet po przekroczeniu połamanych słupków płotu dziewczynka poruszała się niezdarnie.

– Wynajmujemy przyczepę obok. Właśnie się wprowadziliśmy. Jestem Leilani.

Podeszła bliżej. Micky zauważyła na jej lewej nodze skomplikowaną stalową klamrę, która obejmowała ciało od kostki do połowy uda.

– To chyba hawajskie imię? – Moja mama ma fioła na punkcie Hawajów.

Leilani miała na sobie szorty khaki. Jej prawa noga była zdrowa, ale lewa, ujęta w stalowe, wyściełane szyny, wydawała się zniekształcona:

– Właściwie – dodała Leilani – stara Sinsemilla... czyli moja matka... ma fioła, koniec zdania.

– Sinsemilla? Czy to nie...

– Odmiana marihuany. Może w zamierzchłej przeszłości nazywała się Cindy Sue albo Barbara, ale odkąd ją znam, każe na siebie mówić Sinsemilla. – Leilani usadowiła się w ohydny pomarańczowo-niebieskim fotelu, równie odrażającym jak zgniłozielony leżak Micky. – Te graty są koszarne.

– Ciotka Geneva dostała je od kogoś za darmo.

– Powinni jej zapłacić, żeby je zabrała. No więc stara Sinsemilla wylądowała raz w wariatkowie. Przepuścili jej przez mózg jakieś pięćdziesiąt albo sto tysięcy voltów, ale nie pomogło.

– Nie powinnaś tak zmyślać o własnej matce. Leilani wzruszyła ramionami.

– Mówię prawdę. Nie zmyśliłabym czegoś aż tak dziwnego. Tak naprawdę przepuścili przez nią prąd parę razy. Mało brakowało, a by się w tym rozsmakowała. Teraz by wsadzała palce w gniazdko elektryczne dziesięć razy dziennie. Sinsemilla ma skłonność do uzależnień, ale się stara.

Choć niebo było rozpalone jak piec, a Micky lśniła olejkim kokosowym i potem, zapomniała o słońcu.

– Ile ty masz lat, mała?

– Dziewięć, ale jestem nad wiek rozwinięta. Jak masz na imię?

– Micky.

– To dobre dla chłopca albo myszy, więc pewnie nazywasz się Michelle. Babki w twoim wieku przeważnie nazywają się Michelle, Heather albo Courtney.

– W moim wieku?

– Bez urazy.

– Michelina.

Leilani zmarszczyła nos.

– Bez kitu.

– Michelina Bellsong.

– Nic dziwnego, że masz tendencje samobójcze.

– Dlatego – Micky. – A ja jestem Klonk.

– Jesteś co?

– Leilani Klonk.

Micky przechyliła głowę i uniosła sceptycznie brwi.

– Nie wierzę ci w ani jedno słowo.

– Czasami nazwiska są jak przeznaczenie. Na przykład ty. Ładne imię, ładne nazwisko, sama jesteś piękna jak modelka... z wyjątkiem tego potu i obrzmiałej od alkoholu twarzy.

– Dzięki. Chyba.

– Tymczasem ja mam ładne imię, a po nim kiks, jak ten Klonk. W połowie jestem mniej więcej ładna...

– Jesteś bardzo ładna – zapewniła ją Micky.

I rzeczywiście. Złociste włosy. Błękitne oczy. Wyrazistość jej rysów wskazywała, że uroda nie przeminie wraz z dzieciństwem, lecz pozostanie na zawsze.

– Może kiedyś ktoś się za mną obejrzy – ustąpiła Leilani – ale jednocześnie, dla równowagi, jestem mutantem.

– Nie jesteś.

Dziewczynka tupnęła lewą nogą; metalowa klamra szczęknęła cicho. Uniosła lewą rękę, także zdeformowaną; mały i serdeczny palec były połączone grubą błoną z powykręcany, wężlastym środkowym palcem.

Aż do tej pory Micky tego nie zauważyła.

– Nikt nie jest doskonały.

– To co innego niż wielki nochal. Jestem albo mutantem, albo kaleką, a na kalekę się nie zgadzam. Ludzie litują się nad kalekami, ale mutantów się boją.

– Więc chcesz; żeby się ciebie bali?

– Strach wywołuje szacunek.

– Na razie wskazówka mojego strachomierza nie podskoczyła zbyt wysoko.

– Daj mi czas. Masz fantastyczne ciało.

Zbita z tropu uwaga, która padła z ust dziecka, Micky pokryła zażenowanie skromnością.

– No wiesz, z natury wyglądam jak wielki budyń. Muszę bardzo ćwiczyć, żeby zachować figurę.

– Akurat. Urodziłaś się idealna i masz metabolizm jak mechanizm statku kosmicznego. Mogłabyś zjeść słońca i popić beczką piwa, a tyłek by ci nie urosł nawet odrobinę.

Micky nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odjęło jej mowę, ale przy tej dziewczynce zwyczajnie oniemiała.

– Skąd wiesz? – Widzę. Nie biegasz, nie pływasz...

– Ćwiczę.

– Tak? Kiedy ostatnio?

– Wczoraj – skłamała Micky.

– Akurat. A ja tańczyłam walca przez całą noc. – Znowu tupnęła nogą z brzękiem klamry. – Wspaniały metabolizm to nic strasznego. Nie tak jak lenistwo czy coś w tym guście.

– Dziękuję za wyrozumiałość.

– Cycki masz prawdziwe, prawda?

– Dziewczyno, niesamowity z ciebie numer.

– Dzięki. Na pewno prawdziwe. Nawet najlepsze implanty tak nie wyglądają. Jeżeli nie będzie jakiegoś przełomu w technologii, bardzo bym chciała, żeby mi urosły fajne cycki. Faceci będą na ciebie lecieć nawet wtedy, gdy jesteś mutantem, bylebyś tylko miała wielkie cyce. Przynajmniej tak wynika z moich obserwacji. Mężczyźni bywają kochani, ale w niektórych sprawach są żałośnie przewidywalni.

– Na pewno masz dziewięć lat?

– Urodziny obchodzę dwudziestego ósmego lutego. W tym roku wypadły w Środę Popielcową. Wierzysz w post i pokutę?

Micky westchnęła, roześmiała się i rzuciła:

– Może zaoszczędzimy sobie czasu i od razu mi powiesz, w co wierzę?

– Prawdopodobnie w bardzo niewiele rzeczy – odparła Leilani bez namysłu. – Z wyjątkiem dobrej zabawy i zabijania czasu.

Micky znowu odjęło mowę – nie z powodu trafnej obserwacji, lecz dlatego że prawda została wyrażona z tak brutalną otwartością, ona sama długo nie chciała nazwać rzeczy po imieniu.

– Nie ma nic złego w zabawie – dodała Leilani. – Jeśli chcesz wiedzieć, to uważam, że jesteśmy tu po to, by cieszyć się życiem. – Pokręciła głową. – Zdziwiałeś. Mężczyźni muszą za tobą wariować.

– Już nie – odpowiedziała Micky i zdziwiła się, że w ogóle przemówiła, nie wspominając już, że przemówiła tak szczerze.

Dziewczynka uśmiechnęła się jednym kącikiem ust; w jej błękitnych oczach zabłysło nieklamane rozbawienie.

– Czy teraz nie uważasz, że jestem mutantem? – Co?

– Jeśli uznasz mnie za kalekę, współczucie nie pozwoli ci na nieuprzejmość. Ale jeśli zobaczysz we mnie dziwnego i potencjalnie niebezpiecznego mutantą, będziesz mogła powiedzieć, że to nie mój interes i że bym spadała.

Z każdą chwilą wyglądasz mi coraz bardziej na mutantą. Leilani klasnęła w ręce z radości.

– Wiedziałam, że nie jesteś całkiem głupia! – Wstała niezgrabnie z fotela. – Co to jest?

– Krzak róży.

– Ale tak naprawdę?

– Naprawdę. To krzak róży.

– Nie ma kwiatów.

– Ale może mieć.

– Ani liści.

– Za to kolców jest dużo – zauważyła Micky. Leilani się skrzywiła.

– Na pewno w nocy wyciąga korzenie z ziemi i pełźnie na polowanie. Pożera bezpańskie koty.

– Dobrze zamknij drzwi.

– Nie mamy kota. – Leilani zatrzepotała rękami. – Aaaa! – Uśmiechnęła się. – To było dobre.

Uniosła prawą dłoń z zakrzywionymi palcami, przejechała nimi w powietrzu i syknęła.

– Dlaczego powiedziałaś, że będzie za późno?

– Kiedy? – spytała Leilani.

– Powiedziałaś, że masz czas do następnych urodzin, a potem będzie za późno.

– A, chodziło o kontakt z Obcymi.

I choć nie była to żadna odpowiedź, dziewczynka odwróciła się i pokuśtykała przez trawnik.

Micky wychyliła się ponad oparciem leżaka.

– Leilani!

– Strasznie dużo gadam. Nie zawsze z sensem. – Przy dziurze w siatce stanęła i odwróciła się do niej.

– Słuchaj no, Michelino Bellsong. Czy spytałam cię o życie po śmierci?

– Tak. Zaczęłam się wymądrzać.

– A, już pamiętam.

– No więc?

– Jakie więc?

– Wierzysz w życie po śmierci? Dziewczynka spojrzała na Micky z nagłą powagą.

– Lepiej, żebym wierzyła.

Przebrnęła przez przeszkodę w postaci zwalonych słupków i oddaliła się zaniedbanym, spieczonym przez słońce trawnikiem; szcęk klamry na jej nodze stopniowo cichł, aż wreszcie złał się z buczeniem owadów uwijających się gorączkowo w ten upalny, suchy dzień.

Jeszcze przez jakiś czas Micky siedziała wyprostowana na leżaku, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęła dziewczynka.

Leilani stanowiła ładne połączenie wdzięku, inteligencji i buńczuczności, maskującej bolesną wrażliwość. Ale kiedy Micky odtworzyła w pamięci ich spotkanie, uśmiechając się na jego wspomnienie, ogarnął ją delikatny chłód. Jakaś niepokojąca, na wpół ujawniona prawda śmignęła niczym szybka ciemna rybka pod powierzchnią rozmowy i przemknęła przez oczka sieci.

Stojący żar późnosierpiewego słońca lał się na Micky jak roztopiony asfalt.

W nieruchomym powietrzu rozszedł się wilgotny zapach świeżo skoszonej trawy, upajająca esencja lata.

Z oddali dochodził monotony pomruk samochodów, nawet dość przyjemny. Można go było wziąć za rytmiczny poszum morza.

Micky powinna się poczuć senna, a przynajmniej rozleniwiona, ale jej myśli pędziły szybciej niż samochody na autostradzie, a ciało zeszytywniało od napięcia, które nie chciało się roztopić w żarze słońca.

I choć Leilani Klonk nie miała z tym chyba nic wspólnego, Micky przypomniała sobie coś, co ciocia Geneva powiedziała wczoraj przy kolacji...

– Zmiana nie przychodzi łatwo, Micky. Zmiana życia oznacza zmianę sposobu myślenia. Zmiana sposobu myślenia oznacza zmianę twoich wyobrażeń na temat życia. To bardzo trudne, kochanie. Kiedy sami się wpakujemy w biedę, często w niej trwamy nawet wtedy, gdy bardzo chcemy się zmienić, bo ta bieda jest dla nas czymś znanym. Jest nam z nią wygodnie.

Ku swemu zaskoczeniu Micky, która siedziała przy składanym stoliku naprzeciwko Genevy, zaczęła płakać. Bez głośnych szlochów. Tak dyskretnie. Talerz z lasagne domowej roboty zamglił się jej przed oczami, a po policzkach popłynęły gorące łzy. Przez cały czas trwania tej cichej, słonej nawałnicy jadła, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co się z nią działo. Nie płakała od czasów dzieciństwa. Myślała, że nie ma w niej łez, że jest zbyt silna, by się nad sobą użalać, i zbyt twarda, żeby wzruszyć się cudzym losem. Z ponurą determinacją, zła na siebie za tę słabość, jadła lasagne, choć gardło miała tak ściśnięte, że kęsy z trudem się przez nie przesuwwały.

Geneva, która znała stoickie usposobienie swojej siostrzenicy, nie zdziwiła się na widok jej łez. Nie skomentowała ich, bo wiedziała, że wszelkie słowa pociechy nie będą mile widziane.

Kiedy Micky zjadła ostatni kęs i znów odzyskała jasność widzenia, zdołała się odezwać:

– Mogę zrobić wszystko, co zechcę. Mogę pójść wszędzie, gdzie zechcę, choćby było nie wiadomo jak ciężko.

Geneva zmieniła temat, ale przedtem rzuciła jeszcze jedną myśl:

– A czasami – niezbyt często, ale raz na jakiś czas życie może się zmienić na lepsze w jednej łaskawej chwili, niemal jakby cudem. Może się wydarzyć coś tak doniosłego, możesz spotkać kogoś tak niezwykłego, może na ciebie spłynąć takie objawienie, że to cię po prostu odwróci w innym kierunku,



zmieni cię na zawsze. Dziewczyno, oddałabym wszystko, co mam, gdyby cię to spotkało.

– Jesteś kochana, ciociu – powiedziała Micky, żeby powstrzymać kolejny potok łez – ale ty przecież nic nie masz.

Geneva parsknęła śmiechem i uścisnęła czule dłoń Micky.

– Masz rację, kochanie. Ale to i tak dwa razy więcej niż to, co ty masz.

Dziwne, ale teraz, niespełna dzień później, pływając się w palącym słońcu, nie mogła przestać myśleć o tej łaskawej chwili przemiany, której życzyła jej Geneva. Nie wierzyła w cuda; ani w te nadprzyrodzone, zakładające udział anioła stróża oraz promienistego palca Bożego, ani w te wynikające ze zwykłej statystyki, dzięki którym mogła na przykład wygrać coś na loterii.

A jednak czuła dziwne, niepokojące poruszenie wewnątrz siebie, tak jakby coś się obróciło w jej sercu i głowie, w stronę nowego kierunku na kompasie.

– Zwykła niestrawność – mruknęła szyderczo, bo wiedziała, że nadal jest tą samą pokręconą, zagubioną kobietą, która tydzień temu pojawiła się u Genevy z dwoma walizkami ubrań, chevroletem camaro rocznik '81, chrypiącym i rżącym jak dychawiczny koń, oraz z przeszłością wlokącą się za nią jak kula u nogi.

Życie pozbawione celu nie daje się nakierować na właściwe tory szybko i bez wysiłku. Mimo zachęcającej przemowy Genevy o cudownym momencie przemiany Micky nie czuła, żeby coś ją popchnęło w dobrym kierunku.

Jednak z przyczyn, których nie rozumiała, wszystkie aspekty tego dnia – niemiłosierne słońce, upał, pomruk odległej autostrady, zapach skoszonej trawy i olejku kokosowego zmieszanego z potem, trzy żółte motyle, jaskrawe jak kokardki, które się wiąże na prezentach – nagle wydały się jej znaczące, tajemnicze i doniosłe.

Przy słabym i zamierającym wietrze fale wirują nad bujną doliną. O tej cichej godzinie, w tym dziwnym miejscu mógłby sobie bez trudu wyobrazić potwory sunące nad osrebrzonym księżycem morzem trawy, które migocze tuż za drzewami.

Las, w którym się kuli, w nocy zmienia się w zakazany teren – zresztą może jest nim także za dnia. Strach towarzyszy mu już od godziny, a on idzie krętymi ścieżkami przez nieznanne poszycie, pod splątanymi konarami, przez które nocne niebo tylko czasami przeziiera.

Na tych drzewnych trasach nad jego głową czają się pewnie drapieżniki, skaczą wdzięcznie z gałęzi na gałąź, bezszelestne i bezwzględne jak zimne gwiazdy, przy których światło wychodzą na łowy. A może nagle spod jego stóp wyskoczy coś ohydneho, zębatego i głodnego i zaraz go rozszarpie albo w ogóle połknie bez gryzienia.

Bujna wyobraźnia zawsze była dla niego ucieczką. Teraz stała się przekleństwem.

Przed nim, za tym ostatnim rzędem drzew, czeka dolina. Czeka. Zbyt oświetlona promieniami wielkiego księżyca. Zwodniczo spokojna.

Być może to miejsce jego śmierci. Być może nie dojdzie żywy do następnej kępy drzew.

Kuca za głazem o powierzchni wychłostanej deszczem i wichrami i rozpaczliwie myśli, że chciałby być teraz z mamą. Ale mama nigdy więcej do niego nie przyjdzie.

Zginęła przed godziną, zamordowana na jego oczach. Jasne, przenikliwe wspomnienie tej chwili może go pozbawić zdrowych zmysłów, jeśli się na nim skupi. Żeby przeżyć, musi przynajmniej na chwilę zapomnieć o tej strasznej chwili, o tej okropnej stracie.

Skulony we wrogim mroku, słyszy własne rozpaczliwe piski. Mama zawsze powtarzała, że jest dzielnym chłopcem, ale żaden dzielny chłopiec nie poddaje się tak łatwo jak on.

Stara się odzyskać panowanie nad sobą – dla mamy, która w niego wierzyła. Później, jeśli przeżyje, będzie mógł przez całe życie przetrwać rozpacz, żal i samotność.

Stopniowo odnajduje siłę – nie we wspomnieniu morderstwa, nie w żądzy zemsty, lecz w pamięci ojej miłości, uporze, stalowej woli. Wreszcie cichną te paskudne piski.

Cisza.

Czerń lasu.

Dolina czeka w świetle księżyca.

Przez gałęzie sący się złowrogi szmer. Może to tylko wiatr, który znalazł uchylone drzwi na leśnym strychu.

Właściwie bardziej od leśnych drapieżników powinien się bać morderców matki. Nie ma wątpliwości, że go ścigają. Powinni go złapać już dawno temu. Nie znają tego terenu, podobnie jak on.

A może duch matki nad nim czuwa?

Nawet jeśli jest przy nim niewidzialna, nie może na nią liczyć. Nie ma żadnego opiekuna, jest zdany tylko na siebie. Nie ma dla niego ratunku, jeśli nie będzie postępował mądrze i odważnie.

Wchodzi w dolinę, już bez ociągania, na spotkanie nieznanych, lecz na pewno licznych niebezpieczeństw. Silna woń trawy prawie zupełnie maskuje zapach żywej, mokrej ziemi.

Teren opada łagodnym skłonem ku zachodowi. Ziemia jest miękka, trawa ugina się pod jego butami. Kiedy się ogląda, nawet przy mdłym blasku księżycowej lampy widzi ślady, jakie za sobą zostawił.

Nie ma wyboru, musi iść przed siebie.

Gdyby kiedykolwiek przyśnił mu się jakiś sen, spróbowałby sobie wmówić, że to także mu się śni, że

ten krajobraz wydaje się taki dziwny, ponieważ istnieje tylko w jego wyobraźni, że choćby biegł nie wiadomo jak szybko i długo, nigdy nie dotrze do celu, ale będzie bez końca przemierzał zmieniające się doliny, zalane światłem księżyca i kłujący czarny las. Prawdę mówiąc, nie ma pojęcia, dokąd idzie. Nie zna tego terenu. Być może cywilizacja jest w zasięgu ręki, ale najprawdopodobniej brnie w coraz większą dzicz.

Kątem oka ciągle widzi jakiś ruch: otaczają go widmowi prześladowcy. Za każdym razem, gdy spogląda bacznie w tym kierunku, dostrzega tylko drżące na wietrze wysokie trawy. Ale te zjawy nieustannie go przerażają i z każdą chwilą nabiera coraz większej pewności, że nie dotrze żywy do następnego zagajnika.

Na samą myśl o tym, że mogłoby mu się udać, nabrzmiewa w nim poczucie winy. Nie ma prawa żyć, kiedy inni zginęli.

Śmierć matki prześladowuje go bardziej niż inne morderstwa, ponieważ widział, jak padała. Słyszał krzyki innych, ale kiedy ich znalazł, już nie żyli, a ich parujące szczątki wyglądały tak ohydnie, że nie potrafił w nich rozpoznać istot, które kochał.

Więc znowu ze światła w mrok lasu. Dolinę ma już za sobą. Przed nim spleciony labirynt krzewów i jeżyn.

Nadal żyje, co przeczy rachunkowi prawdopodobieństwa.

Ale ma tylko dziesięć lat, jest sam, bez rodziny i przyjaciół, bardzo się boi i nie wie, gdzie jest.

Noah Farrel siedział w zaparkowanym chevrolecie i wtykał nos w nie swoje sprawy, kiedy raptem przednia szyba rozsypała się w drobny mak.

Jeszcze przed chwilą opychał się ciastkiem z kremem, by wyścietać naczynia krwionośne nową warstwą cholesterolu, aż tu nagle okazało się, że przysmak jest obsypany chrupkami, lecz niejadalnymi okruchami gumowato-kłującego szkła.

Noah upuścił ciastko; w tej samej chwili szyba od strony pasażera pękła pod ciosem łyżki do opon.

Noah wyprysnął z samochodu, spojrzął ponad dachem i znalazł się oko w oko z człowiekiem-bykiem o ogolonym łbie i z kolczykiem w nosie. Chevrolet stał na otwartym terenie pomiędzy potężnymi drzewami i choć go nie ocieniały, najbliższa lampa znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów dalej, wszędzie było ciemno jak diabli. Natomiast w samochodzie zapaliło się światło, w którego blasku ujawniła się twarz rozbijacza okien. Człowiek-byk wyszczerzył zęby i mrugnął. Uwagę Noaha przykuł jakiś ruch z lewej strony. Parę kroków dalej drugi ekspert od demontażu zamachnął się młotem na reflektor.

Napompowany sterydami dżentelmen był odziany w różowy dres, ściągany w pasie sznurkiem, czarny podkoszulek oraz adidas. Imponujący wał nadoczodołowy z pewnością ważył więcej od młota, którym operował, a górną wargę miał niemal tak długą, jak kucyk opadający na kark.

Kiedy ostatnie okruchy plastiku i szkła ze zbitego reflektora zadźwięczały o chodnik, okaz zdrowia i urody trzasnął młotem w dach samochodu.

Jednocześnie facet z błyszczącą głową i kolczykiem w nosie wyłamał okienko po stronie pasażera przy użyciu łyżki do opon, być może dlatego, że nie mógł znieść swojego odbicia.

Hałas był ogłuszający. Noah, dręczony od paru dni migreną, niczego nie pragnął bardziej niż ciszy i paru aspiryn.

– Przepraszam – zwrócił się do dzierżącego młot Thora dla ubogich w chwili, gdy młot znowu uniósł się wysoko nad dachem samochodu. Sięgnął do wnętrza samochodu i wyjął kluczyk ze stacyjki – na tym samym kółku miał klucz do domu. Kiedy dotrze do domu – jeśli mu się uda – nie chce się przekonać, że ci dwaj zorganizowali sobie w jego salonie piwną imprezkę przy zawodach wrestlingu.

Na siedzeniu pasażera leżał cyfrowy aparat fotograficzny. Na zdjęciach uwiecznił niewiernego męża wchodzącego do domu kochanki, która wita go przy drzwiach. Gdyby teraz sięgnął po niego, bez wątpienia jego ręka wyglądałaby tak samo jak przednia szyba.

Schował kluczyki do kieszeni i ruszył między skromnymi domkami o schludnych trawniczkach i krzaczkach, aż do miejsca, gdzie osrebrzone księżycem drzewa stały bezszelestnie w ciepłym, nieruchomym powietrzu.

Za jego plecami rozlegał się rytmiczny łomot młota i synkopowy rytm wystukiwany przez łyżkę do opon, tatuującą błotniki i klapę od bagażnika.

Tu, na skraju szacownej dzielnicy w Anaheim, w kolebce Disneylandu, nie każdego dnia rozgrywały się sceny jak z „Mechanicznej pomarańczy”. Mieszkańcy, uświadomieni dzięki licznym doniesieniom w mediach, okazali się bardziej ostrożni niż ciekawi. Nikt nie odważył się wyjść, by sprawdzić, co jest przyczyną tego hałasu. W domach po drodze Noah dostrzegł bardzo niewiele przestraszonych czy zdziwionych twarzy za oknami. Żadna nie należała do Myszki Miki, Minnie, Donalda czy Goofiego.

Obejrzał się; lincoln navigator właśnie ruszył z miejsca. Bez wątpienia siedzieli w nim wspólnicy dwóch artystów, aktualnie zmieniających jego samochód w dzieło sztuki nowoczesnej.

Jakieś półtorej przecznicy dalej dotarł do dużej ulicy z wieloma sklepami. O tej porze – dziewiąta dwadzieścia, wtorek wieczór – były przeważnie zamknięte.

Łomoty trwały dalej, lecz odległość i kilka warstw liści wytłumiły wściekły hałas. Noah zatrzymał się na rogu, lincoln – pół przecznicy za nim. Kierowca czekał, aż Noah się zdecyduje, w którą stronę pójść.

Pod koszulą hawajską, na plecach, Noah trzymał rewolwer. Nie sądził, żeby mu się przydał, mimo to nie zamierzał z niego zrezygnować.

Skreślił w prawo; jakieś półtorej przecznicy dalej znalazł knajpę. Może aspiryny tu nie dają, ale zimne piwo na pewno się znajdzie. Nigdy nie był zbyt zasadniczy w kwestii wyboru terapii.

Długi bar znajdował się na prawo od drzwi. Na środku pomieszczenia stało osiem drewnianych stołów ze świecami w lichtarzykach z bursztynowego szkła. Zaledwie połowa miejsc była zajęta. Niektórzy klienci i jedna klientka mieli na głowach kowbojskie kapelusze, jakby kosmici ich porwali i rzucili właśnie tutaj.

Pomalowaną na kolor krwistej czerwieni betonową podłogę na pewno umyto co najmniej parę razy od Gwiazdki; spod woni stęchłego piwa przebierała słaba nuta lizolu. Jeśli były tu jakieś karaluchy, to na pewno nie aż tak duże, żeby nie dało się ich ujeździć.

Wzdłuż ściany po lewej stronie znajdowały się stoliki poprzedzielane wysokimi przepierzeniami, z siedzeniami wyłożonymi czerwonym skajem. Sporo miejsc było wolnych. Noah zajął miejsce jak najdalej od drzwi.

Zamówił piwo u kelnerki, która najwyraźniej zaszyła na sobie spłowiałe, obcisłe dzinsy i koszulę w czerwonej kratę. Jeśli jej piersi nie były prawdziwe, to kraj pewnie stał na krawędzi kryzysu silikonowego.

– Przynieść szklanek? – spytała.

– Butelka pewnie będzie czystsza.

– Pewnie tak – zgodziła się i wróciła do baru. Z szafy grającej płynął melancholijny lament nad samotnością. Noah wygrzebał z portfela wizytówkę klubu samochodowego, odpiął od pasa telefon i zadzwonił po całodobową pomoc drogową.

Kobieta, która odebrała, miała głos jak ciotka Lilly, siostra jego starego, której nie widział od piętnastu lat. Ten głos nie obudził w nim szczególnej czułości. Lilly strzeliła jego ojcu w głowę, kładąc go trupem na miejscu. Zraniła także Noaha – raz w lewe ramię, raz w prawe udo – kiedy miał szesnaście lat, w ten sposób skutecznie dławiąc w nim wszelkie ciepłe uczucia do niej.

– Opony prawdopodobnie pękły – wyjaśnił przez telefon – więc przyślijcie lawetę.

Podał jej adres, pod którym mogą znaleźć samochód, a także nazwę salonu samochodowego, dokąd należy go odstawić.

– Wystarczy jutro rano. Dziś lepiej tam nikogo nie wysyłajcie, dopóki Beagle Boys się nie zmęczą.

– Kto?

– Jeśli nie czytuje pani komiksów ze Sknerusem McKwakiem, moja aluzja nic pani nie powie.

Kelnerka-kowbojka wróciła akurat z piwem.

– Kiedy miałam siedemnaście lat odezwała się – chciałam dostać rolę charakterystyczną w Disneylandzie, ale mi odmówili.

Noah rozłączył się i zmarszczył brwi.

– Rolę charakterystyczną?

– No tak, to jest wtedy, kiedy się chodzi po parku w kostiumie, a ludzie się z tobą fotografują.

Chciałam być Myszka Minnie albo przynajmniej Śnieżką, ale miałam za duży biust.

– Minnie jest bardzo płaska.

– No tak, bo to mysz.

– Słusznie.

– I powiedzieli mi, że Śnieżka powinna wyglądać dziewiczo. Nie wiem dlaczego.

– Może dlatego, że gdyby była taka seksowna jak ty, ludzie zaczęliby się zastanawiać, co tak naprawdę wyrabia z tymi siedmioma krasnoludkami. A to by się nie podobało Disneyowi.

Rozpromieniła się.

– Hej, chyba masz rację. – Potem westchnęła. – Ale bardzo, bardzo chciałam być Minnie. – Trudno się rozstać z marzeniami.

– Oj, trudno.

– Byłaby z ciebie piękna Minnie.

– Naprawdę? Uśmiechnął się.

– Miki miałby fart.

– Jesteś słodki.

– Ciotka Lilly tak nie uważa. Strzeliła do mnie.

– Ach, no wiesz, nie brałabym tego do siebie. W tych czasach każdy ma walniętą rodzinę.

Odeszła do innych gości.

Z szafy grającej rozległ się żałosny śpiew Gartha Brooksa. Ronda wszystkich stetsonów pochylili się jakby w żałobnym salucie. Później pałeczkę przejęły Dixie Chicks i kapelusze zakotływały się wesoło.

Noah wypił połowę piwa prosto z butelki. Zza przepierzenia wyłonił się młody byczek, wysmarowany brylantyną i skąpany w wodzie kolońskiej. Miał na sobie czarne dzinsy i podkoszulek z napisem „Odpowiedzią jest miłość”. Usiadł naprzeciwko niego.

– Marzysz o śmierci?

– A co, chcesz zićić moje marzenie?

– Nie ja. Jestem pacyfistą. – Wokół prawego przedramienia pacyfisty wił się precyzyjnie wytatuowany grzechotnik o oczach płonących nienawiścią, sięgający kłami wierzchu jego dłoni. – Ale powinieneś sobie zdawać sprawę, że śledzenie kogoś tak wpływowego jak kongresman Sharmer to wyjątkowa głupota.

– Nie przyszło mi do głowy, że kongresman mógłby zatrudnić bandytów.

– A kogo?

– Chyba nie jestem już w Kansas.

– Wiesz, Dorotko, tutaj strzelamy dla sportu do takich piesków jak Toto. I tratujemy takie dziewczynki jak ty, jeśli nam staną na drodze.

– Ojcowie Założyciele tego kraju byliby bardzo dumni. Oczy obcego, do tej pory puste jak serce socjopaty, wypełniły się podejrzliwością.

– Co, jesteś politycznym świrem czy jak? Myślałem, że tylko biednym detektywem, który zarabia, podglądając innych w łóżku.

– Muszę zarobić. Ile kosztował twój lincoln? – Nie stać cię.

– Mam dobry kredyt.

Pacyfista roześmiał się ze zrozumieniem. Podeszła kelnerka, którą odprawił gestem. Wyjął mały woreczek i rzucił go na stół.

Noah pocieszył się łykiem piwa.

Pacyfista podjął przemowę, zaciskając i rozprostowując palce prawej ręki, jakby zeszywniały mu stawy po wielogodzinnym nokautowaniu dzieci i zakonnic.

– Kongresman jest człowiekiem rozsądnym. Przyjmując zlecenie od jego żony, stałeś się jego wrogiem. Ale on jest tak dobry, że chce się z tobą zaprzyjaźnić.

– Prawdziwy chrześcijanin.

– Co, przeżywasz się? – Za każdym razem, gdy człowiek kongresmana zaciskał pięść, kły grzechotnika rozciągały się w węzowym uśmiechu. Przynajmniej zapoznaj się z jego ofertą.

Woreczek był złożony i zapieczętowany. Noah rozerwał taśmę, otworzył woreczek i wyciągnął do połowy plik studolarowych banknotów.

– Tu jest co najmniej trzy razy więcej niż kosztuje twój gruchot. Plus cena aparatu, który został na przednim siedzeniu.

– Ale lincolna za to nie kupię – zauważył Noah.

– To nie są negocjacje, Sherlocku. Więc?

– Więc odczekasz parę dni, a potem powiesz żonie kongresmana, że jej mąż wyciągał małego tylko wtedy, gdy chciało mu się siusiu.

A kiedy dymał swój kraj?

– Przyjaciele tak nie mówią.

– Zawsze miałem problemy interpersonalne... ale chcę spróbować.

– Miło mi to słyszeć. Szczerze mówiąc, martwiłem się o ciebie. Na filmach prywatni detektywi są zawsze tacy lojalni, że prędzej dadzą sobie wybić zęby, niż zdradzą klienta.

Nie oglądam filmów. Pacyfista wskazał palcem woreczek z pieniędzmi.

– Wiesz, co to jest?

– Zapłata.

– Chodzi mi o woreczek. To taki na wypadek choroby lokomocyjnej. – Jego uśmiech zbladł. – Co, nie widziałeś? – Mało podróżuję.

– Kongresman ma sympatyczne poczucie humoru.

– Ma histerię. – Noah wcisnął woreczek do kieszeni.

– Chce powiedzieć, że pieniądze to dla niego rzygowiny.

– Filozof z niego.

– Wiesz, co kongresman ma lepszego od pieniędzy? Na pewno nie dowcip.

Władzę. Jeśli masz władzę, możesz rzucić na kolana nawet największych bogaczy.

Kto to powiedział? Thomas Jefferson? Abe Lincoln? Nosiciel grzechotnika przechylił głowę i pogroził Noahowi palcem.

– Masz problem z gniewem, no nie?

– Zdecydowanie. Ciągły niedobór.

– Powinieneś wstąpić do Kręgu Przyjaciół.

– To kwakrzy?

– Nie, organizacja, którą założył kongresman. Dzięki niej wyrobił sobie nazwisko – jeszcze zanim zajął się polityką. Pomagał trudnej młodzieży. Pokazywał młodym ludziom nową drogę.

Mam trzydzieści trzy lata.

Teraz w Kręgu są wszystkie grupy wiekowe. To naprawdę działa! Dowiesz się, że w życiu jest milion pytań, ale tylko jedna odpowiedź...

– Którą obnosisz – odgadł Noah, wskazując pierś pacyfisty.

– Kochaj siebie, kochaj braci i siostry, kochaj przyrodę. Dlaczego to się zawsze zaczyna od „kochaj siebie”?

– Tak trzeba. Nie możesz pokochać innych, jeśli nie kochasz siebie. Wstąpiłem do Kręgu jako szesnastolatek, siedem lat temu. Ależ byłem pokręcony. Sprzedawałem drażki, brałem, niszczyłem dla samego dreszczyku podniecenia, zadawałem się z gangiem straceńców. Ale znalazłem drogę.

– To zadajesz się z gangiem, który ma przyszłość. Wytatuowany wąż uśmiechnął się na łapie wielkiej jak bochen chleba. Właściciel węża parsknął śmiechem.

– Farrel, lubię cię.

– Trudno mnie nie lubić.

Może nie pochwalasz metod kongresmana, ale on ma wizję, dzięki której nasz kraj się zjednoczy. Cel uświęca środki, tak? Widzisz? Znowu ten gniew. Noah dopił piwo.

– Do tej pory goście tacy jak ty i kongresman lubili się ukrywać za Jezusem. Teraz przerwali się na psychologię.

– Programy bazujące na Jezusie nie są aż tak opłaczalne, żeby udawać pobożność. – Pacyfista wstał. – Chyba nie zrobisz nic głupiego? Wystawisz jego żonę?

Noah wzruszył ramionami.

– I tak jej nie lubię.

– Wysznięta suka, no nie?

– Sucha jak krakers.

– Ale na pewno dodaje facetowi klasy i szacunku. Pójdiesz i zrobisz, co trzeba, dobra?

Noah uniósł brwi.

– Co? Chcesz... chcesz, żebym zaniósł te pieniądze na policję i wniósł oskarżenie przeciwko kongresmanowi?

Tym razem pacyfista się nie uśmiechnął.

– Źle się wyraziłem. Należało powiedzieć: zrobisz to, co masz zrobić.

– Chciałem uściślić – wyjaśnił Noah.

– Żebyś nie uściślał w trumnie.

Dostawca woreczka – minus woreczek – pomaszzerował do drzwi, demonstrując węża wszystkim obecnym.

Kowboje przy barze i stołach odwracali się i zaganiali go spojrzeniami do drzwi. Gdyby byli prawdziwymi ujeżdżaczami mustangów, a nie specjalistami od komputerów i agentami handlu nieruchomości, któryś z nich mógłby mu skopać tyłek dla samej zasady.

Pacyfista zniknął za drzwiami, a Noah zamówił drugie piwo u niedoszłej Minnie.

Wróciła z wilgotną butelką dos equis.

– To był jakiś złodziej czy co?

– Czy co.

– A ty jesteś gliną.

– Byłem. To aż tak widać?

– Aha. Masz koszulę hawajską. Gliniarze w cywilu lubią koszule hawajskie, bo można ukryć pod nimi gnata.

– Ja nic nie ukrywam – skłamał – z wyjątkiem pożółkłego podkoszulka, który powinienem wyrzucić jakieś pięć lat temu.

– Mój ojciec lubił koszule hawajskie.



- Był policjantem?
- A potem go zabili. – Przykro mi to słyszeć.
- Mam na imię Francene. To z piosenki ZZ Top.
- Dlaczego tyli gliniarzy lubi ZZ Top?
- Może dlatego, że to odtrutka na głupich The Eagles. Uśmiechnął się.
- I tu masz rację, Francene.
- Kończę o jedenastej.
- To duża pokusa – przyznał. – Ale jestem zajęty. Spojrzała na jego ręce, nie dostrzegła obrączki.
- Zajęty czym?
- To trudne pytanie.
- Może nie aż tak, jeśli się nie okłamujesz.

Do tej pory był tak zajęty ciałem i urodą Francene, że dopiero teraz dostrzegł dobroć w jej oczach.

- Może to użalanie się nad sobą?
- Nie – zaprzeczyła, jakby dobrze go znała. – Bardziej gniew.
- Jak się nazywa ta knajpa, „Gorzałka i przewodnictwo duchowe”?
- Kiedy wciąż słucha przez cały dzień country, zaczynasz uważać wszystkich za trzyminutową historię.
- Cholera – powiedział z przejęciem. – Byłaby z ciebie śmieszna Minnie.
- Polubiłbyś mojego tatę. Jesteś tak samo dumny jak on. On to nazywał honorem. Ale dziś honor to obciach i dlatego jesteś taki zły.

Spojrzał na nią. Szukał odpowiedzi, ale nie znalazł. Oprócz dobroci ujrzał w jej oczach melancholię, której widoku nigdy nie mógł znieść.

- Tamten facet wzywa kelnerkę. Ciągle patrzyła mu w oczy.
- Więc jeśli się kiedyś rozwiedziesz, wiesz, gdzie pracuję. Odeszła. Odprowadził ją wzrokiem. Potem, pomiędzy jednym długim łykiem a drugim, przyjrzał się swojemu piwu, jakby mógł w nim znaleźć jakiś sens.

Wreszcie, gdy do oglądania została mu już tylko pusta butelka, zostawił Francene napiwek dwukrotnie wyższy niż rachunek za dwa piwa.

Na dworze ciemne niebo brudziło miasto żółtawą luną. Wyżej wisiał wyniosły, nieskazitelny księżyc. W głębokiej czerni ponad jego sierpem migotało parę czystych gwiazd, bardzo odległych od Ziemi. Noah poszedł w kierunku wschodnim, czujnie wypatrując, czy ktoś go nie śledzi. Nikt za nim nie szedł, nawet w dużej odległości.

Najwyraźniej kohorta kongresmana przestała się nim interesować. Jego oczywiste tchórzostwo i gotowość, z jaką zdradził klientkę, były dostatecznym dowodem, że według najnowszych kryteriów jest dobrym obywatelem.

Odpiął komórkę od pasa, zadzwonił do Bobby’ego Zoona i poprosił o podwiezienie do domu.

Pół kilometra dalej znalazł całodobowy sklep, przy którym umówił się z Bobbym. Jego honda stała obok pojemnika Armii Zbawienia na stare ubrania.

Noah usiadł na fotelu obok Bobby’ego – chudego dwudziestolatka z rzadką bródką i nieco nieobecny spojrzeniem doświadczonego użytkownika ekstazy – który siedział za kierownicą i dłużył w nosie.

Noah się skrzywił.

- Jesteś obrzydliwy.

– Co? – zdumiał się szczerze Bobby, choć jego palec wskazujący nadal tkwił w prawej dziurce.  
– Przynajmniej cię nie przyłapałem, jak się ze sobą brzydsko zabawiasz. Zbierajmy się.  
– Ale było czadowo – powiedział Bobby, uruchamiając silnik. – Czad jak cholera.  
– Czadowo? Idioto, lubiłem ten samochód.  
– Tego chevroleta? Przecież to gruchot.  
– Ale mój!  
– Ale, kurczę, to było znacznie barwniejsze, niż się spodziewałem. Dostaliśmy więcej, niż chcieliśmy.

– Aha – mruknął Noah bez entuzjazmu.

Bobby skierował samochód w stronę wyjazdu z parkingu.

– Kongresman to suchar. – Co?

– Tost opieczony z dwóch stron.

– Skąd ty bierzesz te głupoty?

– Jakie głupoty?

– O tym sucharze.

– Zawsze myślę o scenariuszu. W szkole filmowej uczą, że wszystko jest dobrym materiałem. A to już na pewno.

– Piekło uwiecznione jako bohater w filmie Bobby’ego Zoona. 29 OSTATNIE DRZWI PRZED NIEBEM

Bobby odpowiedział z całą powagą, na jaką stać tylko podrostków z rzadką bródką i przeświadczeniem, że życie jest filmem.

– Nie jesteś bohaterem. To moja rola. Ty robisz za Sandrę Bullock.

Chłopiec, który nie ma już mamy, biegnie co sił w nogach przez gęsty las na tereny położone niżej, z wyżyn ucałowanych przez noc w duszące się w mroku doliny, spomiędzy drzew na szerokie pole. Pędzi wzdłuż bruzd ku ogrodzeniu.

Dziwi się, że jeszcze żyje. Nie ośmiela się uwierzyć, że zgubił tych, którzy go ścigają. Są za nim, szukają go, przebiegli i niezmordowani.

Plot, stary i wymagający remontu, szczeka głośno, gdy chłopiec się po nim wspina. Po zeskoczeniu na ziemię zastęga, przykucnięty, aż się upewnia, że nikogo nie zaalarmował.

Rozproszone do niedawna chmury, wełniste jak baranki, zbiły się w stadko wokół księżyca – pasterza.

W gęstszym mroku majaczy słabo kilka tajemniczych kształtów. Stodoła, stajnia, budynki gospodarcze. Chłopiec pospiesznie przemyka między nimi.

Krowy muczą, konie parskają cicho, ale to nie reakcja na jego wtargnięcie. Te dźwięki są równie naturalnym elementem nocy, jak mocny zapach zwierząt i nie całkiem nieprzyjemna woń nawozu.

Za podwórkiem z ubitej ziemi znajduje się świeżo skoszony trawnik. Betonowy basenik dla ptaków. Grządki róż. Porzucony rower, leżący na ziemi. Pergola porośnięta winoroślą, osłonięta liśćmi, obwieszona owocami.

Przez tunel pergoli, przez trawę, do domu. Na kuchennym ganku ceglane schodki prowadzą na podest ze starych drewnianych desek. Skrzypią pod jego stopami. Drzwi otwierają się przed nim.

Chłopiec staje niepewnie w progu; powstrzymuje go myśl o ryzyku i przestępstwie, które zamierza popełnić. Matka wpoila mu mocne zasady moralne, ale jeśli ma przeżyć tę noc, musi kraść.

Ponadto nie chciałby narażać tych ludzi – kimkolwiek są na niebezpieczeństwo. Jeśli mordercy dopadną go właśnie tutaj, nie oszczędzą nikogo. Nie będą mieli litości i nie odważą się zostawić świadków.

A jednak jeśli nie znajdzie tu pomocy, będzie musiał odwiedzić następny dom albo jeszcze kolejny. Jest zmęczony, boi się, ciągle nie wie, gdzie jest, i musi wymyślić jakiś plan. Musi przestać biec, choćby na krótko, żeby się zastanowić.

W kuchni, bezszelestnie zamknąwszy za sobą drzwi, wstrzymuje oddech i nasłuchuje. W domu panuje cisza. Najwyraźniej jego kroki nikogo nie obudziły.

Kredens za kredensem, szuflada za szufladą, szuka wytrwale, aż znajduje świeczkę i zapalki. Zastanawia się, ale z nich rezygnuje. Wreszcie – latarka.

U stóp schodów paraliżuje go przerażenie. Może mordercy już tu są. Na górze. Czekają w ciemnościach, żeby ich znalazł. Niespodzianka!

Głupota. Oni się nie bawią. Są okrutni i skuteczni. Gdyby tu byli, już by nie żył.

Czuje się mały, słaby, samotny i skazany na śmierć. Czuje się też jak idiota, bo ciągle się waha, choć rozsądek podpowiada mu, że nie ma się czego bać. Najwyżej złapią go ludzie, którzy tu mieszkają.

Wreszcie rusza na piętro. Schody cicho protestują. Trzyma się blisko ściany, gdzie deski są mniej hałaśliwe.

U szczytu schodów ciągnie się krótki korytarz. Czworó drzwi.

Za pierwszymi jest łazienka. Drugie prowadzą do sypialni. Chłopiec zakrywa latarkę, by rozproszyć światło, i wchodzi.

W łóżku śpi mężczyzna i kobieta. Chrapią na zmianę: on jak obój, ona jak flet.

Na komodzie, na małej ozdobnej tacce: drobne monety i portfel mężczyzny. W portfelu jeden banknot dziesięcio-, dwa pięcio-, cztery jednodolarowe.

Ci ludzie nie są bogaci. Chłopiec ma wyrzuty sumienia, że zabiera im pieniądze. Pewnego dnia, jeśli dożyje, wróci do tego domu i odda dług.

Chce zabrać też monety, ale ich nie dotyka. W tym poruszeniu na pewno by je rozsypał lub nimi brzęknął, budząc farmera i jego żonę.

Mężczyzna mamrocze coś przez sen, przewraca się na bok... ale się nie budzi.

Chłopiec wycofuje się z pokoju szybko i bezszelestnie. W korytarzu coś się rusza, dwoje lśniących oczu, błysk zębów w promieniu latarki. Z gardła prawie wyrывa się mu krzyk strachu.

Pies. Czarno-biały. Kudłaty.

Chłopiec dobrze rozumie się z psami, a ten nie stanowi wyjątku. Zwierzę trąca go nosem, sapie ze szczęścia i prowadzi korytarzem do innych uchylonych drzwi.

Może właśnie stąd wyszedł. Teraz spogląda na swojego nowego przyjaciela, uśmiecha się, macha ogonem i wpełza do środka płynnie jak domowy duch, gotów do uczestniczenia w seansie.

Na drzwiach wisi blaszana tabliczka z wyciętymi w niej literami:

CENTRUM DOWODZENIA  
KAPITAN STATKU KOSMICZNEGO  
CURTIS HAMMOND

Intruz idzie niechętnie za kundlem do Centrum Dowodzenia.

To pokój chłopca, wytapetowany ogromnymi plakatami z filmów o potworach. Na półkach pełno plastikowych figurek bohaterów fantastycznonaukowych, modeli i nieprawdopodobnych statków kosmicznych. W kącie stoi na metalowym rusztowaniu plastikowy ludzki szkielet naturalnej wielkości. Szczerzy zęby, jakby śmierć była strasznie fajna.

Na jednej ścianie wisi samotny plakat z Britney Spears, być może zwiastujący zmianę kierunku fascynacji mieszkańca tego pokoju. Britney ma głęboki dekolt, nagi pępek i agresywnie olśniewający uśmiech. Jest bardzo intrygująca, ale budzi lęk prawie tak samo, jak każdy inny szczerzący kły drapieżny potwór z horroru.

Mały intruz odwraca oczy od gwiazdki popu, zmieszany z powodu tego, co czuje, zaskoczony, że po tej ciężkiej próbie, którą przeżył, zostały w nim jeszcze jakieś uczucia oprócz strachu i rozpacz.

Pod plakatem z Britney Spears, w skłębionej pościeli, na brzuchu, z głową na boku, leży Curtis Hammond, dowódca tego statku kosmicznego, leży i śpi, nie wiedząc, że świętość mostka kapitańskiego została pogwałcona. Może mieć jedenaście, a nawet dwanaście lat, ale jest drobny jak na swój wiek, mniej więcej wzrostu nocnego gościa, który nad nim stoi.

Curtis Hammond jest obiektem gorzkiej zazdrości, nie dlatego że znalazł ukojenie we śnie, ale dlatego że nie jest się – rotą, nie jest sam. Przez chwilę zazdrość małego gościa gęstnieje i ścina się w nienawiść tak esencjonalną i jadowitą, że w każdej chwili może się wyrwać spod kontroli, uderzyć w śpiącego chłopca i ulżyć nieznośnemu bólowi, przelewając go na kogoś innego.

Gość, choć drży pod naporem tego przeniesionego gniewu, nie pozwala mu się wyzwolić i zostawia Curtisa bezpiecznego, nietkniętego. Nienawiść opada równie szybko, jak zakipiała, rozpacz, która na chwilę utonęła w tym płomiennym uczuciu, znowu wyłania się z jego fal, lak jak szara zimowa plaża wyłania się spod uchodzących fal.

Na nocnym stoliku, przed radiem z budzikiem, leży parę monet i zużyty plaster z plamką krwi na opatrunku. Krwi nie ma zbyt wiele, ale intruz widział ostatnio tyle strasznych scen, że przechodzi go

dreszcz. Nie dotyka monet.

Osierocony chłopiec skrada się do szafy, za nim pies, węszący kłębek sierści. Drzwi są uchylone. Chłopiec otwiera je szerzej. Przy świetle latarki przebiera w ubraniach.

Po biegu przez lasy i pola jest podrapany, pokłuty i zabłocony. Chciałby wziąć gorącą kąpiel i odpocząć, ale musi się zadowolić czystym ubraniem.

Pies przygląda mu się, przekrzywiając głowę, właśnie tak zdziwiony, jak powinien być.

Podczas przerzucania koszul, dżinsów, skarpet i butów Curtis Hammond śpi jak zakłęty. Gdyby był prawdziwym kapitanem statku kosmicznego, jego załoga mogłaby paść łupem mózgożernych Obcych, jego statek mógłby dostać się w otchłań czarnej dziury, a on dalej by śnił o Britney Spears.

Intruz, który nie jest mózgożernym Obcym, ale czuje się tak, jakby wpadł w przepastną czarną dziurę, cicho wraca do otwartych drzwi, a pies depcze mu po piętach.

W domu panuje cisza, sączące się przez palce światło latarki nie wyciąga z mroku korytarza żadnych obcych kształtów, ale instynkt każde małemu intruzowi zatrzymać się krok przed progiem.

Coś się nie zgadza. Cisza jest zbyt głęboka. Może rodzice Curtisa się obudzili.

W drodze do schodów będzie musiał minąć drzwi ich sypialni, które nierozważnie zostawił otwarte. Jeśli farmer i jego żona się obudzili, prawdopodobnie zorientowali się, że kładli się spać przy zamkniętych drzwiach. Chłopiec wraca do sypialni o ścianach ozdobionych Britney i potworami, jednakowo drapieżnymi. Wyłącza latarkę, wstrzymuje oddech.

Już ma zlekceważyć instynkt, który kazał mu się cofnąć z korytarza. Potem zauważa, że merdający ogon psa, do tej pory miękko uderzający o jego nogę, raptem znieruchomiał. Pies przestał też dyszeć.

W ciemnościach majaczą szare prostokąty: zasłonięte okna. Chłopiec zbliża się do nich, usiłując sobie przypomnieć, gdzie stoją meble, inaczej mógłby się o nie potknąć i narobić hałasu. Odkłada zgaszoną latarkę i odciąga zasłony; plastikowe kółka klekoczą cicho o mosiężny pręt, jakby wiszący szkielet, ożywiony jakąś czarodziejską mocą, zaczął się poruszać, wyciągając w mroku kościste palce.

Curtis Hammond mruczy coś, rzuca się na łóżku, ale nie budzi.

Chłopiec otwiera okno. Ostrożnie wykrada się z domu na dach ganku, ogląda się za siebie.

W otwartym oknie stoi pies, z łapami na parapecie, jakby chciał opuścić swego pana dla nowego przyjaciela i nocy pełnej przygód.

Zostań – szepcze osierocony chłopiec.

W kucki zbliża się na skraj dachu. Znowu się ogląda; kundel skomli cicho, ale za nim nie idzie.

Chłopiec jest wysportowany, zwinny. Skok z dachu ganku to niełatwe zadanie. Ląduje na trawniku, pada na ziemię, turla się po zimnej rosie, przez słodki rzeński zapach trawy, buchający ze zmiążdżonych źdźbeł, natychmiast podnosi się chwiejnie na nogi.

Piaszczysta droga, z obu stron otoczona łąkami i nasączona olejem, żeby kurz się nie unosił, prowadzi do publicznej szosy, biegnącej jakieś dwieście metrów dalej na zachód. Chłopiec jest już prawie w połowie dystansu, kiedy słyszy za plecami szczekanie psa.

Za oknami domu Hammondów błyska światło, gaśnie, znowu błyska, pulsujący chaos, jakby dom zmienił się w wesołe miasteczko. Wraz ze światłami wybuchają krzyki, rozdzierające serce nawet z tej odległości, ale nie są to zwykłe krzyki przerażenia, ale wrzask, nieopisany wrzask, zawodzenie pełne śmiertelnej zgrozy. Te najbardziej przenikliwe, przeszywające dźwięki brzmią bardziej jak kwik świń, które ujrzały lśnienie noża rzeźnika, choć na pewno dobieły się z ust ludzi. Okropne krzyki torturowanych Hammondów na chwilę przed śmiercią.

Mordercy byli bliżej, niż się spodziewał. To, co poczuł, wychodząc na korytarz na piętrze, to nie

milczenie przebudzonego farmera i jego żony. To ci sami łowcy, którzy brutalnie zamordowali jego rodzinę, zeszli z gór aż pod kuchenne drzwi domu Hammondów.

Pędząc przez noc, starając się uciec przed krzykami i kłającym go sumieniem, łapczywie chwyta oddech, a chłodne powietrze rani jego spieczone gardło. Serce łomocze mu jak końskie kopyta, wierzga o ścianę żeber.

Uwięziony księżyc ucieka z lochu chmur, ścieżka pod śmigłymi stopami chłopca lśni w jego świetle jak naoliwiona.

W pobliżu publicznej szosy chłopiec nie słyszy już strasznych krzyków, tylko własny rzeżący oddech. Odwraca się, widzi światła we wszystkich oknach domu i już wie, że mordercy szukają go na strychu, w szafach, w piwnicy.

Pies, bardziej czarny niż biały jego sierść jest znakomitym kamuflażem na ścieżce poznaczonej plamami księżycowego blasku – wybiega pędem z mroku. Przypada do chłopca, tuli się do jego nóg i ogląda się na dom Hammondów. Jego boki drżą, a ciało chłopca zaczyna się trząść w podobnym rytmie. Pies dyszy i skomli żałośnie, ale chłopiec nie poddaje się pokusie, by usiąść i rozplakać się wraz z nim.

Przed siebie, szybko, na asfaltową drogę, która prowadzi na północ i południe, w nieznane strony. W obu kierunkach prawdopodobnie czeka na niego ta sama okrutna śmierć.

Pograżonych w nocy pól Kolorado nie budzą zbliżające się światła samochodów. Chłopiec wstrzymuje oddech i słyszy tylko ciszę... i dyszącego psa. Znikąd nie dobiega pomruk silnika.

Próbuje odpędzić psa, ale ten udaje, że nie rozumie. Postanowił związać swój los z losem chłopca.

Wreszcie, nie chcąc brać odpowiedzialności nawet za zwierzę, decyduje się – z pewną wdzięcznością – na jego towarzystwo. Skręca w lewo, na południe, ponieważ na północy widać wzgórze. Chłopiec nie ma dość sił, by biec pod górkę.

Po prawej stronie wznosi się trawiaste zbocze, po lewej wysokie sosny stoją na baczność na skraju czarnej dwupasmówki, salutując księżycowi najwyższymi gałęziami. Od zbocza i drzew odbija się ciche „klap-klap, klap-klap”, które wcześniej czy później zwabi jego prześladowców. Znowu się ogląda, ale tylko raz, ponieważ na wschodzie dostrzega pulsowanie ognia i już wie, że dom Hammondów stoi w płomieniach. Ciała zmarłych, zredukowane do osmalonych kości i popiołów, nie zdradzają tożsamości morderców.

Zakręt i ściana drzew zasłaniają ogień. Kiedy chłopiec pokonuje zakręt, widzi ciężarówkę na poboczu. Reflektory są przygaszone, palą się tylko światła postojowe, a pojazd stoi na jałowym biegu, mrużąc do siebie jak zgonione zwierzę, które zasnęło na stojąco.

Chłopiec zwalnia, już nie biegnie, stara się iść i oddychać bezszelestnie. Pies drepcze truchcikiem jego śladem, potem pochyla głowę i skrada się, jakby był kotem.

Przyczepa ciężarówka ma brezentowy dach i boki. Z tyłu jest otwarta, zasłaniają tylko niska kłapa.

Chłopiec dociera do tylnego zderzaka przyczepy. Odnosi wrażenie, że w czerwonym blasku świateł postojowych dobrze go widać. Nagle słyszy spokojnie rozmawiających mężczyzn.

Ostrożnie wygląda od strony kierowcy, nie widzi nikogo, przechodzi na stronę pasażera. Przed ciężarówką stoją dwaj mężczyźni, plecami do jezdni, twarzą do drzew. Światło księżyca skrzy się w łukach moczu.

Chłopiec nie chce narażać tych ludzi na niebezpieczeństwo. Jeśli do nich dołączy, mogą umrzeć, zanim opróżnią pęcherze. Przystanek będzie dłuższy, niż planowali. Ale nigdy nie umknie swoim prześladowcom, jeśli będzie poruszał się pieszo.

Kłapa z tyłu jest na zawiasach. U góry zamyka się na dwie zasuwki.

Chłopiec cicho odwodzi jedną zasuwkę, przytrzymuje klapę ręką i przechodzi na lewo. Tutaj także otwiera zasuwkę. Powoli opuszcza klapę; zawiasy są naoliwione i nie skrzypią. Mógłby stanąć na zderzaku i wskoczyć do środka, ale ten manewr jest nieosiągalny dla jego czworonożnego przyjaciela.

Pies domyśla się, co zamierza jego nowy pan, i wskakuje do przyczepy tak lekko, że cichy rytmiczny pomruk silnika doskonale tłumi odgłos.

Chłopiec podąża za swoim dzielnym towarzyszem. Zamknięcie klapy od środka jest trudniejsze, ale przy sporej determinacji – wykonalne. Chłopiec zamyka obie zasuwki. Kończy w chwili, gdy obaj mężczyźni parszczą śmiechem.

Pusta szosa wydaje się uśpiona. Linia biegnąca przez środek, żółta w dzień, w mroźnym świetle księżycy stała się biała. Chłopiec wyobraża sobie, że to lont, po którym nadpełźnie strach, sycząc i dymiąc, a potem nastąpi nagły wybuch.

Szybko, ponąga w myślach mężczyzn, jakby mógł ich zmusić do pośpiechu samą siłą woli. Szybko!

Wyciąga rękę w ciemnościach i natrafia na koce, mnóstwo koców, niektóre są zrolowane pojedynczo, inne po kilka, okręcone sznurkiem sizalowym. Prawą ręką wymacuje gładką skórę, wyraźną krzywiznę łęku, zagłębienie siedzenia: siodło.

Kierowca i jego towarzysz wracają do szoferki. Trzaskają drzwi, potem drugie.

Pomiędzy kocami tkwią inne siodła, niektóre gładkie jak to pierwsze, inne ozdobione skomplikowanymi ornamentami, które pod palcami chłopca zdają się opowiadać o paradach, pokazach i rodeach. Gładkie inkrustacje, chłodne w dotyku, to pewnie srebro, turkus, karneol, malachit, onyks.

Kierowca zwalnia hamulec ręczny. Pojazd wysuwa się na drogę, spod kół przyskają drobne kamyki, które toczą się w mrok jak kostki do gry.

Cieżarówka rusza na południowy zachód, ciągnie za sobą lont i słupy z elektrycznymi i telefonicznymi przewodami, które jak żołnierze maszerują na bitwę czekającą ich za horyzontem.

Pomiędzy derkami i siodłami, w przytulnych woniach filcu, skóry i wosku – a także dziwnie kojącym, ulotnym zapachu koni – osierocony chłopiec i łaciaty kundel tulą się mocno do siebie. Połączyła ich rozpacz i silny instynkt przetrwania. Razem jadą w nieznane, na spotkanie z niewiadomym.

W środę, po bezskutecznym poszukiwaniu pracy, Micky Bellsong wróciła do dzielnicy przyczep mieszkalnych, gdzie spora część obumierającej roślinności omdlewała pod palącym słońcem, a reszta wyglądała na bezpowrotnie straconą. Wściekłych tornad, które zwykle uderzają głównie w osiedla przyczep, w południowej Kalifornii w zasadzie się nie spotykało, lecz ogłuszający letni upał robił, co mógł, by uprzykrzyć wszystkim życie do czasu następnego trzęsienia ziemi, które wykona robotę tornada.

Mając swoje lata przyczepa ciotki Genevy wyglądała jak gigantyczny piekarnik, w którym można by upiec stado krów naraz. Być może w tych metalowych ścianach mieszkał jakiś złośliwy bóg słońca, bo powietrze wokół przyczepy wyraźnie migotało, jakby roilo się od demonów, jego straży przybocznej.

Wydawało się, że wewnątrz wszystkie meble znajdują się na granicy samozapłonu. Rozsuwane okna stały otworem, ale ten sierpniowy dzień nie pozwalał sobie na najmniejsze westchnienie.

Micky weszła do mikroskopijnej sypialni i zrzuciła uwierające buty na wysokich obcasach. Zdjęła kostium z taniej bawełny oraz pończochy.

Myśl o prysznicu była kusząca, ale rzeczywistość mogła przynieść rozczarowanie: ciasna łazienka miała bardzo małe okno, a w tym upale kłęby pary zostałyby w pomieszczeniu.

Micky włożyła białe szorty i bluzkę w kolorze chińskiej czerwieni. W lustrze na drzwiach szafy prezentowała się lepiej, niż się czuła.

Niegdyś była dumna ze swojej urody. Teraz dziwiła się, jak mogła się szczyć czymś, co nie wymagało od niej najmniejszego wysiłku, żadnego poświęcenia.

W zeszłym roku – z uporem najbardziej upartego zwierzęcia, które kiedykolwiek ciągnęło pług – doszła do nieprzyjemnego wniosku, że jej dotychczasowe życie nie miało sensu i że winą za to może obciążyć tylko siebie. Złość, którą kiedyś kierowała na innych, obróciła przeciwko sobie.

Ale złość, bez względu na jej obiekt, mogą w sobie pielęgnować tylko wariaci albo głupcy. Micky nie zaliczała się do żadnej z tych grup. Z czasem wściekłość się wypaliła i pozostała depresja.

Depresja także minęła. Ostatnio Micky żyła z dnia na dzień w niepewnym, lecz pełnym nadziei oczekiwaniu.

Los, na wstępie obdarzywszy ją urodą, przestał się nią zajmować. Nigdy więcej nie był już dla niej łaskawy. Dlatego Micky nie potrafiła zidentyfikować przyczyny tego niemal słodkiego poczucia, że coś się wydarzy. Zaniepokoiło ją i obudziło jej nieufność. Mimo to podczas tego tygodnia u ciotki Gen każdego ranka budziła się z przekonaniem, że nadchodzi zmiana, i to zmiana na lepsze.

Co prawda po tygodniu bezowocnego poszukiwania pracy mogła znowu nabawić się depresji. Ponadto co najmniej raz dziennie nachodziła ją nowa odmiana dawnego gniewu; o mroczne rozdrażnienie nie było tak piekielne jak dawniej, ale mogło szybko przybrać na sile. Długi dzień pełen porażek zostawiał osad zmęczenia w jej ciele, duszy i umyśle. A emocjonalna niestabilność budziła lęk.

Poszła bosą do kuchni, gdzie Geneva przygotowywała kolację. Mały elektryczny wentylator na podłodze zawzięcie obracał skrzydełkami; taki sam efekt chłodzący dałoby mieszanie wrzącej zupy drewnianą łyżką.

Z powodu zbrodniczej głupoty i głupich zbrodni miejscowych polityków Kalifornia z nastaniem lata zaczynała cierpieć na niedobory energii elektrycznej, co w rezultacie doprowadziło do zwyżki cen. Rachunki za elektryczność osiągnęły niebotyczny poziom. Geneva nie mogła sobie pozwolić na klimatyzację.

Ciotka posypała sałatkę z makaronem tartym parmezanem i rozpromieniła się w uśmiechu, który



zmieniłby węża z rajskiego ogrodu w potulnego towarzysza zabaw. Niegdyś złote włosy przybladły i posiwiały, ale ponieważ ciotka z wiekiem przytyła, na jej twarzy nie było widać zmarszczek. Miedziane piegi i żywe zielone oczy potwierdzały ciągłą obecność dziewczynki w tej sześćdziesięcioletniej kobiecie.

– Micky, kochanie, miałaś dobry dzień?

– Wredny.

– Może szklanek lemoniady? Właśnie zrobiłam.

– Właściwie przydałoby się piwo.

– Jest i piwo. Wujek Vernon lubił sobie wypić wieczorem ze dwa zimne piwa.

Ciocia Gen nie piła piwa. Vernon zmarł osiemnaście lat temu. A jednak Geneva nadal trzymała w lodówce jego ulubiony napój, a jeśli nikt go nie zużył, regularnie wymieniała butelki na świeże, gdy stare uległy przeterminowaniu.

Przegrała ze śmiercią, ale choć odebrano jej męża, nie dała się obrabować ze słodkich wspomnień i długoletniej tradycji.

Micky otworzyła puszkę budweiseru.

– Mówią, że rynek się załamuje.

– Kto, kochanie?

– Wszyscy, których prosiłam o pracę.

Geneva postawiła sałatkę na stoliku i zaczęła kroić pieczoną pierś kurczaka, żeby zrobić kanapki.

– To pesymiści. Dla niektórych rynek ciągle się załamuje, a dla innych nie. Znajdziesz pracę, słonko.

Piwo pospieszyło z lodowatą pociechą. – Jak ci się udaje zachować taką pogodę ducha?

To łatwe – odparta ciotka, skupiona na dzieleniu kurczaka. – Wystarczy się rozejrzeć. Micky się rozejrzała.

– Wybacz, ciociu, ale widzę tylko ciasną kuchnię, tak starą, że linoleum popękało.

– Więc jeszcze nie umiesz patrzeć, kochanie. W lodówce jest talerz pikli, miska sałatki ziemniaczanej, taca serów i inne rzeczy. Mogłabyś postawić to wszystko na stole?

Micky sięgnęła po ser.

– Zrobiłaś kolację dla batalionu galerników? Geneva postawiła talerz pokrojonego kurczaka.

– Nie zauważyłaś, że dziś nakryłam na trzy osoby?

– Będziemy miały gości?

W odpowiedzi rozległo się pukanie. Drzwi kuchenne były otwarte dla ułatwienia cyrkulacji powietrza, więc Leilani Klonek zapukała we framugę.

– Wejdz, wejdz, nie stój na tym okropnym upale – zawołała Geneva, jakby duszna przyczepa stanowiła chłodną oazę.

Leilani, oświetlona od tyłu zachodzącym słońcem, w szortach khaki i białym podkoszulku z małym zielonym serduszkiem, wyhaftowanym na lewej piersi, weszła przy akompaniamencie szczęku stalowej klamry, choć po tylnych schodkach wdrapała się bezszelestnie.

Ten dzień był naprawdę makabryczny. Gdyby Micky miała go opisać słowami, które w pełni oddałyby jego ohydę, ciotka przeżyłaby wstrząs. Dlatego przybycie kalekiej dziewczynki tak ją zaskoczyło. Na widok Leilani Klonek znowu poczuła to samo pełne nadziei oczekiwanie, które nie pozwalało jej utonąć w bagnie rozpacz.

– Ten paskudny krzak róży na pani podwórku zrobił do mnie brzydki gest – poskarżyła się Leilani.

Geneva się uśmiechnęła.

– Jeśli istotnie doszło do sprzeczki, na pewno tyją zaczęłaś, kochanie.

Leilani wskazała ją kciukiem i zwróciła się do Micky: Pani D. jest niesamowita. Odzieżę znalazłaś?

- Jest siostrą mojego ojca. To była sprzedaż wiązana.
- Premia. Twój tata musi być świetny.
- Dlaczego tak myślisz?
- Ma supersiostrę.
- Porzucił matkę i mnie, kiedy miałam trzy lata. – Kiepsko. A mój nic niewart ojciec w ogóle nie załapał się na moje przyjscie na świat.
- Nie wiedziałam, że to konkurs na najgorszego ojca.
- O ile mi wiadomo, przynajmniej mój prawdziwy ojciec nie jest mordercą, w przeciwieństwie do obecnego pseudoojca. A twój jest mordercą?
- Znowu przegrałam. To zwykła egoistyczna świnka.
- Pani D., nie przeszkadza pani, że Micky tak nazywa pani brata?
- To smutne, kochanie, ale ma rację.
- Więc nie jest pani tylko premią. Jest pani fantastyczną nagrodą, taką, jaką się znajduje w torebce zjełczałych chipsów.

Geneva uśmiechnęła się promiennie.

- Jesteś słodka. Chcesz świeżej lemoniady? Dziewczynka wskazała na puszkę budweisera.
- Jeśli Micky może pić, to ja też. Geneva naląła do szklanki lemoniady.
- Udawaj, że to budweiser.
- Myśli, że jestem dzieckiem – mruknęła Leilani do Micky.
- Bo jesteś.
- Zależy, kogo się uważa za dziecko.
- Każdego poniżej dwunastu lat.
- Co za żenada. Uciekasz się do schematu wieku. To obnaża niezdolność do niezależnego myślenia i analizy.

- W porządku. Spróbujmy od strony rozmiarów. Jesteś dzieckiem, bo nie masz piersi.

Leilani skrzywiła się niechętnie.

- Grasz nie fair. Wiesz, że to mi leży na sercu.
- Nic ci nie leży – nie zgodziła się Micky. – Jesteś płaska jak ten plasterek sera.
- Ale pewnego dnia będę miała taki biust, że dla równowagi będę musiała nosić na plecach worek betonu.

- Niezła jest, prawda? – odezwała się ciotka Gen.

- Absolutnie i niewątpliwie. Piękny młody mutant.

- Kolacja gotowa. Zimne sałatki i dodatki do kanapek. Niezbyt wyrafinowane, ale w sam raz na tę pogodę.

- To lepsze niż tofu z brzoskwiniami z puszki albo kielki fasolki – zauważyła Leilani, zajmując miejsce.

- Chyba wszystko jest lepsze.

- O nie, nie wszystko. Stara Sinsemilla jest słabą matką, ale z całych się stara, żeby się stać równie kiepską kucharką. Geneva wyłączyła górne światło, by oszczędzić prąd i nie nagrzewać kuchni.

- Później zapalimy świece – powiedziała.

O siódmej wieczorem słońce było złotoczerwone i nadal tak rozpalone, że cień, który padał na kuchnię, ale jej nie chłodził, miał kolor lawendy i umbry.

Geneva usiadła, pochyliła głowę i odmówiła zwieżłą, lecz płynącą z serca modlitwę:

– Dziękujemy ci, Boże, za to, że dajesz nam wszystko, czego potrzebujemy, że poprzestajemy na tym, co mamy.

– Mam problemy z tym poprzestawaniem – wtrąciła Leilani.

Micky wyciągnęła do niej rękę, a dziewczynka zareagowała bez wahania; obie wymieniły skomplikowany uścisk dłoni.

– To mój stół, więc odmawiam modlitwę na swój sposób, bez żadnych uwag od redakcji – oznajmiła Geneva. – A kiedy będę pić pinacoladę na niebiańskim tarasie w cieniu palm, co będą podawać w piekle?

– Prawdopodobnie tę lemoniadę – mruknęła Leilani. Micky nałożyła jej na talerz sałatkę z makaronem.

– Więc znasz ciotkę Gen? – spytała.

– Aha. Pani D. uczy mnie wszystkiego o seksie.

– Nie opowiadaj takich rzeczy! – obruszyła się Geneva. – Jeszcze ci ktoś uwierzy. Gramy w remika.

– Pozwoliłabym jej wygrać – dodała Leilani. – Z uprzejmości i szacunku dla podeszłego wieku. Ale zanim zdążyłam, ograła mnie. Oszukiwała.

– Ciotka Gen zawsze oszukuje – potwierdziła Micky.

– Dobrze, że nie grałyśmy w rosyjską ruletkę. Miałybyście w kuchni pełno mojego mózgu.

– Nigdy nie oszukuję – oświadczyła Gen z przebiegłym spojrzeniem godnym księgowego mafii w trakcie zeznań przed Sądem Najwyższym. – Po prostu stosuję zaawansowane i skomplikowane techniki.

– Jeśli się okaże, że twoja pinacolada jest udekorowana żywymi jadowitymi żmijami, może zrozumiesz, że ten twój taras jednak nie znajduje się w niebie.

Ciotka Gen osuszyła czoło papierową serwetką.

– Niech się wam nie wydaje, że pocę się ze strachu. To ten upał.

– Świetna ta sałatka ziemniaczana – powiedziała Leilani. – Dziękuję. Twoja mama na pewno nie chce przyjść?

– Nie. Naćpała się koki i grzybków. Mogłaby się najwyżej doczołgać. Zresztą gdyby coś zjadła, od razu by się porzygała.

Geneva spojrzała z troską na Micky, Micky wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, czy opowieści o skandalicznym życiu Sinsemilli to prawda, czy fantazja, choć podejrzewała, że dziewczynka mocno przesadza. Brutalne słowa i cynizm mogły być przykrywką dla niskiej samooceny. Ta strategia towarzyszyła Micky przez całe dzieciństwo i okres dojrzewania.

– To wszystko prawda – powiedziała Leilani, prawidłowo interpretując ich wymianę spojrzeń. – Mieszkamy obok was od trzech dni. Dajcie starej Sinsemilli trochę czasu, a same zobaczycie.

– Narkotyki okropnie niszczą – odezwała się ciotka Gen z nagłą powagą. – Pewnego razu zakochałam się w mężczyźnie z Chicago...

– Ciociu – rzuciła Micky ostrzegawczo.

Smutek wypełnił gładką, jasną, piegowatą twarz ciotki z zadziwiającą łatwością.

– Był taki przystojny, taki wrażliwy...

Micky wstała z westchnieniem i przyniosła sobie drugie piwo.

– ...ale uzależniony – ciągnęła Geneva. – Od heroiny. Wszyscy go skreślili, ale nie ja. Ja wiedziałam, że jest dla niego ratunek.

– To cholernie romantyczne, ale – wnioskując z doświadczeń mojej matki z licznymi ćpunami –

zawsze się źle kończy.

– Ale nie w tym wypadku – odparła Geneva. – Ja go uratowałam.

– Niby jak?

– Miłością – oświadczyła Gen, a jej oczy zamglily się od wspomnień dawnej namiętności.

Micky otworzyła budweisera.

– Ciociu, ten wrażliwy ćpun z Chicago to nie był przypadkiem Frank Sinatra?

– Serio? – Leilani otworzyła szeroko oczy. Znieruchomiała z widelcem zawieszonym przed ustami. –

Ten piosenkarz? Ten, co nie żyje?

– Wtedy żył – zapewniła ją Geneva. – Nawet jeszcze nie zaczął łysieć.

– A ta dobra młoda kobieta, która go wyciągnęła z nałogu – drażyła Micky – to byłaś ty czy może Kim Novak? Ciotka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Swego czasu byłam atrakcyjna, ale nigdy aż tak, jak Kim Novak.

– Ciociu, myślisz o „The Man with the Golden Arm”. Frank Sinatra, Kim Novak. Wielki sukces kasowy lat pięćdziesiątych.

Zdumienie Genevy rozplynęło się w uśmiechu.

– Ależ tak, kochanie, masz rację. Nigdy nie miałam romansu z Sinatra, choć gdyby się nadarzył, nie wiem, czybym się oparła.

Leilani odłożyła widelec na talerz i spojrzała pytająco na Micky.

Micky wzruszyła ramionami, rozbawiona zdumieniem małej.

– Ja też nie wiem, czybym się oparła.

– Och, na litość boską, nie dręcz tego dziecka – rzuciła Geneva. – Musisz mi wybaczyć, Leilani. Od czasu postrzału miewam problemy z pamięcią. Przepaliły mi się jakieś przewody – postukała się w skroń – i czasami stare filmy zlewają mi się w jedno z moim życiem.

– Mogę prosić jeszcze lemoniady? – spytała Leilani.

– Oczywiście, kochanie. – Geneva sięgnęła po szklany dzban, po którego ściankach spływały kropelki zimnej wody.

Micky przyglądała się dziewczynce.

– Nie oszukasz mnie, mutancie. Nie jesteś aż tak twarda. Nie wytrzymasz.

Leilani odstawiła lemoniadę i poddała się.

– No, niech będzie. Kiedy postrzelono panią w głowę?

– W tym roku, trzeciego lipca, minęło osiemnaście lat.

– Ciocia Gen i wujek Vernon prowadzili dzielnicowy sklepik – wyjaśniła Micky. – A jeśli dzielnica jest zła, to tak, jakby się pracowało na strzelnicy.

– W przeddzień święta Czwartego Lipca – dodała Geneva – sprzedaje się mnóstwo mięsa i piwa. Ludzie płacą gotówką.

– A ktoś chciał zgarnąć tę gotówkę – odgadła Leilani.

– Zachowywał się jak dżentelmen – przypomniała sobie Geneva.

– Dopóki nie zaczął strzelać.

– No tak, rzeczywiście. Ale podszedł do kasy z takim miłym uśmiechem... Dobrze ubrany, ładnie się wyrażał. Powiedział: „Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciała mi pani oddać pieniądze z kasy. I proszę nie zapomnieć o banknotach z dna szuflady”.

Leilani nadeła się dumnie.

– A pani nie chciała mu ich dać.

– Na Boga, skądże! Oddaliśmy mu wszystko i prawie mu podziękowaliśmy, że nie musimy płacić podatku.

– A on zaczął strzelać?

– Dwa razy do Vernona, a potem prawdopodobnie do mnie.

– Prawdopodobnie?

– Pamiętam, jak strzelił do Vernona. Wolałabym zapomnieć, ale nie mogę. – Wcześniej, na wspomnienie widmowego romansu z ćpunem, na twarz ciotki Genevy padł cień smutku. Teraz jednak jej policzki zaróżowiły się z radości. – Vernon był cudownym człowiekiem, słodkim jak miód.

Micky uścisnęła jej dłoń.

– Ja też go kochałam.

– Bardzo za nim tęsknię – zwróciła się Geneva do Leilani – nawet po tylu latach, ale nie mogę już po nim płakać, ponieważ każde wspomnienie, nawet tamtego okropnego dnia, przypomina mi, jaki był słodki, jak mnie kochał.

– To tak jak Lukipela... Mój brat. – Leilani nie uśmiechnęła się tak, jak Geneva. Ale jej spojrzenie spochmurniało.

Przez chwilę Micky dostrzegła w dziewczynce coś, co przejęło ją chłodem, bo wyglądało jak odbicie mrocznych zakątków jej własnego wewnętrznego krajobrazu. Było to mgnienie okropnego gniewu, rozpacz, chwilowe objawienie poczucia niższości, do którego dziewczynka nigdy by się nie przyznała, lecz które Micky znała z własnego doświadczenia.

Leilani odzyskała panowanie nad sobą tak szybko, jak je straciła. Na wspomnienie brata jej oczy zamglily się uczuciem, teraz znowu przejaśniały. Podniosła wzrok ze zdeformowanej ręki na uśmiechniętą Genevę i także się uśmiechnęła.

– Powiedziała pani, że ten człowiek prawdopodobnie do pani strzelił.

– No cóż, oczywiście wiem, że to zrobił, ale nic nie pamiętam. Pamiętam, jak strzelił do Vernona, a potem nagle obudziłam się w szpitalu, całkiem zdezorientowana, i zginęły mi cztery dni.

– Kula nie przebiła czaszki na wylot – wyjaśniła Micky.

– Mam zbyt twardą głowę – oznajmiła Geneva z dumą. – Łut szczęścia – uściśliła Micky. – Kula uderzyła pod ostrym kątem, odbiła się rykoszetem od czaszki, nadłamując kość, i rozorała skórę na głowie.

– Więc jak to było z tymi przepalonymi przewodami? – zainteresowała się Leilani.

– Odłamki kości wbiły się w mózg. I powstał skrzep.

– Otworzyli głowę cioci jak puszkę fasoli.

– Micky, kochanie, takich rzeczy nie mówi się przy stole skarciła ją łagodnie Geneva.

– Och, w domu słyszę o wiele gorsze rzeczy – zapewniła ich Leilani. – Stara Sinsemilla ubzdurzała sobie, że jest fotografikiem. Poczwała wewnętrzny przymus robienia zdjęć zwierzętom rozjechanym na drodze. Czasami przy kolacji opowiada, co się dziś rozkwasilo na autostradzie. A mój pseudoojciec...

– Czyli morderca – wtrąciła Micky bez uśmiechu czy ironii, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy, by zakwestionować słowa dziewczynki.

– Tak, doktor Zagłada – potwierdziła Leilani.

– Nie pozwól, żeby cię adoptował. Nawet Leilani Klonk brzmi lepiej niż Leilani Zagłada.

– Och, nie wiem – powiedziała ciocia Gen radośnie. – A mnie się raczej podoba. Leilani Zagłada.

Dziewczynka wzięła puszkę piwa, jakby to było coś wyjątkowego, ale zamiast pociągnąć łyk, przetoczyła nią po spoconym czole.

– Tak naprawdę wcale się nie nazywa doktor Zagłada. To ja go tak nazywam, gdy nie słyszy. Czasami przy kolacji opowiada o ludziach, których zabił – jak wyglądali, kiedy umierali, jakie były ich ostatnie słowa, czy płakali, czy się posikali, wszystkie te chore rzeczy.

Odstawiła puszkę poza zasięg Micky. Zrobiła to jakby od niechcenia, ale jej motywy były jasne. Uznała się za strażniczkę trzeźwości Micky.

– Można by pomyśleć – dodała – że taka rozmowa jest ciekawa, choć obrzydliwa. Ale wierzcie mi, szybko traci swój urok.

– Jak naprawdę nazywa się twój pseudoojciec? – spytała Geneva.

Hannibal Lecter – mruknęła Micky, uprzedzając Leilani.

– Niektórzy boją się go bardziej, niż gdyby się nazywał Lecter. Na pewno o nim słyszałyście. Preston Maddoc. – Brzmi bardzo dostojnie – uznała Geneva. – Jakby był sędzią Sądu Najwyższego albo senatorem. Albo kimś jeszcze ważniejszym.

– Pochodzi z rodziny wielkich akademickich ważniaków. Wszyscy się tam nazywają jak nie wiadomo co. Mają gorszego fioła na punkcie imion niż stara Sinsemilla. Co jeden to Hudson, Lombard, Trevor, Kingsley, Wycliffe albo Crispin. Można do usranej śmierci szukać jakiegoś Jima albo Boba. Rodzice doktora Zagłady uczą na uniwersytecie historii i literatury, więc dali mu na drugie Klaudiusz. Preston Klaudiusz Maddoc.

– Pierwsze słyszę – oświadczyła Micky. Leilani wyraźnie się zdziwiła.

– Nie czytujecie gazet?

– Przestałam, kiedy zrezygnowali z drukowania wiadomości – odparła Geneva. – Teraz to same prywatne opinie, od pierwszej do ostatniej strony.

– Mówili o nim w telewizji.

Geneva pokręciła głową, w której przepaliły się przewody.

– Nie oglądam już dzienników. Tylko stare filmy.

– A ja nie lubię dzienników – wyjaśniła Micky. – Dają w nich same złe wiadomości, a jak już nie są złe, to zmyślone.

– Aaaa... – Leilani otworzyła szeroko oczy. – To wy jesteście tymi dwunastoma procentami.

– Słucham?

– Za każdym razem, kiedy telewizja albo gazety podają wyniki sondaży, bez względu na pytanie, dwanaście procent respondentów nie ma zdania. Można by ich spytać, czy grupa szalonych naukowców ma prawo skrzyżować człowieka z krokodylem, a oni nie będą mieli zdania.

– Ja bym była przeciw – oznajmiła Geneva, unosząc marchewkę.

– Ja też – zgodziła się z nią Micky.

– Niektórzy ludzie są już i tak podli, nie mając krokodylej krwi w żyłach.

– A aligatory? – spytała Micky.

– Przeciw – ucięła kategorycznie Geneva.

– A gdyby skrzyżować człowieka ze śmiertelnie jadowitą żmiją? – podsunęła Micky.

– Nie, jeśli mam coś do powiedzenia.

– No dobrze, a jakby skrzyżować człowieka z psem? Geneva rozpromieniła się w uśmiechu. – O, wreszcie zaczynasz mówić do rzeczy.

– Sama widzisz – zwróciła się Micky do Leilani. – Nie jesteśmy dwunastoma procentami. Mamy własne zdanie, pełno zdań, i ze wszystkich jesteśmy dumne.

Leilani uśmiechnęła się pod nosem i ugryzła chrupkiego korniszona.

– Lubię cię, Micky B. Naprawdę cię lubię. Panią też, pani D.  
– A my lubimy ciebie, kochanie – zapewniła ją Geneva.  
– Tylko jedna z was oberwała w głowę, ale obu wam się przepaliły przewody – przeważnie w miły sposób.

– Jesteś mistrzynią uroczych komplementów – podsumowała Micky.

Przy tym bardzo mądrą – dodała Gen tak dumnie, jakby dziewczynka była jej córką. – Micky, wiedziałaś, że Leilani ma IQ sto osiemdziesiąt sześć?

– Myślałam, że co najmniej sto dziewięćdziesiąt.

– W dniu, w którym zrobili nam badania, zjadłam na śniadanie lody czekoladowe. Gdyby to była owsianka, mogłabym wyciągnąć sześć do ośmiu punktów więcej. Sinsemilla nie jest taka, żeby zamykać przede mną lodówkę. Więc przez cały test najpierw jechałam na cukrowej euforii, a potem na postcukrowym zjeździe w dół. Nie żebym się usprawiedliwiała albo narzekała. Mam szczęście, że trafiłam na lody, a nie na ciasteczka z marihuaną. Co ja gadam, mam szczęście, że nie umarłam i nie leżę w jakimś nieoznakowanym grobie i że robaki nie zrobiły sobie sypialni z mojej czaszki. Albo że nie zabrali mnie kosmici, tak jak Lukipeli, którego porwali na jakąś strasznie daleką planetę, gdzie w telewizji nie leci nic fajnego, a lody mają tylko karaluchowe, z posypką z tłuczonego szkła.

– Ach, tak – powiedziała Micky. – Więc oprócz matki, która dręczy cię serem tofu z brzoskwiniami i kielkami fasoli, oraz ojczyma-mordercy, rzekomo masz jeszcze brata, którego porwali kosmici.

– Tak brzmi aktualna wersja – potwierdziła Leilani. – I jej się trzymamy. Dziwne światła na niebie, bladozielone promienie lewitacyjne, które wciągają cię do statku matki, że aż po drodze gubisz buty, małe zielone ludziki z wielkimi głowami i ogromniastymi ślepiami – pełen zestaw. Pani D., czy mogę sobie wziąć tę rzodkiewkę, która wygląda jak róża? – Oczywiście, kochanie. – Geneva przysunęła jej talerz z rzodkiewkami.

Micky roześmiała się cicho i pokręciła głową.

– Mała, nie przeginaj z tą rodziną Addamsów. Nie kupuję tego o Obcych.

– Ja też nie – wyznała Leilani. – Ale alternatywa jest zbyt okropna, toteż nie dopuszczam wątpliwości do głosu.

– Jaka alternatywa?

– Jeśli Lukipela nie siedzi na tej obcej planecie, to jest gdzie indziej i całkiem możliwe, że nie jest tam ciepło ani czysto, i nie ma smacznej sałatki ziemniaczanej ani świetnych kanapek z kurczakiem.

Przez ułamek chwili w lśniących niebieskich oczach dziewczynki, za bliźniaczym odbiciem okna i jarzącego się w nim letniego blasku, za przyćmionym odbiciem wielowarstwowych cieni, coś poruszyło się ze straszliwą ociężałością, jak kołyszące się powoli ciało wisielca. Leilani niemal natychmiast odwróciła twarz, a jednak to wystarczyło, by wzmocniona jednym budweiserem Micky wyobraziła sobie, że właśnie ujrzała zawieszoną nad otchłanią duszę.

Przeszła korytarzem niczym sylfida zrodzona z powietrza, niemal nie dotykając stopami podłogi, wysoka i smukła, w platynowo-szarym jedwabnym garniturze, zwiewna jak drżący promień światła.

Constance Veronica Tavenall-Sharmer, żona szacownego kongresmana, rozdającego wypłaty w woreczkach na wymioty, zrodziła się ze śmietanki śmietanek ludzkich genów, jeszcze zanim ich strumień wypłynął z raju i zanieczyścił się w upadłym świecie. Jej włosy nie były zwyczajnie jasne – miały odcień dukatów ze szczerego złota, całkiem na miejscu w przypadku dziedziczki bogatego rodu, który opierał swoją fortunę na bankach i operacjach na rynkach walutowych. Skóra jak matowy atlas. Rysy tak doskonałe, że gdyby je wykuć w kamieniu, rzeźbiarz zyskałby zachwyt tłumów i nieśmiertelność, jeśli nieśmiertelność liczy się w stuleciach i można ją znaleźć w muzeach. Jej oczy jak listki wierzby miały zieleń źródła i chłód letniej gęstwiny.

Dwa tygodnie temu, przy pierwszym spotkaniu, Noah Farrel od pierwszego wejrzenia poczuł niechęć do tej kobiety, dla samej zasady. Urodzona w bogactwie, pobłogosławiona wielką urodą, mogła się prześliznąć przez życie z ciepłym uśmiechem nawet na najmroźniejszym wicherze, kreśląc wdzięczne arabeski nad głowami skulonych, ginących na mrozie ludzi, dla których lód, tak wytrzymały pod jej stopami, stawał się kruchy i groźny.

Pod koniec pierwszego spotkania, zanim pani Sharmer opuściła gabinet, niechęć Noaha ustąpiła miejsca podziwowi. Ta kobieta nosiła swoją urodę z pokorą, a co budziło jeszcze większy szacunek, swój rodowód trzymała w ukryciu, nigdy go nie pokazując, choć wiele osób na jej miejscu by to zrobiło.

Miała czterdziestkę, była starsza od niego o siedem lat. Inna kobieta o jej urodzie obudziłaby w nim seksualne zainteresowanie – nawet gdyby była osiemdziesięcioletnią starowinką, a przy życiu utrzymywała ją makabryczna dieta z małych gruczołów. Jednak podczas trzeciego spotkania Noah traktował ją jak własną siostrę. Pragnął jej tylko bronić i zasłużyć na jej pochwałę.

Uspiała w nim cynizm, a jemu podobała się ta wewnętrzna cisza, której nie zaznał od wielu lat.

Pojawiła się w drzwiach prezydenckiego apartamentu, w którym na nią czekał, i podała mu rękę. Gdyby był młodszy i głupszy, pewnie by ją pocałował. Dziś wymienili tylko mocny uścisk dłoni.

W jej głosie nie dźwięczało bogactwo, pogarda ani arystokratyczny akcent, lecz spokojna pewność siebie i jakaś nieuchwytna melodia.

– Jak się pan miewa?

– Zastanawiam się, jak ta praca mogła mi sprawiać przyjemność.

Z pewnością jej awanturniczy aspekt może się wydawać pociągający. No i te zagadkowe sprawy. Zawsze lubiłam przygody Rexa Stouta.

– Tak, ale to mi nigdy nie wynagrodzi chwili, kiedy mam przekazać złe wieści.

Cofnął się od drzwi, by ją przepuścić.

Apartament prezydencki należał do niej; nie dlatego że go wynajęła, lecz ponieważ była właścicielką całego hotelu. Osobiście zajmowała się wszystkimi zawodowymi przedsięwzięciami. Gdyby mąż kazał ją śledzić, to spotkanie nie obudziłoby jego podejrzeń. – Czy zawsze przynosi pan złe wieści? – spytała, gdy zamknął za nią drzwi.

– Na tyle często, że tak się wydaje.

W samym salonie zmieściłaby się cała dwunastoosobowa rodzina z Trzeciego Świata, włącznie z nieruchomym dobytkiem i trzodą.

– Dlaczego nie zajmie się pan czym innym?



– Nie przyjmą mnie znowu do służby, a ja nie mam w mózgu funkcji reset. Jeśli nie mogę być policjantem, będę prawie policjantem, tak jak teraz, a jeśli kiedyś nie będę mógł robić i tego... wtedy...

Dokończyła za niego:

– Wtedy pieprzyć to wszystko.

Uśmiechnął się. Między innymi właśnie za to ją lubił. Klasa i styl bez pretensjonalności.

– Właśnie.

Salon był umeblowany nowocześnie. Miodowy regał z hebanowymi akcentami wyglądał jak zmodyfikowany obelisk – nie tak wdzięczny, jak prawdziwy, zbyt przysadzisty. Za otwartymi drzwiami widać było ekran telewizora.

Nie szukali krzeseł. Ten pokaz mieli obejrzeć na stojąco.

Noah zdążył już włożyć kasetę do magnetowidu. Teraz wcisnął guzik pilota.

Na ekranie: ulica dzielnicy Anaheim. Kamera umieszczona gdzieś bardzo wysoko, wycelowana w dom kochanki kongresmana.

– Bardzo ostry kąt – zauważyła pani Sharmer. – Gdzie pan był?

– To nie ja nakręciłem. Mój współpracownik siedział na strychu sąsiedniego domu. Jego właściciel zgodził się za pewną opłatą. Jest wyszczególniona na pani rachunku jako pozycja siódma.

Kamera zmieniła punkt widzenia i skierowała się jeszcze bardziej w dół, ukazując chevroleta Noaha: wysłużony, lecz ukochany rumak, wtedy wciąż gotów zerwać się do galopu, teraz zmieniony w części zamienne.

– To mój samochód – wyjaśnił Noah. – Siedzę za kierownicą.

Kamera przechyliła się, przejechała w prawo; z wieczornego mroku wyłonił się srebrny jaguar. Zatrzymał się przy domu kochanki, od strony pasażera wysiadł wysoki mężczyzna, a samochód pojechał dalej. Zbliżenie ujawniło, iż mężczyzną tym jest kongresman Jonathan Sharmer. Jego przystojny profil był jak stworzony do uwiecznienia na pomniku, choć kongresman zdążył już udowodnić czynem, że ani jego serce, ani dusza nie są równie atrakcyjne.

Arogancja unosiła się nad nim tak wyraźnie, jak aureola nad świętym. Stał na ulicy z uniesioną głową, jakby podziwiał bezmiar wieczornego nieba.

– Ponieważ panią sprawdza, od początku o mnie wiedział, ale nie wie, że ja wiem, że on wie. Jest pewien, że nie opuszczę tej dzielnicy z filmem w aparacie. Bawi się ze mną. Nie wie, że na strychu siedzi mój współpracownik.

Wreszcie kongresman podszedł do drzwi piętrowego domku w wiejskim stylu i zadzwonił.

Duże zbliżenie ukazało młodą brunetkę, która pojawiła się na progu. W szortach obcisłych jak druga skóra i topie bez ramion, napiętym tak, że gdyby pękł, pewnie by zabił najbliższą stojącą osobę, wyglądała jak wcielona pokusa.

– Nazywa się Karla Rhymes – raportował Noah. – Kiedy była tancerką, występowała jako Tiffany Pupcia.

– Zakładam, że nie tańczyła w balecie.

– Występowała w klubie „Planeta Cipuszka”.

Karla i polityk padli sobie w objęcia. Nawet w zmroku i cieniu ganku ich pocałunek trudno było pomylić z wyrazem platonicznego uczucia.

– Pani mąż wciągnął ją na listę płac swojej fundacji dobroczynnej.

– Kręgu Przyjaciół.

Nie wyglądali na przyjaciół. Prędzej na bliźnięta syjamskie, zrosnięte językami.

– Dostaje osiemdziesiąt sześć tysięcy rocznie.

Do tej pory nagranie było bezgłośnie. Kiedy pocałunek się skończył, rozległy się głosy: Jonathan Sharmer i jego finansowana z kasy dobroczynności towarzysząca wdali się w nieszczególnie romantyczną rozmowę.

– Ten skurwiel Farrel naprawdę tam jest?

– Nie patrz. Stary chevrolet po drugiej stronie ulicy.

– Zboczeniec. Nawet nie stać go na prawdziwy samochód.

– Moi chłopcy zrobią z niego złom. Lepiej, żeby miał przy sobie bilet na autobus.

– Na pewno wali konia, kiedy nas podgląda.

– Uwielbiam ten twój niewyparzony pyszczek. Karla zachichotała, powiedziała coś niezrozumiałego i wciągnęła Sharmera do domu. Zamknęła drzwi.

Constance Tavenall – z pewnością nie zamierzała zatrzymać nazwiska Sharmera – wpatrywała się w telewizor nieruchomym wzrokiem. Poślubiła kongresmana pięć lat temu, przed pierwszą z jego trzech wygranych kampanii politycznych. Tworząc Krąg Przyjaciół, wyrobił sobie markę człowieka o wielkim sercu i niekonwencjonalnym podejściu do problemów społecznych. Małżeństwo z nią dodało mu klasy i dostojności. Dla człowieka tak pozbawionego moralności taka żona była odpowiednikiem sygnetu rodowego; miała olśnić koneserów nie urodą, lecz nieskalaną reputacją, oddalającą od Sharmera niebezpieczeństwo poddania go szczegółowej kontroli.

Zważywszy na fakt, że Constance właśnie musiała sobie z tego zdać sprawę, jej opanowanie wydawało się niezwykle. Dosadne słowa nie wywołały rumieńca na jej twarzy. Jeśli rozpałiły w niej gniew, dobrze go ukryła. W jej oczach zalśnił jedynie ledwie uchwytny, lecz ogromny smutek.

– Z kamerą zsynchronizowany jest bardzo czuły mikrofon kierunkowy – wyjaśnił Noah. – Dodaliśmy ścieżkę dźwiękową tylko tam, gdzie padały jakieś istotne informacje.

– Striptizerka. Co za banał. – Nawet w chwili smutku znalazła ziarno ironii, źródła wszystkich ludzkich związków. – Jonathan chce uchodzić za człowieka wyrafinowanego, lecz nowoczesnego. Dziennikarze widzą w nim własne odbicie. Przebaczą mu wszystko, nawet morderstwo, ale za coś takiego rozerwą go na strzępy, bo ten banał ich kompromituje.

Głosy umilkły, a autorzy filmu za pomocą techniki przenikania przenieśli widza z wieczornej ulicy na tę samą ulicę, pogrążoną w głębokich ciemnościach.

– Dysponujemy kamerą i taśmą o wyjątkowej czułości, dzięki której uzyskujemy wyraźny obraz przy minimum światła.

Noah prawie się spodziewał, że usłyszy złowrogą muzykę, budującą napięcie do chwili napaści na jego chevroleta. Od czasu do czasu Bobby Zoon nie potrafił się oprzeć i stosował techniki, jakich nauczyli go w szkole filmowej.

Za pierwszym razem przedstawił ładnie sfotografowany i sprawnie zmontowany dziesięciominutowy filmik, ukazujący informatyka wymieniającego dyskiety z najcenniejszymi tajemnicami handlowymi swojego pracodawcy na walizkę gotówki. Taśma rozpoczęła się czołówką z napisem „Film Roberta Zoon”. Bobby był załamany, gdy Noah kazał mu ją usunąć.

Tutaj jednak Bobby nie uchwycił nadejścia chłopaków kongresmana. Skupił się na domu Karli, na oświetlonym oknie sypialni na piętrze, gdzie spomiędzy zasłon przezierał widok godny pierwszej strony najobleśniejszego brukowca.

Raptem kamera przechyliła się w dół, zbyt późno, by ukazać rozbicie przedniej szyby. Za to uwieczniła zagładę bocznego okna, ucieczkę Noaha oraz radosną działalność dwóch jaskrawo odzianych

byczków, którzy najwyraźniej nie nauczyli się niczego z porannych kreskówek, jedyne źródła moralnej edukacji.

– Nie wątpię – odezwał się Noah – że niegdyś byli dziećmi ulicy, uratowanymi od zguby przez Krąg Przyjaciół. Spodziewałem się, że dostanę ostrzeżenie, ale myślałem, że będą o wiele bardziej dyskretni.

– Jonathan lubi igrać z losem. Ryzyko go podnieca.

Jakby na potwierdzenie jej słów kamera znów skierowała się na łagodnie oświetlone okno sypialni. Zasłony zostały rozgarnięte na boki. W oknie stanęła Karla Rhymes, jak na wystawie: naga do pasa. Równie nagi Jonathan Sharmer stanął za nią, opierając ręce na jej obnażonych ramionach.

Znowu powróciły dźwięki. Przez łomoty i trzaski kierunkowy mikrofon wychwycił śmiech i dużą część rozmowy Karli i kongresmana, podziwiających spektakl na ulicy.

Widok zniszczeń ich podniecił. Ręce Jonathana ześliznęły się z ramion Karli na jej piersi. Wkrótce potem wszedł w nią od tyłu.

Niedawno kongresman z podziwem wyraził się o „niewyparzonej pyszczku” Karli. Teraz udowodnił, że sam także ma się czym pochwalić. Z jego ust popłynął potok plugawych słów, które Karle przejmowały dreszczem podniecenia.

Noah zatrzymał taśmę.

– Dalej jest tak samo.

Wyjął kasetę z magnetowidu, włożył ją do reklamówki.

– Daję pani jeszcze dwie kopie plus kasety z surowym, niezmontowanym materiałem. Sam także zatrzymam kopie, na wypadek gdyby pani straciła swoje.

– Nie boję się go.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Dom Karli został kupiony za pieniądze Kręgu Przyjaciół. Pół miliona zakamuflowane jako stypendium naukowe. Tytuł własności należy do jej towarzystwa dobroczynnego.

– Jacy to dobrzy ludzie. – W głosie Constance Tavenall brzmiał sarkazm, ale – co dziwne – nie gorycz.

– Nie tylko przeznaczili fundusze organizacji na cele osobiste. Krąg Przyjaciół otrzymuje dotacje rządowe warte miliony dolarów, więc w grę wchodzi pogwałcenie licznych paragrafów.

– Ma pan na to dowody? Skinął głową.

– Wszystko jest w tej reklamówce. – Zawahał się, ale uznał, że wyjątkowa siła tej kobiety jest równie wielka, jak wielka jest słabość kongresmana. Constance Tavenall nie potrzebowała litości. – Karla Rhymes nie jest jego jedyną kochanką. Ma jedną w Nowym Jorku, jedną w Waszyngtonie. Ich domy także zostały zakupione z funduszy Kręgu Przyjaciół.

– To wszystko jest w tej reklamówce? Więc zniszczył go pan zupełnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nie docenił pana. A ja przyznaję z żalem, że także nie oceniłam pana szczególnie wysoko.

Podczas pierwszego spotkania zaznaczyła, że wolałaby skorzystać z usług dużej agencji detektywistycznej albo firmy o zasięgu na cały kraj. Jednak podejrzewała, że wszystkie one od czasu do czasu prowadzą interesy z poszczególnymi politykami i całym partiami politycznymi. Martwiła się, że któraś z nich może utrzymywać kontakty z jej mężem lub jego przyjaciółmi z Kongresu i że uznaje za bardziej opłacalne.

– Nie ma sprawy – odparł Noah. – Nikt normalny nie powinien ufać facetowi, który mieszka we własnym biurze, zwłaszcza że to biuro mieści się nad gabinetem wróżki.

Usiadła przy biurku, otworzyła małą torebkę, wyjęła z niej książeczkę czekową.

– Więc dlaczego się pan nie przeprowadzi? Dlaczego nie rozbuduje pan swojej agencji?

– Widziała pani kiedyś dobry występ psów?

Jej klasyczne rysy ożywione zdziwieniem nabrały chochlikowatego uroku.

– Słucham?

– W dzieciństwie widziałem fantastyczny występ psów. Golden retriever wyprawiał niesamowite sztuczki. Kiedy się przekonałem, jakim potencjałem dysponują psy, jakie potrafią być inteligentne, zacząłem się zastanawiać, dlaczego zadowolają się bieganiem po ulicach i psimi wygłupami. Dziwne, że dziecko zastanawia się nad takimi sprawami. Dwadzieścia lat później obejrzałem inny psi występ i zdałem sobie sprawę, że w tym czasie życie pomogło mi znaleźć rozwiązanie tej zagadki. Psy mają talent... ale brak im ambicji.

Jej zdziwienie ustąpiło miejsca bolesnemu zrozumieniu. Zrozumiała jego aluzję wraz z podtekstem, rozumiała więcej, niż chciał wyjawić.

– Pan nie jest psem.

– Może nie jestem – odparł, choć słowo „może” wymknęło się mu podświadomie – ale ambicji mam tyle samo co stary basset w upalne letnie popołudnie.

– Upiera się pan przy braku ambicji, ale należy się panu nagroda za talent. Czy mogę spojrzeć na ten rachunek, o którym pan wspomniał?

Wyjął go z reklamówki wraz z woreczkiem pełnym studolarówek.

– Co to? – spytała.

– Zapłata od pani męża, dziesięć tysięcy dolarów, przekazana przez jego oprycha.

– Zapłata za co?

– Częściowo za samochód, ale głównie za to, że panią zdradzę. Do kaset wideo załączyłem poświadczony notarialnie szczegółowe zeznanie na temat spotkania z człowiekiem, który dał mi pieniądze.

– Mam już wszystko, żeby zniszczyć Jonathana. Proszę zatrzymać tę łapówkę jako premię. Jest w tym pewna sympatyczna ironia.

– Nie byłoby mi lekko z tymi pieniędzmi w kieszeni. Zadowolę się honorarium.

Jej pióro znieruchomiało na wygięciu litery L w „Farrel”. Kiedy podniosła głowę, jej uśmiech miał tę samą subtelną siłę wyrazu co arabeska w wykonaniu mistrza powściągliwej kaligrafii.

– Jeszcze nigdy nie spotkałam basseta o tak silnych zasadach moralnych.

– Hm, może podbiłem cenę za to, że nie zatrzymałem tych dziesięciu tysięcy – odparł, choć nie zrobił nic podobnego i wiedział, że Constance Tavenall nie uwierzy ani przez chwilę w jego nieuczciwość. Zdumiało go i przstraszyło, że nie potrafił wdzięcznie przyjąć jej komplementu. Zastanowił się – choć bez wielkiego nacisku – dlaczego poczuł się zobowiązany do oczernienia samego siebie.

Znowu zajęła się czekiem, kręcąc głową z lekkim rozbawieniem.

Jej zachowanie i tajemniczy uśmiech sugerowały, że rozumiała go lepiej niż on siebie. To podejrzenie nie natchnęło go do dalszych rozważań. Dla odwrócenia własnej uwagi zajął się telewizorem i szafką.

W końcu Constance Tavenall opuściła apartament prezydencki, niosąc w reklamówce zagładę kongresmana. Brzemie zdrady męża nie przygarbiło jej smukłych pleców ani na milimetr. Przybyła jak sylfida, a teraz gdy zbliżyła się do zakrętu korytarza i zniknęła w windzie, droga, którą przeszła, wydawała się naładowana jakąś nadnaturalną energią, jakby po wizycie ducha.

Za oknami przygaszał czerwony, a potem fioletowy zachód słońca; Noah został w trzypokojowym apartamencie. Chodził po pokojach, wyglądał z licznych okien na miliony światełek, rozkwitających na wzgórzach i dolinach, migotliwy elektryczny ogród. Niektórzy kochają to miasto, jakby było rajem na ziemi, ale wszystko tu było gorsze niż w edenie. Wszystko, z wyjątkiem jednego: jeśli węże można uważać za atrakcję, w tym mieście czaił się niejeden, lecz całe ich kłębowisko, doskonale wykształcone w sztuce podstępu.

Został w apartamencie tak długo, by Constance Tavenall miała czas opuścić hotel. Jeśli na zewnątrz kryły się oprychy kongresmana, Noah nie chciał się z nimi spotkać.

Zostałby tu dłużej, gdyby nie był umówiony. Godziny odwiedzin w Przystani dla Samotnych i Zapomnianych wkrótce miały się skończyć, a na niego czekał okaleczony anioł.

Tak więc jej brat był na Marsie, matka jechała na prochach, a ojczym morderca przebywał na wolności. Ekscentryczne opowieści Leilani byłyby całkiem na miejscu jako temat rozmów przy obiedzie w domu wariatów. Choć jednak życie w Casa Geneva czasami bywało zwariowane, a niemiłosierny sierpniowy upał mógł doprowadzić do szaleństwa, Micky uznała, że byłby to nowy poziom pomieszenia zmysłów – w tej przyczepie poprzeczka z pewnością była ustawiona bardzo wysoko.

– Więc kogo zabił twój ojczym? – spytała, mimo wszystko przystępując do dziwnej gry Leilani – chociażby dlatego, że był to temat radośniejszy niż żalosne poszukiwanie pracy.

– Tak, kochanie, kogo skasował? – spytała ciocia Gen z ożywieniem. Być może niemożność oddzielenia prawdziwego życia od kinowych fantazji sprawiła, że hitchcokowsko-spielbergowska historia dziewczynki nie obudziła w niej aż takiego sceptycyzmu.

– Cztery staruszki – odparła Leilani bez namysłu – trzech staruszków, trzydziestoletnią matkę dwojga dzieci, bogatego właściciela klubu dla gejów, siedemnastoletniego futbolistę z Iowa i sześciolatniego chłopca na wózku inwalidzkim, dość niedaleko stąd, w Tustin.

Rzeczowość odpowiedzi była niepokojąca. Słowa Leilani otworzyły jakąś klapkę w mózgu Micky.

Wczoraj, kiedy skarciła dziewczynkę za opowiadanie niestworzonych historii o matce, Leilani odpowiedziała: „Nie zmyśliłabym czegoś aż tak dziwnego”. Ale ojczym, który zamordował jedenaście osób? Który zabił kilka starszych pań? I chłopca na wózku inwalidzkim?

Instynktownie czuła, że w słowach dziewczynki dźwięczy szczerą prawdą, choć rozsądek upierał się, że to musi być kłamstwo.

– Jeśli zabił aż tyle osób – odezwała się – dlaczego ciągle jest na wolności?

– Aż dziwne, co? – zgodziła się dziewczynka.

– To bardziej niż dziwne. To niemożliwe.

– Doktor Zagłada twierdzi, że żyjemy w kulturze śmierci, więc ludzie tacy jak on są uważani za nowych bohaterów.

– Co to znaczy?

– Nie tłumaczę słów doktora. Tylko go cytuję.

– Robi wrażenie absolutnie okropnego człowieka – powiedziała ciocia Gen, jakby Leilani nie oskarżyła Maddoca o nic brzydszego niż nawykowe puszczenie wiatrów i obrażanie zakonnicek.

– Na twoim miejscu nie zapraszałabym go na obiad. Nawiasem mówiąc, on nie wie, że tu jestem. Nie pozwoliliby mi przyjść. Ale dziś go nie ma.

– Wolałabym zaprosić na kolację szatana – odparła Geneva. – Ty jesteś tu zawsze mile widziana, ale on niech zostanie po swojej stronie płotu.

– Zostanie. Nie przepada za ludźmi, chyba że są martwi. Raczej nie będzie z wami gawędził. Ale jeśli na niego wpadniecie, nie mówcie do niego „Preston” ani „Maddoc”. Teraz wygląda trochę inaczej i występuje jako Jordan – mów mi Jorry – Banks. Jeśli wymienicie jego prawdziwe nazwisko, zorientuje się, że go wsypałam.

– Nie będę z nim rozmawiać – zapowiedziała Geneva. – Po tym, co tu usłyszałam, prędzej go uderzę, niż na niego spojrzę.

Leilani zmieniła temat, zanim Micky zdążyła wyciągnąć z niej więcej szczegółów.

– Pani D., czy gliniarze złapali tego faceta, który obrabował pani sklep?

– Policja była bezsilna, kochanie – wyjaśniła Geneva, przeżuując ostatni kęs kanapki z kurczakiem.

– Musiałam sama go dopaść.

– Co za radykalne posunięcie! – W gęstniejącym cieniu, który okrył kuchnię, lecz jej nie ochłodził, twarz Leilani rozbłysła ożywieniem. Pomimo wybitnie wysokiego IQ, ulicznej mądrości i doskonale wyćwiczonego cwaniackiego podejścia do życia, dziewczynka zachowała nieco dziecinnej naiwności. – Ale jak się to pani udało, skoro gliny były bezradne?

Micky zapaliła trzy świece na środku stołu.

– Policjyni wywiadowcy nie mogą się równać ze skrzywdzoną kobietą, jeśli jest zdeterminowana, odważna i twarda.

– Odwagi ci odmówić nie sposób – odezwała się Micky, gdy druga świeca przejęła płomień zapalki – ale podejrzewam, że myślisz o Ashley Judd, Sharon Stone albo Pam Grier.

Geneva pochylała się nad stołem i szepnęła z przejęciem do Leilani:

– Zdybałam drania w Nowym Orleanie.

– Nigdy nie byłaś w Nowym Orleanie – przypomniała jej Micky łagodnie.

– Więc może w Las Vegas – mruknęła Geneva, marszcząc brwi.

Zapaliwszy trzecią świeczkę tą samą zapalką, Micky zgasiła ją, zanim płomień sparzył jej palce.

– To nie jest prawdziwe wspomnienie, ciociu. To znowu film. – Naprawdę? – Geneva ciągle pochylała się nad stołem. Powolne, asynchroniczne migotanie świec rzucało chwiejny blask na jej twarz, rozjaśniało oczy, ale nie mogło rozproszyć cienia zmieszania. – Ale, kochanie, pamiętam to tak wyraźnie... tę cudowną satysfakcję, kiedy go zastrzeliłam...

– Nie masz broni.

– Zgadza się. Nie mam broni. – Nagły uśmiech Genevy miał więcej blasku niż świece. – Tak, rzeczywiście, teraz mi się wydaje, że ten mężczyzna z Nowego Orleanu to Alec Baldwin.

– A Alec Baldwin – zapewniła Micky dziewczynkę – nie napadł na sklep cioci Genevy.

– Choć jego nie dopuściłabym do otwartej kasy – dodała Geneva, wstając. – Alec Baldwin jest bardziej przekonujący jako czarny charakter niż pozytywny bohater.

Leilani twardo wróciła do pierwotnego pytania.

– Więc ten mężczyzna, który zabił pana D... czy go złapali?

– Nie – odparła Micky. – Policja nie znalazła żadnego śladu od osiemnastu lat.

– A to draństwo.

Geneva stanęła za dziewczynką i położyła dłonie na jej szczupłych ramionach.

– Nie szkodzi, kochanie – powiedziała pogodnie, bez śladu goryczy. – Jeśli człowiek, który zastrzelił mojego Vernona, jeszcze nie smaży się w piekle, to już niebawem go to czeka.

– Nie wiem, czy piekło istnieje – mruknęła dziewczynka z powagą kogoś, kto poświęcił tej sprawie wiele bezsennych godzin.

– Ależ oczywiście, że istnieje, skarbie. Jak wyglądałby świat, gdybyśmy nie mieli toalet?

Leilani, zdziwiona pytaniem, spojrzała pytająco na Micky. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Życie wieczne bez piekła – wyjaśniła ciotka – byłoby zatrute i nieznośne tak samo, jak świat bez toalet. – Pocałowała dziewczynkę w głowę. – A teraz sama udam się na małe posiedzenie.

Geneva wyszła z kuchni i zniknęła w małym mrocznym korytarzyku. Leilani i Micky spojrzały na siebie. Sekundy ciągnęły się leniwie w sierpniowym upale, a Micky i Leilani siedziały, równie milczące, jak potrójny płomień między nimi. Micky odezwała się pierwsza.

– Jeśli chcesz tu uchodzić za ekscentryczkę, sama widzisz, że poprzeczka jest ustawiona wysoko.

– Konkurencja jest silna – przyznała Leilani.

– Więc twój ojciec jest mordercą.

– Mogło być gorzej – zauważyła dziewczynka z wyrachowanym cynizmem. – Mógłby się wieśniacko ubierać. Przeciętny adwokat znajdzie usprawiedliwienie dla dosłownie każdego morderstwa, ale dla tandeciarzy nie ma litości.

– Więc dobrze się ubiera?

– Ma specyficzny styl. Przynajmniej nie wstyd się z nim pokazać.

– Choć zabija starsze panie i chłopców na wózkach inwalidzkich?

– Na razie tylko jednego.

Za oknem na zranionym niebie rozlała się struga czerwieni.

Micky wstała, żeby pozbierać talerze. Leilani odsunęła krzesło od stołu.

– Spokojnie. – Micky włączyła żarówkę nad zlewem. – Poradzę sobie.

– Nie jestem kaleką.

– Nie bądź taka drażliwa. W końcu jesteś gościem, a my nie każemy gościom płacić za kolację ani jej odpracowywać.

Dziewczynka wstała, jakby jej nie słyszała, wzięła rolkę folii i zaczęła owijać nią wypełnione do połowy półmiski.

Micky opłukała talerze i sztucce i zostawiła je w zlewem na później.

– Nasuwa mi się wniosek, że wszystkie te opowieści o ojczymie mordercy to tylko owoc bujnej wyobraźni i próba dodania mrocznego uroku pannie Leilani Klonek, olśniewającemu ekscentrycznemu mutantowi.

– Taki wniosek byłby błędny.

– Parę bzdurek...

– Żyję w strefie bezbzdurkowej.

– ...być może są to bzdurki o ukrytym, poważniejszym znaczeniu – zasugerowała Micky.

Leilani wstawiła sałatkę ziemniaczaną do lodówki.

– Co, myślisz, że mówię zagadkami?

Micky zdążyła już wypracować niepokojącą teorię na temat niestworzonych opowieści o Sinsemilli i doktorze Zagładzie. Gdyby wyraziła ją wprost, Leilani mogłaby się jeszcze bardziej wycofać. Z przyczyn, których na razie nie zdążyła zanalizować, chciała zapewnić dziewczynce wszelką potrzebną pomoc, jeśli rzeczywiście była ona potrzebna.

Micky wróciła do sprzątania naczyń, starając się unikać kontaktu wzrokowego, żeby dziewczynka nie odniosła wrażenia, że jest przesłuchiwana.

– Właściwie nie chodzi o zagadki. Czasami zdarzają się nam sprawy, o których nie możemy swobodnie mówić, więc mówimy nie wprost.

Leilani włożyła do lodówki sałatkę z makaronem.

– Tak sobie radzisz? – spytała. – Mówisz nie wprost o tym, o czym naprawdę byś wolała porozmawiać? A ja mam odgadnąć, co to jest?

– Nie, nie. – Micky się zawahała. – A właściwie tak. Ja tak robię. Ale myślałam, że opowiadając o tym, jak to doktor Zagłada morduje chłopców na wózkach inwalidzkich, usiłujesz mi dać coś do zrozumienia.

Kątem oka widziała, że dziewczynka znieruchomiała i spojrzała na nią.

– Michelino Bellsong, potrzebuję pomocy. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Jak ci się wydaje, o czym to usiłuję ci powiedzieć nie wprost?



– Nie mam pojęcia – skłamała Micky. – Powiesz mi, kiedy będziesz gotowa.

– Jak długo mieszkasz z panią D.?

– O co ci chodzi? Tydzień.

– Jeden tydzień, a już stałaś się mistrzynią strasznie pokręconej rozmowy. Chciałabym usłyszeć waszą rozmowę, kiedy nie ma mnie w pobliżu, żeby narzucić wam trochę zdrowego rozsądku.

– Narzucić, ty? – Micky opłukała ostatni talerz. – Kiedy ostatnio naprawdę jadłaś tofu z brzoskwiniami na kielkach fasoli?

– Nigdy. Sinsemilla przygotowała to świństwo ostatnio w poniedziałek. No dobra, powiedz, jak ci się zdaje, o czym nie mówię wprost? Sama poruszyłaś ten temat, więc musisz coś podejrzewać.

Micky pomyślała, że jej amatorska próba podejścia psychologicznego okazała się tak samo pomyslna, jak drobny amatorski wybuch jądrowy albo operacja na mózgu przy użyciu kuchennych utensyliów.

Wytała ręce i odwróciła się do dziewczynki. – Nic nie podejrzewam. Powiedziałam tylko, że jeśli chcesz mi coś powiedzieć wprost, jestem przy tobie.

– O Jezu. – Iskierka w oczach Leilani mogła oznaczać coś innego niż rozbawienie, ale w jej głosie wyraźnie dźwięczał śmiech. – Myślisz, że zmyślam o doktorze Zagładzie, bo zbyt się boję albo wstydę powiedzieć, co naprawdę robi, i podejrzewasz, że chodzi o jakieś obleśne świństwa.

Być może dziewczynka była szczerze zdumiona wizją Prestona Maddoca molestującego dziecko, ale niewykluczone, że tylko udawała rozbawienie, by ukryć zażenowanie.

Tylko jedno jest gorsze od amatora usiłującego zastosować techniki psychologiczne: amator usiłujący zinterpretować reakcję pacjenta. Gdyby naprawdę chodziło o igranie z reaktorem atomowym, Micky byłaby już zredukowana do chmurki pyłu radioaktywnego.

Tym razem postawiła na bezpośredniość, której dotąd próbowała uniknąć.

– A chodzi? – spytała.

Leilani wzięła drugą puszkę budweisera.

– To pytanie jest absurdalne przynajmniej z miliona powodów.

– Podaj choćby jeden.

– Preston Klaudiusz Maddoc jest istotą w stu procentach aseksualną.

– Coś takiego nie istnieje.

– A ameba?

Micky rozumiała już tę niezwykłą dziewczynkę na tyle dobrze, by wiedzieć, iż kryje ona wiele tajemnic, które wyjawia tylko komuś, kto zyska jej zupełne zaufanie, i że to zaufanie można zdobyć tylko w jeden sposób – okazując jej szacunek i akceptując barwne fantazje, w tym także barokowe rozmowy.

– Nie wiem, czy ameby są aseksualne – powiedziała, włączając się do gry.

– Dobra, w takim razie pantofelek.

– Nawet nie wiem co to.

– Rany, nie chodziłaś do szkoły?

– Chodziłam, ale się nie uczyłam. Poza tym w podstawówce nie uczą o amebach ani pantofelkach.

– Nie chodzę do podstawówki – odparła Leilani, wylewając ciepłe piwo do zlewu. – Jesteśmy cyganami dwudziestego pierwszego wieku. Szukamy drogi do nieba, nigdzie nie zatrzymujemy się na tyle długo, żeby zapuścić choć jeden korzonek. Uczę się w domu. Obecnie przerabiam materiał z czwartej liceum. – Piwo zapieniło się w zlewie; wokół rozszedł się mocny zapach, który natychmiast przytłumił słaby zapach rozgrzanego wosku świec. – Moim nauczycielem jest doktor Zagłada, na papierze, ale tak

naprawdę uczyć się sama. Czyli jestem samoukiem, ponadto bardzo dobrym, bo sama daję sobie kopa, jeśli nie odrobię lekcji, co jest niezłym widokiem, zwłaszcza jeśli się nosi klamrę na nodze. – I jakby dla demonstracji, jaka potrafi być twarda, zgmiotła pustą puszkę w zdrowej ręce. – Doktor Zagłada był pewnie niezły, kiedy wykładał na uniwersytecie, ale teraz nie mogę liczyć, że mnie wykształci, bo trudno się skoncentrować, kiedy nauczyciel wkłada ci rękę pod spódnicę.

Tym razem Micky nie dała się sprowokować.

– To nie było śmieszne.

Leilani spojrzała na puszkę w drobnej piątce, częściowo zgniecioną, unikając kontaktu wzrokowego z Micky.

– No dobrze – przyznała. – To nie było śmieszne jak dobry kawał o blondynce, bo lubię takie kawały, chociaż sama jestem blondynką, no i oczywiście nie mogło się równać z czymś tak szalenie zabawnym, jak wiarygodna plastikowa kałuża wymiocin, poza tym nie ma szansy, żebym mówiła tak lekko o tym, że jestem molestowana. – Otworzyła szafkę pod zlewem i wrzuciła puszkę do kosza. – Ale prawda wygląda tak, że doktor Zagłada nie dotknąłby mnie nawet wówczas, gdyby był zboczony akurat w tym kierunku, bo on się nade mną lituje. Mniej więcej tak, jak nad psem rozjechanym przez samochód, ale jeszcze żywym. Moje zdeformowane ciało przejmuje go takim obrzydzeniem, że gdyby odważył się pocałować mnie w policzek, pewnie by się zarzygał na śmierć.

Dziewczynka mówiła szyderczym tonem, ale jej słowa cięły jak jadowite żądła. Dźwięczała w nich prawda.

Serce Micky ścisnęło się ze współczucia, ale nie przyszło jej do głowy nic, co nie zabrzmiałoby okropnie.

Leilani wypełniła chwilę milczenia strumieniem słów; mówiła jeszcze szybciej niż zwykle, jakby najkrótsza pauza miała na zawsze odebrać jej głos, jej jedyną obronę.

– Jeśli sobie przypominam, stary Preston dotknął mnie tylko dwa razy, i nie mam na myśli takiego dotykania, za które można wylądować w pudle. Zwyczajnie mnie dotknął, nie obleśnie. Za każdym razem biedaczek robił się biały jak papier, wyglądał jak żywy trup, choć muszę przyznać, że cuchnął bardziej niż przeciętne zwłoki.

– Przestań – szepnęła Micky z niepokojem, bo słowa dziewczynki robiły się coraz brutalniejsze. – Przestań – dodała jeszcze ciszej.

Leilani wreszcie spojrzała jej w oczy. Wyraz jej ślicznej buzi był nieprzenikniony, wolny od wszelkich emocjonalnych napięć jak najspokojniejszy wizerunek Buddy.

Być może sądziła mylnie, że wszystkie tajemnice malują się na jej twarzy, a może ujrzała w oczach Micky więcej, niż chciała zobaczyć. Wyłączyła żarówkę nad zlewem. W pomieszczeniu znowu zapadł mrok, rozpraszany tylko subtelnym blaskiem świec.

– Niczego nie bierzesz serio? – spytała Micky. – Zawsze kpisz?

– Wszystko biorę serio. Ale zawsze śmieję się do siebie.

– Z czego?

– Nigdy się nie zatrzymałaś i nie rozejrzałaś wokół? Z życia. To jedna długa komedia.

Stały o trzy kroki od siebie, twarzą w twarz, i mimo najlepszych chęci Micky w ich rozmowie pojawiła się nuta wyzwania.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Och, Micky B., rozumiesz. Jesteś tak samo mądra jak ja. W twojej głowie dzieje się zbyt dużo, tak jak w mojej. Ukrywasz to, ale ja to widzę.

– Wiesz, co myślę?

– Wiem co i dlaczego. Myślisz, że doktor Zagłada obmacuje małe dziewczynki, bo życie cię tego nauczyło. Bardzo mi przykro, Micky B., z powodu wszystkiego, przez co musiałaś przejść.

Głos dziewczynki cichł coraz bardziej, ale jej szept uderzył w serce Micky jak taran, otworzył drzwi, które od dawna były zamknięte na zamki i zasuwę. Za nimi kryły się gwałtowne uczucia, tak silne, że samo spojrzenie na nie po tak długim czasie udawania, że ich nie ma, zaparło jej dech w piersiach.

– Powiedziałaś, że stary Preston jest mordercą, nie obmacywaczem – ciągnęła Leilani – ale ty tego nie możesz pojąć. Wiem dlaczego. Nie szkodzi.

Zatrzasnąc drzwi. Zamknąc zamki, zasunąć zasuwę. Zanim Leilani znowu się odezwała, Micky odsunęła się od tych niechcianych wspomnień, odzyskała oddech i głos. – Nie to chciałam powiedzieć. Myślę, że boisz się przestać śmiać...

– Jak cholera – zgodziła się Leilani.

Micky, nie spodziewając się tak szybkiego zwycięstwa, z rozpędu poszła dalej:

– Bo gdybyś... bo jeśli...

– Znam wszystkie „bo”. Niema potrzeby ich wymieniać.

Gdzieś w trakcie ich dwudniowej znajomości Micky znalazła się na obcym terytorium, jak rzucona przez trąbę powietrzną. Podróżowała przez kraj luster, z początku nierealnych jak w beczce śmiechu, a jednak nieustannie pokazujących jej odbicie tak okrutnie wierne we wszystkich szczegółach i sięgające tak głęboko, że odwracała się od nich ze wzburzeniem, gniewem lub strachem. Dziewczynka ze stalowym rusztowaniem, zadziorna i wyzywająca, wydała się jej kłamczuchą, której barwne fantazje mogłyby rywalizować z marzeniami Dorotki o krainie Oz. Jednak na tej drodze nie było nawet śladu po żółtych ceglach, a teraz, w małej kuchni, wypełnionej kwaśnym odorem piwa i oświetlonej trzema słabymi płomykami świec, które z trudem walczyły ze złowrogim mrokiem, teraz gdy z głębi przyczepy dobiegł nagły szum toalety, Micky pojęła nagle straszną prawdę: Leilani zawsze stała twardo na ziemi.

– Wszystko, co ci powiedziałam, jest prawdą – odezwała się dziewczynka, jakby czytała w jej myślach.

Na dworze rozległ się krzyk.

Micky spojrzała na otwarte okno, za którym ostatnie mętne smugi zachodzącego słońca przeszywały purpurowymi promieniami czerń nadchodzącej nocy.

Znowu krzyk, tym razem dłuższy, bolesny, pełen strachu i rozpacz.

Stara Sinsemilla – powiedziała Leilani.

Umknąwszy niebezpieczeństwu nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny temu, z płonącym domem i makabrycznymi wrzaskami ciągle żywymi w pamięci, osierocony chłopiec siedzi spokojnie za kierownicą nowego forda explorera, a obok niego, na miejscu dla pasażera, tkwi czujnie łąciaty pies. Z radia płynie muzyka country – w tej chwili „Upiorni jeźdźcy na niebie” – a oni mkną przez pograżony w nocnych ciemnościach stan Utah, metr nad autostradą. Czasami przez boczne okna – w zależności od terenu – ukazuje się rozgwieżdżone niebo, tuż nad horyzontem, ale powyżej jest już tylko czarna czeluść, przez którą z pewnością galopują upiorni jeźdźcy. Przez przednią szybę widać tylko drugiego, pustego forda explorera, plus podwozie pojazdów na górnej platformie dwupoziomowej przyczepy do przewozu samochodów.

Późnym popołudniem przesiedli się na nią na ogromnym parkingu w pobliżu Provo, kiedy kierowca siedział jeszcze nad kawałkiem placka w knajpie. Drzwi jednego forda otworzyły się przed chłopcem, który pospiesznie wśliznął się do środka.

Pies nadal zachowywał się juk urodzony konspirator; tulił się cicho do swojego pana, przyczajony na podłodze, aż posilony plackiem kierowca wrócił i znowu ruszyli w drogę. Do zachodu słońca nie wyglądali przez okna, żeby nie zauważyli ich kierowcy innych pojazdów.

Za część sumy, zabranej z domu Hammondów, kupił w zajeździe dla kierowców dwa cheeseburgery. Kiedy tylko ruszyli, zjadł jednego, a drugim nakarmił kundla.

Z małą torebką chipsów nie jest aż tak hojny. Są chrupiące i tak pyszne, że zjada je, pojękując z rozkoszy.

Pies najwyraźniej po raz pierwszy spotyka się z tak egzotycznym smakołykiem. Pierwszego chipsa obraca na języku, jakby zaskoczony jego fakturą lub smakiem. Nieufnie próbuje, czy jest jadalny, po czym miażdży go gwałtownymi kłapięciami szczęk. W taki sam sposób traktuje trzy następne wyżebrane okruchy.

Chłopiec pije wodę z butelki, ale ta sztuka okazuje się zbyt trudna dla psa; parę prób kończy się niepowodzeniem oraz zmoczeniem sierści i tapicerki. Pomiędzy siedzeniami znajdują się zagłębienia na kubki; chłopiec nalewa do jednego wody i tym razem jego towarzyszowi udaje się ją wychłęptać.

Od czasu gdy wyruszyli z gór Kolorado, podróżują tam, gdzie rzuci ich los. Włóczęga bez celu, lecz nie beztroska.

Zabójcy zostali wyjątkowo dobrze wyszkoleni w ściganiu ofiar, zarówno dzięki naturalnym zdolnościom, jak i elektronicznemu wsparciu, a są tak podstępni i skuteczni, że w końcu wpadną na trop chłopca, choćby uciekał nie wiadomo jak szybko. Wprawdzie odległość nie zmyli prześladowców, czas jednak działa na jego korzyść. Im dłużej unika pogoni, tym słabszy staje się ślad – przynajmniej chciałby w to wierzyć. Z każdą godziną życia coraz bardziej zbliża się do wolności, każdy nowy wschód słońca odrobinę umniejsza jego strach.

Teraz, w pograżonym w mroku Utah, siedzi dzielnie w fordzie i śpiewa chwytliwą piosenkę z radia. Słyszy ją po raz pierwszy w życiu, ale już nauczył się powtarzającego się refrenu i niektórych wersów zwrotek. Upiorni jeźdźcy na niebie. Czy naprawdę istnieją?

Międzystanowa autostrada 15, którą mkną na południowy zachód, nie jest całkiem pusta nawet o tej godzinie, ale też nie ma na niej tłoku. Za szerokim pasem zieleni, przedzielającym autostradę na pół, samochody pędzą w kierunku północno-wschodnim, do Salt Lake City, jakby pchane jakąś gniewną energią, jak rycerze galopujący w turnieju, przesywający pustynną ciemność lancami światła. Wśród

pojazdów jadących najbliżej pasa zieleni znajdują się autobusy i, od czasu do czasu, wielkie ciężarówki.

Zasilane przez akumulator radio lśni zielonym blaskiem, zbyt słabym, żeby oświetlić chłopca albo przyciągnąć uwagę kierowców, pędzących setką lub nawet szybciej. Chłopiec nie martwi się, że zostanie zauważony, boi się tylko, że akumulator w końcu się wyczerpie i muzyka umilknie.

W ciemnym samochodzie jest przytulnie, zapach nowej skóry i mokrej, powoli schnącej psiej sierści działa kojąco. Chłopiec nie zwraca uwagi na mijające go pojazdy. Rejestruje je brzeżkiem świadomości, ponieważ mijają go z rykiem silników i podmuchem powietrza.

Po „Upiornych jeźdźcach na niebie” następuje „Chłodna woda”, piosenka o spragnionym kowboju, przemierzającym konno rozpalone piaski pustyni. Po „Chłodnej wodzie” bluzga strumień reklam i nie ma już przy czym śpiewać.

Chłopiec wygląda przez okno i zauważa mijający ich znajomy pojazd; pędzi szybciej niż wtedy, gdy chłopiec i jego pies kulili się pomiędzy końskimi derkami i siodłami. Na białej szoferce reflektory. Przyczepa przykryta czarnym brezentem. Ciężarówka wygląda tak samo jak ta, która niespełna dwadzieścia cztery godziny temu stała na bocznej drodze w pobliżu domu Hammondów.

Oczywiście jest wiele takich samych pojazdów. Na ranczach w tej części kraju muszą być ich setki.

A jednak instynkt podpowiada, że to nie jest taka sama ciężarówka, tylko ta sama. Chłopiec i jego pies opuścili ją tuż po świcie, na zachód od Grand Junction, gdzie kierowca i jego zmiennik wysiedli, żeby zatankować benzynę i zjeść śniadanie.

Ciężarówka przewożąca samochody jest trzecim pojazdem, jakim podróżują od świtu, trzy wyprawy jednego dnia, trasa biegnąca dzikim zygakiem przez Utah, nieprzewidywalna jak bieg kulki w automatycznym bilardzie. Po upływie tylu godzin, zważywszy na przypadkowy charakter ich podróży, szansa spotkania z ciężarówką wiozącą siodła jest bardzo niewielka, choć nie sposób jej całkowicie wykluczyć.

Zbieg okoliczności to jednak często sygnał ostrzegawczy. Serce podpowiada chłopcu to, przed czym broni się jego umysł: to nie przypadek, lecz część skomplikowanego wzoru arrasu, na którego środku widnieje on sam, schwytany i zamordowany.

Maska szoferki bieleje w ciemnościach jak czaszka. Róg czarnego brezentu furkocze niczym szata kostuchy. Ciężarówka jedzie zbyt szybko, by chłopiec mógł dostrzec, czy kierowca ma przy sobie broń.

Wydaje mu się, że dostrzegł dwóch mężczyzn w kowbojskich kapeluszach, ale nadal nie ma pewności, czy to ci sami, którzy wywieźli go z gór w stronę Grand Junction. Nie zdołał przyjrzeć się ich twarzom.

Nawet gdyby potrafił ich zidentyfikować, być może to nie ci sami Bogu ducha winni kierowcy, którzy przewożą ozdobne siodła na rodeo czy do jakiegoś cyrku. Może oni także należą do nagonki, zbliżającej się przez spieczoną pustynię do niego, jedynej osoby, która przeżyła masakrę w Kolorado.

Zniknęli w mroku nocy, nie zdając sobie sprawy, że minęli go o parę metrów – albo doskonale o nim wiedzieli i zamierzali go złapać dzięki blokadzie drogi parę kilometrów dalej.

Pies zwija się w kłębuszek na siedzeniu, opiera pysk na desce rozdzielczej. Jego oczy lśnią w świetle radia.

Chłopiec głaszcze go po głowie, drapie za obwisłym uchem, potem za drugim. Jedwabista sierść i ciepło przyjaciela koi strach, dławi atak dreszczy, choć nie może całkowicie rozpuścić wewnętrznego lodowatego chłodu.

Chłopiec jest najbardziej poszukiwanym zbiegiem na całym zachodzie, najgorliwiej ściganym uciekinierem w całym kraju, od morza do morza. Ma przeciwko sobie potężną siłę i zastęp

bezwzględnych łowców.

Z radia płynie melodyjny głos. Opowiada historię samotnego pastucha i jego dziewczyny z dalekiego Teksasu, ale tym razem chłopiec nie ma już ochoty śpiewać.

Potępione dusze, sępy rozdzierające ofiarę, kojoty w gorączce polowania, wilkołaki udęczone światłem księżyca, wszystkie te stworzenia nie mogłyby wydać bardziej przerażającego krzyku niż ten, po którym Leilani powiedziała „stara Sinsemilla” i który zwabił Micky do otwartych tylnych drzwi przyczepy.

Do drzwi, za próg, po trzech betonowych schodkach, na trawnik w ostatnie fioletowe mgły zmroku. Micky szła nieufnie, lecz nie mogła się zatrzymać, bo była pewna, że ktoś straszliwie cierpiący potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Na sąsiednim podwórku, za chylącym się ku ziemi ogrodzeniem miotła się postać w białej szacie, jakby trawił ją ogień, choć nie było widać ani jednego płomyka. Przez głowę Micky przebiegła idiotyczna myśl o śmiertelnie jadowitych pszczołach, które także mogłyby zmusić wrzeszczącą istotę do tak dzikich płasów. Ale wraz z zachodem słońca skończyły się godziny pracy pszczoł, choć spieczona ziemia nadal promieniowała nagromadzonym ciepłem. Poza tym nie było słycać brzęczenia rozeźlonego roju.

Micky obejrzała się na przyczepę, w której otwartych drzwiach stała Leilani, czarna sylwetka na tle słabego światła świec.

– Jeszcze nie zjadłam deseru – powiedziała i zniknęła z pola widzenia.

Postać na mrocznym podwórku przestała wyc, ale nadal rzucała się i wiła w milczeniu, które było równie niepokojące, jak niedawne krzyki. Jej obszerna biała szata wydymała się i wirowała niczym całun szalonego ducha, nie mającego cierpliwości do upiornego, lecz nudnego rytmu tradycyjnego straszenia śmiertelników.

Micky dotarła do chwiejącego się płotu; stąd widać było, że potępiona dusza jest istotą z tego świata. Kobieta, blada i wiotka, wirowała wokół własnej osi, słańiała się, podrywali i znowu wirowała, bosu na suchej kłującej trawie. Właściwie nie robiła wrażenie cierpiącej. Może usiłowała spożytkować zbędną energię we frenetycznym tańcu nowoczesnym. A może dostała jakiegoś ataku konwulsji.

Miała na sobie jedwabną lub nansukową koszulę do kostek, ze skomplikowanym haftem i koronkami na szerokich ramiączkach i staniku, a także na dużej falbanie, którą obszyty był rąbek szaty. Strój był mocno staroświecki, nie kobiecy w liberalnym współczesnym prowokującym stylu, lecz we frywolnym postwiktoriańskim duchu. Micky wyobraziła sobie, że koszula spoczywała od wielu dziesiątek lat w skrzyni na czyimś strychu.

Kobieta głośno wydychała powietrze, łapała je wielkimi haustami, stopniowo coraz bardziej zmęczona tym atakiem czy tańcem.

– Czy coś się stało? – spytała Micky, zbliżając się do płotu w miejscu, gdzie sztachety całkowicie leżały na ziemi.

Kobieta pisnęła rozpaczliwie, na pewno nie z bólu i nie w ramach odpowiedzi. Był to dźwięk pełen strachu, jaki mógłby się wyrwać nieszczęśliwemu psu w klatce.

Micky weszła na teren sąsiedniego podwórka. Sztachety zaklekołały pod jej stopami.

Wirująca derwiszka osunęła się na trawnik tak płynnie, jakby w ogóle nie miała kości, zatonąła w pianie falban.

Micky podbiegła, uklękła przy niej.

– Co się stało? Co pani jest?

Kobieta leżała na brzuchu, lekko wsparta na szczupłych ramionach, ze zwieszoną głową. Twarz trzymała parę centymetrów nad ziemią, ukrytą w lśniących kaskadach włosów, które w świetle księżyca

wydawały się zupełnie białe, ale prawdopodobnie były równie jasne jak włosy Leilani. Jej cicho rzeżący oddech poruszał pasmami włosów.

Micky położyła z wahaniem rękę na jej ramieniu, ale pani Maddoc nie zareagowała na dotyk bardziej żywiołowo niż na pytania. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Micky pozostała przy kobiecie. Obejrzała się i ujrzała Genewę w kuchennych drzwiach przyczepy. Ciotka stała na najwyższym schodku i przyglądała się jej, a zza niej wyglądała Leilani.

Ciocia Gen pomachała jej wesoło, jakby przyczepa była transatlantykiem, który właśnie odbija od brzegu.

Micky bez zdziwienia poczuła, że także macha. Po tygodniu spędzonym z Genewą zdążyła się już nauczyć reakcji ciotki na złe wieści i nieprzyjazne zwroty życia. Gen przyjmowała nieszczęście nie ze zwykłym stoickim spokojem, lecz z pewnego rodzaju rozbawieniem i akceptacją. Nie rozmyślała nad nim ani nie opłakiwała niepowodzeń, lecz przyjmowała je, jakby były ukrytymi błogosławieństwami, które z czasem niespodziewanie ujawnią swoje dobre strony. Dawna Micky doszła do wniosku, że taka reakcja na nieszczęścia i troski sprawdza się najlepiej u osób postrzelonych w głowę, które myślą sentymentalne filmy z rzeczywistością. Ale nowa Micky, ta, która właśnie zaczęła się rodzić, uznała, że takie zeń Genevy niesie nie tylko pocieszenie, lecz także natchnienie. To ta nowa Micky odpowiedziała na gest ciotki.

Geneva znowu pomachała, tym razem kreśląc w powietrzu wzory, ale zanim Micky zdołała się wplątać w gierki rodem z „Abbota i Costello”, kobieta na ziemi zaskomlała żałośnie i przeciągle. Jej piskliwa skarga rozplynęła się w jęku rozpacz, a jęk szybko zmienił się w płacz – nie subtelne łyzy melancholijnej panny, lecz w szloch szarpiący ciałem i duszą.

– Co się stało? Co mogę zrobić? – spytała Micky z troską, choć nie spodziewała się już ani odpowiedzi, ani żadnej reakcji.

Okna przyczepy Maddoców jarzyły się jadowitym oranżem, jeszcze mniej zachęcającym niż upiorne światło pełgające w dyni z wyciętą wyszczerzoną paszczą. Zasłony szczelnie zaciągnięto, w oknach nie było nikogo. Za otwartymi drzwiami Micky dostrzegła pustą kuchnię, oświetloną jedynie blaskiem podświetlanego zegara na ścianie.

Jeśli Preston Maddoc, znany także jako doktor Zagłada, był w domu, nie mógłby dobitniej wyrazić braku zainteresowania stanem żony.

Micky uścisnęła współczująco ramiona kobiety. Nie wierzyła w żaden wytwór płomiennej wyobraźni Leilani, ale postanowiła wypróbować jedyne znane jej imię:

– Sinsemillo...

Kobieta poderwała głowę szybko jak żmija, jasne pasma śmignęły w powietrzu. Jej twarz, na pół ukryta w mroku, ściągnęła się przerażeniem; osłupiałe oczy rozszerzyły się tak bardzo, że białko pojawiło się u góry i dołu tęczęwki. Kobieta odtrąciła rękę Micky i odczołgała się do tyłu. Ostatni szloch uwiązał jej w gardle, a kiedy usiłowała go przełknąć, z ust wyrwał się ochryply krzyk, jakby warknięcie.

Rozpacz zniknęła w mgnięciu oka, ogarnął ją gniew i strach. – Nie jesteś moją panią!

– Spokojnie... spokojnie – odezwała się Micky, nadal klęcząc i robiąc uspokajające gesty.

– Nie masz nade mną władzy tylko dlatego, że znasz moje imię!

– Chciałam tylko... Furia poderwała ją z ziemi.

– Wiedzma, wiedźma z miotłą w dupie, wiedźma, satanistka, czarownica, sfrunęłaś z księżycy z moim imieniem na ustach, wydaje ci się, że możesz rzucić na mnie czar, bo sprytnie odgadłaś moje imię, ale to ci się nie uda, nikt nie ma nade mną władzy i nie będzie miał ani dzięki czarom, ani dzięki



magii, nie zdobędzie jej siłą ani słodkimi słówkami, nikt, a ii lekarze, ani prawnicy, nikt nigdy nie zdobędzie nade mną władzy!

Micky zdała sobie sprawę, że w obliczu takiego szaleństwa i gniewu grożącego wybuchem atomowym najlepiej zachować milczenie. Zaczęła się wycofywać na kolanach przez kłującą trawę.

Sinsemilla, wyraźnie rozwścieczona tym ruchem, choć oznaczał on kapitulację, skoczyła na równe nogi z taką furją, że wydawało się, iż uniosła się w powietrze: falbana zakipiała wokół jej nóg, włosy uniosły się jak sploty rozwścieczonej Meduzy. Wstając, wzniciła wokół siebie chmurę gryzącego kurzu i pyłu z suchej trawy, która rozpadła się pod palącym dotykiem słońca.

– Nie przestraszysz mnie – syknęła przez zaciśnięte zęby – ty więdźmo, czarownico, diabelskie nasienie!

Micky podniosła się z klęczek i zaczęła się tyłem wycofywać ku ogrodzeniu, nie chciała się odwracać plecami do sąsiadki zza progu piekła.

Chmura połknęła księżyc, który wisiał na niebie jak srebrny pieniążek. W ostatnich blaskach zachodu Micky zdołała się przyjrzeć szalonej kobiecie wystarczająco dobrze, by dostrzec w niej podobieństwo do Leilani i uprzytomnić sobie, że to naprawdę jej matka.

Zdała sobie sprawę, że dotarła do płotu, kiedy pod jej stopą trzasnęła powalona sztacheta. Wolałaby spuścić wzrok, żeby się nie potknąć, ale bała się oderwać spojrzenie od nieprzewidywalnej sąsiadki.

Sinsemilla wyzbyła się gniewu równie raptownie, jak nim zapłonęła. Poprawiła ramiączka długiej koszuli, ujęła obu – racz obszerną spódnicę i ruszyła nią, jakby strzepując suche źdźbła trawy. Odgarnęła z twarzy długie włosy, które spłynęły na jej blade ramiona. Wygięła plecy, przechyliła głowę do tyłu, rozprostowała ramiona i przeciągnęła się leniwie, jak lunatyczka wyrwana z rozkosznego snu.

Micky zatrzymała się dziesięć kroków za płotem, w odległości, którą uznała za bezpieczną, i znów zaczęła się przyglądać matce Leilani, jakby zahipnotyzowana jej dziwnym zachowaniem.

– Micky, kochanie – odezwała się ciocia Gen od progu – zaraz podam deser, więc nie zostawaj na dworze zbyt długo.

Zawstydzona chmura oddała skradziony księżyc, a Sinsemilla uniosła smukłe ramiona ku niebu, jakby blask obudził w niej radość. Przechyliła twarz, by padły na nią srebrzyste promienie, obróciła się powoli wokół własnej osi i zaczęła zataczać kręgi. Wkrótce jej lekkie kroki zmieniły się w taniec, wdzięczny i pełen gracji, do muzyki słyszalnej tylko jej uszom. Płasała z twarzą lekko uniesioną, jakby zwracała ją do zachwyconego księcia, trzymającego tancerkę w ramionach.

Z jej ust uleciał krótki śmiech. Na przekór oczekiwaniom Micky nie brzmiał jak chichot wariatki. Był pełen dziewczęcej wesołości, słodki i melodyjny, niemal nieśmiały.

Po chwili umilkł, a walc dobiegł końca. Niewidzialny partner odprowadził kobietę do schodków przyczepy, na których usiadła, furkocząc haftowanych falbanami, jak uczennica z dawnych czasów, odprowadzona na miejsce po kotylionie.

Sinsemilla siedziała, nie zwracając uwagi na Micky, z brodą opartą na rękach, wpatrzona w gwiazdziste niebo. Wyglądała jak dziewczynka marząca o prawdziwej miłości lub zdumiona ogromem wszechświata.

Przesunęła palcami po twarzy. Zwiesiła głowę. Nowy szloch szybko ucichł, nieopisanie melancholijny, tak cichy, że mógłby się wydawać głosem prawdziwego ducha: omdlewający jęk duszy uwięzionej w wąskiej pustce pomiędzy powierzchniowymi błonami tego i innego świata.

Sinsemilla mocno chwyciła się poręczy i dźwignęła się chwiejnie ze schodków. Weszła do przyczepy, do mrocznej kuchni ze świecącym zegarem, w pomarańczowy blask.

Micky potarła kolana dłońmi, żeby oderwać przylepione do skóry kłujące źdźbła suchej trawy. Stojący sierpniowy upał, jak rosół w garnku kanibala, wygotowywał z niej każdą kroplę wilgoci. Ciepła noc nie dawała wytchnienia ani ochłody.

Ale choć ciało Micky wydawało się wrzeć, jej mózg miał chyba własny termostat. Przeszedł ją dreszcz tak zimny, że krople potu na czole powinny zmienić się w lód.

Leilani właściwie już nie żyje.

Odepchnęła od siebie tę wstrząsającą myśl natychmiast po tym, jak ją przeszła. Ona także dorosła w strasznej rodzinie, porzucona przez ojca, zdana na łaskę okrutnej, niezdolnej do miłości matki, wykorzystana psychicznie i fizycznie – a jednak przeżyła. Sytuacja Leilani nie była lepsza ani gorsza. Tylko inna. To, co mnie nie złamie, doda mi sił, a w wieku dziewięciu lat Leilani wydawała się niezniszczalna.

Mimo to Micky myślała ze strachem o powrocie do kuchni Genevy, w której czekała dziewczynka. Jeśli wszystkie barokowe opisy Sinsemilli nie były wytworem wyobraźni, co powiedzieć o ojczymie mordercy, doktorze Zagładzie, oraz jego jedenastu ofiarach?

Wczoraj na tym samym podwórku Micky smażyła się na leżaku, rozbawiona i nieco zdezorientowana po pierwszym spotkaniu z samozwańczym niebezpiecznym mutantem. Leilani wypowiedziała wtedy parę szczególnych zdań. Teraz odezwały się one w pamięci Micky. Dziewczynka spytała ją, czy wierzy w życie po śmierci, a kiedy Micky odwróciła pytanie, usłyszała prostą odpowiedź: „lepiej, żebym wierzyła”. Wtedy wydała się ona dziwna, choć niezbyt złowroga. Teraz te trzy słowa miały w sobie ciężar tych wagonów, w których kiedyś chciała uciec i które – gdy leżała bezsennie w innym czasie i miejscu – przetaczały się przez mrok z rytmicznym łomotem i cienkim żalobnym gwizdem.

Tu i teraz, upalna sierpniowa noc, księżyc, gwiazdy i tajemnice za nimi. Nie ma ucieczki w wagonie dla Leilani, a może i dla Micky.

Wierzysz w życie po śmierci?

Lepiej, żebym wierzyła.

Cztery staruszki, trzech staruszków, trzydziestoletnia matka dwójki dzieci... sześciolatek na wózku inwalidzkim...

A gdzie się podziewa jej brat Lukipela, o którym opowiada w tak tajemniczy sposób? Czy został dwunastą ofiarą Prestona Maddoca?

Wierzysz w życie po śmierci? Lepiej, żebym wierzyła.

– Dobry Boże – szepnęła Micky. – Co mam zrobić?

Ciężarówki, wyładowane wszystkimi możliwymi towarami, od szpilek nici po przyrządy do mierzenia fermentacji, furgonetki z lodami, mięsem, serem czy mrożonymi daniami, ciężarówki z betoniarkami i metalowymi prętami zbrojeniowymi, lawety z samochodami, transportery zwierząt, benzyny, środków chemicznych, dziesiątki wielokołowych dinozaurów z reflektorami na szoferkach i kolorowymi światełkami po bokach otoczyły stację benzynową tak, jak niegdyś skubiące trawę stegozaury i brontozaury, a także stada drapieżnych teropodów. Mruczając, burcząc, dysząc, warcząc, każdy wielki pojazd czeka na przyjęcie komunii z pompy benzynowej, z której chlusta bagienny destylat sprzed dwustu milionów lat.

W taki właśnie sposób osierocony chłopiec pojmuje nowoczesną teorię złóż bitumicznych w ogóle, a złóż ropy naftowej w szczególności, wyłożonej we wszelkich dostępnych źródłach, od podręczników szkolnych po Internet. A jednak choć chłopiec uważa, że to idiotyzm, żeby przemianę dinozaurów w benzynę wykladał Kaczor Donald czy inna postać z kreskówek, strasznie mu się podoba widok wszystkich tych fantastycznych pojazdów, które stoją w kolejce do pompy benzynowej w warkocie, hałasie i oparach spalin na środku milczącej, pogrążonej w ciemnościach i niemal zupełnie bezwonnej pustyni.

Ze swojej kryjówki w explorerze na dolnym poziomie przyczepy obserwuje krzątających się mężczyzn i kobiety. Niektórzy z nich to barwne postacie w stetsonach, botkach szytych na zamówienie i haftowanych kurtkach dżinsowych, wielu nosi podkoszulki z logo firm samochodowych, przekąsek, piwa i barów country od Omaha po Santa Fe, od Abilene po Houston, Reno, Denver.

Pies, obojętny na zamieszanie, nieczuły – w przeciwieństwie do chłopca – na romantyzm podróży i tajemnicę egzotycznych miejsc, reprezentowanych przez tych cyganów autostrad, leży zwinięty w kłębuszek i drzemie.

Baki już pełne, pojazd rusza, ale nie wraca na autostradę. Kierowca prowadzi go na ogromny parking, najwyraźniej po to, by zrobić sobie przerwę na posiłek lub sen. To największy zajazd dla ciężarówek, jaki kiedykolwiek ukazał się oczom chłopca. Jest tu ogromny motel, parking, jadłodajnia, sklep z pamiątkami i, jak wspomniano na mijanym niedawno znaku, „pełen zakres usług”, cokolwiek miałyby to oznaczać. Chłopiec nigdy nie widział wesołego miasteczka, ale wyobraża sobie, że musi ono budzić podobne radosne ożywienie jak to pełne atrakcji miejsce.

Potem mijają znajomy pojazd, stojący pod latarnią w stożku żółtawego światła. Jest o wiele mniejszy od ciężarówek, z którymi sąsiaduje. Biała szoferka, czarna brezentowa płachta z tyłu. Furgonetka z siodłami.

Jeszcze przed chwilą chłopiec nie mógł się doczekać, kiedy zwiedzi ten ogromny zajazd. Teraz chce tylko stąd uciekać – i to jak najszybciej.

Laweta wjeżdża w szeroką lukę między dwiema potężnymi ciężarówkami.

Pneumatyczne hamulce piszczą i wzdychają. Warkot silnika gaśnie. Dwa rzędy explorerów kołyszają się łagodnie, jak uśpione konie, na chwilę wyrwane z marzeń o słodkich pastwiskach. Cisza, która zapada, wydaje się chłopcu tak głęboka, jak milczenie łąk Kolorado.

Kłębek czarno-białej sierści na siedzeniu dla pasażera rozplątuje się i zmienia w psa, który podnosi głowę, żeby zorientować się w sytuacji.

– Musimy się stąd wynosić – mówi chłopiec z niepokojem.

W pewnym sensie fakt, że jego prześladowcy są tak blisko, nie ma znaczenia. Prawdopodobieństwo,

że schwytają go w ciągu najbliższych paru minut, byłoby równie duże, gdyby znajdowali się tysiące kilometrów stąd. Matka często mu mówiła, że jeśli jest się mądrym, przebiegłym i odważnym, można się ukrywać na widoku równie dobrze, jak w najgłębszej i najlepiej zamaskowanej pieczarze. Ani odległość, ani kryjówka nie gwarantują przetrwania. Liczy się tylko czas. Im dłużej pozostaje na wolności, tym mniejsze prawdopodobieństwo schwytania.

Mimo to świadomość, że myśliwi mogą być tuż obok, szarpie mu nerwy. Ich bliskość go denerwuje, a kiedy jest zdenerwowany, trudniej mu się zdobyć na przebiegłość i odwagę. Wtedy go znajdują, rozpoznają, czy to na widoku, czy w jaskini ukrytej tysiąc kilometrów pod ziemią.

Z wahaniem otwiera drzwi samochodu i wyslizguje się z niego na platformę. Nasłuchuje. Jednak on sam nie jest myśliwym, toteż nie wie, na co właściwie ma zwracać uwagę. Zgiełk przy pompach paliwowych brzmi jak odległy pomruk. Stłumiona muzyka country nadaje nocy uroku – odpowiednik kuszącej pieśni syren, niosącej się po morzu z obietnicą zabawy i towarzystwa.

Platforma lawety jest tylko trochę szersza od explorera, tak wąska, że pies nie może na nią bezpiecznie zeskoczyć z siedzenia dla pasażera. Jeśli naprawdę skoczył z dachu ganku Hammondów, na pewno potrafi bezpiecznie wylądować na parkingu, ale choć wystarczyłoby mu zręczności, brak mu odwagi. Spogląda w dół, przekrzywia głowę w lewo, w prawo, popiskuje żałośnie, cichnie, jakby zdał sobie sprawę, że nie powinien zwracać na siebie uwagi, spogląda prosząco na swego pana.

Chłopiec bierze go na ręce i wynosi z explorera, tak jak poprzednio go tu wniósł, z trudem. Chwieje się pod jego ciężarem, ale udaje mu się zachować równowagę. Stawia kudłaty ciężar na podłodze lawety.

Zamyka drzwi explorera; tymczasem kundel biegnie truchcikiem na tył przyczepy. Kiedy pojawia się jego pan, on czeka już przytulony do lawety. Uszy nastawione, głowa uniesiona, nos drgający. Puszysty ogon, zwykle dumnie uniesiona palemka, wtula się między nogi.

To zwierzę, choć udomowione, nie utraciło pewnych cech łowcy, których chłopcu brak, i ma silny instynkt przetrwania. Jego nieufność zasługuje na uwagę. Najwyraźniej coś tu pachnie niebezpieczeństwem, a co najmniej – podejrzenie.

Na parking nie wjeżdżają żadne nowe pojazdy, żadne też z niego nie wyjeżdżają. Jak okiem sięgnąć, na połaci czarnego asfaltu nie widać ani jednego kierowcy. Parę kroków dalej znajduje się kilkaset osób, ale w tej chwili parking wydaje się opustoszały jak krater księżycowy.

Z zachodu, od strony pustyni napływa lekki wietrzyk, ciepły, lecz nie rozpalony. Niesie ze sobą krzemowy zapach piasku i alkaliczną woń wytrzymałych roślin, które żyją na tych spalonych słońcem ziemiach.

Chłopiec przypomina sobie dom, którego prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy. Narasta w nim przyjemne rozczulenie, które zbyt szybko zmienia się w tęsknotę, a potem w okropną rozpacz, silnie w niego uderzającą. Fala rozpacz i bólu zatapia jego serce. Później. Pora na łzy przyjdzie później. Najpierw trzeba przeżyć. Niemal słyszy, jak duch matki nawołuje go do opanowania i odłożenia żałoby na bezpieczniejsze czasy.

Pies ociaga się z wyruszeniem w drogę, jakby ze wszystkich stron groziło im niebezpieczeństwo. Mocniej wtula ogon między nogi, owija nim prawą tylną łapę.

Motel i restauracja znajdują się poza zasięgiem ich wzroku, bardziej na wschód, za rzędami zaparkowanych pojazdów. Nad nimi płonie krwawoczerwony neon. Chłopiec rusza w jego stronę.

Kundel stopniowo staje się jego najbliższym przyjacielem. Porzuca wahanie i biegnie truchtem w ślad za nim.

– Dobry piesek – szepcze chłopiec.

Mijają osiem półciężarówek i są już przy dziewiątej, kiedy ciche warknięcie psa zatrzymuje chłopca w pół kroku. Nawet gdyby nagły niepokój towarzysza był zbyt słaby, by się czytelnie wyrazić, najbliższa wysoka latarnia promieniuje dostatecznie silnym żółtym światłem, by ukazać zjeżoną sierść kundla.

Pies wpatruje się w oleście czarny mrok pod wielką ciężarówką. Już nie warczy, zerka na chłopca i cichutko piszczy. Chłopiec ufa swojemu nowemu bratu; klęka, opiera się jedną ręką o ciężarówkę i spogląda w ciemność. Nic nie widzi.

Potem jego uwagę przykuwa jakiś ruch, nie dokładnie pod podwoziem, lecz wzdłuż niego, w oświetlonym przejściu pomiędzy pojazdami. Para kowbojskich butów, niebieskie džinsy wpuszczone w cholewki. Ktoś idzie koło pojazdu, zbliża się do miejsca, w którym klęczy chłopiec.

Najprawdopodobniej to zwyczajny kierowca, który nic nie wie o polowaniu na chłopca prowadzonym na całym zachodzie dyskretnie, lecz z użyciem potężnych środków i bardzo pospiesznie. Pewnie wraca z późnej kolacji, z termosem pełnym świeżej kawy, gotów do ponownego wyruszenia w drogę.

Za pierwszą parą butów pojawia się druga. Dwaj mężczyźni, nie jeden. Idą w milczeniu, lecz zdecydowanie.

Może zwyczajni kierowcy, może nie.

Mały uciekinier kładzie się na asfalcie i wślizguje pod przyczepę, pies za nim. Tulą się do siebie, śledzą spojrzeniem mijające ich buty, chłopiec czuje dziwne podniecenie, bo jest to sytuacja rodem ze wszystkich książek przygodowych, które uwielbia. Oczywiście charakter tej rozrywki jest trochę inny niż to, co czuje, gdy pochłania powieści awanturnicze. Młodzi bohaterowie nigdy nie bywają wypatroszeni, pozbawieni głowy, rozdarci na strzępy, zmiżdżeni – co go prawdopodobnie czeka, jeśli za bardzo się zaangażuje w tradycyjne postępowanie bohaterów powieści dla chłopców. Jego ożywienie ma odcień bardziej przejmujący niż wszystko, co musiał przeżyć Huckleberry Finn, jest bardziej mroczne. Ale przecież jest chłopcem i sama natura kazała mu przyjmować z zachwytem wydarzenia, które wystawiają na próbę jego odwagę, wytrzymałość i inteligencję.

Obaj mężczyźni docierają do krańca przyczepy, gdzie stają, najwyraźniej przyglądając się parkingowi; być może nie wiedzą, gdzie zostawili swój pojazd. Nie odzywają się, jakby nasłuchiwali dźwięków zrozumiałych tylko dla urodzonych myśliwych.

Mimo wysiłku i ciepłej nocy pies nie dyszy. Leży bez ruchu u boku swego pana.

*Dobry piesek.*

Wiatr, aromatyzowane zapachem pustyni narzędzie tęsknoty, które przypomina chłopcu o domu, jest także szczotką, zmiatającą z asfaltu kłębki kurzu, pajęczą płataninę pustynnej trawy, śmieci. Po chodniku sunie leniwie, z cichym szelestem zmięty kawałek papieru, zatrzymuje się na czubku jednego buta. Parking jest na tyle oświetlony, że chłopiec dostrzega, iż ten śmieć ma swoją wartość: to banknot pięciodolarowy.

Jeśli mężczyzna się pochyli, żeby go podnieść, może zerknąć pod ciężarówkę...

Nie. Nawet gdyby przykleknął, zamiast zwyczajnie się pochylić, jego głowa znajdzie się powyżej podwozia. Nie zauważy chłopięco-psiego kształtu, ukrytego w mroku pod ciężarówką.

Pięciodolarówka drży przez chwilę przy bucie, raptem się podrywa i... wlatuje pod ciężarówkę.

Ginie w mroku. Chłopiec wpatruje się w napięciu w kowbojskie buty. Na pewno któryś z mężczyzn spróbuje choć dla zasady odnaleźć banknot.

W większości powieści dla chłopców – a także dla dorosłych – przygoda zawsze dotyczy skarbu. Ten glob kręci się na złotej osi. Tak powiedział pewien pirat z drewnianą nogą i papugą na ramieniu. Ale

właściciele kowbojskich butów zupełnie nie interesują się zmiętym banknotem. W milczeniu mijają ciężarówkę.

Raczej niemożliwe, żeby nie zauważyli pieniędzy. Tym brakiem zainteresowania zdradzili swoją prawdziwą tożsamość. Prowadzą gorączkowe poszukiwania czegoś ważniejszego od skarbu i nie chcą się rozpraszać. Odeszli na zachód, mniej więcej w stronę lawety z samochodami.

Chłopiec i jego towarzysz czołgają się dalej, głębiej pod przyczepę, w stronę szoferki. Potem wyslizgują się z bezpiecznego schronienia, stają pomiędzy ciężarówkami, tam gdzie niedawno znajdowały się kowbojskie buty.

Pies wyłania się z pięciodolarówką w zębach, dumny z siebie.

– Dobry piesek.

Chłopiec wygląda banknot, składa go i chowa do kieszeni džinsów. Ten niewielki łup nie wystarczy na długo, a raczej nie mogą się spodziewać, że wszędzie będą znajdować pieniądze na ulicy. Na jakiś czas mogą sobie oszczędzić upokorzenia płynącego z następnej kradzieży.

Może psy nie znają upokorzenia. Chłopiec nigdy dotąd nie miał psa. Zna je tylko z filmów, książek i paru przypadkowych spotkań.

Jego nowy kompan, dyszący teraz, gdy można dyszeć, nadal pławi się w blasku tych dwóch słów pochwały. To miły łobuz, pocziwy łapserdak, który żyje według prostych reguł dzikiego życia.

Stając się braćmi, wywrą na siebie wzajemny wpływ. Pies pozna smak upokorzenia i pełnego zgrozy przeczucia czyhającej na nich śmierci, co jest smutne. A chłopiec będzie musiał podczas tej rozpaczliwej, samotnej i prawdopodobnie długiej podróży ku wolności wystrzegać się zbyt psiego zachowania, zbyt dzikości i skłonności do gwałtownych czynów.

Kundel przykuca, wolny od wstydu, i siusia na asfalt.

Chłopiec przyrzeka sobie, że nigdy nie przejmie od niego nawyku publicznego załatwiania naturalnych potrzeb, bez względu na to, jak bardzo zdiczeje pod jego wpływem.

Lepiej się stąd zbierać.

Dwaj milczący mężczyźni, którzy poszli w stronę lawety, mogą nie być jedynymi poszukiwaczami grasującymi w mroku nocy.

Chłopiec przemyka pomiędzy ciężarówkami, z czujnym psem u boku, starając się trzymać możliwie najdalej od pustych przestrzeni na parkingu, kluczy niczym w labiryncie, zmierzając ku obietnicy czerwonego neonu. Ruch dodaje mu pewności siebie, a ta jest niezbędna do uzyskania przekonującego kamuflażu. Poza tym ruch to zamieszanie, które także pozwala się ukryć. Kolejna mądrość jego matki.

Dobrze jest także wtopić się w tłum. Tłum rozprasza uwagę wroga – nie bardzo, ale czasem to wystarczy, żeby się uratować – a także pełni funkcję parawanu, za którym zbieg może przemknąć się niepostrzeżenie przy odrobinie szczęścia.

Obok parkingu dla ciężarówek znajduje się osobny parking dla samochodów osobowych. Tutaj chłopiec jest bardziej widoczny niż pomiędzy ciężarówkami. Idzie szybciej i odważniej, kieruje się prosto ku „pełnemu zakresowi usług”, świadczonych w kompleksie budynków nieco bardziej oddalonym od autostrady niż pompy paliwowe.

Za oknami rozległej jadłodajni widać podróżnych pałaszujących posiłki z wyraźnym entuzjazmem. Ich widok przypomina chłopcu, ile czasu minęło od tamtego zimnego cheeseburgera.

Pies popiskuje z głodu.

Z ciepłej nocy do przyjemnie chłodnej restauracji, w fale apetycznych aromatów, które natychmiast budzą jego dziki głód. Chłopiec zdaje sobie sprawę, że uśmiecha się równie szeroko jak pies.

Ale to pies, nie uśmiech, przyciąga uwagę kobiety w uniformie, stojącej pod oświetloną tablicą „Hostessa”. Jest drobna, ładna, mówi z komicznym nosowym akcentem, ale kiedy staje im na drodze, wydaje się równie sympatyczna jak strażniczka więzienna.

– Kochanie, przyznaję, że tu nie żaden luksus, ale i tak nie wpuszczamy bosych kajtków i w ogóle wszystkich czworonożnych, choćby byli strasznie śliczni.

Chłopiec nie jest bosy i nie czuje się kajtkiem; po krótkiej chwili rozterki zdaje sobie sprawę, że kobieta mówi o psie. Wmaszerowując do jadłodajni z psem u boku, zrobił dokładnie to, czego nie powinien: zwrócił na siebie uwagę.

– Przepraszam – mówi pokornie.

Zawraca do wyjścia, a przerażony pies za nim. Czuje, że ludzie na niego patrzą. Uśmiechnięta kelnerka. Kasjerka spoglądająca ponad półkolistymi szklami okularów. Klient płacący rachunek. Żadna z tych osób nie przygląda mu się podejrzliwie, nikt z nich nie robi wrażenia łowcy. Na szczęście tej pomyłki nie przypłaci życiem.

Na dworze każe psu usiąść. Kundel posłusznie sadowi się za drzwiami jadłodajni. Chłopiec kuca przed nim, głaszcze go, drapie za uszami i mówi:

– Zaczekaj na mnie. Zaraz wrócę. Zjedzeniem.

Obok nich zatrzymuje się mężczyzna wysoki, z lśniącą czarną brodą, w zielonej czapce z żółtym napisem „MISTRZ KIEROWNICY” nad daszkiem – nie jest to klient, który przed chwilą płacił, dopiero zamierza wejść do środka.

– Ależ piękny czworonóg – mówi, a pies przytomnie macha ogonem, szorując nim po chodniku, na którym siedzi. – Jak się nazywasz?

– Curtis Hammond odpowiada chłopiec bez wahania, pożyczając imię i nazwisko chłopca tak samo, jak pożyczył jego ubranie, choć od razu zaczyna się zastanawiać nad swoją decyzją. Curtis Hammond i jego rodzice zginęli niespełna dwadzieścia cztery godziny temu. Jeśli policja w Kolorado już się zorientowała, że dom został podpalony, jeśli sekcja zwłok wykazała, że trzy ofiary zostały okrutnie zamordowane, może nawet torturowane przed śmiercią i że wszystkie nie żyły w chwili wybuchu pożaru, ich nazwiska z pewnością pojawiły się we wszystkich dziennikach.

Brodaty kierowca, który być może rzeczywiście jest kierowcą, a może brodatą śmiercią, nie reaguje na nazwisko.

– Curtis Hammond – mówi. – Okropnie dziwne imię dla psa.

– Och. No tak. Pies – mamrocze chłopiec. Czuje się głupio i ma wrażenie, że jednak nie potrafi dobrze udawać. Nie nadał swojemu czworonożnemu towarzyszowi żadnego imienia, bo wiedział, że kiedyś je znajdzie, w odpowiednim czasie, gdy zacieśni się między nimi więzy, a wtedy będzie to imię nieprzypadkowe, lecz właśnie to, o które chodzi. Nie ma czasu na zastanowienie, więc pożyczka pomysł z filmu: – Nazywa się Stary Rudzielec.

Rozbawiony kierowca przekrzywia głowę.

– Żarty sobie ze mnie stroisz, kolego?

– Nie, dlaczego?

– Jak mogliście tak nazwać to śliczne stworzenie, kiedy od czubka nosa po czubek ogona nie ma ani jednego rudego włoska? Chłopiec, zirytowany własnym zdenerwowaniem, którym zareagował na przyjazną, niezagrażającą mu w niczym rozmowę, spieszy naprawić gafę.

– Kolor sierści nie ma z tym nic wspólnego, proszę pana. To imię nam się spodobało, bo to najlepszy stary pies na świecie, dokładnie jak Stary Rudzielec z filmu.

– Nie aż tak dokładnie – sprzeciwia się Mistrz Kierownicy. – Stary Rudzielec był psem. Tej ślicznej czarno-białej panience na pewno czasem miesza się w łebku, kiedy mówi się o niej jak o samcu i kiedy wmawia się jej, że jest ruda.

Aż do tej chwili chłopiec nie zwrócił uwagi na pleć swego towarzysza. Głupi, głupi, głupi.

Przypomina sobie radę matki: jeśli chcesz udawać kogoś, kim nie jesteś, musisz być pewny siebie, pewny siebie mimo wszystko, bo niepewność i wątpliwości cię zdemaskują. Nie może pozwolić, żeby uwaga kierowcy wytrąciła go z równowagi.

– A my uważamy, że to może być imię dla suczki – wyjaśnia ciągle zdenerwowany, lecz z zadowoleniem odnotowując, że mówi z coraz większą płynnością; idzie mu jeszcze lepiej, gdy zaczyna głaskać kundelkę, unikając spojrzenia kierowcy.

– Najwyraźniej. Chyba sobie kupię kotkę i nazwę ją Pan Kotek.

Ten wysoki, trochę otyły mężczyzna nie ma w sobie ani odrobiny złośliwości, w jego rozmigotanych niebieskich oczach brak chłodnej kalkulacji. Wygląda jak Święty Mikołaj, który ufarbował włosy.

Mimo to chłopiec stoi zdenerwowany i modli się, żeby kierowca już poszedł. Tylko jak do tego doprowadzić?

– Gdzie twoi rodzice, synu? – pyta mężczyzna.

– Jestem z tatą. Poszedł kupić coś do jedzenia na wynos. Ale z psem nie chcieli mnie wpuścić.

Kierowca marszczy brwi, mierzy wzrokiem ruchliwą stację benzynową i kontrastujący z nią wyludniony parking.

– Tylko się stąd nie oddalaj. Różni się tu kręca, niektórych nie chciałbyś spotkać w ciemnym zaułku.

– Jasne, przecież wiem.

Suczka prostuje się, nastawia uszy, jakby chciała dać do zrozumienia, że i ona zna takie typy.

Kierowca uśmiecha się, pochyla, żeby pogłodzić śliczną główkę. – Myślę, że jesteś bezpieczny pod opieką Starego Rudzielca. Już ona napocznie każdego, kto chciałby cię skrzywdzić.

– Bardzo mnie broni – potwierdza chłopiec.

– Tylko się stąd nie oddalaj – powtarza Mistrz Kierownicy. Dotyka daszka zielonej czapki, tak jak uprzejmy kowboj dotyka runda stetsona – namiastka uchylenia kapelusza, gest szacunku wobec dam i innych dostojnych obywateli – i wreszcie wchodzi do środka.

Chłopiec patrzy przez szklane drzwi i okno, jak hostessa wita kierowcę i prowadzi go do stolika. Na szczęście Mistrz Kierownicy siada plecami do wejścia. Nie zdejmuje czapki i natychmiast zaczyna studiować zawartość wysokiego, podwójnie składanego menu.

Chłopiec odwraca się do swojej wiernej towarzyszki.

– Nie ruszaj się stąd, mała. Zaraz wracam. Suczka sapie cicho, jakby potwierdzała, że rozumie. Na ogromnym parkingu, gdzie stożki brudnożółtego światła przedzielają połączone cienia, nie zostało ani śladu po dwóch milczących mężczyznach, którzy nie schylili się po pięć dolarów.

Wcześniej czy później tu wrócą, przeszukają jadłodajnię, motel i wszystkie miejsca, które obudzą ich podejrzliwość, nawet jeśli już je sprawdzili. Jeśli nie ci dwaj, to dwóch następnych. Albo czterech. Dziesięciu. Setki.

Lepiej się stąd zbierać.



Obfite kawałki szarlotki domowej roboty. Zwyczajne białe talerze od Searsa. Żółte plastikowe podkładki pod talerze. Nastrojowy blask trzech świec kupionych za półhurtową cenę.

Ta skromna scena w kuchni Genevy jest jak świeży powiew realności, rozwiewa zalegającą w głowie Micky mgłę nierzeczywistości po spotkaniu z Sinsemillą. W gruncie rzeczy kontrast pomiędzy Genewą, polerującą i tak już lśniące widelczyki, i Sinsemillą tańczącą przy księżycu jest nie tyle odświeżającym wietrzykiem, ile nagłym zanurzeniem w arktycznym morzu.

Ależ się porobiło, skoro życie z ciotką Gen wydaje się wzorcem normalności.

– Kawy? – spytała Genevę. – Eee... tak.

– Gorącej czy mrożonej?

– Gorącej. I doprawionej.

– Czym, kochanie?

– Brandy i mlekiem – powiedziała Micky, a Leilani, która nie piła kawy, natychmiast podsunęła „z mlekiem”, wypowiadając się jako samozwańczy stróż moralności przydzielony Michelinie Bellsong.

– Brandy, mleko i mleko – przyjęła zamówienie ciocia Gen.

– No dobrze, z kroplą amaretto – ustąpiła Micky, a w chwili gdy wypowiadała „etto”, Leilani cicho powtórzyła „z mlekiem”.

Zwykle nic nie mogłoby doprowadzić Micky do stanu wrzenia szybciej niż oświadczenie, że nie może dostać tego, czego chce – może z wyjątkiem oświadczenia, że przegra resztę życia, jeśli nie będzie uważać, że może wpaść w alkoholizm, że ma problemy ze sobą albo z mężczyznami. Jeszcze całkiem niedawno szept Leilani podziałałby jak zdetonowanie ładunku. Ale przez ostatni rok Micky poświęciła tak wiele bezsennych nocy na analizę swojego stanu – tylko dlatego, że los podarował jej sporo czasu na zastanowienie – że nie mogła dłużej zwlekać z zapaleniem światła w niektórych pokojach swego serca. Długo się przed tym wzbraniała, być może ze strachu, że znajdzie w sobie nawiedzony dom, zamieszkały przez wszelkie możliwe upiory, od zwyczajnych duchów po wampiry i najstraszniejsze potwory, czające się w każdym kącie, od piwnic po strych. Owszem, znalazła ich parę, ale bardziej zaniepokoiło ją odkrycie, że w domu jej duszy wiele pokojów stoi pustych, zimnych i zakurzonych. Od czasów dzieciństwa gniewem i przekorą broniła się przed okrutnym życiem. Widziała siebie jako jedyne obrońcę zamku, bez ustanku krążącego po murach obronnych, w wojnie z całym światem. Ale nieustanny stan gotowości bojowej odstrasza przyjaciół na równi z wrogami i prawdę mówiąc, pozbawił ją możliwości doświadczenia pełnego smaku życia. Być może wtedy te puste pokoje wypełniłyby się dobrymi wspomnieniami, które zrównoważyłyby te złe, upchnięte w innych pomieszczeniach.

W ramach emocjonalnego przetrwania narzuciła sobie ograniczenia; postanowiła poskromić gniew i opanować przekorę. Dlatego powiedziała: – Tylko z mlekiem, ciociu.

Tego wieczora to nie ona była główną gwiazdą. Dziś nie liczyło się, czego pragnie, czy niszczy sama siebie i czy potrafi wydobyć swoje życie z płomieni, w które je rzuciła. Tego wieczora światła były skierowane na Leilani Klonk, a Micky nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek jej własne interesy czy potrzeby zajmowały ją mniej niż w tej chwili.

Prośba o brandy była odruchową reakcją na spotkanie z Sinsemillą. Z czasem alkohol stał się niezawodną bronią przeciwko złości i brzydocie życia. Zbyt niezawodną.

Geneva wróciła na swoje miejsce.

– Jak sądzisz, Micky, czy będziemy się mogli spotkać razem na sąsiedzkim przyjęciu?

– Ta kobieta albo ma świra, albo ma odlot jak szaman Nawaho na peyotlu.

Leilani dziabnęła szarlotkę widelczykiem.

– I to, i to, prawdę mówiąc. Ale to nie peyotl. Tak jak mówiłam, dziś jest na kokainie i grzybkach halucynogennych, mocno podkreślonych lunatycznym urokiem.

Micky nie miała apetytu. Zostawiła ciasto nietknięte.

– Naprawdę była raz w szpitalu psychiatrycznym?

– Mówiłam ci wczoraj. Przepuścili jej przez głowę sześćset tysięcy voltów...

– Powiedziałaś, że pięćdziesiąt albo sto.

– Rany, przecież nie siedziałam przy monitorze. Musisz mi pozwolić na minimum swobody interpretacji.

– Gdzie był ten szpital?

– W San Francisco.

– Kiedy?

– Dwa lata temu. Skończyłam siedem lat.

– Kto z tobą mieszkał?

– Doktor Zagłada. Są razem już od czterech i pół roku. Widzisz, nawet świry mają chwile szczęścia. No więc w wariatkowie przepuścili przez Sinsemillę jakieś, powiedzmy, dziewięćset tysięcy voltów, mam nadzieję, że nie chcesz tego uściślać, i nic jej to nie pomogło, choć pewnie po kontakcie z jej mózgiem wysiadły bezpieczniki w całej elektrowni. Świetna szarlotka.

– Dziękuję, kochanie. Przepis Marthy Stewart. Oczywiście nie dała mi go osobiście. Podała go w telewizji.

– Leilani, na miłość boską – wtrąciła Micky – czy twoja matka zawsze... tak się zachowuje? – Nie, nie. Czasami jest zwyczajnie nieznośna.

– To nie jest śmieszne.

– Mylisz się. To śmieszne jak cholera.

– Ta kobieta jest groźna dla otoczenia.

– Szczerze mówiąc – odparta Leilani, jednocześnie zajadając placek – moja droga matka nie zawsze chodzi aż tak napruta. Takie numery zostawia na specjalne okazje – urodziny, rocznice, wejście księżycy do siódmego domu, koniunkcję Jowisza z Marsem, tego typu sprawy. Na ogół zadowolona się skrętem, żeby tylko zaszumiło jej w głowie. Czasami w ogóle nie bierze, choć wtedy akurat dostaje depresji.

– Może przestaniesz się opychać i porozmawiasz ze mną? – poprosiła Micky.

– Mogę mówić z pełnymi ustami, choć to nieelegancko. Przez cały wieczór ani razu nie beknęłam, więc chyba mogę sobie pozwolić. Nie daruję sobie ani jednego kawałka. Stara Sinsemilla nie upiekłaby czegoś tak smacznego nawet wtedy, gdyby od tego zależało jej życie – choć wątpię, żeby ktoś miał jej kiedyś powiedzieć „placek albo życie!”.

– A co piecze twoja mama? – spytała Geneva.

– Raz upiekła placek z dżdżownicami. Akurat przechodziła etap żywności naturalnej, przy czym według niej nie było nic dziwnego w jedzeniu mrówek w czekoladzie, kiszonych pędraków i białka ze zmielonych owadów. Placek z dżdżownicami definitywnie zakończył ten etap. Jestem absolutnie pewna, że to nie był przepis Marthy Stewart.

Micky wypiła kawę paroma długimi łykami, jakby zapomniała, że nie ma w niej alkoholu i choć zdecydowanie nie potrzebowała ożywienia. Ręce się jej trzęsły. Przy odstawianiu filiżanka zaszczekała o spodeczek.

– Leilani, nie możesz z nią dłużej mieszkać.

– Z kim?

– Ze starą Sinsemilla, a z kim? Przecież ona jest chora. Jak to się mówi, kiedy zamyka się kogoś w szpitalu psychiatrycznym wbrew jego woli – stanowi zagrożenie dla siebie i innych.

Dla siebie na pewno – zgotowała się Leilani. – Dla innych raczej nie.

– Dla mnie tak. Krzyczała, że jestem wiedźmą i że nie mam nad nią władzy.

Geneva poszła po dzbanek z ekspresu. Dołała Micky kawy.

– Może to cię uspokoi, kochanie. Na talerzu Leilani nie było już ciasta. Dziewczynka odłożyła widelczyk.

– Stara Sinsemilla cię przestraszyła, to wszystko. Potrafi być przerażająca jak Bela Lugosi, Boris Karloff i Wielki Ptak razem wzięci, ale nie jest niebezpieczna. Przynajmniej dopóki mój pseudoojciec dostarcza jej prochów. Gdyby poszła na odwyk, to by dopiero było.

Geneva dołała sobie kawy.

– Nie sędzę, żeby Wielki Ptak był straszny. Jest najwyżej denerwujący.

– Och, nie zgadzam się z panią. Ludzie, którzy przebierają się w wielkie, dziwne kostiumy, zasłaniające ich twarze... to straszniejsze niż spanie z bombą jądrową pod łóżkiem. Człowiek zaczyna się zastanawiać, jakie mają problemy.

– Przestań – rzuciła Micky ostro, choć bez złości, głosem ochryłym z desperacji. – Proszę cię, przestań już.

Leilani udała zdziwienie.

– Co mam przestać?

– Doskonale wiesz co. Przestań udawać, że nie rozumiesz. Porozmawiaj ze mną, rozwiążmy ten problem.

Leilani wskazała zdeformowaną ręką na ciasto Micky.

– Będziesz to jadła?

Micky przysunęła talerzyk do siebie.

– Oddam ciasto za poważną rozmowę.

– Przecież rozmawiamy poważnie.

– Zostało jeszcze pół szarlotki – wtrąciła Geneva wesoło.

– Więc poproszę kawałek.

– Reszta ciasta jest poza dyskusją – oznajmiła Micky. – W grę wchodzi tylko mój kawałek.

– Nonsens, kochanie. Jutro upiekę dla ciebie drugą szarlotkę.

Geneva podniosła się ze swojego miejsca.

– Ciociu, usiądź – powiedziała Micky. – Nie chodzi o ciasto.

– Dla mnie chodzi – mruknęła Leilani.

– Słuchaj, mała, tak nie można. Nie możesz tu przychodzić, sprzedawać nam te kawałki o niebezpiecznym mutancie, wkręcać się w...

– Wkręcać się? – powtórzyła Leilani z grymasem.

– Wkręcać się... – Micky zamilkła, zaskoczona tym, co chciała powiedzieć.

– W wątrobę? – podsunęła dziewczynka. Micky nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio pozwoliła sobie na jakiegokolwiek istotne zaangażowanie.

Leilani pochyliła się ku niej nad stołem, jakby szczerze chciała jej pomóc odnaleźć brakujące słowo.

– W pęcherzyk żółciowy? – zaproponowała. Uczucia są niebezpieczne. Jeśli się zaczyna coś czuć,

traci się odporność. Lepiej zostać na murach obronnych.

– Nerki? – włączyła się Geneva.

– Wkręcasz się w nasze serca – podjęła Micky, zamieniając „moje” na „nasze”, ponieważ w ten sposób rozkładała ryzyko na dwie osoby i czuła się mniej obnażona – a potem spodziewasz się, że nie zaregujemy, kiedy się przekonamy, że grozi ci niebezpieczeństwo.

Leilani nie odrzuciła pancerza ironii.

– Nigdy nie myślałam, że jestem sercowkrętem, ale podejrzewam, że to coś całkiem przyjemnego. W każdym razie zapewniam z całą powagą – jeśli dzięki temu dostanę ciasto – że moja matka nie stanowi dla mnie zagrożenia. Żyję z nią, odkąd mnie z siebie wykopała i ciągle mam komplet rąk i nóg, dziwnych, bo dziwnych, ale takich samych jak zaraz po urodzeniu. Stara Sinsemilla jest żalosna, nie straszna. Poza tym jest moją matką, a kiedy ma się dziewięć lat – nawet jeśli ma się także wyjątkową inteligencję i dar konwersacji – nie można się tak po prostu spakować, wyprowadzić, znaleźć dobre mieszkanie, świetnie płatną pracę w przemyśle komputerowym i od razu zacząć jeździć nową corvetą. Jestem przy niej uziemiona, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi, i wiem, jak się z nią obchodzić.

– Są specjalne organizacje...

– Mają dobre intencje, ale są do niczego – przerwała Leilani. Chyba mówiła z doświadczenia. – I na pewno nie chcę, żeby stara Sinsemilla znowu wylądowała w wariatkowie, gdzie znowu ją przetrzepią elektrowstrząsami, bo wtedy zostałabym sama z moim pseudoojcem.

Micky pokręciła głową.

– Nie zostawiliby cię pod opieką przyjaciela twojej matki.

– Kiedy nazywam go pseudoojcem, daję wyraz pobożnym życzeniom. To mój legalny ojczym. Ożenił się ze starą Sinsemilla cztery lata temu, kiedy skończyłam pięć lat. Wtedy nie czytywałam rzeczy na poziomie uniwersyteckim, ale rozumiałam, co się święci. Powiem wam, że wesele było niesamowite, choć nie mieli łąbędzia z lodu. Lubi pani łąbędzie z lodu, pani D.?

– Nigdy żadnego nie widziałam, kochanie.

– Ja też nie, ale podoba mi się sam pomysł. I od razu po ślubie powiedział, że choć nie adoptował mnie ani Lukipeli, powinniśmy używać jego nazwiska, choć i tak wolę nazwisko Klonk, z którym się urodziłam. Trzeba być wariatem, żeby chcieć się nazywać Maddoc – tak mówiliśmy, ja i Lukipela.

Teraz w oczach dziewczynki pojawiła się ta niepokojąca zmiana, jakby przez przejrzystą wodę przepłynęła nagle błotnista fala, jakaś nietypowa dla niej rozpacz, którą światło świec wydobyło z ukrycia.

Pomimo wiadomości o ślubie Micky chwyciła się mocno nadziei, że jej nowa potrzeba wystąpienia w roli – by tak powiedzieć – przyszywanej siostry może się zrealizować choćby w niewielkim stopniu.

– Nieważne, czy jest twoim ojczymem, odpowiednie organizacje na pewno...

– Odpowiednie organizacje nie złapały faceta, który zabił męża pani D. – odparowała Leilani. – Musiała sama zdybać Aleca Baldwina w Nowym Orleanie i go skasować.

– Z wielką satysfakcją – potwierdziła Geneva, unosząc filiżankę jakby w toaście na cześć wyzwalającej potęgi zemsty.

Tym razem w błękitnych oczach Leilani nie zaiskrzyła wesołość, kącika jej ust nie uniósł nawet najślabszy ironiczny uśmiech, w głosie nie brzmiały wyzywające nutki, kiedy spojrzała prosto w oczy Micky i odezwała się niemal szeptem:

– Kiedy byłaś ładną dziewczynką i źli ludzie zabrali ci to, czego nigdy, przenigdy byś im nie oddała, odpowiednie organizacje nie przysły ci z pomocą, prawda, Michelino?

To intuicyjne zrozumienie piekła, przez które Micky musiała przejść przed laty, było wręcz przerażające. Współczucie w tych błękitnych oczach wstrząsnęło nią i wypełniło przeświadczeniem, że ujawniły się najpilniej strzeżone tajemnice, brzydkie sekrety, które otoczyła nieprzepuszczalnym murem wstydu. I choć nigdy nie sądziła, że będzie rozmawiać z jakąkolwiek istotą ludzką o tych latach ciężkiej próby i upokorzenia, choć aż do tej chwili gniewnie zaprzeczałyby, że kiedykolwiek była czyjąś ofiarą, teraz to zdemaskowanie nie zraniło jej tak, jak się spodziewała, nie przeraziło jej ani nie zgębiło. Przeciwnie, poczuła, że tkwiący w niej boleśnie zaciśnięty supeł nagle się rozluźnił, i zdała sobie sprawę, że we współczuciu dziewczynki nie ma poczucia wyższości.

– Byli tu kiedyś? – spytała Leilani.

Micky nie mogła wykrztusić ani słowa; pokręciła głową, po raz pierwszy w życiu przyznając się do bolesnej przeszłości, na której zbudowała swoje życie. Postawiła swój pilnie strzeżony deser przed Leilani.

W tym towarzystwie tylko Geneva była skłonna do łez. Hałaśliwie wydmuchała nos. Oczywiście mogła także przeżywać znowu jakieś czułe chwile z Clarkiem Gable'em, Jimmym Stewartem lub Wiliamem Holdenem, ale Micky czuła, że ciotka doskonale zdaje sobie sprawę, co się wokół niej dzieje i twardo stoi na ziemi.

– Trudno by było wymyślić coś tak dziwnego – powiedziała.

– Tak, już to gdzieś słyszałam – mruknęła Leilani, ujmując widelczyk.

– Twój ojczym jest mordercą, prawda? Tak jak twoja matka okazała się dokładnie taka, jak opowiadałaś.

– Dobrana para, co? – rzuciła Leilani, krojąc ciasto na kawałki.

– Ale jedenaście osób? Jak mógł...

– Bez urazy, Micky, opowieść o doktorze Zagładzie i jego licznych morderstwach jest ponura, raczej męcząca niż ciekawa, i może tylko jeszcze bardziej popsuć atmosferę tego uroczego wieczoru. A i tak zrobiła się nieciekawa po występie starej Sinsemilli. Jeśli naprawdę chcesz się czegoś dowiedzieć o Prestonie Klaudiuszu Maddocu, bliskim krewnym kostuchy, poczytaj gazety. Od jakiegoś czasu nie piszą już o nim na pierwszych stronach, ale jeśli tylko zadasz sobie trochę trudu, znajdziesz na jego temat wszystko, czego dusza zapagnie. Ja wolę jeść ciasto, mówić o cieście, filozofować na temat ciasta i w ogóle spędzić ten wieczór pod znakiem ciasta.

– Aha. Doskonale cię rozumiem. Ale na pewno wiesz, że nie mogę nie zadać jeszcze jednego pytania.

– Pewnie, że wiem. – Dziewczynka opuściła spojrzenie na talerz, ale jej widelec zawisł bez ruchu nad ciastem.

– W filmach nigdy nie jest tak okropnie – odezwała się żałośnie ciotka Gen. A Micky zwróciła się do Leilani:

– Czy to on zabił twojego brata, Lukipelę?

– Tak.

W jadłodajni, obliczonej chyba co najmniej na trzysta osób, chłopiec bez psa prześlizguje się niezauważony obok zajętej hostessy.

Obrzuca salę pospiesznym spojrzeniem, zauważa tylko kilkoro dzieci, zawsze w towarzystwie dorosłych. Miał nadzieję, że będzie ich więcej, znacznie więcej, tak by mógł się pomiędzy nimi zgubić, jeśli będą go szukać oczy nieprzyjaciół.

Trzyma się z daleka od sali ze stołami i siedzeniami pokrytymi czerwonym winylem. Idzie prosto do kontuaru, przy którym goście okupują wysokie stołki. Prawie połowa miejsc jest wolna.

Wspina się na stołek i spogląda na dwóch kucharzy przy wielkich patelniach. Smażą bekon, mięso do hamburgerów, jajka i góry lśniących od tłuszczu, chrupiących smażonych ziemniaczków.

I tak, jakby psie serce już połączyło się z jego własnym, chłopiec czuje, że do ust napływa mu ślina. Musi ją szybko przełknąć, żeby nie wymknęła mu się z ust.

– Co dla szanownego pana? – pyta kelnerka.

Jest niesamowicie duża, prawie tak samo szeroka jak wysoka: piersi jak poduchy, okrągłe ramiona, szyja stworzona do rozrywania kołnierzyków i dumne liczne podbródki. Ma uniform z krótkimi rękawami, ukazującymi ramiona potężne jak u atlety, choć bez wyraźnych mięśni – ogromne, gładkie, różowe. Jakby dla dodania sobie wzrostu i zrównoważenia rozłożystości ciała, kelnerka dźwiga na głowie kolosalną wieżę lśniących kasztanowych włosów, splecionych, skręconych, ułożonych i upiętych w zadziwiający architektoniczny kształt, z małą żółto-białą czapeczką na czubku, która bez trudu mogłaby uchodzić za motyla.

Chłopiec wpatruje się w nią z podziwem, zastanawia się, jak to jest być taką kobietą, czy zawsze ona czuje się tak wielka i silna, jak wygląda, mocarna jak nosorożec, a może czasem czuje się tak samo słaba i przestraszona jak każda drobniejsza od niej osoba. Chyba nie. Jest majestatyczna. Dostojna, piękna. Może żyć według własnych zasad, robić, co się jej podoba, a cały świat będzie się do niej odnosił z szacunkiem i podziwem, który się jej słusznie należy.

Chłopiec nie może liczyć na to, że kiedykolwiek stanie się tak potężny. Z tak słabą wolą i zawodnym umysłem ledwie może udawać biednego Curtisa Hammonda. A jednak próbuje.

– Jestem Curtis i tata mnie przysłał po jakieś żarcie na drogę.

Kobieta ma melodyjny głos i olśniewający uśmiech, który prawie oślepia.

– A ja jestem Donella, bo mój tata nazywał się Don, a mama Ella, i uważam, że podajemy tu coś lepszego niż zwykle żarcie.

– Fantastycznie pachnie. – Na patelniach skwierczą, pryskają, parują i bulgoczą rozkoszne potrawy. – Rany, nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Naprawdę? Nie wyglądasz na takiego, co się wychował w szafie.

Chłopiec wytrzeszcza oczy, zastanawia się gorączkowo, usiłuje zrozumieć, o co jej chodzi, ale nie potrafi się powstrzymać od pytania:

– A pani?

– Co ja?

– Wychowała się pani w szafie?

Donella marszczy nos. Prawdę mówiąc, jest to jedyne miejsce, które może zmarszczyć, bo wszędzie indziej jej ciało jest cudownie pełne, okrągłe, gładkie i zbyt nabite, żeby zrobić się w nim choćby dołeczek.

– Ooo, rozczarowałaś mnie. Myślałam, że grzeczny z ciebie chłopiec, a nie taki mały cwaniaczek.

O Boże, znowu się pomylił, znowu wdepnął w kupę, mówiąc w przenośni, ale nie rozumie, czym ją obraził, i nie potrafi znaleźć sposobu, żeby odzyskać jej sympatię. Nie ośmieli się zwrócić na siebie uwagi innych, nie teraz, gdy tak wielu śmiertelnie niebezpiecznych łowców szuka chłopca jego wzrostu, a bezwzględnie musi zdobyć jedzenie dla siebie i suki, która na niego liczy. Ale to Donella stoi na drodze do zdobycia żarcia, czy jak tam się ono nazywa, kiedy nie jest zwykłym żarciem.

– Ale ja jestem grzeczny – zapewnia. – Mama zawsze była ze mnie dumna. Surowe spojrzenie Donelli nieco łagodnieje, choć nadal nie ma mowy o uroczym uśmiechu, którym go powitała.

Chłopiec dochodzi do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli przemówi z głębi serca.

– Pani jest taka niezwykła, taka piękna, taka wspaniała! Nawet komplementy nie potrafią przywołać jej uśmiechu.

Miękkie różowe rysy twardnieją jak kamień, a emanuje z nich taki chłód, że za chwilę na całym kontynencie Ameryki Północnej skończy się lato.

– Nie wyśmiewaj się ze mnie, Curtis.

Curtis zdaje sobie sprawę, że znowu ją obraził, choć nie ma zielonego pojęcia, co takiego powiedział. W oczach stają mu piekące łzy.

– Chciałem tylko, żeby mnie pani polubiła – mówi żałośnie.

To błagające o litość drżenie jego głosu zawstydziłoby każdego szanującego się chłopca z książki przygodowej.

Ale on w tej chwili nie szuka przygód. Szuka przyjaciela, co jest znacznie trudniejsze niż niebezpieczne zwroty akcji i bohaterские wyczyny.

Pewność siebie gwałtownie go opuszcza. Kiedy nie jest się pewnym siebie, nie można się ukrywać. Doskonały kamuflaż to tajemnica przetrwania. Tak mówiła mama, a ona dobrze się na tym znała.

Dwa stołki dalej szpakowaty kierowca podnosi głowę znad talerza z furą wafli i kurczaka.

– Nie znęcaj się nad chłopakiem. Przecież nie chciał. To nie to, co myślisz. Nie widzisz, że coś z nim nie tego?

Mały haczyk paniki wbija się w serce chłopca, który musi się przytrzymać kontuaru, żeby nie spaść ze stołka. Przez chwilę wydaje mu się, że wszyscy go rozpoznali, że wiedzą, iż jest najbardziej poszukiwaną rybką, na którą zarzucono tak wiele sieci.

– Ach, Burt Hooper się odezwał – odcina się majestatyczna Donella. – Mężczyzna, który nosi drelichowy kombinezon i wełniane gatki zamiast normalnych spodni i koszuli nie ma prawa mówić innym, że coś z nimi nie tego.

Burt Hooper przyjmuje jej słowa bez urazy, chichocze z rozbawieniem i dodaje:

– Jeśli mam wybierać między wygodą i byciem obiektem seksualnym, zawsze wybieram wygodę. – I całe szczęście – replikuje Donella. – Bo tak naprawdę nie masz wyboru.

Przez mgłę łez chłopiec znowu widzi wspaniały uśmiech, olśniewający uśmiech bogini.

– Przepraszam, że tak na ciebie warknęłam – mówi Donella.

Chłopiec usiłuje odzyskać panowanie nad sobą, ale język jeszcze mu się trochę płacze.

– Nie wiem, czym panią obraziłem. Mama zawsze mówiła, że najlepiej jest mówić z serca i właśnie tak zrobiłem.

– Teraz już to rozumiem, słoneczko. Z początku nie rozumiałam, że jesteś... jednym z tych nielicznych, którzy mają czystą duszę.

– Więc... myśli pani, że ze mną jest „nie tego”? – pyta, mocno zaciskając palce na ladzie, ciągle

trochę się bojąc, że rozpoznali w nim zbiega.

– Nie, kochanie. Uważam, że jesteś zbyt dobry jak na ten świat.

Jej słowa uspokajają chłopca i jednocześnie wytrącają z równowagi, więc robi jeszcze jeden wysięk i mówi z całą szczerością i uczuciem, których nie można wziąć za coś innego:

– Pani naprawdę jest piękna, oszałamiająca, niesamowita. Może pani żyć według własnych reguł, jak nosorożec.

Burt Hooper krztusi się waflami. Upuszcza widelec na talerz, chwyta szklanę z pepsa. Kaszle, napój wypływa mu przez nos, twarz robi się czerwona jak gotowany homar. Wreszcie mężczyzna łapie oddech tylko po to, żeby zacząć rechotać. Robi z siebie takie widowisko, że na pewno byłby z niego kiepski uciekinier.

Może właśnie przypomniał sobie jakiś bardzo śmieszny dowcip. Mimo to jego rozbawienie jest niegrzeczne, wdziera się we wzajemne przeprosiny Donelli i Curtisa.

Boska Donella piorunuje Burta spojrzeniem zirytowanego nosorożca. Brakuje jej tylko rogu na czole, żeby wizja była kompletna.

Z gardła mężczyzny wydzierają się urywane słowa, przeplatane kolejnymi parsknięciami.

– Cholera... nie mogę... jestem w... „Forreście Gumpie”! Chłopiec się dziwi.

– Widziałem ten film – mówi.

– Nie zwracaj uwagi – radzi Donella. – Wcale nie jesteśmy w „Forreście Gumpie”, tak jak nie jesteśmy w „Godzilli”. – Mam nadzieję, bo to był straszny jaszczur.

Burt znowu się krztusi, oj, żeby się nie udusił, choć przed chwilą wszystko było już w porządku. Chłopiec niepokoi się jego słabym zdrowiem. Może trzeba wezwać pogotowie?

– Jeśli ktoś tu ma pudełko czekoladek zamiast mózgu, to właśnie siedzi nad kurczakiem z waflami.

– Tak jak pan – zauważa Curtis. Potem do niego dociera. – Och...

Kierowca płacze ze śmiechu, ale to tylko sposób, w jaki ten biedny upośledzony człowiek radzi sobie ze swoją samotnością, kalectwem, bólem.

– Bardzo mi przykro. – Chłopiec głęboko współczuje temu jeżdżącemu ciężarówką Gumpowi. Teraz mu wstyd, jak mógł być tak nieczuły, że uważał go za zwyczajnie niegrzecznego? – Pomógłbym panu, gdybym mógł.

Kierowca wydaje się okropnie rozbawiony, ale oczywiście w ten właśnie sposób ukrywa zażenowanie.

– Ty? Mnie? Jak?

– Gdybym mógł, sprawiłbym, że byłby pan normalny, tak jak pani Donella i ja.

Upośledzony umyślowo kierowca jest tak głęboko wzruszony, że odwraca się plecami do Curtisa, by ukryć uczucia. Choć wszystko wskazuje na to, że Burt Hooper usiłuje zdławić atak śmiechu, chłopiec już rozumie, że to śmiech opuszczonego klauna, szczery, jeśli słucha się tylko uszami, lecz rozdzierająco smutny, jeśli posłucha się go sercem.

Donella okazuje panu Hooperowi nosorożcówą pogardę, odwraca się od niego.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Curtisie. Przez całe życie miał mnóstwo okazji, żeby stać się normalny, ale zawsze z całych sił się starał, żeby być równie żałosny, jak w tej chwili.

Chłopiec nie wie, co ma o tym myśleć, bo do tej pory sądził, że Gump nie miał żadnego wyboru, że musiał być Gumpem, bo takim stworzyła go natura.

– No dobrze – mówi Donella. – Zanim przyjmę twoje zamówienie, kochanie, czy na pewno masz czym zapłacić?



Chłopiec wysuwa z kieszeni kulkę zmiętych banknotów, w tym resztki zrabowane Hammondem i pięć dolarów, które pies wydobył spod ciężarówki.

– Proszę, proszę, zamożny dżentelmen – dziwi się Donella. – Na razie to schowaj, zapłacisz w kasie przy wyjściu. – Nie wiem, czy mi starczy – martwi się chłopiec, chowając swój majątek. – Potrzebne mi dwie butelki wody, cheeseburger dla taty, drugi dla mnie, frytki i pewnie ze dwa cheeseburgery dla Starego Rudzielca.

– Stary Rudzielec to pies?

Chłopiec rozpromienia się w uśmiechu. Wreszcie nawiązał z kelnerką pełny kontakt.

– No właśnie.

– Nie ma sensu płacić majątku za cheeseburgery, skoro coś innego posmakowałoby twojemu psu znacznie bardziej – doradza Donella.

– Co?

– Poproszę kucharza, żeby lekko obsmażył parę kawałków mielonki i wymieszał z gotowanym ryżem i sosem. Włożymy to do plastikowego pojemnika i damy ci z darmo, bo wszyscy kochamy pieski. Twój przyjaciel pomyśli, że umarł i poszedł do nieba.

Chłopiec z trudem powstrzymuje się, żeby jej nie poprawić. Po pierwsze, Stary Rudzielec to ona, nie on. Po drugie, z pewnością wie, ja wygląda niebo i nie pomyli raję z dobrą kolacją.

Ale nie wspomina o żadnej z tych spraw. Ścigają go źli ludzie. Zbyt długo pozostawał w jednym miejscu. Trzeba się ruszać, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Bardzo dziękuję. Pani jest właśnie tak cudowna, jak mi się pani wydała na pierwszy rzut oka.

Kobieta zaskakuje go, czule ściskając mu dłoń.

– Kiedy ludzie będą myśleli, że są od ciebie mądrzejsi, przypomnij sobie, co ci powiedziałam. – Pochyliła się nad ladą na tyle, na ile pozwala jej bajeczne ciało i szepcze słowa pachnące jagodami: – Jesteś lepszym człowiekiem od nich wszystkich.

Jej dobroć wywiera na chłopcu ogromne wrażenie. Świat znowu lekko mu się rozplywa przed oczami.

– Dziękuję pani.

Kobieta szczypie go w policzek, a on czuje, że by go pocałowała, gdyby mogła się tak nisko pochylić.

Jako zdesperowany, lecz dość niedoświadczony uciekinier na razie nie może narzekać na brak powodzenia. Teraz nabiera nadziei że nauczy się także rozmawiać z ludźmi, co ma dla niego zasadnicze znaczenie, jeśli dalej zamierza udawać zwyczajnego chłopca. Znowu wraca mu pewność siebie.

Głośne dudnienie strachu, towarzyszące mu od dwudziestu czterech godzin, przechodzi w cichszy werbelek niepokoju.

Odnalazł nadzieję. Nadzieję przetrwania. Nadzieję, że znajdzie swoje miejsce na Ziemi, gdzie będzie się czuł jak w domu.

Gdyby jeszcze odszukał ubikację, świat stałby się całkiem znośny.

Pyta Donellę, czy jest tu gdzieś ubikacja, a ona, zapisując jego zamówienie w małym notesie, wyjaśnia, że grzeczniej jest powiedzieć „toaleta”.

Curtis tłumaczy, że wcale nie chce robić toalety, tylko siusiu, które to wyjaśnienie budzi kolejną emocjonalną reakcję Burta Hoopera – wygląda na śmiech, ale prawdopodobnie ma bardziej skomplikowane podłoże psychologiczne, tak jak poprzednio.

W każdym razie ubikacja – toaleta – znajduje się na uboczu, na końcu długiego korytarza. Nawet

biedny pan Hooper albo sam Forrest Gump mógłby tam spokojnie trafić bez niczyjej pomocy. Jej wnętrze jest rozległe i fascynujące. Siedem kabin, pięć pisuarów, przy każdym pojemnik z mydłem w płynie i dwa pojemniki z papierowymi ręcznikami. Dwie suszarki, które uruchamiają się automatycznie, wystarczy podstawić pod nie ręce, choć nie są aż tak mądre, żeby wstrzymać powietrze, kiedy ręce są już suche.

Automat koło drzwi jest mądrzejszy od suszarek. Są w nim kieszonkowe grzebień, nożyczki do paznokci, zapalniczki i inne egzotyczne produkty, których chłopiec nie potrafi zidentyfikować; w każdym razie automat wie, czy został nakarmiony monetami, czy nie. Kiedy chłopiec pociąga za dźwignię, maszyna nie chce mu wydać durexów, cokolwiek by to było.

Chłopiec zdaje sobie sprawę, że jest w toalecie sam. Wykorzystuje tę rzadką okazję i biegnie od kabiny do kabiny, szybko pociągając za spłuczki. Szum i chlupot dobiegający z siedmiu toalet wydaje mu się niesamowicie zabawny, a rury aż grzechoczą. Fajnie!

Chłopiec opróżnia pęcherz, a potem myje ręce, zużywając tyle płynnego mydła, że w umywalce piętrzą się kłęby piany. Spogląda w lustro i widzi chłopca, który sobie poradzi, który znajdzie swoją drogę i zdoła się pogodzić ze stratą, chłopca, który nie tylko będzie żyć, ale w dodatku będzie mu się dobrze wiodło. Postanawia, że dalej będzie Curtisem Hammondem. Na razie nikt nie połączył tego nazwiska z zamordowaną rodziną z Kolorado. A skoro przyzwyczał się już do nowej tożsamości, to dlaczego ją zmieniać?

Szybko wyciera ręce papierowymi ręcznikami, ale potem i tak je podsuwa pod suszarkę, dla samej przyjemności włączenia automatu.

Odświeżony, idzie pospiesznie korytarzem między restauracją i toaletami i gwałtownie nieruchomieje, widząc, że przy ladzie stoją dwaj mężczyźni i rozmawiają z Hurtem Hooperem. Są wysocy, w stetsonach wydają się jeszcze wyżsi. Mają na sobie niebieskie dżinsy, wpuszczone w kowbojskie buty.

Donella chyba się kłóci z panem Hooperem, pewnie chce, żeby zamknął buzię, ale biedny pan Hooper chyba nie rozumie, czego kelnerka od niego chce, i gada dalej. Wskazuje w stronę toalety, dwaj mężczyźni oglądają się i spostrzegają Curtisa. Wpatrują się w niego, a on w nich.

Może nie są pewni, czy jest synem swojej matki, czy dzieckiem jakiejś innej kobiety. Może zdoła ich oszukać, udać jakiegoś zwyczajnego, kochającego baseball, nienawidzącego szkoły chłopca, którego zainteresowania ograniczają się do całkiem przyziemnych spraw, jak zapasy w telewizji, gry wideo, dinozaury i seryjne splukiwanie sedesów.

Ci dwaj są jego wrogami, to nie zwykli porządni obywatele, za jakich chcą uchodzić. Nie ma co do tego wątpliwości. Otacza ich wymowna aura napięcia; widać to w ich postawie, zachowaniu. W oczach.

Zaraz go rozpoznają, może nie od razu, ale wkrótce, a jeśli zdołają go złapać, to już po nim.

Dwaj kowboje ruszają jednocześnie w stronę Curtisa.

– Międzygalaktyczny statek kosmiczny, Obcy porywający ludzi, kosmiczna baza ukryta na ciemnej stronie Księżyca, supertajny program krzyżowania ludzi z kosmitami, zielone ludziki, które potrafią przenikać przez ściany, lewitować i wydawać tyłkiem dźwięk klarnetu... Preston Maddoc wierzy w to wszystko i jeszcze w parę rzeczy – oznajmiła Leilani.

Elektryczność padła. I tak od dawna siedziały przy świecach, ale elektroniczny zegarek na kuchence przestał pokazywać godzinę, a w salonie lampa z abażurem z różowego adamaszku zamrugła i zgasła. Stareńka lodówka zakrzuszyła się jak podłączony do respiratora umierający pacjent, zaburczała i zamilkła.

W kuchni i tak było cicho, ale lodówka nieco hałasowała. Teraz przez kontrast wydało się, że cały świat wstrzymał oddech, a za chwilę pojawi się duch i powie: „uuuu”.

Micky zorientowała się, że siedzi ze wzrokiem wbitym wyczekująco w sufit; prąd odcięto akurat w chwili, gdy Leilani mówiła o UFO, więc Micky nabrała szalonego przekonania, że zrobiło się ciemno nie dlatego, że Kalifornia przechodzi kryzys energetyczny, lecz ponieważ pulsujący, wirujący i latający spodek kosmiczny z dalekiej mgławicy zawisł nad przyczepą Genevy i spowodował zakłócenia w pracy urządzeń elektrycznych, tak jak się zawsze dzieje w filmach. Opuściła wzrok i przekonała się, że ciocia Gen i Leilani także wpatrują się w sufit.

W głębokiej ciszy do uszu Micky dobiegło stopniowo syczenie i trzaskanie spalających się knotów, dźwięk słaby jak wspomnienie dawnego syku węża.

Gen westchnęła.

– Znowu zaciemnienie. Nie powinni ich robić w nocy, tylko w godzinach szczytu. Może znowu coś się im pomieszało, jak zwykle.

– Mogę się obejść bez prądu, jeśli mam taki placek – powiedziała Leilani, choć nie tknęła drugiego kawałka.

– Więc doktor Zagłada ma świra na punkcie UFO – podjęła temat Micky.

– Pełnego, na trzysta sześćdziesiąt stopni, dogłębnego, całkowitego, doskonałego, niekłamanego i szczerego świra. UFO to tylko jedno z wielu jego zainteresowań. Od ślubu ze starą Sinsemillą poświęcił się latającym spodkom. Kupił tę wielką przyczepę i podróżujemy po całym kraju, do miejsc, w którym doszło do słynnych spotkań z kosmitami, od Roswell i Nowego Meksyku do Zadupia Wielkiego, gdzie sto lat temu widziano zielone ludziki. Jeździmy w nadziei, że znowu się pokażą. A kiedy gazety podają wiadomości o następnym pojawieniu się UFO albo o porwaniu człowieka przez Obcych, od razu prujemy w to miejsce, gdziekolwiek jest, żeby dotrzeć na miejsce, dopóki ślady nie ostygną. Zamieszkaliśmy na tydzień obok was tylko dlatego, że nasza przyczepa jest w przeglądzie, a doktor Zagłada nie chce się zatrzymywać w hotelu czy motelu, bo uważa, że to wylęgarnie febry i tych okropnych, żywiących się ludzkim ciałem bakterii, nie pamiętam, jak się nazywają.

– To znaczy, że za tydzień wyjedziecie? – spytała ciocia Gen. W kącikach jej oczu pojawiły się promieniste i spiralne zmarszczki zmartwienia.

– Raczej za parę dni. Przez cały lipiec stępieliśmy w Roswell, ponieważ w lipcu 1947 roku pilot statku kosmicznego, który się upił albo zasnął za sterami, rozbił swój spodek na pustyni. Doktor Zagłada uważa, że zielone ludziki wpadną z wizytą o tej samej porze co poprzednio. Pewnie na tej samej zasadzie co studenci wracający na studia. Kurczę, czy to nie dziwne, że te zielone kurduple szarpnęły się na jeden jedyny pojazd? Jeśli kiedykolwiek postanowią podbić Ziemię, nie musimy się martwić. Mamy do czynienia z cholernymi skąpiradłami.

Micky liczyła na to, że dziewczynka się zmęczy, ale im dłużej Leilani krążyła wokół sprawy swojego brata, tym bardziej zaczynała się denerwować.

– Czekaj, o co właściwie chodzi? Co UFO ma wspólnego z Lukipelą?

Leilani zawahała się.

– Doktor Zagłada twierdzi, że miał wizję, w której Obcy uzdrowili nas oboje.

– Uzdrowili? – Micky nie myślała o zdeformowanym ciele dziewczynki jak o chorobie. Pewność siebie Leilani, jej inteligencja i niepokorny duch sprawiały, że nie można było o niej myśleć jak o kalece, nawet teraz, gdy jej lewa ręka spoczywała na stole w całej okazałości.

– Luki urodził się z bardzo zdeformowaną miednicą, jego stawy były jak klocki lego, do których dorwała się małpa. Prawą kość udową miał krótszą od lewej, niektóre kości śródstopia były zrosnięte. Sinsemilla uważała, że środki halucynogenne, zażywane podczas ciąży, obdarzą dziecko nadnaturalną mocą.

Upalna noc przegrała z lodowatym zimnem narastającym w głębi ciała Micky. Pamięć podsunęła jej wizję wściekłej twarzy kobiety w falbaniastej koszuli nocnej, światło księżyca lśniące na ostrych czubkach jej wyszczerzonych zębów.

– Co pani sądzi o tej teorii? – zwróciła się Leilani do ciotki Gen; w jej głosie brzmiały słabe nutki zwykłego poczucia humoru, ale głośniejszy od nich był dźwięk od dawna tłumionego gniewu. – Do bani – oświadczyła ciotka Gen. Leilani uśmiechnęła się blado.

– Do bani. Nadal czekamy na ten dzień, gdy zacznę przepowiadać numery, które za tydzień padną w totku, rozpalać ogień siłą umysłu i teleportować się do Paryża na obiad.

– Niektóre problemy twojego brata... Wydaje mi się, że operacja by mi trochę pomogła.

– Och, matka jest zbyt cwana, żeby zaufać medycynie Zachodu. Ona polega na kryształach, zaklinaniu, ziołach i naparach, które wygrałyby każdy konkurs na najgorszy sztynek od czasu ścieków Kalkuty.

Micky dopiła kawę, nie zdając sobie sprawy, kiedy się to stało. Wstała, żeby sobie dolać. Czowała się bezradna i musiała czymś zająć ręce, bo gdyby ich nie zajęła, gniew by ją całkiem obezwładnił. Miała ochotę stłuc kogoś w imieniu Leilani, pobić do krwi, ale w pobliżu nie było nikogo takiego. A gdyby nawet poszła do Sinsemilli, żeby wbić jej do głowy trochę rozumu, i nawet gdyby oszalała księżycowa tancerka jej nie zabiła, sytuacja dziewczynki by się przez to nie poprawiła. Przeciwnie.

– Więc ten szalenięc włócił ciebie i Lukiego po całym kraju, szukając Obcych z mocą uzdrawiania – odezwała się z niemal zupełnych ciemności, nalewając kawę ostrożnie, jakby była ślepa.

– Z technologią uzdrawiania – poprawiła ją Leilani. – Wszystkie gatunki Obcych, które opanowały problem podróży międzygwiazdnych i porządnego korzystania z toalety przy prędkości ponadświatłowej, z całą pewnością potrafią usuwać zmarszczki czy wsadzić mnie w nowiutkie ciało, dokładnie takie jak to, ale bez niedoskonałości. W każdym razie z taką nadzieją jeździmy po kraju już od czterech lat.

– Leilani, kotku, ty tam nie wrócisz – oświadczyła Geneva. – Nie pozwolimy ci z nimi mieszkać. Prawda, Micky?

Być może jedyną dobrą stroną tego nieugaszonego gniewu, który zwęglił życie Micky, było to, że wypalił w niej wszystkie złudzenia. Micky nie żyła fantazjami zaczerpniętymi z filmów czy innych źródeł. Ciotka Gen może się uważać za Ingrid Bergman lub Doris Day, zdolną uratować nieszczęsną kalekę samą mocą olśniewającego uśmiechu i porywającego przemówienia – ze wzniosłą muzyką w tle – ale Micky wyraźnie widziała beznadziejność tej sytuacji. Z drugiej strony, jeśli w zamian otrzymała tylko brak nadziei, być może wypalenie złudzeń nie było jednak takim pożądanym efektem.

Znowu usiadła przy stole.

– Gdzie zniknął Lukipela?

Leilani spojrzała przez okno, ale tak, jakby oglądała coś bardzo odległego w czasie i przestrzeni.

– W Montanie. W górach.

– Kiedy?

– Dziewięć miesięcy temu. Dziewiętnastego listopada. Urodziny miał dwudziestego. Skończyłby dziesięć lat. W tej wizji starego doktora, w tej, w której podobno uleczyl nas kosmici, powiedziano, że wszystko się wydarzy, zanim skończymy dziesięć lat. Każde z nas stanie się doskonałe, zanim skończymy dziesięć lat. Tak obiecał Sinsemilli.

– Dziwne światła na niebie – zacytowała Micky. – Bładozielone promienie lewitacyjne, które zabierają cię na statek-matkę.

– Nie widziałam tego osobiście. Słyszałam, że to właśnie się przydarzyło Lukiemu.

– Słyszałaś? – podchwyciła ciotka. – Od kogo?

– Od mojego pseudoojca. Późnym popołudniem zaparkował naszą przyczepę na poboczu drogi. Nie na kempingu. Nawet nie na prawdziwym przydrożnym parkingu, ze stołem piknikowym, łazienkami czy czymś. Zwykle pobocze drogi, wokół pełno drzew. Powiedział, że później pojedziemy na camping dla przyczep. Na razie chciał obejrzeć pewne szczególnie ważne miejsce parę kilometrów dalej, gdzie jakiś Carver czy Carter podobno został trzy lata temu porwany przez fioletowe ośmiornice z Jowisza. Myślałam, że zawlecze ze sobą nas wszystkich jak zwykle, ale kiedy odłączył samochód od przyczepy, postanowił zabrać tylko Lukiego.

Dziewczynka zamilkła.

Micky nie naciskała. Chciała wiedzieć, co było potem, choć właściwie nie miała ochoty o tym słuchać.

Po jakimś czasie Leilani oderwała wzrok od listopadowego krajobrazu Montany i spojrzała Micky w oczy.

– Wtedy zrozumiałam, co się dzieje. Chciałam z nim pojechać, ale on... Preston... mi nie pozwolił. A Sinsemilla... złapała mnie i przytrzymała. – W korytarzach pamięci dziewczynki błąkał się duch, mały duch z biodrami jak klocki lego i jedną nogą krótszą. Micky niemal widziała jego kształt w tych wielkich niebieskich oczach. – Pamiętam, jak Lukipela szedł do samochodu, łapiąc tym swoim jednym zabudowanym butem, ze sztywną nogą, poruszając biodrami tak śmiesznie jak zwykle. A potem... kiedy odjeżdżali... Luki się obejrzał w moją stronę. Nie widziałam go dobrze, bo okno było brudne. Chyba mi pomachał.

Biedny głupi Burt Hooper, który śmieje się nad swoim talerzem, wie, że jest kierowcą ciężarówki i je kurczaka i wafle, ale nie orientuje się, że jest kompletnym Forrestem Gumpem, pocziwym, ale jednak Gumpem. Życzliwie wskazuje korytarz prowadzący do toalety.

Dwaj kowboje ruszają jednocześnie w stronę Curtisa.

Donella do nich woła, ale nawet ona, w całym swym majestatycznym ogromie, nie potrafi ich powstrzymać samym głosem.

Po prawej ręce Curtisa znajdują się wahadłowe drzwi z owalnym okienkiem. Jest zbyt wysoko, żeby coś przez nie zobaczył, więc otwiera drzwi, nie wiedząc, co za nimi znajdzie.

To wielka przemysłowa kuchnia z podłogą wykładaną białymi kafelkami. Szeregi wielkich piekarników, kuchenek, lodówek, zlewów i stołów, stalowych, lśniących i chłodnych, tworzą labirynt korytarzy – doskonałą drogę ucieczki dla przyczajonego, pochylonego chłopca.

Nie wszystkie przysmaki wychodzą spod rąk dwóch kucharzy w sali. Personel kuchni jest liczny i zapracowany. Nikt nie patrzy w stronę Curtisa.

Od pieca do pieca, koło wysokiej kuchenki, obok rzędu frytkownic pełnych wrzącego oleju, wokół długiego stołu – Curtis śmiga wąskim korytarzem, wyłożonym ażurowymi gumowymi matami. Biegnie pochylony, ma nadzieję, że zdoła się ulotnić przed nadejściem kowbojów. Stara się nie wpadać na kucharzy, przeciska się obok nich, uskakuje w lewo, prawo, ale oni już zaczęli zwracać na niego uwagę.

– E, mały!

– Co tu robisz?

– *Tener cuidado, muchacho!*

– Uważaj, uważaj!

– *Loco mocoso!*

Skreca w następny rząd, trochę dalej w głąb kuchni, kiedy słyszy nadejście kowbojów. Tego dźwięku nie można po – mylić z żadnym innym. Wahadłowe drzwi, pchnięte z furją i arogancją godną gestapo, prawie roztrzaskują się o ścianę, obcasy butów łomoczą o podłogę.

Personel kuchni cichnie i na chwilę nieruchomieje. Nikt nie pyta intruzów, kim są, nikt nie szczeka naczyńiami, by nie zwrócić na siebie uwagi, być może wszyscy się boją, że to agenci z biura imigracyjnego szukający nielegalnych przybyszów – jeden z pewnością się tu znajduje – i że w chwili złego humoru mogą narobić kłopotów nawet tym, którzy mają papiery w porządku.

Ale samym swoim wejściem kowboje sprawili, że chłopiec zyskał nagle licznych sojuszników. Przykucnięty, sunie dalej przez kuchnię, a kucharze, piekarze, przyrządzące sałatek i pomywacze usuwają mu się z drogi, ułatwiają przejście, zasłaniają go swoimi ciałami, nieznacznymi gestami kierują w stronę – miejmy nadzieję – tylnego wyjścia.

Chłopiec trzęsie się ze strachu, w ustach nagle czuje gorycz, być może to przedsmak śmierci. Płuca zaciskają się tak, że każdy wdech i wydech staje się wysiłkiem, serce stuka jak oszalały dzięcioł – a jednak chłopiec dokładnie czuje wszystkie rozkoszne aromaty smażonych kurcząt, pieczonego schabu, frytek. Strach nie pozwala zapomnieć o głodzie, a choć ślina ma gorzki smak, nie tłumi apetytu.

Odgłosy za jego plecami świadczą, że mordercy chcą go dogonić. Wkrótce pracownicy zaczynają podnosić głosy, gdy zdają sobie sprawę, że ci dwaj kowboje nie są z policji.

Curtis zatrzymuje się przy stole pełnym czystych talerzy i choć nadal kuli się nisko, odważa się podnieść głowę. Spogląda pomiędzy dwiema stertami naczyń i spostrzega jednego ze swoich

prześladowców, jakieś cztery metry od siebie.

Łowca jest przystojny, ma sympatyczną twarz. Gdyby się tak nie krzywił, gdyby tylko zdołał się uśmiechnąć, pracownicy kuchni od razu by go polubili i pokazali mu, gdzie się ukrywa zwierzyna. Ale choć Curtis daje się jeszcze czasem zwieść pozorom, jest na tyle spostrzegawczy, że widzi, jak z każdego poru tej twarzy sączą się mordercze toksyny, w których marynuje się mózg łowcy. Łatwiej byłoby wycisnąć sok brzoskwiniowy z garści suchych pestek niż z jego serca jedną kroplę litości. Prędzej by się to udało z kamieniem.

Chłopiec skrada się w stronę rzędu stołów obstawionych sałatkami; ponury kowboj rozgląda się na wszystkie strony, odpycha z drogi ludzi jak przedmioty. Jego towarzysz nie idzie tuż za nim; może zbliża się do chłopca inną drogą.

Pracownicy protestują już mniej, może ze względu na lodowatą obojętność łowców i ich stalowy upór, zbyt przerażający, by mu się przeciwstawiać. Takich ludzi widuje się w dziennikach telewizyjnych, kiedy napadają na sklepy czy urzędy, ponieważ ich żona postanowiła wystąpić o rozwód, bo stracili pracę albo tak po prostu. Mimo to kucharze i pomywacze nadal kierują Curtisa do wyjścia dyskretnymi gestami i spojrzeniami.

Na wpół kucający chłopiec chwieje się na boki z rękami rozłożonymi dla zachowania równowagi, całkiem jak przerażona małpka, skręca za róg długiego stołu rzeźniczego i natyka się na kucharza, który wytrzeszcza oczy na łowców. Ten kucharz w białym fartuchu wydaje się chłopcu aniołem, zwłaszcza że trzyma owinięte w folię parówki od hot-dogów, które właśnie wyjął z chłodziarki.

W kuchni rozlega się łomot i szcęk sypiących się na podłogę garnków. Ktoś wpadł przez wahadłowe drzwi. Ktoś ściga kowbojów. Znowu łomot obcasów na białej podłodze. Głosy. I krzyki:

– FBI! FBI! Stać, stać, stać!

Curtis chwyta parówki. Zaskoczony kucharz wypuszcza pakunek. Chłopiec śmiga obok niego, ściskając mocno smakowity łup. Pędzi ku wolności i prowizorycznej kolacji, zaskoczony nadejściem FBI, lecz ani trochę nie pokrzepiony tym niespodziewanym obrotem sytuacji.

Nieszczęścia chodzą parami, mawiała jego matka. Nigdy nie twierdziła, że sama wpadła na tę myśl. Uniwersalne prawdy często znajdują wyraz w obiegowych sloganach. *Nieszczęścia chodzą parami. A nawet stadami. A te stada chcą nas stratować. Ale kiedy chcą nas stratować, nie wpadamy w panikę, prawda, malutki? A on wiedział, że w tym miejscu powinien odpowiedzieć: Nie, nigdy.* Na co matka pytała: *A dlaczego nie wpadamy w panikę, kiedy stado chce nas stratować?* A on odpowiadał: *Bo jesteśmy zbyt zajęci uciekaniem!*

Za jego plecami, gdzieś w kuchni, talerze rozbijają się o podłogę, garnki czy coś podobnego brzęczą na kafelkach. Rozsypane łyżki, widelce czy noże dźwięczą stalowo jak dzwony obwieszczające demoniczne święto.

Potem rozlegają się strzały.

Kawa tak długo się podgrzewała, że nabrała lekkiej goryczki. Micky nalatała sobie już trzecią filiżankę, ale smak napoju mało ją obchodził. Opowieść Leilani napełniła ją taką goryczą, że kawa stanowiła jej idealne uzupełnienie.

– Więc nie wierzysz, że Lukipela odleciał z Obcymi – powiedziała ciocia Geneva.

– Udaję – szepnęła Leilani. – Przy doktorze Zagładzie udaję, że mu wierzę, jak to Luki do nas kiedyś wróci – za rok, dwa – w nowym ciele. Tak jest bezpieczniej.

Micky niemal spytała, czy Sinsemilla w to wierzy. Potem zdała sobie sprawę, że kobieta, którą dziś poznała, nie tylko bez trudu przyjmie taką opowieść do wiadomości, ale w dodatku uwierzy, że Luki i pełni współczucia kosmici wysyłają jej podprogowe wiadomości w powtórcie „Dynastii”, w reklamówce płatków kukurydzianych albo w locie ptaków.

Leilani wzięła do ust pierwszy kawałek drugiej porcji szarlotki. Żuła go dłużej, niż było trzeba, ze wzrokiem wbitym w talerz, jakby zdziwiona zmianą konsystencji ciasta.

– Dlaczego miałyby zabić bezbronne dziecko? – nie rozumiała Geneva.

– Bo tym się zajmuje. Tak jak listonosz zajmuje się roznoszeniem poczty. Jak piekarz piecze chleb. – Leilani wzruszyła ramionami. – Przeczytajcie coś o nim, a zobaczycie.

– Nie poszłaś na policję? – spytała Micky.

– Jestem tylko dzieckiem.

– Oni wierzą dzieciom – zapewniła Geneva. Micky wiedziała z doświadczenia, że niekoniecznie.

– Mniejsza o to – odezwała się. – Choćby ci nie chcieli uwierzyć, nigdy w życiu nie kupią opowieści twojego ojczyma o uzdrowicielach z kosmosu.

– Bo on im jej nie sprzeda. Twierdzi, że Obcy nie lubią rozgłosu. Nie tylko dlatego, że są tacy skromni. Mają na tym punkcie normalnego fioła. Podobno jeśli komukolwiek o nich powiemy, nigdy nie oddadzą nam Lukiego. Wiążą wielkie nadzieje z podniesieniem ziemskiej cywilizacji na poziom, którego wymaga włączenie Ziemi do Kongresu Galaktycznego – czasami nazywa go Parlamentem Planetarnym – a na to trzeba czasu. Na razie są strasznie zajęci potajemnym robieniem dobrych uczynków, ratowaniem nas przed wojną atomową i chronicznym łupieżem, więc nie życzą sobie, żeby przeszkadzała im banda ignorantów, którzy zaczną przeczesywać góry w Montanie i ich inne ulubione miejsca. Dlatego mamy rozmawiać o Obcych tylko między sobą. Sinsemilla to kupiła bez żadnego ale.

– A kiedy ma wyjaśnić, jak zginął Luki, co mówi? – chciała wiedzieć Geneva.

– Po pierwsze nikt tego nie zauważył, więc komu ma wyjaśniać? Ciągłe jesteśmy w drodze, szwendamy się po całym kraju. Nie mamy stałych sąsiadów. Żadnych przyjaciół, tylko znajomych, których spotykamy w drodze, na przykład na kempingu, a potem się z nimi rozstajemy i cześć. Sinsemilla już dawno odcięła się od rodziny. Jeszcze przed moim urodzeniem. Nie znam żadnego jej krewnego, nie wiem, gdzie mieszkają. Nigdy o nich nie mówi, chyba że zacznie pomstować na ich nietolerancję i skąpstwo – choć, same rozumiecie, używa barwniejszych określeń. Zawarłam z Bogiem umowę, w której jednym z punktów jest przysięga, że nigdy nie będę kłać jak moja matka, a w zamian za tę powściągliwość On da jej mnóstwo czasu, żeby uzasadniła swoje moralne wybory, kiedy już umrze i stanie na Sądzie Ostatecznym. Nie jestem pewna, czy Bóg, choć oczywiście jest Bogiem i strasznie dużo może, w pełni uświadamia sobie, w co się władował, zgadzając się na takie warunki.

Wzięła następny kawałek ciasta i znowu przeżuła go ze stoicką miną sugerującą, że właśnie spożywa brokuły, bez wyraźnego niesmaku, lecz z poświęceniem.



– No, ale jeśli policja zacznie pytać o Lukiego... – zaczęła Geneva.

– Wtedy powiedzą, że Luki nigdy nie istniał, że jest wytworem mojej chorej wyobraźni, jak przyjaciel ze snu.

– Kochanie, to im nie może ujść na sucho.

– Ale ujdzie. Jeszcze przed doktorem Zagładą Sinsemilla płątała się po całym kraju. Podobno mieszkaliśmy w Santa Fe, San Francisco, Monterey, Telluride, Taos, Las Vegas, Tucson i Coeur d'Alene. Niektóre miasta pamiętam, ale byłam za mała, żeby je rozpoznać. Parę miesięcy tu, kilka tam. Była z różnymi mężczyznami, niektórzy brali, inni sprzedawali prochy, wszyscy szukali łatwej, forsy, wszyscy przenosili się z miejsca na miejsce, bo jeśli zatrzymaliby się gdzieś na dłużej, miejscowe gliny zapewniłyby im zakwaterowanie na koszt państwa. W każdym razie, kto by tam teraz znalazł tych facetów i spytał, czy pamiętają Lukiego – jeśli w ogóle go pamiętają.

– Metryka – podsunęła Micky. – To byłby dowód. Gdzie się urodziłaś? Gdzie się urodził Luki?

Znowu kawałek ciasta. Znowu mechaniczne żucie.

– Nie wiem.

– Nie wiesz, gdzie się urodziliście?

– Sinsemilla mówi, że Parki nie mogą znaleźć człowieka, żeby przeciąć jego nić, jeśli nie wiedzą, gdzie się urodził, a nie będą wiedzieć, jeśli nigdy się nie wspomni o tym miejscu. W ten sposób będzie można żyć wiecznie. Poza tym nie wierzy w lekarzy i szpitale. Twierdzi, że urodziła nas w domu, gdziekolwiek wtedy mieszkaliśmy. W najlepszym wypadku przy pomocy położnej. Byłabym nieludzko zdziwiona, gdyby się okazało, że nasze narodziny zostały gdzieś odnotowane.

Gorzka kawa wystygła, ale Micky i tak upiła łyk. Bała się, że jeśli jej nie wypije, przyniesie zamiast niej brandy, bez względu na to, co o tym myśli Leilani. Alkohol nigdy nie gasił jej wściekłości. Piła, bo gorzała podsycala jej gniew, a ona długo czerpała z niego siłę. Żyła tylko dzięki niemu i do niedawna niechętnie się z nim rozstawiała.

– Znasz nazwisko ojca – powiedziała Geneva z nadzieją. – Gdyby go odnaleźć...

– Nie wiem, czy Lukipela i ja mieliśmy tego samego ojca. Sinsemilla nigdy o tym nie mówi. Może sama nie wie. Luki i ja nosimy takie samo nazwisko, ale to nic nie znaczy. Tak naprawdę to nie jest nazwisko ojca. Nigdy go nam nie wyjawiała. Ma hopla na punkcie nazwisk. Mówi, że mają magiczną moc. Jeśli zna się czyjeś nazwisko, ma się nad nim władzę, a jeśli nie zdradza się własnego, to władza jest jeszcze większa.

*Wiedźma, wiedźma z miotłą w dupie, wiedźma, satanistka, czarownica, sfrunęłaś z księżycy z moim imieniem na ustach, wydaje ci się, że możesz rzucić na mnie czar, bo sprytnie odgadłaś moje imię...*

Wściekle, rozszerzone oczy Sinsemilli z białkiem dookoła tęczówek pojawiły się we wspomnieniu Micky jak dwa nieziemskie księżycy. Wzdrygnęła się.

– Nazywa go Klonk, bo mówi, że taki dźwięk wydawała jego głowa, kiedy się w nią stukało. Strasznie go nienawidzi, może dlatego nienawidzi także mnie i Lukiego. Z jakiegoś powodu Lukiego bardziej niż mnie. Mimo wszystkich rewelacji na temat Sinsemilli Maddoc Geneva wzdrygnęła się na dźwięk tego oskarżenia.

– Leilani, kochanie, twoja matka jest bardzo chora, ale to jednak matka i na swój sposób bardzo cię kocha. – Ciocia Gen nie miała dzieci, choć nie z wyboru. Miłość, którą mogła obdarzyć córkę lub syna, nie ulotniła się z biegiem lat, lecz spotęgowała się jeszcze bardziej, dzięki czemu ciocia mogła obdarzyć nią wszystkich, których знаła. – Żadna matka nie może szczerze nienawidzić swojego dziecka, skarbie. Żadna matka na świecie.

Micky pomyślała z żalem – nie po raz pierwszy – że chciałaby być córką Genevy. Jakże inaczej wyglądałoby jej życie, wolne od gniewu i autodestrukcyjnych impulsów.

Geneva spojrzała w oczy Micky, ujrzała w nich miłość i uśmiechnęła się, ale potem zobaczyła coś jeszcze, co uświadomiło jej własną naiwność. Jej uśmiech drgnął, zbladł, zniknął.

– Żadna matka – powtórzyła cicho, lecz tym razem zwracając się do Micky. – Tak zawsze myślałam. Gdybym zdała sobie sprawę, że jest inaczej, nie stałabym tak... z boku.

Micky odwróciła spojrzenie, bo nie chciała rozmawiać o swojej przeszłości. Nie teraz, nie tutaj. Teraz chodziło o Leilani Klonk, nie o Michelinę Bellsong. Leilani miała dopiero dziewięć lat i choć tyle przeszła, nie stała się pokrecona; była twarda, mądra, miała jeszcze szansę, miała przyszłość, nawet jeśli w tej chwili ta przyszłość wisiała na pajęczej nitce. Jeszcze nie popełniła tysiąca głupich błędów. W tej dziewczynce Micky dostrzegła nadzieję na dobre, czyste życie z prawdziwym celem – czego w sobie jeszcze nie widziała.

– Nienawidzi Lukiego bardziej niż mnie, bo nadała mu to imię. Twierdzi, że nazwała mnie Leilani, co znaczy „rajski kwiat”, bo może... może dzięki temu ludzie nie będą we mnie widzieli tylko żalostnej kaleki. Tak wygląda matczyzna troska w interpretacji starej Sinsemilli. Ale podobno poznała się na Lukim, jeszcze zanim go z siebie wydusiła. Lukipela to hawajski Lucyfer.

Przeżona Geneva wyglądała tak, jakby sama miała pójść po brandy, przed którą Micky tak długo się broniła.

– Zdjęcia – podsunęła Micky. – Zdjęcia twoje i Lukiego. To byłby dowód, że nie jest tylko wytworem twojej wyobraźni. – Zniszczyli wszystkie. Bo kiedy wróci z Obcymi, będzie zupełnie sprawny. Gdyby ktoś zobaczył zdjęcia, na których jeszcze ma zdeformowane ciało, od razu by się połapał, że to kosmici go uleczyli. No i dopiero by się zaczęło. Nasi pozaziemscy przyjaciele musieliby się zająć tylko uciekaniem przed łowcami i nie mieliby czasu udoskonalić ludzkiej cywilizacji i wywindować nas do Parlamentu Planetarnego. A my byśmy stracili wszystkie atrakcje, które się wiążą z członkostwem. Sinsemilla kupuje to bez mrugnięcia okiem. Może dlatego, że chce. Ja ukryłam dwa zdjęcia Lukiego, ale je znaleźli. Teraz widzę jego twarz tylko w pamięci. Codziennie sobie przypominam, jak wyglądał, odświeżam wszystkie szczegóły, zwłaszcza uśmiech. Nie pozwolę, żeby jego twarz się zatarła. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądał. – Jej głos złagodniał, ale nabrał przejmującego brzmienia. – To nie w porządku, że był tu przez dziesięć lat, cierpiał tak, jak cierpiał, a potem nagle zniknął, jakby nigdy nie istniał. To nie w porządku. Do diabła, nie w porządku. Nie. Ktoś musi o nim pamiętać. Rozumiecie? Ktoś musi.

Ciocia Gen pojęła wreszcie całą zgrozę sytuacji dziewczynki i oszołomiona zamilkła, jakby nagle coś poraziło jej uczucia. Przez całe swoje życie aż do teraz zawsze potrafiła znaleźć idealne słowa pocieszenia w każdej sytuacji, wiedziała, kiedy zdoła ukoić obolałe serce samym pogładzeniem włosów, uciszyć strach jednym pocałunkiem w czoło.

Micky zaczęła się bać. Nie bała się tak co najmniej od piętnastu lat. Znowu poczuła, że jest bezsilna wobec losu, przypadku, niebezpiecznych ludzi, tak samo bezsilna jak przez całe dzieciństwo. Nie przychodził jej do głowy żaden sposób ratunku, tak jak nigdy nie potrafiła znaleźć sposobu uratowania samej siebie, i ta bezsilność sugerowała, że nigdy nie zdoła zdobyć się na odwagę, inteligencję i determinację taką, by odkupić własne zmarnowane życie, co byłoby wyjątkowo trudnym zadaniem.

Leilani zjadła z powagą drugi kawałek placka – z taką powagą, jakby nie zaspokajała własnych potrzeb, lecz jakby jadła w imieniu kogoś, kto nie mógł dziś usiąść z nimi przy stole, jakby jadła w imieniu chłopca o strasznie zdeformowanej miednicy i biodrach jak z klocków lego, chłopca, któremu

pewnie by smakowała szarlotka i którego trzeba było pamiętać. Płomień zatrzepotał jak motyl, syknął, z osmalonego knota uniosła się serpentyna dymu. Jedna z trzech świec wypaliła się do końca, a ciemność skwapliwie przysunęła się do stołu.

Jego uwagę przykuwają strzały, ale także parówki. Łowcy są o krok, lecz chaos zapewnia osłonę. Wszędzie niebezpieczeństwo, choć widać światełko nadziei.

Nawet w najstraszniejszych chwilach widać światło, jeśli tylko ma się dość wiary, by je zobaczyć. Strach to trucizna, którą produkuje mózg, odwaga to antidotum zmagazynowane w sercu i zawsze gotowe do użycia. W niepowodzeniu kryje się ziarno przyszłego tryumfu. Ci, którzy nie wierzą w celowy porządek rzeczy, nie mają nadziei, lecz ci, którzy widzą sens każdego dnia, będą żyli w radości. W walce z górującym nad tobą przeciwnikiem przekonasz się, że kopniak w genitalia na ogół bywa bardzo pomocny.

Te i niezliczone inne mądrości pochodzą z Wielkiej Matczynej Księgi Porad dla Ściganych Niedoszłych Kameleonów. Oczywiście nigdzie jej nie opublikowano, choć chłopiec widzi jej strony równie wyraźnie, jak strony każdej prawdziwej książki, jaką kiedykolwiek zdarzyło się mu przeczytać, każdy rozdział zdobywanej w pocie czoła mądrości. Jego mama była przede wszystkim mamą, ale także powszechnie poważanym symbolem walki z uciskiem, nauczycielką wolności, której lekcje – zarówno filozoficzne spostrzeżenia, jak i praktyczne porady w kwestii przetrwania – przekazywano z ust do ust, tak jak ludowe przypowieści, snute przez stulecia w świetle ognisk i kominków.

Curtis ma nadzieję, że nie będzie musiał nikogo kopać w genitalia, choć jest gotów na wszystko, byle przetrwać. Z natury jest raczej marzycielem niż intrygantem, bardziej poetą niż wojownikiem, choć musiałby się porządnie wysilić, żeby dostrzec coś poetycznego lub wojowniczego w małych skokach z parówkami przyciśniętymi do piersi, w haniebnej ucieczce z pola bitwy, która nagle wybuchła za jego plecami.

Wokół stołów i pod nimi, obok wysokich otwartych szafek pełnych talerzy, za akcesoriami nieznanego przeznaczenia, Curtis przedziera się niezmordowanie w głąb kuchni, dokąd kierowali go pracownicy. Teraz żaden nie wskazuje mu drogi. Są zbyt zajęci szukaniem schronienia, człoganiami się niczym żołnierze pod nagłym ostrzałem, odmawianiem modlitw; każdy skupiony na uratowaniu własnego siedzenia, które ich mamy obsypywały niegdyś z taką miłością talkiem.

Oprócz ostrego szczekania strzałów Curtis słyszy także metaliczny cymbałkowy dźwięk pustych łusek, padających na metalowe powierzchnie, i świst pocisków uderzających – cak! – w drewno lub gips, dziurawiących sagany z zupą z głuchym „bonk” i przebijających puste rondle z pustym wibrującym „ping!”. Rozstrzeliwane talerze eksplodują w hałaśliwych dysonansach, metalowe stojaki jazgoczą zgrzytliwymi arpedżiami; z rzędu lodówek gwałtownie unosi się toksyczna mgła, wydzielające się opary syczą jak zgorzona widownia podczas symfonii wykonywanej przez dyletanta. Być może na tym polu bitwy chłopiec mógłby jednak dostrzec jakąś poezję.

FBI nie ma zwyczaju zaczynania negocjacji od strzelaniny, co oznacza, że pierwszy strzał musieli oddać kowboje. A oni nie uciekliby się do przemocy tak szybko, gdyby nie mieli pewności, że agenci wiedzą, z kim mają do czynienia.

Zdumiewające odkrycie; Curtis nie może w pełni go pojąć w chaosie, który się rozpętał. Jeśli władze dowiedziały się o mrocznych siłach, które go ścigają, to wiedzą także o nim, a jeśli potrafią rozpoznać łowców, to rozpoznają i jego.

Curtis sądził, że ściga go pluton prześladowców. Tymczasem możliwe, że jest ich cała armia. A wrogowie jego wrogów niekoniecznie muszą być jego przyjaciółmi, przynajmniej nie w tym wypadku.

Dociera do końca następnego rzędu i natyka się na kuchcika siedzącego na podłodze w kącie za

wysokimi szafkami. Biedak jest wyraźnie sparaliżowany ze strachu. Siedzi skulony, starając się zajmować jak najmniej miejsca, unikać zabłąkanych kuł. Na głowę włożył wielki stalowy cedzak, jak kapelusz, przytrzymuje go oburącz, wciśnięty tak głęboko, że nie widać twarzy, być może uważając go za dobrą osłonę przed kulami.

Gdzieś w innym miejscu kuchni rozlega się krzyk mężczyzny. Może został ranny. Curtis nigdy nie słyszą? krzyku rannego człowieka, ten jest ohydny kwikiem cierpienia. Chłopiec zna już takie krzyki, słyszał je nawet zbyt często. Trudno uwierzyć, że te straszne, bolesne wrzaski spowodowała jedna zwykła kula. Przez dziurki cedzaka widać lśniące z przerażenia oczy kuchcika, który mówi po wietnamsku, a metalowe nakrycie głowy nie tłumi jego słów:

– Zabijają nas wszystkich!

Curtis odpowiada w jego języku, dzieli się z nim mądrą radą mamy, która być może przyniesie mu odrobinę pocieszenia:

– W nieszczęściu kryje się ziarno przyszłego tryumfu.

Może nie jest to najzręczniejsze posunięcie, ale przerażony kuchcik reaguje naprawdę przesadnie, w końcu chłopiec miał dobre zamiary.

– Wariat! Świr!

Curtis, wstrząśnięty, lecz zbyt uprzejmy, żeby odpowiedzieć, rusza dalej.

Bolesne krzyki robią z krwią chłopca to samo, co ocet robi z mlekiem i choć krzyki szybko milkną, krew ścina się dalej. Chłopiec traci apetyt na parówki, ale mocno przyciska je do piersi, widząc z doświadczenia, że głód szybko powróci, nawet po mdlącym strachu.

Poza tym musi pamiętać o Starym Rudzielcu. *Dobra psina. Już do ciebie idę.*

Od strzelaniny zaczyna mu dzwonić w lewym uchu. Mimo to słyszy krzyki ludzi, przekleństwa, drżący głos kobiety, odmawiającej w kółko „Zdrowaś Mario”. Brzmienie tych wszystkich głosów świadczy, że walka jeszcze się nie skończyła i chyba nie będzie krótka. W żadnym głosie nie dźwięczy ulga, tylko kłujący strach, niepokój, nieufność.

W głębi kuchni chłopiec natyka się na kilku pracowników, którzy wbiegają w jakieś otwarte drzwi. Ma zamiar za nimi pójść, ale potem zdaje sobie sprawę, że to grube metalowe drzwi chłodni. Może nadaje się ona na schron.-

Curtis nie chce do schronu, musi znaleźć wyjście. I to szybko.

Następne drzwi. Za nimi mały składzik, najwyżej trzy na cztery metry, z drzwiami w przeciwległej ścianie. To także chłodnia, perforowane metalowe półki po obu stronach. Na półkach dwulitrowe plastikowe kanisterki z sokiem pomarańczowym, grejpfrutowym, jabłkowym, z mlekiem, pojemniki z jajkami, kawały sera...

Chłopiec łapie kanister soku pomarańczowego, postanawiając wrócić kiedyś do Utah – rzecz jasna przy założeniu, że zdoła ująć z tego stanu z życiem – i zapłacić za sok i parówki. Ma szczerzy zamiar spłacić wszystko co do grosza, ale i tak czuje się jak przestępca.

Z bijącym sercem zbliża się do drzwi na końcu chłodni; okazuje się, że za nimi znajduje się większe i cieplejsze pomieszczenie pełne produktów, które nie wymagają przechowywania w chłodzie. Kartony papierowych serwetek, papieru toaletowego, środków do czyszczenia, pasty do podłogi.

Logicznie rzecz biorąc, takie pomieszczenie powinno mieć wyjście na zewnątrz, prowadzące na rampę wyładunkową albo parking. Za następnymi drzwiami okazuje się, że logika została nagrodzona. Ciepły wietrzyk, wolny od kuchennych zapachów i gryzącej woni prochu, skacze na niego jak rozbawiony pies i mierzwi mu włosy.

Chłopie skręca na prawo i pędzi co sił mroczną rampą. Cztery betonowe schodki prowadzą na asfaltowy parking, jeszcze ciemniejszy od rampy.

Samochody, które tu stoją, należą prawdopodobnie do pracowników restauracji, stacji benzynowej, motelu i innych placówek. Przede wszystkim furgonetki; nieliczne samochody osobowe są odrapane tak, jakby odbywały podróże znacznie dalej niż do supermarketu.

Curtis wpada między dwa samochody osobowe, ściskając w jednej ręce kanister ze złotem Florydy, a paczkę parówek w drugiej. Chce jak najszybciej się stąd ulotnić, zanim agenci FBI, łowcy przebrani za kowbojów oraz policjanci z wydziału ścigania złodziei parówek dopadną go wszyscy naraz i zmiotą z powierzchni ziemi.

W chwili gdy znika w cieniu między pojazdami, słyszy krzyki i tupot nóg – nagle przerażająco bliskie.

Obraca się w stronę, z której przybiegł, gotów zdzielić pierwszego prześladowcę kanistrem soku. Parówki jako broń są zupełnie do niczego. Mama uczyła go samoobrony, ale nigdy nie wspominała o wykorzystaniu jakichkolwiek kiełbasek. Po soku w arsenale zostanie mu już tylko kopniak w genitalia.

Dwóch, trzech, pięciu mężczyzn wyskakuje przed samochód tuż obok, robiąca wrażenie grupa wspaniałych okazów, wszyscy w czarnych kamizelkach lub czarnych kurtkach z wielkim białym napisem FBI z przodu i tyłu. Dwaj mają karabiny, pozostali rewolwery. Są zwarci, gotowi, wściekli – i tak intensywnie wpatrują się w tylne wyjście z restauracji, że żaden nie dostrzega mijającego ich Curtisa. Chłopiec prze – chodzi obok nich niezauważony, dzierżąc niebezpieczny kanisterek soku i parówki.

Curtis oddycha głęboko pustynnym powietrzem. Kieruje się na zachód, kryjąc się za samochodami. Nie wie, gdzie powinien iść, ale przede wszystkim chce się oddalić od tych budynków.

Wymija furgonetkę, wpada w nowy rząd samochodów – i otóż jego wierna psina, czeka na niego, czarny kształt upstrzony paroma plamami bieli, jak światło księżycy unoszące się na czarnej nocnej tafli stawu. Jest czujna, uszy postawione, uwaga skupiona nie na parówkach, lecz na chłopcu.

*Dobra psinka. Zbierajmy się stąd.*

Psina zrywa się z asfaltu i rusza truchcikiem, niezbyt szybko, żeby chłopiec mógł za nią nadążyć. Curtis ufa jej bardziej wyostrzonym zmysłom i idzie za nią w nadziei, że nie wyprowadzi go prosto w objęcia współników kowbojów, być może – na pewno – czekających w pobliżu, albo w ręce kolejnego uzbrojonego po zęby oddziału agentów FBI.

Dla wszystkich z wyjątkiem Noaha Farrela Przystań dla Samotnych i Zapomnianych nazywa się Domem Opieki Ciężo Vista. Prawdziwa nazwa sugeruje niebiański widok, lecz jest raczej mgieniem czyśca.

Noah Farrel właściwie nie wie, dlaczego nadał tej instytucji inną, w dodatku tak ckliwą nazwę. Życie całkowicie oczyściło go z czułościowości, choć zostały w nim jeszcze resztki niedającego się wypełnić romantyzmu.

Nie żeby coś w tej instytucji kojarzyło się z romantyzmem – może z wyjątkiem hiszpańskiej architektury i chodnikami wśród pergoli, porośniętych pnączami o żółtych i fioletowych kwiatach. Mimo tych zachęcających zakątków nikt nie przychodził tu w poszukiwaniu romansów czy przygód.

Podłogi w całym domu opieki – szary winyl w brzoskwiniowe i turkusowe plamki – były nieskazitelnie czyste. Brzoskwiniowe ściany z białymi sztukateriami dawały wrażenie przestronności i przytulności. Czystość i wesołe kolory to było jednak za mało, żeby wprowadzić Noaha w wakacyjny nastrój.

Była to instytucja prywatna, zatrudniająca przyjaznych, oddanych swej pracy ludzi. Noah doceniał ich profesjonalizm, ale uśmiechy i powitania wydawały się mu fałszywe – nie żeby wątpił w szczerść intencji, lecz według niego w tym miejscu trudno było się zdobyć na uśmiech płynący z serca. Poza tym zawsze przybywał tu z takimi wyrzutami sumienia, że pod ich ciężarem nie potrafił z siebie wykrzesać żadnych innych uczuć.

W głównym holu, za pokojem pielęgniarek, Noah natknął się na Richarda Velnoda. Richard wołał, żeby go nazywać Rickster – tym czułym zdrobnieniem zwracał się do niego ojciec.

Rickster człapał powoli, uśmiechając się sennie, jakby piaskowy dziadek już dmuchnął mu piaskiem snu na powieki. Z byczym karkiem, masywnymi ramionami oraz krótkimi rękami i nogami wyglądał jak postać z baśni, zawsze dobrotliwa: miły troll, serdeczny kobold, strzegący, a nie prześladowający górników w głębokich niebezpiecznych sztolniach.

Wiele osób reaguje na ofiary z głębokim zespołem Downa litością bądź zażenowaniem. Noah przy każdym spotkaniu z tym dzieckiem – dwudziestosześcioletnim, ale do pewnego stopnia zawsze dzieckiem – czuł przesywającą świadomość niedoskonałości wszystkich bez wyjątku dzieci tego świata oraz wdzięczność, że jego najgorsze wady da się naprawić, jeśli znajdzie się na to dość siły woli.

– Czy ta mała nie boi się nocy? – spytał Rickster.

– Jaka mała? – odpowiedział pytaniem Noah. Rickster trzymał dłonie stulone razem, jakby chował w nich skarb, godny złożenia jedynie u stóp tronu lub ołtarza. Noah pochylił się, żeby spojrzeć; dłonie Rickstera rozchyliły się z wahaniem, jak nieufny małż zazdrośnie strzegący cennej perły. Po dłoni pełzała biedronka, której pomarańczowy pancerzyk lśnił jak lakierowany koralik.

– Potrafi latać. – Rickster szybko stulił dłonie. – Wypuszczę ją. – Wyjrzał za okno w mrok nocy, która niedawno zapadła. – Może się boi. Bo jest ciemno, wiesz.

– Znam się na biedronkach – zapewnił go Noah. – Wszystkie uwielbiają latać po ciemku.

– Na pewno? Jak jest ciemno, to nie ma nieba i wszystko robi się duże. Żeby mi się nie przestraszyła.

Miękkie rysy Rickstera, tak jak jego szczerze oczy, promieniowały wrodzoną dobrocią, której nie musiał się uczyć od innych, a także nieskalaną niewinnością. To dlatego należało potraktować poważnie jego troskę o owada.

– Biedronki nie lubią ptaków, wiesz? – Wiem. Ptaki zjadają owady.

– Właśnie. Ale ptaki w nocy idą spać i nie budzą się aż do rana. Twoja biedroneczka będzie bezpieczniejsza w nocy.

Strome czoło Rickstera, jego płaski nos i grube rysy twarzy wydają się najlepiej dostosowane do poważnej miny, ale jego uśmiech jest szeroki i zniewalający.

– Uwolniłem wiele, wiesz?

– Wiem.

Muchy, mrówki. Ćmy zmęczone obijaniem się o szyby albo mole objedzone wełną. Wielonogie pająki. Malutkie stawonogi, zwijające się w kłębek w chwili zagrożenia. Wszystkie one i jeszcze inne uratowane przez dziecko-mężczyznę, zabrane z Cięło Vista i wypuszczone na wolność.

Raz, gdy przerażona mysz śmigła z pokoju do pokoju po korytarzach, uciekając przed komicznym pościgiem sprzątaczy i pielęgniarek, Rickster przykłęknął i wyciągnął do niej rękę. Jakby wyczuwając w nim ducha odrodzonego świętego Franciszka, przerażona uciekiniarka przybiegła do niego, prosto na dłoń, aż zatrzymała się dopiero na ramieniu. Ku zachwytowi i aplauzowi pracowników oraz pensjonariuszy Rickster wyszedł na zewnątrz i wypuścił dygocące zwierzę na trawnik, skąd popędziło ku grządce czerwonych i koralowo-różowych niecierpków.

Ponieważ była to mysz domowa, z całą pewnością przedkładająca ciepło domowego ogniska nad dzikie pola, prawdopodobnie przycupnęła w kwiatach do czasu, aż wszyscy poszli spać. W nocy wróciła do ogrzewanego i wolnego od kotów sanktuarium domu opieki.

Na podstawie tych akcji ratunkowych Noah doszedł do wniosku, że Rickster uważa instytucję Cięło Vista – mimo troskliwego personelu i wszystkich wygod – za nienaturalne miejsce dla wszystkich form życia.

Przez pierwsze szesnaście lat swojego życia chłopiec mieszkał w większym świecie razem z rodzicami. Zginęli w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę na autostradzie, zaledwie dziesięć minut drogi od domu, choć okazało się, że znacznie bliżej mają na tamten świat.

Wujek Rickstera, zarządca, spadku, był także opiekunem prawnym chłopca. Czarna owca w rodzinie została wysłana do Cięło Vista. Chłopiec przybył tu nieśmiały, zastraszone, potulny. Po tygodniu stał się wyzwolicielem owadów i obrońcą myszy. – Już raz, może dwa wyniosłem taką małą, ale wtedy był dzień.

Noah doszedł do wniosku, że Rickster może się trochę bać nocy.

– Chcesz, żebym ją zabrał na dwór i wypuścił?

– Nie, dziękuję. Chcę zobaczyć, jak odlatuje. Położę ją na różach. Będą się jej podobać.

Rickster poczłapał w stronę wyjścia, opiekuńczo osłaniając dłońmi biodronkę i trzymając ją przy sercu.

Noah poczuł, że jego stopy stają się tak samo ciężkie, jak ciężkie wydają się stopy człapiącego Rickstera. Starał się nie powłóczyć nogami w drodze do pokoju Laury.

– Laury dziś zupełnie nie ma! – zawołał za nim wyzwoliciel biedronek, jakby po namyśle. – Poszła w to miejsce.

Noah zatrzymał się, zdjęty nagłą trwogą.

– W które miejsce?

– W to smutne – odpowiedział chłopiec, nie odwracając się. Pokoik na końcu korytarza był mały, ale nie ciasny. Nic w nim nie krzyczało „szpital!”, nie szeptało „sanatorium...”. Podrabiany perski dywan, choć taniutki, nadawał mu wdzięku i ciepła – kolory ciemne jak klejnoty i jak klejnoty wyraziste, jak piracka skrzynia pełna szafirów, szmaragdów, rubinów. Meble nie należały do typowego dla takich



instytucji wyposażenia z laminatu i aluminium – zrobiono je z klonowego drewna, któremu nadano kolor i połysk caberneta.

Źródło światła stanowiła jedna z lamp stojących na dwóch nocnych stolikach po obu stronach samotnego łóżka. Laura nie dzieliła z nikim pokoju, ponieważ nie miała zdolności współżycia z innymi, rozwiniętych w stopniu pozwalającym na przydzielenie jej towarzystwa.

Leżała na łóżku bosa, w białych bawełnianych spodniach i różowej bluzce, na zmiętej kordonkowej narzucie, z głową na poduszce, plecami odwrócona do drzwi i lampy, z twarzą w cieniu. Nie poruszyła się, kiedy się pojawił, nie przyjęła do wiadomości jego widoku, gdy obszedł łóżko i stanął przed nią.

Jedyna siostra, teraz dwudziestodwuletnia, miała zostać w jego sercu na zawsze dzieckiem. Stracił ją, gdy skończyła dwanaście lat. Do tego czasu była promykiem słońca, jedynym blaskiem w jego rodzinie, żyjącej w cieniu i karmiącej się mrokiem.

W wieku dwunastu lat była piękna, teraz nadal zachowała połowę tej urody. Leżała na lewym boku, ukazując tylko prawy profil, nietknięty siłą, która zmieniła jej życie. Ukryta połowa twarzy, ta wciśnięta w poduszkę, była wizerunkiem upiora z opery, zmiażdżona struktura kostna podtrzymywana tylko więzami blizn.

Choć nawet najlepszy chirurg plastyczny nie potrafił odtworzyć jej urody, zdołał zatuszować najstraszniejszą potworność, wygładzając rysy i rekonstruując profil. Towarzystwo ubezpieczeniowe odmówiło sfinansowania kosztownej operacji, ponieważ pacjentka odniosła także poważny uraz mózgu, przez co straciła kontakt z otoczeniem i zniknęła nadzieja, że powróci do normalnego życia.

Tak jak powiedział Rickster, Laura odeszła do któregoś ze swoich tajemnych miejsc. Obojętna na wszystko, co się wokół niej działo, wpatrywała się z natężeniem w jakiś inny świat, świat wspomnień lub fantazji, jakby obserwowała przedstawienie przeznaczone tylko dla jednej osoby.

Zdarzały się jej także dni, kiedy leżała uśmiechnięta, z oczami lśniąco rozbawieniem, od czasu do czasu wydając cichy pomruk rozkoszy. Ale teraz odeszła do jakiegoś smutnego miejsca, drugiego w kolejności pomiędzy mrocznymi krainami, po których podróżowała jej dusza. Poduszka pod jej głową pociemniała od wilgoci, policzek był mokry, ciężkie słone klejnoty drżały na rzęsach, z brązowych oczu ciekły łzy.

Noah wypowiedział jej imię, ale nie zareagowała, zgodnie z jego przewidywaniami. Dotknął jej czoła. Nawet nie drgnęła.

Ta obojętność na świat zewnętrzny, gdy leżała pogrążona w transie słodkiego rozbawienia, czyniła ją nietykalną. Potrafiła pozostać w tym stanie przez pięć lub sześć godzin, czasami nawet osiem lub dziesięć.

Kiedy nie zapadała w katalepsję, umiała się sama ubrać i jeść, choć zawsze robiła to z lekkim zdziwieniem, jakby nie była pewna, co robi i dlaczego. W takich chwilach reagowała czasem na swoje imię, choć zwykle wydawało się, że nie wie, kim jest, i że wcale jej to nie obchodzi.

Rzadko się odzywała, nigdy nie rozpoznała Noaha. Jeśli zostały jej jakieś wspomnienia z czasów, gdy była zdrowa, to rozproszyły się w mroku umysłu, rozbite na tak maleńkie fragmenty, że nie mogła ich pozbierać, tak jak nie można zebrać wygładzonych niezliczonymi uderzeniami fal odłamków muszelek na plaży i przywrócić im pierwotnej spiralnej formy. Noah usiadł w fotelu, z którego widział jej rozmarzone spojrzenie, powolny ruch powiek i równomiernie spływające łzy.

Widok Laury pogrążonej w rozpacz był trudny do zniesienia, lecz Noah i tak czuł wdzięczność, że nie zatонуła w znacznie straszniejszej otchłani, w której się czasem gubiła. Kiedy się tak działo, jej oczy wypełniały się przerażeniem, a strach zniekształcał piękną połowę jej twarzy brzydkimi zmarszczkami.

– Za to, co zarobię na tej sprawie, będę mógł wykupić tu kolejne pół roku – powiedział jej Noah. – Więc na razie mamy spokój.

Pracował, żeby zapewnić Laurze utrzymanie. To dlatego mieszkał w wynajmowanej dziurze, jeździł zardzewiałym rupieciami i kupował najtańsze ciuchy. Prawdę mówiąc, zapewnienie Laurze utrzymania było jedynym powodem, który trzymał go przy życiu.

Gdyby dawno temu, kiedy ona miała dwanaście, a on szesnaście lat, zachował się odpowiedzialnie, gdyby miał odwagę wystąpić przeciwko swojej godnej pogardy rodzinie i zrobić to, co trzeba, jego siostra nie zostałaby pobita i zostawiona na pewną śmierć. Jej życie nie byłoby ciągiem snów na jawie i koszmarów, przetykanych chwilami zdumionej półprzytomności.

– Jesteś jak Constance Tavenall – powiedział znowu. – Gdybyś miała szansę dorosnąć, byłabyś zupełnie taka jak ona.

Często z nią rozmawiał. Nigdy nie reagowała, nawet jeśli nie była pogrążona w takim letargu; wydawało mu się, że nie rozumie ani słowa z jego nieprzerwanych monologów. A jednak mówił i mówił, dopóki nie zabrakło mu głosu, aż do bólu rozpalonego, zdartego gardła. Był pewien, że na jakimś tajemniczym poziomie – wbrew pozorom, które wskazują na coś innego – nawiązuje z nią kontakt. Jego upór wypływał z czegoś bardziej rozpaczliwego niż nadzieja – z wiary, która czasami wydawała mu się głupia, ale której nigdy się nie wyparł. Musiał wierzyć, że Bóg istnieje, że kocha Laurę, że nie pozwoliłby jej cierpieć w piekle zupełnej samotności, że spowoduje, by głos brata i znaczenie jego słów dosięgły uwięzionego serca Laury i przyniosły jej pociechę.

Uginając się pod brzemieniem każdego dnia i każdej nocy, kurczowo trzymał się przekonania, że dzięki temu poświęceniu się Laurze zasłuży w końcu na odpuszczenie grze – chów. Ta nadzieja stanowiła jedyny pokarm jego duszy, a możliwość rozgrzeszenia była jak deszcz dla pustyni jego serca.

Richard Velnod nie mógł uwolnić samego siebie, lecz przynajmniej zwracał wolność myszom i molom. Noah nie potrafił wyzwolić siebie ani Laury, toteż satysfakcję mógł czerpać tylko z nadziei, że jego głos, jak szmata zmywająca sadzę z okna, utworuje drogę wąskiemu, lecz bezcennemu promieniowi światła, który dotrze do ciemności, w jakich żyła jego siostra.

Kiedy chłopiec wybiega z parkingu dla pracowników, dość dobrze go widać na czarnej pości asfaltu; okrąża kompleks budynków w drodze na prywatny parking tylko dla samochodów osobowych i słyszy coś w rodzaju strzałów. Nie jest pewien, czy to naprawdę strzały; jego chrapliwy oddech i tupot trampek zagłuszają inne odgłosy. Pustynny wiatr uderza w niego gwałtownie, a w jego uszach świst zmienia się w poszum dawno wyschłego morza.

Światła zapaliły się prawie we wszystkich oknach piętrowego motelu. Trudno nie usłyszeć takiego zamieszania. Uciekający goście utknęli w zbyt wąskich drzwiach jadłodajni. Być może nie grozi im, że się stratuja jak kibice na meczu albo oszalała widownia na koncercie rockowym, ale na pewno sporo osób będzie miało podeptane palce u stóp i siniaki na żebrach. Splątany tłum wypryskuje z restauracji jak sztuczny wąż z pudełka. Już na zewnątrz osoby lub pary uciekają do swoich samochodów, czasem oglądając się ze strachem, gdyż z głębi budynku znowu dobiegają eksplozje – tym razem Curtis jest już tego pewien.

Nagle jazgocząca broń i pełne paniki ludzkie głosy przestają dominować. Nocnym powietrzem wstrząsa wrzask, głośny jak ryk dinozaura, przenikliwy jak on i jeszcze bardziej przerażający, ostry jak pazury i kły.

Rycząca klaksonem półciężarówka pędzi z autostrady w stronę rampy wyładunkowej, prosto na parking dla pracowników. Kierowca miga reflektorami.

W niektórych ogromnych zbiornikach na stacji benzynowej znajduje się ropa do diesli, łatwopalna, choć nie grożąca natychmiastowym wybuchem. Jednak inne zbiorniki zawierają benzynę, wskutek czego stanowią aktualny bilet do apokalipsy. Jeśli rozpędzona furgonetka uderzy w pompy i je rozbije, wszyscy w promieniu pięciu kilometrów będą przekonani, że Bóg Wszechmogący we własnej drażliwej starotestamentowej osobie wreszcie miał dość ludzkich grzechów i zmiażdżył swoje dzieci jednym stąpnięciem płomiennego buta.

Curtis nie widzi żadnej kryjówki i nie ma czasu na ucieczkę. Ciężarówka raczej go nie rozjedzie, bo musiałaby powalić zbyt wiele pomp i zaparkowanych samochodów, by go dosięgnąć. Bardziej prawdopodobne, że koroner uzna, iż przyczyną jego śmierci było morze ognia, fruwające w powietrzu płonące szczątki i odłamki metalu.

Goście z restauracji widać dzielają zdanie Curtisa. Na widok pędzącej półciężarówki niemal wszyscy zastygają w bezruchu, obserwując nadciągającą katastrofę.

Apokalipsa pędzi z wyciem silnika, wrzaskiem klaksonu, przy światłach błyskających jak oczy wściekłego smoka, mija pompy. Obsługa stacji, kierowcy ciężarówek i inni przechodnie pierchają we wszystkich kierunkach. Dla nich pewna śmierć w ułamku chwili zmieniła się w fantastyczną historię, jaką kiedyś opowiedzą wnukom, bo pojazd nie trąca ani jednej pompy, nie wbija się w żaden z chlepczących benzynę samochodów, lecz mknie ku budynkom, rżąc przy zmianie opornych biegów.

Pisk hamulców pneumatycznych, wciśniętych zbyt późno i zbyt brutalnie, zdradza, że kierowca nie jest przyzwoitym człowiekiem za kierownicą oszalałego pojazdu, lecz pijakiem lub szaleńcem. Spod opon nagle unosi się smużka bładoniebieskiego dymu. Furgonetka kołysze się do przodu i do tyłu, mało brakuje, aby się wywróciła. Hamulce jazgoczą, zdzierane opony piszczą. Z jednej odrywa się bieżnik, który zaczyna siec asfalt jak bicz.

Psina skomli ze strachu.

Curtis też.

Z innego koła też odrywa się bieżnik, śmiga wężowymi zwojami w ślad za pierwszym.

Opona wybucha, przyczepa półciężarówki podskakuje, pęka druga opona. Pęka linka hamulcowa, ciśnienie spada i hamulce automatycznie się zaciskają, więc furgonetka ślizga się jak świnia na lodzie, wydając dokładnie takie same kwiki, choć nawet największy konkursowy wieprzek nie osiągnął – by nawet w połowie takiej wagi. W smrodzie palonej gumy, z ostatnim przeciągłym sieknięciem protestującej skrzyni biegów pojazd zatrzymuje się przed motelem, tuż obok restauracji, nieruchomieje, sycząc i burcząc, dymiąc i parując.

Psina przysiada, popiskując, i siusia na asfalt.

Curtis zwalcza chęć zmoczenia chodnika, choć udaje mu się to tylko dlatego, że dopiero przed chwilą skorzystał z toalety.

Przyczepa ciężarówki ma dziwną budowę, wielkie drzwi na boku zamiast z tyłu. Ledwie się zatrzymała, drzwi rozsuwają się i na zewnątrz wyskakują postacie w mundurach, nie zataczają się, nie łapią równowagi jak normalni ludzie, lecz są od razu gotowe do działania, jakby dowiedziono je tu w puchu, z troską należną ładunkowi surowych jajek.

Z przyczepy wyskakuje co najmniej trzydziestu żołnierzy, wszyscy w czerni; to nie zwykła jednostka specjalna, lecz co najmniej superspecjalna. Lśniące czarne hełmy. Akrylowe osłony na twarzach, z wbudowanymi mikrofonami, dzięki którym mogą się porozumiewać. Kamizelki kuloodporne. Pasy pełne magazynków z amunicją, pojemniki z gazem łzawiącym, paralizatory, granaty ogłuszające, kajdanki. Na biodrach mają kabury z pistoletami automatycznymi, ale w pogotowiu trzymają broń o większej sile rażenia.

Przyszli, żeby skopać komuś tyłek.

Może Curtisowi. Między innymi.

Ponieważ jest to stosunkowo spokojny wiejski okręg, fakt, iż policja zjawiała się w porę, robi ogromne wrażenie. Nawet duże miasto z solidnym budżetem i burmistrzem szczególnie tępiącym przestępców nie mogłoby zorganizować oddziału tak wielkiego i doskonale wyposażonego, w dodatku w tak krótkim czasie. Curtis szacuje, że od chwili kiedy w kuchni padły pierwsze strzały, minęło najwyżej pięć minut.

Kiedy z przyczepy wylewa się strumień żołnierzy, jakiś mężczyzna z gołą głową otwiera drzwi po stronie pasażera i wyskakuje na chodnik. Choć siedział obok kierowcy, wystawiony na strzały, tylko on z całego oddziału nie ma strzelby czy uzi. Uszy zasłaniają mu słuchawki, przy ustach ma mikrofon, a choć u innych żołnierzy nie widać żadnych identyfikatorów czy plakietek, on nosi ciemnogramatową lub czarną kurtkę z białymi literami, które nie są skrótami dla Francuskich Blond Idiotek. Curtis dowiedział się co najmniej z pięćdziesięciu filmów, że Biuro dysponuje dostatecznymi środkami, by zorganizować taką operację zarówno w Utah, jak i na Manhattanie – choć nie w ciągu pięciu minut od rozpoczęcia strzelaniny. Najwyraźniej śledzili łowców prześladowających Curtisa i jego rodzinę. A zatem znają całą historię i chociaż musi się ona wydawać im nieprawdopodobna, na pewno zgromadzili dość dowodów rzeczowych, by przełamać opory.

Jeśli FBI wie, o co chodzi tym dwóm kowbojom, i jeśli zdaje sobie sprawę, jak wielu innych przeczesuje tę część kraju, z całą pewnością zna też tożsamość ich zwierzyny: czyli małego chłopca. Curtisa. Który stoi nieruchomo, doskonale widoczny. Jakies dziesięć metrów od nich. Pod latarnią na parking.

Co ci mówią słowa „cel – pal”?

Curtis stoi jak sparaliżowany, nieruchomy jak wrośnięty w ziemię stary dąb. Jest pewien, że za chwilę kule zrobią z niego durszlak. A może raczej zostanie zagazowany, sparaliżowany, ogłuszony,

skuty kajdankami i odstawiony do sali przesłuchań, a później, kiedy jego prześladowcy troszkę odsapną, gruntownie przepytany.

Tymczasem, choć prawie wszyscy żołnierze jednostki specjalnej widzą Curtisa, żaden nie spogląda na niego po raz drugi. Ledwie dotkną stopami ziemi, ustawiają się w szyku i pędzą ku restauracji.

A więc jednak nie wiedzą wszystkiego. Nawet Biuro popełnia błędy. Duch J. Edgara Hoovera pewnie rwie włosy z głowy i pluje ekto plazmą jak hydrant, żeby nabrać ciała i wskazać Curtisa przynajmniej kilku agentom.

Wychodzący z budynku goście stanęli jak zaczarowani, zahipnotyzowani przybyciem przerażającej jednostki. Teraz, tknięci jedną myślą, rzucają się do swoich samochodów, zamierzając jak najszybciej uciec z pola walki.

Nagle wokół Curtisa piszczą dziesiątki zamków samochodowych, jak sfera miniaturowych jamników, którym ktoś przytrzasnął ogonki.

Stary Rudzielec reaguje albo na tę serenadę pisków, albo na podszept instynktu, każącego jej zmykać. Zajazd staje się strefą walki, trzeba się stąd zabierać w jakieś spokojniejsze miejsce. Psina odwraca się w czworonożnym piruecie z taką gracją, że mogłaby się spokojnie najać do baletu. Potem puszcza się sprintem i znika za najbliższą hondą. Do tej pory Curtis zawsze dobrze wychodził na słuchaniu swojej towarzyszkii, więc jeszcze raz idzie w jej ślady. Pędzi pomiędzy zaparkowanymi samochodami, dogania Starego Rudzielca i dociera do wielkiej przyczepy mieszkalnej dokładnie w chwili, gdy dobiegają z niej dwa głośne sygnały klaksonu. Błyskają reflektory, raz i drugi, jakby pojazdu o takich rozmiarach nie można było odnaleźć w ciemnościach bez pokazów pirotechnicznych.

Psina natychmiast się zatrzymuje, Curtis także. Wymieniają spojrzenie, zerkają na drzwi, znowu na siebie, całkiem jak pies Asta i jego pan, detektyw Nick Charles ze starych filmów.

Właściciele przyczepy jeszcze się nie pokazali, ale na pewno są blisko, skoro zdolali zdalnie otworzyć zamki. Na pewno nadchodzą z drugiej strony pojazdu.

Nie będzie to idealna podróż, ale mało prawdopodobne, żeby przydarzyło się im następne miękkie siedzenie samochodu na lawecie, tak jak mało jest prawdopodobne, żeby mogli uciec na latającym dywanie, z życzliwym dzinnem u boku. Poza tym nie pora grymasić. Kiedy żołnierze jednostki specjalnej przyjdą z pomocą swoim bardziej zwyczajnym braciom, usłyszą o dziecku, od którego wszystko się zaczęło, i przypomną sobie chłopca stojącego na parkingu z kanisterkiem soku i paczką parówek w objęciach, z psem u nogi.

A wtedy będzie źle.

Curtis otwiera drzwi przyczepy; psina wyprzedza go i pierwsza wskakuje do środka. Chłopiec idzie za nią, starannie zamyka drzwi, porusza się w kucki, żeby nikt nie dostrzegł go przez okno.

Po prawej znajduje się wnęk kuchenna z dwoma dużymi miejscami do siedzenia, po lewej – salonik. Wszystko pogrążone w mroku, ale przez okna po bokach i szereg małych okienek w suficie wpada dość żółtego światła z parkingu, by Curtis mógł się szybko przemieścić na tył przyczepy, choć i tak musi iść z wyciągniętymi rękami, by uniknąć niespodzianek.

Dalej znajduje się pomieszczenie służące za łazienkę i pralnię. W zamkniętym pomieszczeniu dyszenie psa nabiera głuchych tonów.

Schowanie się w maleńkiej ubikacji nie wchodzi w grę. Właściciele właśnie wyszli z jadłodajni, może zdążyli zjeść posiłek, zanim rozpętało się to piekło. Przynajmniej jedno wejdzie do toalety tuż po wyruszeniu w drogę. Curtis przemyka koło zlewu, zmywarki i suszarki, trafia na wysokie wąskie drzwi. Płytki szafa. Zapakowana ściśle i chaotycznie jak umysł wariata i wygląda na to, że wszystkie te

niewidzialne w ciemnościach, niezbędne w drodze przedmioty zaczynają się powoli osuwać. Chłopiec zatrząskuje drzwiami, zanim lawina runie na pokój.

Drzwi pojazdu otwierają się, do środka wpadają podniesione głosy mężczyzny i kobiety. Na schodkach dudnią kroki, deski podłogi skrzypią pod ciężarem ciał. W saloniku zapala się lampa, jej mdłe światło dosięga Curtisa.

Drzwi łazienki otworzyły się, więc chłopiec nie widzi jeszcze właścicieli przyczepy. Oni jego też nie. Na razie.

Zanim któreś z nich wejdzie na siusiu, Curtis otwiera ostatnie drzwi i wkracza w mrok, nierozproszony bladym światłem łazienki. Po lewej ręce ma dwa szare prostokąty okien, jak ekrany wyłączonych telewizorów, jeszcze jarzących się w ciemności, choć ich poświata jest lekko żółtawa.

Głosy stają się głośniejsze, bardziej ożywione. Silnik zaczyna warczeć. Zanim pójda za potrzebą, chcą się wydostać spod gradu kul.

Psina już nie dyszy, mija Curtisa, muskając jego nogę. Najwyraźniej w ciemnym pokoju nie czai się nic, czego nie wykryłyby jej czułe zmysły.

Chłopiec przekracza próg i zamyka za sobą drzwi.

Stawia na podłodze sok pomarańczowy, kładzie parówki.

– Dobra psina – szepcze. Ma nadzieję, że Stary Rudzielec zrozumie to jako zakaz jedzenia parówek.

Szuka włącznika, ale natychmiast wyłącza światło, tylko chciał się zorientować w otoczeniu.

Pokój jest mały. Jedno królewskie łóże, minimum wolnego miejsca. Wbudowane w ściany nocne szafki, narożna szafka z telewizorem. Rozsuwane lustrzane drzwi to prawdopodobnie garderoba wypchana zbyt wieloma ubraniami, by chłopiec i pies zdołali się wcisnąć pomiędzy koszule i buty.

Oczywiście jest to tylko chatka na kółkach, nie pałac. Nie znajdzie się w nim tylu kryjówek co w siedzibie pana na włościach. Nie ma tu bawialni, gabinetów, tajnych przejść ani lochów.

Wchodząc tutaj, zdawał sobie sprawę z ryzyka. Nie wiedział tylko – aż do teraz – że ten dom na kółkach nie ma tylnego wyjścia. Można go opuścić tylko tak, jak się weszło, ewentualnie przez okno. Wypchnięcie psa przez okno nie będzie łatwe, jeśli zaistnieje taka konieczność, dlatego lepiej, żeby nie zaistniała. Ucieczka z czworonogiem nie jest zadaniem, które można wykonać błyskawicznie, gdy zdumieni właściciele stoją w progu sypialni jak rażeni gromem. Stary Rudzielec nie jest dogiem, chwala Bogu, ale i nie ratlerkiem. Curtis nie może jej po prostu wsadzić sobie za pazuchę i wyskoczyć przez to niewielkie okienko niczym superbohater w dziwnym kostiumie.

W ciemnościach, gdy dom na kółkach rusza przed siebie, Curtis siada na łóżku i obmacuje jego podstawę. Zamiast standardowej ramy odkrywa przytwierdzony do podłogi cokół z litego drewna. Sprężyny i materac są przytwierdzone do cokołu. Pod tym łóżkiem nie ukryje się nawet najchudszy potwór.

Rozlega się klakson domu na kółkach. Nie tylko jego, kto żyw wszczyna dziki hałas. Curtis podchodzi do okna w miejscu, gdzie zasłony są trochę uchylone i wygląda na zewnątrz. Samochody osobowe, ciężarowe i parę mieszkalnych, prawie tak dużych jak ten, wytaczają się z parkingu bez ładu i składu, lekceważąc pasy, jakby kierowcy nigdy nie słyszeli o uprzejmości na drodze. Wszyscy gonią na złamanie karku, gdzie popadnie, pomiędzy pompami, terroryzując tych samych nieszczęśników, którzy dopiero co uniknęli śmierci pod kołami furgonetki sekcji specjalnej.

Przez ryk klaksonów, pisk opon i zgrzyt hamulców do uszu chłopca dociera inny dźwięk, rytmiczny i przenikliwy, z początku słaby, potem coraz głośniejszy, jak świst miecza przecinającego powietrze, a potem solidniejszy, połączenie świstu i łomotu, jakby ostrze odcinało kawały nocy i jakby te kawały

padały ciężko na asfalt. Helikopter.

Curtis odnajduje zamknięcie okna, uchyla lekko jedną szybę. Wychyla się, wyciąga szyję, szuka źródła dźwięku, a podmuch ciepłego pustynnego wiatru muska mu twarz i mierzwi włosy.

Wielkie niebo, czarne i przepastne. Jarzeniowe światło lamp z metalowymi abażurami jak odwrócony wok. Gwiazdy płoną wiecznym blaskiem. Ruch pojazdu sprawia, że księżyc wydaje się toczyć jak koło.

Ale nie widać żadnych nienaturalnych światła, choć warkot helikoptera narasta z każdą chwilą, już nie rozcina nocy, tylko siecze ją brutalnie jak tasakiem. Chłopiec czuje rytmiczne fale powietrza, młójące najpierw jego bębni, a potem oddziałujące na wrażliwe soczewki oczu. I nagle pojawia się helikopter, przelatuje nad pojazdem, strasznie nisko, może pięć metrów nad Curtisem, może mniej. Nie przypomina śmigłowców drogówki, telewizji czy ważnych urzędników, spieszących na konferencję o ósmej. Jest wielki, czarny i uzbrojony. Wszystko w nim tchnie siłą. Wygląda jak okręt wojenny najeżony pistoletami maszynowymi, może nawet raketami. Ryk wirnika przewierca czaszkę chłopca, którego zęby dzwonią o siebie jak dwa rzędy kamertonów. Pęd powietrza uderza go jak pięść, śmierzdząca rozgrzanym metalem i paliwem.

Helikopter mija ich, zmierza ku kompleksowi budynków. Dom na kółkach przyspiesza. Kierowca nagle stał się tak samo bezwzględny jak wszyscy inni, którzy pędzą ku autostradzie międzystanowej.

– Jedź, jedź, jedź! – ponagla go Curtis, ponieważ noc zrobiła się dziwna i teraz wygląda jak wielki czarny stwór o milionie bystrych oczu. Trzeba się ruszać, dzięki zmianie zyskuje się czas, a czas – nie tylko odległość – to klucz do ucieczki, do wolności i do bycia Curtisem Hammondem. – Jedź, jedź, jedź!

Kiedy przysłała pora wstać i wyjść z przyczepy Genevy, Leilani było wstyd. Potrafiła się przyznać do tego wstydu, choć też starała się ukryć przed sobą jego prawdziwy powód.

Mówiła z pełnymi ustami. Zeżarła dwa kawałki ciasta. No dobrze, w porządku, brak manier i obżarstwo to wystarczający powód, żeby odczuwać zażenowanie, ale nie aż taki wstyd, chyba że jest się beznadziejną panikarą, uważającą każde przeziębienie za początek dżumy i piszącą okropne łzawe wierszydła o złamanych paznokciach i źle układających się włosach.

Leilani także napisała parę łzawych wierszydeł o zabłąkanych szczeniaczkach i kotkach, których nikt nie chce, ale miała wtedy sześć lat, najwyżej siedem i była makabrycznie infantylna. „Infantylny” to słowo, które się jej bardzo podoba, bo znaczy „głupi, niedojrzały, dziecinny” – a jednak brzmi jak coś bardzo wyrafinowanego, inteligentnego i z klasą. Od zawsze lubiła słowa, które nie są tym, czym się wydają, bo na co dzień zbyt często pierwsze wrażenie jest właściwe: głupie, niedojrzałe, dziecinne. Jak na przykład jej matka, jak prawie wszystkie filmy w telewizji i połowa grających w nich aktorów – chociaż oczywiście nie Haley Joel Osment, który jest słodki, bezbronny, inteligentny, czarujący, promienny, boski.

Micky i pani D. starały się opóźnić odejście Leilani. Bały się o nią. Martwiły się, że matka porąbie ją w nocy na kawałki albo wypcha farszem, wsadzi jej w zęby jabłko i upiecze na jutrzejszy obiad – choć naturalnie nie wyraziły swojej troski w tak obrazowy sposób.

Leilani zapewniła ich po raz kolejny, że matka stanowi zagrożenie tylko dla siebie samej. Oczywiście, kiedy znowu ruszą w drogę, stara Sinsemilla może podpalić przyczepę, podgrzewając kokainę na wieczorną ucztę, ale nie ma w niej ani trochę agresji. Agresja wymaga nie tylko szaleństwa lub pomieszania zmysłów, lecz także namiętności. Gdyby wariactwo dało się zmienić w złote cegły, stara Sinsemilla dostarczyłaby surowca na sześciopasmówkę stąd do Krainy Oz, ale nie zostało w niej już ani trochę prawdziwej namiętności. Wypaliły ją najróżniejsze narkotyki i zostawiły tylko okropny głód.

Pani D. i Micky niepokoiły się także z powodu doktora Zagłady. Oczywiście, stanowił poważniejsze zagrożenie niż stara Sinsemilla, ponieważ krył całe pokłady namiętności i każdą jej odrobinę poświęcił swojej fascynacji śmiercią. Żył w kwitnym ogrodzie śmierci i był zakochany w pięknie tych czarnych róż i zapachu zgnilizny.

Miał także zasady, według których postępował, standardy, z jakich nie chciał zrezygnować, i procedury wymagające przestrzegania we wszystkich kwestiach życia i śmierci. Ponieważ postanowił uzdrowić Leilani w przeddzień jej dziesiątych urodzin, do tego czasu nie powinno jej nic grozić. Później jednak, jeśli nie zabrają jej migotliwe promienie lewitacyjne z kosmicznego statku, Preston „uleczy” ją szybciej i z większą liczbą błyskotliwych efektów specjalnych, niż kiedykolwiek pokazali kosmici, ci starzy efekciarze. Gdyby udusił ją poduszką lub uśmiercił zastrzykiem trucizny wcześniej niż w przeddzień jej urodzin, złamałby swoje zasady, a te zasady były dla niego świętsze niż Biblia dla najpobożniejszego księdza.

Schodząc po kuchennych schodkach przyczepy Genevy, żałowała, że aż tak zaniepokoiła Micky i panią D. Любиła rozśmieszać ludzi. Zawsze miała nadzieję, że po rozstaniu z nią pomyślą: „Co za wesoła dziewczynka, jaka mała szelma” Ta „szelma” ma oczywiście oznaczać w ich ustach „zmyślna, zadziorna, niezależna”, a nie „niegrzeczna, nieznośna, arogancka”. Balansowanie na linii pomiędzy dobrym a złym rodzajem szelmy jest trudne, ale jeśli się uda, ludzie nigdy nie będą myśleć: „Co za smutna okaleczona dziewczynka, jaka mała kaleka”. Tego wieczora chyba przekroczyła granicę między złym i dobrym



rodzajem szelmy i chyba nawet zupełnie wyszła z roli, budząc raczej litość niż wesołość.

Ale niepowodzenie w osiągnięciu statusu szelmy także nie było powodem, dla którego wstydziła się za siebie, choć tu była już bliżej prawdy, więc idąc przez podwórko, odwróciła swoją uwagę za pomocą głupiego żartu. Udała, że kolczaste macki łysego krzaka wyciągają się do niej, toteż złożyła ręce w kształt krzyża – zgiń, przepadnij! – jakby broniła się przed wampirem.

Obejrzała się na przyczepę Genevy, by sprawdzić, czy występ został przyjęty z aprobatą. To był błąd. Nie powinna szukać widowni. Micky stała na schodkach, pani D. nad nią, w progu i nawet w tym słabym świetle było widać ich strapione twarze. Gorzej. Smutne. Może nawet przerażone.

Kolejny pamiętny towarzyski tryumf panny Niebiański Kwiat Klonk! Zaprosicie tę małą iskierkę na kolację, a odpłaci wam emocjonalną katastrofą! Dajcie jej kanapki z kurczakiem, a opowie wam żalną historię zdolną wycisnąć współczucie nawet z kurczaka, gdyby przypadkiem był żywy! Spieszcie się, bo za chwilę zabraknie jej wolnych terminów! I pamiętajcie: tylko nieznaczny odsetek jej rozmówców popełnia samobójstwo.

Nie obejrzała się znowu. Postarała się przejść przez podwórko i zwalony płot, jak najmniej hałasując klamrą na nodze. Kiedy się skupiła, potrafiła osiągnąć pewną grację ruchów, a na krótkie dystanse nawet zaskakującą prędkość.

Dalej wstydziła się za siebie, nie z powodu tego durnego żartu z krzakiem, lecz ponieważ tak niegrzecznie zabroniła Micky pić alkohol. Takie wtrącanie się zasługuje na karę, nawet jeśli wynikało z najlepszych pobudek. Micky to nie Sinsemilla. Micky może wypić brandy albo dwie i to wcale nie znaczy, że rok później obudzi się z twarzą we własnych wymiocinach, z przegrodą nosową przeżartą przez kokainę i z bujną kępką halucynogennych grzybków na mózgu. Micky jest na to za dobra. No tak, oczywiście, ma pewną tendencję do autodestrukcji, Leilani potrafiła to wyczuć lepiej, niż najbardziej utalentowana świnia wyczuwa pod ziemią trufle, co jest porównaniem niezbyt pochlebny, lecz odpowiadającym prawdzie. Ale ta tendencja nie zaprowadzi Micky prosto w te przerażające gęstwiny, po których błąka się Sinsemilla, ponieważ Micky ma także Kompas moralny, którego Sinsemilla albo nigdy nie miała, albo który zgubiła dawno temu. Dlatego każda dziewięcioletnia mądrała, która czuje się w takim stopniu autorytetem moralnym, że odważa się mówić Michelinie Bellsong, ile może wypić, po prostu powinna się za siebie wstydzić.

Idąc przez podwórko, na którym jej matka niedawno tańczyła przy księżycu, Leilani musiała przyznać się samej sobie, że jej wstyd nie wynika z niegrzecznych uwag na temat picia, tak samo jak nie miał nic wspólnego z pożarciem dwóch kawałków ciasta. Prawda – którą obiecała Bogu zawsze uwzględniać, choć czasami ją omijała, kiedy brakowało jej odwagi, by spojrzeć jej prosto w oczy – wyglądała tak, że wstydziła się za siebie, ponieważ dziś wieczorem wylała przed sąsiadkami swoje żale. Wylała, wychlusnęła, wybluzgała. Wychlapała im wszystko o Sinsemilli, Prestonie i kosmitach, o Lukipeli, zamordowanym i prawdopodobnie pogrzebanym w lasach Montany.

Micky i pani D. były miłe i troskliwe, a Leilani, wyjawiając im szczegóły swojej sytuacji, narobiła większych szkód, niż gdyby wjechała ciężarówką do ich domu i wyladowała im w salonie kilka ton świeżego nawozu. Opowiedziała im ohydny, przerażającą historię, choć przecież nie mogły jej w żaden sposób pomóc. Leilani wiedziała doskonale, że wpadła w pułapkę, której nikt nie może otworzyć, że jeśli chce w ogóle żyć, musi odgryźć sobie nogę – mówiąc w przenośni, ma się rozumieć – i uciec jeszcze przed dziesiątymi urodzinami. Wylewając przed nimi swoje żale, nie osiągnęła nic poza tym, że zostawiła Micky i słodką panią D. pod wielką cuchnącą stertą złych wiadomości, których spokojnie mogła im oszczędzić.

W pobliżu schodków, na których Sinsemilla przysiadła po księżycowym tańcu, znowu poczuła pokusę, by się obejrzeć na przyczepę Genevy. Oparła się jej. Wiedziała, że obie kobiety nadal na nią patrzą, ale nie wystarczy im wesoło pomachać, żeby się rozpogodziły i zasnęły z uśmiechem na ustach. Sinsemilla zostawiła otwarte drzwi kuchenne. Leilani weszła do środka.

W czasie jej krótkiego przemarszu między przyczepami znowu włączono elektryczność. Zegar na ścianie chodził, choć pokazywał zły czas.

Wprawdzie cienka czerwona wskazówka robiła sześćdziesiąt kroczków na minutę, to jednak nurt czasu chyba stanął. Dom, wypełniony ciszą, był pełen także denerwującego napięcia, jakby za chwilę coś się miało stać.

Doktor Zagłada wyszedł do kina lub na kolację. Albo żeby kogoś zabić.

Pewnego dnia niedoszła ofiara, nieczuła na lodowaty urok i lepkie współczucie doktorka, przygotowuje dla niego niespodziankę. Nie trzeba być siłaczem, żeby pociągnąć za spust.

Ale szczęście zawsze omijało Leilani z daleka, dlatego nawet nie liczyła na to, żeby coś takiego mogło się wydarzyć akurat dzisiaj. Doktor Zagłada wróci do domu, wcześniej czy później, cuchnąc śmiercią.

Z kuchni widać było aneks jadalny i oświetlony salon. Matki nigdzie Leilani nie dostrzegła, ale to nie znaczyło, że jej nie ma. O tej godzinie stara Sinsemilla zwykła staczać się tak nisko – za pomocą narkotyków i demonów – że prędzej będzie można ją znaleźć ukrytą za sofą lub skuloną w pozycji embrionalnej na podłodze szafy niż siedzącą w fotelu.

Jak można się było spodziewać po starej przyczepie wynajmowanej na tygodnie, jej wystrój nie dorównywał umeblowaniu zamku windsorskiego. Dźwiękochłonne płytki na suficie były poznaczone starymi zaciekami, trochę podobnymi do wielkich owadów. Słońce wytrawiło kolor zasłon do odcienia, który chorzy na depresję widują w nawracających koszmarach; gnijący materiał układał się w zatłuszczone fałdy, śmierdzące zasiedziały w nich od lat dymem papierosowym. Odrapane, wgniecione, poplamione, załatane meble stały na wytartym pomarańczowym dywanie, z którego została właściwie sama osnowa.

Sinsemilli nie było w salonie.

Szafa tuż za frontowymi drzwiami stanowiła doskonale schronienie przed goblinami czyhającymi w szczodrych dawkach LSD, peyotlu czy koki. Jeśli Sinsemilla się w niej schroniła, gobliny już ją schrupały, nie zostawiając ani okruszka. Obecnie w szafie znajdowały się jedynie puste druciane wieszaki, które zadźwięczały cicho, rozkołysane przez prąd powietrza.

Leilani nie znosiła tak szukać matki. Nigdy nie wiedziała, w jakim stanie ją znajdzie.

Czasami po drodzej mater należało posprzątać. Leilani nie miała nic przeciwko sprzątanu. Nie uczyniłaby wycierania wymiocin i moczu sensem swojego życia, ale mogła wykonać tę pracę, nie upiększając otoczenia dwoma używanymi kawałkami szarlotki.

Gorzej było z krwią. Nigdy nie pojawiała się jej dużo, ale krew ma to do siebie, że nawet kiedy jest jej mało, z początku wydaje się, że jest o wiele więcej.

Stara Sinsemilla nigdy by nie popełniła samobójstwa. Nie jadła czerwonego mięsa, ograniczyła palenie wyłącznie do trawy, codziennie brała dwadzieścia siedem tabletek witamin i minerałów, piła dziesięć szklanek wody, żeby oczyścić organizm z toksyn, no i spędzała mnóstwo czasu na rozmyślaniach nad globalnym ociepleniem. Żyję tu od trzydziestu sześciu lat, powiadała, i zamierzam pożyć jeszcze z pięćdziesiąt, chyba że zanieczyszczenie środowiska i ciężar ludzkiej populacji staną się tak wielkie, że Ziemia się otrząśnie i pozbędzie się dziewięćdziesięciu pięciu procent żywych

organizmów.

Mimo to samookaleczenia miały dla niej pewien urok, choć i tu okazywała powściągliwość. Zabierała się do siebie nie częściej niż raz na miesiąc. Zawsze najpierw sterylizowała skalpel nad płomieniem świecy i przecierała skórę alkoholem, a każdego nacięcia dokonywała po dłuższym namyśle.

Leilani ruszyła do łazienki, modląc się, by nie odkryć tam nic bardziej ohydneho od wymiocin. Ciasne, cuchnące pleśnią pomieszczenie okazało się puste i nie bardziej zabałaganione niż zwykle.

Krótki korytarzyk, ściany wyłożone imitacją drewna, troje drzwi. Dwie sypialnie i szafa.

W szafie: zero matki, zero wymiocin, zero krwi, zero ukrytych korytarzy, prowadzących do magicznego królestwa, w którym wszyscy są piękni, szczęśliwi i bogaci. Leilani nie szukała drogi do królestwa, ale opierając się na dawnych doświadczeniach, założyła, że jej tu nie ma; jako dziecko często się spodziewała, że znajdzie tajne drzwi prowadzące do innych, fantastycznych światów, ale po licznych regularnych rozczarowaniach postanowiła, że jeśli te drzwi naprawdę istnieją, będą musiały same ją odnaleźć. Poza tym, jeżeli szafa jest odpowiednikiem przystanku autobusowego pomiędzy Kalifornią i cudowną krainą radosnych czarodziejów, z całą pewnością znajdzie w nich zmięte papierki po dziwnych i nieznanym jej cukierkach, rzucone tu przez podróżujące trolle – albo przynajmniej elfie kupki. Tymczasem w szafie nie było nic bardziej egzotycznego niż zdechły karaluch.

Pozostało jeszcze dwoje drzwi. Po prawej znajdowała się mała sypialnia, którą przydzielono Leilani. Dokładnie naprzeciwko był pokój matki i Prestona.

Sinsemilla równie dobrze mogła przebywać w pokoju córki, jak wszędzie indziej. Nie miała szacunku dla prywatnego terenu innych i nigdy nie domagała się szacunku dla własnego terenu, być może dlatego, że dzięki narkotykom stworzyła taką przestrzeń we własnym umyśle, gdzie znajdowała kojącą samotność zawsze, gdy tego potrzebowała.

Pod drzwiami naprzeciwko rysowała się smuga światła. Pod drzwiami po prawej było ciemno.

To oczywiście także nic nie znaczy. Sinsemilla lubiła siedzieć samotnie w ciemnościach, czasami usiłując nawiązać kontakt ze światem duchów, czasami po prostu gadając do siebie.

Leilani wyteżyła słuch. Niezmałona tykaniem cisza w domu, w którym stanęły zegary. Oczywiście kapiąca krew nie robi hałasu.

Wbrew charakterowi niepoddającemu się żadnym ograniczeniom Sinsemilla ograniczyła swoją działalność do lewej ręki. Jej ramię zdobił lub szpecił – zależnie od spojrzenia na te sprawy – misterny jak koronka skomplikowany wzór płatków śniegu, starannie połączonych ze sobą blizn. Ich gładka, niemal lśniąca tkanka wydawała się bielsza niż otaczająca ją skóra, efektowny monochromatyczny deseń, aczkolwiek w lecie stawał się bardziej kontrastowy.

*Wyjdź z tego domu. Śpij na podwórku. Niech doktor Zagłada sam sprzątnie bałagan, jeśli jest co sprzątać.*

Ale jeśli ucieknie na podwórko, to będzie znaczyło, że wymiguje się od obowiązków. Czyli zrobi dokładnie to, co w takiej sytuacji zrobiłaby stara Sinsemilla. Jeśli Leilani kiedykolwiek miała wątpliwości, które wyjście jest właściwe i najmądrzejsze, nieodmiennie opierała swoją decyzję na jednym zasadniczym kryterium: wybrać odwrotność tego, co zrobiłaby Sinsemilla, a całkiem możliwe, że wybór będzie słuszny. I całkiem możliwe, że będzie można spojrzeć na siebie w lustro bez dreszczu obrzydzenia.

Otworzyła drzwi swojego pokoju i włączyła światło. Jej łóżko wyglądało na tyle schludnie, na ile było to możliwe z obszarpaną narzutą. Parę należących do niej przedmiotów stało tak, jak je zostawiła. Cyrk Sinsemilli nie odbył tutaj tournée.

Pozostały jeszcze jedne drzwi.

Miała mokre dłonie. Wytarła je o podkoszulek.

Przypomniało się jej stare opowiadanie „Dama czy tygrys”, w którym pewien mężczyzna musi wybierać pomiędzy dwojgiem drzwi, ale jeśli wybierze niewłaściwe, czeka go śmierć. Za tymi drzwiami nie czekała ani dama, ani tygrys, ale całkiem inny okaz. Leilani wołałaby tygrysa.

Kiedy jej matka zaczęła się interesować samookaleczeniami, zbadła tę sprawę, nie z chęcią ciekawości, lecz ze strachu. Według psychologów osoby poddające się samookaleczeniom to głównie nastolatki i młode kobiety. Sinsemilla była za stara na taką zabawę. Osoby okaleczające własne ciało często cierpią na niską samoocenę, nawet się nienawidzą. Sinsemilla przeciwnie, bardzo się lubiła, przynajmniej wtedy, gdy pozostawała pod wpływem prochów, czyli bez przerwy. Oczywiście należało założyć, że zaczęła brać niekoniecznie dlatego, że „prochy są smaczne”, jak to ujęła, ale kierowana impulsem samozniszczenia.

Dłonie Leilani znowu zwilgotniały. Jeszcze raz je wytarła. Panował sierpniowy upał, ale jej ręce były lodowate. W ustach poczuła gorzki smak, być może po cebulce z sałatki ziemniaczanej. Język przysechł jej do podniebienia.

W takich momentach usiłowała wyobrazić sobie, że jest Sigourney Weaver w roli Ripley z „Obcego”. Tak, masz mokre ręce, pewnie, te ręce są zimne, a w ustach ci wyschło, ale musisz podnieść głowę, wyprostować się, otworzyć te cholerne drzwi i wejść tam, gdzie czeka potwór, żeby zrobić to, co trzeba.

Wytarła ręce o szorty.

Ludzie okaleczający własne ciało są przeważnie skupieni wyłącznie na sobie. Niewielu można zdiagnozować z całą pewnością jako osobowości narcystyczne, i tutaj z pewnością psychologowie i stara Sinsemilla mogli sobie podać ręce. Kiedy matka była w dobrym humorze, często wyśpiewywała mantrę własnej kompozycji: „Jestem przebiegłym kotem, jestem letnim wiatrem, jestem ptakami w powietrzu, jestem słońcem, jestem morzem, jestem sobą!”. Zależnie od składu nielegalnych substancji, które przyjęła, gdy jeszcze balansowała pomiędzy hiperaktywnością i letargiem, czasem powtarzała mantrę śpiewnym głosem sto razy albo dwieście, aż wreszcie zapadała w sen albo zaczynała szlochać i dopiero wtedy zasypiała.

W trzech bezdźwięcznych krokach Leilani dotarła do drzwi.

Ucho przyłożyła do framugi. W pokoju nie słychać ani jednego szelestu.

Ripley miała zwykle wielki pistolet i miotacz płomieni.

Oto, gdzie by się przydała pani D, mieszająca rzeczywistość z filmami. Geneva, mając świeżo w pamięci poprzednie tryumfy w walce z Obcym, wyważyłaby drzwi bez chwili wahania i skopałaby tyłek, komu trzeba.

Znowu wytrzeć dłonie. Nie chcemy mieć śliskich rąk w śliskiej sytuacji.

Sinsemilla twierdziła, że płacze, ponieważ jest kwiatem w świecie cierni, ponieważ nikt tutaj nie potrafi dostrzec pełnego spektrum jej promieniowania. Czasami Leilani myślała, że być może jej matka rzeczywiście dlatego tak często wybucha płaczem, co było dość przerażające, że przez to wydawała się jeszcze bardziej nie z tego świata niż ukochani kosmici Prestona. Określenie „osobowość narcystyczna” wydawało się blade w odniesieniu do kogoś, kto nawet utyłany we własnych wymiocinach, śmierdzący moczem i bełkoczący coś niezrozumiale uważa się za delikatny kwiatek, cudowniejszy od wszystkich cieplarnianych storczyków.

Leilani zapukała do drzwi sypialni. W przeciwieństwie do swojej matki miała szacunek dla prywatnej

przestrzeni innych ludzi.

Sinsemilla nie opowiedziała.

Może droga mater ma się doskonale pomimo występu na podwórku. Może śpi spokojnie i lepiej ją zostawić snom o lepszym świecie.

Tak, ale niewykluczone, że ma kłopoty. Może to jedna z tych sytuacji, kiedy dobrze znać się na udzielaniu pierwszej pomocy. Jeśli jest się na nieznanym terenie, można ściągnąć dane najbliższego szpitala z satelity; ten wiek zaawansowanej techniki jest najbezpieczniejszym okresem w historii dla nieustannie wpadających w tarapaty świrów z upodobaniem do podróży. Zapukała jeszcze raz.

Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy bać, kiedy usłyszała afektowany, modulowany głos matki:

– Zaprawdę, któż oto puka do mych dźwierz?

Czasami, kiedy Sinsemilla miała ochotę zabawić się w teatr, Leilani włączała się do zabawy i także przemawiała fałszywie starodawnym dialektem, gestykulując przesadnie i teatralnie w nadziei, że w ten sposób nawiąże choć minimalny kontakt z matką. Za każdym razem okazywało się, że to bardzo kiepski pomysł. Stara Sinsemilla nie życzyła sobie konkurencji, tylko widowni podziwiającej jej występ. Jeśli ktoś usiłował wtargnąć w ten teatr jednej aktorki, za jaką miała się Sinsemilla, należało się spodziewać, że radosny dialog nabierze paskudnego charakteru i że śmiałek stanie się obiektem małodusznej krytyki i okrutnych obscenicznych kpín, wyrażonych głupim afektowanym głosem postaci ze sztuk Szekspira lub legend o królu Arturze.

Więc zamiast odrzec: „Otom ja, księżniczka Leilani, z troskliwym zapytaniem o zdrowie mojej pani”, powiedziała tylko:

– To ja. Wszystko w porządku?

– Wejdz, wejdz, panno Leilani, szybko przybądź do swej królowej.

Yyyy. To będzie gorsze niż krew i rany.

Sypialnia była równie ponura jak wszystkie inne pomieszczenia.

Sinsemilla siedziała na łóżku, na jadowicie zielonej narzucie z poliestru, godnie oparta o stertę poduszek. Miała na sobie długą haftowaną koszulę z falbaną u dołu, którą kupiła w zeszłym miesiącu na pchlim targu koło Albuquerque w Nowym Meksyku, gdy podróżowali ku zagadkom Roswell.

Jeśli to prawda, że w burdelach pali się czerwone światło, pokój bardziej nadawał się dla prostytutki niż królowej. Obie lampy były zapalone, jedna przybrana szkarłatną jedwabną bluzką, druga – szkarłatną bawełnianą. Takie oświetlenie było przychylne dla Sinsemilli. Kilogramy, uncje, tony i galony nielegalnych substancji ukradły tak niewiele jej urody, że aż się to wydawało niesprawiedliwe, a choć Sinsemilla wyglądała dobrze i w dzień, teraz była jeszcze ładniejsza. Bose stopy miała brudne, zazielenione trawą, włosy zmierzwione po tańcu przy księżycu, lecz rzeczywiście można ją było wziąć za królową. – I cóż powiesz, młode dziewczę, w obecności boskiej Kleopatry?

Leilani zatrzymała się dwa kroki za progiem, powstrzymując się od sugestii, że egipska królowa sprzed dwóch tysięcy lat z pewnością nie przemawiałaby fałszywym akcentem rodem z małomiasteczkowej inscenizacji „Króla Artura”.

– Chciałam się położyć i wstąpiłam, żeby sprawdzić, czy wszystko gra.

Sinsemilla skinęła na nią ręką.

– Podejdz tędy, prosta wieśniaczko, i ujrzyj dzieło sztuki, należne galeriom edenu.

Leilani nie miała pojęcia, o czym mówi matka. Długoletnie doświadczenie podpowiadało, że najlepiej udawać głupią.

Zrobiła krok naprzód, nie z obowiązku czy ciekawości, ale dlatego że odchodząc zbyt szybko,

naraziłaby się na oskarżenie o niegrzeczność. Jej matka nie zmuszała swoich dzieci do przestrzegania zasad, lecz była bardzo wyczulona na wszelkie sygnały, iż jej obojętność zostanie splacona podobną monetą. Nie zniosłaby w swojej obecności niewdzięcznego dziecka.

Pominąwszy nieistotny charakter wątpliwej urazy, napomnienie starej Sinsemilli mogło się rozwinąć w długie pasmo okrutnego pomstowania. Matka nie była zdolna do fizycznej przemocy, ale potrafiła ranić słowami. Szła za tobą wszędzie, otwierała wszystkie drzwi, domagała się uwagi tak bardzo, że nie było przed nią ucieczki i trzeba się było poddać tej słownej chłości – czasami trwającej godzinami – aż Sinsemilla się zmęczyła lub odchodziła, żeby się podkręcić prochami. W chwilach najbardziej zacieklej ataków Leilani często myślała, że wołałaby, by matka dała sobie spokój z tymi nienawistnymi słowami i po prostu ją pobiła.

Wsparta na poduszkach stara Sinsemilla-Kleopatra przemówiła z uśmiechem, za którym krył się lodowaty rozkaz:

– Podejdz, ponure dziecko, podejdzże, ach podejdz! Spójrz na tę ślicznotkę i pomódl się, byś była równie pięknie uczyniona jako i ona.

Na łóżku leżała okrągła paczka, właściwie chyba pudełko na kapelusze, ze zsuniętym czerwonym wieczkiem.

Sinsemilla poszła tego dnia na zakupy. Preston był dla niej hojny, dawał jej pieniądze na prochy i drobiazgi. Może rzeczywiście kupiła sobie kapelusz, ponieważ w chwilach fantazji lubiła nosić berety, panamy, turbany, czepki i stroiki. – Nie marudź, dziecko! – rozkazała królowa. – Zaprawdę, zbliż się bezzwłocznie i zwróć swe oczy na ów skarb edenu.

Najwyraźniej jej wysokość nie zamierzała przestać, dopóki publiczność nie wyrazi zachwyty na widok nowego kapelusza czy czegoś tam. Leilani westchnęła w duchu – nie ośmieliłaby się tego zrobić naprawdę – i podeszła do łóżka.

Z bliska zauważyła, że boki pudełka są ozdobione podwójnym rzędem dziurek. Przez chwilę dekoracja z niczym się jej nie kojarzyła. Jej prawdziwe przeznaczenie ujawniło się w chwili, gdy ujrzała zawartość pudełka.

Na narzucie pomiędzy pudełkiem i Sinsemillą wiło się dzieło sztuki prosto z edenu. Szmaragdowe, miejscami nakrapiane umbrą, zdobne chromowano-żółtym filigranem. Giętkie ciało, płaska głowa, lśniące czarne oczy i migający język, stworzony do zwodzenia niewinnych.

Żmija podniosła głowę, by oszacować swoją nową wielbicielkę, i bez ostrzeżenia rzuciła się na Leilani, szybka jak elektryczny impuls skaczący z bieguna na biegun.

Na autostradzie biegnącej na południe, w stronę Nevady, Curtis i Stary Rudzielec siedzą w samochodzie na łóżku w ciemnościach i dzielą się parówkami. Więż między nimi zacieśniła się tak, że nawet w ciemnościach psina ani razu nie myli palców chłopca z kolacją.

A więc Curtis nie będzie miał przyrodniego braciszka, tak jak się spodziewał. Będzie miał przyrodnią siostrzyczkę, i też fajnie.

Wydziela jej parówki, bo wie, że jeśli suczka się przeje, będzie chorować.

Kiedy dochodzi do wniosku, że Stary Rudzielec za chwilę będzie miała dość, zjada resztę parówek. Są zimne, ale przepyszne. Ma ochotę na znacznie więcej. Bycie Curtisem Hammondem wymaga niezwykle dużo energii.

Z trudem wyobraża sobie, ile potrzeba energii, żeby być Donellą, kelnerką, której królewskie rozmiary ciała dorównują rozmiarom dobrego serca. Na myśl o Donelli zaczyna się niepokoić o jej los. Co mogło się jej przytrafić pomiędzy tymi latającymi kulami? Jednak z drugiej strony, choć doskonały z niej cel, na pewno dzięki fantastycznym rozmiarom trudniej ją zabić niż zwykłych śmiertelników. Chłopiec żałuje, że nie wrócił po nią i bohaterko jej nie uratował. Myśl jest śmiesznie romantyczna i pewnie nieracjonalna. Jest tylko chłopcem, ma niewielkie doświadczenie, a ona jest wielką kobietą w dostojnym wieku i o niezmiernie mądrości. Ale i tak żałuje, że nie zachował się wobec niej jak bohater.

Płaty helikoptera znowu szatkują noc. Curtis nieruchomieje, podświadomie spodziewa się usłyszeć grad kul, uderzających w dom na kółkach, tupot butów żołnierzy jednostki specjalnej, biegnących po dachu i żądających przez megafon, żeby się poddał. Łomot stalowych ostrzy tnących powietrze narasta jak grom... ale potem cichnie i zupełnie milknie w oddali.

Sądząc po dźwięku, śmigłowiec skierował się na południowy zachód, wzdłuż autostrady między stanowej. Niedobrze.

Skończywszy parówki, Curtis pije sok pomarańczowy z pojemnika i zdaje sobie sprawę, że Stary Rudzielec też jest spragniona.

Pamiętając, jak w explorerze usiłował napoić swoją towarzyszkę z butelki, postanawia znaleźć jakąś miskę lub coś, co może za nią posłużyć.

Dom na kółkach mknie, łamiąc chyba ograniczenia prędkości; chłopiec zakłada, że właściciele – mężczyzna i kobieta, których głosy słyszał – są nadal w szoferce i rozmawiają o tym, co się wydarzyło w zajeździe. Jeśli znajdują się na drugim końcu pojazdu, plecami do sypialni, nie zobaczą światła, które pojawi się w szparze pod drzwiami.

Ześlizguje się z łóżka. Dotyka ściany przy drzwiach, znajduje kontakt.

Oczy, przyzwyczajone do mroku, łzawią i szczypią od blasku.

Na psinie włączenie światła nie robi większego wrażenia. Do tej pory leżała na łóżku, teraz na nim staje, z zaciekawieniem śledzi ruchy Curtisa, macha ogonem, przeczuwając następną przygodę lub poczęstunek.

Sypialnia jest zbyt mała i ciasna, by można w niej było znaleźć dekoracyjne salaterki albo im podobne naczynia.

Chłopiec zaczyna grzebać w szufladach komódki. Czuje się jak zboczeniec. Właściwie nie jest pewny, czym się zajmują zboczeńcy ani dlaczego to robią, cokolwiek by to było, ale wie, że potajemne szperanie w cudzej bieliźnie to nieomylny znak, że jest się zboczeńcem. Zarumieniony ze wstydu, nie

mając odwagi spojrzeć na Starego Rudzielca, odwraca się od komódki i zagląda do pierwszej szuflady nocnej szafki. Wewnątrz, pomiędzy nieprzydatnymi mu przedmiotami, znajduje dwa białe plastikowe pudełka, każde ma około dziesięciu centymetrów średnicy i ośmiu wysokości. Choć małe, nadadzą się na miskę dla psa; trzeba będzie je tylko częściej napełniać.

Ktoś przytwierdził do wieczka jednego pudełka plaster z napisem „ZAPASOWE”. Curtis rozumie przez to, że właśnie to z dwóch pudełek ma dla właścicieli mniejsze znaczenie, dlatego postanawia je wykorzystać, żeby narazić ich na jak najmniejsze szkody.

Pudełko ma odkręcane wieczko. Chłopiec je podnosi i zastyga w przerażeniu na widok kompletnego zestawu zębów. Szczerzą się do niego, są nawet różowe dziąsła, ale ktoś zmył z nich krew.

Chłopiec krztusi się, upuszcza pudełko tam, gdzie je znalazł, zatrząskuje szufladę i odsuwa się od szafki. Prawie się spodziewa, że usłyszy szczękanie zębów przegryzających drewno szuflady.

W telewizji widział filmy o seryjnych mordercach. Te ludzkie potwory gromadzą pamiątki po swoich ofiarach. Niektórzy trzymają w lodówce odcięte głowy albo przechowują oczy zabitych w formalinie. Inni szyją sobie suknie ze skóry tych, których zabili, bądź konstruują pojazdy obwieszane dyndającymi kośćmi. Ani te filmy, ani książki nie przygotowały go na spotkanie z mordercą psychopata, kolekcjonującym całe szczęki włącznie z dziąsłami. Mimo to, choć jest tylko chłopcem, ma dość informacji o ciemnej stronie ludzkiej natury, by zrozumieć, co zobaczył.

– Seryjni mordercy – szepcze do Starego Rudzielca. – Seryjni mordercy.

Idea jest zbyt skomplikowana jak na psi umysł. Jego towarzyszka nie zna kontekstu kulturowego, żeby coś zrozumieć. Przestaje machać ogonem, ale tylko dlatego, że czuje niepokój swojego nowego braciszka.

Curtis nadal musi znaleźć dla niej miskę, ale nie ma mowy, żeby zajrzał do innych szuflad. Nie ma mowy i już.

W związku z tym pozostaje mu tylko szafa.

Z filmów i książek można się dowiedzieć, że z szafami to tylko kłopoty. W szafach kryją się najgorsze koszmary, najbardziej fantastyczne i nieprawdopodobnie ohydne. Ten świat jest piękny, ten świat to po prostu arcydzieło stworzenia, ale jest też bardzo niebezpieczny. Złoczyńcy ludzkiego, nieludzkiego i nadludzkiego rodzaju czają się w piwnicach i na osnutych pajęczynami strychach. W nocy na cmentarzach. W opuszczonych domach, w zanikach zamieszkałych przez lokatorów o nazwiskach pochodzenia niemieckiego lub słowiańskiego, w domach pogrzebowych, w starożytnych piramidach, w dzikich puszczech, pod powierzchnią właściwie każdego większego zbiornika wodnego, czasami nawet pod pianą w wannie i oczywiście w statkach kosmicznych, czy to na Ziemi, czy gdzieś w odległych rejonach kosmosu.

W tej chwili chłopiec wolałby znaleźć się w nocy na cmentarzu lub w piramidzie dotkniętej plagą skarabeuszy i wędrujących mumii, albo w komorze jakiegokolwiek statku kosmicznego, byle tylko nie w domu seryjnych morderców. Ale to nie egipska pustynia, a on nie znajduje się na pokładzie statku podróżującego z ponadświatłą prędkością gdzieś za mgławicą Końskiej Głowy w gwiazdozbiórce Oriona. Jest tutaj, czy mu się to podoba, czy nie, a jeśli kiedykolwiek potrzebował siły płynącej z przykładu swojej dzielnej matki, to nigdy bardziej niż w tej chwili. Wpatruje się w swe odbicie w lustrze na drzwiach szafy i nie jest dumny z tego, co widzi. Błada twarz, oczy rozszerzone i błyszczące od strachu. Postawa przerażonego dziecka: ciało spięte, ramiona skulone, głowa wtulona w ramiona, jakby w oczekiwaniu na cios.

Stary Rudzielec przenosi uwagę z Curtisa na szafę. Wydaje ciche warknięcie.



Może tam naprawdę czai się coś ohydny. Może czeka go odkrycie o wiele straszniejsze i bardziej obrzydliwe niż zęby.

A może nagły niepokój jego towarzyski nie ma nic wspólnego z zawartością lustrzanej szafy. Może po prostu wyczuła nastrój Curtisa.

Drzwi drgają. Pewnie pojazd podskoczył na wyboju.

Chłopiec decyduje się. Chwyta za gałkę drzwi szafy, zdecydowany spełnić oczekiwania matki, przypominając sobie żal, że nie uratował Donelli, gnany potrzebą znalezienia miski dla spragnionej siostrzyczki. Nabiera oddechu, zaciska zęby i otwiera szafę.

Jego odbicie odjeżdża na bok, wewnątrz szafy staje przed nim otworem, a jemu robi się lekko na sercu, bo w środku nie ma rzędu słoików z oczami w formalinie. Żaden ze strojów na wieszakach nie został uszyty z ludzkiej skóry. Nadal zaniepokojony, choć coraz bardziej pewny siebie, osuwa się na kolana, by przeszukać podłogę szafy. Znajduje tylko buty, damskie i męskie. Z ulgą przekonuje się, że nie ma w nich kolekcji odciętych stóp.

Para męskich butów wydaje się nieużywana. Chłopiec bierze jeden z nich, stawia na podłodze przy łóżku i napełnia go sokiem pomarańczowym. Normalnie zawahałby się przed zniszczeniem cudzego dobytku, ale seryjni mordercy nie zasługują na taki sam szacunek jak przyzwoici obywatele.

Stary Rudzielec zeskakuje z łóżka i zaczyna chleptać sok, hałaśliwie i z entuzjazmem. Nie waha się, nie zatrzymuje, żeby poznać smak – tak jakby nie był jej obcy.

Curtis Hammond, ten prawdziwy, mógł jej kiedyś dawać sok. Obecny Curtis podejrzewa jednak, że to wszystko przez zacieśniające się więzy między nim i psiną, która rozpoznaje smak, ponieważ on go zna.

Chłopiec i jego pies mogą nawiązać niezwykle, zdumiewający kontakt. Curtis wie o tym nie tylko z filmów i książek, ale z dawnych doświadczeń ze zwierzętami.

Curtis jest „nie całkiem tego”, jak to ujął Burt Hooper, a Stary Rudzielec nie jest ani samcem, ani rudzielcem, nie jest nawet stara, ale i tak wspaniała z nich paczka.

Chłopiec ponownie napełnia but, odstawia kanisterek na podłogę i siada na łóżku, by przyjrzeć się chlepczącemu zwierzęciu.

*Zaopiekuję się tobą, obiecuję.*

Miło mu, że mimo strachu potrafi działać. Przyjemność sprawia mu także własna pomysłowość.

Choć jadą z rodziną Hannibalów Lecterów i uciekają przed gangiem Terminatorów, wścieklej szych niż Schwarzenegger z osą w gatkach, choć ściga ich FBI i pewnie jeszcze inne agencje, charakteryzujące się bardziej złowrogimi inicjałami i mniej szlachetnym intencjami, Curtis ma optymistyczną wizję swojej ucieczki. Sam widok towarzyski, radośnie pijącej sok z buta, przywołuje uśmiech na jego usta. Poświęca chwilę na podziękowanie Bogu za zachowanie go przy życiu i matce za nauczenie go sztuki przetrwania, która do tej pory dzielnie wspierała boską opiekę.

Gdzieś w oddali rozlega się syrena. Może to samochód strażacki, karetka, radiowóz, samochód z lodami. No dobrze, samochód z lodami to może pewna przesada. Tak naprawdę to pewnie policja.

Stary Rudzielec podnosi głowę znad buta, sok ścieka jej po sierści na brodzie.

Syrena zbliża się coraz bardziej i w końcu jest już za domem na kółkach.

Rozdziawiając paszczę tak szeroko, jakby szczęki wypadły jej z zawiasów, obnażając całą brzydką prawdę o zakrzywionych do tyłu kłach, migając języczkiem, żmija śmignęła w powietrzu jak węgorz w wodzie, ale szybciej od jakiegokolwiek węgorza, jak korek od szampana, prosto w twarz w Leilani.

Dziewczynka uskokczyła, ale żmija chyba także nie trafiła, ponieważ sama reakcja Leilani nie była na tyle błyskawiczna, żeby ocalić ją przed ukąszeniem. Być może cichy syk gada, który usłyszała koło lewego ucha, stanowił tylko wytwór wyobraźni, ale szorstki dotyk suchych łusek na policzku był prawdziwy. To pieszczotliwe muśnięcie, zimne czy nie, przejęło ją dreszczem niemal tak namacalnym, że można by uwierzyć, ich ohydny gad wśliznął się jej pod bluzkę i pełźnie po kręgosłupie.

Wykorzystała swój trick: przerzuciła ciężar całego ciała na nogę w stalowej klamrze i obróciła się na niej. Nawet jeśli wyobraziła sobie syk, jeśli to syknęła jej wyobraźnia, obróciła się w samą porę, by ujrzeć „skarab edenu”, opadający szerokim łukiem na podłogę, z wzorem na łuskach lśniącym w czerwonym świetle jak cekiny.

Żmija nie była ogromna, miała jakieś sześćdziesiąt centymetrów długości, może metr, była grubości środkowego palca mężczyzny, ale kiedy uderzyła o podłogę i popęzła, wściekle miotając ciałem, jakby myśląc własne zwoje z ciałem napastnika, wyglądała równie strasznie, jak wielki pyton albo dorodny grzechotnik. Po chwili wściekłego miotania się po podłodze rozluźniła zwoje i płynnie popęzła przez wytarty cienki dywan, który marszczył się pod jej ciałem jak woda. Natknąwszy się na ścianę pod oknem, znowu zwinęła się w kłębek i uniosła głowę, by ocenić sytuację, gotowa do ataku.

Leilani pokuśtykała w stronę korytarza, gwałtownie pracując zdrową nogą, ciągnąc za sobą lewą, porzuciła wypracowaną grację ruchów i zapomniała o zachowaniu godności. Choć przy każdym kroku traciła równowagę, zdołała nie upaść, dopęzła do drzwi, gdzie przytrzymała się kurczowo klamki.

Musiała uciec. Wydostać się z tego pokoju. Odgrodzić się od matki.

Sinsemilla była tym wszystkim nieco rozbawiona, słowa ulatywały z niej na falach śmiechu.

– Ona nie jest jadowita, ty głuptasie! Kupiłam ją w sklepie. Ach, szkoda, że nie widziałas swojej miny!

Serce Leilani tłoczyło krew, jej płuca tłoczyły powietrze, oddech wyrывał się z gardła w krótkich chrypieniach. Stojąc w progu, z ręką zaciśniętą na klamce, obejrzała się na żmiję. Gad leżał zwinięty pod oknem.

Jej matka klęczała na materacu i podskakiwała jak dziewczynka, aż sprężyny śpiewały, a rama łóżka trzeszczała. Śmiała się z rozświetlonymi oczami – dobrze udał się jej figiel!

– Co się tak gapisz! To tylko mały śliski węzuś, nie potwór!

Sytuacja wygląda tak: jeśli Leilani ucieknie teraz do pokoju i zabarykaduje się w nim, i tak nie będzie bezpieczna, ponieważ wcześniej czy później będzie musiała z niego wyjść. Po jedzenie. Do łazienki. Pobędą tu jeszcze przez parę dni, a jeśli ten gad będzie pełzał po domu, będzie go można spotkać wszędzie. A kiedy Leilani wyjdzie z pokoju po jedzenie czy do toalety, żmija może się wśliznąć i do niej, przez tę szparę pod drzwiami albo dlatego, że Sinsemilla ją wpuści, a wtedy będzie czekać pod łóżkiem lub w łóżku. Leilani nigdzie nie będzie bezpieczna, nigdzie nie znajdzie spokoju. Cały dom będzie należeć do żmii, a nic, nawet najmniejszy jego skrawek – do Leilani. Zwykle miała dla siebie tylko kącik, niewielki zakątek, bezcenną kryjówkę; ponieważ Sinsemilla wchodziła wszędzie bez ostrzeżenia, Leilani mogła jedynie udawać, że jej kącik należy tylko do niej. Ale ta żmija zniszczy nawet pozory prywatności. Leilani nie ucieknie przed zamieszczeniem, nie będzie miała ani chwili wytchnienia przed nieustannie

grożącym atakiem, nawet kiedy Sinsemilla uśnie, ponieważ żmija prawie nie potrzebuje snu. *Tak się nie da żyć, tego nie da się wytrzymać, tego już za wiele, tego się nie da znieść!*

Stara Sinsemilla nadal przeżywała zabawną chwilę, podskakując na łóżku i zanosząc się uroczym chichotem.

– Wężus zrobił siup! A Leilani zrobiła auć! i popędziła do drzwi jak dwa pijane kangury w wyścigu w workach! Leilani puściła klamkę i wróciła do pokoju. Strach nie pozwalał jej odzyskać dawnej swobody ruchów – strach, lecz również i złość. Nie mogła złapać równowagi, bo poczucie niesprawiedliwości wstrząsnęło nią z siłą trzęsienia ziemi z San Francisco w roku 1906, nadal nią trzęsło, przerzucając jej ciężar z jednej nogi na drugą, zalewając falami mdłości.

– Śliczny śliski wężus cię nie zabije! Wężus chce tylko tego, co wszyscy. Miłości! – oświadczyła Sinsemilla, przeciągając ostatnie słowo, jakby miało przynajmniej dwanaście sylab. Roześmiała się z dziwną rozkoszą.

Żmija, jadowita czy nie, rzuciła się na twarz Leilani, na jej twarz, jej największy atut, jedyny atut, bo – prawdę mówiąc – pewnie nigdy nie wyrosną jej wielkie dyndające piersi, mimo że powiedziała tak Micky. Kiedy siedziała w restauracji czy gdzieś indziej, z dźwięczącą metalem nogą ukrytą pod stołem, ze zdeformowaną ręką na kolanach, ludzie spoglądali jej w twarz i często się uśmiechali, traktowali ją jak wszystkie inne dzieci, bez litości, bez smutku w oczach, bez niczego, co by wołało „kaleka!”. Żmija uderzyła w jej twarz, więc wszystko jedno, czy jest jadowita, bo mogłaby zmienić jej życie, gdyby wbiła kły w policzek lub nos. Wtedy ludzie już nigdy nie pomyśleliby o niej „szelma”, tylko „Jaka smutna mała kaleka z wykręconą nóżką, wykręconą rączką, pokąsaną twarzą i podziurawionym noskiem!”.

Strata byłaby zbyt wielka.

Musi z tym zrobić porządek, i to już; jednak leżąca czy skacząca na łóżku matka nie pomoże jej w pogoni za żmiją. I w walce. W komodzie znajduje się tylko parę ubrań, nic więcej, ponieważ na czas pobytu nie opłacało się otwierać walizek. Walizki, skoro o nich mowa, stały otwarte na ławie przy łóżku i na krześle. Nic tutaj nie mogło się przydać w walce ze żmiją.

Gad trwał, zwinięty, pod oknem. Lśniące oczy. Głowa kołysząca się jak przy dźwiękach fletu zaklinacza.

– Siup! Auć! – Sinsemilla skondensowała całą anegdotę w dwóch słowach. Nawet ta skrócona wersja wywoływała u niej atak chichotów; łóżko trzeszczało bardziej niż pod paroma skaczącymi dziewczynkami.

Leilani pokuśtykała do szafy, zapominając korzystać z mechanicznego stawu kolanowego, rozhuśtując całą nogę ruchem biodra. Niestety, łóżko zasłoniło jej gada. Była pewna, że w chwili gdy straci go z oczu, on do niej podpełźnie. – Mała, mała – odezwała się Sinsemilla – popatrz na to, patrz, patrz. Mała, patrz, widzisz? Patrz. – Wyciągnęła rękę, coś jej podając. – Mała, już dobrze, widzisz, mała, patrz.

Leilani nie ośmieliła się spojrzeć na matkę, nie teraz gdy żmija mogła już do niej pełznąć. Ale Sinsemilla nie pozwalała się ignorować, tak jak nie pozwala się ignorować asteroida wielkości Teksasu, spadająca na Ziemię z prędkością superekstranadświatłą.

Sinsemilla zaciskała coś w lewej ręce. Rozchyliła ją i ukazała kłębek zakrwawionych chusteczek, których Leilani do tej pory nie zauważyła. Szkarłatna bibułka upadła na ziemię; na wnętrzu dłoni Sinsemilli widniały dwie ranki.

– Biedny mały wężus ugryzł mnie, kiedy zgasły światła. Ranki, otoczone ciemną zaskorupiałą czerwienią, już nie krwawiły.

– Trzymałam go bardzo mocno, bardzo mocno – ciągnęła Sinsemilla – choć się bardzo wiercił. Bardzo długo trwało, zanim wyciągnęłam z siebie te ząbki. Nie chciałam rozedrzeć skóry, ale nie chciałam też skrzywdzić wężusia.

Dwa nakłucia, jak po ukąszeniu wampira, były w tym wypadku śladem na ukąszonym wampirze.

– Potem bardzo długo trzymałam biednego wężusia w ciemnościach, siedzieliśmy sobie na łóżku, a potem wążus przestał się wiercić. Staliśmy się jednością, ja i wążus. Och, mała, kiedy tak czekaliśmy, aż światło się zapali, między nami zaszło coś nieprawdopodobnego. Niesamowity odlot.

Łomoczące serce Leilani biło tak nierówno i niezdarnie, jak biegłaby jej chora noga, gdyby sytuacja wymagała ucieczki.

Popękana sklejka opiera się jej dłoniom, jakby szafa broniła jej dostępu do swoich wnętrzności. Leilani odsunęła drzwi, sieknąwszy z wysiłku.

– Bo wążus nie ma jadu, mała. Ząbki są, a jadu nie ma. Tylko się nie zmocz, bo teraz rzadziej robimy pranie, żeby oszczędzać prąd.

Tak samo jak w szafie Leilani, metalowy pręt, mniej więcej pięć centymetrów obwodu, długości dwóch i pół metra. Na wieszakach tylko parę damskich bluzek i męskich koszul.

Zerknęła w dół. Żmija się nie pojawiła.

Ugryzienie w twarz może oznaczać coś więcej niż brzydkie szramy. W grę może wchodzić uszkodzenie nerwu. Albo trwały paraliż jakichś mięśni, przez co uśmiech będzie skrzywiony, a twarz dziwnie zdeformowana. Pręt spoczywał na dwóch podporach. Uniosła go i wyjęła. Wieszaki ześliznęły się z niego, ubrania sfrunęły na podłogę.

Na widok lśniącej maczugi Sinsemilla wybuchnęła nowym śmiechem. Zaklaskała w dłonie, obojętna na zranioną rękę, nie mogąc się już doczekać zapowiadającej się świetnej rozrywki.

Leilani wołałaby mieć łopatę. Motykę. Ale metalowy pręt był i tak lepszy niż gołe ręce, cokolwiek, byle tylko bronić dostępu do twarzy.

Ściskając pręt w prawej ręce niczym kij pasterski, oparła się na nim dla zachowania równowagi i pokuśtykała w stronę łóżka.

Sinsemilla machała rękami jak śpiewaczka gospel, która śle podziękowania ku niebu.

– Och, Lani, mała, szkoda, że się nie widzisz! Ależ wyglądasz, pogromczynie węży!

Przekuśtykać niezgrabnie, lecz ostrożnie wzdłuż łóżka. Powiedzieć sobie: spokojnie. Powiedzieć sobie: weź się w garść.

Nie potrafiła się zastosować do własnej dobrej rady. Strach i złość nie pozwalały skutecznie skoordynować działań umysłu i ciała.

Gdyby żmija ugryzła ją w twarz, mogłaby trafić w oko. Mogłaby ją oślepić.

Uderzyła biodrem w słupek przy łóżku, upadła na łóżko, ale zaraz się poderwała. Czuła się głupio, niezdarnie, jak dziewczynka z zamku Frankensteina, brakowało jej tylko śrub w szyi, niezbyt udany eksperyment, stanowiący pierwszy etap na drodze do stworzenia postaci, którą grał Karloff.

Chciała tylko zachować to, co miała zdrowe i normalne. To chyba nie tak wiele. Wykręcona noga, zdeformowana ręka, mózg zbyt sprawny jak dla niej; nie mogła tego wymienić na standardowe wyposażenie. Miała tylko nadzieję, że zachowa silną prawą nogę, dobrą prawą rękę, ładną twarz. Duma nie miała z tym nic wspólnego. Biorąc pod uwagę inne problemy, ładna twarz to nie tylko uroda, to szansa przeżycia.

Wyszła zza łóżka; makabra ze sklepu zoologicznego leżała tam, gdzie poprzednio, ułożona w łuskowate pierścienie pod oknem. Złowroga głowa się podniosła. Czujność.

– Och, Lani, powinnam to nagrać – jęczała Sinsemilla. – Dostalibyśmy masę kasy z telewizji, wiesz, z tego programu, gdzie pokazują najśmieszniejsze filmy wideo.

Twarz. Oczy. Tyle do stracenia. Wyjdź stąd. Odejdź. Ale przecież by ją z powrotem przyprowadzili. A gdzie wtedy by – łaby ta żmija? Gdzieś, gdziekolwiek, w każdym możliwym miejscu. Czekalaby. A gdyby matka zabrała ją ze sobą w drogę? W tej puszczy na kołach, już teraz uwięziona w towarzystwie Prestona i Sinsemilli, musiałaby się jeszcze martwić o żmiję. Nie ma szans na ucieczkę, kiedy pędzi się setką.

Trzymając pręt przed sobą, zaczęła się zastanawiać, jaką maksymalną odległość może przebyć żmija, kiedy skoczy z podłogi. Chyba gdzieś kiedyś czytała, że żmija może przeskoczyć odległość dwukrotnie większą niż jej długość, w tym wypadku od półtora metra do dwóch. Być może nie dojdzie do ukąszenia, ale jeśli ten konkretny egzemplarz był nadmiernie ambitny, jeśli zawsze dawał z siebie wszystko i jeszcze trochę – jak bohater jakiejś kretyńskiej książeczki dla dzieci, na przykład „Małej lokomotywy” – to już po wszystkim.

Leilani nie miała przerażająco rozwiniętej skłonności do agresji, może nawet nie miała jej wcale. Nigdy nie marzyła, że jest w pełni sprawnym, doskonale wytrenowanym mistrzem sztuk walki. Droga Klonk nie była drogą ninja. Droga Klonk to rozbawianie, czarowanie, zjednywanie – lecz choć takie podejście może się okazać całkiem skuteczne w kontaktach z nauczycielami, pastorami i uroczo sfiksowanymi, piekącymi szarlotki sąsiadkami, czarowanie żmii może się skończyć utratą oka.

– Lepiej sobie idź, wężusiu, pełnij sobie, pełnij – doradziła radośnie Sinsemilla. – Nadchodzi niedobra Lani, a z nią nie ma żartów!

Ponieważ jakiegokolwiek wahanie mogłoby doprowadzić do zupełnego złamania siły woli, Leilani musiała działać, dopóki jeszcze strach i gniew dodawały jej sił i zaciekłości. Z zaskoczeniem usłyszała własny zduszony krzyk, trochę żalony, trochę wściekły, gdy z całej siły dziabnęła lancą zwoje przeciwnika.

Przygwoździła miotającą się żmiję do ściany, ale tylko na dwie, może trzy sekundy, potem jej złowrogo wijący się adwersarz wyrwał się na wolność.

– Uciekaj, wężusiu, uciekaj!

Dziab, dziab, dziab. Leilani znowu przygwoździła potwora, przydusiła go do ściany, naparła na niego ze wszystkich sił, starając się zrobić mu krzywdę, przeciąć go na pół, ale znowu się wyśliznęła, jakby był smuzką dymu, jakby unieruchomienie go było nawet trudniejsze niż rozszyfrowanie prawdziwej tożsamości jej ojca, zrozumienie, co się stało z jej bratem i w ogóle zrozumienie tego parszywego życia. Można tylko ciągle dziabnąć, ciągle walczyć.

Żmija prześliznęła się pod ścianą, wpęzła pod wysoką komodę. Sinsemilla nadal skakała na łóżku.

– Oj, kłopoty, kłopoty z kapitanem Wężem! Wężuś się wkurzył, ukrył się pod szafą, pobity i zły, oj, teraz się dopiero wkurzy, teraz się dopiero zemści!

Leilani miała nadzieję zobaczyć ślady krwi na ścianie – a jeśli żmija nie ma w sobie krwi, to ślady czegoś innego, co będzie świadczyć o śmiertelnych ranach. Ale nie było krwi, posoki, syropu czy czegokolwiek innego.

Tępy koniec metalowego pręta nie był równie efektywny jak ostry nóż, ale mógłby przebić nawet łuski i muskularne ciało, gdyby pchnąć go wystarczająco mocno, gdyby włożyć w uderzenie dostateczną determinację. Spocone dłonie Leilani ślizgały się na metalu, ale na pewno żmija trochę ucierpiała.

Komoda stała pod ścianą na czterech krępych nóżkach. Miała ponad półtora metra wysokości. Metr dwadzieścia szerokości. Pewnie jakieś dwadzieścia centymetrów głębokości. Szpara pod spodem nie

przekroczyła trzech centymetrów wysokości.

Żmija gdzieś tam była. Kiedy Leilani wstrzymywała oddech, słyszała syk złości. Pusta szuflada komody działała jak rezonator.

Lepiej złapać gada teraz, dopóki jest oszołomiony. Leilani cofnęła się i niezdarnie ukłękła. Położyła się na brzuchu, przycisnęła prawy policzek do załuszczonego dywanu.

Jeśli śmierć ma w swojej opończy kieszenie, to na pewno śmierdzą jak ta brudna szmata. Mdlące fale słusznego gniewu nadal wstrząsały Leilani, a ten zgniło-kwaśny odór, rozlewający się od ściany do ściany, stanowił następny powód do nieprzewidzianego rozstania z szarlotką.

– Och, tylko słuchaj, jak mruży mózg węzusia, posłuchaj, jak stary węzuś knuje, jak chce zabić smaczną myszkę.

Jedwabiste światło, czerwone jak ulubiona wyjściowa bluzka Sinsemilli, ledwie rozpraszało gniazdo cieni pod komodą. Leilani dyszała, nie z wyczerpania – nie zmęczyła się aż tak – lecz dlatego, że była zmartwiona, przestraszona, w szoku. Leżąc na podłodze, wyteżając wzrok, z twarzą oddaloną od gada najwyżej o jakieś dwa metry, dyszała gwałtownie, hałaśliwie, przez usta, a jej język transformował smród dywanu w smak, od którego zaciskało się jej gardło. Ciemności pod komodą wydawały się pulsować i falować, jak zwykle bywa z ciemnością, kiedy się w nią długo wpatrywać, jednak landrynkowe światło odbijało się tylko od jednego kształtu pomiędzy wszystkimi innymi zjawami. Wzorzyste łuski słabo połyskiwały w szkarłatnym blasku, migotały blado jak zamglone cyrkonie.

– Węzuś się zastanawia, jak złapać myszkę Leilani, oblizuje węzowe wargi. Myśli sobie: jak też smakuje ta Lani?

Żmija kuliła się pod ścianą, tak samo daleko od jednego końca komody, jak od drugiego.

Leilani znowu ukłękła. Chwyliła pręt w obie ręce i wbiła go mocno pod mebel, celując w żmiję. Uderzyła raz i drugi, i trzeci, z furją, ocierając kostki palców o dywan; usłyszała, jak gad się rzuca, a jego zwoje uderzają o dno najniższej szuflady.

Sinsemilla znowu zaczęła podskakiwać na łóżku, zagrzewając jednego uczestnika walki, przeklinając drugiego i choć Leilani nie potrafiła już zrozumieć sensu słów matki, podejrzewała, że jej sympatia jest po stronie węzusia.

Nie mogła się wsłuchać we wrzaski Sinsemilli, ponieważ ciało żmii bębniło głośno o komodę, pręt łomotał o ścianę i nogi mebla – ale także dlatego, że sama stękała jak dzikie zwierzę. W gardle jej zaschło. Wychodzący z niego ochryply dźwięk nie przypominał już jej głosu: nieartykułowany, niski, ohydnie pełny prymitywnej żądy, której nie ośmieliłaby się analizować.

Wreszcie ten zwierzęcy głos przeraził ją tak, że zaniechała ataku. Zresztą żmija i tak już nie żyła. Zabiła ją jakiś czas temu. Pod wysoką komodą nic się nie rzucało, nic nie syczało.

Wiedziała, że zwierzę nie żyje, ale nie mogła przestać go atakować. Przestała się kontrolować. A kogo przypominały jej te trzy słowa? Przestała się kontrolować. Jaka matka, taka córka. Leilani przycisnęła gaz do dechy nie pod wpływem prochów, lecz strachu i gniewu, ale ta różnica nie miała dla niej aż takiej wagi jak świadomość, że i ona, całkiem jak Sinsemilla, może w odpowiednich okolicznościach przestać nad sobą panować.

Czoło ociekające potem, mokra twarz, lepkie ciało: Leilani śmierdziała kwaśnym potem. Ładny z niej niebiański kwiatusek. Na kolanach, zgarbiona, z przekrzywioną głową, mokrymi strąkami włosów przyklejonymi do twarzy, z rękami nadal zaciśniętymi w takiej furii, że nie mogła z nich wypuścić pręta, wyglądała jak wcielenie Quasimodo, tylko młodszego i jeszcze nie w Notre Dame.

Poczuła się upokorzona, zhańbiona, zdruzgotana – znowu się bała, tak samo jak przed chwilą, choć

z innych powodów. Niektóre żmije są bardziej przerażające od innych; okazy, których nie kupuje się w sklepie, które nigdy nie sunęły żadnym polem czy lasem, niewidzialne żmije zamieszkujące głębsze rejony umysłu. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że ona także kryje w sobie gniazdo tak potężnych żmij strachu i gniewu, że jej serce może stanąć w płomieniach i rzucić się do galopu pod wpływem ich nagłego ukąszenia, a ona szybko zostanie zredukowana do paru spazmów, na wpół oszalałego zapamiętania, braku kontroli.

Sinsemilla wychyliła się z łóżka jak chimera w Notre Dame, z twarzą w cieniu, lecz włosami rozświetlonymi czerwonym blaskiem, z oczami błyszczącymi z podniecenia.

– Wężuś, wężuś, ależ z niego uparciuch, ależ z niego twardziel!

Leilani właściwie nie zrozumiała jej słów; uratowało ją tylko to, że spojrzała matce w oczy i zorientowała się, na co są skierowane. Nie na córkę. Na prowizoryczną maczugę, tuż ponad zaciśniętymi dłońmi Leilani.

Okrągły pręt był pusty w środku, pięć centymetrów średnicy. Żmija, jednak żywa, szukając ucieczki po ustaniu razów, wpełzła do środka pręta. W ten sposób, niezauważona, wywędrowała spod komody, a teraz wypływała z pręta jak produkt końcowy maszyny do produkcji gadów. Poruszała się powoli, czy to dlatego, że jednak była ranna, czy też z ostrożności, Leilani nie potrafiła się zorientować i mało ją to obchodziło. Kiedy z pustego pręta wyłoniło się całe długie ciało, chwyciła je za ogon. Wiedziała, że łowcy żmij chwytają je tuż za głowę, żeby unieruchomić szczęki, ale strach o zdrową rękę kazał jej postąpić inaczej.

Ależ śliski ten gad, ślisko-mokry, a to znaczy, że ranny, ale jeszcze pełen sił na tyle, by walczyć o wolność.

Zanim żmija zdążyła się unieść i wbić kły w jej dłoń, Leilani zerwała się na równe nogi szybciej niż kiedykolwiek w życiu i zakręciła żmiją w powietrzu jak lassem. Gad, naprężony jak lina, rozciągnięty siłą odśrodkową, która unieruchomiła go i sparaliżowała, przeciął powietrze ze świstem głośniejszym niż jego syk. Leilani okręciła nim dwa razy, zrobiła dwa kroki w stronę komody, przy czym obnażone kły gada ominęły twarz jej matki o parę centymetrów, a przy trzecim okrążeniu czaszka żmii spotkała się z meblem. Rozległ się trzask kości i zniknęło zagrożenie.

Martwa żmija wysliznęła się z dłoni Leilani, zwinęła się w bezkształtny, niegroźny kopczyk na podłodze.

Sinsemilla oniemiała, wstrząśnięta tym niespodziewanym zakończeniem widowiska.

Choć Leilani wypuściła martwego gada i znów obróciła się na wspartej stalowym rusztowaniem nodze, by nie patrzeć na łuskowate truchło, nie mogła równie łatwo odwrócić się od wspomnienia samej siebie, stękającej, charczącej w morderczym szale. Ta ohydna wizja przyczepiła się do niej jak rzep i nie dawała się oderwać. Być może pozostanie z nią do końca życia i do końca życia będzie ją kłuć małymi igielkami.

Serce nadal jej łomotało, a burza upokorzenia jeszcze nie ucichła.

Nie będzie płakać. Nie tutaj. Nie teraz. Ani strach, ani gniew nie wycisną z niej łez w obecności matki. Na tym świecie nie ma takich nieszczęść, które by ją zmusiły do okazania słabości w chwili, gdy patrzy na nią Sinsemilla.

Wciąż jeszcze nie odzyskała zwykłej swobody ruchów. Jednak jeśli zastanowiła się nad każdym krokiem, zanim go zrobiła – jak pacjent uczący się chodzić po urazie kręgosłupa – potrafiła przejść do otwartych drzwi sypialni z pewną godnością.

W korytarzu dostała nagłego ataku gwałtownych dreszczy, dzwoniły jej zęby, łokcie łomotały

o zebra, ale siłą woli nakazała swojemu zdrowemu kolanu wytrzymać i pomaszerowała przed siebie.

Koło łazienki usłyszała, że jej matka coś robi w sypialni. Obejrzała się dokładnie w chwili, gdy w otwartych drzwiach błysnęło lodowate światło. Błysk flesza. Żmija nie zaliczała się do zwierząt rozjechanych na drodze, ale wyraźnie artystka drzemiąca w Sinsemilli poczuła natchnienie na widok ponurego uroku węzowych zwojów na ohydnej zatłuszczonej pomarańczowej szmacie.

Kolejny błysk.

Leilani weszła do łazienki, zapaliła światło i włączyła wentylator. Zamknęła drzwi na klucz.

Odkręciła także wodę w prysznicu, ale nie zaczęła się rozbierać. Natomiast opuściła pokrywę sedesu i usiadła na niej. Za parawanem poszumu wentylatora i plusku wody zrobiła to, na co nigdy nie pozwoliłaby sobie w obecności matki czy Prestona Maddoca. Tutaj. Teraz. Rozpłakała się.



Choć sok pomarańczowy jest smaczny, jak tylko może być smaczny sok pity z buta, Stary Rudzielec traci zainteresowanie napojem, kiedy wycie, głośnie jak syrena przeciwlotnicza, zatrzymuje się tuż za domem na kółkach. Niepokój Curtisa staje się także jej niepokojem, obserwuje chłopca z nastawionymi uszami, napiętym ciałem, gotowa pobiec na jego znak.

Dom na kółkach zaczyna zwalniać, bo kierowca pewnie spojrział w lusterko wsteczne. Widać nawet seryjni mordercy, trzymający zęby swoich ofiar w nocnych szafkach, żeby na nie czule patrzeć przed snem, czują respekt przed drogówką.

Kiedy radiowóz mija ich i mknie dalej w mrok nocy, dom na kółkach znowu przyspiesza, ale Stary Rudzielec nie wraca już do picia. Jeśli Curtis się niepokoi, ona także pozostanie czujna.

Najpierw helikopter nad autostradą, lecący w kierunku Nevady, teraz ten radiowóz; to znaki i świadectwa czekającego przed nimi niebezpieczeństwa. J. Edgar Hoover, choć nie żyje, nie jest głupi, a jeśli jego nieznaną odpoczynku dusza nadal czuwa nad organizacją, którą tak niechętnie opuścił, to jest bardziej niż pewne, że dwa oddziały agentów FBI i prawdopodobnie także innych licznych organizacji zablokowały wszystkie autostrady prowadzące na północny wschód i południowy zachód od zajazdu dla ciężarówek.

Curtis znowu przysiadła na brzegu łóżka, wyciąga z kieszeni dzinsów zwitek banknotów, wygładza je i sortuje. Nie za wiele tego sortowania. Liczy swój majątek. Nie za wiele tego liczenia.

Na pewno mu nie starczy na łapówkę dla agenta FBI. Zresztą oni pewnie się nie dają przekupić. Przecież to nie politycy. Pewnie Agencja Bezpieczeństwa Narodowego także ma tutaj swoich pracowników, co się wydaje dość prawdopodobne, i jest tutaj również CIA – a ci goście nie sprzedadzą kraju i honoru za parę zmiętych pięciodolarówek. Przynajmniej jeśli wierzyć filmom, kryminałom i książkom historycznym. Może teksty historyczne są pisane na zamówienie polityków, może pisarze fantazjują, ale w to, co się widzi w filmach, na pewno można wierzyć.

Wobec tak skromnego budżetu raczej nie należy mieć nadziei na szansę wydostania się z obławy dzięki łapówkom. Curtis znowu chowa pieniądze do kieszeni.

Kierowca nie hamuje, ale powoli wytraca prędkość. Niedobrze, niedobrze. Po ucieczce z zajazdu ci dwoje przecież nie zatrzymują się na następny postój. Widać przed nimi zrobił się korek.

– Dobra psina – mówi do Starego Rudzielca, żeby ją pocieszyć i przygotować na to, co się może wydarzyć. *Dobra psina. Trzymaj się mnie.*

Dom na kółkach zwalnia do siedemdziesięciu, do pięćdziesięciu, do czterdziestu kilometrów na godzinę. Kierowca parę razy przydeptuje hamulec. Curtis podchodzi do okna, psina za nim.

Curtis odchyła okno. Wiatr uderza go łapą jak niedźwiedź, ale ta łapa jest ciepła i bez pazurów. Curtis wspina się na parapet. Wychyla się, spogląda, mrużąc oczy na wietrze, patrzy przed siebie. W mroku czerwienieją światła hamowania dziesiątków innych pojazdów na wszystkich trzech pasach drogi biegnącej na zachód. Na szczycie wzgórza, jakieś dwieście metrów dalej, samochody zupełnie stoją.

Dom na kółkach coraz bardziej zwalnia. Curtis zamyka okno i staje przy drzwiach sypialni. Wierna psina podąża u jego boku.

*Dobra psina.*

Kiedy samochód zupełnie się zatrzymuje, Curtis wyłącza światło w sypialni. Czeka w ciemnościach.

Najprawdopodobniej oboje psychopatyczni właściciele domu na kółkach pozostaną przez jakiś czas

na swoich miejscach. Będą się bardzo uważnie przyglądać blokadzie na drodze, będą planować jakąś strategię na wypadek, gdyby policja zechciała zrewidować ich pojazd. Ale i tak w każdej chwili któreś z nich może pójść do sypialni. Jeśli wszystko będzie wskazywać na to, że rewizja jest nieunikniona, ci zbrodniczy fetyszyści spróbują pozbyć obciążającej ich kolekcji makabrycznych pamiątek.

Curtis ma tu przewagę, ponieważ to nie on zostanie zaskoczony, ale nie jest pewien, czy to zaskoczenie na wiele mu się przyda. Ta psychopatyczna para przerasta go wzrostem, siłą i psychopatyczną obojętnością na swoje bezpieczeństwo. Jednak oprócz siły zaskoczenia Curtis ma także Starego Rudzielca. A Rudzielec ma zęby, co prawda Curtis też, ale nie takie duże i ostre, a ponadto – w przeciwieństwie do swojej czworonożnej towarzyszki – nie ma serca, żeby je wykorzystać. Brak mu też pewności, czy matka byłaby z niego dumna, gdyby wygryzł sobie drogę do wolności. O ile mu wiadomo, bardzo rzadko odznacza się walecznych mężczyzn i kobiety za pogryzienie wroga. Dzięki Bogu za to, że mu zesłał przyszywaną siostrzyczkę.

*Dobra psina.*

Dom na kółkach stoi już od kilku minut. Potem przetacza się o parę długości samochodu i znowu staje. Curtis wykorzystuje tę chwilę i lekko uchyla drzwi sypialni. Klamka skrzypi cicho, zawiasy też i drzwi się otwierają. Chłopiec przykłada oko do dwucentymetrowej szpary, przygląda się łazience, oddzielającej sypialnię od salonu i szoferki. Drzwi po przeciwnej stronie łazienki są do połowy uchylone, wpuszczają światło z przedniej części pojazdu, ale chłopiec nie widzi, co się za nimi dzieje.

Psina mocno przytula się do jego nogi, przykłada nos do szpary pod drzwiami. Węszy. Jej wyjątkowo czuły zmysł węchu dostarcza więcej informacji niż wszystkie pięć ludzkich zmysłów razem wziętych, więc chłopiec nie odsuwa jej z drogi: Musi zawsze pamiętać, że każda historia o chłopcu i jego psie jest także historią o psie i jego chłopcu. Żaden bliski związek nie może trwać bez wzajemnego szacunku.

Psi ogon merda, uderza o nogi Curtisa: może dlatego, że psina uchwyciła jakiś przyjemny zapach, a może po prostu zgadza się z jego poglądami na chłopięco-psią przyjaźń.

Nagle od strony szoferki do łazienki wchodzi mężczyzna.

Przyczajony w ciemnej sypialni Curtis o mało co nie zatrząskuje drzwiami ze strachu. W porę zdaje sobie sprawę, że dwucentymetrowa szpara nie przyciągnie uwagi mężczyzny tak bardzo jak zamykające się drzwi.

Spodziewa się, że mężczyzna pójdzie prosto do sypialni i jest gotowy uderzyć drzwiami, żeby ogłuszyć tego mordercę. Potem razem z psiną uciekną z pułapki.

Tymczasem mężczyzna podchodzi do umywalki i włącza małą lampkę nad nią. Staje bokiem do Curtisa i przygląda się swojej twarzy w lustrze.

Stary Rudzielec trwa przy drzwiach z nosem przy szparze, ale już nie węszy tak głośno. Przeszła na tryb utajony, choć ciągle delikatnie porusza ogonem. Curtis, choć przestraszony, jest także zaintrygowany. Podglądanie obcych ludzi w ich własnym domu ma w sobie coś fascynującego, nawet jeśli to tylko dom na kółkach.

Mężczyzna robi do siebie minę. Pociera palcem prawy kącik ust, odciąga dolne powieki i przygląda się swoim oczom – Bóg jeden wie, w jakim celu. Potem obiema dłońmi przygląda włosy na skroniach.

Uśmiecha się do siebie w lustrze i mówi:

– Tom Cruise niech spada. Vern Tuttle rządzi.

Curtis nie wie, kim jest ten Vern Tuttle, ale Tom Cruise to, oczywiście, słynny aktor, gwiazdor filmowy, znana na całym świecie znakomitość. Chłopiec ze zdumieniem i podziwem dochodzi do wniosku, że ten mężczyzna jest znajomym Toma Cruise'a.

Słyszał, jak ludzie mówią, że świat jest mały, no i – jak widać – rzeczywiście.

Teraz mężczyzna szczerzy do siebie zęby. To nie jest miły uśmiech. Nawet z profilu robi wrażenie złowrogiego, drapieżnego. Mężczyzna opiera się o umywalkę, zbliża twarz do lustra i ogląda obnażone zęby z denerwującą wnikliwością.

Curtis jest wytracony z równowagi, choć nie zaskoczony. Już wie, że ta para to psychopatyczni zębowi fetyszyści.

Jeszcze bardziej niepokojący niż zębowa obsesja szczerzącego się mężczyzny jest fakt, że poza tym wydaje się zupełnie normalny. Przysadzisty, koło sześćdziesiątki, z bujną siwą czupryną, mógłby grać w filmie czyjś dziadka i na pewno nikt by go nie obsadził w roli wariata z piłą mechaniczną.

Ci, którzy twierdzą, że świat jest mały, mówią także, że nie wolno sądzić książki po okładce, co znaczy, że mają na myśli także ludzi, nie tylko książki. I teraz znowu by się okazało, że mają rację.

Obcy mężczyzna nadal warczy bezgłośnie do lustra i raptem wkłada paznokieć między dwa zęby. Przygląda się temu, co teraz znajduje się na jego palcu, marszczy brwi, patrzy uważniej, wreszcie pstryknięciem strzepuje to coś do umywalki.

Curtis wzdyga się ze strachu. Rozgorączkowana wyobraźnia podsuwa mu liczne mrożące krew w żyłach podpowiedzi, co też mogło utkwic w tych zębach, a wszystkie mają wiele wspólnego z powszechnie znanym faktem, iż seryjni mordercy na ogół są także kanibalami.

Stary Rudzielec, nadal z nosem przy drzwiach, macha ogonem. Nie udzielił się jej strach przed tym potworem w ludzkiej skórze. Wydaje się, że ma własną opinię, której się uparcie trzyma. Chłopiec z troską myśli o wiarygodności zwierzęcych instynktów.

Hipotetyczny kanibal wyłącza światło nad umywalką, odwraca się i idzie do małej przegródki, w której znajduje się ubikacja. Wchodzi do niej, zapala światło i zamyka za sobą drzwi.

Matka chłopca mawiała, że zmarnowana szansa to nie tylko zmarnowana szansa, lecz cios zadany przyszłości. Jeśli przegapi się zbyt wiele szans, przyszłość będzie tak okaleczona, że umrze i wcale się jej nie będzie miało.

Jeden morderca załatwia fizjologiczne potrzeby, jego zbrodnicza partnerka siedzi za kierownicą, co stanowi szansę, której nie wykorzystałby tylko bardzo niegrzeczny, niesłuchający mamy chłopiec.

Curtis otwiera drzwi łazienki. *Ty pierwsza, psinko.*

Kundelek wbiega do łazienki, merdając ogonem – prosto w stronę toalety.

*Nie, psinko, nie! Uciekaj, uciekaj!*

Być może siła paniki Curtisa przeniosła się na psa tym psychicznym połączeniem, które nawiązuje się pomiędzy każdym chłopcem i jego psem, chociaż to chyba niemożliwe, bo poznali się tak niedawno i dopiero nawiązują ten układ psio-ludzki. Bardziej prawdopodobne, że w toaletowej zagródce zapach tego niby-dziadka stał się mocniejszy i psina rozpoznała w nim potwora. Nieważne, psychiczna więź czy dobry węch, w każdym razie psina zmienia kierunek i truchtem wybiega z łazienki w stronę salonu i szoferki.

Chłopiec idzie za nią. Spogląda na kuchnię i salon, potem na szoferkę. Kobieta siedzi za kierownicą, pochłonięta wyłącznie bezruchem na autostradzie.

Curtis z ulgą dostrzega, że kobieta jest uwięziona w pasach bezpieczeństwa. Nie zdoła się z nich wyzwolić i zerwać z siedzenia tak szybko, żeby mu zagrozić drogę.

Kobieta siedzi odwrócona do niego plecami, ale kiedy się do niej zbliża, dostrzega, że jest mniej więcej w wieku swojego towarzysza. Jej krótkie włosy lśnią nadnaturalną bielą.

Stary Rudzielec, skruszona, że nie poznała się na fałszywym dziadku, idzie ostrożnie, nie merdając

ogonem, mija aneks kuchenny, kroczek za krockiem, całkiem jak kot, ciszej niż jakikolwiek skradający się kot.

W chwili gdy dociera do wyjścia, a Curtis sięga ku klamce, kobieta ich wyczuwa. Coś chrupie, podnosi wzrok, spodziewając się zobaczyć mężczyznę, i ze zdumieniem odkrywa chłopca i jego psa. Zaskoczenie unieruchamia ją w pół chrupnięcia, z ręką uniesioną do ust, a w palcach trzyma ludzkie ucho. Curtis zaczyna krzyżeć i nawet kiedy dociera do niego, że to nie ucho, tylko bardzo duży chips ziemniaczany, nie może przestać. Z tego, co mu wiadomo, ta kobieta je chipsy z ludzkimi uszami, tak jak inni jedzą chipsy z preclami, orzeszkami albo z dipem śmietanowym.

Drzwi się nie otwierają, klamka się nie rusza. Naciska mocniej i jeszcze mocniej. Niedobrze. Zamknięte na klucz, na pewno zamknięte. Szarpie klamką gwałtownie, bez rezultatu.

Zdumiona kobieta otrząsa się na tyle, że wraca jej mowa, ale chłopiec nie rozumie, o co chodzi, ponieważ głośny łomot serca zagłusza te parę słów, które przedzierają się przez jego krzyk.

Curtis i drzwi, siła woli przeciwko materii, w skali mikro, gdzie wola powinna zwyciężyć, a jednak zamki mocno trzymają, drzwi nie chcą się otworzyć. Magiczny zamek, mechanizm zespolony z drzwiami mocą czarodziejskiego zaklęcia, opiera się jego mięśniom i umysłowi.

Morderczyni wciska guzik i uwalnia się z pasów bezpieczeństwa.

O Boże, to tylko jedne drzwi, magicznie zaryglowane, wszystkie jego sztuczki spełzły na niczym i teraz jest uwięziony w ruchomej rzeźni z psychopatycznymi emerytami, którzy go zjedzą z chipsami i będą trzymać jego zęby w szafce przy łóżku.

Stary Rudzielec, zjeżona jak nigdy dotąd, skacze ku kobiecie. Warcząc, szczekając, piniąc się, plując, wydaje się mówić: „Zęby? Chcesz zębów? Popatrz sobie na TE zęby, chodź do mnie, ząb za ząb, ty psychopatko, zobaczymy, czy dalej będziesz tak lubić zęby, kiedy z tobą skończę!”.

Psina nie posuwa się aż do ugryzienia, ale jej determinacja działa odstrasza. Morderczyni od razu traci ochotę, żeby wstać zza kierownicy. Cofa się, strach zaciska jej twarz w brzydki supeł, na pewno ma taką samą minę, gdy zbliża się do ofiar, dla których nie ma litości.

Szarpana w górę i dół klamka nie chce otworzyć drzwi, ale kiedy się ją pociągnie do siebie, drzwi się otwierają i teraz widać, że wcale nie były zaryglowane. Więc jednak nikt nie rzucił zaklęcia na mechanizm. Niepowodzenie Curtisa nie wynikało ze złej pracy umysłu czy mięśni, lecz z niedoborów rozsądku, co trzeba przypisać strachowi. Choć to odkrycie trochę upokarza chłopca, nie potrafi powściągnąć galopującej paniki. Otwiera drzwi, skacze, wypada na asfalt z rozpędem, który rzuca nim o bok lexusa stojącego na sąsiednim pasie. Chłopiec ląduje na szybie, z nosem rozplaszczonym tak bardzo, że niewiele brakuje, by mu się złamał, zagląda do środka samochodu jak do akwarium pełnego dziwnych ryb. Ryby – a tak naprawdę to siedzący za kierownicą mężczyzna ostrzyżony na jeża i brunetka ze sterzącymi włosami – wpatrują się w niego wybałuszonymi oczami bez powiek i ustami ułożonymi w kółeczka, co się często widuje u stałych mieszkańców prawdziwych akwariów.

Curtis odpycha się od samochodu i odwraca w chwili, gdy Stary Rudzielec, już nie szczekając, wyskakuje z domu na kółkach. Szczerzy radośnie zęby, macha ogonem, dobrze wie, że stała się bohaterką tej chwili. Skręca w lewo i dumnym truchcikiem biegnie przed siebie.

Kieruje się wzdłuż przerywanej białej linii, która odgradza od siebie pasy na autostradzie. Chłopiec podąża za nią. Już nie krzyżeć, ale strach go tak oszołomił, że na razie pozwala się prowadzić swojej dzielnej towarzysze.

Ogląda się na konstelację oślepiających światła i widzi białowłosą kobietę, która patrzy na niego przez przednią szybę domu na kółkach. Na wpół podniosła się z siedzenia, żeby go lepiej widzieć. Z tej

odległości można by ją wziąć za niewinną, miłą panią, na przykład bibliotekarkę, zakładając, że jest to bibliotekarka, która wie, jak łatwo pomylić książkę o potworach ze słodkim romansem, jeśli tylko zamieni się im okładki.

W powiewie pustynnego wiatru czuć zapach miasta. Ciepłe powietrze śmierdzi spalinami dobywającymi się z silników pracujących na jałowym biegu. Niektórzy kierowcy, zorientowawszy się, jak długo będą musieli czekać, wyłączyli silniki i wysiedli, żeby rozprostować nogi. Nie wszyscy uciekli z zajazdu dla ciężarówek, toteż teraz – rozcierając karki, poruszając ramionami, przeciągając się i strzelając kostkami dłoni – pytają sąsiadów, co się dzieje, co do diabła, co znowu.

Ci ludzie to swoiste pole minowe, przez które Curtis i Stary Rudzielec muszą bezpiecznie przejść. Lawirując, wymijając, chłopiec zwraca się do nich grzecznie, choć wie, że mogą być pastorami lub mordercami, albo mordującymi pastorami, grzesznikami lub świętymi, bankowcami lub złodziejami, brutalami lub łagodnymi gołąbkami, dobroczyńcami bądź złoczyńcami, ludźmi całkiem normalnymi albo zupełnie nienormalnymi.

– Bardzo przepraszam. Dziękuję pani. Przepraszam pana. Dziękuję panu. Przepraszam panią.

Wreszcie zatrzymuje go wysoki mężczyzna o szarej ściągniętej twarzy, w której trwale odcisnął się grymas człowieka cierpiącego na chroniczne zatwardzenie. Mężczyzna wyłania się spomiędzy furgonetki forda i czerwonego cadillaca, zastępuje mu drogę i kładzie mu rękę na piersi.

– Czekaj, czekaj, synku, dokąd to, po co ten pośpiech?

– Seryjni mordercy! – zipie Curtis, wskazując w stronę domu na kółkach, oddalonego o ponad dwadzieścia pojazdów. – Tam, w tym samochodzie, trzymają w sypialni kawałki zwłok!

Zbity z tropu mężczyzna opuszcza dłoń, a grymas rysuje się wyraźniej na jego szczupłej twarzy, gdy mrużąc oczy, spogląda w stronę szesnastotonowego upiornego domu.

Curtis wymyka się mu, pędzi za swoją towarzyszką, choć teraz zdaje już sobie sprawę, że prowadzi go ona na zachód. Blokada znajduje się nadal daleko od nich, za szczytem wzgórza, jeszcze jej nie widać, ale i tak nie jest to pożądany kierunek.

Pomiędzy chevroletem furgonetką a volkswagenem Curtis wpada w ręce jakiegoś wesołego mężczyzny z piegową twarzą i rudą czupryną klauna.

– Hej, hej, hej! Przed kim uciekasz, mały?

Curtis wyczuwa, że tego człowieka nie da się oszołomić wieścią o seryjnych mordercach – ani żadną inną wieścią, skoro o tym mowa – więc ucieka się do usprawiedliwienia, które znalazł dla niego Burt Hooper, pożeracz wafli z restauracji Donelli. Nie jest całkiem pewien sensu tego usprawiedliwienia, ale wcześniej już go wyratowało z kabały, więc mówi śmiało:

– Proszę pana, ze mną jest coś nie tego!

– Ha, jakoś mnie to nie dziwi – oświadcza rudowłosy mężczyzna, ale nadal ściska mocno w garści połą koszuli Curtisa. – Coś ukradłeś, chłopcze?

Nikt przy zdrowych zmysłach nie założyłby, że dziesięcioletni chłopiec czyha przy autostradzie międzystanowej, czekając, aż policja ją zablokuje, żeby mógł okraść kierowców. Dlatego też Curtis dochodzi do wniosku, że piegowaty ma na myśli kradzieże z czasów przybycia do domu Hammondów w Kolorado. Może ma niezwykłą psychiczną moc i nawiedzają go wizje pięciodolarówek i parówek, zwędzonych w trakcie długiej drogi ku wolności.

Albo, z tego, co można się domyślić, ten obcy ma nie tyle psychiczną moc, ile jest psychiczny. Wariat, świr, szaleniec. Dużo ich się tu kręci. W sandałach i obszernych szortach, z koszulką oznajmijającą „Odpowiedzią jest miłość”, z twarzą wesoło nakrapianą piegami, mężczyzna nie sprawia

wrażenia wariata, ale na tym świecie tak wiele nie jest tym, czym się wydaje – co dotyczy również samego Curtisa.

Psina rzuca się na szorty. Nie warczy, nie szczeka, nie ostrzega, właściwie nie okazuje żadnej wrogości; niemal jak w żartach skacze na mężczyznę, chwyta szorty w zęby i szarpie. Mężczyzna krzyczy, puszcza Curtisa, ale Stary Rudzielec nie spieszy się z wypuszczeniem szortów. Ściąga je z mężczyzny, obnaża jego bieliznę. Piegowaty wierzga nogą, ale szorty krępują mu ruchy, nie udaje mu się dosięgnąć kudłatego ciała, za to spada mu sandał.

Psina natychmiast puszcza szorty i chwyta zrzucone obuwie. Z sandałem w zębach, wesoło szczerząc zęby, rzuca się sprintem na zachód wzdłuż białej przerywanej linii, pomiędzy zdenerwowanymi kierowcami w przegrzanych pojazdach. Ciągłe kieruje się w zupełnie niewłaściwą stronę, ale Curtis biegnie za nią, ponieważ nie mogą wrócić do domu na kółkach, na tej drodze spotka ich zbyt wiele przeszkód. Nie mogą przekroczyć pasa zieleni i wbiec na autostradę prowadzącą w przeciwnym kierunku, ponieważ samochody śmigające na wschód i tak zostaną zatrzymane przez blokadę gdzieś za zajazdem dla ciężarówek.

Jedyną ich nadzieją jest ogromna pustynia na północ od autostrady, tam gdzie czarne niebo spotyka się z czarną ziemią, gdzie ostre krawędzie kwarcowych skał iskrzą się w świetle gwiazd. Grzechotniki, skorpiony i ptaszniki będą bardziej przyjazne od bezlitosnej sfory łowców, do której należeli dwaj kowboje – do której nadal należą, jeśli przetrwali strzelaninę w kuchni.

FBI, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i inne organizacje nie zabiją Curtisa natychmiast po zidentyfikowaniu, co bez wątplenia zrobiliby kowboje i ich kompani. Ale kiedy go zamkną, już nigdy nie odzyska wolności. Do końca życia.

Gorzej, jeśli zostanie zamknięty, ci okrutni łowcy, którzy zabili jego rodzinę – i rodzinę Hammondów – wcześniej czy później dowiedzą się, gdzie się znajduje. W końcu wpadnie w ich łapy, choćby go trzymano w najgłębszym bunkrze, w najlepiej strzeżonej twierdzy, choćby przydzielono mu nie wiadomo ilu uzbrojonych strażników.

Daleko przed nim Stary Rudzielec wypuszcza sandał z pyska i skręca w prawo, pomiędzy dwa zaparkowane pojazdy. Curtis biegnie za nią. Psina czeka na niego na poboczu autostrady. Potem, nie dbając o niebezpieczeństwo spotkania z jadowitymi wężami, radośnie ożywiona widokiem nowego terenu i perspektywą większej przygody, z ogonem uniesionym jak chorągiewka, rusza truchcikiem po łagodnym zboczu autostrady.

Gdyby Curtis mógł zamienić tę wspaniałą przygodę na podróż tratwą po rzece, zrobiłby to bez chwili wahania. Ale pędzi ku terytorium, ściga mądrą psinę, oddala się pospiesznie od karnawałowych światełek zablokowanej autostrady, zmierza ku jałowej połaci piasku, suchych krzaków, łupków. Zwiertzałe głązy mającą w mroku jak czerwonoskórzy, którzy pewnie kiedyś stali w tym samym miejscu, obserwując wozy pełne przestraszonych osadników zdążających na zachód drogą oznaczoną nie asfaltem i znakami drogowymi, lecz kamieniami, złamanymi kołami wozów poprzednich osadników i rozrzuconymi kośćmi ludzi i koni, które z mięsa odarły sępy i małe drapieżniki. Curtis i Stary Rudzielec idą śladem tych dzielnych i głupich ludzi z przeszłości: chłopiec i pies, pies i chłopiec, księżyc kryje się za pierzyną chmur na zachodzie, słońce śpi w łóżku na wschodzie, a przybrana siostrzyczka i jej kochający brat biegną na północ przez pustynny mrok w jeszcze głębsze odmęty ciemności.

Noah Farrel mówił do chwili, kiedy miał już dość własnego głosu, a potem mówił jeszcze tak długo, że skończyły mu się wszystkie słowa.

Laura leżała na łóżku pogrążona w transie kataleptycznym, skulona w pozycji płodowej, tak nieruchoma, że nawet nie zmarszczyła kordonkowej narzuty. Nie odezwała się w trakcie monologu brata i teraz nie przerwała ciszy.

Ta cisza była najbliższym znanym Noahowi odpowiednikiem spokoju. Kiedyś nawet zdrzemnął się parę razy w fotelu. Sen bez snów opadał go tylko tutaj, jedwabista pieśczoła, gdy nie mógł już znaleźć słów, kiedy pozostało mu tylko dzielić milczenie z siostrą.

Być może spokój przychodzi wraz z pogodzeniem się z rzeczywistością.

Ale to pogodzenie się z rzeczywistością bardzo przypomina rezygnację. W te wieczory, kiedy zapadał w drzemkę, budził się z odrodzonym poczuciem winy, z poczuciem niesprawiedliwości, które nie ulotniło się podczas tego snu bez marzeń, lecz wyostrzyło się na nim jak na osełce.

Miał o co walczyć z losem, więc walczył, choć wiedział, że z nich dwóch los ma większe pięści i jest silniejszy.

Tego wieczora jednak nie zapadł w drzemkę, a po chwili jego mózg znowu zaczął kipieć niechcianymi myślami. Słowa ponownie podeszły mu do gardła, lecz tym razem chciały się wydobyć w chrapliwych strumieniach gniewu, nienawiści do siebie, użalania się nad samym sobą. Gdyby te słowa przefiltrowały się przez mury uszkodzonego mózgu, w których Laura odsiadywała dożywotni wyrok, nie rozproszyłyby jej wewnętrznej ciemności.

Podszedł do łóżka, pochylił się nad siostrą, pocałował jej mokry policzek. Gdyby był spragniony i podano mu ocet, nie smakowałby gorzej niż te powoli, stale płynące łzy.

W korytarzu natknął się na pielęgniarkę, która pchała przed sobą metalowy wózek: drobna kruczowłosa kobieta o różowej cerze i jasnych oczach nordyckiej blondynki. W wykrochmalonym białobrzoskwiniowym fartuchu wyglądała dziarsko jak papużka na amfetaminie. Jej zaraźliwy uśmiech pewnie by się udzielił i Noahowi, gdyby przygębniąjąca wizyta u Laury nie uodporniła go na jakiś czas na wesołość.

Nazywała się Wendy Quail. Nowa pracownica. Spotkał ją tylko raz, ale miał pamięć do nazwisk, jak to gliniarz.

– Kiepsko? – spytała, zerkając w stronę pokoju Laury.

– Dość – przyznał.

– Przez cały dzień była nie w humorze.

Określenie „nie w humorze” wydawało się tak absurdalnie nietrafne w opisanu rozpaczliwego losu Laury, że Noah niemal się roześmiał. Och, ale ten śmiech i tak zabrzmiałby jak ponure warknięcie, na którego dźwięk ta naiwna pielęgniareczka podskoczyłaby jak pchełka, więc go powstrzymał i tylko skinął głową.

Wendy westchnęła.

– Wszyscy mamy swoje kompociki i kłopoty. – Swoje co?

– Kompociki i kłopoty. Problemy. Niektórym los podaje je w małej szklaneczce, inni dostają je w dzbankach, a twoja biedna słodka siostra otrzymała całą beczkę.

Na myśl o szklankach i dzbankach kłopotyków i kompocików Noah wydał z siebie jeszcze bardziej niestosowny śmiech niż ten, który zdławił.

– Ale na wszystkie kłopoty tego świata – dodała Wendy – jest jedna odpowiedź.

Noaha nigdy nie opuszczała policyjna podejrzliwość, która teraz jeszcze przybrała na sile.

– Jaka? – spytał, przypominając sobie pacyfistę z Kręgu Przyjaciół, z tatuażem na ręce i podobnym napisem na koszulce.

– Lody, ma się rozumieć! – Wendy zerwała wieczko izolowanego prostokątnego pojemnika, który wiozła na wózku. W pojemniku znajdowały się lody waniliowe z polewą czekoladową o smaku kokosowym, udekorowane maraskami. Wendy przyniosła smakołyk na dobranoc dla swoich udreńczonych podopiecznych.

Zauważyła nagły chłód Noaha i spytała:

– Myślałeś, że co powiem?

– Miłość. Myślałem, że powiesz: odpowiedzią jest miłość. Jej słodka twarzyczka nie była stworzona do ironicznych uśmiechów, ale i tak udało się jej wyprodukować coś bardzo do nich zbliżonego.

– Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie moje romanse, lody wygrywają z miłością na wszystkich frontach. Wreszcie zdołał się uśmiechnąć.

– Czy Laura będzie chciała zjeść lody?

– Nie jest w stanie sama jeść. Może gdybym pomógł jej usiąść i sam ją nakarmił...

– Nie, nie. Rozdzielę lody, a potem sprawdzę, czy Laura ma ochotę na ostatnią porcję. Nakarmię ją, jeśli zdołam. Uwielbiam się nią zajmować. Opiekowanie się tymi nadzwyczajnymi osobami... to moje lody.

W głębi korytarza drzwi Richarda Velnoda stały otworem. Rickster, wyzwoliciel biedronek i myszy, stał na środku pokoju w żółtej piżamie i pałaszował lody, wyglądając przez okno.

– Jeśli się zje lody przed snem – odezwał się Noah – na pewno będzie się miało słodkie sny.

Nieco zniekształcony głos Rickstera zabrzmiał jeszcze bardziej niewyraźnie, zmrożony chłodem przysmaku. – Wiesz, co jest naprawdę fajne? Jak w środę jest niedziela. Noah nie zrozumiał.

– Bo chyba jest środa – dodał Rickster, wskazując gestem głowy lody.

– Ach, no tak. Miłe rzeczy, kiedy się ich nie spodziewamy. Dzięki temu wydają się jeszcze lepsze. Rzeczywiście. Za niedzielę w środę!

– Uciekasz? – spytał Rickster.

– Aha. Aha. Wychodzę.

Za pomocą jednego tęsknego wyrazu twarzy Rickster przekazał mu, że możliwość ucieczki, kiedy się tylko ma na nią ochotę, to naprawdę fantastyczna rzecz, jeszcze lepsza niż niedziela w środę.

Przed Przystanią dla Samotnych i Zapomnianych, pod pergolami porośniętymi pnączami, Noah zaczerpnął głęboki haust ciepłego nocnego powietrza. W drodze do samochodu – kolejny rupieć, kolejny chevrolet – starał się uspokoić nerwy.

Podejrzenia skierowane na Wendy Quail były niesłuszne.

Laurze nic nie groziło.

W przyszłości, jeśli jakiś przyjaciel kongresmana Sharmera nie będzie się mógł oprzeć pokusie, by się zemścić, powinien od razu uderzyć w Noaha, nie w jego siostrę. Jonathan Sharmer był zwykłym bandytą, przystrojonym w fatalaszki współczucia i praworządności, chętnie przywdziewane przez polityków, choć niemogące ukryć ich prawdziwej tożsamości. A jedną z zasad, którymi kierowała się klasa przestępcza – nie licząc co bardziej świrniętych gangów ulicznych – była zasada oszczędzania bliskich osób do zlikwidowania. Żony i dzieci były nietykalne. Siostry też.

Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Popzedni samochód zawsze trzeba było namawiać. Hamulec



ręczny działał jak złoto, skrzynia biegów prawie się nie zacinała, a skrzypienie wiekowej konstrukcji nie było aż tak głośnie, by przeszkadzać w rozmowie, zakładając, że mógłby prowadzić w tym samochodzie rozmowę z kimś innym niż z samym sobą. Cholera, zupełnie jakby dostał mercedesa.

Czyszczenie zębów bez pasty to dość kiepska metoda, ale smak wieczornego koktajlu nie zyskuje po dodaniu blend-a-medu. Po beźmiętowym czyszczeniu zębów Micky wycofała się do swojej małej sypialni, gdzie zawsze trzymała plastikową szklaneczkę i wiaderko z lodem. W dolnej szufladzie małej komódki trzymała zapas taniej cytrynówki.

Jedna butelka z nienaruszoną banderolą, druga do połowy pusta, obie ukryte pod żółtym swetrem. Nie przed Genewą; ciotka wiedziała o upodobaniu siostrzenicy do wieczornych drinków.

Micky chowała butelki pod swetrem, ponieważ nie chciała na nie patrzeć za każdym razem, gdy otwierała szufladę, szukając czegoś innego. Widok tego zapasiku w chwili, gdy go pilnie nie potrzebowała, odbierał jej humor, a nawet powodował, że czuła wstyd.

Jednak ostatnio poczucie wyobcowania ogarnęło ją z taką siłą, że nie miała już siły odczuwać wstydu. W tym mroźnym poczuciu bezradności, znanym jej od dzieciństwa, zrodziła się lodowata nienawiść, która od czasów dzieciństwa zmieniła się w burzę śnieżną, odgradzającą ją od innych ludzi, życia, nadziei.

Aby nie dopuścić do dalszych rozmyślań o swej bezradności w sprawie Leilani Klonk, Micky wlała do szklaneczki dwie dawki środka znieczulającego i dorzuciła lodu. Obiecała sobie, że dostanie jeszcze co najmniej jedną taką porcję, w nadziei, że ten wystrzał z dwóch luf uśpi ją, zanim bezradność zmieni się w gniew, ponieważ kiedy nadchodził gniew, przez całą noc rzucała się bezsennie w pościeli.

Od czasu gdy przed tygodniem zamieszkała u Genevy, upiła się tylko raz. Przez dwa dni obywatela się zupełnie bez alkoholu. Dziś nie chciała się zalać, tylko znieczulić na los tej bezbronnej dziewczynki – tej z sąsiedztwa i tej, którą była sama nie tak znowu dawno temu.

Rozebrawszy się do fig i koszulki na ramiączkach, usadowiła się w ciepłych ciemnościach na posłanym łóżku i zaczęła sączyć cytrynówkę z lodem.

Za otwartym oknem noc wstrzymała oddech.

Z autostrady dobiegał szum samochodów, niecichnący nawet o tej godzinie. Mniej romantyczny niż łomot pociągów, który słyszała przez tak wiele innych nocy. Ale i tak mogła sobie wyobrazić, że ludzie przejeżdżający tą autostradą są w drodze między jednym stanem zadowolenia a drugim, w podróży od szczęścia do szczęścia, że ich życie ma znaczenie, cel, spełnienie. Na pewno nie we wszystkich wypadkach. Może nawet nie w większości. Ale niektórym na pewno to się zdarza.

Bywały w jej życiu długie okresy, kiedy nie mogła się zdobyć nawet na tyle optymizmu, by uwierzyć, że ktokolwiek, gdziekolwiek, kiedykolwiek mógł być naprawdę szczęśliwy. Geneva powiedziała, że ta nowa, jeszcze krucha nadzieja jest oznaką postępu i Micky łudziła się, że to prawda, choć równie dobrze mogło ją czekać rozczarowanie. Trzeba dużo odwagi, żeby wierzyć, że świat jest z gruntu dobry, że ma sens, bo wraz z tą wiarą pojawiała się konieczność wzięcia odpowiedzialności za swoje postęпки – a także dlatego, że każdy odruch życzliwości wystawiał serce na potencjalny cios.

Ciche pukanie do drzwi odezwało się w niesprzyjającym momencie, ale Micky powiedziała:

– Proszę.

Geneva zostawiła za sobą na wpół przymknięte drzwi. Usiadła na brzegu łóżka, bokiem do siostrzenicy. Słaby blask kinkiету w przedpokoju ledwie docierał do pokoju Micky. Cienie wymieszały się ze światłem, zamiast się przed nim cofnąć.

Choć błogosławiony mrok stanowił doskonałą osłonę dla uczuć, Geneva nie spojrzała na Micky. Zatrzymała wzrok na butelce stojącej na szafce. Sama szafka i wszystko inne na niej tonęło w cieniu, ale

butelka miała przedziwną zdolność przyciągania światła, a wódka błyszczała w niej jak rtęć.

– Co teraz zrobimy? – spytała Geneva po długim milczeniu.

– Nie wiem.

– Ja też nie. Ale nie możemy tego tak zostawić.

– Nie możemy. Muszę się zastanowić.

– Ja też spróbuję, ale myśli tak mi wirują w głowie, że aż się boję, żeby się tam coś nie oberwało.

Ona jest taka słodka.

– Jest też twarda. Wie, z czym ma do czynienia.

– Och, myszko, co jest ze mną nie tak, że pozwoliłam temu dziecku tam wrócić?

Geneva nazwał ją myszką po raz pierwszy od piętnastu lat.

Na dźwięk tego pieszczotliwego słowa gardło Micky ścisnęło się tak bardzo, że wódka nagle jakby zgęstniała. Paliła w usta, a w gardle stała się kleista jak syrop.

Micky odezwała się, nie mając pewności, czy w ogóle zdoła wydobyć z siebie głos.

– Przyszliby po nią, ciociu. Dziś nie mogliśmy nic zrobić. – To prawda, wszystkie te szalone historie, których nam naopowiadała? To nie to samo co ja i Alec Baldwin w Nowym Orleanie.

– Tak, to prawda.

Noc zachowała destylat tego sierpniowego dnia, skondensowany upał bez słonecznego blasku.

– Mówiłam nie tylko o Leilani – odezwała się znowu Geneva.

– Wiem.

– Dziś padły pewne słowa, które kryły inne znaczenia.

– Żałuję, że je usłyszałaś.

– Żałuję, że ich nie usłyszałam dawniej, kiedy mogłabym ci pomóc.

– To już stare dzieje, ciociu.

Szum autostrady przypominał stłumione brzęczenie owadów, jakby ziemia kryła w swoim wnętrzu ogromny ul, pękający w szwach od pracowitego roju, który w każdej chwili mógł się przebić przez powierzchnię i wypełnić powietrze wibrowaniem gniewnych skrzydełek.

– Widziałam, jak twoja matka zmienia mężczyzn. Zawsze była taka... niespokojna. Wiedziałam, że to nie jest dobra atmosfera.

– Zostawmy to, ciociu. Już o tym zapomniałam.

– Nieprawda. Wcale nie zapomniałaś.

– No dobrze, może nie całkiem. – Parsknęła chrapliwym śmiechem. – Ale zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby utopić te wspomnienia. – I spróbowała przełknąć łyk wódki, by splukać smak wstydu po tym wyznaniu.

– Niektórzy narzeczeni twojej matki...

Tylko ciocia Gen, ostatnia niewinna na tym świecie, mogła ich nazwać narzeczonymi – tych dzikich zwierzaków, wyrzutków dumnych ze swojej obojętności na wszystkie zasady i ograniczenia, kierujących się tylko własnym interesem, jak pasożyty, dla których krew innych jest pokarmem.

– Wiedziałam, że są nieodpowiedzialni, niegodni – ciągnęła Geneva.

– Mama lubi niegrzecznych chłopców.

– Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że któryś z nich... że mogłaś...

Słuchając swojego głosu, jakby należał do kogoś innego, ze zdumieniem usłyszała własne słowa. Przed Leilani taka szczerość byłaby niemożliwa. Teraz była tylko bolesna. – To nie był tylko jeden. Mama przyciągała pewien typ... nie wszyscy, ale niejeden... i zawsze potrafili wyczuć okazję.

Geneva pochyliła się, zgarbiła, jakby siedziała na ławce kościelnej i właśnie miała uklęknąć.

– Wystarczyło im spojrzeć na mnie i już czuli okazję. Kiedy tylko widziałam ten specyficzny uśmiech, już wiedziałam, że rozpoznali sytuację. Ja przerażona, mama udaje, że nie rozumie... Ten uśmiech... nie był właściwie taki straszny, jak można się spodziewać, raczej na wpół smutny, jakby wiedzieli, że pójdzie im zbyt łatwo i nie podobało im się, że tak będzie.

– Nie mogła wiedzieć – szepnęła Geneva, ale te trzy słowa brzmiały raczej jak pytanie niż stwierdzenie.

– Mówiłam jej wiele razy. Karała mnie za kłamstwo. Ale wiedziała, że nie kłamię.

Geneva ukryła twarz za palcami dłoni złożonych jak do modlitwy, jakby cień był niewystarczającą osłoną, jakby szeptała słowa spowiedzi w kaplicy złożonych palców. Micky odstawiła szklanekę z wódką na korkową podkładkę, chroniącą blat szafki.

– Mężczyźni liczyli się dla niej bardziej ode mnie. Zawsze się jej w końcu nudzili, wcześniej czy później, i wiedziała, że się jej znudzą. A jednak dopóki nie zdecydowała, że pora na zmianę, dopóki nie wyrzuciła któregoś z tych drani na pysk, liczył się dla niej bardziej ode mnie, a ja byłam mniej ważna od nowego drania, który miał przyjść po nim.

– Kiedy to się skończyło... jeśli się skończyło? – spytała Geneva. Jej cichy głos brzmiał głucho w łukowatej kaplicy palców.

– Kiedy już się nie bałam, kiedy byłam na tyle duża i zła, że sama położyłam temu kres. – Dłonie Micky były zimne i wilgotne od szklanki. Wytrzeła je o pościel. – Miałam prawie dwanaście lat.

– O niczym nie wiedziałam – powiedziała Geneva żałośnie. – Wcale. Niczego nie podejrzewałam.

– Wiem, ciociu. Wiem.

– Och, Boże, jaka byłam ślepa i strasznie głupia.

Głos Genevy zadrżał na słowie „Boże” i załamał się na „głupia”.

Micky przysunęła się do niej, objęła ją ramieniem.

– Nie, kochanie. Ty nie. Nigdy. Jesteś dobrą kobietą, za dobrą i zbyt niewinną, żeby sobie w ogóle coś takiego wyobrazić. – Naiwność nie jest żadną wymówką. – Geneva zadrżała. Odjęta ręce od twarzy, splótła je tak mocno, że pewnie sama chciała zadać ból swoim zreumatyzowanym stawom. – Może byłam taka głupia, bo chciałam.

– Posłuchaj, ciociu, nie zwariowałam wtedy między innymi dlatego, że byłaś taka, jaka byłaś.

– Ślepa jak kret.

– Bo dzięki tobie wiedziałam, że na świecie są jeszcze dobrzy ludzie, nie tylko dranie, z którymi zadawała się moja matka. – Micky starała się zatrzymać łzawe emocje w piwnicy serca, w bezpiecznym magazynie, w którym do niedawna mieściły się bez trudu, ale najwyraźniej ktoś wyważył drzwi i wyrzucił kłódkę. Oczy się jej zamgliły i usłyszała we własnym głosie dojrzałe od lat uczucie: – Miałam nadzieję... że kiedyś też będę porządna. Taka jak ty.

Geneva spuściła wzrok na obolałe dłonie.

– Dlaczego wtedy do mnie nie przyszłaś?

– Bałam się. Wstydyłam. Czulałam się brudna.

– I te wszystkie lata milczenia...

– Już się nie bałam. Ale... nadal nie czuję się czysta.

– Kochanie, jesteś ofiarą, nie masz się czego wstydyć.

– Ale i tak to czuję. I myślę, że może... może się bałam, że jeśli zacznę o tym mówić, pozbędę się gniewu. Gniew dawał mi siłę, żeby żyć. Gdybym go straciła, co by mi zostało?

– Spokój. – Geneva uniosła głowę i wreszcie spojrzała Micky w oczy. – Spokój. Bóg widzi, jak bardzo go potrzebujesz.

Micky zamknęła oczy na widok tej doskonałej i bezwarunkowej miłości, która zaprowadziła ją na urwisko tak strome, że aż przerażające, z morzem od dawna zapomnianych uczuć u stóp.

Geneva zmieniła pozycję i wzięła Micky w ramiona. Ciepło jej głosu było nawet bardziej kojące niż objęcia.

– Myszko, byłaś taka żywa, taka zwinna, taka słodka, taka pełna życia. I nadal taka jesteś. Nic nie odeszło od ciebie na zawsze. Wszystkie te obietnice, cała nadzieja, miłość i dobroć – to wszystko nadal jest w tobie. Nikt nie może ci odebrać darów, które dostałaś od Boga. Tylko ty możesz je odrzucić, myszko. Tylko ty.

Później, gdy ciocia Gen poszła już do swojego pokoju, kiedy Micky jeszcze raz oparła się o spiętrzone poduszki, wszystko stało się inne, choć nic się nie zmieniło. Sierpniowy upał. Ciemność bez tchu. Daleki poszum samochodów na autostradzie. Leilani pod dachem swojej matki, jej brat w samotnym grobie w lasach Montany.

Zmieniła się nadzieja; pojawiła się nadzieja na zmianę, która jeszcze wczoraj wydawała się niemożliwa, a dziś stała się tylko niemożliwie trudna.

Rozmawiała z Genewą o rzeczach, o których nie spodziewała się rozmawiać z nikim na świecie – i ta szczerość przyniosła jej ulgę. Na jakiś czas jej serce, uwięzione w pierścieniu cierni, zaczęło bić z mniejszym bólem, choć ciernie nadal ją przeszywały, wszystkie te straszne wspomnienia, których nie potrafiła z siebie wyrwać.

Pijąc wodę z roztopionych kostek lodu, postanowiła wyrzec się drugiej porcji wódki. Niestety autodestrukcyjny gniew i wstyd nie dawały się odwołać równie łatwo, ale za to można było liczyć, że zdoła rzucić picie bez programu Dwunastu Kroków.

Poza tym nie była alkoholiczką. Nie piła codziennie ani nie czuła takiej potrzeby. Stres i niechęć do samej siebie odgrywały rolę dwóch barmanów, ale na razie czuła się uwolniona od nich, uwolniona tak bardzo, jak jeszcze nigdy od wielu lat.

Jednak nadzieja nie wystarczy, żeby doprowadzić do zmiany. Nadzieja to wyciągnięta dłoń, ale trzeba jeszcze drugiej, żeby zdołać się wydostać z głębokiej jamy. Tą drugą dłonią jest wiara – wiara, że nadzieja się odrodzi; i choć jej nadzieja nabrała sił, to wiara chyba nie.

Bez pracy, bez perspektyw, bez pieniędzy w banku. Camaro rocznik '81, nadal nieco przypominający rumaka pełnej krwi, lecz zachowujący się jak zmęczony koń pociągowy.

Leilani w domu Sinsemilli. Leilani kuśtykająca w stronę makabrycznych urodzin, czas ucieka. Chłopiec z biodrem z ułożonych z małpią logiką klocków lego, wrzucony do samotnego grobu, świeża ziemia sypiąca się na już na zawsze zdumione oczy, w buzię otwartą w ostatnim błaganu o litość; ciało, które teraz zmieniło się w kupkę zdeformowanych kości...

Micky nie zdawała sobie sprawy, że wstała z łóżka, żeby nalać sobie wódki; zorientowała się dopiero wtedy, gdy stała już przy szafce i wrzucała kostki lodu do szklanki. Odkręciwszy butelkę, zawahała się przez chwilę, zanim nalała ją do szklanki. Ale jednak nalała. Trzeba odwagi, żeby wystąpić w obronie Leilani, ale trudno się oszukiwać, że tę odwagę znajdzie się w butelce. Żeby opracować plan i to taki, jaki się powiedzie, trzeba przebiegłości, lecz nie mogła się łudzić, że dzięki wódce stanie się sprytniejsza.

Natomiast wytłumaczyła sobie, że teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje gniewu, ponieważ to właśnie wściekłość pozwalała jej być twardą i opanowaną, umożliwiała przetrwanie, dawała motywację. Picie często podsycalo jej gniew, dlatego teraz piła w intencji Leilani.

Później, gdy naląła sobie trzecią, większą porcję, powtórzyła to samo kłamstwo. Tak naprawdę to nie jest wódka dla Micky, to gniew dla Leilani, konieczny krok na drodze do wywalczenia wolności dla dziewczynki.

Przynajmniej zdawała sobie sprawę, że ta wymówka to kłamstwo. Być może niezdolność oszukania samej siebie kiedyś stanie się jej deską ratunku... Albo przyczyni się do ostatecznej klęski.

Upał. Ciemność. Od czasu do czasu chlupoczący grzechot roztapiających się kostek lodu w kubku. I nieprzerwany szum samochodów na autostradzie, mrużące silniki, obracające się opony: wiecznie zbliżający się pomruk, który mógłby być dźwiękiem nadziei, gdyby nie był także dźwiękiem wiecznego oddalania się.

Bywały dni, gdy Sinsemilla śmierdziała bigosem. Zdarzały się także dni, gdy dryfowała w chmurach różanej woni. W poniedziałki pachniała pomarańczami, we wtorki dziurawcem i selerem, w środy wiało od niej słabym zapachem cynku i sproszkowanej miedzi, w czwartki szalejem, z czym według Leilani było jej najbardziej do twarzy. Stara Sinsemilla z zapalem praktykowała aromaterapię i wierzyła w oczyszczanie organizmu z toksyn drogą odwróconej osmozy w odpowiednio skomponowanej gorącej kąpieli. Miała tak niesamowitą kolekcję ziół i wywarów, że każdy obywatel średniowiecznego miasta rozpoznalby w niej adeptkę alchemii lub zgoła czarnej magii. Wyciągi, eliksiry, olejki, esencje kwiatowe, sole, koncentraty, maceraty i destylaty podróżowały w lśniącej kolekcji fiolek i uroczych ozdobnych buteleczek w dwóch specjalnie robionych na zamówię – nie kasetach wielkości potężnej walizy. Teraz obie te kasety stały w śmierdzącej, zapleśniałej i zagrybionej łazience.

Leilani zdawała sobie sprawę, że wiele inteligentnych, zrównoważonych, odpowiedzialnych i wyjątkowo ładnie pachnących osób także stosuje aromaterapię oraz kuracje oczyszczające z toksyn. Mimo to unikała używania tych dodatków kąpielowych z tego samego powodu, z jakiego nigdy nie uczestniczyła w ekscentrycznych zajęciach matki, choć niektóre wyglądały nawet zachęcająco. Bała się, że wystarczy raz pozwolić sobie na którąś z przyjemności Sinsemilli – na przykład na cudowną kąpiel w olejku kokosowym i destylacie masła kakaowego – żeby zrobić pierwszy krok na równi pochyłej uzależnień i szaleństwa. Nieważne, kim naprawdę był jej ojciec i jak się nazywał, była przecież także córką swojej matki. Musi się bardzo pilnować, inaczej geny mogą doprowadzić ją do zguby.

Poza tym nie chciała się pozbywać wszystkich toksyn. Lubiła swoje toksyny. Zbierała je przez ponad dziewięć lat i stały się jej integralną częścią, która może miała większy wpływ na jej tożsamość, niż dopuszcza to nowoczesna nauka. A jeśli oczyści się z toksyn do ostatniej cząsteczki, a potem nagle obudzi się pewnego ranka i stwierdzi, że nie jest już Leilani, tylko papieżem albo czystą i zacną dziewczką o imieniu Hortensja? Nie miała nic przeciwko papieżowi ani zacynym dziewczkom o imieniu Hortensja, ale na ogół lubiła siebie taką, jaka była, włącznie z groteskowymi kończynami i przedziwnymi guzami na mózgu – i dlatego postanowiła pozostać w niezmienionym, przesiąkniętym toksynami stanie.

Zamiast kąpieli w wannie – prysznic. Mydło, które wybrała – zwykłe, toaletowe – szybko zmyło świeżbiący dotyk węża z rąk, usunęło całodzienny pot, wytrawiło każdy ślad słonych łez, które upokorzyły ją bardziej niż wypływające z węża wnętrzności.

Mutanty nie płaczą. Zwłaszcza niebezpieczne mutanty. Musi dbać o swój wizerunek.

Na ogół unikała prysznic i lubiła się moczyć w wannie – choć nie używała nic bardziej aromatycznego od mydła. Czasem towarzyszył jej wyimaginowany zapaśnik sumo i zawodowy zabójca Katon, wraz z którym knuła skomplikowane akty zemsty na swej matce i doktorze Zagładzie. Jednak tego wieczora, mimo wszystkiego, co ją spotkało, nie miała ochoty wyczarowywać Katona. Prysznic nie był tak bezpieczny jak wanna. Kiedy zdejmowała klamrę z nogi, bała się stawać na śliskiej powierzchni. Czasami brała prysznic, nie zdejmując metalowej konstrukcji. Potem trzeba było dobrze ją wytrzeć i wysuszyć suszarką.

Ponury przyrząd nie był standardowym aparatem ortopedycznym, na ogół skonstruowanym z plastiku, skórzanych wiązań i elastycznych pasów. Leilani lubiła sobie wyobrażać, że jej klamra ma przyjemnie złowrogie, morderczo-cyborgowe cechy. Zbudowana ze stali, twardej czarnej gumy i piankowej wyściółki nadawała jej wygląd i seksowny powab łowcy robotów, skonstruowanego w laboratoriach przyszłości i wysłanego w czasie, by odnaleźć i zabić matkę swego najgroźniejszego

wroga.

Wysuszywszy włosy i klamrę suszarką, młody cyborg-morderca wytarł zaparowane lustro i przyjrzał się swojej klatce piersiowej. Ciągłe ani śladu piersi. Nie spodziewała się żadnych dramatycznych zmian, najwyżej lekkich wypukłości, symetrycznych śladów jak po ukąszeniu komara.

Mniej więcej przed miesiącem przeczytała w gazecie artykuł o powiększaniu piersi siłą pozytywnego myślenia. Od tego czasu co noc zapadała w sen, wyobrażając sobie siebie z potężnymi balonami. Autor artykułu prawdopodobnie łągał jak pies, ale czuła się lepiej, zasypiając z myślą o miseczkach w rozmiarze C, zamiast rozważać swoje liczne problemy, nad którymi mogłaby się zastanawiać do woli, gdyby postanowiła wypróbować siłę myślenia negatywnego.

Otulona w ręcznik, zanosła brudne ubranie do swojego pokoju.

W królestwie Kleopatry panowała cisza. Ani błysków flesza, ani deklamacji w rzekomej staroangielszczyźnie.

Ubrała się w lekką letnią piżamę. Granatowe szorty i taką samą bluzkę z krótkimi rękawami. Na plecach koszulki czadowe żółto-czerwone logo „Roswell, Nowy Meksyk”. Na piersiach czterocentymetrowe czerwone litery, układające się w napis „Dziecko gwiazd”. Zobaczyła tę piżamę podczas ostatniej wyprawy na miejsce lądowania Obcych w Nowym Meksyku i uznała, że jej zachwyty nad nią przekona doktora Zagładę, iż nadal wierzy w farmazony o tym, jak to Luky wylewitował do statku-matki. *Obcy czasami porywają ludzi wprost z łóżek. Sam nam o tym mówiłeś. O rany, kurczę, no wiesz, jeśli będę miała na sobie tę piżamę, od razu poznają, że jestem gotowa i chętna. Może wezmą mnie jeszcze przed urodzinami, żebym mogła się spotkać z Lukim i dostać nową nogę i rękę!*

Według niej te argumenty było czuć fałszem z daleka, jak drewniane zęby Jerzego Waszyngtona, ale doktor Zagłada usłyszał w jej głosie tylko szczerłość. Ni cholery nie znał się na dzieciach, nie zadał sobie trudu, żeby je poznać, i spodziewał się, że są naiwne, płytkie i ogólnie rzecz biorąc, maksymalnie durne.

Zawsze kupował jej to, czego sobie życzyła – piżamka nie stanowiła różnicy – pewnie dlatego, że dzięki temu mógł z lekkim sercem planować, jak ją zabije. Leilani rzadko prosiła go o coś więcej niż tanie książki. Powinna sprawdzić, jak daleko sięga hojność doktoraka i poprosić o brylanty albo lampę od Tiffany’ego. Bo gdyby zażyczyła sobie broni, choćby w najbardziej zawołany sposób, pewnie by go spłoszyła.

Teraz, wyraźnie zidentyfikowana jako dziecko gwiazd, śmiało prowokująca Obcych do przybycia, zabrała ze swojej szafki zestaw pierwszej pomocy i wróciła do pokoju matki. Zestaw stanowił model luksusowy i był podobny do plastikowej skrzynki na przybory wędkarskie, z zatrzasakiwanym wiekiem. Doktor Zagłada nie był doktorem medycyny, ale jako wytrawny entuzjasta przyczep mieszkalnych rozumiał konieczność przygotowania się na wypadek pomniejszych urazów, do których mogłoby dojść w czasie jazdy. A ponieważ Leilani dobrze rozumiała wyjątkowy dar matki do wpadania w tarapaty i robienia sobie krzywdy, dodała do podstawowego wyposażenia jeszcze kilka produktów. Zestaw trzymała zawsze pod ręką.

Na lampach nadal wisiwały udrapowane czerwone bluzki. Szkarłatny blask nie nasuwał już skojarzeń z burdelem; w świetle ostatnich wypadków, które zaszły w tym pokoju, kojarzył się raczej z pałacem króla Marsjan, obrzydliwym i surrealistycznym.

Żmija leżała na podłodze w luźnych zwojach, jak rzucona lina, tak samo martwa jak poprzednio.

Stara Sinsemilla spoczywała na stercie poduszek, z zamkniętymi oczami, równie nieruchoma jak żmija.

Leilani musiała się wykapać, przebrać i spędzić trochę czasu sama ze sobą, żeby móc tu wrócić.



Kiedy stąd wybiegła, nie była dawną Leilani Klonk, lecz przerażoną, wściekłą i upokorzoną dziewczynką, którą przeraźliwy strach zmusił do ucieczki. Nie chciała już nigdy więcej stać się tą osobą. Nigdy. Prawdziwa Leilani powróciła wypoczęta, odświeżona, gotowa wziąć sprawę w swoje ręce.

Położyła na łóżku zestaw pierwszej pomocy, tuż obok cyfrowej kamery matki. Sinsemilla cicho pochrapywała. Spadając z chemicznych wyżyn, zaryła się w coś głębszego niż sen, choć nie aż tak głębokiego jak śpiączka. Prawdopodobnie do późnych godzin porannych będzie leżała tak jak teraz, bez ruchu, na nic nie reagując.

Leilani zmierzyła matce puls. Miarowy, lecz szybki. Metabolizm dostał przyspieszenia, żeby pozbyć się toksyn z organizmu.

Choć żmija nie miała jadu, ukąszenie wyglądało groźnie. Nakłucia były małe. Krew już z nich nie płynęła, ale miękka tkanka wokół nich stała się czarno-sina. Prawdopodobnie to tylko siniaki.

Leilani wołałaby wezwać pogotowie i odesłać matkę do szpitala. Ale wtedy, oczywiście, Sinsemilla wściekłaby się jak jasna cholera, że oddano ją w ręce lekarzy z uniwersyteckim wykształceniem i poddano praktykom medycyny zachodniej, którą gardziła. Po powrocie do domu rozpętałaby kampanię przesładowań, która trwałaby wiele godzin i dni, dopóki winowajca nie zacząłby się modlić o nagłe ogłuchnięcie i zastanawiać się nad obcięciem sobie uszu nożem elektrycznym.

Poza tym, gdyby Sinsemilla dostała szału zaraz po obudzeniu, kiedy dotarłoby do niej, że jest w szpitalu, w wyniku swego występu mogłaby zostać czym prędzej przeniesiona do psychiatryka.

A wtedy Leilani zostałaby sama z doktorem Zagładą.

Nie był obmacywaczem. Tutaj powiedziała Micky prawdę.

Ale naprawdę zamordował parę osób i choć jako morderca był względnie łagodny, i tak nie miało się ochoty na małe sam na sam z Prestonem Maddokiem, tak samo jak nie miało się ochoty na małe sam na sam z Charlesem Mansonem i piłą łańcuchową.

No, ale gdyby lekarze dowiedzieli się, że Sinsemilla jest żoną tego Prestona Klaudiusza Maddoca, szansa na przeniesienie jej do wariatkowa spadłaby do zera. Pewnie odesłaliby ją do domu w limuzynie, może jeszcze z bombonierką pełną heroiny w ramach prezentu.

Na ogół te okoliczności – psychiczna, naćpana matka, martwa żmija, zaszczuta mała dziewczynka-mutant – mogły – by zmobilizować opiekę społeczną do czasowego umieszczenia Leilani w sierocińcu. Skoro rozdzielono ją na zawsze z Lukim, powinna mieć ochotę na pobyt w domu dziecka. Ale nie będzie miała takiej szansy, ponieważ jej sprawa nie jest zwyczajna. Preston Klaudiusz Maddoc nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Gdyby ktoś spróbował mu odebrać pasierbicę, z pomocą przyszliby mu potężni sprzymierzeńcy. Miejscowe władze, podobnie jak większość prawników i policjantów w całym kraju, prawdopodobnie nie chciałyby z nim walczyć. Jeśli ktoś nie nagra na wideo, jak Preston Maddoc rozwala głowę kolejnej ofierze, nie mogą go tknąć.

Leilani nie miała ochoty go rozjuszać wzywaniem pogotowia do jednego ukąszenia.

Gdyby zaczął ją uważać za osobę sprawiającą kłopoty, mógłby jej przygotować miłe podziemne posłanko, takie samo jak dla Lukipeli, i ułożyłby ją w nim natychmiast, nie czekając już na pojawienie się Obcych. A potem, ku zachwytowi Sinsemilli, dobry doktor wyprodukowałby chwytającą za serce historyjkę o słodkim latającym talerzyku, zielonych eleganckich dyplomatach z Parlamentu Planetarnego i Leilani, unoszącej się na zielonym promieniu lewitacyjnym i po drodze machającej mu na do widzenia amerykańską flagą w jednej ręce i sztucznym ogniem na Czwartego Lipca w drugiej.

Dlatego teraz alkoholem z zestawu rozpuściła i zmyła zaskorupiałą krew z ranek. Przemylała je także wodą utlenioną, która zmieniała się natychmiast w krwawą pianę. Następnie zasypała ranki

sulfacetamidem w proszku, posługując się małym aplikatorem w kształcie strzykawki.

Sinsemilla wydała parę jęków i pisków, choć nie obudziła się ani nie usiłowała cofnąć ręki.

Jeśli zęby żmii dosięgły kości, infekcja przypuszczalnie rozprzestrzeni się mimo tych prostych zabiegów. Wtedy Sinsemilla może zmienić zdanie co do medycyny zachodniej. Na razie Leilani musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, mając do dyspozycji tylko własne umiejętności i parę środków dezynfekcyjnych. Naniósła jeszcze parę kropel neosporinu, żeby sulfacetamid stwardniał, i zabandażowała ranę, by się nie zabrudziła.

Pracowała powoli, metodycznie, czerpiąc satysfakcję z faktu, iż niesie pomoc matce. Pomimo marsjańskiego światła i martwej żmii ta chwila miała w sobie niebiański spokój, doznanie bardzo egzotyczne. Nawet w takim stanie, w brudnej, pomiętej koszuli ze zmoczoną i upačkaną falbaną, Sinsemilla była piękna. Może naprawdę kiedyś, w innym wcieleniu była księżniczką, w jakimś innym życiu, kiedy nie była taka zagubiona i smutna.

To miłe. Spokój. Położyć gazowy opatrunek na ranie. Rozpakować rolkę bandaża. Przymocować opatrunek bandażem, owinać nim zranioną rękę. Na zakończenie dwa paski wodoodpornego plastra. Ładnie. Ten czuły, cichy moment troski był niemal normalny w stosunkach matki i córki. Nieważne, że role zostały odwrócone i to córka troszczy się o matkę. Liczyła się tylko ta normalność, ten spokój. W tej jednej chwili Leilani doznała przyjemnego, choć melancholijnego smaku tego, co mogłoby ją spotkać – ale nigdy nie spotka.

Na szczycie wzgórza chłopiec i psina – dysząc i ziając – zatrzymują się i odwracają, żeby spojrzeć na autostradę leżącą jakieś sto pięćdziesiąt metrów na południe.

Gdyby Curtis właśnie zjadł na kolację talerz piasku, nie mógłby mieć bardziej szorstkiego języka niż teraz, a drobinki trzeszczące mu w zębach nie mogłyby być bardziej dokuczliwe. Nie potrafi zebrać dość śliny, by wypluć ohydny alkaliczny smak. Przez jakiś czas wychowywał się na skraju pustyni jeszcze surowszej niż ta, więc wie, że sprint w takim terenie przy dwudziestoprocentowej wilgotności powietrza, nawet długo po zachodzie słońca, jest bardzo wyczerpujący. Ledwie zaczęli biec, a on już pada ze zmęczenia.

Na czarnej równinie u ich stóp iskrzy się naszyjnik świateł samochodów stojących w korku, coraz dłuższy, migoczący bielą brylantów i czerwienią rubinów. Ze wzgórza widać blokadę na południowym zachodzie. Pasma wiodące na zachód są zablokowane policyjnymi samochodami, które tworzą bramę. Ruch został ograniczony z trzech pasów do jednego.

Na północ od blokady na otwartym terenie stoi wielki, opancerzony i prawdopodobnie uzbrojony helikopter. Jego płyty się nie obracają, ale silniki najwyraźniej pracują, ponieważ wewnątrz jest oświetlone słabym blaskiem. Przez otwarte drzwi ucieka dość światła, by ukazać mężczyzn zebranych przed maszyną. Z tej odległości nie można określić, czy to drugi oddział specjalny, czy żołnierze. Wypowiedziane i pomyślane „wrrrr” Starego Rudzielca odciąga uwagę Curtisa od helikoptera na zachodzie i kieruje ku wypadkom na wschodzie.

Dwa duże dżipy, przystosowane na potrzeby policji, z obracającymi się czerwono-niebieskimi światłami, z wyłączoną syreną, zjeżdżają z autostrady. Staczają się po łagodnym nasypie drogi i suną na zachód przez otwarty teren, równoległe do stojących w korku samochodów.

Curtis zakłada, że pojazdy go miną i zatrzymają się dopiero przy blokadzie. Tymczasem zwalniają w miejscu, gdzie na nasypie czeka na nich grupka ludzi, mniej więcej na południe od chłopca.

Do tej pory nie zauważył tych gromadzących się figurek: ośmiu czy dziesięciu kierowców zeszło po nasypie autostrady. Trzej mają latarki, którymi zatrzymali zbliżające się wozy.

Ponad tą grupą, na poboczu autostrady zebrał się większy tłum – czterdzieści czy pięćdziesiąt osób – który przygląda się akcji poniżej. Zgromadził się akurat na zachód od domu na kółkach, własności psychopatycznych kolekcjonerów zębów. Może inni kierowcy, zaalarmowani ucieczką Curtisa, zajrzeli do samochodu mieszkalnego, znaleźli makabryczne pamiątki, zorganizowali straż obywatelską, pojмали zgrzybiałych seryjnych morderców i wezwali policję.

A może nie.

Od strony blokady, z ust do ust, z samochodu do samochodu, mogła napłynąć pogłoska, że policja poszukuje małego chłopca i łaciatego psa. Kierowca – ten z wesołymi piegami, wiechciem rudych włosów i jednym sandałem, a może krwiożerczy emeryci – mógł zadzwonić z komórki albo samochodowego telefonu, żeby donieść, iż para zbiegów zaledwie przed kilkunastu minutami odegrała scenkę na autostradzie, po czym zbiegła na północ, w stronę pustyni.

Poniżej trzy latarki poruszają się jednocześnie i wskazują północ. Wskazują Curtisa.

Jest zbyt daleko, żeby światło mogło go wyłonić z ciemności. Nie ma księżyca i niebo jest zbyt ciemne, by na jego tle rysowała się sylwetka. Mimo to, gdy światła wskazują na niego, instynktownie przykuca, robi się nie większy od kłębow wędrujących chwastów, toczących się tu i ówdzie. Kładzie dłoń na karku psa. Czekają razem, gotowi na wszystko.

Skala tych wydarzeń i ich gwałtowne tempo dowodzą, że siła woli nie ma na nie żadnego mierzalnego wpływu. A jednak Curtis ze wszystkich sił zaklina los, żeby to, co się chyba dzieje między kierowcami i policjantami w dużych dziupach, tak naprawdę wcale się nie działo. Ma nadzieję, że samochody ruszą dalej na zachód, wzdłuż nasypu autostrady, aż dojadą do helikoptera. Wizualizuje ten obraz, maluje go w myślach i wyteża wolę, wyteża, wyteża.

Gdyby marzenia były jak ryby, nie potrzeba by haczyków, żyłek i wędek, nie trzeba by kołowrotka ani cierpliwości. Ale marzenia to tylko marzenia, pływają tylko w wodach umysłu, a teraz jeden z dziupów przejeżdża na północ jakieś sześć metrów, po czym hamuje i zawraca w stronę Curtisa. Światło reflektorów sięga znacznie dalej niż latarek, ale i tak promień blednie w połowie drogi do Curtisa i Starego Rudzielca.

Na dachu dziupa nagle zapala się wielki reflektor, tak silny i o tak skupionym promieniu, że wydaje się twardy jak miecz. Latarnia sunie w ciemnościach i za każdym razem, gdy tnący promień wyłuskuje z mroku kłęb toczących się chwastów czy skarłałych krzaczków, wypuszcza na wolność powykęcane cienie, które biegną w noc. Kiedy świetliste ostrze pada na skały, wydaje się, że krzesze z nich iskry, tak jasno połyskują płatki miki.

Drugi dziup pełźnie sto metrów dalej na zachód, potem skręca na północ. Na dachu jaśnieje reflektor, ostrze tryska z rękojeści wysadzanej czerwonymi i niebieskimi światełkami.

Oba pojazdy jadą równolegle do siebie na północ, w stronę Curtisa. Powoli mielą kołami piasek, omiatają teren przed sobą promieniami reflektorów, jakby w poszukiwaniu wyraźnie zdeptanej kępy chwastów albo głębokich śladów stóp w miejscu, gdzie kamień ustępuje miejsca miękkiemu podłożu.

Wcześniej czy później znajdą trop, o który im chodzi. Wtedy zwiększą prędkość.

Żołnierze jadący w tych dziupach działają pod egidą jednej z wielu agencji rządowych, pewnie są tymi, kim się wydają. Ale zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że to jednak kolejni okrutni mordercy, którzy zaatakowali w Kolorado i od tego czasu ścigają Curtisa.

Zanim kiepska sytuacja zmieni się w jeszcze gorszą, chłopiec i psina ruszają wzdłuż szczytu wzgórza. Przed nimi teren opada łagodnie ku mrocznym i spieczonym ziemiom.

Chłopiec oddaje prowadzenie suce i idzie za nią, choć nie tak szybko, jak psina chciałaby go poprowadzić. Potyka się i nieomal osuwa w kaskadzie piasku, przedziera się przez niewidzialne zarośla, które sięgają mu do kolan, zaczepia o niski kaktus, mimo woli krzyczy, gdy ostre kolce przebijają mu skarpetkę na prawej nodze i tatuują bolesny wzór na kostce – a wszystko dlatego, że nie zawsze idzie dokładnie po śladach psiny, lecz czasami zbacza na prawo lub lewo.

Zaufanie. Są ze sobą związani. Nie ma wątpliwości, że ta więź umacnia się z każdym dniem, z każdą godziną. A jednak na razie nie są tym, czym mają być, jeszcze nie są ze sobą całkowicie zespoleni, dusza z duszą – dlatego Curtis obawia się ślepo podążać za swoją towarzyszką.

Ale zdaje sobie sprawę, że dopóki całkowicie jej nie zaufa, więź nie stanie się kompletna. Do tego czasu będą chłopcem i jego psiną, psiną i jej chłopcem, co jest wspaniałe, piękne i prawdziwe, ale nie jest tak cudowne jak międzygatunkowy związek, do którego dążą – bycie bratem i siostrą serca.

Pędzą przez twardo ubitą ziemię i piaskowiec na suche grzędzawisko pustyni. Zręczna psina natychmiast przystosowuje się do nagłej zmiany podłoża, ale ponieważ Curtis jeszcze nie dostroił się w pełni do swojej przybranej siostrzyczki, pędzi niezdarnie w ślad za nią, nie zmieniając kroku ani tempa. Grzędnie po kostki, traci równowagę, upada, odciskając w piasku zarys swojej twarzy, na szczęście ma dość refleksu i udaje mu się zaniknąć oczy i usta przed spotkaniem z ziemią.

Podnosi twarz znad swojego wizerunku na piasku, wyparskuje piasek z nosa, zdmuchuje ziarenka

oszraniające mu usta, wymrukuje je z oczu, podnosi się na kolana. Jeśli duch jego matki jest przy nim w tej chwili, to się śmieje, martwi i denerwuje jednocześnie.

Stary Rudzielec do niego wraca. Chłopiec myśli, że chce go jak zwykle pocieszyć na swój psi sposób, może trochę się też z niego śmieje, ale potem zdaje sobie sprawę, że jej uwaga jest skierowana na coś innego.

Bezksiężycowy mrok utrudnia orientację, ale psina jest na tyle blisko Curtisa, że widać, iż interesuje ją szczyt wzgórza, przez które niedawno przeszli. Podnosi pysk, szuka zapachów, których chłopiec nie wyczuwa. Zaciska szczękę, żeby nie ziając, nastawia uszy w stronę dźwięku, który ją zaniepokoił.

Za wzgórzem widać pulsujące światło; poruszające się promienie odbijają się od jasnych kamieni i piasku. Dżip sunie na szczyt wzniesienia. Curtis nie potrafi nastawić uszu – jeden z minusów bycia Curtisem Hammondem zamiast Starym Rudzielcem, ale idzie za przykładem psiny i wstrzymuje oddech, żeby lepiej usłyszeć hałas, który ją zainteresował. Początkowo słyszy tylko pomruk dżipów... potem, z oddali, dobiega furkot, słaby, lecz niedający się z niczym pomylić: płaty helikoptera, tnące rzadkie pustynne powietrze.

Helikopter jeszcze się nie wzniosł, na razie tylko się rozgrzewa, podczas gdy żołnierze ponownie do niego wsiadają.

Wprawdzie jeszcze się nie wzbili w powietrze, ale się tu zjawiają. Wkrótce. A jeśli sam śmigłowiec nie jest wyposażony w najnowocześniejszy elektroniczny sprzęt naprowadzający, to żołnierze na pewno go mają. Ciemność nie jest dla nich przeszkodą. Mają swoje sposoby, dzięki którym noc jest jasna jak dzień.

Zaufanie. Teraz Curtis nie ma już żadnego wyjścia, musi całkowicie zaufać psinie. Jeśli mają uciec, to tylko razem. Jeśli mają przeżyć lub zginąć, przeżyją lub zginą jako jedność. Jego przeznaczenie stało się jej losem, jej los jest nierozzerwalnie spleciony z jego przeznaczeniem. Jeśli psina ma go wyciągnąć z tych tarapatów albo doprowadzić na skraj przepaści, niech tak się stanie. Nawet spadając z urwiska, będzie ją kochał, swoją przybraną siostrzyczkę.

Trochę światła księżycyca by się jednak przydało. Za odległymi górami rozpostarły się wielkie skrzydła czarnych chmur, zasłoniły niebo na zachodzie i sięgają coraz dalej, jakby w ziemi otwarła się czeluść, z której wydostała się straszliwa istota, gotowa narzucić swe rządy całemu światu. Pogodna część nieba jest hojnie obsypana ziarenkami gwiazd, ale pustynia i tak staje się coraz mroczniejsza, z minuty na minutę, pograża się w ciemności głębszej niż zwykła noc.

Chłopiec słyszy w głowie głos matki: *Kiedy liczy się szybkość, nie możesz się wahać. Wypluj wszystkie wątpliwości, wydysz je z płuc, wyszarpnij z serca, wydrzyj z mózgu, wyrzuć, pozbądź się. Nie zostaliśmy zrodzeni w tym wszechświecie do zwątpienia. Zostaliśmy zrodzeni do nadziei, miłości, życia, nauki, poznawania radości, wiary, że nasze życie ma sens... i dla znalezienia Drogi.*

Curtis odrzuca zwątpienie, desperacko czepia się nadziei, przełyka ślinę i przygotowuje się do radosnej podróży.

Ruszaj, psinko, mówi albo tylko myśli.

Psina rusza. Chłopiec biegnie za nią sprintem bez wahania, chce, by matka była z niego dumna, chce być śmiały i odważny. Jako Curtis Hammond nie jest tak dobrze przystosowany do osiągnięcia dużych prędkości jak Stary Rudzielec, ale psina dostosowuje swoje tempo do niego i prowadzi go na północ, na jałowe ziemie.

Curtis pędzi w ciemności, niemal na ślepo – nie całkiem bez lęku, lecz zupełnie oczyszczony ze zwątpienia – przez piaskowiec, ale także piasek, przez rozrarty na pył łupek, pomiędzy zaroślami i zwietrzałymi iglicami skał, zygzakując, tupiąc mocno o grunt, który przed chwilą był zdradziecki; ręce

robią suw-suw-suw jak pręty łączące koła lokomotywy, psina często pojawia się przed nim, choć niekiedy bardziej ją czuć niż widzieć, czasem zupełnie jej nie widzieć, lecz zawsze się pojawia; im dłużej podróżują razem, tym mocniejsza staje się więź między nimi, dusza zszyta z duszą mocną nitką uporczywej ufności chłopca.

Biegąc z tą dziwną ślepą pewnością siebie, traci wszelkie poczucie odległości i czasu, nie wie, jak daleko dotarli, kiedy nagle atmosfera nocy się zmienia, poczucie zagrożenia w ułamku sekundy tężeje w okropną świadomość śmiertelnego niebezpieczeństwa. Serce Curtisa, dudniące gwałtownie z wysiłku fizycznego, teraz łomocze także ze strachu. W atmosferze pojawiło się zagrożenie o wiele poważniejsze niż to ze strony oficerów w dżipie i żołnierzy w helikopterze. Psina, a dzięki niej także chłopiec pojmują, że nie są już tylko obiektem gorączkowych poszukiwań, lecz znowu stali zwierzyną łowną, potencjalnym łupem drapieżników, gdyż sierpniowy mrok nabrzmiewa nowymi zapachami-dźwiękami-ciśnieniami-energiami, które jeżą sierść Starego Rudzielca i sprawiają, że chłopiec dostaje gęsiej skórki. Na pustyni zjawiała się śmierć, jedzie przez piasek i kamienie, skrada się pod gwiazdami.

Chłopiec sięga do rezerw, o których istnieniu dotąd nie wiedział, i biegnie jeszcze szybciej. On i psina. Zjednoczeni.

Żmija zabita, matka opatrzona, paciorek odmówiony, Leilani leży w łóżku w błogosławionych ciemnościach.

Odkąd skończyła trzy czy cztery lata, nie chciała, żeby przy łóżku zostawiano jej zapaloną lampkę. Jako bardzo mała dziewczynka uważała, że jarzący się Kaczor Donald bądź promieniejący plastikowy ptaszek Tweetie odpędzą zgłodniałe demony i uratują ją przez wszystkimi nadnaturalnymi nieprzyjemnościami, ale wkrótce przekonała się, że nocna lampka raczej przyciąga demona, niż go odstrasza.

Stara Sinsemilla czasami snuła się po domu w najczarniejszych z czarnych nocnych godzin, nie mogąc spać, ponieważ czuła narkotykowy głód albo dlatego, że nafaszerowała się zbyt dużą dawką, albo po prostu dlatego, że jest stuknięta. Choć nie miała żadnego szacunku dla snu swoich dzieci, z niewyjaśnionych przyczyn odwiedzała je rzadziej, kiedy w pokoju było ciemno, niż gdy nad snem jej pociech czuwała zelektryfikowana postać z kreskówki.

Scooby Doo, Król Lew, Myszka Miki – wszystkie bez wyjątku przyciągały Sinsemillę swoim światłem. Ale często budziła Lukiego i Leilani z głębokiego snu, żeby opowiedzieć im bajkę na dobranoc, przy czym snuła swe opowieści w równej mierze dla własnych dzieci, jak dla Scooby'ego czy Myszkki Miki, jakby to były nie plastikowe lampki madę in Tajwan, lecz kamienne posągi dobrotliwych bogów, skłonnych uronić łzę nad jej opowieściami.

Bo na koniec bajeczek na dobranoc zawsze pojawiały się łzy. Kiedy Sinsemilla zaczynała opowiadać, klasyczna osnowa dawała się jeszcze rozpoznać, choć historia była tak przeraźliwie poćwiartowana, że nie miała żadnego sensu. Królowna Śnieżka pruća, całkiem bez krasnali, w karocy, która zmieniała się w dynię ciągniętą przez smoki; nieszczęsny Kopciuszek zatańcowywał się na śmierć w czerwonych trzewikach, przy okazji piekąc wrony dla Oślej Skórki. Historie Sinsemilli były pełne nieszczęść i tragedii, jej wersje bajek braci Grimm brzmiały mocno niepokojąco, ale czasami zamiast nich zaczynała wspominać swoje przygody z czasów, kiedy Lukipeli i Leilani nie było jeszcze na świecie, a to mroziło krew w żyłach jeszcze skuteczniej niż najkrwawsze opowieści o ograch, trollach i goblinach.

A więc żegnaj, Scooby, żegnaj, Donaldzie w marynarskim ubranku, żegnaj, Tweetie – i witaj, Ciemności, moja stara przyjaciółko. Jedyńm dopuszczalnym światłem był mdły blask latarni, widoczny przez otwarte okno, lecz nierozprasający ciemności pokoju.

Przez moskitierę w oknie nie przedostawał się nawet najłżejszy podmuch wiatru, upalna noc była niemal tak cicha, jak bezwietrzna. Przez jakiś czas ciszy dzielnicy przyczep mieszkalnych nie maćił żaden hałas z wyjątkiem monotonnego szumu samochodów na autostradzie, ale ten biały szum był tak stały i znany, że słyszało się go tylko wtedy, gdy się wyteżyło słuch.

Minęła północ, a odległy pomruk samochodów osobowych i ciężarowych nie ukołysał Leilani do snu. Leżąc z szeroko otwartymi oczami i wpatrując się w sufit, usłyszała warkot dodge'a durango, zatrzymującego się przed ich przyczepą. Ten silnik miał tak charakterystyczny dźwięk, że poznałaby go wszędzie. To tym durango odjechał Luki w góry Montany pewnego sino-szarego listopadowego popołudnia.

Doktor Zagłada nie trzasnął drzwiczkami samochodu, lecz zamknął je z taką troską, że Leilani z trudem wyłowila z ciszy ten dźwięk, choć okna jej pokoju wychodziły na ulicę. Zawsze, gdziekolwiek zawiodła ich droga, traktował sąsiadów z jak największą troską.

Także zwierzęta budziły jego serdeczność. Gdy zauważył biegającego samotnie psa, zwabiał go,

sprawdzał, czy ma obrozę z numerkiem, a potem, jeśli znalazł adres właściciela, szukał go aż do skutku, bez względu na to, jak wiele czasu i wysiłku by to kosztowało. Dwa tygodnie temu na autostradzie w Nowym Meksyku zauważył potrąconego przez samochód kota, który leżał na poboczu drogi. Zwierzę miało złamane obie tylne łapy, ale jeszcze żyło. Preston wziął zestaw weterynaryjny, który zawsze ze sobą woził na takie okazje, i czule zaaplikował cierpiącemu kotu dawkę środka usypiającego. Klęczał na zwirze i przyglądał się, cicho płacząc, jak kot osuwa się w sen, a potem w śmierć.

Dawał także hojne napiwki kelnerkom i zawsze zatrzymywał się na drodze, jeśli widział kierowcę potrzebującego pomocy. I nigdy na nikogo nie podniósł głosu. Bez wahania pomógłby przejść zreumatyzowanej staruszce przez ulicę – chyba że akurat miałby ochotę ją zabić.

Teraz Leilani przewróciła się na prawy bok, plecami do drzwi. Była przykryta cienkim prześcieradłem, które podciągnęła pod brodę. Na noc zdejmowała klamrę, ale jak zwykle zostawiła ją w łóżku. Dotknęła jej przez prześcieradło. Metal ochłodził jej palce.

Parę razy, kiedy zostawiła klamrę przy łóżku, rano okazywało się, że zniknęła. A raczej, że ktoś ją schował.

Nie ma mniej śmiesznej gry od „gdzie jest klamra?“, choć Sinsemilla uważała ją za zabawną i wierzyła, że dzięki temu nauczy Leilani polegać na samej sobie, nie tracić czujności i pamiętać, że życie „rzuca w ciebie częściej kamieniami niż prażoną kukurydzą z masłem”.

Leilani nigdy nie robiła wyrzutów matce z powodu tego okrucieństwa, ani w ogóle z innych powodów, ponieważ Sinsemilla nie zniosłaby niewdzięcznego dziecka. Zmuszona do tej ohydnej zabawy, poddawała się jej z ponurą determinacją i w milczeniu, zdając sobie sprawę, że ostre słowo lub odmowa zabawy wyzwoli najbardziej przeraźliwe, oskarżycielskie i niemiłosierne zarzuty matki. A potem i tak trzeba będzie znaleźć tę klamrę.

Przez otwarte okno dobiegały dźwięki sprzed drzwi frontowych. Brzęknięcie kluczy. Ciche kliknięcie zamka. Skrobnięcie okutych metalem drzwi o próg.

Może pójdzie do kuchni po szklankę wody albo przekąskę.

Może zobaczy czerwone światło i zaintrygowany zajrzy do sypialni. Jaką historię sobie ułoży na widok martwej żmii, porzuconego pręta i obandażowanej dłoni Sinsemilli?

Najprawdopodobniej nie wstąpi do pokoju Leilani. Uszanuje jej prywatność i potrzebę odpoczynku.

Preston traktował ją z tą samą życzliwością, którą okazywał sąsiadom, kelnerkom i zwierzętom. W przeddzień jej dziesiątych urodzin, które nastąpią w lutym, jeśli nie zdoła mu uciec ani opracować skutecznej linii obrony, zabije ją z tym samym żalem i zadumą, które zaprezentował podczas usypiania przejechanego kota. Może nawet będzie po niej płakać.

Nie słyszała jego kroków na wytartym pomarańczowym dywanie, nie wiedziała, że się zbliża, dopóki nie otworzył drzwi jej pokoju. Nie wstąpił do kuchni po wodę czy przekąskę. Nie okazał ciekawości czerwonym blaskiem w sypialni. Od razu ruszył do Leilani.

Ponieważ leżała plecami do niego, nie zamknęła oczu. Błady prostokąt światła wpadającego z korytarza legł na ścianie naprzeciwko wejścia, a na tle prostokąta widać było czarną sylwetkę Prestona Maddoca.

– Leilani? – szepnął. – Śpisz?

Leżała nieruchomo jak martwy kot. Nie odpowiedziała.

Preston wszedł, jak zwykle troskliwy, nie chciał, by obudziło ją światło z przedpokoju. Bezgłośnie zamknął za sobą drzwi.

Oprócz łóżka w pokoju znajdowało się bardzo niewiele mebli. Nocna szafka. Komoda. Trzciniowy



fotelik. Leilani zorientowała się, że Preston przysunął go do łóżka, kiedy usłyszała skrzypnięcie. Splecione pasma trzciny zaprotestowały, boleśnie zgniecione jego ciężarem.

Przez jakiś czas milczał. Trzcina, która trzeszczała przy najlżejszym ruchu, tym razem nie wydała najmniejszego hałasu. Idealna cisza trwała przez minutę, dwie, trzy.

Pewnie medytował, bo raczej nie należy mieć nadziei, że zmienił go w kamień jeden z bogów, w których nie wierzył.

Leilani nie widziała niczego w ciemnościach, leżąc plecami do niego, ale nie zamykała oczu.

Miała nadzieję, że Preston nie słyszy łomotu serca, które wstrząsało jej klatką piersiową.

– Dziś zrobiliśmy coś pięknego – odezwał się wreszcie.

Głos Prestona Maddoca, instrument z dymu i stali, potrafił dźwięczyć przekonaniem lub wyrażać niezłomną wiarę nawet szeptem. Jak najlepszy aktor, potrafił wydać z siebie szept, który niósł się na drugi koniec teatru. Jego głos płynął, gęsty i gorący jak płynny karmel, lecz nie miał jego słodczy, i zawsze kojarzył się Leilani z tymi kwaśnymi zielonymi jabłkami w cukrowej polewie, które czasem można kupić w wesołych miasteczkach. Kiedy wykładał na uniwersytecie, studenci na pewno słuchali go jak zakłęci; a jeśli kiedykolwiek kusiło go, żeby wybrać sobie ofiarę spomiędzy naiwnych dziewcząt, jego miękki, lecz dźwięczny głos mógł posłużyć za najlepsze narzędzie uwodzenia.

Teraz znowu przemówił ściszym głosem, choć jeszcze nie szeptem:

– Nazywała się Tetsy, niefortunna wersja Elizabeth. Jej rodzice mieli najlepsze intencje. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, co oni myśleli. Zresztą chyba nie myślą za wiele. Oboje są trochę przytępi, jeśli mam być szczery. Tetsy to nie zdrobnienie, ale oficjalne imię. Tetsy – brzmi bardziej jak imię pieska albo kotka. Wszyscy musieli z niej bezlitośnie kpić. Och, może jakoś by się wybroniła, gdyby była śliczna i drobna jak elf. Ale oczywiście nie była, biedactwo.

We wnętrzościach Leilani narastał mróz. Modliła się, żeby nie zadrzeć i tym drzeniem nie zdradzić, że nie śpi.

– Miała dwadzieścia cztery lata, przeżyła sporo dobrych lat. Świat jest pełen ludzi, którzy nigdy nie przeżyli dobrego roku.

Głód, choroby, pomyślała Leilani ponuro.

– Głód, choroby – powiedział Preston. – Rozpacзлиwa bieda... Wojna i prześladowania, dodała w myślach Leilani.

– ...wojna i prześladowania – ciągnął Preston. – Ten świat jest jedynym prawdziwym piekłem, jedynym piekłem, jakie istnieje.

Leilani o wiele bardziej wolała pokręcone bajki Sinsemilli niż ciche przemowy Prestona, nawet jeśli w bajkach Piękna i Bestia przybywali na pomoc Złotowłosej, po czym Piękna rozdierały na strzępy niedźwiedzie, a ciemna strona Bestii dawała się uwieść okrucieństwu niedźwiedzi i popychała ją do zamordowania Złotowłosej i zjedzenia jej nerek, po czym niedźwiedzie i oszalała Bestia dołączały do Wielkiego Złego Wilka i przypuszczały brutalny atak na domek trzech nieszczęsnych świnek.

Jedwabisty głos Prestona Maddoca prześliznął się przez ciemność, śliski jak szalik dusiciela.

– Leilani? Śpisz?

Dreszcz czający się w jej ciele zlodowaciał, rozprzestrzenił się na jelita, zwój po zwoju. Zamknęła oczy i ze wszystkich sił skupiła się na nieruchomym leżeniu. Wydawało się jej, że Preston poruszył się w fotelu. Otworzyła oczy.

Trzcina nie skrzypiała.

– Leilani?

Jej zdrowa ręka nadal spoczywała pod prześcieradłem na odczepionej klamrze. Wcześniej stał wydawała się chłodna. Teraz była lodowata.

– Śpisz? Zacisnęła palce.

– Tetsy przeżyła więcej dobrych lat, niż jej było trzeba – podjął Preston cicho. – Więc gdyby chciała jeszcze więcej, byłaby bardzo zachłanna.

Podniósł się z fotela; ugnieciona trzcina rozprostowała się z trzaskiem, jakby ważył więcej niż inni mężczyźni jego wzrostu.

– Tetsy zbierała maskotki. Same pingwiny. Ceramiczne, szklane, drewniane, metalowe, wszystkie.

Zbliżył się do jej łóżka. Wyczuła, że się nad nią pochyla.

– Przyniosłem ci jednego.

Jeśli odrzuci prześcieradło i jednocześnie poderwie się do pozycji siedzącej, może zamachnąć się klamrą jak maczugą w stronę tej ciemniejszej plamy w ciemności, gdzie spodziewała się znaleźć jego twarz.

Ale nie uderzy go, dopóki jej nie dotknie. Preston stał nad nią i się nie odzywał. Pewnie na nią spoglądał, choć na pewno nie widział nic z wyjątkiem niewyraźnego kształtu w mroku.

Zawsze unikał dotykania jej, jakby mógł się zarazić deformacją. Kontakt z nią budził w nim co najmniej niepokój i, jak sądziła, napełniał obrzydzeniem, które starał się ukryć. Gdyby Obcy jednak nie przybyli, zanim wreszcie nadejdzie pora piec tort urodzinowy i kupować papierowe czapeczki, kiedy będzie musiał jej dotknąć, żeby ją zabić, na pewno włoży rękawiczki.

– Przyniosłem ci jednego pingwinka, bo przypomina mi Lukiego. Jest słodki. Postawię go na szafce.

Cichy stuk. Pingwinek stoi.

Nie chciała tej pamiątki, skradzionej zmarłej dziewczynie.

Tak jakby ten dom przeczył prawom grawitacji, wydawało się jej, że Preston nie stoi przy łóżku, lecz zwisa z podłogi jak nietoperz, który przystosował się do dziwnych zasad, nietoperz ze zwiniętymi skrzydłami, milczący i czujny, istota trwająca w wyczekiwaniu.

Może już włożył rękawiczki.

Zacisnęła palce na stalowej maczudze.

Po pauzie, która trwała chyba wieczność, przerwał milczenie głosem ściszone i przejętym wagą wiadomości, którą miał przekazać:

– Rozsadziliśmy jej serce.

Mówił o tej obcej dziewczynce, Tetsy, która kogoś kochała, którą ktoś kochał, która się śmiała i płakała, która kolekcjonowała maskotki, żeby jakoś rozjaśnić swoje życie, i która nie spodziewała się, że umrze w wieku dwudziestu czterech lat.

– Zrobiliśmy to bez fanfar, tylko rodzina. Nikt się nie dowie. Rozsadziliśmy jej serce, ale jestem pewien, że nie czuła bólu.

Jakże satysfakcjonujące musi być życie z taką niezłomną pewnością, to przeświadczenie, że twoje intencje są godne szacunku, rozumowanie jest zawsze słuszne i że w związku z tym konsekwencje twoich czynów, choćby nie wiadomo jak drastycznych, nie podlegają dyskusji.

Boże, zabierz ją do domu, pomyślała Leilani o zmarłej dziewczynie, która jeszcze przed chwilą była dla niej zupełnie obcą osobą, a z którą miała zostać na zawsze związana dzięki niemiłosiernej litości Prestona Maddoca. Zabierz ją do domu, tam gdzie jej miejsce. Preston, całkowicie panujący nad sytuacją nawet w ciemnościach, odniósł trzcinowe krzesło na miejsce, z którego je zabrał. Podszedł pewnym krokiem do drzwi.

Gdyby zmija, zwinięta na łóżku matki lub ukryta pod komodą, przemówiła do Leilani, jej głos zabrzmiałby pewnie podobnie, nie złowroźnie syczący, lecz słodki jak miód:

– Leilani, nigdy nie sprawiłbym jej bólu. Jestem wrogiem bólu. Całe życie poświęciłem kojeniu bólu.

Otworzył drzwi pokoju; na ścianie naprzeciwko pojawił się upiorny portal światła, tak jak poprzednio, a mroczna sylwetka zawahała się na progu i obejrzała na nią. Potem cień przeszedł jakby do innej rzeczywistości, rozproszył się, a głąz ciemności przywalił wyjście.

Leilani pomyślała żarliwie, że ten cień mógłby reprezentować rzeczywistość i że Preston naprawdę mógłby zniknąć na zawsze, przejść w miejsce, które bardziej mu odpowiada, być może do świata, gdzie wszyscy rodzą się martwi i dlatego nie czują bólu. Ale tak naprawdę znajdował się dwa pokoje dalej i nadal dzielił z nią oddech życia, nadal żył pod tym samym gwiaździstym sklepieniem, które w niej budziło podziw i fascynację tajemnicą, a dla niego było tylko odległymi eksplozjami ognia i kataklizmu.

Curtis słyszy ptaszniki lub czuje ich zapach, gdy wyskakują z tuneli w piasku, rojących się mu pod stopami, słyszy, czuje lub odbiera ruch grzechotników, które usuwają mu się płynnie z drogi lub zwijają w obręcz i ślą grzechoczące ostrzeżenie w marakasowym szyfrze; przerażone gryzonie śmigają co sił byle dalej od niego i głodnych gadów, pieski preriowe zakopują się w jamach, spłoszone ptaki wzbijają się w powietrze z gniazd w pustych konarach na wspólnych uschniętych kaktusów, jaszczurki prześlizgują się płynnie jak rtęć przez piasek i kamienie, nadal oddające nagromadzony skwar słońca, które długo nie chciało zejść, jastrzębie krążą wysoko, kojoty przemykają samotnie lub całą zgrają bardzo daleko na lewo i prawo od niego. Wszystko to może być raczej igraszką jego wyobraźni niż rzeczywistością, odbieraną dzięki tajemniczemu połączeniu z czułymi psimi zmysłami, lecz ta noc naprawdę robi takie wrażenie, jakby tętniła życiem. Stary Rudzielec go prowadzi – Lassie nigdy tak nie prowadziła Timmy'ego – po wzgórzach i kotlinach, coraz szybciej i szybciej. W nocy kaktusy stają się kolczastym labiryntem. Warstwy małych okrągłych kamieni i drobniejszego żwiru, wyrwane z pierwotnych warstw geologicznych i spiętrzone w nasyp przez sunące potężne lodowce, stanowią zdradziecką trasę, która prowadzi jednak na bardziej przyjazny teren.

Zdołali się trochę oddalić od dwóch dziupli, które nadal suną ich tropem, nie dalej niż jedno wzgórze za nimi. Raz zza grzbietu pagórka wyłonił się jeden reflektor, który rzucił na sporą część terenu niezemskie sine światło, ale na szczęście nie dosięgnął! Curtisa i psiny.

Helikopter najpierw leciał za dziuplami, potem równoległe do nich. Kursuje z zachodu, na wschód, ze wschodu na zachód, wahadłowo, miarowo. Najprawdopodobniej jest wyposażony w potężny reflektor, przy którym światła dwóch dziupli wydadzą się mizernymi świeczkami wotywnymi. Ale leci po ciemku, z czego Curtis wnosi, że na pokładzie znajduje się nowoczesny sprzęt elektroniczny.

Niedobrze.

Czujniki na podczerwień przydadzą się im teraz w bardzo ograniczonym zakresie, ponieważ sam teren skumulował tak wiele ciepła, że ciepło ciał żywych stworzeń nie będzie się wyraźnie odcinać od podłoża. Jednak jeśli ich technologia komputerowa jest odpowiednio zaawansowana, dobry program analityczny może porównać temperaturę wszystkich okolicznych organizmów, wyodrębniając w ten sposób kojoty, psy i uciekających chłopców.

Gorzej, jeśli mają sprzęt wykrywający ludzi w otwartym terenie; nie znajdą lepszych warunków, by go użyć, ponieważ wiatr w ogóle nie wieje i wszędzie panuje spokój. Ponadto jelenie poruszają się w małych stadach, kojoty polują w hordach lub czasem samotnie, a chłopiec i jego psina są parą, wskutek czego stanowią wyjątkowy i natychmiast rozpoznawalny znak na czytniku.

Niezależnie od wszelkiego sprzętu, jaki może się znajdować w posiadaniu FBI i wojska, pustynię przeczesują inni wrogowie, bardziej niebezpieczni niż ci występujący z ramienia prawa. Zabójcy z Kolorado dokładnie sprawdzają swoje przyrządy, szukając charakterystycznego sygnału energii chłopca, który może być Curtisem Hammondem. Ich nie – dawny powrót do gry obwieściło nagle napięcie w powietrzu, jak przed burzą, a także nieznaczne zaburzenie przepływu energii, podobne do zaburzenia pola elektromagnetycznego, które alarmuje wiele zwierząt o nadejściu trzęsienia ziemi.

Stary Rudzielec, zaniepokojona analizą chłopca albo wołaniem własnego instynktu, przyspiesza, narzucając mu większe tempo. Biegając, zaczerpnął tak wiele palącego powietrza, że mógłby nadmuchać balon do podniebnych wędrówek. Wargi ma spękane, w ustach czuje suchość równą suchości jałowej ziemi pod jego śmigłymi stopami, gardło go piecze. Łydki i uda płoną bólem, ale teraz, z pewnym

wysiłkiem, zaczyna maskować swoje dolegliwości. Curtis Hammond nie jest najwspanialszym sportowcem świata, ale nie jest także zdany całkowicie na łaskę i niełaskę własnego organizmu. Ból to tylko impulsy elektryczne, przemieszczające się szlakiem nerwów i przez jakiś czas zdoła nad nim zapanować siłą woli.

Psina pędzi za wolnością, Curtis pędzi za psiną, z czasem docierają na szczyt kolejnego wzgórza i odkrywają, że poniżej rozciągają się solne równiny. Teren zbiega łagodnie, prosto w szeroką kotlinę, której rozmiary trudno określić w bezkسیężycowym mroku, jednak jej dno, upiornie fosforyzujące, stanowi pewne wytchnienie od uciążliwej ciemności.

Setki tysięcy lat temu w tym miejscu znajdowała się zatoka morza śródziemnego. Z biegiem stuleci woda wyparowała, martwy ocean zostawił po sobie lekko fosforyzującego ducha, rozciągającego się od brzegu do brzegu. Jarząca się ziemia jest gładka i jałowa, gdyż w słonej glebie nie mogą się przyjąć nawet uparte pustynne krzaki. Na niej będą łatwi do wyśledzenia, nawet gdy prześladowcy nie będą mieli sprzętu elektronicznego.

Kotlina znajduje się na osi południowy zachód-północny wschód i gdyby nie jeden szczegół, chłopiec i psina poszliby na południowy wschód, unikając niebezpieczeństwa wystawienia się na widok na otwartej przestrzeni. Tym szczegółem jest miasto. Miasto albo osiedle.

Jakieś czterdzieści budynków różnych rozmiarów, przeważnie parterowych lub piętrowych, stoi w dwóch równych grupach po obu stronach ulicy, na łagodnym wzniesieniu tuż pod ścianą kotliny. Znajdują się po tej stronie solnych łąch, gdzie bardziej przyjazna gleba i podziemne źródła wody podtrzymują przy życiu kilka wielkich cienistych drzew. W upalny letni dzień, gdy powietrze drży od gorąca, to osiedle, jeśli można tak je nazwać, musi się wydawać z daleka fatamorganą. Nawet teraz, wyraźnie obrysowane na tle fosforyzującej równiny, budynki wydają się niewiarygodne jak architektura mirażu.

Na pustej ulicy zalega ciemność, w oknach nie pali się ani jedno światło.

Chłopiec i psina stoją na skraju kotliny, spoglądając w dół, czujni i gotowi. Wstrzymują oddech. Ona porusza nosem. On nie. Ona nastawia uszu. On nie umie. Jednocześnie przechylają głowy, oboje na prawo. Nasłuchują.

Nie dobiega ich żadne chrupnięcie, trzaśnięcie, łomot, klekot, stuk, brzęk, eksplozja czy szept. Teren wydaje się spokojny jak powierzchnia pozbawionego atmosfery księżyca.

Potem napływa dźwięk, nie z dołu, lecz z południa, i brzmi z początku całkiem jak tęten podkutyh końskich kopyt.

Chłopiec i psina spoglądają w nisko sunące czarne chmury. Psina jest zdziwiona. Chłopiec wypatruje upiornych jeźdźców na niebie.

Oczywiście dźwięk szybko staje się głośniejszy i zmienia się w warkot znieprawionego helikoptera. Maszyna nadal sunie ze wschodu na zachód i z powrotem, zjawi się tu wcześniej, niżby to odpowiadało Curtisowi.

Krok w krok, nie ścigając się już, chłopiec i psina szybko zbiegają po zboczu w stronę pogrążonej w mroku osady. Teraz cisza liczy się tak samo jak szybkość; już nie pędzą jak szaleni, z dzikim zapamiętaniem.

Można by się spierać, czy nie należy ominąć tego miejsca i skierować się dalej na północny wschód wzdłuż ściany kotliny. Standardowe procedury agentów federalnych i wojskowych prawdopodobnie wymagają sprawdzenia zabudowań, przeszukania ich i oczyszczenia. Kryjówka nie wystarczyłaby na długo.

Jeśli jednak mieszkają tu ludzie, odwróć uwagę poszukiwaczy i zapewnią mu jako taką osłonę przed detektorami. Jak zwykle w przypadku uciekiniera, ruch ma swoją wartość.

Co więcej, musi znaleźć wodę. Zdołał zagłuszyć pragnienie siłą woli i wyeliminować potrzebę picia, ale nie uda mu się w ten sam sposób zapobiec odwodnieniu ciała. Poza tym psina ma zbyt gęstą sierść jak na biegi długodystansowe w tym klimacie i znajduje się o krok od udaru.

Po bliższych oględzinach budynki okazują się bardzo prowizoryczne. Ściany z ledwie oheblowanych desek, ochlapane farbą, z wylażącymi drzazgami, które kłują palce Curtisa. Brak ozdób. Nawet przy lepszym świetle nie ukazałyby szczegółów roboty dobrego rzemieślnika.

Z wyjątkiem wznoszących się ponad budowlami sześciu czy ośmiu ogromnych starych drzew nie ma tu żadnej zieleni, trawników, kwiatów czy krzaków. Ponure budynki kulą się bez wdzięku na nagiej twardej ziemi.

Curtis i Stary Rudzielec, zwolniwszy dla bezpieczeństwa, skradają się wąskim chodnikiem między dwoma budynkami. Słaby zapach spróchniałego drewna. Mocny odór myszy gnieźdzących się w prowizorycznych fundamentach.

Ściana po lewej stronie nie ma okien. Po prawej są dwa, a za nimi czerń tak głęboka, jakby była wieczna.

Za każdym razem, gdy chłopiec zatrzymuje się, by przycisnąć nos do szyby, spodziewa się, że nagle po drugiej stronie zmaterializuje się blada twarz o czerwonych oczach i zębach jak ostre żółte szpikulce. Jego mózg jest bardzo młody, ale już nasiąknął jak gąbka wszystkimi możliwymi książkami i filmami, z których wiele opowiada o przerażających rzeczach. Zawsze wydawały mu się dobrą rozrywką, ale być może za bardzo go uwrażliwiły na możliwość poniesienia gwałtownej śmierci z rąk żywych trupów, poltergeistów, wampirów, seryjnych morderców, gangsterów, transwestytów – morderców z fiksacją na punkcie matki, porywaczy o morderczych skłonnościach, dusicieli, wariatów z siekierami i kanibali.

Im bliżej są końca chodnika, tym głośniejszą trzepoczą nocne ptaki, przelatujące nad ich głowami z jednego dachu na drugi. Tak, akurat. A może nietoperze? A może tysiąc innych stworzeń, o wiele bardziej przerażających niż wściekłe nietoperze czy ptaki Hitchcocka, a wszystkie z wielkim apetytem na smakowite wnętrzności chłopca albo odrobinę psiego mózgu?

Suczka popiskuje nerwowo, być może wyczuła jakiś zapach, choć pewnie raczej Curtis przeniósł swój strach do jej głowy drogą psychicznej osmozy. Oto niezbyt korzystna dla psa strona psio-chłopięcej więzi, jeśli chłopiec jest histerykiem, który swoją strachliwością przyniósłby wstyd matce.

– Przepraszam, psinko.

Wychodzą spomiędzy budynków na ulicę i Curtis odkrywa, że znaleźli się w westernie. Obraca się powoli wokół własnej osi, zdumiony. Domy po obu stronach drewnianego chodnika (z palikami do przywiązywania koni) stoją na podwyższeniu, żeby nie zatonać w błocie, gdy sporadycznie po gwałtownych deszczach ulica zmienia się w rwący potok. Wiele budynków w pobliżu środka miasta ma balkony, w których cieniu można się schronić w dni tak upalne, że nawet jaszczurki głęboko zakopane w błocie wysychają na popiół.

Sklep z towarami kolonialnymi, spożywczymi i artykułami żelaznymi. Biuro szeryfa, połączone z aresztem. Mały biały kościółek ze skromną wieżyczką. Tutaj gabinet lekarza plus laboratorium, tam pensjonat, a dalej saloon i szulernia, gdzie na pewno widywano broń, gdy ktoś zbyt często dostawał w pokerze kiepskie karty.

Miasto duchów.

Curtis w pierwszej chwili myśli, że stoi w prawdziwym, takim naprawdę, zupełnie nieudawanym, jak

amen w pacierzu, mieście duchów, w którym nikt nie postawił stopy od zeszłego wieku, którego wszyscy mieszkańcy od dawna spoczywają na miejscowym cmentarzu i gdzie duchy rewolwerowców co noc snują się po okolicy, czekając na okazję do strzelaniny.

Budynki, choć prowizoryczne, są w zaskakująco dobrym stanie jak na sto lat opuszczenia. Nawet w ciemnościach farba robi wrażenie świeżej. Słońce nie wypaliło napisów na szyldach sklepowych.

Potem dostrzega coś, co wygląda jak tablice informacyjne, ustawione w regularnych odstępach wzdłuż ulicy przed słupkami do przywiązywania koni. Najbliższy znajduje się przy saloonie. Dwa staroświeckie ponadmetrowe paliki podtrzymują przekrzywioną tablicę, na której widnieje tekst wypisany na czarnym tle białymi drukowanymi literami.

W bezksiężycowo-bezgwiezdnym mroku trudno jest odczytać historię budynku, choć litery są całkiem duże, ale udaje mu się odszyfrować je na tyle, żeby potwierdzić nowe podejrzenie. Niegdyś było to prawdziwe miasto duchów, opuszczone, rozpadające się w proch. Teraz je odnowiono; stało się zabytkiem, po którym przewodnicy oprowadzają turystów.

W nocy, gdy po ulicach nie włączają się turyści, zaglądający do odbudowanych domów, duchy na powrót przejmują władanie nad miastem. Z odległej autostrady nie prowadzą tu żadne znaki, wszystko wygląda tak, jak w dziewiętnastym wieku i nikt tu nie mieszka.

Curtis, ogarnięty nostalgią za Dzikim Zachodem, chętnie zwiedziłby te budynki przy świetle lampy naftowej, żeby wprowadzić się w nastrój. Ale lampy nie ma, a budynki na pewno są zamknięte na noc.

Łapa Starego Rudzielca, trącająca nogę chłopca, przypomina mu, że nie są na wakacjach. Warkot helikoptera ucichł, ale pościg skieruje się w tę stronę.

Woda. Wypocili z siebie więcej wilgoci, niż dostarczył im sok pomarańczowy. Śmierć z odwodnienia i wieczny spoczynek na cmentarzu obok rewolwerowców, zamordowanych szeryfów i tancerek z saloonu to już trochę zbyt wielki hołd złożony Dzikiemu Zachodowi.

Na filmach w każdym miasteczku stajnia i kuźnia znajdowały się z reguły na końcu głównej ulicy. Curtis kieruje się na południe i znajduje napis KOWAL. I znowu filmy okazały się wiarygodnym źródłem informacji.

Skoro kowal, to i konie. Konie muszą być podkute. Kowal robi podkowy. Konie muszą mieć wodę do picia, a kowal musi ją mieć do picia i do pracy. Curtis przypomina sobie scenę, w której kowal, rozmawiając jednocześnie z szeryfem, zanurza rozpalone do czerwoności podkowy w beczce z wodą; przy zanurzeniu każdej w powietrze unosi się chmura pary i słychać głośny syk.

Czasami z pompy kowala korzystają także ci mieszkańcy, którzy nie mają własnych studni, ale jeśli publiczna pompa znajduje się jednak gdzieś indziej, kowal na pewno ma własne źródło. I tutaj właśnie tak jest. Na samym froncie domu. Niech Bóg błogosławi Warner Brothers, Paramount, Universal Pictures, RKO, Republic Studios, Metro Goldwyn Mayer i 20<sup>th</sup> Century Fox.

Jeśli miasto zostało odbudowane, pompa powinna działać; Curtis wdrapuje się na drewniane podwyższenie, chwytając oburącz dźwignię i pompuje. Mechanizm skrzypi i zgrzyta. Tłok porusza się na początku luźno, tak luźno, że Curtis zaczyna się zastanawiać, czy się nie zepsuł, ale potem sztywnieje, gdyż woda podchodzi do góry, pędzi ku niemu z tego samego zbiornika, który podtrzymuje przy życiu drzewa, bez wątplenia rosnące tu jeszcze przed zbudowaniem miasta.

Z kurka bluzga strumień wody, rozbryzguje się o drewnianą platformę i ścieka do rynsztoka. Psina»szybko wskakuje na podest. Zaczyna chleptać łuk płynącej wody, ustawiona bokiem do niego, zagarnia odświeżający płyn wprost z powietrza długim różowym językiem.

Kiedy poruszy się dźwignią odpowiednio dużo razy, woda zaczyna płynąć sama. Curtis obchodzi

pompe, podstawia pod kurek złożone dłonie, z których psina zaczyna chleptać z wdzięcznością. Potem sam pije aż do ugaszenia pragnienia.

Kiedy strumień słabnie, Stary Rudzielec rozbryzguje go ogonem, na co Curtis chlapie na nią wodą z kałuży, a psina aż skacze z zachwytu.

*Chłodne. Chłodne, mokre, dobre. Dobredobredobre. Czysty zapach, chłodny zapach, wodny zapach, lekka woń kamienia, lekki smak piaskowca, smak głębi. Mokra sierść, chłodne łapy, chłodne palce. Łapy bardzo gorące, teraz bardzo chłodne. Otrząsnąć się z wody. Trzęsutrzęsutrzęsu. Jakby się pływało w gliniance koło domu, jakby się chlapało z Curtisem przez cały dzień, nurkowało i chlapało, pływało za piłeczką, Curtis, piłeczka i przez cały dzień nic, tylko zabawa. Było tak jak teraz, ale weselej. Sierść znowu mokra, sierść mokra. O, patrzcie na Curtisa. Patrzcie, patrzcie, Curtis suchy. Pamiętasz tę zabawę? Złap Curtisa, złapzłapzłap! Curtis się śmieje. Wesole! Hej, złap jego but! But, wesole, but, but! Curtis się śmieje. Czy jest na świecie coś lepszego, może poza gonieniem kota, poza pysznym jedzeniem? But, but, BUT!*

Nagły rozbłysk światła przyszpila chłopca i psinę, psinę i chłopca.

Zaskoczony Curtis podnosi głowę. Światło jest bardzo jasne.

O Boziu, no to ma kłopot.



Siedemnaście lat po zagojeniu rany postrzałowej w lewym ramieniu i prawym udzie Noaha zaczęły boleć, jakby zaatakował je jakiś psychosomatyczny reumatyzm.

Wyrwany z łóżka, przerzucony z sennego koszmaru w koszmar na jawie, ruszył na południe najpierw autostradą, potem ulicami, dociskając do dechy gaz swojego gruchota. O tej porze ruch był niewielki, na niektórych ulicach panowała zupełna pustka. Noah zlekceważył prawie wszystkie znaki stopu i ograniczenia prędkości, jakby znowu miał na sobie mundur i siedział za kierownicą radiowozu.

Ból eksplodował w starych ranach, jakby miał rozsadzić szwy, które lekarze usunęli mu połowę życia temu. Zerknął na ramię, na udo, przekonany, że zobaczy krew przesiąkającą przez ubranie, że jego blizny stały się dziwnymi stygmatami, świadectwem nie miłości Boga, lecz własnego poczucia winy.

Ciocia Lilly, siostra ojca, najpierw zastrzeliła właśnie jego, ponieważ stanowił zagrożenie, wywaliła mu magazynek prosto w twarz z odległości kroku, a potem dwa razy strzeliła do Noaha, tylko dlatego, że to widział, był świadkiem. Powiedziała:

– Głupio wyszło, Nono – ponieważ tak go nazywali niektórzy krewni od czasu, kiedy był mały. Następnie otworzyła ogień.

Jeśli cała twoja rodzina zajmuje się wysoce dochodową działalnością przestępczą, niezgoda pomiędzy krewnymi może dotyczyć problemów poważniejszych niż podzielenie kolekcji porcelany, jeśli babcia umrze, nie zostawiając testamentu. Siedemnaście lat temu produkcja amfetaminy w postaci tabletek, kapsułek, płynu i proszku do rozprowadzania bez recepty była równie nielegalna jak obecnie. Jeśli znajdzie się zainteresowanych klientów, zorganizuje siatkę dystrybucyjną i będzie się bronić swojego terytorium przed konkurencją, amfa może przynosić równie wysokie dochody jak kokaina, a ponieważ nie łączy się z ryzykiem przemytu, gdyż można ją przyrządzić z ogólnie dostępnych składników, sprawia to stosunkowo mało problemów. Ale rodzina, która razem pracuje, nie musi koniecznie trzymać się razem, ponieważ amfa przyciąga strumienie brudnych pieniędzy, a one potrafią zniszczyć nawet związki krwi.

Szesnastoletni Noah nie pracował w interesie, ale kręcił się koło niego, odkąd pamiętał. Nigdy nie dotykał tego gówna, nie rozprowadzał go, nie odbierał pieniędzy, nigdy nie wychodził z nim na ulicę, za to znał tajniki receptury, stał się wytrawnym chemikiem ze specjalizacją: produkcja amfetaminy. I zapakował niezliczone dawki proszku, napełnił niezliczone plastikowe torebki kapsułkami, zapieczętował mnóstwo buteleczek z płynem do zastrzyków, zarabiając w ten sposób pieniądze, tak jak inne dzieci zarabiają je stryżeniem trawników i grabieniem liści. Ojciec miał wobec niego plany, chciał go przygotować do prowadzenia interesu, ale dopiero po ukończeniu szkoły, bo wierzył w edukację wyższą. Noah wiedział od zawsze, że jego tatuś jest sukinsynem, a gdyby miał opisać łączący ich związek, nigdy w życiu nie użyłby słowa „miłość”. Łączyło ich zobowiązanie, wspólna historia, obowiązki rodzinne – a w przypadku Noaha strach. A jednak ojciec był faktycznie dumny z jego umiejętności produkcji amfy i gotowości odwalenia czarnej roboty w rodzaju paczkowania i butelkowania. Zabawne, ale nawet gdy wiesz, że ojciec jest chodzącym wrzodem społeczeństwa, i tak czujesz dziwną satysfakcję na myśl, że jest z Ciebie dumny. W końcu ojciec to ojciec; prezydent Stanów Zjednoczonych nigdy ci nie powie, że jest z Ciebie dumny, a w życiu raczej się nie zjawi natchniony nauczyciel czy trener, który weźmie Cię pod swoje skrzydła jak Denzel Washington w filmie.

Widząc, że stary, trafiony w twarz, wali się na podłogę jak kłoda, słysząc słowa cioci Lilly – „Głupio wyszło, Nono” – Noah rzucił się do panicznej ucieczki. Pierwsza kula go ominęła, druga przeszła mu

bark, trzecia wbiła się w udo.

Ale do tego czasu zdążył już dobiec do drzwi wyjściowych i otworzyć je; strzał w udo wykopał go na zewnątrz, na ganek, gdzie upadł i stoczył się po schodach jak toból wyrzucony przy przeprowadzce. Lilly nie zdecydowała się wyjść na trawnik przed domem i tam rozwalić głowy bratankowi, nie w tej spokojnej zamożnej dzielnicy z mnóstwem nastolatków na deskach i mamusiek z wózkami, które z pewnością miały dość poczucia obywatelskiego obowiązku, by zeznawać przeciwko niej w sądzie. Dlatego wycofała się tylnym wejściem, tak jak weszła, licząc, że Noah wykrwawi się na śmierć, zanim zdąży ją zakapować.

Noah sprawił jej zawód, w następstwie czego Lilly po dziesięciu miesiącach odsiadki z trzydziestoletniego wyroku odnalazła Jezusa, może naprawdę, a może tylko dla efektu, żeby zrobić wrażenie podczas ubiegania się o zwolnienie warunkowe. I choć do tej pory odsiedziała już ponad połowę wyroku, sąd ocenił jej pobożność niżej niż biegły psycholog, który uznał, że Lilly nie przestała być podłą, podstępna i niebezpieczna dla otoczenia suką.

Co roku wysyłała Noahowi kartkę na Boże Narodzenie, czasami ze stajenką, niekiedy ze Świętym Mikołajem. Zawsze dołączała pięknie wykaligrafowane wyrazy skruchy, z wyjątkiem dziewiątego roku odsiadki, kiedy wyraziła – w słowach, które nie znalazłyby aprobaty żadnej chrześcijańskiej organizacji – nieutulony żal, iż nie strzeliła mu w krocze. I choć Noah uważał, że wszyscy goście zajmujący się Freudem i upierający się, iż należy im się status naukowców, to kapłani najmniej racjonalnej religii w dziejach świata, wysłał tę kartkę komisji orzekającej o zwolnieniach warunkowych.

Ciocia Lilly była podłą, mordującą braci i raniącą bratanków suką, ale na ogół działała zgodnie z rozsądkiem, czego nie można powiedzieć o jej mężu Kelvinie. Wszyscy z różnych powodów nazywali go Świrek, względnie Świr. Dwa miesiące przed tym, jak Lilly skasowała swojego brata z powodu sprzeczki o siedemset tysięcy dolarów, Kelvin pobił niemal na śmierć Laurę, siostrę Noaha. Lilly zawsze działała z zimnego wyrachowania; Świrek rzucił się na Laurę z przyczyn, których pewnie nawet sam nie rozumiał.

Wujek Świrek był od dawna zasłużonym kiperem rodzinnych produktów. Nawet gdyby rodzina zajmowała się produkcją soku jabłkowego, i tak dzielenie się nim z wujkiem Świrkiem byłoby bardzo kiepskim pomysłem, zważywszy na ilości, jakie pochłaniał, kiedy akurat miał dobry nastrój. Jeśli człowiek napompuje się odpowiednią ilością amfy, produkty uboczne fenylo-2-propanonu, składnika chemicznego używanego przy produkcji narkotyku, zaczęną się mu gromadzić w mózgu, a jeśli jest w dodatku aż takim zwolennikiem rekreacji chemicznej jak wujek Świrek, w końcu doigra się psychozy, która może nie jest aż tak atrakcyjna jak pożarcie żywcem przez jadowite czerwone mrówki, ale niewiele jej brakuje.

Kiedy klepki wujka Świrka zaczęły mu wyfruwać uszami, spróbował ukoić swą nagle zboląłą duszę i uspokoić szalejący w nim chaos metodą skucia komuś pyska. Stało się tak w chwili, gdy dwunastoletnia Laura nacisnęła guzik dzwonka. A może zrobiła to pięć minut przed dewastacją klepek w głowie Świrka, ponieważ zaprosił on kuzyneczkę na swoją słynną lemoniadę z lodami. A potem się zaczęło. Lilly wyprowadziła akurat psa na spacer i wróciła do domu dopiero w chwili, gdy wujek Świrek bił Laurę już od paru minut, najpierw pięściami, potem kamienną statuettką Fortuny, którą kupił w sklepie z pamiątkami w Las Vegas.

Lilly odciągnęła Świrka od dziewczynki i kazała mu usiąść w fotelu. Prawdopodobnie tylko ona potrafiła go tak szybko uspokoić, bo nawet w pełnym rozkwicie narkotycznej psychozy wujek Swirek bał się swojej żony jak jasna cholera.

Brat ciocie Lilly – ojciec Noaha – mieszkał ulicę dalej, więc trzy minuty po telefonie Lilly był już

u niej w domu. Jego córka była potwornie zmasakrowana, nieprzytomna, prawdopodobnie w agonii, więc chciał wezwać pogotowie, ale potem uprzytomnił sobie – podobnie jak Lilly – że najpierw muszą się zająć Świrkiem. Wujek nie był pełnoprawnym członkiem rodziny, choć się w nią wzenił; gdyby go zapudłowali, to nawet po detoksie, trzeźwy i z pełną kontrolą nad sobą wyspałby całą rodzinę za możliwość mniejszego wyroku. Teraz, zgnojony amfetaminą, mamroczący pod nosem, w głębokiej paranoi, na zmianę wściekający się na Laurę za „wścibstwo” i oplakujący krzywdę, którą jej wyrządził, najprawdopodobniej wydałby wszystkich w ciągu pierwszych pięciu minut na policji i nawet by nie wiedział, że to zrobił.

Szczęśliwym dla całej rodziny zbiegiem okoliczności pięć minut później wujek Swirek popełnił samobójstwo.

Przy nieustępliwej pomocy cierpliwej żony wyprodukował chwytające za serce wyznanie: „Droga Lauro, amfa i inne prochy pomieszały mi w głowie. Nie wiem, co robię. Nie jestem zły, tylko się okropnie pogubiłem. Nie miej pretensji do swojej kochanej cioci za to, co zrobiłem. To dobra, uczciwa kobieta. Chciałbym, żeby ci kupiła cholernie wielkiego misia i żeby ci go dała. Kocham cię, wujek Swirek”. W swoim szaleństwie myślał, że jest to kartka, którą Laura otrzyma podczas rekonwalescencji.

Wysiłek, którego wymagało od niego przełożenie tych uczuć na słowa, wyczerpał go do reszty i w chwili, gdy składał podpis, faza szału przeszła w fazę totalnego zmęczenia. Był tak zmęczony, że nie mógł wejść po schodach o własnych siłach, musiał się wesprzeć na ramionach Lilly i swojego szwagra.

Myślał, że kiedy się ogoli i umyje, zabiorą go do Palm Springs, gdzie w klinice, będącej jednocześnie kurortem wypoczynkowym, zostanie poddany programowi Dwunastu Kroków, masażom, zdrowej diecie odchudzającej i może nawet nauczy się grać w golfa. Usiadł na zamkniętej klapie sedesu i zapadł w drzemkę, podtrzymywany przez szwagra, bo inaczej stoczyłby się na podłogę. Spał, dopóki Lilly nie obudziła go, wpychając mu w usta lufę pistoletu. Włożyła rękawiczki, a ramię owinęła jedwabną poszewką, żeby nie znaleziono na niej drobin prochu. Zaskoczony wujek Świrek, dławiąc się metalem, otworzył oczy i chyba zdał sobie sprawę, że błyskawiczna rezerwacja pokoju w uzdrowisku w Palm Springs jest trudniejsza, niż mu się wydawało. A potem Lilly nacisnęła spust.

Z kolekcji posiadanego w domu sprzętu wybrała najmniejszy kaliber, gwarantujący skuteczne wykonanie zadania. Zbyt duży kaliber spowodowałaby zbędny bałagan i coś mogłoby się pobrudzić. Lilly była bardzo zorganizowana. Poza tym lubiła porządek w domu.

Przez ponad dwadzieścia minut, gdy Świrek szykował się na spotkanie z Piekłem, Laura leżała na podłodze ze zdruzgotaną połową niegdyś ślicznej twarzy i postępującymi uszkodzeniami mózgu. Dopiero potem Lilly wezwała pogotowie.

Noaha przy tym nie było. Dowiedział się o wszystkim z drugiej ręki, od ojca.

Stary wspominał te wypadki, jakby opowiadał o wojennych przygodach z młodości, jakby to była jakaś przygoda, psiamać, z upiornie skąpymi aluzjami do koszmaru, który przeżyła jego córka, i do jej tragicznego stanu, za to z braterskim podziwem dla Lilly za umiejętność szybkiego reagowania w trudnej sytuacji.

– Twarda suka z tej cioci Lii, jeśli tak trzeba. Znałem mężczyzn, którzy w takiej gównianej sytuacji robili się malutcy wcześniej niż Lii.

Zachowywał się, jakby chciał powiedzieć: „Hej, tak już bywa, to straszne, smutne, ale tak to już jest, na tym świecie nie ma sprawiedliwości, nie więcej, niż wymierzyliśmy Świrkowi, wszyscy na końcu zmieniamy się w mięso, więc nie zwracaj już sobie tym głowy i żyj dalej”. „Żyj w dzisiaj”, lubił powtarzać, co było psychożargonem, który przejął od jakiegoś socjopatycznego guru z telewizji.

Gówniana sytuacja większego kalibru wydarzyła się dwa miesiące później, gdy ciocia Lilly pojawiła się ze znacznie większą bronią niż ta, z której wykończyła wujka Świrka, i bez obaw o porządek, ponieważ nie był to jej dom. Jej brat ukrył siedemset tysięcy dolarów zysku z amfetaminy. Cioci chodziło nie tylko o uczciwe księgowanie dochodów, lecz także o odejście starego z biznesu. I choć brat odwołał się do jej litości, Lilly nie stała się „malutką”. Tylko Noah zasłużył na pewnego rodzaju przeprosiny w chwili, gdy naciskała spust. Dwukrotnie ranny Noah, najpierw całkiem pewny, że umrze na własnym trawniku, potem wiedząc już, w szpitalu, że przeżyje, uznał, że zasługiwał na te rany, że to kara za opuszczenie siostry. Nie był złym dzieckiem. Naprawdę. Nie był także złym człowiekiem, nie wrodził się w ojca. Jego obojętność na kryminalne zwyczaje rodziny nie dowodziła niemoralności; psychologowie uznaliby, że jest to konsekwencja niedostatku zaszczepionych mu w dzieciństwie wartości moralnych. Ale Noah, który miał dużo czasu na rozmyślanie, doszedł do wniosku, że przyczyny katastrofy są nieważne. Tylko on miał igłę i nici, żeby zszyć swoje rozerwane życie i zrobić z niego garnitur, w którym można się pokazać w przyzwoitym towarzystwie. Jedynie poczucie winy z powodu cierpienia siostry doprowadziło go do wniosku, że ten trudny akt naprawy jest konieczny, jeśli chce mieć jakąś przyszłość, dla której warto żyć.

Prawdę mówiąc, poczucie winy dało mu siłę, by stać się dla siebie samego Pigmalionem, pomogło mu wyrzeźbić nowego Noaha Farrela z kamienia, jakim był dotąd. Poczucie winy było jego młotem, jego dłutem. Poczucie winy było jego chlebem i natchnieniem.

Dlatego kiedy słyszał, jak ktoś obwieszcza, że poczucie winy jest destrukcyjne, że w pełni świadoma siebie osoba musi „zostawić za sobą” poczucie winy, wiedział, że słucha idioty. Poczucie winy stało się ratunkiem dla jego duszy.

Jednak w ciągu ostatnich siedemnastu lat doszedł także do wniosku, że akceptacja poczucia winy nie jest celem samym w sobie. Szczere wzięcie odpowiedzialności za konsekwencje swoich czynów – czy w tym wypadku zaniechania działania – nie jest gwarancją odkupienia. A dopóki nie znajdzie drzwi, za którymi czeka odkupienie, dopóki nie otworzy ich i nie przekroczy progu, stary Noah Farrel nigdy nie poczuje się całkowicie swobodnie w skórze człowieka, którego stworzył; zawsze będzie się czuć jak intruz, niegodny zaufania oszust, który tak naprawdę jest tym samym bezmyślnym chłopcem co kiedyś.

Jedyna dostępna mu droga odkupienia wiąże się z jego siostrą. Czy po tak wielu latach opłacania jej domu opieki, po tysiącach godzin mówienia do niej, niereagującej, z oczami wpatrzonymi w niedostępne mu widoki, nadejdzie wreszcie chwila, gdy ukażą się przed nim drzwi? Jeśli kiedykolwiek siostra naprawdę na niego spojrzy, nawiąże z nim kontakt, choćby najkrótszy, i jeśli w tym ułamku sekundy da mu do zrozumienia, że słyszała jego monologi i że przynosiły jej ulgę, drzwi otworzą się przed nim, a pokój, który znajdzie za progiem, będzie mógł nazwać nadzieją.

Teraz, w tych najmniej litościwych nocnych godzinach, pędząc przez ulice okręgu Orange, był przerażony jak jeszcze nigdy w życiu, bardziej niż w tym dniu, gdy przyjął dwie kule Lilly i stoczył się po schodkach ganku, spodziewając się otrzymać trzecią w tył głowy. Wizja odkupienia oddalała się od niego z każdym kilometrem, a wraz z nim oddalała się wszelka nadzieja.

Kiedy wdepnął hamulec i zatrzymał się z piskiem opon na podjeździe Domu Opieki Cięto Vista, na widok wszystkich tych samochodów policyjnych ogarnęła go rozpacz. Telefon, który wyrwał go ze snu, telefon, który mógł być podstępem lub pomyłką, okazał się ze wszech miar uzasadniony, potwierdzony każdym mignięciem czerwonego światła i każdym mknącym po ziemi cieniem, wpełzającym na fasadę domu i ginącym w pnączach porastających pergole.

*Laura.*



Psina mokra, chłopiec mokry, psina się śmieje, chłopiec się nie śmieje, więc psina przestaje się uśmiechać, choć oboje nadal ociekają wodą, stojąc w nagłym potoku światła. Stary Rudzielec usiłuje powściągnąć swoją psią ekspresję, Curtis upomina się, żeby reagował jak chłopiec, nie jak pies, usiłuje włożyć stopę w but, który ściągnęła mu suczka.

Pompa skrzypi i jęczy, rączka powraca powoli do pierwotnej pozycji. Strumień z żelaznego kranu szybko zmienia się w strumyczek, potem w strużkę, w krople.

– Co jest, chłopcze, co to za hocki-klocki tu wyprawiasz? – pyta mężczyzna trzymający latarkę.

Nie widać go zbyt dobrze. Ukryty za blaskiem, świeci prosto w twarz Curtisa.

– Zostawiłeś uszy w innych spodniach?

Curtis właśnie się zorientował, że powinien pominąć ustęp o hockach-klockach, żeby zrozumieć sens pytania, teraz znowu oszłamia go to drugie pytanie.

– Co, kitem je sobie zatkałeś? – Kogo, proszę pana?

– Uszy – rzuca niecierpliwie mężczyzna.

– Dobry Boże, nie!

– To tutaj to twój pies?

– Tak.

– Będzie gryzł?

– Nie będzie gryzła, proszę pana. – Że jak?

– Że nie będzie.

– Głupi jesteś czy jaki?

– Chyba raczej „jaki”.

– Psów się nie cykam.

– Ona też się pana nie cyka.

– Tylko mi tu nie podskakuj, mały.

– Wcale nie podskakuję, proszę pana.

– Bezczelny gagatek z ciebie, skórkowaniec jeden, taka twoja tam i z powrotem!

– O ile rozumiem, proszę pana, to chyba nie.

Curtis swobodnie włada wieloma językami i uważa, że mógłby bez trudu prowadzić rozmowę w wielu regionalnych dialektach języka angielskiego, ale ta próba jest tak wymagająca, że pozbawia go pewności siebie.

Nieznajomy opuszcza latarkę, kieruje światło na Starego Rudzielca.

– Widywałem już takie śliczne pieski, a jak się odwracałem, to mi się wgryzały w *cojones*.

– Jones? – powtarza Curtis, myśląc, że mówią o osobie zwanej Ko Jones.

Teraz, gdy jaskrawe światło nie razi go już w oczy, okazuje się, że nieznajomym jest ni mniej, ni więcej sam Gabby Hayes, najwspanialszy kompan w historii westernu, więc chłopiec przez chwilę cieszy się jak nigdy w życiu. Potem zdaje sobie sprawę, że to nie może być Gabby, ponieważ Gabby musiał umrzeć dziesiątki lat temu.

Strąki siwych włosów, broda jak u trochę wyłysiałego Świętego Mikołaja, twarz wyprawiona na rzemień przez pustynne słońce i periowy wiatr, ciało złożone z samych twardych mięśni i gruzłowatych kości. Typowy twardy i szorstki kowboj, twardy, surowy i opryskliwy, lecz uroczy pastuch, twardy i komiczny, lecz godny zaufania zastępca szeryfa, niedoskonały, lecz mający dobre intencje i twardy

właściciel saloonu, albo zgryźliwy, lecz serdeczny, grający na banjo i twardy kucharz. Wyjąwszy pomarańczowo-białe buty sportowe, wielkie jak trepy klauna, jego strój jest w stu procentach strojem Gabby'ego Hayesa: zmięte obszerne spodnie khaki, czerwone szelki, bawełniana koszulka, prążkowana jak pokrycie materaca, wygnieciony, zakurzony, poplamiony potem kowbojski kapelusz, trochę za mały, wciśnięty na głowę z taką nonszalancją, że wygląda jak narośl, która była tu od dnia jego narodzin.

– Jak się rzuci na moje *cojones*, to ją skasuję, jak bonie dydy.

Jak przystało na każdego obywatela Dzikiego Zachodu, bez względu na profesję, nieznajomy ma przy sobie broń. Nie jest to rewolwer z tamtych czasów, lecz dziewięćmilimetrowy pistolet.

– Może nie wyglądam, ale nie taki ze mnie stary piernik, jak by się wydawało. Jestem tu nocnym stróżem w tej wskrzeszonej z martwych piekielnej dziurze i stać mnie jeszcze na wiele.

Choć jest stary, to na pewno nie aż tak, żeby być prawdziwym Gabbym Hayesem, nawet gdyby Gabby Hayes mógł jakimś cudem żyć, i nie jest także martwy, więc nie może być Gabbym Hayesem przywróconym do życia w postaci żywiącego się ludzkim ciałem zombi z tego czy innego filmu. Mimo to podobieństwo jest tak wyraźne, że musi być potomkiem Gabby'ego, może jego wnukiem. Gabby Hayes III. Zarumieniony z ożywienia i zachwytu Curtis czuje się mały i pokorny, jak w obecności koronowanej głowy.

– Umieję ustrzelić gościa z za rogu, rykoszetem, więc lepiej trzymaj tego pchlarza koło siebie i nigdzie mi nie przyskaj.

– Dobrze, proszę pana.

– Gdzie twoje starzy?

– Moje starzy nie żyją, proszę pana.

Krzaczaste siwe brwi podskakują aż po rondo kapelusza.

– Nie żyją? Powiedziałeś: nie żyją?

– Tak powiedziałem.

– Tutaj? – Stróż z niepokojem rzuca okiem na ulice, jakby płatni zabójcy napadli na miasto, by wystrzelać wszystkich właścicieli stad czy farmerów, czy też kogo tam zwykle chcą zabić źli potentaci ziemscy bądź chciwi magnaci kolejowi. Pistolet trzęsie się mu w dłoni, jakby nagle stał się zbyt ciężki, by go utrzymać. – Umarli tutaj, na mojej zmianie? No, co za bajzel, słowo daję. Gdzie oni są? – W Kolorado, proszę pana.

– W Kolorado? Myślałem, że umarli tutaj.

– Chciałem powiedzieć, że w Kolorado.

Stróż oddycha z ulgą, broń nie trzęsie się już tak bardzo.

– To jak się tu dostałeś razem z tym pchlarzem po godzinach otwarcia?

– Uciekamy, żeby ratować życie – wyjaśnia Curtis, ponieważ uważa, że potomkowi pana Hayesa należy się choćby odrobina prawdy.

Pomarszczona twarz stróża marszczy się jeszcze bardziej, choć wydawało się, że to całkiem niemożliwe.

– Chyba nie biegliście aż z Kolorado?

– Na początku tak, potem przeważnie łapaliśmy autostop, i przez ostatni etap znowu biegliśmy.

Stary Rudzielec ziaje, żeby potwierdzić jego słowa.

– Co to za cholerne huncwoty was gonia, że tak uciekacie?

– Jest ich wielu. Niektórzy są miłsi od innych. Chyba najmiłsi są ci z agencji rządowych.

– Rząd! – wykrzykuje stróż, a jego zmarszczki burzą się jak fale, zmieniają jego twarz w zaskakująco

twardą maskę czystego obrzydzenia. – Poborcy podatkowi, grabieżcy, wścibskie świętoszki, bardziej zarozumiali – niż wszyscy kaznodzieje do kupy!

– Widziałem FBI – wylicza Curtis – oddział specjalny i chyba Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, plus jeden oddział wojskowy, może nawet więcej.

– Rząd! – Stróż zupełnie wyszedł z siebie z wściekłości, tak bardzo, że gdyby to powiedzenie było prawdą, stałby już przed Curtisem, w dwóch postaciach. – Banda cholernych, zarozumiałych, rządzących się, tchórzliwych, durnych skunksów w białych koszulach! Człowiek płaci razem z kobitą podatki całe życie, a jak ona umiera dwa miesiące przed emeryturą, rząd zatrzymuje wszystkie pieniądze, chciwe sukinsyny, więc kobita nie ma nawet swojego konta, choć obiecywali, że będzie miała. Więc co miesiąc dostaję tyle, że mi starczy najwyżej na zapalki, gówno, a nie emerytura, piwa se za to nawet nie kupię, a tymczasem cholerny durny leniwy synalek Barneya Coltera, który w życiu nie przepracował jednego dnia, psiakrew cholera, dostaje dwa razy tyle, co ja, bo rząd mówi, że jak zaczął brać te tam narkotyki, to się od tego zrobił emocjonalnie upośledzony. Więc ta mała durna łajza może sobie siedzieć na dupie i wpieprzać, co pod rękę wpadnie, a ja tu muszę tyrać w tym historycznym grajdole pięć nocy tygodniowo, gdzie sakramencko duje przez caluśki dzień, te chromolone sępy tylko czekają, żeby mnie wtrząchnąć, jak mi pikawa stanie, a teraz w dodatku jakieś niebezpieczne dzikie psy, co tylko czekają, żeby mi odgryźć *cojones*. Rozumiesz, o co mi chodzi, chłopcze?

– Nie całkiem, proszę pana – przyznaje się Curtis.

Po szalenie podniecającej zabawie z butem Curtisa i pluskaniu się w wodzie, a także dlatego, że wściekły wybuch Gabby'ego ją przestraszył, Stary Rudzielec skomli, przysiada i siusia na platformę przy pompie.

Curtis doskonale rozumie jej odczucia co do stróża. Usłyszeli mnóstwo szorstkich i mało uroczych słów, załaty ich beczi gderliwej przemowy, ale nic było w nich ani jednej łyżki współczucia – i, oczywiście, jak dotąd ani śladu banjo.

– Co z twoim psem, chłopcze?

– Nic, proszę pana. Sporo ostatnio przeżyła.

I oto następny kłopot: ogromna wążka, helikopter, wyłania się zza wzgórza.

Stróż przechyla głowę; Curtis prawie się spodziewa, że jego niezwykle wielkie uszy odwrócą się w stronę dźwięku jak talerze satelitarne.

– Jasna ciasna anielka, co jest, Sąd Ostateczny czy jak? Te obesrańce cię tym gonią?

– Tym i nie tylko – zapewnia go Curtis.

– Mają na ciebie ochotę, tak jak wąż ma ochotę na ciepłe flaczki myszy.

– Nie bardzo mnie to podnosi na duchu, proszę pana. Gabby kieruje latarkę na ziemię pomiędzy nimi.

– Za co cię tak gonią?

– Gorsze od nich huncwoty chciały złapać moją matkę, i ją złapały, a ja jestem taką niedokończoną sprawą, którą chcą dokończyć.

– Za co chcieli złapać twoją matkę? Chodziło może...o te sprawy z ziemią?

Curtis nie ma pojęcia, co może oznaczać zwrot „te sprawy z ziemią”, ale czuje, że nadarza się sposobność, by zjednać sobie sprzymierzeńca. Dlatego postanawia zaryzykować i mówi:

– Tak, właśnie, chodziło o sprawy z ziemią. Gabby pieni się z wściekłości.

– Nazwij mnie wieprzkiem, zarznij i przerób na bekon, ale nie wąż się mówić, że rząd nie jest parszywym ziemiokradem i tyranem!

Sama myśl o zarznięciu kogokolwiek wydaje się Curtisiowi odrażająca; szczerze mówiąc życzenie



Gabby'ego zupełnie go zadziwia. I jest zbyt uprzejmy, żeby nazwać stróża wieprzkiem, nawet jeśli ta szczególna prośba została wyrażona w dobrej wierze.

Na szczęście nie musi szukać odpowiedzi, która by nie zabrzmiała obelżywie, ponieważ rozjuszony stróż nabiera głębokiego, rozsadzającego płuca haustu powietrza i wyrzuca z siebie lawinę słów:

– Kupili my razem z kobitą ten kawałek ziemi, w samym rajku nie ma ładniejszej działki, wykopali własną studnię, kupili te parę topoli, co tu rosną od nie wiem kiedy, pewnie wyrosły na kościach dinozaurów, kupili jeszcze trochę dobrych pastwisk, przez piętnaście lat żeśmy spłacali ten cholerny bank, potem żeśmy znowu oszczędzali, żeby tu trochę wyremontować, i wreszcie, jak my już się zabierali do wykopania fundamentów, przeklęty rząd mówi, że nie wolno. Przeklęty rząd mówi, że na naszej ziemi żyje jakiś śmierdzący, parszywy gówniany żuczek, któremu by my przeszkadzali, i to by była ekologiczna tragedia, tak powiedział przeklęty rząd, bo ten gówniany robał żyje tylko na stu dwudziestu dwóch działkach w pięciu zachodnich stanach. Więc ja i moja kobita nie możemy się pobudować na tym pięknym kawałku ziemi, a nie ma na świecie takiego głupola, co by od nas go kupił, skoro nie można na nim nic postawić. Ale, ajajaj, jak mi się zrobiło ciepło na sercu, bo wiem, że ten gównożerny, parszywy, śmierdzący wypierdek żyje sobie spokojniutko na mojej ziemi i NIKT MU NIE BĘDZIE PRZESZKADZAĆ!

Stary Rudzielec kuli się za Curtisem.

Od wschodu dobiega coraz głośniejsze ciach-ciach-ciach śmigłowca i ten tnący dźwięk odbija się od twardej ziemi i wraca w zranione powietrze. Jest coraz bliżej.

– Jak cię złapią, co ci zrobią, chłopcze?

– Ci gorsi – odpowiada Curtis – mnie zabiją. Ale ci z rządu... najpierw pewnie mnie ukryją w jakimś miejscu, które będzie się im wydawać bezpieczne, gdzie będą mnie przesłuchiwać. A jeśli te gorsze huncwoty mnie nie znajdą tam, gdzie mnie ukryje FBI... no, wcześniej czy później zaczną na mnie robić eksperymenty. Brzmi to strasznie, ale Curtis szczerze wierzy, że to właśnie go czeka.

Stróż słyszy prawdę dźwięcząca w jego głosie, a może po prostu jest skłonny uwierzyć w każdą potworną historię o rządzie, który ceni go niżej od jakiegoś żuka gnojowego.

– Eksperymenty? Na dziecku?

– Tak, proszę pana.

Gabby nie musi wiedzieć, jakiego typu eksperymentom zostanie poddany Curtis i czemu miałyby służyć. Najwyraźniej ta kadź paranoi, która wrze w jego mózgu, potrafi wygotować z siebie najohydniejsze wizje.

– Jasne, czemu nie, na co innego mają przeznaczyć moje podatki, jeśli nie na torturowanie dziecka? Do jasnej ciasnej, oni by potrafili cię wypatroszyć, ugotować z ryżem, doprawić salsą i podać cholernym gównianym żuczkom, jakby im przyszło do łbów, że to by je uszczęśliwiło, te przeklęte śmierdzące robale.

Za wschodnią ścianą kotliny mrok nocy rozświetla się bladą luną; to odbite promienie reflektorów samochodowych i szperaczy dwóch dżipów i helikoptera. Światło jest silniejsze z każdą sekundą.

– Lepiej uciekajmy – mówi Curtis, bardziej do siebie i psiny niż do stróża.

Gabby łypie na światło na wschodzie, broda mu się jeży, jakby się naelektryzowała. Potem stróż spogląda na Curtisa tak przenikliwie, że jego ogorzała twarz marszczy się, krzywi i zapada niczym twarz egipskiej mumii, wiodącej długą, lecz już przegraną walkę z czasem.

– Nie wciskasz mi tu kitu, co, chłopcze?

– Nie, proszę pana, i nie mam go też w uszach.

– Więc, jak Bożę kocham, zaraz im’ tu damy do wiwatu. Teraz się mnie trzymaj jak słonina boczku, rozumiesz?

– Nie, proszę pana – przyznaje się Curtis.

– Jak zielone trawy, jak mokre wody – wyjaśnia niecierpliwie stróż. – No chodź!

I Gabby oddała się od kuźni w stronę pobliskiego hotelu, szybko, lecz utykając, krokiem znanym z wielu filmów, w których występował jego dziadek.

Curtis się waha, zastanawia się, jak ma być jednocześnie słoniną, zielonym i mokrym. Owszem, jest jeszcze trochę mokry po zabawie przy pompie, choć pustynne powietrze wysssało już z niego połowę wilgoci. Mimo niedawnej rezerwy, jaką okazywała Gabby’emu, Stary Rudzielec rusza za nim truchcikiem. Najwyraźniej instynkt podpowiada jej, że warto mu zaufać.

Curtis rzuca się w ślad za swoją przybraną siostrzyczką, wierząc w jej wycucie, a co za tym idzie, wierząc Gabby’emu, mija kuźnię, wchodzi na drewniany chodnik przed Grand Hotelem Bettleby’ego. Jest to dwupiętrowy, wąski i paskudny budynek, tak samo podobny do prawdziwego Grand Hotelu, jak krowi placek jest podobny do placka z owocami i bitą śmietaną.

Nagle ciach-ciach-ciach helikoptera zmienia się we wrrrum-wrrrum-wrrrum, nietłumione już przez ścianę kotliny. Curtis czuje, że jeśli spojrzy na prawdę, ponad dachami budynków po drugiej stronie miasta, zobaczy helikopter wiszący nad ścianą kotliny, złowrogą czarną masę, która odcina się od czarnego nieba tylko migającymi czerwonymi i białymi światełkami. Ale stara się skupiać myśli tylko na Starym Rudzielcu i nie odwracać wzroku od Gabby’ego i kołyszącego się promienia jego latarki.

Koło hotelu, przylegając do niego ścianą, znajduje się „Jensen, odzież gotowa dla dam i dżentelmenów”. Ręcznie wykaligrafowany napis w oknie obwieszcza, że są to fasony „obecnie najmodniejsze w samym San Francisco”, a teraz dostępne tylko tutaj, wskutek czego San Francisco wydaje się dalekie jak Paryż.

Koło odzieży Jensena, a przed pocztą Gabby skręca w lewo, schodzi z chodnika i zagłębia się w wąską uliczkę między budynkami. Jest bardzo podobna do tej, którą Curtis i Stary Rudzielec weszli do miasta.

Śmigłowiec się zbliża: lawina twardych rytmicznych warkotów zsuwa się ze ściany kotliny.

Zbliża się także coś innego. Coś sygnalizowane pomrukiem, który Curtis czuje w zębach, co rezonuje w jego zatokach, co raptownie pulsuje, ale zaraz potem szybko ucicha w jego kościach.

Żeby opanować narastającą falę strachu, przypomina sobie, że sposobem, by nie wpaść w panikę, jest skupienie się na uciekaniu.

Drewniane domy otaczają ich ze wszystkich stron, promień latarki lśni bursztynowo. Cienie pełzną po drewnianych ścianach, wyprzedzają Gabby’ego, ciągną się za nim, padają na Curtisa, który dreczcze za stróżem i psiną. *Przytłaczające opary świeżej farby z delikatną nutką terpentyny. Powiew woni suchych zajęczych bobków. Jakie to dziwne, że zając odważył się zawędrować w takie miejsce, gdzie może paść ofiarą drapieżników. Świeży zapach porzuconego ogryzka, porzuconego nie dalej niż dziś, zapach człowieka nadal się go mocno trzyma. Mocz kojota, agresywnie gorzki.*

Na końcu uliczki stróż wyłącza latarkę i raptem spada na nich bezkسیężycowy mrok, całkiem jakby zeszli do schronu i zamknęli za sobą drzwi. Gabby zatrzymuje się po paru krokach na placu z uklepanej ziemi.

Gdyby nie przewodnictwo psiny, Curtis by na niego wpadł. Tymczasem udało mu się go ominąć. Gabby chwytą go, przyciąga do siebie i podnosi głos, żeby przekrzyknąć grzmot nadlatującego helikoptera.

– Pójdziem na północ, do stodoły, co nie jest stodołą!

Curtis domyśla się, że stodoła, która nie jest stodołą, znajduje się w wystarczającej odległości na północ, by być bezpiecznym schronieniem. Granica z Kanadą nie jest aż tak daleko, podobnie zresztą jak krąg polarny.

Słyszając po dźwięku, helikopter ląduje na południowym krańcu miasta, w pobliżu kuźni. W pobliżu dowodów w postaci mokrej platformy i śladów stóp na ziemi wokół pompy.

Agenci FBI – oraz żołnierze, jeśli z nimi są, ruszą szpalerem z południa na północ, w kierunku, w którym idą Gabby, Curtis i Stary Rudzielec. Są doskonale wyszkoleni w procedurach poszukiwawczych i większość, jeśli nie wszyscy, włoży okulary, dzięki którym widzi się w nocy.

Curtis dostrzega kątem lewego oka słaby, perłowy poblask tuż przy ziemi. Zaniepokojony spogląda na zachód i widzi coś, co wygląda jak nisko pełzająca mgła, a potem zdaje sobie sprawę, że to słone połączenie widziane nie z góry jak poprzednio, lecz z poziomu zero. Ulotna mgiełka to w rzeczywistości naturalny fosforyzujący blask nagiej równiny, duch morza, które umarło dawno, dawno temu.

Twardy łomot łopat helikoptera nagle łagodnieje, dochodzi do niego powietrzny świst zwalniającego obroty wirnika. Śmigłowiec siada na ziemi.

Już tu idą. Będą działać skutecznie i bardzo szybko.

Curtis biegnie na północ, zaniepokojony, ale nie z powodu mężczyzn z helikoptera czy tych z dwóch dżipów, które teraz prawdopodobnie staczają się po ścianie kotliny. Przybyli gorsi wrogowie. Budynki stanowią osłonę przed detektorami ciepła i ruchu. Zasłaniają także, choć nie całkiem, wymowny ślad energii, którą emituje tylko Curtis.

Ze względu na naturalną fluorescencję pobliskich solnych pól noc nie jest już tak czarna jak przed chwilą. Curtis widzi Gabby'ego daleko w przodzie i białe plamy psa. Stróż nie biegnie w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale kuśtyka gwałtownie, tak jak jego hipotetyczny dziadek w filmach, gdy w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa zwykł mawiać: „Ożeż do wielkiej Anielki, spadamy!”. Gabby kuśtyka szybko, ale co chwila się zatrzymuje, ogląda, wygraża bronią, jakby się spodziewał, że za jego plecami skrada się jakiś czarny charakter.

Curtis ma ochotę krzyknąć: „Szybciej, szybciej!”, ale Gabby jest prawdopodobnie starym wróblem, który postępuje tak, jak mu się podoba i nie reaguje przychylnie na rozkazy.

Choć oddział zwiadowczy na pewno wyskakuje w tej chwili z helikoptera, na południu, gdzie wylądowali, nie widać żadnego światła. Prowadzą zwiad w warunkach naturalnych, ponieważ myślą, że dzięki zaawansowanemu sprzętowi ciemność jest ich sprzymierzeńcem.

Oprócz budynków Curtisowi pomaga także ruch, dzięki któremu łowcy nie mogą odczytać jego charakterystycznego sygnału, a za parę sekund będzie tu bardzo ruchliwie.

Zaczyna się od krzyku. To krzyk dorosłego mężczyzny, którego strach zmienił w małe dziecko. Gabby znowu się zatrzymuje i odwraca się w stronę, z której przyszli, jego pistolet dziabie ciemność, szukając wroga.

Curtis chwyta stróża za ramię i popycha go do przodu.

Na południowym krańcu miasta krzyczą dwaj mężczyźni. Teraz jest ich trzech, może czterech. Jakże gwałtownie opadła ich groza, jak gwałtownie się rozprzestrzeniła.

– Jasna ciasna! Co to? – dziwi się Gabby, a głos mu drży. Curtis ciągnie go za rękę i stróż znowu rusza, ale potem w krzyki wdziera się kontrapunkt strzałów z broni automatycznej.

– Ci idioci strzelają do siebie?

– Szybko, szybko! – nalega Curtis, ponieważ panika zagłuszyła w nim wszelkie poczucie dyplomacji,

i znowu usiłuje pogonić go do biegu.

Ludzie rozdierani na strzępy, ludzie patroszeni żywcem albo pożerani nie wydawaliby bardziej przejmujących krzyków. Stróż kuśtyka gwałtownie na północ. Curtis biegnie raczej u jego boku niż za nim, psina ich wyprzedza, jakby dzięki jakimś psychicznym zdolnościom wiedziała, gdzie znaleźć stodołę, która nie jest stodołą.

Mają za sobą dopiero połowę miasta, kiedy po ich prawej stronie rozbłyska dziwne światło, którego źródło znajduje się chyba na ulicy, zasłonięte ścianami z desek. Szafirowe i roziskrzone, jasne jak fajerwerk, pulsuje po dwa razy, jak fosforyzująca meduza podpływająca ku powierzchni wody. Z ciemności, które zapadają potem – podczas gdy powidok wybuchu nadal rozkwita czarnym kwiatem w oczach Curtisa – w uliczkę wpada czarna dymiąca masa, tocząca się ku nim bezwładnie jak worek kartofli.

Gabby uskakuje w bok, żwawo, lecz z gracją marionetki szarpniętej do tyłu na żyłkach, najeżony kościstymi łokciami i gruzłastymi kolanami. Curtis także robi unik, psina czmycha czym prędzej.

Martwy człowiek, pchnięty z impetem armatniej kuli, odbija się od ścian budynków, jego kończyny młocą hałaśliwie deski wąskiego przejścia, jakby był duchem przywołanym w przyspieszonym tempie podczas seansu spirytystycznego i przynoszącym ostrzeżenie z Tamtej Strony. Wypada na otwartą przestrzeń, mija Curtisa. Spalony piorunem strach na wróble, wypluty z trąby powietrznej nie mógłby się poruszać szybciej niż te zwłoki, które wreszcie padają na ziemię niczym poszarpany, rozdarty, lecz pozbawiony kości strażnik pół kukurydzianych. Ale jego rozpalony smród jest w nieopisany sposób gorszy niż odór mokrej słomy ze stracha na wróble, gnijących ubrań i twarzy z przeżartego przez mole worka na mąkę.

Na rozprutej klatce piersiowej, spalone i pomarszczone, lecz nadal dające się odczytać, widnieje wielkie białe F i wielkie białe I, otaczające brakujące, przestrelone B.

Stróż, nieważne, czy jest tym starym wróblem, czy nie, czy ma reumatyzm, czy też nie ma, potrafi rozpoznać cholerne kłopoty, kiedy je zobaczy, więc odnajduje w sobie nowe pokłady młodzieńczej energii i animuszu, które jego słynny przodek zademonstrował w filmach takich, jak „Bells of Rosarita” i „Arizona Kid”. Rzuca się pędem z stronę stodoły, jakby chciał się ścigać z psiną, a Curtis galopuje za nim.

Pomiędzy budynkami rozbrzmiewają krzyki, krzyki przerażenia i echo strzałów, a potem dochodzi jeszcze upiorny odgłos – *priong, priong, priong, priong* – jaki mogłyby wydać metalowe zęby grabi, gdyby można było na nich grać jak na harfie.

Jeden Curtis Hammond spoczywa martwy w Kolorado, a drugi pędzi w stronę własnego grobu.

Lśniące guziki, błyszczące odznaki, migoczące klamry na mundurach policjantów, kręcących się przed drzwiami Domu Opieki Cięło Vista.

Martin Vasquez, dyrektor naczelny ośrodka, stał w pewnej odległości od policji, obok jednej z podtrzymujących lodzie kolumn. Zerwany z łóżka o tej wczesnej godzinie, zdążył jednak znaleźć czas, by w ramach wyrazu szacunku włożyć ciemny garnitur.

Vasquez, czterdziestolatek, ma gładką twarz i nieznające grzechu oczy pobożnego młodego nowicjusza w zakonie. Kiedy spoglądał na zbliżającego się Noaha Farrela, wyglądał, jakby chętnie zgodził się zamienić ten nocny obowiązek na ślub czystości i ubóstwa.

– Bardzo mi przykro, to naprawdę straszne. Jeśli zechce pan wstąpić do mojego gabinetu, spróbuję to w miarę możliwości wytłumaczyć.

Noah był policjantem zaledwie przez trzy lata, ale zdążył przez ten czas odwiedzić cztery miejsca zbrodni. Wyraz twarzy i oczu zgromadzonych policjantów wyglądał dokładnie tak samo, jak miny zrozpaczonych krewnych w tamtych dawnych sprawach. Częściowo składało się nań współczucie, lecz także niedająca się uspokoić podejrzliwość, która pozostawała nawet wtedy, gdy zidentyfikowano już mordercę. W pewnych rodzajach zbrodni jest bardziej prawdopodobne, że morderstwo popełnił członek rodziny, a nie ktoś obcy. I bez względu na to, jak wyglądają fakty, zawsze dobrze jest rozważyć, kto mógł dzięki tej śmierci odnieść korzyści finansowe albo pozbyć się uciążliwych obowiązków.

Oplacanie pobytu Laury w domu opieki nie było ciężarem, lecz celem jego życia. Ale nawet jeśli policjanci mu wierzyli, i tak widział skierowane w swoją stronę ostrze podejrzewania, choć było ukryte głęboko pod warstwą współczucia.

Jakiś policjant ruszył w stronę Noaha, kiedy ten poszedł za Vasquezem do drzwi.

– Muszę spytać, czy ma pan przy sobie broń. Noah był ubrany w drelichowe spodnie i koszulę hawajską. Kaburę miał z tyłu na plecach.

– Tak, ale mam pozwolenie.

– Tak, wiem. Jeśli zechce mi ją pan powierzyć, oddam panu przy wyjściu.

Noah się zawahał.

– Był pan kiedyś na moim miejscu. Na pewno postąpiłby pan tak samo.

Noah nie miał pojęcia, dlaczego zabrał pistolet. Nie zawsze nosił go przy sobie. Właściwie prawie nigdy. Po telefonie od Martina Vasqueza przestał jasno myśleć.

Oddał broń młodemu policjantowi.

– W moim gabinecie będzie spokojniej – oznajmił Vasquez, choć w hallu było zupełnie pusto, i wskazał krótki korytarzyk z lewej.

Noah nie poszedł za nim.

Tuż przed nim, pomiędzy hallem i głównym długim korytarzem parterowego skrzydła mieszkalnego dostrzegł otwarte drzwi. Przed pokojem Laury zgromadziła się grupka mężczyzn. Żaden nie nosił munduru. Wywiadowcy. Specjaliści z wydziału dochodzeń.

Vasquez wrócił do niego.

– Dadzą nam znać, kiedy będziemy mogli zobaczyć pańską siostrę.

Pod jej pokojem stały metalowe nosze z kostnicy.

– Wendy Quail – odgadł Noah. Mówił o dziarskiej kruczwłosej pielęgniarkę, która parę godzin temu roznosiła lody.

Przez telefon dowiedział się tylko najważniejszych informacji. Laura nie żyje. Odeszła szybko. Nie cierpiała.

– Kto panu powiedział? – wyraził zdziwienie Martin Vasquez.

A więc instynkt go nie zawiódł. A on mu nie uwierzył. Zatem jednak odpowiedzią nie były lody, tylko miłość. W tym wypadku surowa miłość. Ktoś z Kręgu Przyjaciół zainwestował w lekcję surowej miłości, by nauczyć Noaha, co się dzieje z siostrami tych, którzy są zbyt ważni, żeby przyjąć pieniądze w torebce na wypadek choroby lokomocyjnej.

Noah zobaczył oczami wyobraźni, jak naciska spust i kongresman zwija się w spazmie, raniony w brzuch.

Mógł to zrobić. Teraz jego życie nie miało żadnego celu. A człowiek musi się czymś zająć. Z braku czegoś ważniejszego trzeba się będzie zadowolić zemstą. Vasquez nie doczekał się odpowiedzi.

– Miała znakomite rekomendacje. Kilka wspaniałych listów polecających. I była bardzo oddana swojej pracy. Powiedziała, że chce pracować w mniej stresującej atmosferze niż w szpitalu.

Od siedemnastu lat, odkąd Laura została wypchnięta z tego świata, lecz nie trafiła do następnego, Noah udawał, że nie nazywa się Farrel, że nie należy do rodziny przestępców tak samo jak Laura, że ma serce czystsze od tych, którzy go poczęli, że może zasłużyć na odkupienie. Ale teraz, gdy jego siostry nie można już było uratować, nie widział powodu, żeby walczyć ze swoją mroczną naturą.

– Ale po aresztowaniu przyznała się do wszystkiego. Była pielęgniarką na oddziale noworodków w trzech różnych szpitalach. Za każdym razem, kiedy ktoś zaczynał się zastanawiać, czy rzeczywiście zgony tych wszystkich dzieci wynikały z przyczyn naturalnych, zmieniała pracę.

Zabicie kongresmana nic mu nie da, ale słodycz tego zabójstwa może się okazać na tyle silna, by choć na jakiś czas stłumić gorycz jego życia.

– Przyznała się do szesnastu noworodków. Nie sądzi, że zrobiła coś złego. Nazywa te morderstwa „małymi dobrymi uczynkami”.

Słuchał Vasqueza, ale nie skupiał się na jego słowach. Wreszcie coś do niego dotarło.

– Dobrymi uczynkami?

– Wybierała dzieci z problemami zdrowotnymi. Ale czasami tylko takie, które wyglądały na słabe. Albo których rodzice byli biedni i nie wykształceni. Mówi, że oszczędziła im życia w cierpieniu.

Więc instynkt nie podpowiedział mu całej prawdy. Pielęgniarka była morderczynią, lecz nie na usługach Kręgu Przyjaciół. A jednak i ona, i oni wyrosli z tego samego bagna buty i przekonania o własnej wyższości. Zbyt dobrze znał ten typ.

– Pomiędzy trzecim oddziałem noworodków i naszym domem opieki – ciągnął Vasquez – pracowała w domu starców. Uśmierciła pięcioro starszych pacjentów, nie budząc niczyich podejrzeń. Z tego także jest... dumna. Nie tylko nie żałuje tego, co zrobiła, ale w ogóle nie widzi w tym nic złego. Nawet się spodziewa, że będziemy podziwiać jej... współczucie, tak to nazywa. Kongresman wyrządzał zło z chciwości, zawiści i żądzy władzy, co było logiczną niegodziwością, w pełni zrozumiałą dla Noaha. To samo dotyczyło zła wyrządzanego przez jego starego, przez wujka Świrka.

Natomiast irracjonalny idealizm pielęgniarki budził tylko zimną wzdrgnięcie i obrzydzenie, nie palącą żądzą zemsty. Nie mogąc się pożywić gniewem, znowu poczuł dotkliwy brak celu w życiu.

– Ktoś z naszego personelu zaskoczył siostrę Quail, kiedy już... kończyła z pańską siostrą. W przeciwnym razie nigdy byśmy nie odgadli przyczyny.

Po przeciwnej stronie korytarza jakiś mężczyzna wtoczył nosze do pokoju Laury.

W głowie Noaha odezwał się jakiś dźwięk, jak odległy grzmot pioruna lub wielkiego wodospadu,

cichy, lecz naładowany mocą.

Noah przeszedł przed drzwiami pomiędzy hallem i korytarzem skrzydła mieszkalnego. Martin Vasquez za nim zawołał, upomniał, że policja zabroniła wstępu na ten teren. W pobliżu pokoju pielęgniarek Noah natknął się na umundurowanego policjanta, który usiłował go zawrócić.

– Jestem krewnym.

– Wiem, proszę pana. To już nie potrwa długo.

– Właśnie, bo już wchodzę.

Noah usiłował go minąć; policjant położył mu rękę na ramieniu. Noah strącił ją, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Młody policjant pobiegł za nim, chwycił go i zaczęli się siłować, ponieważ policjant nie miał wyboru, ale głównie dlatego, że Noah chciał kogoś uderzyć. A może chciał, żeby to jego ktoś uderzył, mocno i kilka razy, ponieważ ból fizyczny mógłby przytłumić cierpienie, na które nie ma znieczulających leków i z którego nie można się wyleczyć.

Ale zanim doszło do wymiany ciosów, któryś detektyw powiedział:

– Przepuść go.

W głowie Noaha nadal rozbrzmiewał odległy ryk pięciu Niagar i choć ten wewnętrzny dźwięk nie był głośniejszy niż przedtem, głosy ludzi z trudem się przez niego przebijały.

– Nie mogę pana zostawić z nią sam na sam – dodał wywiadowca. – Trzeba zrobić sekcję, a przecież wie pan, że muszę wykazać, iż dowód od samego początku znajdował się w naszym posiadaniu. Dowodem było ciało zmarłej. Jak pusta łuska po naboju albo zakrwawiony młotek. Laura przestała być osobą. Stała się obiektem, rzeczą.

– Nie chcę dawać żadnej szansy adwokatowi tej szalonej suki. Mógłby powiedzieć, że ktoś miał możliwość ingerencji w szczątki, zanim zrobiliśmy testy toksykologiczne.

„Szalona suka” zamiast „podejrzana”, zamiast „oskarżona”. Na razie nie ma potrzeby silić się na polityczną poprawność. Co innego w sądzie.

Ale jeśli adwokatowi uda się sprzedać sądowi „szaloną” bez „suki”, pielęgniarza może odsiedzieć niewielki wyrok w nowoczesnym szpitalu psychiatrycznym z basenem, telewizorem w każdym pokoju, kursami śpiewu i plastyki, a także z sesjami psychoterapeutycznymi, podczas których będzie analizować swoje mordercze skłonności, ale z całą pewnością zachowa wysokie mniemanie na swój temat.

Sądy są głupie. Może kiedyś nie były, ale teraz na pewno. Dzieci zabijają własnych rodziców, a przysięgli litują się nad biednymi sierotkami.

Noah nie potrafił rozpaść dawnej wściekłości świadomością, że pielęgniarza może zostać odesłana do wypoczynkowego ośrodka psychiatrycznego, ani też perspektywą jej całkowitego uniewinnienia.

Odległy ryk w jego głowie nie był dźwiękiem narastającej wściekłości. Nie wiedział, co to, ale nie potrafił go wyciszyć, i to go przerażało.

Laura na łóżku. W żółtej piżamie. Albo wyszła z kataleptycznego transu na tyle, żeby się przebrać do snu, albo to pielęgniarza ją przebrała, uczesała i kunsztownie ułożyła na łóżku, zanim odebrała jej życie.

– Quail uważała – odezwał się wywiadowca – że ze względu na uszkodzenia mózgu pacjentki jej śmierć zostanie przypisana przyczynom naturalnym i nie będzie potrzeby przeprowadzania pełnej sekcji zwłok. Nie zadała sobie trudu, żeby znaleźć środek trudny do wykrycia. Była to potężna dawka haldolu, środka uspokajającego.

Kiedy Laura skończyła osiem lat, wiedziała już, że jej rodzina różni się od innych. Nikt nigdy nie zaszczylił jej zasad przyzwoitości, w domu Farrelów się tego nie robiło, ale natura dała jej silny

kręgosłup moralny. Wstyd przychodził jej z łatwością, a z roku na rok wszystkie postęпки rodziny przerażały ją coraz bardziej. Laura nie zdradzała {ego nikomu, szukała jedynie ucieczki w książkach i marzeniach na jawie. Chciała dorosnąć, uciec z domu i żyć „czysto, spokojnie, nie krzywdząc nikogo”.

Wywiadowca spróbował pocieszyć Noaha ostatnią informacją:

– Dawka była tak wielka, że śmierć nastąpiła natychmiast. To gówno dosłownie wyłączyło ośrodkowy układ nerwowy.

W wieku jedenastu lat Laura zapragnęła zostać lekarzem, jakby już nie sądziła, że może się odciąć od swoich korzeni jedynie tym, że nikogo nie skrzywdzi. Musiała dać coś z siebie innym, być może dzięki medycynie, by wykupić swoją duszę.

W wieku dwunastu lat zmieniła się w marzeniach z doktora medycyny w lekarza weterynarii. Zwierzęta są lepszymi pacjentami. Ludzi, powiedziała, nigdy nie da się wyleczyć z najgorszych chorób, tylko ze schorzeń ciała. Nikt nie powinien wiedzieć tak wiele o ludzkiej kondycji, mając dopiero dwanaście lat.

Dwanaście lat wytrwałego kształtowania przyszłości w marzeniach, a potem jeszcze siedemnaście lat marzeń bez celu zakończyło się tutaj, w tym łóżku, w którym pod poduszkami nie było już ani jednego snu.

Wywiadowcy i ekipa koronera wycofali się, zostawiając Noaha samego przy łóżku, choć nie wyszli z pokoju – strażnicy dowodu rzeczowego.

Laura leżała na plecach, z rękami przy bokach. Lewa dłoń spoczywała płasko na prześcieradle, lecz prawa była odwrócona wnętrzem do góry i w trzech czwartych zwinięta w pięść, jakby w ostatniej chwili usiłowała się chwycić życia.

Obie połowy twarzy, ta gładka jak porcelana i ta zniszczona, były odsłonięte, dzieło Boga i Świrka.

W oczach Noaha, który miał już nigdy więcej nie zobaczyć tej twarzy, obie strony były piękne. Dotykały jego serca na dwa różne sposoby.

Przynosimy piękno ze sobą na ten świat, tak jak przynosimy niewinność, a brzydota, którą musimy zabrać, to to, co ze sobą zrobiliśmy. Laura odeszła z tego życia bez odrobiny brzydoty. Z tego świata odchodzą tylko dusze, a jej nie miała na sobie ani jednej plamy czy blizny, była tak samo niewinna jak w chwili przybycia.

Noah żył dłużej i intensywniej niż jego siostra, ale nie tak pięknie. Wiedział, że kiedy nadejdzie jego pora, w przeciwieństwie do Laury nie będzie mógł zostawić całej swojej brzydoty we krwi i w kościach.

Prawie zaczął do niej mówić, tak jak to robił przez tyle lat, tyle godzin, w nadziei, że głos ją odnajdzie i przyniesie jej ulgę. Ale ona była już tam, gdzie głos nie dochodzi, a on poczuł, że nie ma już nic do powiedzenia – ani jej, ani nikomu.

Miał nadzieję, że ten odległy grzmot w jego głowie przestanie się toczyć, kiedy ujrzy Laurę na własne oczy i przekona się ponad wszelką wątpliwość, że już jej nie ma. Tymczasem ryk zaczął narastać.

Noah odwrócił się od łóżka i odszedł. Na progu powietrze zgęstniało i stawiało mu opór, ale tylko przez chwilę.

Drzwi naprzeciwko pokoju Laury były zamknięte. Podczas jego ostatnich wizyt ten pokój – także jedynek – zawsze pozostawał otwarty, żeby był przewiew; i tak nikt w nim nie mieszkał.

Choć w ciągu ostatnich godzin w pokoju mógł się znaleźć nowy lokator, instynkt pociągnął Noaha w stronę zamkniętych drzwi. Otworzył je i zdążył zrobić jeden krok, zanim złapali go i powstrzymali.

W fotelu siedziała siostra Quail, tak drobniutka i mała, że jej stopy niemal wisały w powietrzu. Świetliste niebieskie oczy, zarumieniona, tak samo dziarska i ładna, jak ją zapamiętał.



Morderczynie towarzyszyli dwaj mężczyźni i kobieta. Co najmniej jedno z nich pracowało dla wydziału zabójstw, co najmniej jedno było z prokuratury. Wszyscy byli profesjonalistami, wykształconymi w sztuce manipulacji.

A jednak najwyraźniej to Wendy Quail panowała nad tą sytuacją, pewnie dlatego, że w swoim szaleństwie nie potrafiła pojąć prawdziwego charakteru swojej sytuacji. Jej postawa i mina nie kojarzyły się z podejrzaną, którą czeka wyczerpujące przesłuchanie. Siedziała niczym królowa udzielająca audiencji wielbiącym ją podwładnym.

Nie drgnęła na widok Noaha, lecz uśmiechnęła się łaskawie. Wyciągnęła do niego rękę jak władczyni, która ujrzała przed sobą klęczącego pokornie wdzięcznego sługę.

Teraz zrozumiał, dlaczego kazali mu oddać broń przy wejściu: to na wypadek gdyby doszło do tego spotkania. Może by ją nawet zastrzelił, gdyby miał pistolet. Ale nie sądził. Miał szansę ją zabić, miał dość zdecydowania i bezwzględności, ale brakowało mu niezbędnej wściekłości. To przedziwne, lecz widok Wendy Quail nie obudził w nim gniewu. Mimo iż satysfakcja niemal dosłownie się z niej łała i że te brzoskwiniowe policzki rumieniły się ciepłem dobrze zakorzonego i wypieszczzonego poczucia wyższości moralnej, nie było w niej prawdziwej treści, która mogłaby obudzić nienawiść. Siostra Wendy była pustą formą, w którą ktoś wlał filozofię zła; sama nie potrafiłaby jej upichcić w garnczku własnego rozumku. A gdyby w latach, gdy kształtował się jej charakter, spotkała się z łagodniejszą i pokorniejszą szkołą myśli, byłaby pewnie teraz prawdziwą uzdrowicielką, którą tylko udawała. Szklanki i dzbanki to ona, kłopoty i kompoty to ona, terapia lodami to ona, lecz choć zasłużyła na pogardę i nawet wstręt, była zbyt żalosna, by wykrzesać z kogoś nienawiść.

Noah pozwolił się wywlec w pokoju, zanim pielęgniarka wygłosiła jakąś idiotyczną mądrość. Ktoś zamknął drzwi.

Dwaj wywiadowcy, na tyle inteligentni, że nie wyrywali się z pociechą czy radą, towarzyszyli mu przez całą drogę korytarzem do hallu. Noah nigdy nie należał do ich wydziału; przez trzy lata służby przebywał w innym z licznych miast okręgu, układającego się w dziwną płataninę jurysdykcji. Ale byli w jego wieku lub trochę starsi i wiedzieli, dlaczego nie nosi już munduru. Z pewnością rozumieli, dlaczego dziesięć lat temu zrobił to, co zrobił, i może nawet mu współczuli, lecz nigdy nie zrobili nawet pół kroku za linię, którą on przekroczył obiema nogami, więc uznali, że należy go traktować tak samo uprzejmie, jak wszystkich innych cywili, lecz z pewną nieufnością, mimo że kiedyś i on nosił odznakę i wykonywał tę samą pracę co oni. Odezwali się do niego tylko po to, by powiadomić, jak długo ciało będzie się znajdować u koronera i jakie kroki należy poczynić, by odebrać ciało i przenieść je do domu pogrzebowego.

Pensjonariusze domu opieki zostali poproszeni o pozostanie w pokojach i zamknięcie drzwi. W razie potrzeby wydawano im środki nasenne. Ale Richard Velnod stał w otwartych drzwiach swego pokoju, jakby czekał na Noaha.

Nienaturalnie pochyle czoło Rickstera zdawało się cofać pod jeszcze ostrzejszym kątem niż poprzednio, siła ciężenia wywierała jeszcze większy wpływ na grube rysy. Jego usta się poruszały, ale gruby język, zawsze przeszkadzający mu w wyraźnej wymowie, tym razem zupełnie go zawiódł. Choć oczy były zwykle zwierciadłem jego duszy, dziś ich przejrzystość zmałyły łzy. Rickster dławił się pytaniem, które bał się zadać. Policjanci woleliby, żeby Noah nie zatrzymywał się w drodze do wyjścia, ale on stanął i powiedział:

– Już dobrze, synu. Wcale nie czuła bólu.

Dłonie Rickstera poruszały się niezmordowanie, szarpały się nawzajem, szarpały guziki piżamy,

nisko osadzone uszy, kudłate brązowe włosy, powietrze, jakby chciały wyszarpać skądkolwiek zrozumienie.

– Pan Noah... co... co...

Wargi mu obwisły, wykrzywione bólem.

Noah założył, że pytanie miało brzmieć „co się stało?”. Nie znalazł żadnej odpowiedzi z wyjątkiem banału godnego siostry Quail:

– Przyszedł czas, by Laura od nas odeszła.

Rickster pokręcił głową. Wytarł załzawione oczy, przesunął mokrymi rękami po mokrych policzkach, przywołał na zniekształconą twarz wyraz tak chwytający za serce, tak żałosny i zdesperowany, że Noah nie mógł znieść tego widoku. Usta Rickstera odzyskały zdolność ruchu, zdeformowany język odnalazł kształt słów, które jeszcze przed chwilą mu umykały, i nie spytał „co się stało?”, lecz zadał pytanie o wiele bardziej konkretne i znacznie trudniejsze:

– Co się dzieje z ludźmi? Noah potrząsnął głową.

– Co się dzieje z ludźmi? – nalegał Rickster. Wpatrywał się w Noaha tak rozpaczliwie, że nie można było mu nie odpowiedzieć, a jednocześnie nie można było skłamać, choć jedyną kojącą odpowiedź na to trudne pytanie stanowiło kłamstwo.

Noah zdawał sobie sprawę, że powinien objąć chłopca, odprowadzić go do łóżka, przy którym na nocnej szafce stały fotografie jego zmarłych rodziców. Powinien go otulić kołdrą i mówić o czymkolwiek albo w ogóle o niczym, tak jak przez tyle lat mówił do siostry. Samotność dręczyła Rickstera bardziej niż potrzeba dowiedzenia się, co się dzieje z ludźmi, i choć Noah nie potrafił wskazać źródła ludzkiego okrucieństwa, mógł uleczyć samotność darem swojego czasu i towarzystwa.

Ale czuł się jak wypalony i wątpił, żeby zostało mu coś godnego ofiarowania. Nie miał już nic, bo stracił Laurę.

Nie wiedział, co się dzieje z ludźmi, ale wiedział, że to, co zostało zniszczone w duszy ludzkości, w tej chwili pękło także w jego duszy. – Nie wiem – powiedział temu nieszczęsnemu chłopcu o nieszczęśliwej twarzy. – Nie wiem.

Kiedy odzyskał pistolet i dotarł do swojego samochodu na parkingu, ten niegdyś odległy ryk w jego głowie nabrał głośności i bardziej wyrazistego charakteru. Nie brzmiał już jak grzmot, lecz jak wściekłe skandowanie wielkiego, ogarniętego szałem tłumu – albo jak szum wody, wpadającej z wysokiego urwiska prosto w przepaść.

W drodze do Cięło Vista złamał wszystkie przepisy drogowe, lecz wracając do domu, nie przekraczał prędkości, nie przejeżdżał znaków stopu. Jechał z przesadną ostrożnością pijaka, ponieważ z każdym kilometrem do poszumu w jego głowie dołączała pogłębiająca się ciemność i ten czarny nurt niósł go wraz ze sobą w kalifornijską noc. Z każdą przecnicą latarnie wydawały się coraz bardziej przygasać, a niegdyś dobrze oświetlone aleje zaczęły się pogrążyć w mroku. Kiedy zaparkował przy swoim mieszkaniu, rzeka – być może rzeka nadziei – runęła w przepaść do ostatniej kropli, a Noah dopłynął na falach innej, słabszej emocji do łóżka i butelki brandy.

Chłopiec, psina i siwy zrzęda dobiegają do stodoły, co nie jest stodołą, choć Curtisowi wydaje się stodołą i niczym więcej. Prawdę mówiąc, wygląda raczej jak ruiny stodoły.

Rudera stoi osamotniona, dwieście metrów na północny zachód od miasta, koło skarłowaciałych kęp szatwii, dzikiego szczawiu i czepiających się nóg macek płożącej się ostrej trawy. Dalej, wzdłuż zaskakująco wyraźnej linii demarkacyjnej, kończą się chwasty, krzaki i kaktusy, ustępując miejsca słonej glebie, i niegościnna pustynia przechodzi w zupełnie jałowe słone równiny – co wydaje się dość szczególnym miejscem lokalizacji stodoły.

Nawet w tej tonącej w ciemnościach nocy, kiedy cienie pogrążają się w cieniach, opłakany stan budynku jest całkiem widoczny. Zamiast kreślić linię prostą, stromy dach zapada się w środku. Ściany są trochę koślawe w stosunku do fundamentów, nadwątłone przez czas i pogodę.

Jeśli zrujnowana stodoła nie jest tajnym arsenałem pełnym futurystycznej broni – mieczy plazmowych, karabinów laserowych, granatów atomowych – Curtis nie ma pojęcia, jak mógłby w niej pokładać nadzieję na ratunek. W tej zawierusze nie są bezpieczni w żadnym schronieniu.

W mieście, które zostało za ich plecami, szaleje burza. Krzyki i strzały nie docierają do nich przez pustynię, choć dochodzi ich parę odległych wrzasków, mrozących krew w żyłach w wystarczającym stopniu, by zmienić ich w sople lodu. Strzały, znane tej ziemi od stu pięćdziesięciu lat, spotykają się z odpowiedzią takich bitewnych odgłosów, których do tej pory tu nie słyszano: złowróźbne dudnienie, które wstrząsa powietrzem i kołysze ziemią, przeraźliwie cienki gwizd, pulsujący ryk, bolesny metaliczny jęk.

Gabby otwiera niewielkie drzwi, znajdujące się obok wielkich wrót; jednocześnie ostre suche chrupnięcie zwraca uwagę Curtisa, widzi, że w mieście jeden z większych budynków – może saloon – zapada się, jakby pochłaniała go czarna dziura. Fala ciśnienia podrywa wir soli z dna wyschniętego oceanu, wpycha go w miasto, a Curtis aż się kołysze na piętach.

Drugie chrupnięcie, zaraz po pierwszym, rozlega się równocześnie z rozbłyskiem wiru pomarańczowego światła w miejscu, gdzie niegdyś znajdował się saloon. W tym płomienistym blasku zburzona budowla jakby sama siebie wydobyła z nicości; deski i belki, tralki i słupy, drzwi, koślawe framugi drzwi – plus dwa ciągi schodów jak część kręgosłupa brontozaura – wypadają z ciemności, która je połknęła, wirują w powietrzu w blasku płomieni, zawieszane jak w trąbie powietrznej. Gdy fala ciśnienia odrzuca wir soli i ciska za nim deszcz piasku, znowu niemal zwalając Curtisa z nóg, prawie można uwierzyć, że wirujące szczątki saloonu w magiczny sposób znowu złożą się w kompletny budynek.

Gabby nie ma czasu na widowiska, Curtis także nie. Biegnie do stodoły w ślad za stróżem i psiną.

Drzwi nie są tak rozchwiane, jak się spodziewa. Surowe drewno na zewnątrz, lecz od wewnątrz stal – ciężka, solidna. Zamykają się za nimi bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach.

Za progiem znajduje się krótki ciemny korytarzyk, na którego końcu za otwartymi drzwiami pali się światło. Nie jest to płomień lampy naftowej, lecz stały fosforyzujący blask.

Powietrze nie pachnie tu ani lekko spopielała wonią pustyni, ani alkalicznym oddechem solnych równin. I jest chłodne. *Sosny, sosny, przy podłodze, na podłodze. Pachnący sosną wosk na winylowych płytkach. Cynamon i cukier, okruszki ciastka, masło, cukier, cynamon i mąka. Dobre, dobre.*

Fosforyzujące światło jarzy się w pozbawionym okna gabinecie z dwoma biurkami i katalogami. Jest tu też lodówka. Chłodne powietrze wypływa z przewodów wentylacyjnych pod sufitem.

Ledwie uchwytny wibracje podłogi sugerują istnienie podziemnego pomieszczenia, w którym znajduje się napędzana benzyną prądnica. Jest to stodoła godna Disneylandu: całkowicie nowa, choć zbudowana tak, żeby udawać ruinę. Znajduje się tu biuro i przestrzeń dla pracowników czuwających nad miastem duchów, dzięki czemu współczesne budynki nie burzą wrażenia starannie zachowanej jednorodności stylistycznej.

Na najbliższym biurku stoi kubek z kawą i wielki termos. Obok kubka leży tani romans Nory Roberts. Jeśli w tym budynku służbowym nie znalazły zatrudnienia duchy, kubek i książka należą do Gabby'ego.

Choć czas ucieka, a uzbrojony po zęby oddział może tu wpaść w każdej chwili, stróż zatrzymuje się na chwilę, żeby zabrać książkę. Wsuwają pod luźne kartki papieru w szufladzie. Zerka z zakłopotaniem na Curtisa. Jego ogorzała twarz nabiera czerwonego odcienia.

Zrujnowana stodoła nie jest tym, czym się wydawała z zewnątrz. Gabby też. Klub tych, którzy nie są tymi, kim się wydają, musi liczyć wielu członków.

– Och żeż jasna ciasna, chłopcze, to niebezpieczna ziemia. Nie stój tak, bo zaraz korzenie zapuścisz i zakwitniesz! Szybko, szybko!

Curtis zatrzymał się przy biurku tylko dlatego, że Gabby się przed nim zatrzymał. Teraz zdaje sobie sprawę, że stróż krzyczy tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę od incydentu z romansem.

Jednak idąc za Gabby w stronę następnych drzwi, nie może się nie dziwić tej rzeczywiście niebezpiecznej ziemi, skoro wystarczy się na niej zatrzymać, żeby od razu wypuścić z siebie korzenie, choć się nie jest rośliną.

Naprawdę, im szybciej ucieknie z Utah, tym lepiej.

Za tym pierwszym gabinetem znajduje się drugi, większy. Jest tu czworo drzwi, co chyba oznacza, że dalej znajdują się kolejne pokoje. Utykając jak pies, który po lewej stronie ma dwie krótsze nogi, Gabby prowadzi Starego Rudzielca i Curtisa do drzwi położonych najdalej, zrywa pęk kluczy z kołka i idzie do garażu z miejscami na cztery pojazdy. Trzy miejsca są puste, na czwartym czeka dżip, zwrócony maską w stronę podnoszonych drzwi: biały mercury mountaineer.

Curtis pędzi do drzwi od strony pasażera, Gabby siada za kierownicą.

– Ta suka, przyuczona jest?

– Uczona jest.

– Że jak?

– Że uczona jest, proszę pana – powtarza Curtis, gorączkowo szarpiąc klamkę drzwi.

– Do jasnej ciasnej, żaden pchlarz mi nie będzie sikał w moim nowym mercurym!

– Zjedliśmy tylko parę parówek i popiliśmy sokiem pomarańczowym – uspokaja go Curtis i nie bez trudu gramoli się na fotel, trzymając psinę na rękach.

– Kurrzczaki pieczone! Po cholerę ją tu ciągniesz na przednie siedzenie?

– A po cholerę nie?

Stróż naciska guzik na pilocie otwierającym drzwi garażu i włącza silnik.

– Pasażerowie z czterema łapami mają jechać z tyłu, a może się mylę, co, może mnie tu nie ma?

Curtis zatrząskuje drzwi.

– Pan tu jest, proszę pana, na pewno, ale nie rozumiem, co jedno ma wspólnego z drugim.

– Masz tyle samo rozumu co młotek. Lepiej mocno trzymaj tego kundla, żeby ci się nie rozpląszczył na szybie.

Stary Rudzielec siedzi na kolanach Curtisa, wyglądając przez przednią szybę, więc chłopiec obejmuje

ją ramionami.

– Pyskamy stąd, gazu, gazu! – obwieszcza Gabby, zwalniając hamulec. Curtis rozumie z jego słów, że prawdopodobnie podczas ucieczki użyją jakiegoś rodzaju gazu, choć nie potrafi sobie wyobrazić szczegółów takiej procedury.

Gabby wciska pedał gazu i dżip wypryskuje z garażu, przez nadal powoli podnoszące się drzwi.

Curtis, najpierw wbity w fotel, potem rzucony na drzwi, gdy stróż skręca na południowy zachód tak gwałtownie, że samochód niemal się przewraca, przypomina sobie stosowny paragraf i podnosi głos, żeby przekrzyczeć ryk silnika: – Proszę pana, prawo mówi, że musimy zapiąć pasy! Nawet w bladym świetle tablicy rozdzielczej widać, że twarz Gabby'ego czerwienieje, jakby jakiś rządowy urzędnik właśnie go dusił, po czym stary udowadnia, że potrafi jednocześnie prowadzić i wrzeszczeć:

– Ta banda darmozjadów nie ma do spółki nawet jednego mózgu! Żaden pokręcony, pryszczaty, robaczywy, porąbany polityk i żaden platfusowaty, pierdzący, półgłówkowaty urzędnik nie będzie mi dyktować, czy mam zapiąć pasy, czy nie w moim własnym samochodzie, bo zrobię dokładnie to, co mi się podoba, rozumiano? Jak mi się zechce zahamować i wybić pyskiem przednią szybę, to tak zrobię i niech mi się nikt nie wtrąca! Teraz każą zapiąć pasy, a za chwilę trzeba będzie wkładać suspensoria!

Stróż kontynuuje swoją przemowę w tym samym duchu, a Curtis odwraca się, nadal trzymając Starego Rudzielca, i ogląda się w stronę płonącego w ogniu walki miasta duchów. Za jego plecami rozgrywa się widowisko tak okropne, że nawet Wyatt Earp ukryłby się na jego widok w kościele. Kiedy strzelanina się skończy, towarzystwo historyczne, które opiekuje się tym miastem, będzie musiało odbudować je z popiołów, ponieważ zostaną po nim tylko popioły, połamane deski i pogięte gwoździe.

Chłopiec nadal się dziwi, że FBI wie o nim i o siłach, które go ścigają, że postanowiło interweniować i naprawdę się spodziewa, iż zdoła go zlokalizować i otoczyć ochroną, zanim znajdą go i zabiją wrogowie. Agenci chyba muszą wiedzieć, że tamci są lepiej uzbrojeni, a jednak rzucili się do walki. Curtis czuje mimowolny podziw dla ich odwagi i zdecydowania, choć jeśli rzeczywiście zdołają otoczyć go opieką, po jakimś czasie zaczną robić na nim eksperymenty.

Gabby potrafi pędzić jeszcze szybciej, niż gada. Dżip śmiga przez solne równiny niczym rakietą. Żeby niepotrzebnie nie ściągać na siebie uwagi, jadą ze zgaszonymi reflektorami. Oczywiście jazda ze zgaszonymi światłami po zapadnięciu zmroku jest także niezgodna z przepisami, ale Curtis postanawia nie poruszać tego tematu, gdyż Gabby na pewno uznałby to za mało ugrzejme. Poza tym Curtis nieraz dopuszczał się wykroczeń podczas swojej ucieczki ku wolności, choć nie jest dumny z tej kryminalnej przeszłości.

Przez chmury nadal nie przesiąka ani odrobina światła, lecz dzięki naturalnej fluorescencji gruntu nie jadą zupełnie na oślep, a Gabby na szczęście zna te okolice. Unika wszelkich dróg, które mogłyby przecinać tę odosobnioną kotlinę, i trzyma się otwartego terenu, żeby nie ryzykować czołowego zderzenia z jakimś niewinnym kierowcą, co pociągnęłoby za sobą niefortunne konsekwencje fizyczne i psychiczne.

Solne równiny emanują białym blaskiem, a mercury mountaineer też jest biały, więc nie da się go bez trudu dostrzec z oddali. Spod kół tryskają białe pióropusze, ale są przejrzyste jak mgiełka, nie jak gęsta kłębiasta chmura, i szybko osiadają na ziemi.

Jeśli agenci FBI lub gorsze huncwoty korzystają z detektorów ruchu, Gabby może równie dobrze nie tylko zapalić reflektory, ale jeszcze odpalić race, ponieważ strategia białego na białym nie wystarczy, żeby ocalić ich przed losem mężczyzny, który wypadł na nich w płomieniach spomiędzy budynków.

– ...powiązać jak wieprzki pasami, polać tłuszczem, wrzucić do piwnicy razem z milionem głodnych śmierzących ŻUKÓW GNOJOWYCH i wtedy się okaże, jak się poczują, przekłete, Boga nieznające

dranie! – kończy Gabby.

Curtis wykorzystuje szansę, żeby zmienić temat.

– Skoro mowa o smrodzie, nie puściłem gazów i nie sądzę, żebym miał to zrobić.

Stary stróż nie zmniejsza prędkości, może nawet ją trochę zwiększył, ale odrywa wzrok od solnych równin, wbija w Curtisa osłupiałe spojrzenie i zastyga z otwartymi ustami, co na jakiś czas hamuje jego przemowę.

Ale tylko na jakiś czas, bo potem obwisła szczęka wraca na swoje miejsce, a język odzyskuje wigor.

– Jasna ciasna skórkowana cholera! Coś ty powiedział, chłopcze, i dlaczego?

Curtis, nieco zbity z tropu tak gwałtowną reakcją na jego uczyniony w dobrych intencjach wysiłek, mówi:

– Nie chciałem pana urazić, ale to pan pierwszy wspomniał o gazie.

– Ożeż ty w życiu, chłopcze, aleś ty złośliwy, wcale mi się to nie podoba.

– Nie chciałem pana urazić, ale tylko zauważyłem, że nie puściłem gazów, tak jak się pan spodziewał, pan też nie i moja psina też nie.

– Ciągłe powtarzasz, że nie chciałeś mnie urazić, ale powiem ci, chłopcze, że jak twój pies zacznie pierdzić w moim nowym mercurym, to się naprawdę obrażę. Ta rozmowa przybiera niedobry obrót, a pędzą przez słone równiny z tak zawrotną prędkością, że zmiana tematu wydaje się kwestią życia i śmierci. Dlatego Curtis dochodzi do wniosku, że pora pochwalić słynnego przodka Gabby’ego.

– Chciałbym powiedzieć, że bardzo mi się podobało „Helldorado”, „Heart of me Golden West” i „Roli on Texas Moon”.

– Jasna ciasna, mały, co z tobą?

Psina skomli i kręci się na kolanach Curtisa.

– Przed nami! – woła chłopiec. Gabby zerka na solne równiny.

– Zwykły chwast – mówi lekceważąco, gdy ogromny kolczasty kłęb chwastów odbija się od zderzaka, przetacza po masce, przedniej szybie i dachu z klekocząco-drapającym odgłosem palców szkieletu, skrobiących od wewnątrz wieko trumny.

Curtis, zdenerwowany, lecz mężnie starający się nawiązać bardziej przyjazne stosunki ze stróżem, brnie dalej:

– „Along the Navaho Trail” też był bardzo dobry, tak samo jak „The Lights of Old Santa Fe”. Ale chyba najlepszy był „Sons of the Pioneers”.

– Ty o filmach?

– Ja o filmach.

Gabby rozpędza dżipa jeszcze bardziej, lecz nie patrzy przed siebie, jakby sądził, że wyczuje niebezpieczeństwo szóstym zmysłem. Wpatruje się w Curtisa z niepokojącym natężeniem.

– Gonia nas wariaci z rządu, więc jak rany jeża, skąd ci się wzięły te filmy?

– Wzięły się stąd, że pański dziadek w nich grał.

– Mój dziadek? A niech mnie ziemia pochłonie i znowu wypluje! Co ty gadasz? Mój dziadek był domokrażcą, co by ci wcisnął Biblię albo bezużyteczną encyklopedię, jakbyś zdumiał na tyle, żeby mu otworzyć.

– Jeśli pański dziadek był domokrażcą, to co z Royem Rogersem?

Najeżona broda, brwi i włosy w uszach Gabby’ego jeżą się jeszcze bardziej, z desperacji albo napięcia elektrycznego w powietrzu, spowodowanego dużą prędkością i suchym pustynnym powietrzem.

– Roy Rogers? – znowu krzyczy. Jedną ręką prowadzi, a drugą uderza w kierownicę. – Niech ja się

skicham, co ten śpiewający nieboszczyk w śmiesznych butach ma wspólnego ze mną?

Curtis nie może pojąć, dlaczego stróż życzy sobie kichać, ale wie, że jadą o wiele za szybko – i ciągle nabierają prędkości. Im bardziej denerwuje się Gabby, tym mocniej przyciska pedał gazu, a wygląda na to, że Curtis denerwuje go każdym swoim słowem. Teren jest wyjątkowo płaski, ale przy tej szalonej prędkości nawet najmniejszy wykrot czy dziura gwałtownie wstrząsają samochodem. Jeśli trafią na głęboką koleinę, kamień albo jedną z tych wypalonych słońcem krowich czaszek, których tak wiele widzi się na westernach, nie uratuje ich nawet najlepszy samochód, a dżip zacznie się turlać jak, powiedzmy, Judasz przywiązany do beczki i zepchnięty z urwiska prosto do piekła.

Curtis za bardzo się boi, żeby znowu się z czymś wyrwać, ale Gabby wygląda tak, jakby zaraz miał zacząć bić pięścią w kierownicę, jeśli nie usłyszy jakiegokolwiek wyjaśnienia. Dlatego chłopiec odzywa się bardzo ostrożnie, nie chcąc się sprzeciwiać, lecz jedynie pragnąc wyrazić inną opinię, dzięki której rozmowa nabierze przyjemnego charakteru, a stróż trochę zwolni:

– Nie chcę pana urazić, ale nie wydaje mi się, żeby buty Roya Rogersa były aż takie śmieszne.

Gabby spogląda przed siebie, co Curtis przyjmuje z ulgą, ale zaraz potem znowu przenosi na niego wzrok, a dżip jeszcze bardziej przyspiesza.

– Chłopcze, pamiętasz, jak zem cię tam, przy pompie, spytał, czy jesteś głupi czy jaki?

– Tak, pamiętam.

– A pamiętasz, coś powiedział?

– Tak, powiedziałem, że jestem „jaki”.

– Jeśli jakiś idiota znowu cię o to spyta, to mu lepiej powiedz, żeś głupi! – Gabby znowu bije pięścią w kierownicę i wpada w kolejny atak szału. – A żeby mi wsadzili w tyłek racę! To ja się wdaję w wojnę z całym obesranym rządem, z bombami, czołgami i poborcami podatkowymi tylko dlatego, żeś mówił, że ci zabili rodziców, a teraz się okazuje, żeś gotów powiedzieć cokolwiek, bo masz kurzy rozumek i może rząd wcale nie zabił twoich krewnych!

Curtis, przerażony tym nieporozumieniem, walcząc ze łzami, spieszy czym prędzej naprawić swój błąd. – Proszę pana, ja wcale nie mówiłem, że rząd zabił moich krewnych.

Gabby, doprowadzony do ostateczności, ryczy:

– Możesz mi odciąć *cojones* i nazwać niunią, ale nie wmawiaj mi, żeś nie powiedział, jak żeś powiedział!

– Ja zem powiedziałem, że moich krewnych zabiły gorsze huncwoty, nie rząd.

– Nie ma gorszych huncwotów od rządu!

– Och, są o wiele gorsi.

Stary Rudzielec podryguje na kolanach Curtisa. Popiskuje nerwowo, a z jej czarnego nosa padają krople lodowatej wody. Chłopiec czuje, że psina chce sobie ulżyć. Poprzez łączącą ich szczególną chłopięco-psią więź namawia ją, żeby zapanowała nad pęcherzem, ale wkrótce się przekonuje, że więź jest w takim samym chłopięco-psia, jak i psio-chłopięca, że jeśli się nie uważa, działa w obie strony i potrzeba siusiania psiny raptem staje się jego potrzebą. Bez trudu może sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli on i psina posiusiąją się w nowym mercurym Gabby'ego. Stróż dostanie zawału i straci panowanie nad rozpedzonym pojazdem.

Po raz pierwszy od przystanku w zajeździe dla kierowców chłopiec zaczyna wątpić, że może być Curtisem Hammondem. A przy braku pewności siebie żaden uciekinier nie będzie przekonujący. Doskonałe przebranie to gwarancja przetrwania. Oto mądrość matki w najczystszej postaci.

Gabby znowu się wścieka, dżip dygocze i jęczy jak mknący na orbitę prom kosmiczny i mimo całego

tego hałasu dociera do niego coś, co prowadzi go do kolejnego odkrycia oraz wyjaśnia następne nieporozumienie. Rozpaczliwie chwytą się tej nagłej iluminacji, żeby zmienić temat i odnaleźć ten znacznie bardziej przyjazny ton, który jeszcze niedawno był obecny w ich rozmowie.

W większości filmów mówi się, że Amerykanie zawsze pragną udoskonalać swoje życie i samych siebie, a ponieważ filmy stanowią wiarygodne źródło informacji, Curtis przerywa pomstowanie Gabby'ego z zamiarem wzbogacenia jego zasobów językowych, za co stróż na pewno będzie mu wdzięczny.

– Przepraszam pana, wcześniej nie rozumiałem, bo pańska wymowa nie była poprawna. Pan miał na myśli jądra!

Wyraz twarzy Gabby'ego w tak oczywisty sposób zapowiada następny wybuch, że Curtis rzuca się do dalszych wyjaśnień: – Pan mówił „kodžons”, podczas gdy powinien pan powiedzieć „ka-ho-nejs”. *Cojones*. Tak brzmi angielska wymowa tego słowa, która nieco się różni od hiszpańskiej. Gdyby...

– Jak cię zaraz kopnę, to doleczysz stąd aż do Chin Ludowych! – ryczy Gabby i z wyraźnym obrzydzeniem odwraca wzrok od Curtisa, co jest z pewnych względów dobre, a z pewnych nie. Dobre, ponieważ wreszcie patrzy przed siebie na solne równiny. Niedobre, bo wcześniej czy później, dygocząc z urazy, znowu spojrzy na Curtisa.

Jak mokre wody.

Kolejna mała iluminacja rozświetla mózg Curtisa, ale tym razem nie dzieli się nią z wściekającym się stróżem. Całkiem już nie ma zaufania do swoich zdolności towarzyskich. Wstrząśnięty do głębi, jest pewien, że każde jego słowo, nawet nieartykułowany pomruk wydany najmniej obraźliwym tonem, zostanie źle zinterpretowane i wywoła kolejny atak furii Gabby'ego, tym razem tak wielki, że pękną od niego wszystkie okna dżipa.

Ponieważ chłopiec nie potrafi podtrzymać rozmowy,” w samochodzie zapada cisza, ale bardzo krótka. Stróż mamrocze do siebie pod nosem, powtarza parę razy „Chiny Ludowe”, wydaje parsknięcie godne konia i wyrzuca z siebie następny potok słów:

– Ty mały wredny niewdzięczny bezczelny gnojku! Może nie kończyłem Harvardu i może nie miałem tylu szans co tacy, co się urodzili na jedwabiach, ale od pieluch wiem, że niegrzecznie jest krytykować starszych. Nie ucz mnie, jak się mówi *cojones*, kiedy twoje własne żalosne *cojones* są małe jak dwa groszki!

Gabby wrzeszczy, lecz jednocześnie powoli zmniejsza nacisk na pedał gazu i dżip wytraca prędkość. Może stróż chce się zatrzymać i powiedzieć Curtisowi, żeby wysiadł i dalej radził sobie sam. Szczerze mówiąc, gdyby znajdowali się w tej chwili w łódce na samym środku burzliwego morza, chłopiec wysiadłby z niej bez słowa protestu; dlatego bez sprzeciwu zgodziłby się zostać na środku tego słonego pustkowia, a nawet zrobiłby to z ulgą. Stres związany z rozpaczliwą ucieczką i utrzymywaniem wiarygodnej fałszywej tożsamości, powstrzymywanie pokusy, by poddać się dzikiej naturze psiny, i jednocześnie prowadzenie przyjemniej rozmowy w tym trudnym dialekcie to dla niego za dużo. Boi się, że za chwilę pęknie mu głowa albo wydarzy się coś bardziej kompromitującego.

Gabby, wypuściwszy z siebie sporą część gniewu, może już spojrzeć na swojego bezczelnego pasażera, nie ryzykując zawału serca. Być może dziwi go, że Curtis jeszcze nie wyskoczył z dżipa, może zaskoczył go widok łez chłopca, a niewykluczone, że po prostu nie może uwierzyć, iż ten gnojek ma czelność patrzeć mu prosto w oczy. Tak czy inaczej, zamiast okazać mu miażdżącą pogardę i szyderstwo, stróż robi minę pełną tak ogromnego zdumienia, że przebija nawet tamtą poprzednią, bardziej odpowiednią dla postaci z kreskówki niż dla ludzkiej istoty.



I mocno wciska hamulec.

Na szczęście samochód zdążył już zwolnić z nadmiernej prędkości stu sześćdziesięciu kilometrów do osiemdziesięciu. Zgrzyt hamulców i pisk opon brzmi na ubitej soli podobnie jak na asfalcie, tyle że połączony zapach rozgrzanej gumy i soli daje w efekcie woń charakterystyczną tylko dla tych okoliczności i dziwnie przypominającą zapach smażonej szynki.

Gdyby Curtis nie zapał się mocno w miejscu, wbijając kość ogonową w fotel i wciskając stopy w podłogę, razem ze Starym Rudzielcem naprawdę rozpląszczyliby się na przedniej szybie. W głowie biednej psiny przewija się całe jej życie, od szczenięcych lat po parówki w domu na kółkach, a w głowie Curtisa przewija się jego życie, wskutek czego oboje siedzą niemi i trochę oszołomieni. Ale potem dżip zupełnie się zatrzymuje, kołysząc się na resorach, i ani chłopiec, ani psina nie odnoszą obrażeń.

Gabby, który także przeżył to nagłe hamowanie, udowodnił tym samym, że pokręcenie, przyszczacenie, robaczywienie, porąbanie politycy nie są najmądrzejsi na świecie. Można by pomyśleć, że ten mały tryumf indywidualisty nad rządem i prawami fizyki przyprawi go o lepszy humor. Przeciwnie, przy zadziwiającym potoku słów opisujących biologiczne produkty końcowe przemiany materii oraz stosunki seksualne stróż zaciąga hamulec, otwiera drzwi i opuszcza dżipa w stanie takiego ożywienia, że potyka się o własne nogi i znika chłopcu z oczu.

– O, do jasnej ciasnej! – wykrzykuje Curtis.

Wysuwa się spod Starego Rudzielca, zostawiając ją na siedzeniu pasażera, i siada za kierownicą. W bladym świetle lampki, która zapaliła się pod sufitem dżipa, widać Gabby'ego, który leży na wznak na ziemi. Obok niego spoczywa pomięty, poplamiony potem kapelusz kowbojski, jakby Gabby miał zaraz wyciągnąć banjo i zacząć grać za pieniądze. Siwe włosy mu się jeżą, jak gdyby uderzył w niego piorun, a w tej postelektrycznej fryzurze pobłyskują ziarenka soli. Mężczyzna jest oszołomiony, być może przekonał się o twardości tej solnej ziemi, uderzając w nią głową.

– Jasna ciasna skórkowana cholera! – recytuje Curtis. – Co się panu stało?

To pytanie tak przeraża stróża, jakby ktoś mu zagroził ścięciem głowy. RzUCA się do tyłu, byle dalej od dżipa, szoruje siedzeniem po soli i wstaje dopiero w pewnej odległości od mountaineera.

Do tej chwili Curtis zakładał, że to, co wydawało mu się dziwne w zachowaniu starego, jest nie tyle dziwactwem, ile raczej efektem nieporozumień. Teraz nie jest już tego taki pewny. Zapewne Gabby nie jest miłym dziwakiem ani dziwakiem o dobrym sercu, ale po prostu dziwakiem. Niewykluczone, że jest nawet trochę niezrównoważony. Może najadł się szaleju. Prawdopodobnie nie należy do seryjnych morderców, jak ci fetyszyści z domu na kółkach, chyba że seryjni mordercy stanowią w tym społeczeństwie grupę znacznie większą, niż można wnioskować na podstawie filmów – a to jest dość przerażająca perspektywa.

Na ziemi pomiędzy Gabbym i dżipem leżą dwa przedmioty: kapelusz i pistolet kalibru 9 mm. Gabby, który przed chwilą gorączkowo się wycofywał, teraz zmienia kurs i ostrożnie się zbliża do samochodu. I choć Curtis wolałby uwierzyć, że Gabby jest prawdziwym *amigo*, zgryźliwym, lecz serdecznym, musi przyznać, że uwaga stróża nie jest zwrócona na kapelusz.

Pistolet leży całkiem blisko. Curtis wyskakuje z dżipa, żeby go podnieść.

Nieprzewidywalny stróż nie usiłuje dobiec do broni pierwszy. Nie zatrzymuje się, nie cofa, tylko odwraca się i puszcza pędem przez słone równiny tym swoim utykającym krokiem.

Zdumiony Curtis spogląda za malejącą postacią tak długo, aż w końcu musi uwierzyć, że mężczyzna nie spróbuje do niego wrócić. Gabby ani razu nie ogląda się przez ramię, tylko pruje w stronę wschodniej ściany kotliny, jakby to jego ktoś kopnął i wyprawił w drogę do Chin Ludowych. Znika w ciemnościach

i nieziemskim blasku, jakby był zjawą, a nie prawdziwym człowiekiem.

Ależ to dziwne. Całe to spotkanie trzeba będzie później poddać wnikliwej analizie, kiedy Curtis przetrwa starcie z wrogiem i będzie mógł sobie pozwolić na luksus zastanowienia.

Kiedy, nie jeśli. Skoro brzemień prowadzenia uprzejmej rozmowy zostało z niego na jakiś czas zdjęte, Curtis czuje, że wraca mu pewność siebie.

Parę kilometrów na północ, gdzie niegdyś twardzi rewolwerowcy spotykali się na ulicach, nadal trwa zażarta i hałaśliwa konfrontacja i choć nie przypomina apokalipsy ani wojny światów, jej poziom i tak budzi szacunek. Curtis spodziewał się, że konflikt dobiegnie końca znacznie wcześniej. Nie sądzi, żeby przeciwnicy walczyli dużo dłużej.

Poza tym, raczej wcześniej niż później, mogą zacząć podejrzewać, że chłopiec, o którego walczą, wymknął się z miasta i znowu ucieka. Wtedy dwie armie się rozstąpią, zamiast walczyć do ostatniego człowieka i obie strony – huncwoty i gorsze huncwoty – podejmą na nowo poszukiwania, które zawiodły ich do tego samego miasta o tej samej porze.

Lepiej się zbierać.

Zostawiwszy pistolet na ziemi – skoro nie trzeba się już martwić, że Gabby go przejmie – Curtis znowu wdrapuje się do dżipa. Nigdy takiego nie prowadził, ale zasady kierowania wydają się oczywiste i chłopiec jest pewien, że zdoła sobie z nimi poradzić, może nie z taką wprawą, jak Steve McQueen w „Bullitcie” albo Burt Reynolds w „Mistrz kierownicy ucieka”.

A zatem od drobnych wykroczeń przechodzi do większych przestępstw. Kradzież samochodu. Tak to wygląda z punktu widzenia prawa.

Jednak z jego punktu widzenia jest to raczej wypożyczenie pojazdu, ponieważ nie ma zamiaru go zatrzymać na stałe. Jeśli porzuci go gdzieś w takim samym stanie, w jakim go znalazł, jego moralnym obowiązkiem będzie głównie przeproszenie Gabby’ego za kłopot i zrekompensowanie mu straty benzyny oraz czasu. Ponieważ myśl o ponownym spotkaniu ze stróżem nie wydaje mu się zbyt ponętą, ma nadzieję, że jego dusza nie będzie na wieki potępiona, jeśli przeprosiny i pieniądze prześle drogą pocztową. Problemem jest tylko wzrost. Curtis Hammond, troszkę zbyt niski jak na dziesięciolatka, może bez trudu śledzić teren przed sobą i operować pedałami gazu i hamulca, ale nie jednocześnie. Jeśli się trochę osunie na siedzeniu i wyciągnie prawą nogę jak baletnica tańcząca na palcach, zdoła kierować samochodem przy nieco ograniczonym polu widzenia i niecałkowitej kontroli nad pedałami.

W takim razie będzie musiał zwolnić i poruszać się w tempie konduktu pogrzebowego.

Chłopiec chce maksymalnie oddalić się od swoich prześladowców, ale musi pamiętać, że to czas, nie odległość, jest jego największym sprzymierzeńcem. Tylko będąc wytrwale Curtisem Hammondem – godzina za godziną, dzień za dniem – zdoła na zawsze uniknąć zdemaskowania. Pewne udoskonalenia pomogłyby mu w kierowaniu dżipem, ale gdyby sobie na nie pozwolił, stałby się bardziej widoczny dla swoich wrogów, kiedy znowu go dogonią i zaczną szukać. A to się wkrótce wydarzy.

Mądrość mamy. Im dłużej nosisz przebranie, tym bardziej się nim stajesz. Aby zachować wiarygodność, uciekinier w każdym momencie musi się zachowywać jak jego przebranie. Przybranie nowej tożsamości nie jest kwestią zdobycia kompletu przekonujących dokumentów; nie jesteś bezpieczny tylko dlatego, że wyglądasz, chodzisz, mówisz i działasz zgodnie z charakterem swojego przebrania. Do zupełnie udanego przybrania nowej tożsamości dochodzi wtedy, gdy każdym włókienkiem mięśni, każdą komórką staniesz się ową osobą – i będziesz nią w każdej minucie dnia, obserwowany i nie.

Nawet po śmierci mama pozostaje najwyższym autorytetem w tej dziedzinie, jak również uniwersalnym symbolem odwagi i wolności. Będzie odbierała honory na długo po swoim odejściu.

Postępowalby zgodnie z jej radami nawet wówczas, gdyby nie była jego matką; ale skoro jest, on jako jej syn ma szczególnie obowiązek nie tylko przetrwać, lecz także żyć według jej nauk, a z czasem przekazać je innym.

Znowu nawiedza go rozpacz; przez jakiś czas podróżuje w jej towarzystwie.

Nie ma odwagi dalej kierować się na południowy zachód, gdyż za kotliną znajduje się autostrada, po której krążą patrole. Przybył ze wschodu. Miasto duchów znajduje się na północy. A zatem nie ma wyboru, musi przemierzyć kotlinę w szereg, kierując się na zachód. Choć raczej nie przekroczy dozwolonej prędkości i choć czasami samochód porusza się dziwnymi skokami, gdy on wyciąga szyję, by spojrzeć ponad kierownicą, albo pochyla głowę, by patrzeć w lukę pomiędzy kierownicą i deską rozdzielczą, przekonuje się, że słone równiny całkiem dobrze nadają się do jazdy terenowej. Jednak u stóp zachodniej ściany kotliny zdaje sobie sprawę, że dalej tak nie pojedzie.

Ziemia, na której nie leży warstwa soli, nie emanuje naturalną poświatą. Widoczność, i tak ograniczona z powodu wzrostu chłopca, zmniejsza się niemal do zera. I nie może włączyć reflektorów – chyba że chce zwrócić na siebie uwagę i popełnić samobójstwo.

Co więcej, teren staje się skalisty i nierówny. Curtis będzie musiał reagować szybkim użyciem hamulca i pedału gazu.

Zatrzymuje samochód i prostuje się, przygląda się terenowi przed sobą, trochę zbity z tropu.

Tym razem z rozwiązaniem problemu występuje jego przybrana siostrzyczka. W trakcie powolnego przejazdu po ostatnim odcinku słonych równin Stary Rudzielec siedziała na fotelu dla pasażera, ozdabiając boczną szybę odciskami nosa. Teraz stoi i patrzy znacząco na Curtisa.

Może z powodu rozpacz, nadal przygniatającej jego umysł, może z powodu wstrząsu po spotkaniu z dziwnym stróżem, Curtis reaguje z zenującą tępotą. Wydaje mu się, że psina chce, żeby ją podrapał za uszkiem.

Ponieważ Stary Rudzielec nigdy nie odmawia, gdy zamierza się ją podrapać za uszkiem czy gdzie indziej, przyjmuje chwilę pieszczot, po czym odwraca się i opiera się przednimi łapami na desce rozdzielczej, tylnymi nadal stojąc na siedzeniu. W tej pozycji ma doskonały widok na trasę przed nimi.

Ich szczególna więź wcale nie byłaby szczególna, gdyby Curtis nadal nie rozumiał, o co chodzi psince. Wreszcie pojmuje. On będzie operował mechanizmem dżipa, ona będzie jego oczami.

*Dobra psinka!*

Chłopiec zsuwa się z siedzenia na tyle, by postawić mocno prawą stopę na pedale gazu i by móc przenieść ją szybko i bez wysiłku na pedał hamulca. Jest to także dogodna pozycja do manewrowania kierownicą. Tyle tylko że nie może patrzeć przez przednią szybę.

Ich więź nie jest jeszcze całkowita. Psina jest na razie jego przybraną siostrzyczką, nie prawdziwą, ale ich związek bardzo się umocnił w tej strasznej chwili, kiedy oboje zobaczyli, jak przed oczami przewija się im całe życie.

Curtis rusza, przyciska pedał gazu i wprowadza samochód na względnie łagodne zbocze kotliny, podczas gdy psinka kieruje go swoim wzrokiem. W czasie tej wspinaczki powoli nabierają pewności siebie, a kiedy docierają na szczyt, funkcjonują już w pełnej harmonii.

Curtis zatrzymuje samochód, siada prosto i własnymi oczami spogląda na północny wschód. Walka w mieście duchów jakby przygasła. Huncwoty i gorsze huncwoty zdały sobie sprawę, że żadna ze stron nie pochwyciła zwierzyny. Nie walczą już ze sobą, lecz jeszcze raz skupiają się na poszukiwaniu chłopca i psiny.

Na niebie widać światełka dwóch helikopterów. Trzeci nadciąga ze wschodu. Posiłki.

Curtis znowu zsuwa się i zjeżdża ze szczytu zbocza, kierując się na zachód w nieznane terytorium, które Stary Rudzielec niezmordowanie mu pokazuje. Jedzie z największą dopuszczalną prędkością, pamiętając, że zbyt gwałtownym hamowaniem rozpędzonego samochodu może zrobić krzywdę swojej przybranej siostrzyczce.

Ale musi się spieszyć, ponieważ nie może wymagać, żeby psina była jego oczami tak długo. Curtis nie musi odpoczywać. Stary Rudzielec w końcu zaśnie, a Curtis nie spał jeszcze nigdy w życiu.

Musi pamiętać, że on i jego przybrana siostrzyczka są przedstawicielami różnych gatunków o bardzo odmiennych fizycznych możliwościach i ograniczeniach. Na dodatek urodzili się w dwóch obcych sobie światach.

Czwartkowe dziecko ma wszędzie daleko, jak mówi stary wierszyk dla dzieci, a Micky Bellsong urodziła się właśnie pewnego majowego czwartku ponad dwadzieścia osiem lat temu. Natomiast w ten sierpniowy czwartek obudziła się z o wiele większym kacem, niż planowała.

Cytrynowka upośledza zdolności matematyczne. Gdzieś po drodze Micky musiała pomylić czwartą podwójną wódkę z drugą, a piątą z trzecią.

– Cholerny cytrynowy zapach – powiedziała do swojego odbicia w łazienkowym lustrze. – Dostajesz od niego sklerozy. Nie zdołała sprowokować się do uśmiechu.

Przespała pierwsze spotkanie w sprawie pracy i wstała zbyt późno, żeby dotrzeć na drugie. W obu wypadkach chodziło o posadę kelnerki.

Choć zdobyła już doświadczenie w gastronomii i lubiła tę pracę, miała nadzieję znaleźć coś związanego z informatyką. Przerobiła trzyletni kurs w szesnaście miesięcy i odkryła, że ma w tym kierunku zdolności. Wizja jej samej w roli komputerowego specjalisty była tak krańcowo odmienna od jej dotychczasowego życia, że napawała ją wiarą w lepszą przyszłość. Ta wiara podtrzymywała ją przy życiu w najgorszych czasach.

Na razie, starając się urzeczywistnić swój sen, musiała znosić ponure prorocтва pracodawców na temat upadającej, chwiejącej się, sypiącej, walącej w gruzy gospodarki, która właśnie spada na dno, żeby się znowu od niego odbić. Mieli nieograniczony zapas słów i frazesów, w które ubierali tę samą odmowę.

Jeszcze nie zaczęła rozpaczać. Życie nauczyło ją już dawno, że świat nie istnieje po to, żeby spełniać marzenia Micheliny Bellsong czy choćby im sprzyjać. Wiedziała, że czeka ją walka.

Jeśli poszukiwanie pracy będzie trwało tygodniami, słabość weźmie górę nad pragnieniem rozpoczęcia nowego życia. Nie miała co do siebie złudzeń. Potrafiłaby się zmienić, ale jeśli znajdzie odpowiedni pretekst, sama stanie się największą przeszkodą na drodze do zmiany.

Twarz, którą zobaczyła dziś w lustrze, nie spodobała się jej ani przed nałożeniem, ani po nałożeniu lekkiego makijażu. Wyglądała dobrze, ale uroda nie dawała jej satysfakcji. Poczucie własnej wartości buduje się na podstawie osiągnięć, nie z lustrzanych odbić. A ona bała się, że zanim coś osiągnie, znowu zacznie szukać pocieszenia w tym, co mogła zdobyć samym wyglądem.

Czyli znowu mężczyźni.

Nie miała nic przeciwko mężczyznom. Ci, którzy zabrali jej dzieciństwo, nie byli typowymi przedstawicielami całego rodzaju męskiego. Nie obwiniała całej płci o zboczenie paru facetów, tak jak nie mogłaby osądzać wszystkich kobiet na podstawie Sinnehilli... albo siebie samej.

Szczerze mówiąc, lubiła mężczyzn znacznie bardziej niż powinna, biorąc pod uwagę, czego się od nich nauczyła. Miała nadzieję, że pewnego dnia nawiąże budujący związek z jakimś dobrym człowiekiem... może nawet będzie to małżeństwo.

Cały dowcip tkwił w słowie „dobry”. Micky miała nie lepszy gust w doborze mężczyzn niż jej matka. Angażując się w znajomość z niewłaściwym mężczyzną, nieraz doprowadziła do sytuacji takich, jak w tej chwili, kiedy czuła się jak wypalona ruina.

Ubrała się na spotkanie o trzeciej – ostatnie, które jej pozostało i jedyne związane z pracą przy komputerze – i zjadła antybakowe śniadanie, stojąc przy kuchennym zlewie. Zagryzła je witaminą B complex oraz aspiryną, popiła colą, a na koniec dorzuciła dwa pączki w polewie czekoladowej. U niej kac nigdy nie wiązał się z mdłościami, a uderzeniowa dawka cukru rozjaśniała w głowie.

Leilani miała rację, przypuszczając, że Micky ma metabolizm jak mechanizm statku kosmicznego.

Od szesnastych urodzin przytyła zaledwie pół kilo.

Stojąc przy zlewie i jedząc, przyglądała się przez otwarte okno Genevie. Ciocia Gen podlewała szlauchem trawnik na przekór sierpniowemu upałowi. Włożyła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, by chronić twarz przed słońcem. Czasami, gdy poruszała wężem do przodu i tyłu, całe jej ciało kołysało się lekko, jakby przypomniało sobie jakiś taniec z młodości, a kiedy Micky skończyła drugi pączek, Geneva zaczęła podśpiewywać cicho temat z „Miłości po południu”, jednego z jej ulubionych filmów.

Może myślała o Vernonie, mężu, którego straciła zbyt wcześnie. A może wspominała romans z Garym Cooperem, kiedy była młodą, uwielbianą Audrey Hepburn.

Co za cudownie nieprzewidywalny świat, skoro nawet postrzał w głowę ma swoje dobre strony.

Były to słowa Genevy, nie Micky, jej argument na rzecz optymizmu, kiedy Micky wpadała w przygnębienie. *Micky, ten świat jest cudownie nieprzewidywalny, skoro nawet postrzał w głowę ma swoje dobre strony. Mimo tych żenujących chwil dezorientacji, które zdarzają się od czasu do czasu, cudowne jest mieć tyle uroczych, romantycznych wspomnień, którymi mogę się cieszyć w podeszłym wieku! Nie znaczy to, że radzę wszystkim uszkodzić sobie mózg, ale gdyby nie ten troszkę przepalony obwód w głowie, nigdy bym nie kochała i nie była kochana przez Cary'ego Granta czy Jimmy Stewarta i na pewno nigdy nie miałabym tej wspaniałej przygody w Irlandii z Johnem Waynem!* Micky zostawiła ciocię Gen sam na sam z czułymi wspomnieniami o Johnie Wayne, Humphreyu Bogarcie czy nawet wujku Vernonie i wyszła drzwiami frontowymi. Nie zawołała „dzień dobry” przez otwarte drzwi, bo nie miała odwagi spojrzeć ciotce w oczy. Geneva wiedziała, że Micky nie poszła na dwa spotkania w sprawie pracy, ale nigdy by o tym nie wspomniała. Coś strasznego, ta niezmierna tolerancja tylko pogłębia wyrzuty sumienia.

Wczoraj zostawiła uchylone okna w swoim camaro; mimo to dziś panował w nim potworny zaduch. Klimatyzacja nie działała, więc Micky ruszyła ze wszystkimi oknami maksymalnie opuszczonymi.

Włączyła radio i od razu spiker powiadomił ją podekscytowanym głosem, że w jednej trzeciej stanu Utah trwa obława na jakichś narkotykowych gigantów i ich uzbrojonych po zęby goryli. Trzydziestu potentatów handlu narkotykami zgromadziło się w tajemnicy w Utah, aby podzielić między siebie zasięg wpływów, tak jak niegdyś mafia, zaplanować wojnę z drobniejszymi handlarzami i opracować strategię wyjścia z kłopotów importowych, wynikających z niedawnego uszczelnienia granic. FBI, dowiedziawszy się o zjeździe, wkroczyło do akcji, by dokonać masowego aresztowania. Jednak zamiast ze zwykłym atakiem prawników, spotkali się z niespotykanym wybuchem agresji; doszło do wyjątkowo krwawej walki. Około dziesięciu bossów narkotykowych uciekło, zabierając broń nadzwyczaj zaawansowaną technologicznie. Nie mają nic do stracenia, dlatego stanowią wielkie zagrożenie dla zwykłych obywateli. Większość tych informacji pochodziła z anonimowych źródeł i nie miała autoryzacji FBI. Kryzys, powiedział reporter, powtarzając to słowo kilka razy i z upodobaniem, jakby te dwie sylaby były dla niego rozkoszne niczym piersi kochanki.

Wiadomości, jeśli nie poruszały tematu naturalnych kataklizmów lub wariatów wszczynających strzelaninę na poczie, stanowiły niekończący się łańcuch kryzysów, w dużej części przesadzonych lub w ogóle zmyślonych. Gdyby choć dziesięć procent tych sprzedawanych przez media kryzysów miało jakieś zaczepienie w rzeczywistości, cywilizacja już dawno powinna rozpaść się w gruzy, planeta zmienić się w pozbawioną atmosferę kulę żużlu, a Micky mogłaby się nie martwić o pracę czy Leilani Klonk. Zmieniła stację, usłyszała kolejną wersję tej samej historii, znowu zmieniła stację, usłyszała Backstreet Boys. Nie przepadała za taką muzyczką, ale była przyjemna i mogła trochę złagodzić jej kaca.

Brak wiadomości to dobra wiadomość – i to prawda, bez względu na to, jak się zinterpretuje tych

pięć słów.

Micky przypomniła sobie słowa Leilani z poprzedniego wieczora.

– Należę do tych dwunastu procent i jestem z tego dumna – powiedziała i odnalazła pierwszy uśmiech tego dnia.

Do spotkania miała trzy i pół godziny. Zamierzała wykorzystać ten czas na zainteresowanie organizacji społecznych losem Leilani. Wczoraj, kiedy rozmawiała o niej z Genevą, sprawa dziewczynki wydawała się nierozwiązywalna. Dziś rano, może dlatego, że z perspektywy czasu wszystko zaczęło wyglądać inaczej, a może dlatego, że nadmiar wódki plus dwa czekoladowe pączki wspomagają optymizm, sytuacja zaczęła wyglądać na trudną, ale nie beznadziejną.

Leilani Klonk, niebezpieczny młody mutant, doszła do wniosku, że niewiele rzeczy na tym świecie ma bardziej inspirujący wpływ niż więź międzyludzka, która rozkwita w chwili, gdy amerykańska rodzina gromadzi się przy śniadaniu. Jeszcze wczoraj mama, tata i córka sprzeczali się, kto zostawił otwarty słój z orzeszkami, mogli się pokłócić o znacznie ważniejszą sprawę: czy oglądać „Dotyk anioła”, czy też „Domek na prerii”, mogli nawet, niech już będzie, napuszczać na siebie jadowite żmije lub zabijać młode kobiety, ale o poranku – no, o jedenastej – te różnice znikają i na starym rozdźwięku buduje się nową harmonię. Razem snują przyszłe plany, dzielą się marzeniami i zapewniają o wzajemnych uczuciach.

Stara Sinsemilla zrobiła sobie śniadanie z dwudziestu siedmiu tabletek i kapsułek z witaminami, butelki wody gazowanej, małej puszki tofu z prażonym orzechem kokosowym oraz banana. Pokroiwszy go razem ze skórką na małe talarki, zjadła je, ponieważ głęboko wierzyła, że najzdrowsze są produkty w jak najmniej przetworzonej postaci. Biorąc pod uwagę, jak pojmowała termin „nieprzetworzony”, dobrze, że została ostrzeżona przed zgubnym wpływem czerwonego mięsa; gdyby chciała zjeść hamburgera, musiałby zawierać kopyta, rogi i skórę.

Doktor Zagłada posilił się dwoma jajkami na miękko, angielską bułeczką z marmoladą pomarańczową oraz filiżanką herbatki rumiankowej. Jako że nie podzielał upodobania swojej żony do żywności nieprzetworzonej, nie musiał przeżuwać torebek ekspresowych, skorupki i tekturowych pudełek, w które były zapakowane bułeczki. Był tak niesamowicie schludny przy jedzeniu, że po bułeczkach nie został na talerzu i stole ani jeden okruszek. Jadł małymi kęsami i przeżuwał starannie, więc nie było nadziei, że się udławi. Jedyne, na co mogła liczyć jego optymistycznie nastawiona do życia pasierbica, to salmonella w niedogotowanych żółtkach jajek.

Leilani zjadła ze smakiem talerz płatków śniadaniowych z kawałkami banana (bez skórki), zalanych mlekiem czekoladowym. Doktor Zagłada zakupił ten zakazany napój bez wiedzy pożeraczy tofu. Leilani wolałaby zwykłe mleko, ale korzystała z czekoladowego, żeby sprawdzić, czy matka dostanie wylewu na widok własnego dziecka, przyjmującego doustnie ohydny truciznę.

Jednak dowcip się nie udał. Sinsemilla, czerwonoooka, szara na twarzy, nie reagowała na nic przez cały ranek. Narkotyk, który wzięła na poranny rozruch, nie wprawił jej w nastrój Mary Poppins, o co przecież chodziło. Prawdopodobnie aż do późnego popołudnia nie będzie fruwać pod magiczną parasolką.

Na razie czytała przy jedzeniu obszarpaną książkę Richarda Brautigana „In Watermelon Sugar”. Czytała ten cienki tomik dwa razy na miesiąc, odkąd skończyła piętnaście lat. Za każdym razem książka miała dla niej inne znaczenie, choć aż do dziś żadne z nich nie nabrało sensu. Sinsemilla wierzyła jednak, że autor dokonał ogromnego kroku naprzód w ewolucji ludzkiego rodzaju, że jest prorokiem, który ma do przekazania wiadomość dla szczęśliwców znajdujących się na wyższym poziomie rozwoju niż reszta ludzkości. Stara Sinsemilla miała wrażenie, że należy do tej grupy wysoko rozwiniętych, ale przy całej swojej skromności nie mogła tego ogłosić, dopóki nie zrozumie w pełni przekazu Brautigana, a zrozumiawszy, nie osiągnie nadludzkich możliwości.

Pogrążona w lekturze Sinsemilla była nie bardziej kontaktowa niż serek tofu, dygoczący na jej łyżce, ale doktor Zagłada i tak nieustannie się do niej zwracał. Nie spodziewał się odpowiedzi, choć był pewny, że jego uwagi docierają do żony na jakimś podświadomym poziomie.

Czasami mówił o Tetsy, młodej kobiecie, której serce rozsadził za pomocą potężnej dawki



digitoksyny i o której opowiedział Leilani, wróciwszy do domu o najczarniejszej nocnej godzinie. Niekiedy przekazywał też Sinsemilli i Leilani najnowsze ploteczki i wieści, krążące po Internecie wśród ogromnej międzynarodowej społeczności wyznawców UFO – stosowne strony przeglądał w laptopie, leżącym na stole obok jego talerza.

Szczegóły zamordowania Tetsy były na szczęście mniej barwne niż poprzednie zabójstwa, a najnowsze opowieści o latających spodkach nie wydawały się dziwniejsze niż zwykle. W związku z tym upiorny charakter rozmowy – a w tej rodzinie większość rozmów miała upiorny charakter – wiązał się wyłącznie z nieśmiałyymi aluzjami doktora do wczorajszych chwil namiętności między nim a Sinsemillą.

Wczoraj w rozmowie z Micky i panią D. Leilani powiedziała, że doktor jest aseksualny. Nie było to do końca prawdą.

Nie podrywał kobiet, nie napastował ich, nie okazywał zainteresowania żadnym drugorzędnym cechem płciowym, które na ogół zajmują mężczyzn i robią z nich tak uroczo łatwe do manipulowania istoty. Gdyby koło Prestona przeszła ślicznotka w mikrobikini, nie zwróciłby na nią uwagi, chyba że miałyby w życiorysie porwanie przez UFO i poczęcie dziecka z kosmitą podczas upojnego weekendu na statku-matce.

Jednak w pewnych okolicznościach w doktorze Zagładzie budziła się namiętność do Sinsemilli. W przyczepie mieszkalnej, nawet bardzo dużej, kiedy żyje się obok siebie przez cały rok, w nieunikniony sposób dochodzi do naruszania intymności, co staje się nieprzyjemne nawet wtedy, gdy wszyscy członkowie tej rodziny są święci, a w rodzinie Maddoców występował deficyt świętości. Nawet jeśli się nie patrzyło na to, czego nie chciało się zobaczyć, nie zawsze można było nie słyszeć, a jeśli w nocy zasłaniało się uszy poduszkami, nie można było nie wiedzieć tego, o czym nie chciałoby się wiedzieć, między innymi tego, że Preston Maddoc podniecał się tylko wtedy, gdy Sinsemillą była głęboko nieprzytomna, tak głęboko, jakby nie żyła.

Leilani podzieliła się z Micky i panią D. setką koszmarów, ale nie potrafiła powiedzieć o czymś tak upiornym. Oczywiście stary Preston kwalifikował się na kompletnego świra, ale był też wysoki, przystojny, zadbany i finansowo niezależny, czyli miał o trzy zalety więcej niż trzeba, żeby przyciągać kobiety młodsze i ładniejsze od Sinsemilli. Już dzięki samej niezależności finansowej mógł znaleźć kogoś lepszego od pożerającej narkotyki, porażonej elektrowstrząsami, ogarniętej obsesją padliny, tańczącej przy księżycu wariatki, która miała zbyt barwną przeszłość, a jednocześnie wcale jej nie miała i na dodatek wydała na świat dwoje kalekich dzieci. Najwyraźniej Sinsemilla podbiła jego serce swoimi częstymi narkotykowymi letargami, kiedy mógł ją wykorzystywać, a ona leżała nieruchoma, obojętna i zupełnie nieświadoma – co było problemem, przed którym umysł się bronił, zważywszy na fascynację śmiercią doktora Zagłady.

Sinsemilla miała jeszcze jedną cechę atrakcyjną dla Prestona, coś, czego żadna inna kobieta nie mogłaby – czy nie chciałaby – podarować komuś innemu. Leilani nie potrafiła tego nazwać. Prawdę mówiąc, choć przeczuwała istnienie tajemnicy w jądrze tego dziwnego związku, rzadko się nad tym zastanawiała, ponieważ już teraz zbyt dobrze знаła łączącą ich więź i bała się dowiedzieć czegoś więcej.

Więc gdy Sinsemilla zaczytywała się w „In Watermelon Sugar”, podczas gdy doktor Zagłada surfował po Internecie w poszukiwaniu nowinek o latających talerzach, kiedy wszyscy troje jedli śniadanie i nikt nie wspominał o żmii, Leilani robiła zapiski w swoim dzienniku, posługując się zmodyfikowaną formą stenografii, którą sama wynalazła i którą tylko ona potrafiła odczytać. Chciała opisać wypadki ze żmiją, dopóki wspomnienie nadal było świeże, ale jednocześnie prowadziła

obserwacje rodzinnego śniadania, włącznie ze wszystkim, o czym mówił Preston.

Od niedawna zastanawiała się nad zostaniem pisarką, zakładając, że w przeddzień nadchodzących dziesiątych urodzin zdoła uniknąć podarunku wiecznego życia. Nie zrezygnowała z planów wyhodowania lub nabycia pary fantastycznych buforów, którymi oczaruje jakiegoś miłego mężczyznę, ale dziewczyna nie może polegać wyłącznie na swojej klatce piersiowej, twarzy i jednej ładnej nodze. Pisanie powieści było nadal zajęciem godnym szacunku, mimo wysiłków niektórych szczególnych artystów. Czytała, że jednym z problemów, z jakimi zmagają się pisarze, jest znalezienie oryginalnego tematu, i zdała sobie sprawę, że jej matka i ojczym stanowią dla niej złotą żyłę – pod warunkiem że będzie miała dość szczęścia i przeżyje w ich towarzystwie.

– Ta sytuacja w Utah – odezwał się Preston, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w ekran laptopa – jest wysoce podejrzana.

W kółko gadał o blokadach na wszystkich autostradach prowadzących w południowe rejony Utah oraz pościgu za bandą handlarzy narkotyków, uzbrojonych jak okręty wojenne.

– Nie zapominajmy, że w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia” rząd zwodził ludzi fałszywą bajeczką o wycieku gazu paralizującego.

Według Prestona „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” nie były filmem fantastycznonaukowym, lecz zawołanym dokumentem. Preston wierzył także, że Steven Spielberg został porwany jako dziecko przez Obcych i stanowią ich narzędzie do przygotowania ludzi na rychłe nadejście emisariuszy z Kongresu Galaktycznego.

Doktorek nadal mamrotał coś o tym, jak rząd tuszuje liczne wizyty zielonych ludzików, co według niego tłumaczyło prawdziwą przyczynę wojny w Wietnamie; Leilani doszła do wniosku, że natychmiast po odebraniu samochodu od mechanika ruszą do Utah. Już teraz badacze UFO i podobni Prestonowi pielgrzymi, na pełen etat poświęcający się bliskim spotkaniom, gromadzili się w Nevadzie, w pobliżu granicy z Utah, oczekując na wypadki tak wyjątkowe, że rząd mimo wszystkich swoich możliwości nie zdoła ich przypisać gazowi ulatniającemu się z bagien, balonom meteorologicznym czy paskudnym sztuczkom przemysłu tytoniowego.

Dlatego tak się zdziwiła, kiedy parę minut później Preston znowu podniósł głowę znad laptopa, zarumieniony z podekscytowania, i oznajmił:

– Idaho. Leilani, to się stało. W Idaho nastąpiło uzdrowienie. Sinsemillo, słyszałaś? W Idaho nastąpiło uzdrowienie.

Stara Sinsemilla albo nie słyszała, albo nie była zainteresowana. Bez reszty pochłaniała ją lektura. Jej usta się nie poruszały, ale delikatne nozdrza lekko drgały, jakby wyczuwała już zapach oświecenia, a mięśnie szczęk zaciskały się i rozluźniały, jakby przeżuwała jakąś oporną mądrość.

Myśl o Idaho nie spodobała się Leilani. Idaho znajdowało się o krok od Montany, gdzie Lukipela „odszedł w gwiazdy”.

Myślała, że w lutym, kiedy miały nastąpić jej urodziny, Preston zaciągnie je właśnie do Montany. Skoro Obcy zafundowali tam Lukiemu wniebowzięcie, logika nakazywałaby odwiedzić to samo miejsce, gdyby Leilani nie została jednak cudownie uzdrowiona do czasu swoich dziesiątych urodzin.

Poza tym symetria tych dwóch czynów powinna mieć dla doktora Zagłady pewien urok: Leilani i Luki połączeni po śmierci, tak jak za życia, Lucyfer i Niebiański Kwiatusek karmiący te same robaki, jeden grób dla braciszka i siostrzyczki, splecionych na wieczność w płataninie kości. Preston miał duże zamiłowanie do romantyzmu.

Gdyby do wydarzeń w Montanie miało dojść za pół roku, Leilani miałaby czas przygotować sposób

ucieczki lub obrony. Ale jeśli w przyszłym tygodniu znajdą się w Idaho i jeśli stara Sinsemilla zapragnie wpaść po drodze do Montany, żeby zobaczyć, gdzie to Luki spotkał kosmitów, Preston może poczuć pokusę, by połączyć rodzeństwo wcześniej, niż zaplanował. Jeszcze nie miała planu ucieczki. Ani strategii obrony. I nie była gotowa na śmierć.

Poczekalnia była umeblowana surowo, tak surowo, że w porównaniu z nią wydział wykroczeń drogowych wydawał się przytulny. Znajdowało się w niej tylko pięć osób, ale w ramach umeblowania przewidziano cztery krzesła. Ponieważ pozostałe cztery kobiety były albo starsze od Micky, albo ciężarne, miejsca siedzące należały się im. W związku z kryzysem energetycznym – powietrze zostało ochłodzone do zaledwie dwudziestu pięciu stopni. Z wyjątkiem zapachu, w którym nie dawało się wyczuć ani śladu wymiocin, wszystko tutaj kojarzyło się Micky z całą więzienną.

Recepcjonistka wyjaśniła jej z odrobiną dezaprobaty, że skargi wnosi się przez telefon i że przybycie bez uprzedzenia jest szczególnie nierozsądne, ponieważ pociąga za sobą długie oczekiwanie. Micky zapewniła ją, że jest gotowa czekać – i przez następne czterdzieści minut powtórzyła to jeszcze dwa razy.

W przeciwieństwie do lekarskich poczekalni nie wykładano tu świeżej prasy. Lektura ograniczała się do ulotek informacyjnych, równie wciągających jak instrukcja obsługi komputera napisana po łacinie.

Pierwsza wolna pracownica opieki społecznej, która wyszła na spotkanie Micky, przedstawiła się jako F. Bronson. Użycie samego inicjału trochę zdziwiło Micky, ale w gabinecie F tabliczka na biurku ujawniła niewiele więcej: F. W. Bronson.

F., dobiegająca czterdziestki, atrakcyjna, była ubrana w czarne spodnie i taką samą bluzkę, jakby chciała zaprzeczyć porze roku i pogodzie. Długie brązowe włosy miała niedbale zaczesane do góry, a parę pasm, które wymknęło się z tej zaimprovizowanej fryzury, wyglądało na mokre od potu i omdlałe.

Od plakatów w przegrzanym gabinecie robiło się jeszcze cieplej: obrazki kotów i kociąt, czarnych i trikolor, syjamskich, angor i ślicznych dachowców, figlujących lub leniwie rozciągniętych. Zdjęcia puszystych istotek zagęszczały powietrze kocim ciepłem i wprowadzały dziwnie klaustrofobiczną atmosferę.

F. dostrzegła zainteresowanie Micky.

– W tej pracy mam do czynienia z tyloma głupimi, okrutnymi, nieświadomymi ludźmi... czasami muszę sobie przypominać, że świat jest pełen stworzeń, które są od nas lepsze.

– Doskonale to rozumiem – powiedziała Micky, choć wcale nie rozumiała. – Aleja bym wolała plakaty z psami.

– Mój ojciec lubił psy – odparła F., wskazując Micky jedno z dwóch krzesel przed biurkiem. – Był wrzaskliwym, egoistycznym rozpustnikiem. Wolę koty.

Jeśli psy jako gatunek napawały F. dozgonną niechęcią, ponieważ jej ojciec je lubił, czy łatwo urazić ją jakąś niewinną uwagą? Micky uznała, że należy przybrać pokorną postawę, której nauczyła się – nie bez trudu – podczas kontaktów z władzą.

F. usiadła za biurkiem.

– Gdyby się pani umówiła, nie musiałaby pani tak długo czekać.

– Nic nie szkodzi – odparła Micky, udając, że dostrzegła w tej uwadze nutę troski. – O trzeciej mam spotkanie w sprawie pracy, do tego czasu jestem wolna, więc mam mnóstwo czasu.

– Czym się pani zajmuje?

– Informatyką.

– Komputery rujną ten świat – oznajmiła F. bez złośliwości, za to z nutą rezygnacji. – Ludzie poświęcają więcej czasu na kontakt z maszynami niż na spotkania z innymi ludźmi i z roku na rok tracimy tę resztkę człowieczeństwa, która nam została. Micky wyczuła, że najlepiej będzie przyznać jej rację i usprawiedliwić się z pracy z diabelskimi maszynami. Westchnęła z fałszywym żalem i pokiwała

głową.

– Ale nie można dostać innej pracy.

Twarz F. skrzywiła się z dezaprobatą, zaraz potem się wypogodziła, jednak choć grymas ten był subtelny i przelotny, Micky zorientowała się, iż oskarżeni w procesie norymberskim też się tak usprawiedliwiali z pracy w komorach gazowych w Dachau i Oświęcimiu.

– Przyszła pani w sprawie dziecka?

– Aha. Tak. Dziewczynki, która mieszka obok mojej ciotki. Jest w strasznej sytuacji. Jej...

– Dlaczego to nie ciotka zgłosiła skargę?

– Przyszłam tu w imieniu nas obu. Ciocia Gen...

– Nie mogę przyjąć skargi opartej na zasłyszanych opiniach – przerwała F. bez gniewu, niemal z żalem. – Jeśli pani ciotka zobaczyła coś, co ją zaniepokoiło w związku z tą dziewczynką, powinna porozmawiać bezpośrednio ze mną.

– Tak, oczywiście, rozumiem. Ale ja, widzi pani, mieszkam z ciotką i także znam tę dziewczynkę.

– Widziała pani akty agresji wobec niej? Bito ją, źle traktowano?

– Nie, nie widziałam żadnych aktów przemocy fizycznej. Ale...

– Ale widziała pani jej dowody? Siniaki i tak dalej?

– Nie, nie. To nie tak. Nikt jej nie bije. Chodzi o...

– Wykorzystywanie seksualne?

– Nie, dzięki Bogu, Leilani to nie dotyczy.

– Leilani?

– Tak ma na imię.

– Zawsze mówią, że ich to nie dotyczy. Wstydzą się. Prawda wychodzi na jaw dopiero podczas terapii.

– Wiem, że często się tak dzieje. Ale ona, ta dziewczynka, jest inna. Twarda i bardzo mądra. Mówi wszystko bez skrepowania. Powiedziałyby mi, gdyby ktoś ją wykorzystywał. Twierdzi, że nie... a ja jej wierzę.

– Widuje ją pani regularnie? Rozmawia z nią pani?

– Wczoraj była u nas na kolacji. Była...

– Więc nie jest trzymana w zamknięciu? Nie mówimy o prześladowaniu poprzez ograniczenie wolności osobistej?

– Ograniczenie? No, może, w pewnym sensie.

– W jakim sensie? W pokoju było nieznośnie gorąco. Jak w wielu nowoczesnych wieżowcach, ze względu na klimatyzację i oszczędność energii okna się nie otwierały. System wentylacyjny działał, ale produkował więcej hałasu niż przewiewu.

– Ona nie chce żyć w tej rodzinie. Nikt by nie chciał.

– Nikt z nas nie wybiera sobie krewnych, proszę pani. Gdyby niezadowolenie z własnej rodziny oznaczało maltretowanie dziecka, miałabym cztery razy więcej pracy. Ograniczenie wolności osobistej oznacza zakucie w kajdanki, zamknięcie w pokoju, komórcę, przywiązanie do łóżka.

– Nie, nic takiego nie miało miejsca. Ale...

– Zbrodnicze zaniedbanie? Czy dziewczynka cierpi na chroniczną chorobę, której rodzice nie leczą? Czy ma niedowagę, jest głodzona?

– Nie, nie jest głodzona, ale wątpię, żeby miała zapewnione odpowiednie wyżywienie. Jej matka na pewno nie gotuje najlepiej.

F. odchyliła się na krzesło, unosząc brwi.

– Nie gotuje najlepiej? Chyba czegoś nie rozumiem. Micky siedziała na brzeжку krzesła, w proszącej pozycji, w której nie czuła się najlepiej. Miała wrażenie, że usiłuje sprzedać jakąś lipną historię. Wyprostowała się, odchyliła do tyłu.

– Proszę mnie zrozumieć, na pewno nie potrafię o tym opowiedzieć, ale nie chcę marnować pani czasu. To wyjątkowy przypadek i standardowe pytania nie docierają do sedna problemu.

W zbijający z tropu sposób, jakby nie słuchając Micky, F. odwróciła się do komputera i zaczęła na nim niecierpliwie pisać. Sądząc po prędkości, z jaką jej palce stukały w klawisze, była całkiem nieźle obeznana z szatańską technologią.

– Dobrze, otworzymy sprawę, zbierzmy podstawowe fakty. Potem opowie mi pani o wszystkim własnymi słowami, jeśli tak będzie łatwiej, a ja spiszę raport. Nazywa się pani Bellsong Micky?

– Bellsong Michelina Teresa. – Micky przeliterowała nazwisko i imiona.

F. poprosiła o adres i telefon.

– Nie ujawniamy żadnych informacji na temat skarżącego – czyli pani – rodzinie, w której sprawie wszczynamy śledztwo, ale musimy dysponować tymi informacjami na własny użytek. Na prośbę pracownicy Micky podała jej także numer swojego ubezpieczenia.

Wprowadziwszy go do komputera, F. pracowała nad nim przez parę minut, co chwila nieruchomiejąc, wpatrzona w ekran, tak pochłonięta zbieranymi danymi, że zapomniała o swoim towarzystwie.

Oto dehumanizacyjny wpływ technologii, o którym niedawno wspomniała.

Micky nie widziała, co znajduje się na ekranie. Dlatego drgnęła z zaskoczenia, gdy F., nadal wpatrzona w komputer, powiedziała:

– Więc została pani oskarżona o posiadanie skradzionego mienia, współudział w fałszowaniu dokumentów i posiadanie sfalszowanych dokumentów z zamiarem sprzedaży, w tym fałszywych praw jazdy, kart ubezpieczenia socjalnego...

Jej słowa osiągnęły to, czego nie udało się dokonać wódce cytrynowej i pączkom z czekoladą: obudziły w żołądku Micky mdlące drżenie.

– Ja... ale... przepraszam, ale pani nie ma prawa mnie o to pytać.

– Ja nie pytam – odparła F., nie odrywając wzroku od ekranu. – Sprawdziłam pani tożsamość. Tutaj jest napisane, że została pani skazana na półtora roku.

– To nie ma nic wspólnego z Leilani.

F. nie odpowiedziała. Jej smukłe palce gładziły klawisze, już w nie nie stukały, lecz cyzelowały ostatnie szczegóły.

– Ja nic nie zrobiłam – powiedziała Micky, ze wstrętem słysząc pokorną, błagalną nutkę we własnym głosie. – Facet, z którym wtedy byłam, zajmował się tymi rzeczami, ale ja nie miałam o nich pojęcia.

F. nadal była bardziej zainteresowana tym, co o Micky miał do powiedzenia komputer niż sama Micky.

Im dłużej F. milczała, tym bardziej Micky czuła się zobligowana do wyjaśnień.

– Ja tylko siedziałam w samochodzie, kiedy go aresztowali. Nie wiedziałam, co jest w bagażniku, nie wiedziałam o tych fałszywych dokumentach, skradzionej kolekcji monet, o niczym.

– Odbywała pani karę w zakładzie penitencjarnym dla kobiet w północnej Kalifornii. To na południe od Stockton, prawda? – odezwała się F., jakby nie usłyszała ani słowa z przemowy Micky. – Byłam kiedyś w Stockton na festiwalu szparagów. Między innymi proponowano tam dania przyrządzone

w ramach programu kulinarnego przez pensjonariuszki więzienia dla kobiet. O ile pamiętam, nic mi nie smakowało. Według tego, co tu widzę, nadal pani odbywa karę.

– No tak, bardzo mi przykro. Nigdy nie byłam na festiwalu szparagów. – Widząc, że twarz F. się zmienia, Micky czym prędzej usunęła ze swojego głosu zgryźliwy ton i spróbowała przemówić ze skruchą: – Wyszłam w zeszłym tygodniu. Przyjechałam tutaj, żeby zamieszkać z ciotką, dopóki się jakoś nie urządzę.

– Tutaj jest napisane, że jest pani w zakładzie penitencjarnym dla kobiet. I będzie jeszcze przez dwa miesiące.

– Wypuścili mnie wcześniej.

– Nie mam tu ani słowa na temat zwolnienia warunkowego.

– Nie jestem na warunkowym. Odsiedziałam całą karę, wyszłam za dobre zachowanie.

– Zaraz wracam. – F. zerwała się z krzesła i unikając kontaktu wzrokowego, ruszyła do drzwi.

Poprzez wertepy, przez noc, podczas gdy chmury odsuwają się na wschód i niebo się oczyszcza, chłopiec prowadzi samochód na zachód, kierując się wskazówkami psiny.

Pustynia stopniowo zanika. Pod oponami pojawia się trawiasta preria.

Nadchodzi świt, różowy i turkusowy, maluje niebo, które teraz jest już czyste jak woda destylowana. Sokół, szybujący na wysokich prądach powietrznych, wygląda jak odbicie ptaka na powierzchni nieruchomego stawu.

Silnik gaśnie z powodu braku paliwa, przez co muszą iść dalej pieszo terenem tak żyznym, jakiego nie widzieli od czasów Kolorado. W chwili gdy dżip wykaszał z siebie ostatnie opary paliwa, skończyła się także preria. Teraz są w wąskiej dolinie, gdzie rosną topole i jeszcze inne drzewa, rzucające cień na wartki strumień i jego łagodne zielone brzegi.

Przez całą długą jazdę nikt do nich nie strzelał, a z mroku nie wytoczyły się kolejne zwęglone zwłoki. Kilometr za kilometrem jedynym źródłem światła były gwiazdy, a o świcie wielkie konstelacje ustąpiły miejsca na scenie jedynej i najbliższej gwiazdzie, dającej ciepło temu światu.

Teraz, gdy Curtis wysiada z dżipa, jedynym dźwiękiem są stłumione klekoty i pikania stygnącego silnika.

Suczka – dobra koleżanka i niezmordowany pilot – jest wyczerpana, tak jak się można było spodziewać. Podbiega truchtem do strumienia i hałaśliwie chłepcze wodę z chłodnego przejrzystego nurtu.

Curtis klęka nieco dalej, w górze rzeki, i także gasi pragnienie.

Nie widzi ryb, ale jest pewien, że znajdują się w strumieniu.

Gdyby był Huckleberrym Finnem, umiałby złapać śniadanie. Oczywiście gdyby był niedźwiedziem, złapałby jeszcze więcej ryb niż Huck. Nie może być Huckiem, ponieważ Huck jest postacią fikcyjną, i nie może być także niedźwiedziem, ponieważ jest Curtisem Hammondem. Nawet gdyby był tu jakiś niedźwiedź, który służyłby za szczegółowy przykład budowy i zachowania niedźwiedzia, nie ośmieliłby się rozebrać, spróbować być niedźwiedziem i brodzić w strumieniu w poszukiwaniu ryb, ponieważ później, gdy znowu zostałby Curtisem i włożył jego ubranie, od nowa musiałby przybrać nową tożsamość, z którą łączy największe nadzieje na przeżycie, i stałby się bardziej widoczny dla gorszych huncwotów, jeśli się tu znowu pojawią i spróbują go namierzyć.

– Może naprawdę jestem głupi – mówi do psiny. – Może Gabby miał rację. On na pewno był mądry. Wiedział wszystko o rządzie i uratował nas z kłopotów. Może miał rację także co do mnie.

Suczka jest innego zdania. Z typowo psią serdecznością uśmiecha się i macha ogonem.

– Dobra psinka. Ale obiecałem, że się tobą zaopiekuję, a teraz zostaliśmy bez jedzenia.

Dzięki kursowi przetrwania potrafiłby znaleźć dzikie rośliny i grzyby, które by podtrzymały jego siły, ale psina nie chciałaby tego jeść i nie zdołałaby z nich pobrać niezbędnych składników odżywczych.

Stary Rudzielec podbiega truchcikiem do dżipa i staje przy zamkniętych drzwiach od strony pasażera. Curtis otwiera je przed nią; psina wskakuje na fotel i uderza łapą w schowek na rękawiczki. Curtis uchyla klapkę i odkrywa, że Gabby przygotował sobie przekąskę. Trzy paczki markiz, paczka z wołowiną, druga z indykiem, dwie paczuszki orzeszków i słodki batonik. W schowku znajduje się także dokument rejestracyjny dżipa, na którym figuruje nazwisko właściciela: Cliff Mooney. Widać stróż, jeśli jest spokrewniony z nieśmiertelnym Gabbym Hayesem, to przez matkę. Curtis uczy się na pamięć adresu Cliffa, który będzie mu potrzebny, żeby odpowiednio zrekompensować stróżowi stratę.



Chłopiec i psina siadają ze zdobyczą przy srebrzystym strumieniu, pod rozłożystymi gałęziami dwudziestometrowego okazu *Populus candican*, znanego bardziej jako topola z Ontario.

Curtis wie więcej, niż można się dowiedzieć z filmów; zna się na lokalnej botanice równie dobrze, jak na lokalnej biologii. Zna się też na lokalnej fizyce, jak również fizyce w pełnym zakresie, chemii, wyższej matematyce, zna dwadzieścia pięć miejscowych języków i wie, jak się robi pyszną szarlotkę, a także wiele innych rzeczy.

Ale choćby się umiało nie wiadomo jak wiele rzeczy, i tak nie wie się wszystkiego. Curtis zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń i bezdennej ignorancji. Siedząc oparty o pień drzewa, rozrywa pieczeń wołową na strzępki i karmi nią psa, kawałek po kawałku.

Wiedza to nie mądrość, niestety, i nie jesteśmy tu po to, by się faszerować faktami i liczbami. Dano nam to życie, żebyśmy mogli zasłużyć na następne; ten dar to szansa doskonalenia duszy, a wiedza jest jednym z wielu składników odżywczych, które sprzyjają jej wzrostowi. Mądrość mamy.

Słońce wspina się wyżej, wygotowuje nocną rosę, płożąca się nisko mgła migocze tuż nad trawą, jakby ziemia wyparowywała sny pochowanych w jej głębinie zmarłych pokoleń.

Psina przygląda się mgłę z takim zainteresowaniem, że nawet się nie niecierpliwi, gdy Curtis przez chwilę siłuje się z drugim opakowaniem. Z postawionymi uszami i przekrzywioną głową skupia uwagę nie na niebezpieczeństwie, lecz na aurze tajemnicy, która zaległa nad doliną.

Jej gatunek został obdarzony ograniczonym, lecz znacznym intelektem, uczuciami i nadzieją. Ale tym, co najbardziej odróżniają od ludzi i innych wyżej rozwiniętych form życia, nie jest wydolność umysłowa, lecz niewinność. Psina wyraża zainteresowanie własnym dobrem tylko w sprawach życia i śmierci, nigdy nie zniżając się do egoizmu, okazywanego na niezliczone sposoby przez tych, którzy uważają się za lepszych od niej. Ta niewinność łączy się z klarownie czystą percepcją, dzięki której psina dostrzega cud stworzenia nawet w najskromniejszej scenie i najcichszej chwili, jest jej świadoma w każdej sekundzie, o każdej porze, podczas gdy ludzie na ogół trawią całe dni lub tygodnie – a zbyt często nawet całe życie – zachwycając się wyłącznie sobą.

Oczywiście odpakowana pieczeń bije na głowę dolinę razem z mgłą. Psina je z zachwytem i czystą rozkoszą.

Curtis otwiera paczkę markiz. Daje psinie dwa z sześciu ciasteczek z kremem orzechowym. Dostała już wszystko, czego jej potrzeba, a on nie chce, żeby nabawiła się niestrawności.

Za jakiś czas zapewni jej bardziej zrównoważoną dietę – ale to musi poczekać do czasu, gdy oddali się od nich niebezpieczeństwo wypatroszenia, pozbawienia głowy, rozdarcia na strzępy, zmiżdżenia, rozerwania, spalenia i czegoś jeszcze gorszego. Rozpaczliwa ucieczka dla ratowania życia to wystarczające usprawiedliwienie dla przyjmowania pustych kalorii.

Stary Rudzielec znowu pije ze strumienia, po czym wraca do Curtisa i kładzie się przy nim, mocno przytulona plecami do jego lewej nogi. Chłopiec je podwójne ciasteczka z kremem w środku i gładzi ją po boku – powoli, kojąco. Wkrótce potem psina zasypia.

Zamieszanie to dobre przebranie, a ruch to zamieszanie. Byłby bezpieczniejszy, gdyby nadal się przemieszczał, a jeszcze bardziej, gdyby dotarł na tereny zamieszkane i wtopił się między ludzi. Ale psina nie jest tak wytrzymała jak on. Nie może wymagać, żeby zapomniała o potrzebie snu i zagoniła się na śmierć.

Dojada cztery ciastka z pierwszej paczki, zjada wszystkie sześć z drugiej, zagryza je batonikiem i kończy torebką orzeszków. Życie jest piękne.

Jedząc, wraca myślami do ucieczki Gabby'ego, który zostawił dżipa na środku solnych równin.

Zachowanie stróża było w najlepszym razie ekscentryczne, w najgorszym – szalone. Curtis podczas swojej przygody nie spotkał nikogo, kto pod względem charakteru i zachowania byłby oryginalniejszy od Gabby’ego. Wiele cech tego zgryźliwego szczura pustynnego wydaje się chłopcu zaskakujące, ale to gwałtowne pierzchnięcie z samochodu przy akompaniamencie brzydkich wyrazów i piesza ucieczka przez jarzące się równiny były szczególnie zdumiewające. Aż trudno uwierzyć, żeby zwrócona w dobrej wierze uwaga na temat wymowy słowa *cojones* mogła pchnąć starszego pana do biegu przez pustynię w nieopanowanym ataku wściekłości lub upokorzenia.

W głowie Curtisa pojawia się nowe podejrzenie, ale chłopiec nie potrafi go wydobyć na światło dzienne w celu lepszego przeanalizowania. Zastanawia się nad tym, lecz jego myśli mąci sen psiny.

Jego towarzyszka sygnalizuje go piskiem: nie wyraża on strachu, lecz tęsknotę. Jej przednie łapy drgają, a na podstawie ruchu tylnych nóg Curtis wnosi, że psina śni o bieganiu. Kładzie rękę na jej boku, który unosi się szybko i zapada wraz z oddechem. Czuje bicie serca, mocne i pospieszne.

W przeciwieństwie do chłopca, którego imię przybrał, ten Curtis nigdy nie śpi. Dlatego nie ma snów. Ciekawość skłania go do wykorzystania tej szczególnej psio-chłopięco więzi, która synchronizuje jego mózg z mózgiem przybranej siostrzyczki. Dzięki niej może wejść w sekretny świat jej snów.

*Szczenię między szczeniętami, ssie sutek, zachwycona pulsowaniem serca matki, pulsowaniem sutka w jej łapczywym pyszczku, potem poddaje się lizaniu matki, wielki ciepły język, czarny nos, lodowaty ze wzruszenia... Niezdarnie gramoli się po kudłatym boku matki, gramoli się z zapalem, ponieważ za wzniesieniem matczynych żeber kryje się jakaś tajemnica, jakiś zdumiewający cud, który musi zobaczyć, musi:... potem sierść rozptywa się w trawie, oto łąka, śpiewają cykady, ich pieśń drży w jej krwi... a teraz jest już większym pieskiem, pędzi przez soczystą trawę w pościgu za pomarańczowym motylem, jaskrawym jak trzepoczący płomień, palący się tajemniczo w powietrzu... apo lace las, cienie i zapach świerku, woń gnijących liści i igieł, oto motyl jasny jak słońce w promieniu światła, ale zatoczył łuk i zniknął... otaczają rechot leśnych żab, a ona idzie za zapachem jelenia, który został w paprociach, idzie, nie bojąc się coraz głębszych cieni, ponieważ żartobliwa Obecność idzie razem z nią, jak zawsze i wszędzie...*

Jeden sen przechodzi płynnie w następny, bez logicznej akcji. Jedyłą nicią, na której zawieszono są te wszystkie obrazy, jest radość; radość to nić, a wspomnienia to świetliste paciorki.

Curtis, siedzący pod drzewem, wzdryga się, początkowo z uniesienia i rozkoszy.

Ta dolina wydaje się mu mniej realna niż pola z psiego snu, chichot tego strumienia jest mniej przekonujący niż rechot żab z czystych i żywych obrazów. Pojedyncze dreszcze zmieniają się w ciągłe drżenie, gdy Curtis bardziej świadomie pojmuje ogromną radość psiny. Nie jest to zwykła radość płynąca z biegu czy radosnych skoków z kłody drewna na omszały kamień; nie jest to radość wolności czy pełnego życia, lecz przesywająca radość, która zjawia się wraz ze świadomością tej świętej, żartobliwej Obecności.

Curtis biegnie wraz z psiną w jej śnie i szuka śladu nieustannie towarzyszącej im istoty, spodziewa się nagle ujrzeć jej zdumiewającą postać, spoglądającą spomiędzy warstw liści paproci czy z góry, spod sklepienia katedry drzew. Potem najwyższa psia mądrość, płynąca z jej doskonałej niewinności, udziela się Curtisowi, który pojmuje prawdę, jednocześnie będącą objawieniem i tajemnicą, zarówno euforycznym uniesieniem, jak i ogromną pokorą. Chłopiec dowiadyuje się, że Obecność jest wszędzie, nie ogranicza się do jednej kępy paproci czy jednego zagłębienia cieni, lecz wibruje we wszystkim. Teraz chłopiec czuje to, co do tej pory tylko wiedział dzięki religii i zdrowemu rozsądkowi, przez jedną słodką miazdzącą chwilę czuje to, co mogą poczuć tylko niewinni: najdoskonalszą słuszność stworzenia od

brzegu do brzegu morza gwiazd, czyste dzwonięcie w sercu, które przegania wszystkie lęki i wszelki gniew, poczucie przynależności, celu, nadziei, świadomość, że jest się kochanym.

Zwyczajna radość zmienia się w uniesienie, zachwyt chłopca pogłębia się coraz bardziej, nie ma w nim ani śladu przerażenia, za to jest tyle podziwu i wyzwalającej pokory, że to drżenie zmienia się w dygot, od którego jego serce tłucze się o pręty żeber. W chwili gdy uniesienie zmienia się w ekstazę, jego dygot budzi psinę.

Sen się kończy, a wraz z nim radosna bliskość z żartobliwą Obecnością. Ciało Curtisa przeszywa rozpacz.

Psina dzięki swojej niewinności, czy to we śnie, czy na jawie, obcuje nieustannie z obecnością swojego Stwórcy. Ale kiedy się budzi, Curtis nie może już utrzymać tak głębokiej więzi jak podczas snu, więc nie może dzielić z nią tej szczególnej świadomości.

Jaśniejący błękit letniego nieba spływa, drżąc, w dół, zmienia się w złoty deszcz, zieleni się w trawie, srebrzy w mrużącym strumieniu – jakby ten dzień wzorował się na grającej szafie z lat czterdziestych, mieniającej się niezmordowanie tęczowymi kolorami w oczekiwaniu, aż ktoś wrzuci w nią pieniążek. Natura jeszcze nigdy nie wydawała się tak wyrazista; gdziekolwiek spojrzy, wszystko jest porażające, promienne, wstrząsające pięknem i misternością.

Chłopiec nieustannie ociera twarz, a za każdym razem, kiedy opuszcza dłonie, suka oblizuje mu palce, częściowo w ramach pocieszenia, częściowo z sympatii, ale także dlatego, że smakują jej słone łyzy.

Chłopiec zachował wspomnienie transcendencji, ale nie samo uczucie, które stanowi sens tego doznania – a jednak nie opłakuje tej straty. Życie byłoby nie do zniesienia, gdyby w każdej jego chwili czuł tę pełną intymność duchowej więzi ze Stwórcą.

Psina urodziła się z tą łaską. Jest do niej przyzwyczajona i dobrze jej z tym, ponieważ jej niewinności nie psuje myślenie o sobie.

Dla Curtisa, jak dla wszystkich ludzi, taka duchowa intensywność musi być zarezerwowana na przyszłe wcielenie, na wiele następnych wcieleń, kiedy osiągną głęboki pokój i odzyskają niewinność.

Chłopiec wstaje, kiedy może już stać. Gdy wraca mu zdolność ruchu, rusza przed siebie. Policzki ma sztywne od wyschniętych łyż. Ociera twarz rękawem koszuli i oddycha głęboko przez bawełniany materiał, rozkoszując się słabym cytrynowym zapachem płynu zmiękczającego, którego pani Hammond dodawała do prania, a także śladem innych zapachów, zmagazynowanych od czasu wyruszenia z Kolorado.

Zenit nieba znajduje się na wschód od słońca, ponieważ południe nadeszło i minęło w czasie, gdy odpoczywali pod drzewem.

Suczka, wypoczęta, idzie powoli wzdłuż brzegu strumienia, wachając żółte i różowe kwiatki, które skłaniają ciężkie kolorowe głowy jakby w zamyśleniu nad sprawami o wielkiej wadze dla kwiatów całego świata.

Wędrowny wietrzyk, który nadpływa jakby z jednej strony, a potem z przeciwnej, od niechcienia włączy się po dolinie.

Nagle Curtis czuje, że ogarnia go niebezpieczne rozleniwienie. Przecież nie jest to zwyczajny dzień, lecz trzeci dzień polowania. I łąka też nie jest zwyczajna. Jak wszystkie łąki pomiędzy narodzinami i śmiercią, jest to potencjalne pole bitwy.

Tak jak poprzednio niebezpieczeństwo nadejdzie ze wschodu, śladem słońca. Jeśli gdziekolwiek znajduje się bezpieczne miejsce, to na zachodzie, toteż należy natychmiast przeprowić się przez strumień i ruszać w drogę.

Chłopiec przywołuje psinę gwizdnięciem. Nie jest już jego przybraną siostrzyczką. Odtąd będzie ją nazywał prawdziwą siostrą.

F. Bronson wyszła bez słowa wyjaśnienia, zamykając za sobą drzwi.

Kocie spojrzenia ze wszystkich stron wbijały się w Micky z intensywnością kamer systemu alarmowego. Dziewczyna miała wrażenie, że nieobecna F. nadal przygląda się jej poprzez magiczne połączenie z tymi nieruchomymi oczami z plakatów.

Tematem spotkania stało się nie bezpieczeństwo Leilani, lecz wiarygodność Micky, jej moralność bądź brak moralności.

Upał stał się niemal namacalny, jak niezdarny mężczyzna, zbyt gwałtowny w swym uniesieniu, z mokrymi rękami, rozpalonym oddechem, nalegający i nachalny. Micky dałaby głowę, że w tym ciężkim powietrzu wisi zapach kociego futerka. Może F. miała w domu koty. Może ich zapach wczepił się w jej ubrania i włosy.

Micky siedziała nieruchomo, zaciskając palce na torebce. Po chwili zamknęła oczy, żeby nie widzieć świdrujących spojrzeń kotów. Zamknęła je także pod wpływem fałszywego, lecz przekonującego wrażenia, że gabinet raptownie się kurczy, zmienia kształt i wygląd, nabiera sterylności i restrykcyjnych proporcji, znanych ze swego wpływu na chęć powrotu do społeczeństwa lub odebrania sobie życia.

Klaustrofobia, mdłości i upokorzenie miały na Micky wpływ bardziej przygniatający niż upał, duchota i zapach kotów. Ale jeszcze bardziej niepokoił ją wzbierający w sercu gniew, gorzki jak każdy napar, uwarzony w kotle pełnym koziej krwi, oczu ropuch i języków nietoperzy.

Gniew jest godną szacunku metodą obrony, ale niedającą szansy na ostateczne zwycięstwo. Gniew jest lekarstwem, które nie prowadzi do wyleczenia, na chwilę znieczula ból, nie wyciągając ciernia, który spowodował cierpienie. W tej chwili jeszcze mniej mogła sobie pozwolić na gniew niż kiedykolwiek. Gdyby odpowiedziała na arogancję i obelgi F. salwą sarkazmu i szyderstwa, którymi z dużym powodzeniem posługiwała się w przeszłości, osiągnęłaby samolubną satysfakcję kosztem Leilani.

F. wyszła z gabinetu najprawdopodobniej po to, by kazać recepcjonistce zadzwonić na policję i potwierdzić historię Micky o wcześniejszym zwolnieniu z więzienia. Przecież Micky mogłaby być niebezpieczną uciekiniarką, która zjawiła się tu w koralowym kostiumie, białej fałdzistej bluzce bez rękawów i białych szpilkach, żeby ukraść fundusz śniadaniowy lub wynieść cały karton tych bajecznie interesujących ulotek na temat związku pomiędzy biernym paleniem a alarmującym wzrostem urodzeń małych wilkołaków.

Micky upomniała się dla uspokojenia, że tylko własnym życiowym wyborom – własnym i żadnym innym – zawdzięcza odsiadkę i upokorzenie, przygniatające ją do ziemi, ale i dodające odwagi. To nie F. Bronson kazała się jej związać z fałszerzem dokumentów, który pociągnął ją ze sobą na dno. I nie F. była odpowiedzialna za idiotyczną odmowę Micky obciążenia tego bezwartościowego śmiecia w zamian za wyrok w zawieszeniu. To sama Micky zdecydowała się nie donosić na drania w nadziei, że przysięgli ujrzą w niej sprowadzoną na manowce, lecz niewinną kobietę, którą była.

Drzwi się otworzyły i F. weszła do gabinetu. Micky natychmiast podniosła głowę i otworzyła oczy, nie chcąc trwać w tej pokornej postawie. F. usiadła za biurkiem, nie tłumacząc swojego nagłego wyjścia i unikając kontaktu wzrokowego. Ale raz zerknęła na małą torebkę Micky, jakby zastanawiała się nerwowo, czy kryje się w niej broń półautomatyczna oraz zapas amunicji i granatów, wystarczający na długą wymianę ognia z policją.

– Nazwisko dziecka? – spytała.

– Leilani Klonek. – Micky przeliterowała imię i nazwisko – i postanowiła nie wspominać, że to

ostatnie jest wyraźnym objawem niepczytalności matki dziewczynki. Historia Leilani była wystarczająco skomplikowana nawet po ograniczeniu jej do nagich najważniejszych faktów.

– Zna pani jej wiek?

– Dziewięć lat.

– Personalia rodziców?

– Mieszka z matką i ojczymem. Matka nazywa siebie Sinsemillą.

– Jak to, nazywa siebie?

– To nie może być jej prawdziwe imię. – Dlaczego? – spytała F., wpatrzona w klawiaturę, nad którą zawisły jej palce.

– To nazwa szczególnie mocnego gatunku trawy. F. była wyraźnie zbita z tropu.

– Trawy?

– No, wie pani, marychy. Marihuany.

– Nie. – F. wyszarpnęła chusteczkę z pudełka, wytarła spocony kark. – Nie wiem. Skąd. Mój najgorszy nałóg to kawa.

Micky czuła się tak, jakby znowu stała przed sądem. Z trudem narzuciła sobie spokój.

– Nie biorę narkotyków. Nigdy nie brałam. – I to była prawda.

– Nie pracuję w policji, proszę pani. Nie musi się mną pani przejmować. Interesuje mnie tylko dobro tej dziewczynki.

Jeśli F. miała wnieść do sprawy determinację, musiała uwierzyć Micky, a żeby jej uwierzyć, musiała poczuć z nią jakąś więź. W tej chwili nie łączyło ich nic z wyjątkiem tej samej płci, ale to nie budzi nawet najśłabszego poczucia siostrzanej solidarności.

W więzieniu Micky nauczyła się, że tematem łączącym najbardziej odmienne od siebie kobiety są mężczyźni. W przypadku niektórych kobiet ich sympatię można zyskać najszybciej, wyśmiewając mężczyzn i ich słabości. Dlatego teraz powiedziała:

– Wielu facetów mówiło mi, że narkotyki rozszerzają świadomość, ale gdyby sądzić na ich przykładzie, to raczej robią z ludzi idiotów.

F. wreszcie odwróciła wzrok od komputera.

– Leilani musi znać prawdziwe personalia matki.

Jej twarz i oczy były nieprzeniknione jak twarz manekina. W tym wystudiowanym wyrazie obojętności na wszelkie zabiegi kryło się więcej pogardy niż w najbardziej wyniosłym grymasie.

– Nie. Leilani nigdy nie słyszała innego imienia. Ta kobieta jest przesądna. Uważa, że jeśli ujawni się komuś swoje prawdziwe imię, daje się mu nad sobą władzę.

– Powiedziała to pani?

– Leilani mi to powiedziała.

– Mówiłam o matce.

– Właściwie nie rozmawiałam z jej matką.

– Ponieważ przyszła pani zgłosić, że dziecko znajduje się w takim czy innym niebezpieczeństwie, chyba mogę założyć, że przynajmniej spotkała się pani z matką.

Micky szybko załatała tamę, w której jadowity ton F. wypalił dziurę.

– Tak, raz się z nią spotkałam. Zachowywała się bardzo dziwnie. Była naćpana po uszy. Ale wydaje mi się, że...

– Zna pani nazwisko matki – przerwała jej F” wracając do komputera – czy mam tu zapisać „Sinsemilla”?

– Po mężu nazywa się Maddoc. M-a-d-d-o-c.

– Ma pani z nią jakieś związki? – spytała F. sucho, tonem pozbawionym najdrobniejszych nut oskarżenia.

– Przepraszam, związki?

– Czy jest pani z nią jakoś związana?

Z lewej skroni Micky stoczyła się kropla potu. Wytarła ją dłonią.

– Jak powiedziałam, spotkałam ją tylko raz.

– Czy spotyka się pani lub spotykała z jej partnerem, czy pokłóciłyście się o chłopaka, czy miała pani związki z jej byłym mężem? Czy łączy was coś, o czym ona z pewnością wspomni, kiedy będę z nią rozmawiać? Ponieważ wcześniej czy później prawda zawsze wychodzi na jaw, zapewniam panią.

Koty patrzyły na Micky, Micky patrzyła na F., a F. zamierzała chyba do końca świata patrzeć w komputer.

Głupi, okrutni, nieświadomi ludzie, o których wspomniała wcześniej F., ten motłoch, przez który musiała wytapetować ściany plakatami, włączył w swoje szeregi także Micky. Może znalazła się w tej kategorii z powodu wyroku, może dlatego, że nieświadomie obraziła F., może to kwestia złej chemii między nimi. Nieważne, w tej chwili znalazła się na czarnej liście urzędniczki, a znała ją już na tyle, by wiedzieć, że jej nazwisko jest zapisane niezmywalnym pisakiem.

– Nie – powiedziała wreszcie Micky. – Pomiędzy mną i matką Leilani nie ma nic osobistego. Niepokoję się o tę dziewczynkę, to wszystko.

– Imię ojca?

– Preston.

Twarz F. nabrała wreszcie wyrazu nieco bardziej ekspresyjnego niż ekran komputera. Kobieta znowu spojrziała na Micky.

– Chyba nie chodzi o tego Prestona Maddoca.

– Chyba chodzi. Do wczoraj o nim nie słyszałam. – Nigdy nie słyszała pani o Prestonie Maddocu? – powtórzyła F., unosząc brwi.

– Nie miałam okazji o nim przeczytać. Z tego, co mówiła Leilani, wynika... no, nie jestem pewna, ale chyba został oskarżony o zamordowanie kilku osób, tylko mu się upiekło.

Cienka warstwa zaskoczenia szybko rozplynęła się pod maską urzędniczej obojętności, ale kobieta nie zdołała złagodzić jadowitego brzmienia głosu:

– Został uniewinniony, proszę pani. Uznano go za niewinnego w dwóch oddzielnych procesach. To nie to samo, co „mu się upiekło”.

Micky znowu poczuła, że siedzi na brzeжку krzesła, jeszcze raz zepchnięta do tej błagalnej pozycji, ale tym razem nie wyprostowała ramion. Oblizła usta, słone od potu. Czuła się jak pobita.

– Nie wiedziałam, że został uniewinniony, ale wiem, że pewna mała dziewczynka przeszła bardzo wiele, teraz znajduje się w okropnej sytuacji i ktoś musi jej pomóc. Może Maddoc nie zrobił tego, o co go oskarżono, proszę bardzo, ale Leilani miała starszego brata, który zaginął. A jeśli Leilani mówi prawdę, to zabił go Preston Maddoc i jej życie także jest w niebezpieczeństwie. A ja jej wierzę. Myślę, że pani także by jej uwierzyła.

– Zabił jej brata?

– Tak. Tak mówi Leilani.

– Więc była świadkiem morderstwa?

– Nie, nie widziała tego na własne oczy. Ale...

- Skoro nie widziała, to skąd wie, co się stało?
- Maddoc zabrał chłopca i wrócił bez niego – powiedziała Micky z uporem, licząc, że cierpliwością przewalczy przeciwności.
- Dokąd go zabrał?
- Do lasu. Byli...
- Do lasu? Nie ma tu zbyt dużych lasów.
- Leilani twierdzi, że byli wtedy z Montanie. Na miejscu lądowania UFO.
- UFO? – F., niczym ptak zbierający nitki do budowy gniazdko, uporczywie wyszarpywała z opowieści Micky drobne szczegóły, choć nie z zamiarem zbudowania czegośkolwiek, lecz dla czystej przyjemności zniszczenia całego wątku. Na wzmiankę o UFO jej oczy nabrały skupionego przenikliwego wyrazu, jak oczy jastrzębia, zdolne przyszpilić małą myszkę z wysokości trzydziestu metrów; gdyby odrobinę mniej nad sobą panowała, po następnych dwóch słowach wyrwałby się jej pewnie ptasi skrzek zimnej radości. – Latające talerze?
- Pan Maddoc jest fanem UFO. Kontakty z Obcymi, wszystkie te dziwne sprawy...
- A to od kiedy? Gdyby to była prawda, media by o tym wspomniały. Nie sądzi pani? Dziennikarze są bezlitośni.
- Leilani twierdzi, że jej ojczym zainteresował się UFO od czasu, gdy ożenił się z jej matką. Podobno...
- Czy rozmawiała pani o chłopcu z panem Maddokiem?
- Nie. Po co?
- Więc swoje przekonanie opiera pani wyłącznie na słowie dziecka?
- Czy państwo postępujecie inaczej? Nie, nigdy go nie spotkałam.
- Nie spotkała pani pana Maddoca? Ani jego, ani matki...– Jak powiedziałam, spotkałam ją raz. Była tak naćpana, że narkotyki wychodziły jej uszami. Pewnie nawet mnie nie pamięta.
- Widziała pani, jak matka dziecka bierze narkotyki?
- Nie widziałam. Ona była nimi nafaszerowana. Musicie usunąć Leilani z tego domu, choćby dlatego, że jej matka pół życia spędza nieprzytomna.
- Interkom na biurku F. zabuczał, ale recepcjonistka się nie odezwała. Kolejne buczenie. Jak brzęczyk w piecyku: gęś gotowa.
- Zaraz wracam – obiecała F. i znowu wyszła.
- Micky miała ochotę zedrzeć ze ścian plakaty z kotami.
- Zamiast to zrobić, odchyliła palcem głęboki dekolt bluzki i dmuchnęła na spocone piersi. Miała ochotę zdjąć marynarkę, ale z jakiegoś powodu wydawało się jej, że w ten sposób jeszcze bardziej pogorszy swoją sytuację. F. Bronson, od stóp do głów odziana w czerń w tym upale, wydawała się rzucać swoim gościom wyzwania wytrzymałości.
- Tym razem F. wróciła bardzo szybko.
- Proszę mi opowiedzieć o tym zaginionym bracie – rzuciła, siadając.
- Więc odwołała pani oddział specjalny? – spytała Micky, ostrzegając się przed wybuchem, lecz nie bardzo słuchając własnych rad.
- Słucham? – Sprawdziła pani, czy nie uciekłam z więzienia.
- F. spojrzała jej w oczy bez najmniejszego zażenowania.
- Na moim miejscu zrobiłaby pani to samo. Nie zamierzałam pani obrazić.
- Nie tak to wygląda z mojego punktu widzenia – odparła Micky, z przerażeniem stwierdzając, że



sama prowokuje niepotrzebny konflikt.

– Z całym szacunkiem, nie patrzę na świat z pani punktu widzenia.

Nawet policzek nie odniósłby silniejszego efektu. Micky oblała się rumieńcem upokorzenia.

Gdyby F. znowu wbiła wzrok w ekran komputera, Micky pewnie by wybuchła. Ale w oczach kobiety ujrzała lodowatą pogardę równie wielką, jak własny ognisty gniew, upór równie twardy jak zimny kamień.

Ze wszystkich możliwych pracownic musiała trafić akurat na tę, jakby los chciał się rozweselić widokiem kobiet zmagających się jak dwa barany.

Leilani. Miała obowiązki wobec Leilani.

Micky przełknęła dziś tak wiele gniewu i upokorzenia, że mogła już nic nie jeść.

– Proszę pozwolić, że opowiem o sytuacji tej dziewczynki – powiedziała błagalnie. – Oraz jej brata. Od początku do końca, bez pytań i odpowiedzi.

– No, zobaczmy – rzuciła F. opryskliwie.

Micky streściła historię Leilani, pozbawiając ją najbardziej wstrząsających szczegółów, które dałyby F. pretekst do odrzucenia całości jako fikcji.

F. słuchała wersji jakby rodem z „Reader’s Digest” z coraz większym zdenerwowaniem. Zniecierpliwienie wyrażała nieustannym poprawianiem się na krzesle, ciągłym podnoszeniem notesu, jakby chciała w nim coś zapisać, choć odkładała go bez żadnej notatki.

Za każdym razem, gdy Micky wspominała o Prestonie Maddocu, czoło F. zaczynało się marszczyć. Delikatne zmarszczki napinały się jak szwy, za które ktoś szarpnął nitką, w kącikach oczu tworzyły się fałdy skóry, wargi zaciskały się jak zszyte drobnym ścięciem. Najwyraźniej nie pochwałała przekonania, że Maddoc mógłby być mordercą, a dezaprobata zajmowała się jej twarzą niczym wprawna szwaczka.

Takiego zachowania nie dało się uzasadnić wyłącznie brakiem sympatii do Micky. Wyglądało na to, że kobieta ma własną opinię na temat Maddoca i choć go nie broni, nie bierze pod uwagę zmiany poglądów.

– Skoro uważa pani, że doszło do morderstwa – powiedziała, kiedy Micky skończyła – dlaczego nie zwróciła się pani do policji?

Odpowiedź była skomplikowana. Przede wszystkim, gdy ją aresztowano, dwaj policjanci naciągnęli trochę fakty i zasugerowali, że była nie tylko towarzyszką fałszerza dokumentów, lecz także jego współniczką, a obrońca z urzędu był tak przepracowany lub tak niekompetentny, że nie sprostował tego nieporozumienia podczas rozprawy. Micky miała na jakiś czas dość kontaktów z policją. I nie ufała systemowi. Co więcej, wiedziała, że tutejsza policja nie będzie się kwapić ze wszczęciem dochodzenia w związku z doniesieniem o morderstwie daleko poza ich jurysdykcją, podczas gdy na miejscu miała mnóstwo lokalnych przestępstw. Micky nawet nie znała Lukipeli. Jej oskarżenie opierało się na zaufaniu do Leilani i choć miała pewność, że policjanci także uwierzą dziewczynce, jej zeznanie było oparte na pogłoskach.

– Pewnie, że trzeba będzie zająć się zniknięciem Lukiego, ale na razie chodzi o Leilani i jej bezpieczeństwo. Nie musicie czekać, aż policja udowodni, że Luki został zamordowany. Leilani żyje, ma kłopoty, więc wydaje mi się, że najpierw należy nią się zająć.

F. nie odpowiedziała, znowu odwróciła się do komputera i pisała przez dwie lub trzy minuty. Albo było to oświadczenie Micky, albo oficjalny raport zamknięcia sprawy bez podjęcia działań.

Za oknem świat wydawał się rozpalony do białości. Pobliska palma miała kryzę z suchych zbrązowiałych liści. Kalifornia w ogniu.

F. przestała pisać i znowu zwróciła się do Micky.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. Być może uzna je pani za zbyt osobiste i oczywiście nie musi pani na nie odpowiadać.

Micky przywołała na twarz nieufny uśmiech, nieprawdziwy jak szminka. Miała nadzieję, że machina organizacji ruszy do działania bez względu na to, jak poszła pierwsza rozmowa.

– Tak?

– Czy w więzieniu odnalazła pani Jezusa?

– Jezusa? – Jezusa, Buddę, Allaha, Wisznu, L. Rona Hubbarda. Mnóstwo ludzi odnajduje religię za kratkami.

– Dowiedziałam się tam tylko, jak należy żyć. I stałam się rozsądniejsza.

– Ludzie przyjmują w więzieniu wiele ideologii, które można uznać za religie, choć oficjalnie się ich tak nie nazywa – ciągnęła kobieta. – Ruchy ekstremistyczne, lewicowe i prawicowe, niektóre z akcentami rasistowskimi, inne oparte na urazie do całego świata.

– Ja nie mam urazy do nikogo.

– Na pewno zdaje sobie pani sprawę, skąd się bierze moja ciekawość.

– Szczerze mówiąc, nie.

F. wyraźnie jej nie uwierzyła.

– Obie wiemy, że Preston Maddoc budzi nienawiść różnych frakcji, religijnych i politycznych.

– Nie, ja tego nie wiem. Naprawdę go nie znam. F. pominęła milczeniem jej protest.

– Mnóstwo osób, które na ogół nie zgadzają się ze sobą, jednoczą się, kiedy idzie o Maddoca. Chcą go zniszczyć tylko dlatego, że nie zgadza się z ich filozofią.

Mimo niezmiernych pokładów gniewu Micky nie potrafiła jakoś zareagować wściekłością na oskarżenie o nieprzejednaną walkę z kimkolwiek z powodu motywów filozoficznych. Omal się nie roześmiała.

– No wie pani, moja filozofia sprowadza się do tego, żeby namieszać w życiu jak najmniej, jakoś sobie radzić i może nawet znaleźć trochę szczęścia, ale tak, żeby nie wpakować się w kłopoty. To wszystko, na co mnie stać.

– No tak – powiedziała F. – Dziękuję za zgłoszenie. Zajęła się komputerem.

Minęła długa chwila, zanim Micky zorientowała się, iż została odprawiona. Ale nie wstała.

– Wyślecie tam kogoś?

– Przydzieliłam sprawie numer. Podejmiemy pewne kroki.

– Dzisiaj?

F. podniosła głowę, jednak nie spojrzała Micky, lecz na plakat z siedzącym na śniegu puchatym białym kotem w czerwonej czapeczce Świętego Mikołaja.

– Nie, nie dzisiaj. Dziecko nie jest maltretowane ani wykorzystywane seksualnie. Nie jest bezpośrednio zagrożone. Micky poczuła, że wszystkie jej tłumaczenia poszły na marne.

– Ale on ją zabije.

F. nadal patrzyła tęsknie na kota, jakby marzyła, by do niego dołączyć, zamieniając kalifornijski skwar na białe Boże Narodzenie.

– Zakładając, że dziewczynka nie fantazjowała, należy przyjąć, że ojczym zabije ją w dniu jej urodzin, czyli w lutym.

– Do jej urodzin – poprawiła ją Micky. – Może w lutym, może w przyszłym tygodniu. Jutro jest piątek. Nie pracujecie w weekendy, ale jeśli nie zaczniecie działać dzisiaj lub jutro, oni mogą wyjechać.

Spojrzenie F. było tak nieruchome, jej oczy tak szkliste, jakby medytowała nad zdjęciem kota.

Ta kobieta była psychiczną czarną dziurą. W jej bliskości czuło się wir wysysający całą energię emocjonalną.

– Ich przyczepa mieszkalna jest w naprawie – podjęła Micky, choć czuła się wyczerpana, wyzuta z sił. – Mechanik może skończyć w każdej chwili.

F. wyrwała z westchnieniem dwie chusteczki z pudełka i starannie osuszyła czoło, starając się nie zetrzeć makijażu. Wyrzuciła chusteczki do kosza i spojrzała na Micky ze zdziwieniem, jakby nie spodziewała się już jej zobaczyć.

– O której godzinie ma pani spotkanie w sprawie pracy?

Micky, bliska decyzji o pozostaniu tutaj, dopóki nie wyprowadzą jej strażnicy – choć w ten sposób nie osiągnęłyby niczego – nie miała wyboru. Musiała wstać i ruszyć do drzwi.

– O trzeciej. Zdążę bez trudu.

– Czy to w więzieniu nauczyła się pani informatyki?

Choć z uśmiechem, który pojawił się po raz pierwszy, kobieta wyglądała nieszkodliwie, Micky uznała, że jest to preludium do następnej obelgi.

– Tak. Mieli tam dobry program kształcenia.

– Jak pani znajduje sytuację na rynku?

Było to pierwsze zbliżone do normalności pytanie, jakie padło od chwili, gdy Micky przekroczyła próg tego gabinetu.

– Wszyscy mi mówią, że jest kryzys.

– Ludzie są podli nawet w najlepszych czasach. Micky nie miała pojęcia, co powinna odpowiedzieć.

– Na tym rynku – dodała F. głosem, w którym pobrzmiwała nutka w odległy sposób kojarząca się z troską – trzeba się zjawiać na spotkanie z pracodawcą w idealnym stanie – same plusy, brak minusów. Na pani miejscu przemyślałabym sposób, w jaki się pani ubiera. Ten strój nie sygnalizuje tego, czego sobie pani życzy.

Koralowo-różowy kostium z białą bluzką był najładniejszym strojem w garderobie Micky.

F. dodała natychmiast, jakby czytała w myślach dziewczyny:

– Nie chodzi o to, że ten kostium jest tani. To nieistotne. Ale spódniczka jest zbyt krótka, za obcisła, a z takim biustem nie potrzebuje pani bluzki z głębokim dekoltem. Kochanie, w tym kraju roi się od chciwych prawników, którzy wmówią sędziemu, że usiłowała pani sprowokować jakiegoś dyrektora, żeby potem go pozwać o molestowanie seksualne. Kiedy zobaczy panią ktoś odpowiedzialny za angażowanie personelu, nieważne, mężczyzna czy kobieta, ujrzy kłopoty, a w tych czasach wszyscy mają dość kłopotów. Radzę się przebrać, jeśli pani zdąży. Proszę nie wyglądać tak... tandetnie.

Czarna dziura połknęła Micky.

Być może F. doradziła jej z dobrego serca, ale niekoniecznie. Być może Micky podziękowała za radę, a może nie. Przed chwilą znajdowała się jeszcze w gabinecie, teraz stała za drzwiami. Były zamknięte, choć ona nie przypominała sobie, kiedy przekroczyła próg.

Nie pamiętała, co powiedziała, wychodząc, ale z pewnością nie było to nic, co jeszcze bardziej zraziłoby do niej lub zaszkodziło Leilani. Nie liczyło się nic więcej. Jej marzenia, jej duma nie miały znaczenia, przynajmniej nie w tej chwili.

Tak jak przedtem w poczekalni stały cztery krzesła. Ale czekało już siedem, nie pięć osób.

Na korytarzu było jeszcze goręcej niż w gabinecie.

A w windzie powietrze wrzało. Przy zjeździe w dół zaczęło wzrastać ciśnienie, jakby Micky

spuszczała się na dno oceanu w batyskafie. Położyła dłoń na ścianie, prawie się spodziewając, że metalowy arkusz wygnie się pod jej dłonią.

Niemal chciała, żeby ugaszony gniew znowu w niej zapłonął, huczący i płomienny, ponieważ jego miejsce zajęła cicha desperacja, za bardzo przypominająca rozpacz.

Na parterze odnalazła publiczne toalety. Ciepłe, oleiste mdłości pełzły po ścianach jej żołądka, bała się, że lada chwila zacznie wymiotować.

Drzwi kabin stały otworem. Pomieszczenie było puste. Wreszcie spokój. Rażące jarzeniowe światło odbijało się od białych płaszczyzn i lustra. Lodowaty wystrój nie ochłodził rozpalonego powietrza.

Micky odkręciła zimną wodę i podstawiła nadgarstki pod strumień. Zamknęła oczy. Zaczęła oddychać powoli, głęboko. Woda nie była dość zimna, ale pomogła.

Kiedy wreszcie osuszyła ręce, stanęła przed wiszącym obok pojemnika z papierowymi ręcznikami dużym lustrem. Wychodząc z domu, sądziła, że jej strój wywiera odpowiednie wrażenie, że jest oficjalny, budzi zaufanie. Sądziła, że wygląda ładnie.

Teraz odbicie z niej szydziło. Spódniczka naprawdę była zbyt krótka. I za obcisła. Dekolt, choć nie szokujący, był niestosowny jak na rozmowę o pracę. Możliwe, że obcasy białych szpilek także były za wysokie.

A ona rzeczywiście wyglądała tandetnie. Tanio. Wyglądała na kobietę, którą była, nie tą, którą chciała się stać. Nie ubrała się dla siebie czy dla pracy, lecz dla mężczyzn, w dodatku dla tych, którzy nigdy jej nie szanowali, dla tego typu mężczyzn, którzy zniszczyli jej życie. Z jakiegoś powodu domowe lustro nie pokazało jej tego, co powinna zobaczyć.

Ta pigułka była gorzka, tym bardziej że została podana przez F. Bronson.

Taka rada, choć przykra, dana przez kogoś, kto cię szanuje i martwi się o ciebie, byłaby niczym gorzka pigułka w cukrowej polewie. Tu lek został wymieszany z octem. Pewnie gdyby F. Bronson uważała, że jej słowa mogą uleczyć, zamiast zabić, może by ich nie wypowiedziała.

Od lat Micky widziała w lustrach urodę i seksualny magnetyzm, którym mogła zdobyć wszystko, czego pragnęła. Teraz, gdy już tego nie chciała, gdy przyjęcia, rozrywki i powodzenie wśród złych mężczyzn straciły dla niej znaczenie, gdy miała znacznie wyższe aspiracje, lustro ukazało tani efekt, niezdarność, naiwność – i rozpaczliwą tęsknotę, na której widok dostała gęsiej skórki.

Myślała, że wyrosła już z czasów, gdy wykorzystywała urodę jako narzędzie czy broń, lecz wydarzyło się coś ważniejszego. Jej koncepcja urody zupełnie się zmieniła, a odbicie w lustrze ukazało przerażająco niewiele elementów pasujących do tej nowej definicji. Być może to oznacza dojrzałość, ale i tak się przestraszyła; do tej pory zawsze czerpała pewność siebie z urody. Była to jej pociecha na złe czasy. Teraz ta pewność siebie minęła.

Nagle zapragnęła zbić lustro. Ale przeszłości nie da się rozbić tak łatwo. Przed jej oczami stała właśnie przeszłość – uparta, niepokorna.

Chłopiec i psina – on lepiej znosi sierpniowy upał, ona trochę ładniej pachnie; on znowu zastanawia się nad dziwną ucieczką Gabby’ego, ona myśli o parówkach; on zachwyca się urodą lazurkowego ptaka, siedzącego na bardzo zniszczonym i w połowie leżącym na ziemi płocie, ona wacha ptasie bobki – są wdzięczni sobie za towarzystwo w podróży, najpierw przez łąki i pola, potem przez pustą drogę, która za zakrętem raptem przestaje być pusta.

Wzdłuż dwupasmowej jezdni i na łące obok niej zgromadziło się trzydzieści lub czterdzieści domów na kółkach, mniej więcej o połowę mniej furgonetek z przyczepami mieszkalnymi i mnóstwo dżipów. Pod markizami przyczepionymi do niektórych pojazdów tworzą się cieniste miejsca do spotkań towarzyskich. Postawiono także co najmniej tuzin kolorowych namiotów.

Jedynymi budynkami w okolicy są widoczne w oddali wiejski dom, stodoła i stajnie.

Zielony traktor z przyczepą służy za biuro wynajmu. Siedzi w nim ranczer w dżinsach, podkoszulku i słomkowym sombrero. Ręcznie wypisane ogłoszenie obwieszcza, że miejsca kempingowe na łące kosztują dwadzieścia dolarów za dzień. Widnieje na nim także ostrzeżenie i warunek: **NIE ZAPEWNIAMY ŻADNYCH USŁUG. WYMAGANE ZRZECZENIE SIĘ ROSZCZEŃ.**

Curtis powinien minąć to gwarne miejsce szybko i ostrożnie. Tak wiele domów na kółkach w jednym miejscu to bardzo niepokojący widok. Z tego, co mu wiadomo, jest to zjazd seryjnych zabójców. Być może to w takich miejscach spotykają się zbrodniczy zębowi fetyszyści. Ta siwowłosa para może gdzieś tu być, może na tym letnim festiwalu potępieńców parę kroków stąd dumnie prezentują swoje kościane trofea i podziwiają jeszcze bardziej ohydne kolekcje innych psychopatów. Ale Stary Rudzielec nie czuje zapachu kłopotów. Towarzyskie usposobienie popychają do zorientowania się w okolicy.

Curtis ufa jej instyktowi. Poza tym, jeśli gorsze huncwoty szukają przyrządami elektronicznymi jego charakterystycznego śladu energii, tłum zapewni mu osłonę.

Łąka jest ogrodzona płotem z bielonych desek, które wymagają naprawy i odmalowania. Traktor strzeże otwartej bramy.

Przyczepa jest osłonięta przed słońcem brezentem rozpiętym na czterech żerdziach, pod brezentem leży towar czekający na sprzedaż. Ranczer i nastoletni chłopiec rozdają piwo w puszkach oraz napoje bezalkoholowe. Proponują także przekąski w torebkach, na przykład chipsy ziemniaczane, a także domowe ciasteczka i słoiki ze „słynną w okolicy salsą babuni” z czarnej fasoli i kukurydzy; na nalepce widnieje ostrzeżenie: „tak ostra, że od razu urywa głowę”.

Curtis bez problemu pojmuje, dlaczego śmiertcionośna salsa jest słynna w okolicy, ale nie rozumie, po co ktoś miałby ją kupować. Jednak w geometrycznej dekoracji brakuje kilku słoików, a zaraz potem ktoś kupuje jeszcze dwa. Należy z tego wnioskować, że pewna część zebranych to samobójcy. Psina odrzuca teorię o zjeździe seryjnych zabójców, ponieważ nie wykrywa charakterystycznych feromonów rozwiniętej psychozy, ale Curtisa wcale nie pociesza myśl, że to zgromadzenie ludzi chcących odebrać sobie życie, bez względu na przyczyny, które pchnęły ich w tym autodestrukcyjnym kierunku.

Oprócz napojów, przekąsek i niesławnej salsy z przyczepy można także kupić podkoszulki z dziwnymi napisami. **RANCZO NEARVEGO**, widnieje na jednej z nich, **PORT KOSMICZNY USA**. Na drugiej – zdjęcie krowy i słowa **CLARA, PIERWSZA KROWA W KOSMOSIE**. A trzecia obwieszcza: **NIE JESTEŚMY SAMI – RANCZO NEARY’EGO**. Czwarta twierdzi: **DZIEŃ JEST BLISKO** i także zamieszcza nazwę rancza.

Clara wydaje się Curtisowi interesująca. Zna całą historię NASA i programu kosmicznego byłego

Związku Radzieckiego, jednak nie zdawał sobie sprawy, iż usiłowano wysłać w kosmos krowę. Żaden kraj nie ma możliwości wysłania krowy na orbitę i sprowadzenia jej z powrotem żywej. Co więcej, cel wysłania w przestrzeń rogatej astronautki wydaje się niejasny. Obok podkoszulków leżą książki: „Noc na ranczu Neary’ego: bliskie spotkania czwartego stopnia”. Na podstawie tytułu i okładki – latający talerz nad wiejskim domem – Curtis zaczyna się domyślać, iż ranczo Neary’ego to temat współczesnej bajki, podobnej do tych o Roswell w Nowym Meksyku.

Zaintrygowany, choć nadal zaniepokojony samobójcami, którzy stanowią przynajmniej część tego zjazdu, jeszcze raz postanawia zawierzyć instynktowi Starego Rudzielca. Jego siostrzyczka nie wyczuwa, że zaraz jakieś głowy zostaną urwane, i chętnie by jeszcze powęszyła wśród wonnego tłumu.

Chłopiec i psina wchodzą na łąkę, niezatrzymywani w bramie. Najwyraźniej zostali uznani za osoby towarzyszące komuś, kto wykupił miejsce kempingowe.

Ludzie – w wakacyjnym nastroju, z drinkami i domowymi ciasteczkami, lekko ubrani – przechadzają się po przystrzyżonej trawie, poznają nowych ludzi, witają starych znajomych. Inni gromadzą się w cieniu pod markizami, grają w karty i gry planszowe, słuchają radia i rozmawiają, rozmawiają.

Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie pogrążeni w dyskusjach ludzie, niektórzy wymieniają opinie cicho i z przejęciem, inni głośno i entuzjastycznie. Z urywków zdań, które docierają do Curtisa, gdy wraz ze Starym Rudzielcem przedziera się przez tłum, wynika, że wszystkie te osoby są entuzjastami UFO. Zbierają się tu dwa razy do roku, w dniu słynnych lądowań UFO, ale ten zjazd jest związany z jakimś nowym wydarzeniem, które ich bardzo ekscytuje.

Miejsca kempingowe są ułożone promieniście, a w samym ich środku znajduje się idealnie okrągły wycinek nagiej ziemi, mający jakieś pięć metrów średnicy. Wszędzie poza jego granicami rośnie trawa, ale wewnątrz kręgu ziemia jest sucha i ubita, i nie kiełkuje tam nawet jedno źdźbło trawy, jedna łodyżka chwastu.

Wysoki, masywny mężczyzna, mniej więcej sześćdziesięcioletni, stoi na środku tej jałowej ziemi. W ciężkich butach z wywiniętymi białymi skarpetkami, w szortach khaki, odsłaniających kolana okrągłe i włochate jak kokosy i w bluzie z epoletami wygląda, jakby miał stanąć na czele jakiejś afrykańskiej ekspedycji w poszukiwaniu legendarnego cmentarzyska słoni.

Wokół niego zgromadziło się osiemnaście lub dwadzieścia osób. Wszyscy trzymają się z dala od martwej strefy, w której stoi mężczyzna. Curtis podchodzi do grupy akurat w chwili, gdy jeden z przybyszy wyjaśnia drugiemu:

– To sam stary Neary. Wzięli go.

Pan Neary mówi o Clarze, pierwszej krowie w kosmosie.

– To była dobra krówka, stara Clara. Dała całą cysternę mleka z niską zawartością tłuszczu i nigdy nie było z nią kłopotów.

Zagadnienie kłopotliwych krów jest dla Curtisa zupełnie nowe, ale chłopiec powstrzymuje się przed pytaniem, jakiego rodzaju wykroczeń dopuszczają się krowy, kiedy nie mają tak przyjemnego usposobienia jak Clara. Jego matka zawsze mówiła, że nigdy się niczego nie nauczy, jeśli nie będzie umiał słuchać, a Curtis zawsze ma ochotę się uczyć.

– Holsteiny jako rasa są głupie – oznajmia pan Neary. – Według mnie. Niektórzy mogliby powiedzieć, że holsteiny są tak samo mądre jak dzerseje albo herefordy. Szczerze mówiąc, każdy, kto tak myśli, nie zna się na krowach.

– Najmądrzejsze są alderneje i gallowaje – mówi ktoś z tłumu.

– Moglibyśmy się tu spierać przez cały dzień o krowią mądrość – mówi pan Neary – i nigdzie by nas

to nie zaprowadziło. No więc moja Clara nie była takim typowym holsteinem, bo była mądra. Nie tak jak pan czyja, albo choćby jak ten tu piesek – wskazuje Starego Rudzielca – ale zawsze to ona prowadziła inne krowy z obory na pastwisko i z powrotem.

– Lincolnshire to mądra rasa – odzywa się krępa, paląca fajkę kobieta, która ściągnęła włosy w dwa kucyki i przewiązała je żółtą wstążką.

Pan Neary rzuca tej dość przyjemnej pani zniecierpliwione spojrzenie.

– No, ale ci Obcy nie złapali żadnej lincolnshire, prawda? Zabrali Clare – według mnie dlatego, że była najmądrzejsza na pastwisku. No więc, jak już mówiłem, ten pojazd, jak wirujący płynny metal, zawisł nad moją Clara, a stała dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz jestem.

Słuchacze zebrani w kręgu spoglądają w niebo, niektórzy nieufnie, inni z zachwytem.

Młoda kobieta o twarzy białej jak niskotłuszczowe mleko Clary pyta:

– Czy było słyhać jakieś dźwięki? Powtarzające się sekwencje? – Jeśli chodzi o to, czy graliśmy do siebie tak jak w tym filmie, to nie. Urowadzenie odbyło się w zupełnej ciszy. Z pojazdu wysunął się czerwony promień, jak światło reflektora, ale to był jakiś promień lewitacyjny. Clara uniosła się z ziemi w kolumnie czerwonego światła, które miało pięć metrów średnicy.

– No, to dopiero promień! – wykrzykuje długowłosa młodzieniec w dzinsach i podkoszulku z napisem FRODO ŻYJE.

– Moja krówka zdążyła tylko raz zaryczeć ze strachu – ciągnie pan Neary – a potem już bez protestów pofrunęła do góry, powoli się obracając, w tę i we w tę, jakby ważyła tyle, co piórko. – Spogląda znacząco na palącą fajkę kobietę z kucykami. – Jakby to była lincolnshire, pewnie by zaczęła wierzcgać i w końcu by się udusiła własnymi wymiocinami.

Kobieta wydmuchuje kółko z dymu i odpowiada:

– To prawie niemożliwe, żeby przeżuwacz udusił się wymiocinami.

– W innym wypadku bym się zgodził – przyznaje pan Neary – ale jeśli mowa o stworzeniu tak durnym jak lincolnshire, nic by mnie nie zdziwiło.

Curtis słucha uważnie i uczy się ważnych rzeczy o krowach, choć nie wie, do czego by się mu to mogło przydać.

– Ale po co im krowa? – pyta zwolennik Froda.

– Dla mleka – sugeruje młoda blada kobieta. – Może na ich planecie przydarzyła się jakaś naturalna klęska ekologiczna. Mogło chodzić o przerwanie ogniwa łańcucha pokarmowego.

– Nie, nie, ich technika jest na tyle zaawansowana, że mogliby sklonować własne gatunki – mówi mężczyzna w typie profesora, z fajką większą od tej, którą pali kobieta. – A więc także ten, który stanowi na ich planecie odpowiednik krowy. W ten sposób mogliby odrodzić populację. Nigdy nie sprowadziliby gatunku z innej planety.

– Może zachciało się im dobrego cheeseburgera – mówi mężczyzna o czerwonej twarzy, trzymający w jednej ręce puszkę piwa, a w drugiej na pół zjedzonego hot-doga.

Parę osób się śmieje, ale młoda blada kobieta, na swój sposób ładna, w typie tragicznej, umierającej heroiny, bardzo się obraża i piorunuje mężczyznę spojrzeniem, które ściera mu uśmiech z czerwonej twarzy.

– Jeśli potrafią podróżować przez galaktyki, to stanowią wysoko rozwiniętą formę inteligencji, czyli są wegetarianami. Curtis uruchamia wszystkie umiejętności konwersacyjne i włącza się do dyskusji:

– Albo mogli wykorzystać krowę jako nosiciela broni biologicznej. Mogli jej implantować osiem albo dziesięć embrionów, odesłać ją na łąkę i nikt by niczego nie podejrzewał, podczas gdy embriony by

się rozwijały. I pewnego dnia w jej organizmie mógłby się aktywować wirus w typie Eboli, a z rozkładającej się padliny wyszłoby osiem do dziesięciu owadopodobnych żołnierzy, każdy wielkości owczarka niemieckiego, czyli w sam raz, żeby w niespełna dwanaście godzin zniszczyć miasto liczące tysiąc mieszkańców.

Wszyscy wpatrują się w niego w osłupieniu.

Curtis natychmiast uświadamia sobie, że odbiegł od tematu rozmowy albo pogwałcił zasady zachowania obowiązujące wielbicieli UFO, choć nie czuje, na czym polegał jego nietakt. Stara się go naprawić i szybko dodaje:

– No tak, więc może to nie byłyby formy owadopodobne, tylko gadziopodobne, a w tym wypadku podbicie miasta liczącego tysiąc mieszkańców potrwałoby szesnaście godzin, ponieważ gady są mniej skutecznymi maszynami do zabijania niż owady.

To uściślenie także nie zjednuje mu przyjaciół w gronie zebranych wokół kręgu. Miny tych ludzi nadal wyrażają coś pomiędzy zdumieniem i rozdrażnieniem.

Młoda blada kobieta zwraca się do niego z równie surową miną jak ta, którą ukarała mężczyznę z hot-dogiem.

– Wysoko rozwinięte istoty myślące nie mają naszych wad. Nie niszczą swojego systemu ekologicznego. Nie prowadzą wojen, nie jedzą ciał zwierząt. – Wymierza w palaczy fajek spojrzenie mające ich zmieść z powierzchni ziemi. – I nie używają produktów tytoniowych. – Znowu wraca spojrzeniem do Curtisa, oczy ma tak zimne, że gdyby dłużej pozostawał pod ich lodowatym wpływem, zapadłby w kriogeniczną śpiączkę. – Nie mają uprzedzeń rasowych, płciowych czy jakichkolwiek innych. Nigdy nie zanieczyszczają swoich organizmów produktami o wysokiej zawartości tłuszczu, cukrem rafinowanym ani kofeiną. Nie kłamią, nie oszukują, nie prowadzą wojen, jak wspomniałam, i z całą pewnością nie umieszczają w krowach zarodków wielkich owadów-zabójców.

– No, wszechświat jest wielki – odpowiada Curtis tonem, jak mu się wydaje, pojednawczym – i na szczęście te najgorsze typy, o których mówię, jeszcze tu nie dotarły. Twarz młodej kobiety blednie jeszcze bardziej, oczy stają się zimne jak grudki lodu, jakby w jej głowie zaczęły pracować zapasowe zwoje chłodzące.

– Oczywiście, to tylko spekulacje – dodaje Curtis szybko. – Wiem dokładnie tyle, co i wy.

Pan Neary interweniuje, zanim Meduza bez węży na głowie zdoła zmienić chłopca w bryłę lodu.

– Synu, nie powinieneś spędzać aż tyle czasu przy tych agresywnych grach wideo. Napchałeś sobie głowę bzdurami. My mówimy o tym, co się stało naprawdę, nie o tych krwawych fantazjach, którymi Hollywood zanieczyszcza młode umysły.

Ludzie zgromadzeni wokół martwej strefy wyrażają swoje poparcie, po czym ktoś pyta:

– Bał się pan, kiedy Obcy wrócili po pana?

– Oczywiście byłem zaniepokojony, ale tak naprawdę to się nie bałem. Od czasu zniknięcia Clary minęło pół roku, to dlatego zbieramy się tutaj dwa razy do roku, w rocznice wydarzeń. Powiem wam, że według niektórych Obcy wrócą tu dla ciasteczek mojej żony, więc ich spróbujcie. Oczywiście w tym roku odbędą się trzy spotkania – to jest dodatkowe, ze względu na to, co się właśnie dzieje, o, tam. – Prostuje się, w ubraniu badacza Afryki wygląda jeszcze bardziej władczo niż dotychczas i wskazuje na wschód, w stronę wzgórza za grupką drzew. – Chodzi mi o to zamieszanie wzdłuż granicy z Utah, które – jak wszyscy wiemy – nie ma nic wspólnego z handlarzami narkotyków, choćby rząd nam wmawiał nie wiadomo co.

Po słowach Neary'ego wiele osób w gęstniejącym tłumie wyraża podobny brak zaufania do rządu.



Curtis wykorzystuje tę chwilę zjednoczenia tłumu, by zrehabilitować się w oczach tych ludzi i udoskonalić swoje kulejące umiejętności towarzyskie. Schodzi z trawy na jałową sypką ziemię i podniesionym głosem oznajmia:

– Rząd! Banda cholernych, zarozumiałych, rządzących się, tchórzliwych, dumnych skunksów w białych koszulach!

Czuje, że to oświadczenie nie zjednało mu natychmiastowej sympatii zgromadzonych ludzi.

Za to znowu zapadła cisza.

Chłopiec zakłada, że to milczenie wynika z potrzeby przemyślenia jego słów, a nie z dezaprobaty, więc daje zebrany następny powód, żeby przyjęli go do swego grona. – Nazwijcie mnie wieprzkiem, zarznijcie i przeróbcie na bekon, ale nie ważcie się mówić, że rząd nie jest parszywym ziemiokradem i tyranem!

Stary Rudzielec przypada do ziemi, odwraca się na grzbiet, ukazując tłumowi brzuch, może dlatego, że według niej należy okazać pokorę, żeby towarzyskie talenty Curtisa nie wyzwoliły w ludziach wybuchu agresji.

Chłopiec jest całkiem pewien, że jego siostrzyczka źle oceniła nastrój tłumu. Psie zmysły sprawdzają się w wielu sytuacjach, ale związki międzyludzkie są zbyt skomplikowane, by analizować je wyłącznie zmysłem węchu i instynktem. Choć, trzeba przyznać, blada twarz młodej kobiety zmienia się w lodową rzeźbę na samo wspomnienie bekonu. Za to pozostali słuchają go z otwartymi ustami i minami ludzi przetrawiających wielką prawdę.

Dlatego, mimo że Stary Rudzielec lękliwie odsłania brzuch, Curtis nadal daje zebrany to, co chcą usłyszeć, kuśtyka na nagą ziemię, naśladując kulejący krok, który dodawał Gabby’emu tyle uroku.

– Rząd! Poborcy podatkowi, grabieżcy, wścibskie świętoszki, bardziej zarozumiałe niż wszyscy kaznodzieje razem wzięci!

Psina zaczyna skomleć.

Curtis przygląda się otaczającym go ufologom i nie dostrzega żadnego uśmiechu, za to kilka zdumionych spojrzeń i wiele groźnych grymasów, a nawet kilka min wyrażających litość.

– Synu – mówi pan Neary – domyślam się, że twoich rodziców nie ma w tej grupie, bo już by ci spuścili manto za ten występ. Teraz idź i zostań z nimi przez resztę swojego pobytu tutaj, bo będę musiał was poprosić, żebyście zabrali pieniądze i opuścili łąkę.

Och, Boże, chyba już nigdy nie załapię, o co chodzi w byciu Curtisem Hammondem. Walczy z napływającymi mu do oczu łzami zarówno dlatego, że narobił wstydu swojej siostrzyczce, jak i z tego powodu, że zrobił z siebie idiotę.

– Proszę pana – mówi błagalnie, z całego serca. – Ja wcale nie jestem bezczelnym gagatkiem, skórkowańcem jednym, taka moja tam i z powrotem.

To zapewnienie, choć nie mogłoby być szersze czy wygłoszone w lepszej intencji, z niewyjaśnionych powodów zmienia twarz pana Neary’ego w złowrogą czerwoną maskę. – Dość tego, młody człowieku.

Curtis podejmuje ostatni rozpaczliwą próbę naprawienia sytuacji:

– Proszę pana, ze mną jest coś nie tego. Piękna przeogromna pani powiedziała mi, że jestem zbyt dobry jak na ten świat. Jeśli mnie pan spyta, czy jestem głupi, czy jaki, mam odpowiedzieć, że jestem głupi. Jestem coś nie tego, zbyt dobrym, głupim Gumpem, o, taki jestem.

Stary Rudzielec dosłownie wyskakuje w powietrze i staje na czterech łapach, oceniwszy sytuację na zbyt niebezpieczną, żeby nadal odsłaniać brzuch, po czym ucieka pędem z kawałka jałowej ziemi

w chwili, gdy pan Neary robi pierwszy krok w stronę Curtisa.

Chłopiec wreszcie idzie za radą instynktu psiny i rzuca się za nią. I znowu są uciekinierami.

Jeśli biblioteki południowej Kalifornii naprawdę wyglądały kiedyś jak te z książek i filmów – boazerie z ciemnego mahoni, półki aż do sufitu, zaciszne zakątki do czytania w różnych miejscach labiryntów między półkami – to ich czasy już się skończyły. Wszystkie powierzchnie były pomalowane farbą olejną lub pokryte laminatem. Półki nie wznosiły się do sufitu, ponieważ sufit był wyłożony płytkami dźwiękochłonnymi, nabijanymi rozjarzonymi halogenami, zbyt oślepiającymi, by zachować romantyczny nastrój. Półki stały w przewidywalnym porządku, metalowe, nie drewniane, przyśrubowane do podłogi, co miało je zabezpieczyć w razie trzęsienia ziemi.

Według Micky atmosfera biblioteki kojarzyła się ze szpitalem: bezbarwna pomimo dobrego oświetlenia, antyseptyczna cisza wiążąca się nie z sumiennym przyswajaniem wiedzy, lecz ze stoickim cierpieniem.

Znaczną część pomieszczenia zajmowały stoliki z komputerami. Z każdego można się było połączyć z Internetem.

Krzesła były niewygodne. Lampki na stołach raziły w oczy. Micky poczuła się tu jak w domu – nie w przyczepie, którą dzieliła z Genewą, lecz w domu zapewnionym jej przez kalifornijski system penitencjarny.

Połowa komputerów była zajęta; Micky ominęła wzrokiem siedzących przy nich ludzi. Za bardzo się wstydziła koralowo-różowego kostiumu, w którym do niedawna czuła się pewną siebie, silną i nową osobą. Poza tym po F. Bronson miała na dziś dość ludzi; maszyny są skuteczniejszymi pomocnikami i lepszym towarzystwem.

Weszła do Internetu, czując się jak detektyw. Zaczęła szukać Prestona Maddoca, ale nie musiała się długo wysilać. Ten czarny charakter zgłosił się do niej na tak wielu stronach, że prawie utonęła w informacjach.

Zadzwoiła z automatu, żeby odwołać spotkanie o trzeciej. Całe popołudnie spędziła na czytaniu o doktorze Zagładzie, a z tego, czego się dowiedziała, jasno wynikało, że Leilani tkwi w jeszcze bardziej ponurej i opancerzonej celi śmierci, niż to opisała.

Historia Maddoca była prosta, tak bardzo, jak przerażające się jawiły szczegóły jego czynów. I to nie tylko ze względu na Leilani, lecz wszystkie żywe istoty chodzące po tej ziemi.

Preston Maddoc zrobił doktorat z filozofii. Przed dziesięciu laty ogłosił się „bioetykiem” i przyjął posadę na renomowanym uniwersytecie, gdzie zaczął nauczać przyszyłych doktorów etyki.

Ci z bioetyków, którzy nazywają się „utilitarianami”, dążą do – jak twierdzą – etycznej dystrybucji rzekomo ograniczonych środków medycznych, ustanawiając standardy określające, kto powinien być leczony, a kto nie. Szydząc z wiary w świętość ludzkiego życia, którą zachodnia medycyna kierowała się od czasów Hipokratesa, twierdzą, że życie niektórych osób ma większe moralne i społeczne znaczenie niż życie innych i że przywilej określania tego znaczenia należy się słusznie ich elitarniej grupie.

Niegdyś niewielka, lecz wybitna grupa bioetyków potępiła poglądy utilitarian, lecz ci wygrali walkę i obecnie rządzą wśród akademików.

Preston Maddoc, jak większość bioetyków, opowiadał się za odmawianiem opieki medycznej osobom starszym – linią graniczną była ukończona sześćdziesiątka – których choroba miała negatywny wpływ na jakość ich życia, nawet jeśli osoby te nadal uważały życie za znośne, a nawet piękne. Jeśli ich choroba była w pełni uleczalna, lecz odsetek wyleczonych nie przekraczał, powiedzmy, trzydziestu procent, wielu bioetyków zgadzało się, iż powinno się pozwolić pacjentom umrzeć bez leczenia,

ponieważ z utilitarnego punktu – tu widzenia ze względu na wiek więcej zabierali społeczeństwu, niż mu dawali.

Micky przeczytała, nie wierząc własnym oczom, że niemal wszyscy bioetycy uważają, iż niepełnosprawne niemowlęta – nawet te z niewielkimi wadami – powinny być pozostawione na pewną śmierć. Gdyby zachorowały, nie powinno się ich leczyć. Gdyby miały przejściowe problemy z oddychaniem, nie należy im pomagać, lecz pozwolić, żeby się udusiły. Jeśli kalekie dzieci mają problemy z jedzeniem, niech umrą z głodu. Ludzie niepełnosprawni byli ciężarem dla społeczeństwa nawet wtedy, gdy potrafili o siebie zadbać.

Gniew, który zaczął narastać w Micky, różnił się od zwykłej destrukcyjnej wściekłości. Nie miał nic wspólnego z krzywdami, których doznała. Nie miał nic wspólnego z jej ego; ten gniew miał moc oczyszczania.

Przeczytała fragment książki „Etyka praktyczna”, w której Peter Singer z uniwersytetu w Princeton usprawiedliwił zabijanie noworodków z problemami zdrowotnymi nie bardziej poważnymi niż hemofilia: „Kiedy śmierć niepełnosprawnego noworodka ma doprowadzić do narodzin innego noworodka z lepszymi widokami na szczęśliwe życie, ogólne rozmiary szczęścia będą większe, jeśli niepełnosprawne niemowlę zostanie uśmiercone. Utrata szczęśliwego życia w przypadku pierwszego dziecka ma mniejszą wagę niż uzyskanie szczęśliwszego życia w przypadku drugiego. A zatem, jeśli odebranie życia noworodkowi z hemofilią nie będzie miało negatywnego wpływu na nikogo innego, wydaje się... że zabicie go jest rzeczą słuszną”.

Micky poczuła, że musi wstać, odwrócić się od tego. Wściekłość dodała jej sił. Nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Zaczęła krążyć wokół komputera, zaciskając dłonie, żeby jakoś rozładować napięcie, uspokoić się.

Wkrótce wróciła do komputera, jak dziecko, które boi się historii o duchach i potworach, ale czuje ich perwersyjną siłę przyciągania.

Singer wspominał, że jeśli dzieciobójstwo na życzenie rodziców będzie zgodne z interesem rodziny i społeczeństwa, należy je uznać za etyczne. Co więcej, twierdził, iż noworodek staje się prawdziwą osobą dopiero w pierwszym roku życia, czym utorał drogę pogładowi, że zamordowanie dziecka jest czynem etycznym. Preston Maddoc uważał, że dzieciobójstwo jest etyczne do pierwszych sygnałów, iż dziecko zaczyna rozwijać zdolność mówienia. Powiedz „tata”, bo zginiesz.

Bioetycy na ogół zgadzali się, że można przeprowadzać eksperymenty medyczne na umyślowo upośledzonych pacjentach, ludziach w śpiączce i nawet na niechcianych dzieciach zamiast na zwierzętach, argumentując to tym, że zdrowe zwierzęta potrafią cierpieć w odróżnieniu od ludzi upośledzonych umyślowo, w śpiączce oraz niemowląt.

Zgodnie z tą filozofią pytanie upośledzonych umyślowo o zdanie nie jest konieczne, ponieważ nie są oni, podobnie jak niemowlęta i inne „jednostki ograniczone kognitywnie”, osobami mającymi moralne prawo do życia na tym świecie.

Micky miała ochotę doprowadzić do tego, żeby nazwać bioetyków „jednostkami ograniczonymi kognitywnie”, gdyż według niej nie mogli się wykazać żadną cechą charakterystyczną dla istot ludzkich i z całą pewnością nie byli w większym stopniu osobami niż ci mali, słabi i starzy, których chcieli zabić.

Maddoc był przywódcą – ale tylko jednym z wielu – ruchu, który pragnął wykorzystać „ostrze bioetyki i badań naukowych” do ustalenia minimalnego współczynnika IQ, gwarantującego prowadzenie wartościowego życia i przydatność dla społeczeństwa. Uważał, że ta linia demarkacyjna powinna znajdować się „dużo powyżej IQ osób z zespołem Downa”, ale zaraz potem uspokajał strachliwych, że

określenie minimalnego IQ nie oznacza, iż należy się pozbyć wszystkich osób ociężałych umysłowo, które na razie jeszcze żyją. Przeciwnie, miało to być „ćwiczenie wyjaśniające naszą wizję tego, co jest niezbędne do prowadzenia wartościowego życia”, mające przybliżyć dzień, kiedy postęp techniczny umożliwi przewidywanie IQ już u niemowlaków.

No tak. Oczywiście. A obozy zagłady w Dachau i Oświęcimiu nie zostały zbudowane z myślą o ich używaniu, tylko po to, żeby sprawdzić, czy da się je zbudować, czy sprawdzą się jako twór architektoniczny.

Najpierw, wędrując przez strony dotyczące bioetyki, myślała, że ten kult śmierci nie może być prowadzony z całą powagą. To na pewno jakaś gra, której uczestnicy prześcigają się w udowadnianiu, kto pozwoli sobie na więcej, kto okaże się najbardziej nieludzki, kto ma najbardziej lodowaty umysł i serce. Z całą pewnością nie było to nic więcej niż żartobliwe udawanie pseudopotworów.

Potem stopniowo przyjęła do wiadomości, że ci ludzie żyją i naprawdę postępują zgodnie ze swoją filozofią. Wówczas założyła, że nikt poza tą wieżą szaleńców w odległym kącie akademii nie bierze ich poważnie. Jednak wkrótce zdała sobie sprawę, że osoby te funkcjonują w centrum społeczności akademickiej. Większość akademii medycznych prowadziła zajęcia z bioetyki. Ponad trzydzieści dużych uniwersytetów proponowało specjalizację w tej dziedzinie. Liczne opracowane przez bioetyków prawa obowiązujące w całym kraju zostały wprowadzone z zamiarem uczynienia bioetyki moralnym i prawnym sędzią rozstrzygającym, czyje życie ma wartość, a czyje nie.

Niepełnosprawni obciążają budżet, chyba się z tym zgodzicie? Emeryci też. No i chorzy. I upośledzeni. Są kosztowni, a poza tym niepokoją wrażliwych ludzi, często trudno na nich nawet patrzeć, kontakt z nimi to ohyda, zupełnie inaczej niż z nami. Te nieszczęsne stworzenia byłyby nawet szczęśliwsze, gdyby je sprzątnąć z tego świata, naprawdę, skoro już były na tyle głupie, żeby się urodzić pod złymi gwiazdami albo żeby paść ofiarą wypadku, który je okaleczył, mogłyby okazać choć tyle przyzwoitości, żeby umrzeć.

Kiedy świat stał się domem wariatów?

Micky zaczęła rozumieć swojego wroga.

Preston Maddoc wydawał się dotąd na poły straszny, na poły śmieszny.

Teraz już nie. Teraz był czystym niebezpieczeństwem. Pociągającym, przerażającym. *Obcym*.

Nazistowskie Niemcy (poza usiłowaniami wyeliminowania Żydów), Związek Radziecki i maoistowskie Chiny już wcześniej rozwiązały „problem społeczny”, związany ze słabymi i niedoskonałymi, ale utylitarni bioetycy, zapytani, czy będą mieli odwagę do tak ostatecznych rozwiązań, wymigiwali się od odpowiedzi za pomocą zdumiewającego twierdzenia, jakoby naziści i im podobni zabijali chorych i słabych z – jak to wyraził w jednym z wywiadów Preston – zupełnie niewłaściwych powodów.

*A więc, jak widzimy, zabijanie nie jest złe, tylko filozofia, na której opierali się naziści i sowietci, była niefortunna. Teraz zabijamy nie z nienawiści czy ze względu na uprzedzenia, ale dlatego że uśmiercając ułomne dziecko, robimy miejsce inne – mu, zdrowemu, które sprawi swojej rodzinie więcej radości, będzie szczęśliwsze, lepiej przysłuży się społeczeństwu i zwiększy „ogólne rozmiary szczęścia”. To nie to samo, jak widzimy, co zabijanie dziecka po to, żeby zrobić miejsce dla innego, bardziej reprezentatywnego dla Volku, bardziej jasnowłosego i zdolnego do uszczęśliwienia swojego narodu i Fuhrera.*

– Dajcie mi mikroskop – wymamrotała Micky – to może za kilkaset lat znajdę różnicę.

Ci ludzie znajdowali posłuch, ponieważ działali w imię współczucia, ekologicznej

odpowiedzialności, nawet poruszali temat praw zwierząt. Kto mógł zaprotestować przeciwko współczuciu dla upośledzonych, roztropnemu korzystaniu z zasobów naturalnych, godnemu traktowaniu wszystkich zwierząt? Skoro świat jest naszą ojczyzną, skoro to jedyny świat, jaki posiadamy, skoro wierzymy, że jest podatny na ciosy, to każde żyjące chore dziecko czy okaleczona staruszka negatywnie wpływają na losy całego globu. I czy wtedy starczy nam odwagi, by stanąć w obronie jednej kalekiej dziewczynki?

Maddoc oraz inni słynni amerykańscy i angielscy bioetycy

– dwa narody, w których szaleństwo ma najgłębsze korzenie

– byli zapraszani do programów telewizyjnych, mieli dobrą prasę, doradzali politykom w sprawach zasad regulujących funkcjonowanie opieki medycznej. Ale żaden nie mógł się swobodnie wypowiedzieć po niemiecku przed szalejącym zachwyconym tłumem. Z całą pewnością nikt nikogo nie namawiał do holocaustu.

Micky pomyślała ponuro, że być może zdrowy rozsądek powróci dopiero po holocauście. W miarę jak świat bioetyki w ogóle i Prestona Maddoca w szczególności stawał przed nią otworem, coraz bardziej niepokoiła się losem swojego kraju i całego globu.

Czekało ją jeszcze gorsze odkrycie.

Biblioteka była skąpana w rażącym blasku, ale jej się wydawało, że zewsząd nadpełza mrok.

Omijając długie pasy otwartych trawiastych korytarzy, na których stały rzędy samochodów, psina prowadzi chłopca pomiędzy domem na kółkach i furgonetką z przyczepą, przebiega przez otwartą przestrzeń, wpada pomiędzy dwa inne domy na kółkach, spod łap tryskają jej pióropusze piasku i startej na pył trawy, i tak kluczą w kręgu miejsc kempingowych, wśród osiedla jaskrawych namiotów, wreszcie znowu znajdują się pomiędzy domami na kółkach, wymijają dorosłych, dzieci, grille, opalając się kobietę na leżaku i przerażonego teriera, który ucieka przed nimi z piskiem. Curtis wreszcie ogląda się i widzi, że ci, którzy ich ścigali, jeśli ich ścigali, już dali za wygraną, co dowodzi, że jest znacznie lepszy w awanturczym stylu życia niż w towarzyskich konwersacjach.

Nadal jest przerażony i wstrząśnięty.

Przynajmniej przez jakiś czas nie chce zaprzestawać ruchu, który wprowadza zamieszanie, ani nie chce porzucać tego tłumu. Dziś lub jutro może uda mu się stąd wydostać z kimś, kto wybiera się w bardziej zaludnione rejony, które stanowią lepszą kryjówkę. Na razie jest, jak jest, zawsze to lepsze niż pusta droga. Jeśli uniknie kolejnego spotkania z panem Nearym, zdoła się jakoś przechować na tej łące – zakładając, że Clara, mądra krowa, nie spadnie nagle z nieba i go nie zmiążdży.

Stary Rudzielec skomli, siada koło ogromnego domu na kółkach i unosi głowę, jakby wyła do księżycy, choć po południu na niebie księżycy nie widać. Zresztą ona nie wyje, tylko wypatruje pikującej krowy.

Curtis kuca obok niej, drapie ją za uszkiem i wyjaśnia najlepiej, jak umie, że nie grozi im rozplaszczanie przez krowę rasy holstein, a siostrzyczka zaczyna się uśmiechać i wtula głowę w jego pieszczotliwe dłonie.

– Curtis?

Chłopiec podnosi wzrok i spogląda na zdumiewająco piękną kobietę, która się nad nim pochyla.

Paznokcie u stóp ma pociągnięte lazurem, jakby to były lusterka, w których odbija się niebo. Naprawdę ta osoba wygląda tak czarodziejsko, a kolor jej paznokci ma tak świetlistą głębię, że Curtis bez trudu potrafi sobie wyobrazić, iż patrzy w dziesięć mistycznych bram do nieba innego świata. Jest niemal pewien, że jeśli rzuci kamyczkiem w któryś paznokieć, nie odbije się on, lecz zniknie w błękitcie, pochłonięty przez głębię innego nieba.

Curtis patrzy na jej idealnie ukształtowane palce, gdyż kobieta ma na stopach białe sandałki. Ich wysokie obcasy są zrobione z czystego akrylu, toteż wydaje się, że kobieta stoi bez wysiłku na palcach, niczym baletnica. Jej nogi w białych obcisłych spodenkach wydają się niemożliwie długie. Curtis jest pewien, że to złudzenie spowodowane efektownym pojawieniem się kobiety i kątem ostrym, pod którym na nią spogląda. Ale kiedy staje, okazuje się, że nie ma mowy o żadnym perspektywicznym złudzeniu. Jeśli nawet doktor Moreau H.G. Wellsa odniósłby na swojej tajemniczej wyspie jakiś sukces, nie zdołałby wyprodukować hybrydy gazelo-ludzkiej o kształtniejszych kończynach.

Spodnie biodrówki obnażają jej opalony brzusek, na którego środku widnieje owalny, szlifowany w fasety opał, dokładnie tego samego koloru co lakier na jej paznokciach. Klejnot tkwi bezpiecznie w jej pępku, przytwierdzony klejem, jakimś zmyślnym i niewyobrażalnym przyrządem lub czarami.

Jej piersi wyglądają tak jak te, na których w filmach zatrzymuje się obiektyw kamery, bujnie wystają ponad biały top. Ten top jest uszyty z tak cienkiej i rozciągliwej materii o ramiączkach wąskich jak spaghetti – właściwie jak capellini – że mógłby występować w charakterze cudu świata obok mostu Golden Gate. Dziesiątki inżynierów i architektów mogłyby studiować tygodniami strukturę tego

zdumiewająco funkcjonalnego wynalazku.

Miodowo-złote włosy okalają twarz jak z obrazka, o oczach w kolorze opalu. Jej usta, jędrne arcydzieło wprost z reklamy szminki, mają kolor oszronionej czerwieni, jak płatki ostatniej listopadowej róży.

Gdyby chłopiec był Curtisem Hammondem dłużej niż dwa dni, powiedzmy dwa tygodnie albo dwa miesiące, tak by się już przyzwyczaił do ludzkiej biologii, że poczułby głos męskiego zainteresowania, które najwyraźniej zaczęło się już pojawiać u prawdziwego Curtisa, skoro dodał do kolekcji potworów plakat z Britney Spears. Ale i tak, choć jest dopiero w trakcie procesu adaptacyjnego, zaczyna coś czuć, jakąś suchość w ustach, która nie ma nic wspólnego z pragnieniem, szczególne drżenie nerwów w kończynach i dygot kolan, które prawie się pod nim uginają.

– Curtis? – pyta kobieta znowu.

– Tak, proszę pani – odpowiada i dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że nie zdradził swojego imienia nikomu od czasu pogawędki z Donellą w restauracji zajazdu dla ciężarówek.

Kobieta rozgląda się nieufnie, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie obserwuje ani nie podsłuchuje. W pobliżu stoi paru mężczyzn, przyglądali się jej, kiedy rozmawiała z Curtisem, a teraz odwracają głowy, napotkawszy jej wzrok. Być może kobieta zauważyła to podejrzane zachowanie, gdyż pochyla się nad chłopcem i szepcze z naciskiem:

– Curtis Hammond?

Z wyjątkiem Donelli, biednego głupiego Burta Hoopera, kierowcy od wafli, oraz mężczyzny w czapce mistrza kierownicy nikt – oprócz wrogów Curtisa – nie zna jego nazwiska.

Curtis stoi jak sparaliżowany, równie bezbronny jak każdy zwykły śmiertelnik w obliczu jaśniejącego anioła śmierci. Spodziewa się, że teraz zostanie wypatroszony, pozbawiony głowy, rozdarty na strzępy, zmiażdżony, spalony i jeszcze gorzej, choć nigdy by się nie spodziewał, że śmierć przybędzie w wiszących srebrnych kolczykach, dwóch naszyjnikach ze srebra i turkusów, z trzema brylantowymi pierścionkami, bransoletką ze srebra i turkusów na każdej ręce i ozdobą w pępku.

Mógłby się nie przyznawać do bycia oryginalnym lub obecnym Curtisem Hammondem, ale jeśli kobieta znajdowała się w grupie łowców, którzy dwie noce temu unicestwili rodzinę jego i Curtisa, to już go zidentyfikowała na podstawie wyjątkowego energetycznego podpisu. A w takim wypadku wszelkie próby ukrycia się będą nieskuteczne.

– Tak, proszę pani, to ja – mówi, uprzejmy do samego końca, i przygotowuje się na śmierć, której pan Neary i inni będą się pewnie przyglądać z wielkim zadowoleniem, ponieważ ich obraził, choć wcale nie chciał.

Jej szept cichnie jeszcze bardziej.

– Podobno nie żyjesz.

Na tym etapie opór nie ma sensu, ponieważ jeśli kobieta należy do gorszych huncwotów, ma siłę dziesięciu mężczyzn i rozwija prędkość ferrari testarosa, więc Curtis jest już właściwie rozjechany na śmierć.

– Nie żyję – potwierdza, dygocząc. – Tak. Chyba tak.

– Biedne dziecko – mówi kobieta bez odrobiny sarkazmu, którego można by się spodziewać ze strony mordercy zamierzającego pozbawić cię głowy, za to z wyraźną troską.

Curtis, zaskoczony jej współczuciem, wykorzystuje ten niespodziewany przejaw litości, której jej gatunek nie powinien znać.

– Proszę pani, przyznaję, że obecna tu moja psina wie za dużo, ponieważ jesteśmy złączeni. Nie będę



udawać, że tak nie jest. Ale ona nie umie mówić, więc nikomu nie powie. Z pewnością nie dojdziemy do porozumienia w sprawie wyrwania moich kości z tego ciała i rozbicia ich jak szkło, ale z całego serca wierzę, iż nie ma powodu zabijać także jej.

Kobieta robi minę, którą Curtis nauczył się już rozpoznawać na tak różniących się twarzach, jak okrągła fizjonomia uśmiechniętej Donelli i zarośnięta gęba zrzedliwego Gabby'ego. Podejrzewa, iż oznacza ona dezorientację, – nawet zaskoczenie, choć jeszcze nie osłupienie.

– Kochanie – szepcze kobieta – dlaczego mam wrażenie, że ścigają cię jacyś okropnie źli ludzie?

Stary Rudzielec nie przyjęła poddańczej pozycji, ale wstała. Uśmiecha się do kobiety, zamaszycie merda ogonem, radośnie wita nową znajomą.

– Lepiej stąd zmykajmy – mówi cicho anielica, która coraz mniej wygląda na funkcjonariuszkę Wydziału Śmierci. – Bezpieczniej będzie dogadać się na osobności. Chodź ze mną, dobrze?

– Dobrze – zgadza się Curtis, ponieważ kobieta otrzymała od Starego Rudzielca certyfikat wiarygodności.

Anielica prowadzi ich do pobliskiego domu na kółkach. Pojazd jest ogromny, ma czternaście metrów długości, trzy i pół wysokości, dwa i pół do trzech szerokości, a wygląda tak potężnie, że – pomimo wesołych białych, srebrnych i czerwonych kolorów – mógłby być uzbrojonym pojazdem wojskowym.

Ze swoimi złotymi włosami i akrylowymi obcasami kobieta przypomina Curtisowi Kopciuszka, choć na nogach ma sandałki, a nie pantofelki. Poza tym Kopciuszek nie nosiłby obcisłych spodenek, które tak ciasno opinają pośladki. Ponadto gdyby miał taki duży biust, na pewno nie eksponowałby go aż tak, ponieważ w tamtych czasach obowiązywała znacznie większa skromność. Ale jeśli twoja matka chrzestna chce zmienić dynię w stylową karocę, która zawiezie cię na bal w królewskim pałacu, na pewno byłoby lepiej, gdyby darowała sobie numer z myszkami i końmi, a w zamian zmieniła dynię w nowy dom na kółkach, dużo bardziej odlatowy niż powóz zaprzęgnięty w zaczarowane gryzonie.

Psina wskakuje do pojazdu natychmiast po otwarciu drzwi, jakby od zawsze tu mieszkała. Curtis idzie w ślad za nią, zaproszony przez anielicę.

Wchodzi się bezpośrednio do szoferki. Chłopiec przechodzi pomiędzy siedzeniem dla kierowcy i pasażera i słyszy, że drzwi się za nim zamykają. Nagle bajka zmienia się w horror. Curtis spogląda przed siebie, widzi kuchnię, a przy zlewie ostatnią osobę, którą spodziewał się zobaczyć. Kopciuszka.

Odwraca się, wstrząśnięty, a za jego plecami stoi Kopciuszek, pomiędzy fotelem kierowcy i pasażera, uśmiecha się i w zamkniętej przestrzeni wygląda jeszcze efektowniej niż na dworze.

Kopciuszek przy zlewie jest identyczny, od jedwabistych złocistych jak miód włosów po opalowo-błękitne oczy, długie nogi w obcisłych spodenkach, sandałki na akrylowych obcasach i lazurkowe paznokcie u nóg.

Klony.

O Boże, klony.

Klony przeważnie oznaczają kłopoty i nie jest to niesprawiedliwa opinia, ponieważ klony na ogół rodzą się do złych uczynków.

– Klony – mamrocze Curtis. Pierwszy Kopciuszek się uśmiecha.

– Co mówisz, kochanie?

Drugi Kopciuszek odwraca się od zlewu i robi krok w stronę chłopca. Także się uśmiecha. I trzyma wielki nóż.

Micky siedzi w zalanej światłem jarzeniowym bibliotece z betonu i cegieł, która jednocześnie ciągnie się w cyberprzestrzeni nieskończonymi alejami świetlistych obwodów i połączeń, podróżuje przez świat na śmigłych kołach prądu elektrycznego i mikrofal, wertuje wirtualne, zawsze dostępne księgozbiory, przegląda książki bez stron i okładek, lecz pełne jaśniejących faktów. W każdej komnacie tego pałacu technicznego geniuszu znalazła prymitywny egoizm i najmroczniejszy materializm ludzkości.

Bioetycy zaprzeczają istnieniu prawdy obiektywnej. Preston Maddoc napisał: „Nie ma dobra i zła, moralności czy niemoralności. Bioetyka dotyczy skuteczności, ustalenia kodeksu zasad, które przeważnie będą dobre dla większości ludzi”.

Przede wszystkim skuteczność ta oznaczała pomoc przy samobójstwie za każdym razem, kiedy cierpiąca osoba o nim pomyśli, nie tylko w przypadku osób śmiertelnie czy chronicznie chorych, lecz nawet tych, które można wyleczyć, lecz które chwilowo wpadły w depresję. Preston wraz z wieloma innymi uważał ludzi w depresji nie tylko za kandydatów do zejścia z tego świata, lecz także do „doradztwa samobójczego”, za pomocą którego można im zasugerować odebranie sobie życia. Nie czarujmy się, osoba w depresji wie o niskiej jakości i nawet jeśli stany depresyjne można łagodzić za pomocą leków, osoba taka nie jest „normalna”, co oznacza, że nie może żyć wartościowo.

Zwiększenie odsetka samobójstw ma być, według nich, korzystne dla społeczeństwa, ponieważ w dobrze zorganizowanym systemie opieki medycznej organy osób, które popełniły samobójstwo wspomagane, mogą zostać wykorzystane do transplantacji. Micky przeczytała wiele wypowiedzi bioetyków, wpadających w entuzjazm na myśl o uzupełnieniu braków organów do przeszczepów dzięki programowi wspomaganych samobójstw; ich euforia wyraźnie dowodziła, że będą robić wszystko, co w ich mocy, by zwiększyć liczbę samobójstw, jeśli tylko otrzymają na to przyzwolenie, o które tak niezmordowanie zabiegają.

Jeśli wszyscy jesteśmy tylko mięsem pozbawionym duszy, to dlaczego nie poświęcić pewnej grupy, jeśli zyskają na tym inni? W efekcie otrzymamy natychmiastowe zyski bez długofalowych konsekwencji.

Micky cofnęła rękę od myszki, drugą z klawiatury. Dla oszczędności energii elektrycznej w bibliotece było niemal tak samo gorąco jak na dworze, ale jej zrobiło się zimno, jakby ktoś siedzący przy komputerze w zamku doktora Frankenstein'a prześliznął się przez ścieżki w cyberprzestrzeni i sięgnął ku niej wirtualnymi palcami, zimniejszymi niż lód.

Rozejrzała się wokół, zastanawiając się, ile osób obecnych w bibliotece byłoby równie zaszokowanych jak ona, ile pozostałoby obojętnych... i ile zgodziłoby się z Prestonem Maddokiem i jego kolegami po fachu. Często rozmyślała nad kruchością życia, lecz dziś po raz pierwszy z lodowatą pewnością zdała sobie sprawę, że także cywilizacja jest równie krucha jak każda ludzka istota. Każde z licznych piekieł, które człowiek stworzył w całej swojej historii, w tym czy innym zakątku świata, mogło się odrodzić – a również mogło powstać nowe piekło, skuteczniejsze i lepiej przemyślane.

Znów do myszki, klawiatury, Internetu, znów do Prestona Maddoca, pająka w sieci...

Organy samobójców oraz osób niepełnosprawnych są pożądanym towarem, lecz Maddoc i jemu podobni wyrażali także pełne poparcie dla pobierania organów ludzi zdrowych i szczęśliwych.

Micky przeczytała artykuł Annę Maclean „Eliminacja moralności”, gdzie przytaczano program zaproponowany przez Johana Harrisa, angielskiego bioetyka, w którym wszyscy mieliby przydzielony numer w loterii. Potem, „gdy lekarze mieliby dwóch lub więcej umierających pacjentów, których życie można by uratować metodą transplantacji, a pod ręką nie byłoby odpowiednich organów osób, które

umarły w sposób «naturalny», mogliby się zwrócić do komputera centralnego o wskazanie stosownego dawcy. Komputer wybierałby losowo numer dawcy, który byłby uśmiercany, by uratować życie dwóch lub więcej osób”.

Zabić tysiąc osób, by uratować trzy tysiące. Zabić milion, by uratować trzy miliony. Zabić słabych, by uratować silnych. Zabić niepełnosprawnych, by zapewnić godniejsze życie tym, których kończyły się siły. Zabić tych, którzy mają niższe IQ, by dostarczyć więcej środków do życia osobom uznanym za inteligentniejsze.

Wielkie uniwersytety w rodzaju Harvardu, Yale, Princeton, niegdyś ostoje wiedzy, w który można było poszukiwać prawdy, zmieniły się w dobrze naoliwione maszyny śmierci, uczące studentów medycyny, że powinno się uznać zabijanie za pewną formę leczenia, że tylko wybrani, spełniający cały komplet kryteriów, mają prawo żyć, że nie ma dobra czy zła, że śmierć to życie. Teraz wszyscy jesteśmy zwolennikami Darwina, prawda? Silni przetrwają, słabsi zginą, a ponieważ tak to zaplanowała natura, czy nie powinniśmy jej troszkę pomóc? Przyjmij dyplom, który cię tyle kosztował, rzuć czapkę w powietrze, żeby to uczcić, a potem idź zabijać w imieniu Matki Natury.

Hitler pewnie się uśmiecha. Podobno kazał zabijać niepełnosprawnych i chorych (nie wspominając o Żydach) z zupełnie niewłaściwych powodów, ale skoro nie ma dobra ani zła, ani prawdy obiektywnej, to tak naprawdę liczy się tylko to, że kazał ich zabijać, zatem według standardów współczesnej etyki można go uznać za wizjonera.

Pojawiające się na ekranie zdjęcia Prestona Maddoca przedstawiały atrakcyjnego, jeśli nie przystojnego mężczyznę z długimi kasztanowymi włosami, wąsami i ujmującym uśmiechem. I w przeciwieństwie do tego, czego spodziewała się Micky, nie obnosił na czole kodu kreskowego z początkową liczbą 666.

Z zamieszczonego zwięzłego życiorysu wynikało, że Preston jest pieszczochem Fortuny. Był jedynym dziedzicem znacznego majątku. Nie musiał pracować, żeby móc stylowo podróżować po kraju, poszukując kosmitów obdarzonych darem leczenia.

Micky nie znalazła żadnej wzmianki o tym, jakoby Maddoc wierzył święcie w istnienie UFO i żyjących wśród nas Obcych. Jeśli naprawdę tak było, nigdy nie wypowiedział się publicznie na ten temat.

Cztery i pół roku temu zrezygnował z posady na uniwersytecie, żeby „poświęcić więcej czasu filozofii bioetyki” oraz bliżej nieokreślonym sprawom osobistym.

Z całą pewnością asystował przy ośmiu samobójstwach.

Leilani twierdziła, że zabił jedenaście osób. Widać wiedziała o trzech przypadkach, które nie zostały odnotowane.

Kilka starych kobiet, trzydziestoletnia kobieta chora na raka, siedemnastoletni futbolista, który doznał uszkodzenia rdzenia kręgowego... Micky, kiedy czytała listę ofiar Maddoca, słyszała głos Leilani, wymieniający te same osoby.

Maddoc został dwa razy oskarżony o morderstwo, w dwóch różnych procesach i pod różnymi jurysdykcjami. Za każdym razem został uniewinniony, ponieważ sąd uznał jego intencje za szlachetne, a współczucie za godne podziwu i niekwestionowane.

Mąż trzydziestoletniej kobiety chorej na raka, aczkolwiek był obecny podczas wspomaganego samobójstwa, wniósł przeciwko Maddocowi oskarżenie, kiedy w wyniku sekcji zwłok odkryto, że jego żonie postawiono błędną diagnozę, że nie miała raka, a jej choroba była uleczalna. Ale sędziowie przysięgli wzięli stronę Maddoca ze względu na jego dobre intencje, a także dlatego, że winą obarczyli

wyłącznie lekarza, który postawił złą diagnozę.

Rok po śmierci syna matka sześciolatka przykutego do wózka inwalidzkiego także wniosła oskarżenie przeciwko Maddocowi, zarzucając mu, że działając w zмовie z jej mężem, poddał ją „uporczywemu psychicznemu i emocjonalnemu nękanu przy użyciu techniki wojny psychologicznej oraz prania mózgu”, czym doprowadził ją do stanu fizycznego i umysłowego wyczerpania, w którym zgodziła się zakończyć życie swojego syna, czego teraz żałuje. Wycofała pozew, za – nim doszło do procesu, być może dlatego, że nie miała ochoty paść łupem mediów, a może dlatego, że Maddoc zawarł z nią dyskretny układ.

Preston Maddoc był wyraźnie pieszczochem losu, ale nie powinno się zapominać o zasługach potężnego zespołu prawników, na który mógł sobie pozwolić dzięki fortunie, a także o wpływie firmy public relations, biorącej dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie i pracującej bez wytchnienia od lat nad jego wizerunkiem.

Ostatnio Preston Maddoc przestał zwracać na siebie uwagę. Ponieważ został wiernym mężem Sinsemilli i jej dostarczycielem narkotyków, wycofał się ze sceny publicznej, ustępując miejsca na barykadzie innym zapaleńcom, by mogli walczyć o nowy wspaniały świat i większe szczęście osiągnięte utylitarnymi morderstwami.

Co ciekawe, Micky nie znalazła żadnych wzmianek o małżeństwie Maddoca. Według wszystkich funkcjonujących w Internecie biografii był kawalerem.

Kiedy postać tak kontrowersyjna jak Preston Maddoc bierze sobie żonę, ślub powinien stać się sensacją. Bez względu na to, czy został zawarty na rojnym Manhattanie, czy w senniej mieścinie w Kansas, media powinny się o nim dowiedzieć i rozgłosić wieści, nawet jeśli ceremonia została odprawiona, a panna młoda pocałowana przed nadciągnięciem na miejsce dziennikarzy. A jednak... ani słowa.

Leilani nazwała ten ślub zadziwiającym, choć nie było na nim łabędzia z lodu. Teraz Micky wierzyła już w każde jej słowo, choćby jej opowieści wydawały się nie wiadomo jak niestworzone. Leilani nie kłamała. Ten ślub gdzieś się odbył, bez lodowego łabędzia i bez powiadomienia mediów.

Oczywiście, kiedy panną młodą jest osoba w rodzaju Sinsemilli, można nie życzyć sobie trzystronicowego artykułu w „People” ani zaproszenia do telewizji na wywiad z Larrym Kingiem.

Jednak najbardziej prawdopodobną przyczyną takiej dyskrecji był fakt, iż pan młody zamierzał zabić swojego pasierba i pasierbicę, jeśli jego oczekiwania co do pozaziemskich uzdrowicieli się nie spełnią. Bardzo niewiele osób spyta o zaginione dzieci, jeśli nikt nie będzie wiedział o ich istnieniu.

Micky przypomniała sobie, jak Leilani wspomniała, iż Maddoc nie używa w podróży swojego nazwiska i że zmienił wygląd. Sądząc z dat podawanych w Internecie, jego najbardziej aktualne zdjęcia zostały zrobione przed czterema laty.

Micky wpatrzyła się w pogodną twarz doktora Zagłady; coś jej mówiło, że zachował swoje małżeństwo w tajemnicy nie tylko ze względu na mordercze plany wobec Lukipeli i Leilani. Tu kryła się jakaś tajemnica.

Wylogowała się. Materiały dostępne w Internecie były przebogate, ale nie mogła już znaleźć nic użytecznego. Prawdziwy świat zawsze góruje nad wirtualnym i nic tego nie zmieni. Teraz musiała się spotkać osobiście z Prestonem Maddokiem i zorientować się, co to za człowiek.

Kiedy opuszczała bibliotekę, nie pamiętała już o swojej zbyt krótkiej i obcisłej spódnicy. Gdyby nie odwołała spotkania w sprawie pracy, poszłaby na nie bardzo pewna siebie.

W ciągu ostatnich paru godzin zaszła w niej jakaś fundamentalna zmiana. Czowała wyraźną różnicę,

choć nie potrafiła jej jeszcze określić.

Pograżona w zamyśleniu nad bioetyką, znalazła się przy swoim camaro, nie wiedząc nawet, kiedy przeszła przez parking, jakby teleportowała się z biblioteki do samochodu w ciągu sekundy.

Usiadła za kierownicą, ale nie włączyła radia. Do tej pory zawsze prowadziła przy włączonym radiu. Milczenie ją denerwowało, muzyka była jak kit wypełniający pęknięcia i szczyby. Ale nie dziś.

Prawdziwy świat zawsze góruje nad wirtualnym...

Bioetycy byli niebezpieczni, ponieważ ustanawiali własne zasady i schematy postępowania nie dla świata prawdziwego, lecz dla rzeczywistości wirtualnej, w której ludzie nie mają serca, nie potrafią kochać i wszyscy wierzą w bezwartościowość życia równie mocno jak sami bioetycy, wszyscy uważają, że człowiek jest tylko mięsem.

Ulice były zakorkowane jak arterie starzejącego się zapaśnika sumo. Na ogół Micky wściekała się na utykający ruch. Ale nie dziś.

Maddoc i jego kumple bioetycy przestali być zaledwie niebezpieczni i stali się krwawymi tyranami, otrzymując władzę naginania świata do swoich abstrakcyjnych oczekiwań – oczekiwań stojących w sprzeczności z ludzką naturą i nie bardziej odzwierciedlających rzeczywistość, niż sztuczki matematyczne genialnego idioty odzwierciedlają prawdziwy geniusz.

Stanąć, jechać. Stanąć, jechać. Przypomniała sobie, co kiedyś przeczytała: w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Kalifornii zaprzestano na osiem lat budowy autostrad. Ówczesny gubernator sądził, że do roku 1995 samochody wyjdą z powszechnego użytku, a zastąpią je inne technologie. Albo cuda.

Przez wszystkie te lata, kiedy sunęła zderzak w zderzak z innymi samochodami, podczas tak wielu frustrujących dwugodzinnych jazd, które powinny jej zająć najwyżej trzydzieści minut, nigdy dotąd nie połączyła idiotycznej polityki publicznej z obecnym chaosem. Nagle poczuła, że z własnego wyboru żyje pograżona wyłącznie w chwili obecnej, w bańce oddzielającej ją od przeszłości i przyszłości, od przyczyny i skutku.

Stanąć, jechać. Stanąć, jechać.

Ile milionów litrów benzyny zmarnowano w takich korkach, do jak wielkiego zanieczyszczenia powietrza doszło w wyniku tego moratorium na budowę autostrad? A jednak obecny gubernator także ogłosił, że nie będzie się ich budować.

Jeśli Micky pozwoli Leilani umrzeć, jak mogłaby wytrzymać sama ze sobą, nie przyjmując filozofii koleśków Maddoca, według której ludzie są tylko mięsem? Na swój sposób żyła w tej jałowej wierze przez wiele lat – i proszę, co osiągnęła.

Jedna nowa myśl prowadziła do następnej. Stanąć, jechać. Stanąć, jechać.

Micky czuła się tak, jakby zaczęła się budzić ze snu, który trwał dwadzieścia osiem lat.

Chyży jak dzinn uwolniony z zamknięcia lampy, słodki oleisty aromat wanilii w magiczny sposób dotarł przez wilgotne powietrze do najdalszych kątów kuchni pani D. w chwili otworzenia butelki.

– Mmmmm. Najpiękniejszy zapach na świecie, nie sądzisz? Leilani, wsypująca kostki lodu do dwóch wysokich szklanek, wciągnęła powietrze.

– Cudowny. Na nieszczęście kojarzy mi się z kąpielą starej Sinsemilli.

– Dobry Boże, twoja matka kąpie się w wanilii? Leilani opowiedziała – przyglądając się, jak Geneva kąpie olejkim waniliowym na kostki lodu, po czym zalewa je colą z puszkii – o zamiłowaniu Simemilli do oczyszczania ciała z toksyn w gorącej kąpeli drogą odwróconej osmozy,

– To chyba coś takiego, jak przywiązanie kotu dzwoneczka – powiedziała pani D., wręczając Leilani szklanę.

– Pani D., znowu mnie pani wykończyła. Niestety, muszę robić przerwy w rozmowie, żeby sprawdzić, w jaki sposób jedna uwaga logicznie wynika z drugiej.

– Jakie to musi być dla ciebie przykre, kochanie. Chciałam przez to powiedzieć, że nadejście twojej matki zawsze zapowiada chmura cudownego zapachu.

– Niekoniecznie cudownego, jeśli akurat kąpała się w czosnku, skondensowanym soku z kapusty i ekstrakcie z bielunia.

Usiadły przy stole i spróbowały waniliowej coli.

– Fantastyczna – zachwyciła się Leilani.

– Nie chce mi się wierzyć, że nigdy nie robiłaś takiego koktajlu.

– Bo rzadko miewamy colę w lodówce. Stara Sinsemilla twierdzi, że kofeina ogranicza rozwój zdolności telepatycznych.

– Więc musisz szalenie dobrze czytać w myślach.

– Aż się sama boję. W tej chwili usiłuje pani sobie przypomnieć imiona wszystkich piosenek z grupy Destiny Child i potrafi pani wymienić tylko cztery.

– Zdziwiająco, kochanie. Tak naprawdę myślę sobie, że waniliowa cola doskonale by pasowała do wielkiego ciacha z kremem i lukrem.

– Bardzo mi się podoba ten sposób myślenia, choć ma pani zbyt skomplikowany umysł, żeby się dało w nim czytać.

– Leilani, masz ochotę na wielkie ciacho z kremem i lukrem?

– Tak, bardzo proszę.

– Ja też. Ogromną. Niestety, nie mamy ich w domu. Ale kruche ciasteczka cytrynowe też nie byłyby najgorsze. Co powiesz na ciasteczka cytrynowe z waniliową colą?

– Kusi mnie pani.

– Też ich nie mamy. – Geneva pociągnęła łyk napoju, zamyślona. – A jak by do tej coli pasowały ciasteczka z czekoladą i migdałami?

– Wstrzymani się z opinią.

– Naprawdę? Dlaczego, kochanie?

– Bo z jakiegoś powodu wydaje mi się to bez znaczenia. – Szkoda. Nie chcę się chwalić, ale moje ciasteczka z czekoladą i migdałami są bardzo udane.

– A są w tym domu?

– Sześć tuzinów.

– To aż za wiele, dziękuję.

Geneva postawiła na stole paterę z ciastkami. Leilani spróbowała jedno.

– Fantastyczne. I doskonale pasują do waniliowej coli. Ale to nie są migdały, tylko orzechy.

– Tak, wiem. Nie przepadam za migdałami, więc kiedy robię ciasteczka z czekoladą i migdałami, używam orzechów.

– Muszę zadać pani jedno pytanie, ale nie chciałabym się wydać bezczelna.

Geneva się zdziwiła.

– Nie potrafiłabyś być bezczelna, nawet gdybyś się starała. Jesteś absolutnym, niewątpliwym... – Zmarszczyła brwi. – Jak brzmi to określenie?

– Absolutny, niewątpliwy, piękny młody mutant.

– Skoro tak twierdzisz, kochanie.

– Pytam z wielką czułością, ale... czy pani trenuje bycie taką czarującą żoną, czy też przychodzi to pani naturalnie?

– Jestem czarującą żoną? – spytała pochlebiona Geneva.

– Według mnie – tak.

– Ach, słodkie dziecko, trudno mi sobie wyobrazić coś lepszego. A wracając do twojego pytania... niech się zastanowię. No, jeśli naprawdę jestem czarującą żoną, to nie wiem, czy byłam nią zawsze, czy dopiero od tego postrzału w głowę. W każdym razie nie, nie trenuję tego. Nie potrafiłabym.

– Doktor Zagłada zabiera nas do Idaho – powiedziała Leilani, chrupiąc ciasteczko.

Drżenie niepokoju zmiotło uśmiech z twarzy Genevy.

– Do Idaho? Kiedy?

– Nie wiem. Kiedy mechanik skończy przegląd samochodu. Pewnie w przyszłym tygodniu.

– Dlaczego do Idaho? To znaczy, na pewno ci ludzie z Idaho są bardzo mili, ze swoimi ziemniakami i w ogóle, ale to okropnie daleko stąd.

– Jakiś gość, który mieszka w pobliżu Nun's Lakę w Idaho, twierdzi, że kosmici zabrali go na pokład latającego spodka i uleczyli.

– Z czego? – Z chęci mieszkania w Nun's Lakę. Tak podejrzewam. Facet spodziewa się chyba, że dzięki tej historii napisze książkę, na podstawie której zrobią film, a on dostanie tyle pieniędzy, że będzie się mógł przeprowadzić do Malibu.

– Nie wypuścimy cię do Idaho.

– Co tam, pani D., przecież byłam nawet w Dakocie Północnej.

– Ukryjemy cię tutaj, w pokoju Micky.

– To porwanie.

– Nie, jeśli się na nie zgodzisz.

– Tak, nawet jeśli się zgodzę. Tak mówi prawo.

– Więc prawo jest głupie.

– Taki argument nigdy się nie sprawdza w sądzie. To by się skończyło w komorze gazowej stanu Kalifornia. Mogę jeszcze jedno ciasteczko?

– Oczywiście, kochanie. Ale jednak to Idaho mocno mnie niepokoi.

– Proszę jeść – doradziła Leilani. – Te ciasteczka są tak pyszne, że gdyby więźniowie z sali tortur Torquemady je zjedli, zaczęliby stepować.

– Więc upiekę drugą blachę i im wyślę.

– Torquemada żył w czasach hiszpańskiej inkwizycji, w piętnastym wieku, pani D.

– A, to wtedy jeszcze nie piekłam ciasteczek. Ale zawsze bardzo się cieszę, kiedy komuś smakują moje wypieki. Kiedy miałam restaurację, zawsze najbardziej komplementowano właśnie ciasteczka.

– Pani miała restaurację?

– Byłam kelnerką, potem kupiłam lokal i muszę przyznać, że zrobiła się z tego całkiem dochodowa sieć. Och, no i spotkałam tego wspaniałego mężczyznę, Zachary’ego Scotta. Sukces, namiętność... Wszystko szło wspaniale, dopóki moja córka nie zaczęła się do niego dobieierać.

– Nie wiedziałam, że ma pani córkę. Geneva ugryzła w zamyśleniu ciasteczko.

– Właściwie to była córka Joan Crawford.

– Córka Joan Crawford zaczęła się dobieierać do pani przyjaciela?

– Prawdę mówiąc, ta restauracja należała do Joan Crawford. Wszystko to wydarzyło się chyba w „Mildred Pierce”, nie w moim życiu – ale fakt pozostaje faktem, Zachary Scott jest wspaniałym mężczyzną. – Może jutro znowu się spotkamy i wtedy upieczemy jednak blachę ciasteczek dla więźniów Torquemady.

Geneva się roześmiała.

– Jerzy Waszyngton i jego kompania także mieliby na nie ochotę. Leilani, jesteś super, hiper i niesamowita. Nie mogę się doczekać, co z ciebie wyrośnie.

– Na pewno wyrosną ze mnie cycki, takie czy inne. Choć nie mogę powiedzieć, że będą stanowić moje największe osiągnięcie.

– Moje piersi szczególnie podobały mi się w czasach, gdy byłam Sophią Loren.

– Pani także jest bardzo zabawna i wcale pani nie jest dorosła. Według mnie dorosłe osoby na ogół nie bywają zabawne.

– Może będziesz do mnie mówić „ciociu Gen”, tak jak Micky?

Ten szczególny wyraz uczucia niemal całkowicie rozkleił Leilani. Spróbowała pokryć chwilę słabości, pociągając łyk waniliowej coli.

Geneva przejrzała na wylot ten zmyślny manewr i jej oczy zamglily się czułością. Wykorzystała ciasteczko jako narzędzie do odwrócenia uwagi, ale to się nie udało, ponieważ nie sposób było trzymać go w taki sposób, żeby zasłonić zażawione oczy.

Z punktu widzenia Leilani najgorsze, co się teraz mogło zdarzyć, to wspólny płacz jak w programie Oprah pod tytułem „Małe kalekie dziewczynki, które zostaną zamordowane, oraz czarujące, postrzelone w głowę żolty, które je kochają i chcą być ich przyszywanymi ciociami”. Podobnie jak droga ninja nie była drogą Klonk, tak samo nie była nią droga łez, przynajmniej jeśli chodzi o Klonk Leilani.

Pora na pingwinka.

Wygrzebała go z kieszeni szortów i postawiła na stole, między świecznikami, które zostały tu po kolacji.

– Chciałam spytać, czy mogłaby pani wyświadczyć mi przysługę i oddać to właściwej osobie.

– Jaki śliczny! – Geneva odłożyła ciasteczko, na które nie miała ochoty i które nie nadawało się do zasłonięcia oczu. – No, po prostu słodki, prawda?

Pingwinek miał cztery centymetry wysokości – gliniany, ręcznie malowany – i rzeczywiście był tak uroczy, że Leilani pewnie popłakałaby się na jego widok, gdyby nie wiedziała o jego mroźnej krew w żyłach historii. – Należał do dziewczyny, która wczoraj umarła. Uśmiech Genevy zamarł, a potem stopniał.

– Miała na imię Tetsy – ciągnęła Leilani. – Nie znam jej nazwiska. Ale myślę, że tu mieszkała, w tym okręgu.



– Co chcesz powiedzieć, kochanie?

– Jeśli kupi pani jutrzejszą i sobotnią gazetę, pewnie znajdzie się w niej klepsydra. Tam na pewno podadzą jej nazwisko.

– Przerażasz mnie, kochanie.

– Przepraszam, nie chciałam. Tetsy zbierała pingwiny, to jeden z jej kolekcji. Preston mógł o niego poprosić, ale równie dobrze mógł go zabrać bez pytania. Dlatego go nie chcę.

Spojrzały na siebie, ponieważ w oczach Genevy nie było już łez, a Leilani nadal kroczyła niezłomnie drogą Klonk, już nie obawiając się, że zaleje kuchnię potopem łez.

– Leilani – przemówiła Geneva – czy mam zadzwonić na policję?

– To na nic. Wpompowali w nią ogromną dawkę digitoksyny, co spowodowało rozległy zawał serca. Preston już to przedtem robił. Digitoksynę można wykryć podczas sekcji zwłok, więc musieli to załatwić tak, żeby do niej nie doszło. Najprawdopodobniej już po kremacji.

Geneva spojrzała na pingwinka, na Leilani, na waniliową colę.

– Wszystko to bardzo dziwne – powiedziała.

– Naprawdę? Preston dał mi tego pingwinka, bo, jak powiedział, przypomina mu Lukipełę.

– A to parszywy drań.

W głosie Genevy zadźwięczał jadowity ton, o który Leilani nigdy jej nie podejrzewała.

– Pingwinek jest słodki. Luki był słodki. Jest przekrzywiony na bok, tak jak Luki. Ale nie wygląda jak Luki, bo, naturalnie, jest pingwinem.

– Mam bratową, która mieszka w Hemet.

Temat ten nie miał nic wspólnego z zabitymi dziewczynami ani pingwinami, jednak Leilani pochyliła się ku Genevie z zainteresowaniem.

– A to prawdziwa bratowa czy może Gwyneth Paltrow?

– Prawdziwa. Ma na imię Clarissa i jest dobrą kobietą – pod warunkiem że toleruje się papugi.

– Bardzo lubię papugi. Potrafią mówić?

– Och, bez przerwy. Ma ich ponad sześćdziesiąt.

– Ja chyba preferuję układ jedna papuga na głowę. – Jeśli znikniesz, policja przyjdzie cię tu szukać, ale nie będzie wiedzieć o Clarissie w Hemet.

Leilani udała, że się zastanawia. A potem:

– Z sześćdziesięciu gadających papug na pewno jedna okaże się kapusiem i nas wsypie.

– Clarissa będzie tobą zachwycona. I zawsze jest tam coś do zrobienia, tyle miseczek z ziarnem i wodą...

– Dlaczego mi się to kojarzy z Hitchcockiem? I nie chodzi mi tylko o „Ptaki”. Podejrzewam, że gdzieś w tle znajduje się facet, który przebiera się za swoją matkę i ma obsesję na punkcie wielkich noży. A gdyby Clarissa poszła do więzienia za porwanie, co by się stało z papugami?

Geneva rozejrzała się po przyczepie.

– Myślę, że by się tu zmieściły.

– Rany koguta, bardzo proszę to nakręcić na wideo!

– Ale nigdy w życiu nie zaaresztują Clarissy. Ona ma sześćdziesiąt siedem lat, waży dwieście kilo, choć ma tylko metr sześćdziesiąt – i, oczywiście, ma wole.

Leilani powstrzymała się przed tym dość oczywistym pytaniem.

Geneva i tak na nie odpowiedziała.

– Właściwie nie jest to wole, tylko guz, a ponieważ nie jest złośliwy, nie trzeba go usuwać. Clarissa

nie ufa lekarzom, zresztą kto mógłby jej to mieć za złe, jeśli się weźmie pod uwagę, co przy nich przeszła. No tak, ale ona nic z nim nie robi, a on ciągle rośnie. Nawet jeśli władze więzienia jakoś pogodziłyby się z jej wiekiem i wagą, na pewno nie chciałyby straszyć tym guzem innych więźniarek.

Leilani wypła colę do ostatniej kropli.

– No tak, więc kiedy pojawi się ta klepsydra, byłabym bardzo wdzięczna, gdyby znalazła pani adres rodziców Tetsy i wysłała im pingwina. Sama bym to zrobiła, ale Preston nie da mi pieniędzy nawet na znaczki. Kupuje mi wszystko, czego sobie zażyczę, ale chyba mu się zdaje, że gdyby dał mi tygodniówkę, zaczęłabym ją pomnażać drogą inteligentnych inwestycji, aż zgromadziłabym taką sumę, żeby zapłacić zawodowemu mordercy.

– Wypiłaś dopiero połowę puszki. Chcesz, żebym ci dodała lodu i wanilii?

– Tak, proszę.

Geneva przygotowała drugą porcję napoju i znowu usiadła naprzeciwko Leilani. Pomiędzy konstelacjami miedzianych piegów pojawiły się zmarszczki troski, zielone oczy spochmurniały.

– Micky wpadnie na jakiś pomysł.

– Poradzę sobie, ciociu Gen.

– Kochanie, nie pojedziesz do tego Idaho.

– Duże jest to wole?

– Możesz przyjść do nas na kolację?

– Super! Doktor Zagłada znowu wyjdzie, więc się nie dowie. On by mi nie pozwolił, ale Sinsemilla jest zajęta tylko sobą i się nie połapie.

– Micky na pewno będzie miała już jakiś pomysł.

– No to jak, jest większe od śliwki?

– Dziś wieczorem włączę klimatyzację, żebyśmy mogły swobodnie myśleć. Gubernator na pewno nie oszczędza na klimatyzacji.

– A od pomarańczy?

Dwa Kopciuszki, olśniewające w sandałach na akrylowych obcasach i z opalami w pępkach, nie potrzebują matki chrzestnej, gdyż same są czarodziejkami. Ich śmiech brzmi jak muzyka, jest zaraźliwy i Curtis mimo woli także się uśmiecha, choć one śmieją się z jego idiotycznej i wyrażonej drżącym głosem obawy, iż mogłyby być klonami. Oczywiście, to bliźniaczki. Ta, która do niego podeszła na dworze, nazywa się Castoria. Ta druga to Polluksja.

– Mów do mnie Cass.

– A do mnie Poity.

Poity odkłada wielki nóż, którym siekała warzywa. Klęka na podłodze i za pomocą piskliwego dziecinnego gaworzenia oraz gorliwego drapania za uszkami w ułamku sekundy robi ze Starego Rudzielca kłębek merdającego ogonem, uległego szczęścia.

Cass kładzie delikatnie rękę na ramieniu Curtisa i prowadzi go dalej.

– W greckiej mitologii – mówi Curtis – Kastor i Polluks byli synami Ledy, którą Zeus uwiódł pod postacią łabędzia. Są bóstwami opiekuńczymi żeglarzy i podróżników. Są także słynnymi wojownikami.

Ta uczona wzmianka zdumiewa kobiety. Obie przyglądają się mu z wyraźnym zaciekawieniem. Stary Rudzielec także na niego patrzy, ale z pretensją, ponieważ Poity przestała gaworzyć i drapać ją za uszkami.

– Podobno połowa maturzystów nie potrafi czytać – mówi Cass – a ty już w podstawówce jesteś znawcą mitologii?

– Moja matka była bardzo dobra w organicznym powiększaniu mózgu i bezpośrednim przelewaniu danych – wyjaśnia.

Wyraz ich twarzy każe mu się zastanowić nad tym, co powiedział; z żalem zdaje sobie sprawę, że więcej zdradził na temat swojej prawdziwej natury i pochodzenia, niż zamierzał. Te dwie panie go oszołomiły, i tak samo jak w przypadku Donelli i Gabby’ego oszołomienie doprowadza go do stanu, w którym zaczyna nadmiernie używać języka, a jednocześnie ten zdradziecki organ zaczyna mu odmawiać posłuszeństwa.

Usiłując niezdarnie odwrócić ich uwagę od tego, co właśnie powiedział, kończy nieszkodliwym kłamstwem:

– A poza tym mieliśmy domokrąźców, co by nam wcisnęli Biblię albo bezużyteczną encyklopedię, jakbyśmy zdurnieli na tyle, żeby im otworzyć.

Cass bierze gazetę ze stolika w kącie jadalnym i podaje ją Poity.

Roziskrzone oczy Poity robią się wielkie, a ich błękitne światło niemal oślepia Curtisa.

– Nie poznałam cię, kochanie – mówi kobieta.

Pokazuje Curtisowi gazetę, a na pierwszej stronie widnieją trzy zdjęcia pod nagłówkiem „**ŚCIGANI HANDLARZE NARKOTYKÓW POWIĄZANI Z SADYSTYCZNYM MORDERSTWEM W KOLORADO**”.

Na zdjęciach widnieją członkowie rodziny Hammondów; zaprezentowani tu pan i pani Hammond to na pewno ci sami ludzie, którzy wtedy spali we własnym łóżku w cichym domku, kiedy uciekający chłopiec wstydliwie wyjął dwadzieścia cztery dolary z portfela na szafce.

Trzecie zdjęcie przedstawia Curtisa Hammonda.

– Ty żyjesz – mówi Cass.

– Tak – odpowiada Curtis, na razie zgodnie z prawdą.

– Uciekłeś.

– Nie całkiem.

– Z kim jesteś?

– Tylko z moją psiną. Uciekamy przez całe Utah.

– Czy to, co się zdarzyło na twojej farmie w Kolorado – pyta Poiły – ma związek z tym bałaganem w Utah?

Chłopiec kiwa głową. – Tak.

Castoria i Polluksja nawiązują kontakt wzrokowy, a ich więź jest precyzyjna jak laser chirurgiczny do tego stopnia, że Curtis niemal widzi roziskrzony ślad myśli przeskakującej z jednej głowy do drugiej. Obie kobiety dzielą tę samą myśl w dialogu, który właśnie się rozpoczyna i jeszcze bardziej oszałamia chłopca:

– Za tym wszystkim...

– ...stoi ktoś inny...

– ...niż handlarze narkotyków...

–.. jak twierdzi rząd...

– ...prawda?

Curtis wodzi wzrokiem od jednej kobiety do drugiej i odpowiada dwa razy, zwracając się do każdej z osobna:

– Tak. Tak.

Blizniaczki wymieniają znaczące spojrzenie, a kiedy tak robią, wydaje się, że nie tylko dzielą tę samą myśl, lecz przesyłają całe pliki skomplikowanych faktów i opinii. Pewnie nauczyły się przekazywać sobie informacje wzrokiem jeszcze w łonie matki, kiedy karmiły się tą samą szemrzącą rzeką krwi, gdy słuchały kojącej dwutonowej kołysanki serca matki i spoglądały sobie w oczy w sennym przewidywaniu świata, który dopiero miał się zjawić na ich spotkanie.

– Czy rząd...

– ...tam, w Utah...

– ...usiłuje zatuszować...

– ...wizytę...

– ...Obcych?

– Tak – mówi Curtis, ponieważ takiej odpowiedzi się spodziewają i tylko w taką uwierzą. Gdyby skłamał i powiedział, że wcale nie chodzi o kosmitów, albowiem się zorientowały, że kłamie, albo pomyślałyby, że jest po prostu głupi i dał się zrobić rządowi w bambuko. Coś go ciągnie do Cass i Poiły; czuje do nich sympatię, częściowo dlatego że Stary Rudzielec je lubi, trochę dlatego że on sam musi je lubić, bo zmuszają go do tego geny Curtisa Hammonda, ale także dlatego że jest w nich jakaś czułość, która wcale nie wiąże się z ich urodą, bardzo dla niego pociągającą. Nie chciałby, żeby uznały go za idiotę albo kłamcę. – Tak, chodzi o Obcych.

Cass do Poiły, Poiły do Cass, niebieskie lasery transmitują morze niewypowiedzianych wiadomości. Potem Poiły pyta:

– Gdzie tak naprawdę jest twoja rodzina? – Naprawdę nie żyją. – W oczach stają mu łzy żalu i poczucia winy. Wcześniej czy później musiałby się gdzieś zatrzymać, jeśli nie na farmie Hammondów, to na innej, żeby znaleźć ubranie, pieniądze i nową tożsamość. Ale gdyby wiedział, jak blisko niego są łowcy, nigdy nie wybrałby domu Hammondów. – Nie żyją. Tutaj gazety mają rację.

Siostry śmigają do jego łez jak ptaki do gniazda podczas burzy. W ułamku chwili znajduje się w ich

ramionach, obsypany pocałunkami, najpierw przez Poiły, potem przez Cass, przez Poiły, przez Cass, pochwycyony w wir współczucia i macierzyńskich uczuć.

Curtis, któremu kręci się w głowie tak, że za chwilę chyba zemdleje, zostaje przeniesiony – jakby ktoś kierował jego duchem – do aneksu kuchennego. Zaraz potem staje przed nim boski napój, niemal tak magiczny jak słońce, zapalające iskry na niebie nad Fatimą – wysoka szklanka ginger ale z łyżką lodów waniliowych, kołyszących się na jego powierzchni.

Stary Rudzielec także dostaje miskę pełną poszatowanego białego kurzego mięsa, a także drugą, z wodą z lodem. Psina zmiata mięso z efektywnością przemysłowego odkurzacza, po czym chrupie z przyjemnością lód, uśmiechnięta od ucha do ucha.

Cass i Poiły, jak oryginał i jego odbicie, siedzą przy stole naprzeciwko Curtisa. Cztery srebrne kolczyki kołyszą się w powietrzu, cztery naszyjniki ze srebra i turkusów lśnią, cztery srebrne bransolety odbijają światło – i cztery zarumienione piersi, gładkie jak śmietanka, wzbierają współczuciem i troską.

Na stole leżą rozłożone karty do gry. Poiły je zbiera.

– Nie chcę rozjrzrać twoich ran, kochanie, ale jeśli mamy ci pomóc, musimy znać sytuację. Czy twoi rodzice zostali zabici, ponieważ za dużo wiedzieli albo coś w tym rodzaju?

– Tak, proszę pani. Coś w tym rodzaju.

Poiły wkłada talię do paczki, na której widnieje obrazek z rowerem, i odsuwa ją na bok.

– I najwyraźniej ty także widziałeś zbyt wiele.

– Tak, proszę pani. Coś w tym rodzaju.

– Mów mi Poiły, ale nigdy nie pytaj, czy chcę ciasteczko.

– Dobrze, pro... Dobrze, Poiły. Aleja lubię ciasteczka, więc zjem wszystkie, których nie zechcesz.

Curtis siorbie przez słomkę ginger ale z roztopiającymi się lodami. Cass pochyla się ku niemu i szepcze konspiracyjnie: – Widziałeś statek Obcych? Chłopiec oblizuje wargi.

– I to niejeden, proszę pani.

– Mów mi Cass – odszeptuje ona, wyraźnie nie chcąc zmienić tonu. – Castoria brzmi jak lekarstwo na zatwardzenie.

– Mnie się podoba.

– Czy mam do ciebie mówić „Curtis”?

– Jasne. Jestem Curtisem... To znaczy, jestem Curtis.

– Więc widziałeś niejednego statek. A widziałeś... prawdziwych, żywych Obcych?

– Mnóstwo. Niektórzy nie byli już żywi.

Cass, zelektryzowana tą informacją, pochyla się niżej i nadaje swojemu głosowi jeszcze bardziej natarczywy ton.

– Widziałeś Obcych, więc rząd chce cię zabić, żeby ci zamknąć usta.

Curtis daje się uwieść jej roziskrzonemu spojrzeniu dziecięcego zachwyty i nie chce jej zawieść. Pochyla się nad szklanką z ginger ale, nie aż tak, żeby się stuknąć nosem z Cass, ale na tyle blisko, żeby poczuć jej uniesienie i szepcze:

– Rząd by mnie pewnie zamknął, żeby prowadzić nade mną badania, co byłoby gorsze od śmierci.

– Bo skontaktowałeś się z Obcymi.

– Mniej więcej.

Poiły, która nie pochylała się nad stołem i nie mówi szeptem, spogląda z niepokojem w okno. Wyciąga rękę nad głowę siostry, chwyta sznurek i zaciąga krótkie zasłonki.

– Czy twoi rodzice także mieli spotkanie z Obcymi? – pyta.

Curtis nadal trwa pochylony ku Cass, ale zwraca spojrzenie na Poiły i odpowiada jej normalnym głosem, którym do niego przemówiła:

– Tak.

– Trzeciego stopnia? – szepcze Cass.

– Najgorszego stopnia – odszeptuje on.

– Dlaczego rząd nie chciał ich badać, tak jak ciebie? Dlaczego ich zabito?

– To nie rząd kazał ich zabić – wyjaśnia Curtis.

– A kto? – szepcze Cass.

– Zabójcy z kosmosu – syczy Curtis. – Obcy zabili wszystkich w tym domu.

Oczy Cass są bardziej niebieskie niż jajka drozda i prawie tak duże jak te z kurnika. Dziewczyna z trudem łapie powietrze. I: – Więc... nie przychodzą do nas w pokoju, żeby służyć rodzajowi ludzkiemu.

– Niektórzy tak. Ale nie te huncwoty.

– I ciągle cię ścigają, prawda? – pyta Poiły.

– Od Kolorado przez całe Utah – przyznaje Curtis. – Huncwoty i FBI. Ale jestem coraz trudniejszy do wykrycia.

– Biedne dziecko – szepcze Cass. – Ciągle sam, ciągle ucieka.

– Mam psinę. Poiły cofa się i mówi:

– Teraz masz także nas. Chodź, Cass, zwijamy majdan i ruszamy.

– Jeszcze nie usłyszeliśmy całej jego historii – protestuje Cass. – Teraz będzie o Obcych i różnych niesamowitościach. – Znowu pochyła się do Curtisa i zniża głos do szeptu. – O niesamowitościach, tak?

– O niesamowitościach – potwierdza on, zachwycony miną, którą wywołał na jej twarzy.

Poiły jest niezłomna.

– Oni urządzili na niego polowanie w całym stanie. Na pewno zaraz się tu zjawią. Musimy się zbierać.

– To ona jest bliźnięciem alfa – szepcze Cass poważnie. – Musimy jej słuchać, bo inaczej będzie źle.

– Wcale nie jestem alfa – nie zgadza się Poiły. – Tylko myślę realnie. Słuchaj, my się zaczniemy przygotowywać do drogi, a ty weź prysznic. Jesteś troszkę zbyt pachnący. Wrzucimy twoje ubranie do pralki.

Chłopiec niechętnie zgadza się narazić siostry na niebezpieczeństwo, ale przyjmuje ich propozycję z trzech powodów. Po pierwsze, ruch to zamieszanie, dzięki czemu jego wrogowie nie znajdą go tak łatwo. Po drugie, jeśli nie liczyć tej wielkiej przedniej szyby, dom na kółkach jest bardziej osłonięty niż większość pojazdów; pozostałe okna są małe, a metalowy pancerz w dużej mierze wygłusza sygnał jego biologicznej energii. Po trzecie, jest Curtisem Hammondem prawie od dwóch dni i im dłużej uczy się żyć tym nowym życiem, tym trudniej go znaleźć, więc prawdopodobnie nie stanowi już aż takiego zagrożenia.

– Moja psina także mogłaby się wykapać.

– Później ją wyszorujemy – obiecuje Poiły.

Za korytarzykiem znajdują się otwarte drzwi, które prowadzą do toalety po prawej, oddzielonej od reszty łazienki. Po lewej stronie stoi pralka z suszarką. Tuż za drzwiami łazienki ciągną się ostatnie cztery metry pojazdu. Bezpośrednio spod prysznicza wychodzi się do sypialni.

Stary Rudzielec zostaje z Poiły, a Cass pokazuje Curtisowi, jak się posługiwać prysznicem. Odpakuje nową kostkę mydła i wyjmuje świeże ręczniki.

– Kiedy się rozbierzesz, wyrzuć ubranie za drzwi, a ja je upiorę.

– Pani jest bardzo miła. To znaczy... ty.

– Kochanie, nie bądź niemądry. Dałeś nam to, czego nam potrzeba. Bardzo lubimy przygody, a ty widziałeś Obcych.

Jakże jej oczy zaiskrzyły się przy słowie „przygody”, ten blask ustępuje chyba tylko temu, który je rozświetlił przy słowie „Obcy”. Cała jej twarz promienieje ekscytacją. Cass prawie drży z niecierpliwości, a jej ciało napiera na ubranie tak, jak mocarne ciało Wonder Woman, rozsadzające szwy jej kostiumu superbohaterki.

Curtis zostaje sam. Wyjmuje z kieszeni swój mały skarb, odkłada pieniądze na lustro. Uchyła drzwi łazienki tylko na tyle, by rzucić ubranie przed pralkę, po czym znowu je mocno zamyka.

Jest już na tyle Curtisem Hammondem, że wstydzi się stać nagi w łazience sióstr. Początkowo wydaje mu się, że to dowód jego dobrego osadzenia w nowej tożsamości, że już jest bardziej Curtisem niż sobą i że z każdą chwilą coraz bardziej się nim staje.

Ale kiedy spogląda w lustro, widzi, że jego twarz przybrała odcień purpury, którego nigdy nie zauważył u innych ludzi, w związku z czym musi się zastanowić, czy rzeczywiście w pełni się kontroluje. Ten rumieniec, tak intensywny, z pewnością wykracza poza możliwości ludzkiej fizjologii. Wygląda jak ugotowany rak i jest pewien, że gdyby ktoś go takiego zobaczył, od razu domyśliłby się podstępu. Co więcej, wygląda tak głupio, że na sam widok jego miny każdy policjant powinien zacząć coś podejrzewać, a każdy sąd powinien go skazać.

Serce bije mu mocno i szybko. Curtis nakazuje sobie spokój i wchodzi po prysznic, zanim jeszcze włączy wodę, czego Cass zakazała mu robić. Woda od razu robi się tak gorąca, że chłopiec krzyczy z bólu, tłumi krzyk, przez pomyłkę jeszcze bardziej zwiększa temperaturę wody, potem znowu przesadza w drugą stronę i stoi pod lodowatym prysznicem. Jest czerwony jak rak od góry do dołu, a zęby dzwonią mu tak, że mógłby nimi zgniatać orzechy, gdyby je miał, ale dobrze, że nie ma, boby tylko naśmiecił skorupkami, a potem musiałby to sprzątać. Słuchając własnej paplaniny o orzechach, nie może się nadziwić, że zdołał przeżyć tak długo. Jeszcze raz nakazuje ‘sobie spokój – choć poprzednim razem te rozkazy na nic się nie zdały.

Przypomina sobie, że Cass kazała mu się wykapać szybko, ponieważ dom na kółkach nie jest podłączony do wodociągów; jego system działa dzięki zbiornikom wody i prądnicy zasilanej benzyną. Ponieważ nie uzyskał wystarczających informacji, by wiedzieć, co znaczy szybko, dochodzi do wniosku, że już wykorzystał więcej wody, niż wypada, więc zaczyna się namydlać jak najszybciej, spłukuje się, przypomina sobie o włosach, leje szampon z butelki wprost na głowę, od razu uświadamia sobie, że solidnie przesadził z ilością i stoi w kaskadach piany, w których chyba zaraz utonie.

Aby błyskawicznie rozpuścić pianę, znowu odkręca zimną wodę i kiedy wreszcie zupełnie ją wyłącza, zęby znowu dzwonią mu jak elektryczny dziadek do orzechów. Jest pewien, że wykorzystał całą dostępną wodę, tak że wkrótce dom na kółkach straci równowagę albo padnie ofiarą jakiejś katastrofy, która doprowadzi do wielkich strat finansowych bądź nawet do unicestwienia ludzkiego życia.

Spod prysznic na matę, wytrzeć się, ale mocno. Zdaje sobie sprawę, że te osobiste zabiegi mają związek z kontaktami towarzyskimi, a on przecież już się dowiedział, że te kontakty u niego kuleją. A jednak nie może przejść przez życie, nie biorąc ani razu kąpeli, ponieważ chodzenie w takim brudnocuchnącym stanie także nie wpływa korzystnie na kontakty towarzyskie.

W dodatku nadal się wstydzi, że musi stać nagi w łazience sióstr, a na domiar złego uświadamia sobie, że do czasu gdy jego ubranie zostanie uprane, będzie musiał paradować w ręczniku i niczym więcej. Odwraca się do lustra, by sprawdzić, czyjego twarz nadal ma ten nienaturalny czerwony kolor

i odkrywa coś znacznie gorszego.

Nie jest już Curtisem Hammondem.

– Jasna ciasna Anielka.

W szoku upuszcza ręcznik na podłogę.

A dokładniej: jest Curtisem Hammondem, ale nie całkiem, nie do końca, z pewnością nie jest na tyle przekonujący, żeby ujść za człowieka. O Boziu.

Twarz w lustrze nie jest ohydna, ale wygląda dziwniej niż jakakolwiek karnawałowa maska.

W wiejskim domu w Kolorado, za zamkniętymi drzwiami z napisem „Centrum Dowodzenia” osierocony chłopiec znalazł porzucony na nocnej szafce zużyty plaster, a zaschnięta krew na gazie dostarczyła mu doskonałej okazji do sporządzenia sobie przebrania. Kiedy dotknął krwi, wchłonął DNA Curtisa Hammonda. I gdy prawdziwy Curtis nadal spał, jego imiennik przeszedł przez okno na dach ganku i – choć nie bezpośrednio – do łazienki Castorii i Polluksji.

Bycie Curtisem Hammondem – a właściwie bycie kimkolwiek czy czymkolwiek z wyjątkiem siebie – wymaga zachowania stałego biologicznego napięcia, co prowadzi do powstania charakterystycznego śladu energetycznego, demaskującego go przed tymi, którzy dysponują stosownymi narzędziami. Ale z każdym dniem, gdy dostosowywanie się do nowej tożsamości i podtrzymywanie przyjętej formy fizycznej zacznie mu przychodzić coraz łatwiej, a już na pewno po paru tygodniach czy miesiącach, jego ślad energetyczny stanie się dosłownie nieodróżnialny od tych, których populację odwiedził. W tym wypadku tą populacją jest rodzaj ludzki.

Przysuwa się do lustra i nakazuje sobie stać się Curtisem Hammondem, nie tak na pół gwizdka, lecz z całym przekonaniem i pietyzmem w zachowaniu szczegółów.

Widzi w lustrze, że w jego twarzy zachodzą pewne zmiany, ale ciało nadal opiera się rozkazom.

Wystarczy jedna taka chwila i dojdzie do katastrofy. Jeśli Cass i Poily zobaczą go w takim stanie, od razu się zorientują, że nie jest Curtisem Hammondem, że nie jest z Ziemi. Wtedy będzie mógł się pożegnać z ich życzliwą pomocą i pocałować na do widzenia ginger ale z lodami.

Motywy ma w porządku, ale i tak może skończyć jak ten pozszywany brutal, który uciekł z laboratorium doktora Frankensteina tylko po to, żeby paść ofiarą wieśniaków z pochodniami i minimalną tolerancją dla martwych ciał ponownie powołanych do życia w nowej twórczej postaci. Nie wyobraża sobie, żeby Cass i Poily miały go ścigać z pochodniami, wyjąc z żądy krwi, ale na pewno nie zabraknie chętnych do takiego pościgu.

Co gorsza, wystarczy nawet chwilowe zaniedbanie w utrzymywaniu nowej tożsamości, żeby powrócić do oryginalnego napięcia biologicznego i ujawnić swój wyjątkowy ślad energetyczny w tak wyraźnej postaci, jak w chwilę po transformacji w Curtisa Hammonda jeszcze w Kolorado. Krótko mówiąc, wystarczy mały błąd, żeby cofnąć wskazówki zegara; dlatego Curtis będzie bardzo łatwo wykrywalny, jeśli jego prześladowcy staną mu na drodze w ciągu paru następnych dni.

Ze zmartwieniem spogląda w lustro, a przyjemne rysy Curtisa Hammonda odzyskują władanie nad jego twarzą, ale wracają opornie i z błędami proporcji.

Matka zawsze mu mówiła, że pewność siebie jest tajemnicą pomyślnego utrzymania nowej tożsamości. Strach i zwątpienie rozprasza ją przebranie.

Wreszcie wyjaśnia się tajemnica paniki Gabby’ego. Podczas szalonej jazdy przez solne równiny, wstrząśnięty własną niemożnością uspokojenia coraz bardziej rozjątrzonego i piekłącego się stróża, chłopiec doświadczył kryzysu pewności siebie i przez chwilę był Curtisem Hammondem w trochę mniejszym stopniu, niż powinien.



Fizyczne zagrożenie nie jest w stanie wstrząsnąć jego spokojem. Kiedy przeżywa nowe przygody, czuje się wygodnie w nowej skórze. Potrafi być Curtisem Hammondem nawet w chwilach wielkiego zagrożenia. Ale choć pewność siebie nie opuszcza go w niebezpieczeństwie, brak umiejętności towarzyskich poważnie wyprowadza go z równowagi. Prosty akt kąpieli pod prysznicem, przy wszystkich łączących się z nią komplikacjach, redukuje go do nieudanego Curtisa.

Z głębokim żalem uznaje, że jest Lucille Bali wśród zmiennokształtnych: fizycznie sprawny, zdeterminowany w stopniu budzącym szacunek i bezwzględnie odważny, gdy chodzi o dążenie do celu – lecz niezdolny do zainteresowania wymagającej publiczności i do zawrócenia w głowie kubańsko-amerykańskiemu przywódcy do tego stopnia, by go skłonić do małżeństwa.

Dobrze. W porządku. Jeszcze raz staje się Curtisem Hammondem..

Kończy się wycierać, cały czas szukając w swoim ciele osobliwości, ale już ich nie znajduje.

Plażowy ręcznik może posłużyć jako sarong. Chłopiec owija się nim, ale i tak czuje się niestosownie.

Dopóki jego ubrania nie zostaną uprane i wysuszone, musi pozostać z Cass i Poiły. Ale kiedy znowu się ubierze, ucieknie wraz ze Starym Rudzielcem. Teraz, gdy mordercy jego rodziny – a może także agenci FBI, jeśli ich technologia jest dostatecznie rozwinięta – mogą go tak łatwo namierzyć, nie powinien narażać sióstr na niebezpieczeństwo.

Ludzie nie powinni umierać tylko dlatego, że los postawił ich na jego drodze w nieodpowiednim czasie.

Łowcy na pewno nadejdą. Uzbrojeni po zęby. Zdeterminowani. Wkurzeni jak cholera.

Słońce wyrobiło nadgodziny, długie letnie popołudnie przeciągnęło się daleko poza porę wylotu nietoperzy. O szóstej po południu niebo nadal miało błękit gazowego płomyka, jasność gazowego płomyka i palący żar południowej Kalifornii.

Ciocia Gen – narażając się na ruinę finansową – nastawiła termostat na dwadzieścia cztery stopnie, co mogło uchodzić za chłód chyba tylko w piekle. Ale w porównaniu z wrzącym upałem za zamkniętymi drzwiami i oknami kuchnia wydawała się zachwycająca.

Micky przygotowała wielki dzban mrożonej herbaty o smaku brzoskwiniowym i nakryła do stołu, opowiadając Genevie o Prestonie Maddocu, bioetyce, zabijaniu uważanym za uzdrawianie, zabijaniu uważanym za wyraz współczucia, zabijaniu dla zwiększenia „ogólnych rozmiarów szczęścia”, zabijaniu w imieniu rozsądnego gospodarowania środowiskiem.

– Dobrze, że dostałam ten postrzał w głowę osiemnaście lat temu. Dziś by mnie zagospodarowali środowiskowo w dziurze w ziemi.

– Albo pobraliby twoje organy, zrobili ze skóry abażury, a resztkami nakarmili dzikie zwierzęta, żeby nie psuć ziemi kolejnym grobem. Herbatki?-

Leilani nie zjawiła się do szóstej piętnaście. Micky zaczęła się niepokoić, lecz Geneva zaleciła jej cierpliwość. Do wpół do siódmej nawet Geneva się zaniepokoiła, w związku z czym Micky nałożyła górę ciasteczek czekoladowo-migdałowych (minus migdały, plus orzechy), dostarczając sobie w ten sposób pretekstu do złożenia wizyty Maddocom.

Niebieska ceramiczna czasza nieba, wypalona w płomiennym upale, jak klosz przykrywała ziemię, która wydawała się coraz szybciej roztapiać. Żar, w jakim się piekła przez cały dzień, teraz z niej ulatywał niczym dusze umykające z bram piekła, a w powietrzu unosił się swąd spalenizny.

Wrony siedzące na płocie za domem Genevy, w pobliżu krzaka bez róż, zaskrzeczały na widok Micky. Może były na usługach czarnej wiedźmy Sinsemilli i miały ją ostrzegać o nadejściu osób znających jej imię.

Przy zwalonym płocie między działkami zielony trawnik Genevy ustępował miejsca wyschniętej zbrązowiałej macie, służącej Sinsemilli jako parkiet do tańca. Nerwy Micky napięły się jak struny na myśl o spotkaniu twarzą w twarz z księżycową tancerką lub mordercą-filozofem.

Tak naprawdę nie spodziewała się spotkać Prestona Maddoca. Leilani powiedziała cioci Gen, że doktor Zagłada ma wyjść na cały wieczór.

Zasłony w przyczepie były zaciągnięte, okna rozświetlone smoczym ogniem zachodzącego słońca.

Micky stanęła na betonowych schodkach, zapukała, odczekała, znowu uniosła rękę, żeby zapukać, ale zaraz potem ujęła talerz oburącz, ponieważ klamka nagle szcęknęła i drzwi się otworzyły.

Na progu stanął Preston Maddoc, uśmiechnięty, niemal niemożliwy do rozpoznania. Obciął długie włosy; teraz chodził w krótkiej punkowej fryzurze, która nie dodawała mu agresji, jak większości mężczyznom, lecz sprawiała, że przypominał rozczochranego chłopczyka. Nie miał także wąsów.

– W czym mogę pomóc? – spytał sympatycznie.

– E... dzień dobry, jesteśmy waszymi sąsiadkami. Ja i ciocia Gen. Geneva. Geneva Davis. A ja jestem Micky Bellsong. Chciałyśmy was poznać, przynieść domowe ciasteczka, powitać.

– To bardzo miłe. – Przyjął talerz. – Wyglądają przepysznie. Moja matka, świeć Panie nad jej duszą, potrafiła zrobić tyle rodzajów ciasteczek z orzechami, że aż trudno uwierzyć. Z domu nazywała się Hickory, a ponieważ to także rodzaj orzecha, bardzo się interesowała wszystkim, co można z niego

zrobić.

Micky nie była przygotowana na ten wyjątkowy głos, pełen cichej pewności siebie, jaką dają pieniądze, lecz także dźwięczący ponętym męskim tonem, ciepłym i słodkim jak syrop klonowy rozlewający się na złocistych wafłach. Ten głos i przyjemna powierzchowność robiły z Maddoca niezwycięzonego adwokata śmierci. Wreszcie rozumiała, jak mu się udało pokryć pozłotą idealizmu najbardziej podłe okrucieństwo, jak zdołał zwodzić naiwnych, zmienić przyzwoitych ludzi w tłum oklaskujący kata i zachwycający się melodyjnym dźwiękiem spadającego ostrza gilotyny.

– Nazywam się Jordan Banks – skłamał, tak jak zapowiedziała Leilani. – Wszyscy mówią na mnie Jorry.

Wyciągnął do niej rękę. Omal się nie wzdrygnęła, kiedy ją ścisnęła.

Przyszła tutaj, wiedząc, że nie może wspomnieć o wizycie Leilani. Nie wolno narażać dziewczynki, zdradzając, że się z nią zaprzyjaźniła. Jednak miała nadzieję, że zobaczy Leilani, że zasugeruje, iż będzie na nią czekać, kiedy Maddoc i Sinsemilla już zasną.

– Bardzo przepraszam, to nieładnie z mojej strony, że tak panią trzymam na schodkach – usprawiedliwił się Maddoc. – Zaprosiłbym panią do środka, ale moja żona ma migrenę, a wówczas nawet najcichszy dźwięk przesywa jej głowę niczym nóż. Podczas jej migren musimy rozmawiać szeptem i chodzić na paluszkach.

– Och, nie szkodzi. Chciałam się tylko przywitać. Mam nadzieję, że wkrótce pańska żona poczuje się lepiej.

– Nie może jeść, kiedy ma migrenę, ale potem dostaje ogromnego apetytu. Będzie zachwycona. Bardzo dziękujemy. Do zobaczenia.

Micky zeszła po schodkach, gdy drzwi się zamknęły, i przez jakiś czas stała na wyschniętym trawniku, usiłując wymyślić, w jaki sposób dać Leilani do zrozumienia, że tu była. Potem się przestraszyła, że Maddoc się jej przygląda.

Wróciła do domu, prowokując wrony na płocie do kolejnej salwy wrzasków. W głowie rozbrzmiewał jej ten głos jak płynny miód: „Moja matka, świeć Panie nad jej duszą, potrafiła zrobić tyle rodzajów ciasteczek z orzechami, że aż trudno uwierzyć”.

Jak gładko wypowiedział słowa „świeć Panie nad jej duszą”, jak naturalnie i szczerze zabrzmiały – podczas gdy tak naprawdę nie wierzył ani w Boga, ani w istnienie duszy.

Geneva czekała przy stole w kuchni, ściskając szklankę mrożonej herbaty. Micky usiadła obok, naląła sobie herbaty i opowiedziała o Maddocu.

– Leilani nie przyjdzie na kolację. Ale wiem, że tu zajrzy, kiedy tamci pójdą spać. Będę na nią czekać nawet przez całą noc. – Tak sobie myślałam... może by zamieszkała z Clarissą?

– I papugami?

– Przynajmniej to nie krokodyle.

– Jeśli znajdę akt ślubu Maddoca, mogę nim zainteresować jakiegoś dziennikarza. Maddoc cztery lata temu wycofał się z życia publicznego, ale media nadal się nim interesują. Taka tajemniczość powinna kogoś zaintrygować. Dlaczego kryje się ze swoim małżeństwem? Czy to dlatego się wycofał?

– Sinsemilla... Sama jedna wystarczy, żeby zrobić cyrk.

– Jeśli gazety zaczną to opisywać, w końcu pojawi się ktoś, kto wie o istnieniu Lukipeli. Przecież go nie ukrywali przez całe życie. Nawet jeśli ta wariatka nigdzie nie osiadała na dłużej, to przecież ktoś mógł zapamiętać. Ludzie, którzy widzieli ją choćby przelotnie, na pewno jej nie zapomną. Może niektórzy zapamiętali także Lukiego. Wtedy Maddoc będzie musiał wyjaśnić, co się z nim stało.

- Jak znajdziesz ten akt ślubu?
- Właśnie się zastanawiam.
- A jeśli dziennikarze szanują Maddoca i pomyślą, że chowasz do niego jakąś urazę? Jak ta Bronson?
- Pewnie tak będzie. Na ogół miał dobrą prasę. Ale dziennikarze chyba bywają dociekliwi, prawda?

Chyba na tym polega ich praca?

- Zdaje się, że ty im to uświadomisz.
- Micky obróciła w palcach pingwinka, o którym opowiedziała jej ciocia Gen.
- Nie pozwolę mu skrzywdzić Leilani. Nie, i już.
  - Nigdy cię takiej nie widziałam, myszko. Micky spojrzała jej w oczy.
  - Jakiej?
  - Tak zdeterminowanej.
  - Tu nie tylko życie Leilani wisi na włosku. Także moje. – Wiem.

Poiły, która nie chce ciasteczka, prowadzi samochód, trzymając na kolanach otwartą torbę popcornu o smaku sera oraz puszkę zimnego piwa w specjalnym trzymadełku przy fotelu.

Posiadanie w jadącym samochodzie otwartego pojemnika z jakimkolwiek napojem alkoholowym jest wbrew prawu, ale Curtis powstrzymuje się przed wytknięciem Poiły tego niedociągnięcia. Nie chce powtarzać błędów, które popełnił z Gabbym, tak źle reagującym na upomnienie, iż prawo nakazuje jazdę z zapiętymi pasami.

Samotna dwupasmowa autostrada przecina prerię, biegnąc na północ-północny zachód od rancza Neary'ego. Jak twierdzą bliźniaczki, pas południowy, który omijają, prowadzi w stronę okrutnej pustyni, a w konsekwencji do jeszcze okrutniejszych rozrywek Las Vegas.

Siostry nie wiedzą jeszcze, dokąd się wybierają, nie mają planu wymierzenia sprawiedliwości za zgładzenie rodziny Hammondów, nie wiedzą, jaka przyszłość czeka Curtisa i z kim będzie mieszkać. Dopóki sytuacja się nie wyjaśni, a one nie będą miały czasu się zastanowić, skupiają się tylko na tym, żeby nie dać się złapać i przeżyć.

Curtis się z nimi zgadza. Umiejętność dostosowania się jest najsilniejszą stroną zbiega, a sztywne trzymanie się planów to pewna zagłada. Mądrość mamy. W każdym razie wkrótce opuści siostry, więc robienie planów na dłużej niż parę godzin nie ma sensu.

Poiły jedzie szybko. Pojazd mknie przez prerię niczym czołg o napędzie atomowym na księżycu o niewielkiej grawitacji.

Cass kładzie się na sofie tuż za siedzeniem kierowcy. Psina lokuje się obok niej, opiera brodę na jej udzie, rozkosznie przyznając sobie prawo do nieustannego tulenia się do kobiety i otrzymując jego potwierdzenie.

Curtis, zachęcony łagodnie przez siostry, zajmuje fotel obok kierowcy, wyposażony w najróżniejsze funkcje, na przykład w taką, która go odwraca w stronę kierowcy. Ustawivszy go tyłem do przodu, może patrzeć na obie kobiety.

Choć jest okryty tylko ręcznikiem, już się nie wstydy. Czuje się jak Polinezyjczyk, jak Bing Crosby w „Road to Bali”.

Ale zamiast kawałków orzecha kokosowego albo miski *poi*, zamiast kawałków mięsa dzika, faszzerowanego językiem węgorka, ma własną torbę popcornu o smaku sera oraz puszkę soku pomarańczowego, choć prosił o piwo.

A jeszcze lepsze jest to, że jego towarzyszkami są siostry Spelkenfelter, Castoria i Polluksja. Okazuje się, że ich życie zupełnie nie przypomina niczego, co zna z książek i filmów.

Urodziły się i wychowały w spokojnym miasteczku w Indianie, które Poiły nazywa „dziurą zabita dechami”. Cass twierdzi, że najbardziej rozrywkowymi wydarzeniami z tamtejszego repertuaru było obserwowanie pasących się krów, dziobiących kur i śpiących świń, choć w dwóch z wymienionych czynności Curtis nie dostrzega żadnych walorów rozrywkowych. Ich ojciec, Sidney Spelkenfelter, jest profesorem historii starożytnej Grecji i Rzymu w prywatnej szkole, a jego żona Imogena naucza historii sztuki. Sidney i Imogena są dobrymi, kochającymi rodzicami, lecz są także, jak twierdzi Cass, „naiwni jak złota rybka, która myśli, że świat kończy się na jej akwarium”. Ponieważ dziadkowie siostr także byli nauczycielami akademickimi, ich rodzice od zawsze trwali w spokoju i ciszy, wyjaśniając życie innym, lecz sami prowadząc jego bardzo bladą wersję.

Cass i Poiły, prymuski w liceum, odpuściły sobie studia na rzecz Las Vegas. Nie minął miesiąc,

a stały się nagimi gwiazdami w cekinach i piórach, główną atrakcją programu, w którym występowały także siedemdziesiąt cztery tancerki, dwanaście striptizerek, dziewięciu artystów estradowych, dwa słonie, cztery szympansy, sześć psów i jeden pyton.

Ponieważ przez całe życie uwielbiały z wzajemnością żonglerkę i akrobatykę trapezową, po roku znalazły się pomiędzy najjaśniejszymi gwiazdami Las Vegas z gażą dziesięciu milionów dolarów i muzycznym numerem przedstawiającym kontakt z Obcymi. Grały akrobatyczne kosmiczne królowe, pragnące zmienić wszystkich mężczyzn na Ziemi w swych erotycznych niewolników.

– Wtedy właśnie po raz pierwszy zainteresowałyśmy się UFO – wyjawia Cass.

– W pierwszym numerze tanecznym – wspomina Poiły – zstępowałyśmy po neonowych schodach z wielkiego latającego spodka. Był niesamowity.

– I tym razem nie musiałyśmy być nagie przez całe przedstawienie – dodaje Cass. – Choć oczywiście ze spodka wychodziłyśmy bez niczego...

– Jak każda kosmiczna królowa miłości – uzupełnia Poiły i obie parszają rozkosznym chichotem, który przypomina Curtisowi nieśmiertelną Goldie Hawn.

Curtis także się śmieje, urzeczony ich ironią i samokrytyką.

– Po pierwszych dziewięciu minutach – ciągnie Cass – wkładałyśmy mnóstwo fantastycznych kostiumów, lepiej nadających się do żonglowania i akrobacji na trapezie. – Spróbuj żonglować melonami nago – mówi Poiły. – Możesz złapać nie te melony, co trzeba, i wszystko na nic.

Znowu chichoczą, ale tym razem Curtis nie chwytą dowcipu.

– W ostatnim numerze znowu występowałyśmy nago – mówi Poiły – z wyjątkiem piór na głowie, stringów z cekinów i botków na szpilkach. Producent twierdził, że to „autentyczny” kostium królowej miłości.

– Powiedz, Curtis, widziałeś kiedyś, żeby kosmiczne królowe miłości nosiły botki ze złotej lamy?

– Nie – odpowiada Curtis szczerze.

– Tak właśnie mówiłyśmy. Te botki wyglądają głupio. Żadna królowa by ich nie włożyła, w żadnym zakątku wszechświata. Nie miałyśmy nic przeciwko piórom na głowie, ale widziałeś kiedyś kosmiczną królową miłości z piórami?

– Nie.

– Bądźmy sprawiedliwi, nie możesz podważyć zdania naszego producenta – zauważa Poiły. – W końcu ile w ogóle widziałeś kosmicznych królowych miłości?

– Tylko dwie – przyznaje Curtis – ale żadna nie potrafiła żonglować.

Z jakiegoś powodu bliźniaczki uważają to za bardzo zabawne.

– Choć myślę, że jedna była jakby akrobatką – rozwija temat Curtis – bo potrafiła się przechylić do tyłu tak, żeby polizać własne pięty.

To oświadczenie prowokuje tylko nową falę śmiechu i srebrzystych chichotów sióstr Spelkenfelter.

– To nie miało wydźwięku erotycznego – spieszy Curtis z wyjaśnieniem. – Przechylała się do tyłu z tego samego powodu, z jakiego grzechotnik zwija się w pierścień. Z tej pozycji potrafiła się wybić na sześć metrów w górę i oderwać głowę szczękami.

– To by dopiero wyglądało na scenie! – wpada na pomysł Cass i obie siostry znów zanoszą się śmiechem.

– No, nie znam się za bardzo na przedstawieniach z Las Vegas – wyznaje Curtis – ale prawdopodobnie trzeba by opuścić tę część, kiedy królowa składa jajo w odciętej głowie.

Poiły dosłownie płacze ze śmiechu, ale udaje się jej wykrztusić:

– Niekoniecznie, tylko trzeba to zrobić efektownie.

– Pistolet z ciebie – ocenia Cass. – I niezły numer – zgadza się Polly.

Curtis słucha chichotu bliźniaczek, patrzy, jak Poiły prowadzi jedną ręką, drugą ocierając z oczu łzy śmiechu, i dochodzi do wniosku, że chyba jest bardziej dowcipny, niż się spodziewał.

Może zacznie mu lepiej iść z kontaktami towarzyskimi.

Pędząc tak na północny zachód po najwyraźniej nieskończonej dwupasmowej jezdni, pięknej i tajemniczej jak wszystkie drogi w klasycznych amerykańskich filmach, pędząc ku zachodzącemu słońcu, które zmienia prerię w płynne czerwono-złote szkło, pędząc przy pomruku potężnego silnika pojazdu, w towarzystwie bajecznej Castorii, równie bajecznej Polluksji i Starego Rudzielca na sztywnym łączy z Bogiem, z popcornem o smaku sera i sokiem pomarańczowym, wykąpany i w pełni panujący nad swoją biologiczną tożsamością, czując się bardziej pewnie niż w którymkolwiek momencie swoich aktualnych wspomnień, Curtis dochodzi do wniosku, że jest najszczęśliwszym chłopcem na świecie.

Kiedy Cass się oddala, by wyjąć ubranie Curtisa z suszarki, psina idzie za nią, a chłopiec odwraca fotel, żeby spoglądać na drogę. Poiły prowadzi szybko i wprawnie, co budzi jego podziw.

Przez jakiś czas rozmawiają o pojeździe. Poiły zna każdy szczegół budowy i działania tego wielkiego samochodu. Jest to dwudziestotonowy, czternastometrowy potwór z silnikiem diesla, ze skrzynią biegów Allison Automatic 4000 MH, sześćsetlitrowym bakiem, sześćsetpięćdziesięciolitrowym zbiornikiem wody i systemem nawigacyjnym GPS. Poiły mówi o tym wszystkim z taką czułością, jak młodzi mężczyźni na filmach, kiedy rozmawiają o brykach.

Curtis dowiaduje się z zaskoczeniem, że ta robiona na zamówienie wersja kosztowała siedemset tysięcy dolarów, a kiedy wysuwa przypuszczenie, że majątek bliźniaczek miał swoje początki w sukcesie w Vegas, Poiły go poprawia. Zyskały finansową niezależność – choć nie prawdziwą fortunę – w związku z małżeństwami, jakie zawarły z braćmi Flackberg.

– Ale to tragiczna historia, kochanie, a jestem w zbyt dobrym humorze, żeby ją teraz opowiadać.

Ze względu na trwające przez całe życie wspólne zainteresowanie budową i remontami pojazdów mechanicznych Cass i Poiły są dobrze przygotowane do ciągłej podróży, która wy – znaczą etapy ich życia. Choćby się im zepsuło nie wiadomo co, potrafią to naprawić, jeśli w zapasowych częściach zamiennych znajdą właściwą.

– Nie ma nic lepszego na świecie – deklaruje Poiły – niż kiedy się człowiek grzebie w samochodzie, brudny, zatłuszczony, wysmarowany i spocony, a na koniec własnymi rękami złoży wszystko tak, jak być powinno.

Te kobiety są najbardziej czystymi, zadbanymi, olśniewającymi, słodko pachnącymi osobami, jakie Curtis kiedykolwiek widział i choć jest absolutnie zachwycony ich obecnym stanem, intryguje go myśl o ujrzeniu ich brudnych, zatłuszczonych, wysmarowanych i spoconych, z kluczami francuskimi w rękach, jak grzebią w brzuchu dwudziestotonowej mechanicznej bestii i dzięki doświadczeniu i determinacji przywracają jej pełną sprawność.

W rzeczy samej wizja Castorii i Polluksji w wirze mechanicznych rozkoszy przebija się tak uporczywie przez jego inne myśli, że to aż dziwne. Dlaczego jest tak pociągająca?

Cass wraca, poprzedzona przez Starego Rudzielca, i oznajmia, że skończyła prasować ubranie Curtisa.

Chłopiec idzie do łazienki, by zamienić sarong na normalne ubranie, zasmucony, że czas spędzony z bliźniaczkami Spelkenfelter dobiega końca. Dla ich bezpieczeństwa musi je opuścić przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Kiedy wraca już ubrany na fotel pasażera, nad horyzontem rysują się rozjątrzone pręgi ostatnich promieni zachodzącego słońca; wyglądają jak ogromny siniak otaczający oko śmiertelnie niebezpiecznego olbrzyma, który spogląda na nich zza krawędzi ziemi. Wkrótce kolory zbledną, jakby oko się zamknęło do snu, ale noc, która potem nastąpi, także będzie ich obserwować.

Jeśli gdzieś w tej ogromnej przestrzeni znajdują się jakieś domki czy gospodarstwa, to stoją tak daleko od szosy, że nie widać ich nawet z wysokiej szoferki pojazdu, ich okna zasłaniają łany zdziczałej trawy i gęste kępy drzew, a poza tym te okna są po prostu bardzo daleko.

Na południe zmierza niewiele pojazdów, mijają ich z taką prędkością, jakby przed czymś uciekały. Na północ kieruje się jeszcze mniej samochodów, nie dlatego że ten pas jest bardziej pusty, lecz ponieważ Poiły wyciska ogromną prędkość ze swojego stalowego rumaka; wymijają ich tylko najbardziej zdeterminowani kierowcy, w tym ktoś w srebrnej corvette '70, na której widok obie siostry, miłośniczki motoryzacji, wydają gwizdnięcie pełne podziwu.

Ze względu na trwające przez całe życie wspólne zainteresowanie jazdą na nartach, skakaniem ze spadochronem, kryminałami, rodeami, duchami i poltergeistami, big-ban-dami, technikami survivalowymi oraz wyrobem ozdób z kości słoniowej i muszelek (między innymi) Poiły i Cass są fascynującymi towarzyszkami podróży, których nie tylko słucha się z przyjemnością, lecz na które na dodatek miło popatrzeć.

Curtis jest bardzo zainteresowany ich wiadomościami na temat UFO, barwnymi spekulacjami na temat życia na innych planetach i mrocznymi podejrzeniami co do motywów działalności Obcych na Ziemi. Jak się przekonał, ludzie jako jedyny gatunek umieją wyprodukować wizje życia w nieznanym wszechświecie, które są dziwniejsze od rzeczywistości.

W oddali pojawia się jakieś światło, nie punkty zbliżających się reflektorów, lecz bardziej nieruchome, na poboczu.

Dojeżdżają do rozstajów dróg, w których poblizu stoi połączenie stacji benzynowej ze sklepem. Nie jest to lśniący, plastikowy, standardowy sklep, jeden z wielu w łańcuchu identycznych, lecz rodzinny interes w nieco pochyłym drewnianym budyneczku, pomalowanym na biało, choć nieco obłazącym już z farby, z oknami oszronionymi kurzem.

W filmach w takich miejscach przeważnie gnieźdzą się szaleńcy najróżniejszego rodzaju. W tak odludnym miejscu najłatwiej jest ukryć makabryczne zbrodnie.

Ponieważ ruch wprowadza zamieszanie, Curtis wolałby, żeby się nie zatrzymywali, dopóki nie dojadą do jakiegoś dużego miasta. Ale bliźniaczki nie lubią, kiedy zapas benzyny spada poniżej dwustu litrów, a w tej chwili mają ich niespełna dwieście siedemdziesiąt.

Poiły zjeżdża z szosy na zwirowaną zatoczkę przed budynkiem. Żwir bębni o podwozie samochodu.

Trzy pompy – dwie z benzyną, jedna z paliwem do diesla – nie są zadaszone, jak na nowoczesnych stacjach, lecz stoją wystawione na działanie żywiołów. Obok dwa słupy, pomiędzy którymi zwisają lampki choinkowe, zupełnie nie w porę. Pompy są smuklejsze od tych nowoczesnych, mają ponad dwa metry, a każda jest zwieńczona czymś w rodzaju dużej kryształowej kuli.

– Fantastyczne. Prawdopodobnie z lat trzydziestych – mówi Poiły. – Rzadko się już takie widuje. Kiedy bierze się paliwo, widać, jak wiruje w tej kuli.

– Dlaczego? – pyta Curtis. Poiły wzrusza ramionami.

– Bo tak działają.

Słaby podmuch wiatru kołysze od niechcenia sznurkiem choinkowych światełek, czerwone i bursztynowe żarówki migoczą, wirują i mrugają, odbite w kryształowej kuli, jakby w każdej z nich



tańczyły duszki.

Curtis dziwi się, zafascynowany tą magiczną maszyną:

– Czy oprócz tego jeszcze przepowiadają przyszłość?

– Nie. Ale są fajne.

– Zadali sobie tyle trudu z dołączeniem do konstrukcji tej wielkiej szklanej kuli tylko dlatego, że jest fajna? – Chłopiec kręci głową z podziwu dla gatunku, który potrafi tworzyć dzieła sztuki nawet z przedmiotów codziennego użytku. – Ta planeta jest cudowna – mówi z uczuciem.

Bliźniaczki wysiadają pierwsze – Cass z wielką torbą na ramieniu – gotowe przystąpić do kontroli pojazdu, wojskowej w swojej dokładności i precyzji. Należy sprawdzić z latarką wszystkie dziesięć kół, potem przychodzi pora na olej i płyn hamulcowy, następnie trzeba dolać płynu do wycieraczek...

Misja Starego Rudzielca jest bardziej prozaiczna. Psina musi się załatwić. A Curtis idzie, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Razem z psiną stają u stóp schodów i nasłuchują szmeru wietrzyka, który przybył do nich z oświetlonych księżycem równin na północnym zachodzie, zza stacji benzynowej, którą obecnie zasłania ich pojazd. Najwyraźniej w nocnym powietrzu unosi się jakaś niepokojąca woń, bo Stary Rudzielec natychmiast unosi swój genialny nos, porusza nozdrzami i zastanawia się nad źródłem zapachu.

Starodawne pompy znajdują się na przeciwnym krańcu domu na kółkach. Bliźniaczki znikają chłopcu z oczu, zajęte kontrolą, a psina biegnie w drugą stronę, ale nie od niechcenia, zaciekawiona czymś tam, jak to pies, lecz skupiona na jakimś celu. Curtis podąża za swoją siostrzyczką.

Po okrążeniu tyłu samochodu, gdy znaleźli się z lewego boku, ich oczom ukazuje się nieco podniszczony budynek za pompami, w odległości jakichś stu dwudziestu metrów. Drzwi są uchylone, a zawiasy na tyle mocne, że stawiają opór wiatrowi. Psina staje. Cofa się o krok. Może fantastyczne pompy zbiły ją z tropu.

Po głębszym namyśle Curtis uznaje, że pompy są może nie mniej magiczne, lecz zdecydowanie mniej urocze niż wydawały się z samochodu. Teraz kryształowe kule, wypełnione czernią, nie wirującym paliwem, odbijają czerwone i bursztynowe światła, które jednak wyglądają jak rój owadów, i nagle atmosfera staje się nieprzyjemna. Wydaje się, że w tych kulach wzbiera coś pożądanego i złośliwego.

W pobliżu maski domu na kółkach stoi wysoki łysy mężczyzna. Rozmawia z bliźniaczkami. Jest odwrócony tyłem do Curtisa i dość daleko, ale coś się w nim nie zgadza.

Sierść jeży się psinie na karku, a chłopiec podejrzewa, że niepokój, który czuje, przywędrował od niej dzięki ich szczególnej więzi.

Choć Stary Rudzielec warczy cichutko i wyraźnie nie lubi łysego mężczyzny, interesuje ją coś innego. Oddala się truchtem od pojazdu, niemal pędzi w stronę zachodniej ściany budynku, a Curtis pędzi za nią.

Jest już całkiem pewien, że nie chodzi o siusiu.

Budynek stoi w rogu działki, zwrócony raczej w stronę skrzyżowania niż którejś konkretnej drogi, i w oknach sklepu palą się wszystkie światła. Za jego rogiem jest już ciemniej. A jeszcze dalej, gdzie w drewnianej ścianie znajdują się drzwi, ale nie ma okien, jest już zupełnie ciemno, a mrok rozprasza tylko księżyc – skąpiec oszczędnie rozdzielający srebrne pieniądze.

W mroku stoi ford explorer, światło ledwie obrysowuje jego kontury. Curtis podejrzewa, że jest to własność mężczyzny, który rozmawia z bliźniaczkami.

Jest tutaj także srebrna corvetta, która minęła ich na szosie. Stary Rudzielec skomli, wpatrując się z natężeniem w pojazd. Księżyc traktuje sportowy samochód lepiej od forda explorera, nadaje jego

chromowi i lakierowi kolor szczerzego srebra.

Curtis robi krok w stronę corvetty, ale psina puszcza się pędem do bagażnika explorera. Wspina się na tylne łapy, przednie kładzie na zderzaku, spogląda na okno z tyłu pojazdu, zbyt wysoko położone, żeby mogła coś przez nie zobaczyć.

Ogląda się na Curtisa, w ciemnych oczach lśni światło księżyca. Kiedy chłopiec nie podchodzi od razu, niecierpliwie uderza łapą w zderzak.

W tych ciemnościach chłopiec nie widzi jej dygotu, ale przez łączącą ich psychiczną pępowinę wyczuwa głębię jej strachu.

Lęk wkrada się w jego serce niczym kot, z serca przenika w całe jego ciało, a teraz sięga pazurami ku jego kościom.

Chłopiec podchodzi do Starego Rudzielca i spogląda przez tylne drzwi. W mroku nie widzi, czy w furgonetce znajduje się towar, czy wypełniają ją tylko cienie.

Psina nadal uderza łapą w zderzak.

Curtis naciska klamkę drzwi, unosi je.

Otwarcie drzwi spowodowało zapalenie słabego światełka we wnętrzu samochodu; w świetle ukazują się dwa ciała. Leżą w takich pozycjach, że chyba wrzucono je tu niczym worki lub inne przedmioty.

Serce Curtisa nagle zaczyna się jąkać, zacina się na s w „stuk” i na p w „puk”.

Chłopiec na pewno by już dawno uciekł, gdyby nie był synem swojej matki, ale woli umrzeć, niż swoim zachowaniem rzucić cień na jej imię.

Litość i wstręt kazałyby mu stąd uciec, gdyby nie nauczone go reagować na każdy horror jak na instrukcję przeżycia, którą należy przeczytać szybko, lecz wnikliwie, szukając wskazówek, dzięki którym zdoła uratować swoje życie i życie innych.

Inni w tym wypadku oznaczają Cass i Poily.

Wysoki, łysy, mężczyzna – pierwszy nieboszczyk wygląda tak samo jak pracownik stacji, który przed chwilą rozmawiał z bliźniaczkami. Curtis nie widział jego twarzy, ale jest pewien, że wygląda identycznie jak ta tutaj, tyle że nie jest skrzywiona grymasem przerażenia.

Bujne, lśniące, kasztanowe włosy otaczają i łagodzą rysy zmarłej kobiety. Jej szeroko otwarte orzechowe oczy wpatrują się w pustkę ze zdumieniem, wywołanym widokiem pierwszego mgnienia wieczności, które pojawiło się przed nimi w chwili, gdy dusza kobiety uleciała z tego świata.

Ofiary nie noszą widocznych ran, ale mają złamane karki. Głowy obojga są wykręcone pod tak nienaturalnym kątem, że z pewnością zmiażdżono im kręgi szyjne. Jak na łowców, którzy lubują się w zadawaniu cierpień i realizują się dopiero w mordowaniu, takie zabójstwo wydaje się nietypowo czyste i miłosierne. Przyczynę tak prostych obrażeń uzasadnia konieczność, nie litość. Oba ciała zostały pozbawione butów i wierzchniej warstwy ubrań. Mordercy musieli zdobyć czyste, całe kostiumy, by móc uchodzić za swoje ofiary.

Jeśli ta stacja benzynowa połączona ze sklepem stanowi rodzinny interes, to tutaj właśnie leży rodzina właścicieli, mąż i żona. Ich interes oraz tożsamość padły łupem podczas wrogiego przejęcia.

Psina znowu zwraca uwagę na corvette. Jej zainteresowanie, choć wyraźne, nie jest na tyle silne, by ją przyciągnąć do sportowego samochodu, którego wyraźnie się boi. Psina jest w równym stopniu przerażona jak zaskoczona, przechyla głowę na lewo, następnie na prawo, mruga parę razy, odwraca się od samochodu, lecz potem znowu gwałtownie się na niego ogląda, jakby zaczął się ruszać.

Być może w corvecie znajduje się coś jeszcze gorszego niż w explorerze, co oznacza, że należy się trzymać od niej z daleka. Dlatego, usiłując się dowiedzieć wszystkiego, co wie psina, Curtis otwiera się

jeszcze bardziej na ich więź i spogląda na corvette oczami siostrzyczki.

Początkowo wygląda na to, że psina nie widzi więcej od niego – ale raptem przez sekundę, nie dłużej, oświetlony srebrzystym blaskiem samochód zaczyna drżeć jak miraż. Wygląda jak samochód ze snu, i to pod wieloma względami, jak sugestia corvetty '70, maskująca przerażającą prawdę. Psina mruga, mruga, ale samochód nadal wygląda jak prawdziwy, więc Stary Rudzielec odwraca głowę i kątem oka widzi przez dwie, trzy sekundy to, czego Curtis nie potrafi dostrzec: pojazd nie z tej Ziemi, smuklejszy nawet od podobnej do rekina corvetty, przypominający bestię zrodzoną do polowania na rekiny. Od tego pojazdu bije taka groza, że nie sposób go opisywać językiem projektantów czy inżynierów, lecz raczej wojskowej architektury, ponieważ mimo swojej smukłości wydaje się fortecą na kołach: cały w zwartych wieżach, blankach, murach obronnych; bastion aerodynamiczny, skondensowany i przystosowany do ruchu.

Mając przed sobą taki dowód, chłopiec nie waha się ani chwili dłużej. Przybyły gorsze huncwoty.

Jego nerwy napinają się jak struny skrzypiec, a mroczna wyobraźnia szarpie za nie, ukazując mu okropne możliwości.

Śmierć jest tutaj, jak zawsze, ale nie zawsze tak się jej spieszy. Czeka na trzecie danie z jego kości. Łowcy muszą podejrzewać, że Curtis znajduje się w domu na kółkach. Dobry los i jego mądra siostrzyczka niepostrzeżenie wywabili go z samochodu. Wkrótce zostanie namierzony; najpóźniej za dwie minuty, może za trzy, jeśli szczęście mu dopisze.

W chwili gdy się pokaże, zostanie rozpoznany.

Dlatego wysłała do Poity psinę.

Stary Rudzielec, przestraszona, lecz posłuszna, oddała się truchcikiem, tą samą trasą, którą przysła.

Curtis nie ma złudzeń, że przeżyje to spotkanie. Wróg jest zbyt blisko, zbyt potężny i zbyt bezlitosny, by mógł go pokonać ktoś tak mały i bezbronny jak chłopiec, który nie ma mamy.

Ale ma słabą nadzieję, że zdoła ostrzec Cass i Poity, że zdążą uciec z psiną, że nie zostaną zamordowane razem z nim.

Stary Rudzielec znika za rogiem budynku. Ukochana siostrzyczka, dobra towarzyszką, żyje w ciągłej obecności swego Stwórcy – i teraz potrzebuje Jego pomocy bardziej niż kiedykolwiek.

Mury więzienia kruszyły się wokół niej, ale ona własnymi rękami układała kamienie na nowo, a gdy z okna wypadły kraty, naprawiła szkodę spawarką i świeżą zaprawą.

Ze snu o więzieniu wzniesionym własnymi rękami – nie był to koszmar, może tylko trochę niesamowity, ponieważ odbudowywała swoją celę z taką radością – Micky obudziła się ze świadomością, że coś się nie zgadza.

Życie nauczyło ją natychmiastowego rozpoznawania zagrożenia. Nawet przez sen potrafiła poczuć niebezpieczeństwo na jawie, która przywołała ją z tamtego dalekiego wygodnego więzienia.

Leżąc na boku na sofie w salonie, z zamkniętymi oczami, głową wspartą na ozdobnej poduszce, brodą wtuloną w złożone dłonie, pozostała w zupełnym bezruchu, oddychając cicho jak we śnie, nasłuchując. Nasłuchując.

Dom stał w całości ciszy, głębokiej jak w domu pogrzebowym po odejściu żałobników.

Nie słyszała niebezpieczeństwa, lecz je czuła, jego dotyk i zapach, tak jak potrafiła wyczuć zmianę ciśnienia atmosferycznego, gdy powietrze gęstniało przed burzą na chwilę przed uderzeniem pierwszego pioruna.

Usiadła na sofie, żeby poczekać na Leilani, czytając gazetę. Mijały godziny, w końcu Geneva poszła spać, nakazując jej natychmiast ją obudzić, jeśli dziewczynka zjawi się z wizytą. Po odejściu ciotki i przeczytaniu gazety Micky położyła się tylko po to, żeby dać odpocząć oczom, nie zasnąć. Przeżycia tego dnia, upał, duchota, narastająca desperacja wcisnęły ją do tego więzienia ze snu.

Obudziła się i instynktownie nie otworzyła oczu. Nadal trzymała je zamknięte, zgodnie z tak drogą sercu każdego dziecka, a czasem i dorosłego teorią – że potwór jej nie skrzywdzi, jeśli nie spojrzy mu w oczy i nie przyjmie do wiadomości jego obecności.

W więzieniu nauczyła się, że udawanie snu, głupoty, naiwności albo kataleptycznego zubożenia często jest mądrzejsze od bezpośredniej konfrontacji. Dzieciństwo bywa bardzo podobne do życia w więzieniu; teoria o patrzeniu na potwora obowiązuje tak samo w przypadku dzieci jak dorosłych.

Ktoś obok niej się poruszył. Cichy szmer butów na dywanie, skrzypnięcie desek podłogi zaprzeczyły jej nadziei, że nocny gość jest wytworem wyobraźni lub duchem nawiedzającym osiedle przyczep.

Kroki zbliżyły się do niej. Zatrzymały się.

Czuła, że ktoś się nad nią nachyla. Ktoś nad nią stał i przyglądał się jej, podczas gdy ona udawała, że śpi.

To nie Geneva. Nawet w swoich filmowych chwilach nie potrafił tak się czaić i denerwująco dziwnie zachowywać. Gen pamiętała się jako Carole Lombard w „My Mań Godfrey”, Ingrid Bergman w „Casablance”, Goldie Hawn w „Foul Play”, ale nie miała przeżyć bardziej mrocznych niż te z „Mildred Pierce”. Jej wspomnienia z drugiej ręki były romantyczne, choć czasem tragiczne i nie trzeba się było martwić, że kiedyś ciocia znajdzie się w wirze psychozy Betty Davis z „Co się zdarzyło Baby Jane?” czy Glenn Close z „Fatalnego zauroczenia”.

Bezruch i ślepotą wyostrzyły zmysł węchu Micky. Poczowała słaby, lecz wyraźny zapach obcego mydła. Cierpką woń wody po goleniu.

Mężczyzna poruszył się, znowu zaskrzypiały deski. Poprzez łomot własnego serca Micky usłyszała, że się od niej oddala. Spojrzała przez rzęsy i zobaczyła go. Mijał właśnie niski bufet pomiędzy salonem a kuchnią.

Jedyna paląca się lampa, nastawiona na najmniejsze natężenie światła, nie rozpraszała cieni salonu,

lecz je pieściła. W kuchni tylko mały halogenek stawiał odpór ciemności. Mężczyzna, nawet widziany od tyłu, gdy zmierzał do wyjścia przez mroczną kuchnię, nie mógłby uchodzić za nikogo innego. Preston Maddoc złożył im niezapowiedzianą wizytę.

Micky zostawiła kuchenne drzwi uchylone na wypadek odwiedzin Leilani. Maddoc wyszedł, zostawiając je szeroko otwarte.

Micky podniosła się lękliwie z sofy i poszła do kuchni. Prawie się spodziewała, że Maddoc czeka za progiem, rozbawiony jej nieudolnym udawaniem.

Nie było go.

Odważyła się wyrzeć. Na podwórku nikt się nie czał. Maddoc poszedł do domu.

Wróciła do kuchni i zamknęła drzwi. Zaciągnęła zasuwę.

Strach z niej wyciekł, pozostawiając tylko poczucie gwałtu. Ale zanim zdołała wykrzesać z siebie stosowną wściekłość, pomyślała o Genevie i znowu pojawił się strach.

Nie miała pojęcia, jak długo Maddoc znajdował się w tym domu. Mógł być wszędzie, zanim zawędrował do salonu i zaczął się jej przyglądać.

Rzuciła się pędem w stronę krótkiego korytarzyka. Mijając swój pokój, zauważyła światło sączące się przez szparę pod drzwiami. Była pewna, że nie zostawiła włączonej lampy.

Koniec korytarza. Ostatnie drzwi. Uchylone.

Jarzące się cyfry i podświetlone okienko radia z budzikiem przynosiły jedyną ulgę w dławiących ciemnościach, jeżących się nieznanymi potwornościami. Micky dotarła do łóżka i ujrzała w tym widmowym blasku jedyne, co ją interesowało: wtuloną w poduszkę twarz cici Gen, leżącej z zamkniętymi oczami, pogrążonej w spokojnym śnie.

Micky zbliżyła drżącą dłoń do twarzy Genevy i poczuła muśnięcie oddechu.

Supel w jej piersi rozwiązał się, uwolnił oddech.

Wróciła na korytarz, bezgłośnie zamknęła drzwi i poszła prosto do swojego pokoju.

Na posłanym łóżku leżała torebka, obok niej – jej cała zawartość. Portfel był pusty, choć nie skradziono niczego, pieniądze leżały wymieszane z jej kartą ubezpieczenia społecznego, prawem jazdy, szminką, puderniczką, grzebieniem, kluczami...

Szafa stała otworem. Komoda także została przeszukana, zawartość szuflad była skłębiona.

Na podłodze leżały dokumenty zwolnienia z więzienia. Zostawiła je na nocnym stoliku, pod Biblią od cici Gen.

Niezależnie od pierwotnego celu wizyty Maddoc zyskał nad nią ogromną przewagę, gdy znalazł uchylone drzwi, a ją uśpioną na sofie. Z tego, czego dowiedziała się w bibliotece, Maddoc był raczej człowiekiem wyrachowanym niż impulsywnym, więc przypisała jego bezwstydne wścibstwo nie ciekawości, lecz arogancji.

Najwyraźniej Maddoc wiedział o jej związku z Leilani więcej, niż się spodziewała, może nawet więcej, niż spodziewała się Leilani. Sąsiedzkie powitanie z ciasteczkami albo go nie zwiódło, albo podsyciło jego podejrzliwość.

Teraz wiedział już o przeszłości Micky i jej słabościach.

Aż ciekawe, co by zrobił, gdyby się obudziła i go spostrzegła.

Na nocnym stoliku w świetle lampy leżała otwarta Biblia. Maddoc zakreślił w niej jeden ustęp długopisem z jej torebki. Księga Joela, rozdział I, wers 5: „Ocućcie się, pijani, i płaczcie!”.

Zaniepokoiło ją, że Maddoc zna Biblię na tyle dobrze, żeby znaleźć w niej tak stosowny, choć mało popularny cytat. Taka erudycja nasuwała przypuszczenie, że będzie przeciwnikiem jeszcze bardziej

inteligentnym i skutecznym, niż się spodziewała. Ponadto najwyraźniej zrobiła na nim wrażenie osoby tak niegroźnej, że spodziewał się ją zastraszyć bez najmniejszego wysiłku.

Zarumieniona z upokorzenia podeszła do komody, upewniając się, że Maddoc podniósł żółty sweter i znalazł dwie butelki cytrynowki.

Wyjęła je z szuflady. Jedna była pełna, z nienaruszoną banderolą. Na jej widok poczuła się silna, opanowana: dla nieszczęsnej, upadłej duszy ta nietknięta butelka była niezmiernym szczęściem, choć tak naprawdę stanowiła drogę do ruiny. W drugiej butelce po wczorajszym pijaństwie nie zostało prawie nic.

Poszła do kuchni, włączyła światło nad zlewem i wylała do niego obie butelki. Opary – nie aromatu cytrynowego, lecz quasiafrodyzjakalna woń alkoholu – obudziły w niej wiele pragnień: napić się, zapomnieć, zrobić sobie krzywdę. Kiedy wyrzuciła dwie puste butelki do kosza, ręce dygotały jej jak w febrze. Były też mokre od wódki. Powąchała wyziewy, unoszące się z jej skóry, przycisnęła chłodne dłonie do rozpalonej twarzy.

Przed oczami stanęła jej brandy, którą ciotka Gen trzymała w szafce kuchennej. Za wizją napłynął smak, tak prawdziwy, jakby Micky pociągnęła łyk z pełnego kieliszka.

– Nie.

Zbyt dobrze wiedziała, że to nie brandy jej potrzeba, i również nie wódki. Tak naprawdę szukała pretekstu, by zdradzić Leilani, by schować się w sobie, wciągnąć most zwodzony, kryć się w baszcie emocjonalnej fortecy, gdzie jej zranione serce nie będzie narażone na dalsze rany, gdzie znowu będzie mogła żyć we względnie wygodnej izolacji. Brandy mogłaby dać jej ten pretekst i oszczędzić cierpienia, które łączy się z uczuciami.

Odwróciła się od szafki, w której czekała na nią brandy, ominęła zamknięte drzwiczki, podeszła do lodówki, licząc na to, że ugasi pragnienie coca-colą. Ale nie było to pragnienie, a raczej głód, wilczy głód szarpiący jej wnętrzności, toteż wzięła ciasteczko z ceramicznego misia, którego głowa stanowiła wieczko, a przysadziste ciało – słój. Po zastanowieniu zaniósła misia razem z jego zawartością na stół.

Usiadła przy coli i ciasteczkach, czując się jak ośmioletnia dziewczynka, przestraszona i zagubiona, tak jak niegdyś, gdy szukała ukojenia w ramionach cukrowego demona. Pierwszą rzeczą, którą ujrzała, był talerz leżący obok świeczników. Ten sam talerz, na którym zaniósła dziś stertę ciasteczek sąsiadom. Maddoc oddał go pusty, umyty.

Znowu ta arogancja. Gdyby Micky nie obudziła się w porę, by go zobaczyć, mogłaby podejrzewać, kto przeszukał szuflady jej komody i torebkę, ale nie byłaby pewna, czy jej domysły są słuszne. Zostawiając talerz, Maddoc dał jej wyraźny znak, kim był intruz. Było to wyzwanie i próba zastraszenia.

Bardziej niż powrót talerza zaniepokoiło ją zniknięcie pingwinka. Mała figurynka z kolekcji zmarłej kobiety stała na kuchennym stole, pomiędzy szklaneczkami z kolorowego szkła, w których tkwiły na wpół wypalone świece. Maddoc musiał go dostrzec, stawiając talerz.

Jeśli miał jakieś podejrzenia co do związku Leilani z Micky i ciotką Gen, na widok pingwinka musiał się w nich utwierdzić. Usiadła na krześle, nieruchoma jak kamień, czując w żołądku mdlące ściskanie i dławienie w piersi, jak podczas nagłego zjazdu w dół kolejką śmierci.

Choć Poiły nie była Pollyanną, na ogół lubiła ludzi, których spotykała, łatwo nawiązywała przyjaźnie i rzadko robiła sobie wrogów, lecz kiedy pojawił się ten facet ze stacji benzynowej, wyszczerzony jak pajac wyskakujący na sprężynie z pudełka, i kiedy powiedział: „Witam, jestem Earl Bockman, moja żona to Maureen, mieszkamy tu od dwudziestu lat”, natychmiast uznała, że raczej się nie polubią.

Mężczyzna – wysoki, o przyjemnej powierzchowności, z oddechem pachnącym miętówką, świeżo ogolony i wyszorowany, w wypranym ubraniu – miał wiele podstawowych cech niezbędnych do zrobienia dobrego pierwszego wrażenia, i choć tragiczna mina śmiejącego się przez łzy pajaca mogłaby mu nadać pewien melancholijny urok, ten wyszczerzony od ucha do ucha uśmiech był klasycznym grymasem szalonego klauna.

– Urodziłem się w Wyoming – powiedział Earl. – Ale Maureen jest stąd, a ja mieszkam tu tak długo, że tak jakbym był już miejscowy. Mężczyźni, kobiety i dzieci w tym okręgu znają Earla i Maureen Bockmanów. – Zachowywał się, jakby musiał im przedstawić listy uwierzytelniające, zanim zaufają czystości jego paliwa. – Wystarczy powiedzieć „Earl i Maureen”, a wszyscy wam wyjaśnią, że to ci, co mają małą stację benzynową i sklep na skrzyżowaniu. I pewnie dodadzą też, że Maureen jest słodka, bo jest, a ja wam powiem, że jestem najszcześliwszym mężczyzną, który kiedykolwiek stanął przed ołtarzem i nigdy tego nie żałowałem ani przez minutę.

Wyklepał co najmniej połowę tego zdumiewającego przemówienia przez wyszczerzone zęby, jak na reklamie pasty do zębów, uśmiechając się jeszcze szerzej, kiedy musiał robić pauzy ze względu na znaki interpunkcyjne. Poiły była gotowa postawić dziesięć tysięcy dolarów przeciwko paczce sucharków, że biedna Maureen leży w sklepie, być może zaduszona przez Earla gołymi rękami, a może zatłuczona dużą puszką wieprzowiny z fasolą, bądź z sercem przebitym suszoną kiełbasą, która przez piętnaście lat wisiała zapomniana na haku.

Ten martwy uśmiech i niestosowne upodobanie do wdawania się w osobiste pogaduszki wystarczyłyby, by Poiły przydzieliła Earlowi etykietkę „bądź miła, ale się nie zbliżaj”, lecz pozostawała jeszcze sprawa jego zegarka. Tarcza tego niezwyklego drobiazgu była czarna i pusta: jeden z tych niewygodnych cyfrowych chronometrów, które pokazują czas tylko wtedy, gdy przyciśnie się guziczek. Ale Poiły zaczęła podejrzewać, że to wcale nie zegarek. Od chwili gdy Earl pojawił się na widnokręgu, nieustannie zwracał całe swoje ciało i prawe ramię, kierując pustą tarczę w stronę Cass, potem w stronę Poiły, znowu Cass, znowu Poiły, bez końca, nieustannie i bezsensownie spoglądając na swój gadżet w zbyt słabym świetle czerwonych i bursztynowych żarówek choinkowych. Jeśli kiedykolwiek brał korepetycje z dyskretnego zachowania, to zmarnował pieniądze. Poiły w pierwszym odruchu pomyślała, że ten przyrząd na jego ręce to aparat fotograficzny, a on jest zboczeńcem, który z jakiegoś pokrętnego powodu robi zdjęcia kobietom; ale choć jego nerwowa gadanina stanowiła wyraźny sygnał UWAGA, ZBOCZENIEC, nie wierzyła, żeby ktoś wynalazł już aparat fotograficzny, prześwietlający ubranie.

Cass lubiła ludzi znacznie bardziej od Poiły, a choć wyskoczyła z mamy w ślad za bliźniaczką, to ona mogłaby być Pollyanną, gdyż wierzyła w jednakowym stopniu zakonnicom i mordercom. Jednak po dwudziestu siedmiu latach wspólnego życia po tej stronie łona optymizm Cass został utemperowany rozsądnym podejściem Poiły do ludzi i losu. Mało tego, Cass stała się tak cyniczna, że po pierwszym zdaniu Earla podniosła brew i skrzywiła lekko usta w grymasie pod tytułem UWAGA, ŚWIR!, który Poiły odczytała bez najmniejszych problemów.

Earl mógł z nimi swobodnie gawędzić, dopóki któreś z nich nie umarłoby z przyczyn naturalnych,

przez cały czas nie całkiem ukradkiem celując w nie dziwacznym zegarkiem – co nagle zaczęło w odległy sposób przypominać ten manewr, gdy pracownicy lotniska wymierzają wykrywacz metalu w stronę podróżnego, który parę razy przeszedł przez bramkę, włączając alarm. Ale podczas monologu Earla Cass przyjrzała się starodawnej pompie z napisem „diesel” i przekonała się, że jej mechanizm jest bardziej skomplikowany, niż jakikolwiek dotąd jej znany, w związku z czym poprosiła o pomoc.

Earl przyjrzał się pompie. Poiły pomyślała, że wygląda tak, jakby widział ją po raz pierwszy, tak samo jak Cass. Podszedł do pompy, marszcząc brwi, położył na niej rękę, stanął, jakby pogrążony w myślach, niemal tak jakby badał szóstym zmysłem zasadę jej funkcjonowania, po czym znowu zaprodukował ten uśmiech szalonego klauna i spytał:

– Do pełna?

Upewniwszy się, że ma napełnić cały bak, ujął rękojeść pompy, wydobyl wąż z uchwytu i odwrócił się do pojazdu, po czym zamarł, a wraz z nim zamarł jego uśmiech.

W końcu stało się oczywiste, że ten wytrawny ujeżdżacz pomp benzynowych nie wie, gdzie znajduje się bak ich pojazdu. Cass przesłała spojrzeniem pytanie „Co się dzieje z tym idiotą?”. Odebrała wąż Earlowi, wyjaśniając uprzejmie, że jako specjalnie wyczulona na punkcie nienaruszonego lakieru wokół baku woli sama wykonać to skomplikowane zadanie.

Poiły otworzyła wieczko na zawiasach, odkręciła korek z baku i odstepiła na bok, podczas gdy jej siostra wcisnęła koniec węża do baku, nie spuszczając oka z Earla, który – uważając, że jest zajęta – śmiało wymierzył swój sprytny zegarek w dwa okna jej pojazdu, dwa razy przyglądając się cyferblatowi, jakby potrafił coś odczytać z lśniącej czarnej powierzchni, co zdecydowanie odróżniało go od wszystkich innych mężczyzn, którzy nieodmiennie szacowali spojrzeniem tyłek Poiły, gdy myśleli, że tego nie widać, nawet geje, płonący nie pożądaniem, lecz zawiścią.

Mogłaby go uznać za nieszkodliwego czubka, niegdyś dumnego sprzedawcę benzyny, który w końcu oszalał w samym środku odludzia, pod tym przerażająco ogromnym niebem, rozgwieżdżonym okrutnym światłem gwiazd, pozbawiony kontaktu z ludźmi bądź narażony na zbyt częsty kontakt z miejscowymi wsiokami, a może nawet z Maureen, tą kobietą o dużej zawartości słodczy. Ale nawet czubki, ekscentrycy i kompletni wariaci przyglądali się jej tyłkowi, kiedy mieli ku temu okazję, a ona, im dłużej patrzyła na ten jego wyszczerzony uśmiech, tym mniej myślała o klaunie, psychopatycznym czy nie, a coraz więcej o drapieżnym gadzie z „Parku jurajskiego”. Przyszła jej do głowy myśl, dość dziwna: że Earl jest czymś, czego nigdy dotąd nie spotkała. Z mroku wypadła psina, zdyszana, zdenerwowana jak jeszcze nigdy, rzuciła się do Poiły, a raczej do jej lewego, sandałka, chwyciła za akrylowy obcas i usiłowała potrząsnąć, jak terier potrząsa szczurem. Poiły rzuciła imię słynnego gwiazdora filmowego, którego poznała w czasach, gdy była żoną producenta filmowego Juliana Flackberga, gwiazdora będącego równie okropnym aktorem, jak podłym człowiekiem, a którego słynnego imienia Poiły używała często w zastępstwie pięcioliterowego słowa oznaczającego odchody. Zdumiona Cass zawołała psa. Poiły spróbowała uwolnić stopę, nie robiąc krzywdy psu ani sobie, Stary Rudzielec także usiłowała uniknąć obrażeń, jednocześnie przeżuając but bez najmniejszego warknięcia, a uśmiechnięty Earl Bockman, łudząc się, że w tym zamieszaniu nikt go nie zauważa, wymierzył zegarek w kundelka i spojrzął z niepokojem na jego cyferblat, jakby był to instrument badający, czy zwierzę nie jest czasem wściekle.

Poiły wysunęła stopę z sandałka, usiłując uwolnić się od Starego Rudzielca, a suczka natychmiast skorzystała z okazji – uciekła ze swoim trofeum i zatrzymała się za rogiem pojazdu, żeby obejrzeć się i poprawić but, zwisający jej z pyska na cienkim pasku. Poruszyła kpiąco sandałkiem.

– Zaprasza cię do zabawy – zauważyła Cass, a Poiły odpowiedziała:



– Aha, i choć jest słodka, moim zdaniem sama się prosi, by ją kopnąć tak, żeby wylądowała na tych światełkach choinkowych.

Przynajmniej raz wariacki uśmiech Earla wydał się prawie na miejscu.

Cass, która włożyła już wąż do baku i miała jakieś pięć minut do wypełnienia wielkiego zbiornika, odzyskała swobodę ruchu. Poity wiedziała bez cienia wątpliwości, że siostra umie sobie radzić z typkami w rodzaju Earla Bockmana, nawet jeśli właśnie otrzymał on powiadomienie z Księgi Guinnessa, że zastąpił zmarłego Jeffreya Dahmera w kategorii „Najwięcej odciętych głów w lodówce”. Utykając, pobiegła za Starym Rudzielcem, która wskoczyła do środka samochodu przez otwarte drzwi.

Poity poszła jej śladem. Kiedy weszła do samochodu, sandałek leżał już na podłodze salonu, dokładnie pod zapaloną lampą, a suczka siedziała na ławie w kuchni, wyciągając szyję nad stołem i trzymając talię kart w zębach. Poity podniosła sandał; psina wróciła do salonu, potrząsnęła paczką, aż się otworzyła, i rozsypała karty po podłodze.

Jako osoba wychowana na wsi, gdzie krowy, świnie i kury stanowiły przykład dobrych manier i godności, właściwych człowiekowi, jako osoba występująca w bajecznym przedstawieniu z udziałem dwóch słoni, czterech szympanów, sześciu psów i nawet pytona, sympatyczniejszego od sześćdziesięciu sześciu z siedemdziesięciu czterech tancerek z ekipy, Poity uważała się za miłośniczkę zwierząt i zaliczała się do na tyle wnikliwych obserwatorów zachowania zwierząt, że potrafiła się zorientować, kiedy Stary Rudzielec zachowuje się nienaturalnie oraz kiedy dzieje się coś niezwykłego. Dlatego nie zaczęła jej robić wyrzutów ani nie rzuciła się do sprzątania bałaganu, co normalnie na pewno by zrobiła, lecz dała suczce swobodę ruchów i przyklękła obok niej.

Stary Rudzielec rozrzuciła połowę kart obrazkami do góry; zaczęła grzebać w nich łapą, dokonując wyboru gorączkowo, a jednak wyraźnie z namysłem, aż wreszcie zestawiała ze sobą dwie karty trefl, dwie kier, i jedną pik. Zestaw kart nie miał znaczenia, ale widniejące na nich cyfry dawały do myślenia, ponieważ suczka ułożyła je, posługując się nosem i łapami, we właściwym porządku numerycznym: trójka pik, czwórka trefl, piątka kier, szóstka trefl, siódemka kier – i uśmiechnęła się do Poity wyczekująco.

Zręczne psy balansujące na toczących się piłkach i chodzące na drążkach, psy-piromani, skaczące przez płonące obręcze, malutkie pieski jeżdżące na grzbietach większych psów, pędzących i skaczących przez przeszkody, przerażone pieski w różowych spódniczkach, tańczące na tylnych łapach – w Vegas Poity widziała psy przyuczone do najbardziej niezwykłych sztuczek, ale aż do tej chwili nie zdarzyło się jej być świadkiem pokazu zaawansowanych zdolności matematycznych zwykłego kundelka, więc przyglądając się, jak Stary Rudzielec przesuwając łapą szóstkę trefl, a potem ustawiając nosem siódemkę kier, wymamrotała pod nosem imię tego samego paskudnego gwiazdora, i to nie raz, a dwa razy, spojrzawszy w oczy kudłatej matematyczce i – drżąc w cudownym przecuciu cudu – zadała pytanie, którego Lassie musiała mieć powyżej uszu podczas tych długich lat, kiedy mieszkała z Timmym na farmie:

– Chcesz mi coś powiedzieć, prawda, malutka? Cass uznała – nie obrażając Romulusa, Tarzana ani HAL-a 9000 – że Earl Bockman zachowuje się gorzej niż dziecko wychowane przez wilki, następnie adoptowane przez stado małąp, a później wykształcone przez maszyny.

Był sztywny. Niepewny siebie. Nerwowy. Wyraz jego twarzy rzadko odpowiadał nastrojowi rozmowy, a kiedy Earl zdawał sobie sprawę z tej niestosowności, powracał do dawnego uśmiechu kota z kreskówki, przyłapanego przy klatce z kanarkiem, uśmiechu według niego zapewne przyjaznego i uspokajającego.

Co gorsza, nie potrafił przestać mówić. Wystarczyła dwusekundowa pauza w rozmowie, żeby zaczął

się denerwować. Czym prędzej wypełniał ją, plotąc, co mu ślina na język przyniosła, a przynosiła na ogół największe nudziarstwa.

Cass doszła do wniosku, że Maureen, żona Earla i słynna wcielona słodycz, musi być święta albo głupia jak paprotka. Z tym mężczyzną nie można było wytrzymać, chyba że w ramach oczyszczającego duszę umartwiania, względnie na skutek niewykrywalnej czynności mózgu.

Cass stała oparta o samochód, czekała, aż bak się napełni, i czuła się jak skazaniec pod ścianą straceń. Earl występował w charakterze jednoosobowego plutonu egzekucyjnego, a śmierć miała nastąpić przez zanutzenie.

Poza tym co to za numery z tym zegarkiem? Earl, równie kiepsko wykształcony w potajemnych akcjach, jak w sztuce konwersacji, celował swoim gadżetem w różne punkty w ciemności wokół nich. Raz nawet przyklął, żeby zawiązać zawiązane sznurowadło, najwyraźniej po to, by skierować zegarek w przestrzeń pod podwoziem samochodu.

Może cierpiał na zespół natręctw. Może po prostu musiał celować zegarkiem w ludzi i rzeczy, tak jak inni muszą myć ręce czterysta razy dziennie, a jeszcze inni muszą co godzina przeliczać skarpetki z komodzie lub talerze w szafce.

Z początku budził współczucie, potem śmiech.

Teraz nie był już nawet śmieszny.

Cass czuła pełznący jej po plecach dreszcz.

W czasie trzyletniego małżeństwa z Donem Flackbergiem – producentem filmowym i młodszym bratem Juliana – obracała się w najznakomitszych kręgach hollywoodzkiej społeczności, dzięki czemu miała okazję obliczyć, iż w grupie aktorów, reżyserów, dyrektorów studiów filmowych i producentów, którzy odnieśli sukces, 6,5 procent to ludzie normalni i przyzwoici, 4,5 procent to ludzie normalni i źli, a 89 procent to ludzie szaleni i źli. Gromadząc doświadczenia, które pozwoliły jej dojść do tych wniosków, nauczyła się rozpoznawać pewne typy spojrzeń, tików i sygnałów ciała, jak również innych fizycznych i behawioralnych cech, które nieodmiennie ostrzegały ją przed szaleństwem szaleńców i najbardziej potwornymi podłościami podłych, zanim zdarzyło się jej paść ich ofiarą. Po trzyminutowej obserwacji uznała, że Earl Bockman, właściciel stacji benzynowej i sklepikarz, był w każdym calu tak szalony i podły jak wszyscy znani jej najbogatsi i najbardziej szanowani obywatele światka filmowego.

W ciemnościach za sklepem na rozdrożu, pomiędzy osrebrzoną sferą księżycą rzekomą corvetta i explorerem z ładunkiem martwych ciał, Curtis obserwuje kuchenne drzwi budynku oraz jego północne i południowe krańce, zza których w każdej chwili może nadciągnąć zagrożenie.

Jednak najwięcej uwagi poświęca psio-chłopięcej więzi, z której korzysta bardziej intensywnie niż kiedykolwiek dotąd. Jest tutaj, czuje suchy wietrzyk szemrzący w preriowej trawie za jego plecami, lecz również jest wraz ze swoją siostrzyczką w domu na kółkach i olśniewa Poiły psimi umiejętnościami arytmetycznymi, a następnie instrumentem bardziej skomplikowanym niż karty do gry.

Kiedy już ma pewność, że Poiły rozumie jego przekaz, że się zaniepokoiła i będzie działać, by ratować siebie i siostrę, zostawia psinę i dom na kółkach. Teraz jest tylko tutaj, w ciepłym oddechu prerii, w zimnym świetle księżycy.

Ci łowcy zawsze podróżują w parach lub oddziałach, nigdy samotnie. Fakt, iż ciała właścicieli sklepu zostały odarte z ubrań, świadczy, że oprócz tego mężczyzny przy pompach w sklepie czeka morderca przebrany za kobietę o kasztanowych włosach.

Corvetta, która nie jest corvetta, jest przestronniejsza niż sportowy samochód, który udaje. Może bez

przeszkód pomieścić czworo pasażerów.

Curtis, wieczny optymista, na jakiego został wychowany, przyjmuje, iż na rozdrożu znajduje się tylko ta para zabójców. Jeśli jest ich więcej, nie będzie miał szansy przeżyć spotkania. Zresztą nie wie nawet, jak walczyć z jednym, dlatego postawiony przez koniecznością zmierzenia się z czwórką jako jedyną rozsądną strategię wybierze ucieczkę przez prerię w poszukiwaniu wysokiego zbocza, głębokiej rzeki bądź też jakiegoś innego sposobu zadania sobie śmierci bardziej miłosiernej niż ta, którą szykują dla niego mordercy.

Choć na ogół potrafiłby uniknąć spotkania nawet z dwoma łowcami, w tym wypadku nie może sobie pozwolić na luksus ucieczki, ponieważ ma zobowiązania wobec Cass i Poiły. Kazał im uciekać, ale może łowcy im na to nie pozwolą, jeśli będą je podejrzewać o ukrywanie go. W takiej sytuacji może jedynie odwrócić uwagę wroga, ujawniając swoją obecność.

Teraz szybko, szybko, pomiędzy explorera-rzeźnię i pozaziemski samochód sportowy, do kuchennych drzwi budynku. Delikatnie, cicho nacisnąć klamkę.

Zamknięte.

Curtis napiera na drzwi, siła woli przeciwko materii; w skali mikro powinien zwyciężyć – otwierał drzwi domu Hammondów w Kolorado, drzwi samochodu na lawecie w Utah i wszędzie indziej.

Nie ma szóstego zmysłu ani żadnej supermocy, dzięki której mógłby się stać bohaterem serii komiksów, gdzie paradowałby w kolorowej pelerynie i rajtuzach. Jego skuteczność opiera się na zrozumieniu mechaniki kwantowej, pojmowanej nie tak jak w tym świecie, gdzie zrozumiano ją w połowie, lecz bardziej obszernie.

Na podstawowym poziomie strukturalnym wszechświata materia jest energią; wszystko jest energią, wyrażoną w miliardach postaci. Świadomość to siła, która wyławia wszystkie rzeczy z niezmiernego morza energii; początkowo była to wszechogarniająca świadomość Stwórcy, żartobliwej Obecności ze snów psinki. Ale nawet zwykły obdarzony inteligencją i świadomością śmiertelnik dysponuje mocą wpływania na formę i funkcję materii za pomocą czystej siły woli. Nie jest to ta ogromna, stwarzająca światy i galaktyki moc żartobliwej Obecności, lecz skromny dar o ograniczonym zasięgu działania.

Nawet w tym świecie, na jego obecnym wczesnym stadium rozwoju, naukowcy specjalizujący się w mechanice kwantowej zdają sobie sprawę, że na poziomie subatomowym wszechświat wydaje się raczej myślą niż materią. Wiedzą także, że ich oczekiwania oraz myśli mogą wywierać wpływ na wynik pewnych eksperymentów z cząstkami elementarnymi, jak elektrony i fotony. Rozumieją, że wszechświat nie jest tworem mechanicznym, za jaki go niegdyś uważali, i zaczynają podejrzewać, że istnieje jako akt woli, że ta siła woli – niesamowicie twórcza świadomość żartobliwej Obecności – to moc porządkująca układ sił w fizycznym wszechświecie, i że ta moc przejawia się w możliwości kształtowania przez każdego śmiertelnika swojego przeznaczenia poprzez działanie wolnej woli.

Curtis jest w tym bardzo dobry.

Ale okropnie się boi.

Strach jest nieuniknionym elementem egzystencji śmiertelników. Akt stworzenia, w całej swojej wstrząsającej urodzie, z jego barokowymi ozdobnikami i subtelnymi urokami, przy wszystkich zdumiewających cudach, które są udziałem zarówno Stwórcy, jak i stworzenia, z całą swoją aksamitną tajemnicą i radością, którą dają nam nasi ukochani, jest dla nas tak fascynujący, że brakuje nam wyobraźni, a tym bardziej wiary, by wyobrazić sobie jeszcze bardziej oszałamiające światy, które roztaczają się za nim, dlatego nawet jeśli wierzymy, czepiamy się tego życia, słodkiej i znanej nam codzienności, bojąc się, że raj okaże się w porównaniu z nim mniej godny pożądania.

Zamknięte. Tylne drzwi sklepu na rozstajach są zamknięte.

A po chwili już nie.

Za nimi znajduje się mały magazyn, oświetlony nie tą samotną nagą żarówką dyndającą na sznurku pod sufitem, lecz światłem sączącym się z innego pokoju, zza uchylonych wewnętrznych drzwi, które jakby osypuje magazyn miłkim jarzącym się pudrem.

Curtis robi krok naprzód. Cicho zamyka za sobą drzwi, żeby wiatr nie zatrasnął ich z głośnym hukiem.

Cisza czasem koi nerwy, ale ta je jeszcze bardziej rozdrażnia. Ta cisza jest jak zimne stalowe milczenie ostrza gilotyny, które trwa wzniesione, podczas gdy szyja spoczywa już w otworze na dole, a podstawiony koszyk czeka na głowę.

Curtis, pełen nadziei nawet w tej chwili strachu, skrada się do uchylonych na parę centymetrów drzwi.

W sypialni domu na kółkach Poity chwyciła strzelbę kalibru 12, wiszącą na kołku na tylnej ścianie szafy, za ubraniami.

Suczka przyglądała się jej uważnie. Poity wyszarpnęła szufladę komody i wyrwała z niej pudełko naboji. Włożyła jeden do lufy, trzy do magazynka.

Stary Rudzielec straciła zainteresowanie bronią i zaczęła z zaciekawieniem obwąchiwać buty na podłodze szafy.

Dla zachowania obcisłego fasonu podkreślającego nienaganną figurę białe spodnie Poity nie miały kieszeni. Poity włożyła trzy zapasowe naboje w stanik pomiędzy piersiami, wdzięczna naturze za dostatecznie bujny dekolt, w razie potrzeby nadający się na arsenał.

Suczka poszła za nią z sypialni przez łazienkę do kuchni, gdzie zatrzymała się, czując smakowitą woń jakiegoś przysmaku w szafce. Zaczęła węszyć, wciskając nos w wąską szparę między drzwiczkami. Tymczasem Poity dotarła do salonu, gdzie spojrzała na ekran stojącego na podłodze laptopa. W drodze powrotnej prawie zdołała sobie wmówić, że cały ten numer z psem i komputerem jest wytworem jej wyobraźni; ale tak nie było, a dowód na to widniał przed jej oczami wyraźnie i niezaprzeczalnie, rozjarzony na ekranie.

Laptop stał na półce pod telewizorem. Wykonawszy sztuczkę z kartami, Stary Rudzielec wspięła się na tylne łapy i zaczęła trącać łapą półkę, aż wreszcie Poity zdjęła laptop, otworzyła go i włączyła.

Zdumiona, lecz zaciekawiona, ze zdolnością dziwienia się światu zaskakująco nienaruszoną po trzech latach życia w pozbawiającym wszelkiego zdziwienia przemyśle filmowym Poity zajęła się komputerem, a tymczasem psina popędziła do łazienki. Rozległ się trzask, po czym Stary Rudzielec wróciła z należąca do Cass szczoteczką do zębów. Po czym za jej pomocą wystukała wiadomość na klawiaturze.

RADUJ SIĘ, napisała, na co Poity uznała, że każdy pies zdolny odróżniać karty i mający zaawansowane zdolności matematyczne może mieć własne zdanie co do humoru swoich znajomych; pewnie nawet wypracowałyby jakieś bardziej optymistyczne podejście do życia, ale coś jej mówiło, że być może już teraz pędzi do niej przez prerię ambulans z najbliższego domu wariatów, z kaftanem bezpieczeństwa i dużą dawką Głupiego Jasia w strzykawce, jaką zwykle robi się zastrzyki koniom.

Jak się okazało, RADUJ SIĘ nie było tym, o co chodziło – ta naturalna niezdarność jest całkiem zrozumiała w przypadku psa piszącego na komputerze trzymaną w zębach szczoteczką. Stary Rudzielec przystępuje do następnej próby z piskiem frustracji, lecz również z godną podziwu determinacją i tym razem wystukuje:

RATUJ SIĘ!

A teraz, minutę po tym, jak suczka skończyła pisać, Poiły znowu stanęła przed laptopem z ekranem nadal rozjarzonym sześciowersową wiadomością:

RADUJ SIĘ

RATUJ SIĘ!

PAN ZŁY

OBCY

ZŁY OBCY

RADUJ SIĘ!

Pędem pobiegła do sypialni i naładowała broń.

Na ekranie wiadomość wydawała się absurdalna, stała niewiele wyżej niż bezsensowny bełkot, i gdyby ukazała się na ekranie znikąd lub nawet została napisana przez jeszcze niepiśmienne dziecko, Poiły nie zadziałyby tak szybko i nie poszłyby od razu po broń; uznała, że tak błyskawiczna i drastyczna akcja jest usprawiedliwiona, ponieważ wiadomość napisał pies ze szczoteczką w zębach! Poiły nie miała studiów, bez wątpienia straciła mnóstwo szarych komórek podczas tych trzech lat spędzonych w Hollywood i bez bólu przyznawała się do żalösnej ignorancji w niezliczonej ilości tematów, ale potrafiła rozpoznać cud, kiedy się jej trafiał, a jeśli pies wystukujący wiadomości szczoteczką do zębów nie jest cudem, to nie jest nim także rozstąpienie się Morza Czerwonego ani zmartwychwstanie Łazarza.

Poza tym, jeśli się zastanowić, Earl Bockman bardziej nadawał się na złego kosmitę niż na wieśniaka ze sklepu na rozdrożu. Była to jedna z tych ostentacyjnie nieprawdopodobnych spraw, o których na pierwszy rzut oka wie się, że są prawdziwe: jak, na przykład, najnowsza wiadomość, jakoby żaden z muzyków z hip-hopowej kapeli Zabij Gliniarza Gówniarza nie potrafił czytać nut.

Nie zamierzała popędzić od razu na dwór i odstrzelić głowy Earlowi, choćby dlatego, że nawet w przerażeniu i rozgorączkowaniu dostrzegała pewne trudności z wytłumaczeniem się z tego w sądzie. Właściwie nie wiedziała dokładnie, co ma teraz zrobić, ale lepiej się czuła z bronią w rękach.

Za jej plecami coś trzasnęło; odwróciła się gwałtownie, celując z dwunastki, ale sprawcą trzasku okazała się Stary Rudzielec. Wsadziła głowę do pustej torby po popcornie, którą Curtis zostawił na podłodze koło fotela pasażera.

Poiły uwolniła ją z celofanowej pułapki; suczka wyłoniła się na światło dzienne z idiotycznym uśmiechem, nadaktywnym językiem i pyskiem obsypanym piegami popcornu. Trudno było ją skojarzyć z tym zdeterminowanym posłańcem, który w tak zdumiewający sposób poradził sobie z komputerem. Poiły znowu spojrzęła na ekran, spodziewając się, że napis już zniknął, ale okrzyk „RADUJ SIĘ!” nadal płonął białymi literkami na niebieskim tle, poprzedzając pięć wersów pospiesznie napisanej informacji.

Stary Rudzielec oblizęła pysk z rozmachem, od brody po nos, a Poiły postanowiła nie kwestionować cudów, nie odrzucać wiadomości z powodu przedziwnego posłańca, lecz działać, niech jej Bóg pomoże, zgodnie z wymogami sytuacji.

Nagle sobie przypomniała.

– Gdzie Curtis?

Psina podniosła uszy i zaskomliła.

Poiły podeszła do drzwi, ściskając w dłoniach strzelbę, nabrała powietrza w płuca, jak zawsze, kiedy zstępowała naga z pokładu latającego spodka na neonowe schody w Las Vegas, i zanurzyła się w mroku nocy zmieniającym prerię w dziwny, obcy kraj.

Curtis Hammond, w wersji bojowej, jeszcze bardziej niż dotąd świadomy, że jest raczej poetą niż

wojownikiem, skupia się na zachowaniu ciszy i bezgłośnie otwiera drzwi magazynu, koncentruje się na skradaniu i skrada się przez sklep, stara się nie krzyknąć i nie uciekać w przerażeniu, gdy przesuwa się, przygięty do ziemi, szukając fałszywej żony Earla.

Półki w sklepie biegną wzdłuż prostokątnego pomieszczenia, dlatego rzędy między nimi są długie.

Najwyraźniej lud zamieszkujący prerie ma niewiele szacunku dla zrównoważonej diety, ponieważ nigdzie nie widać świeżych owoców i warzyw, a jedynie rozmaite produkty w opakowaniach. Pod ścianą z tyłu stoją chłodziarki z przezroczystymi drzwiami, wyładowane piwem, napojami bezalkoholowymi, mlekiem i sokiem owocowym.

Na końcu pierwszego rzędu Curtis staje, nasłuchując dźwięków zdradzających pozycję żony, ale ten zabójca chyba koncentruje się na ciszy równie wytrwale jak sam Curtis. Wreszcie chłopiec pochyła się i wygląda zza półki, koło działu baterii i zapalniczek na butan. Za półkami znajduje się front sklepu; w pomieszczeniu znajdują się ogółem trzy długie rzędy pomiędzy dwoma szeregami wysokich regałów.

Chłopiec widzi kawałek zakurzonego okna, ale musiałby wstać, żeby określić, czy Cass i Poiły już wsiadły do domu na kółkach. Półki są wyższe od niego, co znaczy, że jeśli zła żona pozostaje gdzieś z przodu, nie zauważy go. Mimo to nadal kuca.

Wkrótce zdradzi swoją obecność, by odwrócić uwagę pary zabójców i umożliwić bliźniaczkom ucieczkę. Sukces zależy od precyzyjnego wyboru chwili na wstanie i ujawnienie się.

Mija baterie i zapalniczki, ostrożnie zagląda w środkowy rząd. Pusty. Wymija stojak z różnymi artykułami – żyłki, nożyczki do paznokci, scyzoryki, niestety brak poważniejszej broni – i znowu się zatrzymuje, wyciągając słuch.

Cisza jest zbyt gęsta, zbyt głęboka, jak ogromny cień pod powierzchnią zwykłego milczenia. Ten śmiertelny spokój sprawia, że Curtis ma ochotę zacząć krzyknąć tylko po to, by sobie udowodnić, że nadal znajduje się pomiędzy żywymi.

Nagły dreszcz na karku. Curtis ogląda się, niemal pewny, że zobaczy skradającego się za nim zabójcę, i omal nie wybucha łzami szczęścia, gdy widzi, że nikt za nim nie stoi. Na razie.

Przemyka koło paczuszek z żyłkami, kołyszących się na haczykach stojaka, spogląda w rząd najbliższy frontowej części sklepu. I od razu zauważa złą żonę. Stoi o parę kroków od otwartych drzwi, patrzy na pompy i – o ile można poznać – jest identyczna ze zmarłą kobietą, wrzuconą wraz z mężem do samochodu.

Najprawdopodobniej ci łowcy należą do hordy, która ściga go od Kolorado, choć możliwe też, iż dopiero zostali przydzieleni do tej misji. Nie podróżują skradzioną furgonetką z siodłami, nie korzystają z żadnego lokalnego środka transportu, więc Curtis wątpi, by byli tymi dwoma, którzy – w przebraniu kowbojów – wysłędzili go w tamtą stronę w zajeździe dla ciężarówek.

Nieważne, czy to ci sami, czy nowi, są równie okrutni i niebezpieczni jak pozostali, to nie osoby, lecz część roju zabójców. Na imię mają „legion”.

Zła żona, zainteresowana wydarzeniami przy pompach, robi parę kroków, aż w końcu dochodzi do progu. Teraz w zasadzie jedną nogą jest w sklepie, drugą poza nim i nie może już dostrzec Curtisa kątem oka.

Pomiędzy Curtisem i drzwiami frontowymi, na kontuarze w pobliżu kasy leży pistolet. Być może mężczyzna lub kobieta, którzy obecnie spoczywają martwi w samochodzie, zdążyli zdobyć broni, lecz zabrakło im czasu, by wystrzelić. A zły mąż zostawił ją tutaj, wychodząc, by powitać pasażerów ruchomego domu.

Bliźniaczki nie mogą się czuć spokojniejsze tylko dlatego, że łowca wyszedł na ich spotkanie bez

broni. To okrutni mordercy, uderzają szybko jak żmije, są bardziej krwiożerczy niż wygłodniałe krokodyle i wolą zabijać gołymi rękami, choć bardzo rzadko jest to coś tak prozaicznego jak ręce, lubią brodzić w wilgoci śmierci. Uroda, dobroć, dowcip i piękne dusze bliźniaczek nie wydłużą ich życia nawet o ułamek sekundy, jeśli któryś z łowców postanowi je unicestwić.

Curtis przygląda się broni leżącej jakieś półtora metra od niego i od razu rozpoznaje okazję. Nie musi nawet przypominać sobie licznych napomnień matki na temat wykorzystania nadarzającej się szansy, tylko od razu rusza w stronę kasy, przygarbiony, lecz odważny jak każdy skazany na śmierć głupiec, który podczas walki widzi zbliżające się rakiety i myśli, że to fajerwerki dla uczczenia nadciągającego tryumfu. Jest już w połowie drogi, kiedy zaczyna się zastanawiać, czy nie pomylił przynęty z szansą.

Zła żona może się w każdej chwili odwrócić, rzucić ku niemu i obdrzeć ze skóry jak pomarańczę, zanim on zdoła wykrztusić „O Boziu”.

Ale się nie cofa, bo jest Royem Rogersem, który nie śpiewa, Indianą Jonesem bez kapelusza, Jamesem Bondem bez wstrząśniętego martini, jest wcielonym bohaterstwem, dokładnie przedstawionym w 9658 filmach, jakie podziwiał przez dwa dni intensywnego trzytygodniowego treningu kulturoznawczego, podczas którego wszystkie 9658 filmów włożono mu bezpośrednio do mózgu tuż przed lądowaniem. Prawdę mówiąc, omal nie oszalał od tych wszystkich filmów, jeszcze nie całkiem je przyswoił i czasem nie potrafi oddzielić prawdy od fikcji, którą widział na srebrnym ekranie umysłu. Ale ponieważ filmy obudziły w nim to cudowne poczucie wolności i olbrzymią sympatię dla tego dziwnego świata, z radością przyjmuje konsekwencje okresowej niestabilności umysłowej, jeśli taka właśnie jest cena za te dwa dni bezprecedensowej rozrywki, edukacji i pokrzepienia.

W rzeczy samej przykład, jaki dają bohaterzy filmu, to dokładnie to, czego mu było potrzeba, bo udaje mu się dotrzeć do kasy i wyprostować, nie zdradzając swojej obecności przed złą żoną, która nadal stoi w drzwiach odwrócona plecami i przebrana w strój nieżyjącej kobiety.

Okno za kasą jest zakurzone, lecz Curtis widzi przez nie samochód bliźniaczek. Cass opiera się o niego, zwrócona twarzą do złego męża, zupełnie jakby nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Poiły otrzymała wiadomość za pośrednictwem psa już dwie minuty temu. Na pewno zaraz zadziała. Pora, żeby Curtis odwrócił uwagę łowców.

Biorąc pistolet, zauważa obok niego broszurowy romans ulubionej pisarki Gabby'ego, Nory Roberts. Najwyraźniej wszyscy tują czytają, ale Curtis podejrzewa, że książka należy do zmarłych właścicieli stacji, nie do zabójców, a popularność pani Roberts jeszcze nie ma zasięgu międzyplanetarnego.

Pistolet nie jest zabezpieczony. Chłopiec ujmuje go prawą ręką, lewą podtrzymuje dłoń i sunie w stronę otwartych drzwi, sposobiąc się do strzału.

Zabójca nadal go nie dostrzega.

Do drzwi zostały dwa metry siedemdziesiąt. Dwa i pół metra.

Zatrzymuje się. Ta linia strzału jest idealna.

Stojąc z rozstawionymi nogami dla utrzymania maksymalnej równowagi, z prawą stopą przed lewą, z pochylonym w przód tułowiem, co ma go przygotować na odrzut broni, waha się, ponieważ cel w drzwiach tak bardzo przypomina zwyczajną kobietę, wydaje się tak kruchy. Curtis ma dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że jego przeciwnik tylko nieznacznie ustępuje kruchością czołgowi i że wcale nie jest kobietą, a już na pewno nie zwyczajną – a jednak nie potrafi się zmusić i docisnąć spustu do końca.

Ten jeden procent wątpliwości nie pozwala mu działać, choć matka zawsze mówiła, że nic w tym życiu nie jest pewne i że odmowa działania bez stuprocentowej pewności to tak naprawdę akt moralnego

tchórzostwa i zwykły wykręt. Chłopiec myśli o Cass i Poiły i przez tę jednoprocentową wątpliwość zaczyna się zastanawiać, czy zmarła kobieta z samochodu mogła mieć identyczną bliźniaczkę, która właśnie przed nim stoi. Jest to myśl z gruntu idiotyczna, zważywszy na pozaziemski środek transportu udający corvette i ofiary ze złamanym karkiem. A jednak chłopiec nadal tkwi w tym czyścicu niemożności, ponieważ choć jest synem swojej matki, choć brał udział u jej boku w zażartych walkach i widział straszliwe akty przemocy, nigdy dotąd nikogo nie zabił, przeszedł wyczerpujący trening w posługiwaniu się bronią, lecz nigdy nie wystrzelił do żadnego żywego stworzenia, a tutaj, w tym sklepiku na rozdrożu, przekonuje się, że zabijanie, nawet ze szlachetnych pobudek, jest trudniejsze, niż twierdziła matka i zdecydowanie trudniejsze niż na filmach.

Kobieta, zaniepokojona zapachem lub podszeptem intuicji, odwraca głowę tak szybko, tak energicznie, że powinno się rozlec trzaśnięcie kręgosłupa. Natychmiast rozpoznaje Curtisa. Oczy robią się jej ogromne, jak to zwykle bywa z przestraszonymi kobietami, unosi jedną rękę, jakby chciała się osłonić przed pociskami, tak jak prawdziwa przestraszona kobieta, ale jednocześnie zdradza się uśmiechem, teraz równie niestosownym jak nagle zaintonowanie piosenki: drapieżnym uśmiechem węża, rozdziawiającego szeroko paszczę, by połknąć mysz, albo lamparta, który za chwilę skoczy na swoją ofiarę.

W tej chwili próby, kiedy albo się ma to coś, albo się go nie ma, Curtis odkrywa, że ma, i to bardzo dużo. Naciska spust, raz, dwa razy, omal nie traci równowagi, ale nie cofa się, słysząc krwiożerczy wrzask zabójcy, ani nawet nie stoi nieruchomo, lecz robi krok naprzód i strzela, znowu, znowu i znowu.

Obawa, że ta kobieta może być bliźniaczką martwej ofiary, znika w chwili, gdy pierwszy pocisk przebija jej pierś. Choć ludzka postać dobrze się sprawdza w wojnach tego świata, nie jest ona jednak idealna dla wojowniczych gatunków i zanim jeszcze pierwszy nabój opuścił lufę, zła żona zaczyna się przekształcać w coś, czego Curtis woli nie widzieć po zjedzeniu całej wielkiej torby serowego popcornu, popitego sokiem pomarańczowym.

W tej pierwszej chwili zabójca rzuca się na niego, ale jest jednak istotą śmiertelną, nie nadnaturalną i choć wściekłość ciska go prosto w szpony śmierci, spryt przewycięża nawet ślełą furię. Już w czasie skoku zaczepia stopą o róg kasy i odbija się w innym kierunku, w stronę wysokich półek z towarami. Z czterech następnych strzałów trzy trafiają w cel, wstrząsają wrzeszczącym zabójcą, który błyskawicznie wspina się po półkach, tak jak akrobata mógłby się wspinać wdzięcznie po drabinie. Z półek spadają paczki i pudełka, zabójca uruchomił prawdziwą lawinę, ale wymija wszystkie przeszkody, choć równocześnie dosięga go czwarty strzał, a piąty chybia.

W czasie tej szybkiej jak blask światła wspinaczki zabójca zmienia kształt, błyskawicznie testuje menażerię morderczych gatunków, jeży się szponami i dziobami, rogami, kolcami i kostnymi naroślami. Dłonie się zaciskają, czułki drżą, otwory gębowe się zaciskają, kleszcze tną jak nożyczki, inne niewykształcone do końca wyrostki pojawiają się i natychmiast giną w tłumie lśniących pancerzy, które roztopiają się w śmigające ogony, w kudłate furta, wygładzające się z kolei w łuski – chaos biologiczny, przy którym roztargnienie Curtisa w łazience bliźniaczek wydaje się zabawnym nietaktem. Zmieniająca się bestia, kucająca na szczycie regału pod jarzeniówką, mieszcząca wszystkie kształty, a zarazem żadnego, mogłaby być samą Bestią, którą Milton nazwał księciem „widocznej ciemności” w Piekło. A potem znika w następnym rzędzie.

Zabójca, choć śmiertelny, nie umrze tak szybko, jak by mu tego życzył Curtis. Wszelkie zło jest odporne, a w tym wypadku odporny jest nie tylko duch, lecz i ciało. Rany nie zagoją się w nim w cudowny sposób, ale mogą nie wystarczyć, żeby ostatecznie go uśmiercić.



Curtis niechętnie myśli o odwróceniu się plecami do okaleczonego, lecz nadal niebezpiecznego wroga, jednak Cass i Poiły znajdują się w pobliżu drugiego zabójcy i będą bezradne wobec jego okrucieństwa. W pistolecie zostało mu jeszcze najwyżej pięć pocisków, więc musi nadal odwracać uwagę morderców, by dać bliźniaczkom szansę ucieczki.

Gorączkowo, brnąc przez zwały towaru, który runął z półek na ziemię, zmierza do otwartych drzwi, modląc się, żeby jego piękne anioły miłosierdzia na szklanych obcasach, subtelne kwiaty Indiany, nie zapłaciły okrutną śmiercią za swoją dobroć.

Głodny pojazd ssał łączywie paliwo, a tym czasem Earl Bockman mamrotał jednostajnie o najróżniejszych gotowych daniach z makaronem, mrożonych i nie, które on i Maureen zamówili do sklepu. Mówił to nie tonem kupca usiłującego wyrwać z klienta parę dolców, lecz z entuzjazmem jakiegoś żalostnego nieudacznika, który sądzi, że można prowadzić pasjonującą rozmowę na każdy temat, może z wyjątkiem książki telefonicznej, choć pewnie doszedłby i do tego.

Gdyby Cass miała mordercze skłonności bądź była krewką aktywistką walczącą z zakłócaniem ciszy, mogłaby po prostu zastrzelić Earla i położyć kres swojej żalostnej sytuacji. Tymczasem musiała stać, obserwując zmieniające się cyferki w oknie starodawnej pompy i dziękując Bogu za tak wielką odporność na nudę, którą wykształciła w czasach dzieciństwa i dojrzewania na prowincji, w rodzinie zaprzyjaźnionej wyłącznie z profesorami akademickimi.

Strzelanina w sklepie natychmiast ożywiła atmosferę – nie przez sam fakt swego zaistnienia, lecz dzięki wpływowi, jaki wywarła na Earla. Cass nie zdziwiła się jego gwałtowną reakcją, lecz słowo „zdziwienie” nie wystarcza, by opisać jej dalszą reakcję na zmiany, które zaczęły zachodzić w jego twarzy po tych pierwszych czterech strzałach. Jeśli dziwnym zrzędzeniem losu Earl nie był niezsynchronizowanym z księżycem wilkołakiem, to nie był także królem gotowych dań z makaronem, lecz czymś, wobec czego Cass byłaby bezradna, gdyby nie jej trwająca od ośmiu lat fascynacja ufologią. Stała oparta o pojazd, z lewą ręką w obszernej torbie; na dźwięk pierwszego wystrzału wyprostowała się czujnie. Kiedy powietrzem wstrząsnął piąty wystrzał, którego echo odbiło się od karoserii samochodu, i kiedy Earl znudził się swoją starą mdłą osobowością i pokazał, jaki naprawdę z niego zwierzak, Cass była już gotowa do działania i natychmiast do niego przystąpiła.

Wyjęła rękę z torby, trzymając w niej dziewięciomilimetrowy pistolet, który przerzuciła natychmiast do prawej ręki. Otworzywszy ogień do Earla Bockmana, którego brzydota przerosła nawet uprzednie nudziarstwo, i jeszcze raz zanurzywszy lewą rękę w torbie, wyłowiła drugi identyczny pistolet i zaczęła strzelać również z niego, modląc się, żeby żaden pocisk nie trafił w pompę, nie uszkodził przewodu i nie zmienił jej w tańczącą żywą pochodnię, bardziej efektowną od wszystkich bajecznie ustrojonych postaci, które odgrywała na scenie w Vegas.

Polly wypadła z pojazdu, dzierżąc strzelbę w dłoni, usłyszała strzelaninę i natychmiast zorientowała się, iż nie do – chodzi ona z przeciwnej strony pojazdu, lecz z punktu położonego gdzieś dalej, być może ze sklepu.

Ze względu na trwające przez całe życie wspólne zainteresowanie bronią, zainspirowane postaciami Kastora i Polluksa, mitycznych greckich wojowników, na których cześć otrzymały imiona, a także ze względu na wspólne, nieco nowsze zainteresowanie sztukami walki i samoobroną, zainspirowane trzyletnim pobytom w wyższych sferach przemysłu filmowego, Poiły i Cass podróżowały odludnymi drogami Ameryki ze świadomością, iż potrafią sobie poradzić z każdym możliwym niebezpieczeństwem.

Poiły, okrążając pojazd, usłyszała następne strzały, tym razem znacznie bliżej. Rozpoznała charakterystyczny huk bliźniaczych pistoletów Cass, który tak często słyszała podczas treningu.

Zjawiała się na miejscu wypadków ze strzelbą gotową do strzału i przekonała się, że jej siostra walczy z jedynym niebezpieczeństwem samotnych dróg, którego nie wzięły po uwagę. Zły Obcy ze zwięzłego ostrzeżenia Starego Rudzielca wykluwał się z podartego i poszarpanego ubrania Earla Bockmana, chwiejąc się pod impetem dziewięciomilimetrowych pocisków, wijąc się i kwicząc z bólu oraz wściekłości, rzucając się na zwirowanym terenie pomiędzy pompami i stacją jak wyciągnięta z wody ryba.

– Jest mój – rzuciła Cass o twarzy upiornie bladej nawet w bursztynowo-czerwonym świetle lampek choinkowych, oczach wybałuszonych jak u osób z nadczynnością tarczycy i bardzo potarganych włosach.  
– Curtis jest chyba w środku – dodała i ruszyła w ślad za nieprzewidywalnym panem Bockmanem.

Poiły biegiem ruszyła w stronę budynku, niepokojąc się o Curtisa; po drodze rzuciła okiem na wątpliwego właściciela stacji i uznała, że bardziej się jej podobał, kiedy był wysoki, łysy i nudny. Teraz, gdy wił się, miotał w spazmach, syczał, młócił kończynami, kłapał zębami i wrzeszczał jeszcze głośniejsze, bo Cass znowu otworzyła do niego ogień, przypominał coś (a właściwie ohydłą splątana masę istot), do czego należałoby wezwać ekipę dezynsekcijną, zakładając, że znalazłoby się taką, która wyposaża pracowników w broń półautomatyczną oraz miotacze płomieni.

Psina dobrze wiedziała, o czym mówi. Curtis brnie pomiędzy rozrzuconymi puszkami owoców i warzyw, dociera do drzwi w samą porę, by zobaczyć, jak strzały z pistoletów rzucają drugiego zabójcę pomiędzy pompy. Cass – rozpoznawalna dzięki wielkiej torbie na ramieniu – idzie za nim z dwoma pistoletami, z których luf bluzgają płomienie. W Vegas nie mogłaby wyglądać bardziej efektownie, nawet gdyby była naga i z piórami na głowie. Chłopiec myśli tęsknie, że chciałby być świadkiem takiego występu – i od razu się rumieni, choć dowodzi to, że mimo niedawnych problemów z byciem Curtisem Hammondem, powoli i skutecznie staje się człowiekiem na głębokim poziomie emocjonalnym, co jest bardzo dobre.

A oto nadciąga Poiły ze strzelbą, nie mniej efektowna od siostry, choć również kompletnie ubrana. Dostrzega Curtisa w otwartych drzwiach i wykrzykuje jego imię z wyraźną ulgą.

Może jednak się przesłyszał i pomylił ulgę z bardziej gniewnym uczuciem, ponieważ Poiły podbiega, celując ze strzelby w jego głowę i krzycząc na niego. Oczywiście ma prawo się na niego złościć za to, że ściągnął na nią parę zabójców z innej planety, więc trudno się jej dziwić, jeśli zastrzeli go na miejscu, choć wolałby, żeby okazała mu więcej zrozumienia, i choć będzie mu naprawdę przykro stąd odejść. Potem dociera do niego, że Poiły krzyczy „padnij, padnij” i wreszcie słowo objawia mu swoje znaczenie. Pada płasko na ziemię, a ona natychmiast zaczyna strzelać w głąb sklepu. Strzelba wypala cztery razy i dopiero wtedy zła żona, którą ranił, przestaje wrzeszczeć za jego plecami.

Podnosi się na równe nogi i jest do tego stopnia zafascynowany widokiem Poiły, wyluskującej naboje spomiędzy piersi – a kobieta robi to z wdziękiem magika wyczarowującego żywe gołębie z jedwabnych szarf – że prawie zapomina zajrzeć do sklepu. Tuż za progiem leży coś, z czego opisaniem koroner będzie miał okropne trudności, obok przewróconego stojaka z chipsami, w złoto-pomarańczowej zadymce rozartych na proszek chrupek, powoli osiadającej słoną warstewką na truchle.

– Jest tu tego więcej? – pyta Poiły bez tchu, zdążywszy już naładować strzelbę.

– Bardzo dużo – odpowiada Curtis. – Ale nie tutaj, nie teraz... jeszcze nie.

Cass wreszcie zakończyła sprawę drugiego zabójcy. Staje obok siostry, nie widział jej dotąd tak zaniedbanej. – Bak jest już chyba pełny – mówi i patrzy dziwnie na Curtisa.

- Chyba tak – zgadza się on.
- Chyba powinniśmy stąd zmiatać – dodaje Poiły.
- Chyba tak – zgadza się Curtis, bo choć nie chce narażać ich na niebezpieczeństwo, to jeszcze bardziej nie ma ochoty na samotną pieszą podróż przez prerię. – I to bardzo szybko.
- Kiedy już ruszymy – zapowiada Cass – będziesz musiał nam wyjaśnić parę rzeczy.
- Wy mnie też – odpowiada Curtis, mając nadzieję, że nie powiedział tego jak bezczelny gagatek, skórkowaniec i mały wredny niewdzięczny bezczelny gnojek.

Kofeina plus cukier w dużych ilościach mają być podobno mordercze dla zdrowia w ogóle, a dla snu w szczególności, lecz cola i ciasteczka nie poprawiły humoru Micky i nie podniosły jej opadających powiek.

Micky siedziała przy kuchennym stole, układała pasjans za pasjansem i czekała na Leilani. Była pewna, że dziewczynka zdoła jakoś zajrzeć tu przed świtem, choć ojczym wiedział już, że się znają.

Natychmiast po jej przybyciu Micky zawiezie ją do Clarissy; chrzanić te papugi oraz ryzyko. Nie ma czasu na strategię, pora działać. A jeśli dom Clarissy okaże się dopiero pierwszym przystankiem w niepewnej i trudnej podróży, Micky była gotowa zapłacić każdą wymaganą cenę.

Kiedy wreszcie senność pokonała gniew, zmartwienie, kofeinę i cukier i gdy kark zaczął ją boleć od opierania głowy na stole, zaniósła do kuchni poduszki z sofy i położyła je na podłodze. Musiała znajdować się blisko drzwi, żeby natychmiast obudzić się na dźwięk pukania.

Wątpiła, żeby Maddoc wrócił, ale nie ośmieliła się zasnąć przy otwartych drzwiach, bo gdyby doktor Zagłada jednak złożył jej kolejną wizytę, z pewnością zjawiłby się ze strzykawką pełną digitoksyny lub jej odpowiednika i z mocnym postanowieniem wyświadczenia jej tej drobnej przysługi.

O wpół do trzeciej nad ranem wyciągnęła się na poduszkach z głową tuż przy drzwiach, mając nadzieję, że nie zaśnie – po czym natychmiast zasnęła. Sen zaczął się w szpitalu, gdzie leżała przykuta do łóżka, sparaliżowana, samotna i przerażona tą samotnością, ponieważ przewidywała, że wkrótce pojawi się Preston Maddoc, zrobi z nią, co zechce, kiedy ona będzie leżała całkowicie bezwładna, a potem ją zabije. Wołała pielęgniarki, które przechodziły korytarzem, ale były głuche i wszystkie miały twarz jej matki. Wołała do przechodzących obok lekarzy, którzy stawali w otwartych drzwiach, żeby na nią spojrzeć, ale tylko się uśmiechali i odchodzili; ci różnili się między sobą, lecz mieli twarze mężczyzn jej matki, którzy w dzieciństwie poznali ją w sposób, jakiego sobie nie życzyła. Jedyne dźwięki we śnie stanowiły jej krzyki, cichy klekot i żałobny, odległy gwizd przejeżdżającego pociągu. Potem, płynnie i niespodziewanie, jak to we śnie, znalazła się w pociągu, sparaliżowana, lecz w pozycji siedzącej, samotna w długim wagonie. Klekot kół stał się głośniejszy, przeciągły gwizd nie wydawał się już żałobny, brzmiał raczej jak jęk cierpienia, pociąg przyspieszył, kołysząc się na torach. Poprzez czerń nocy w czerń innego rodzaju, na pusty peron, gdzie wreszcie pojawił się Preston Maddoc z wózkiem inwalidzkim, na którym bezwolnie usiadła, a on się nią zajął. Miał na szyi naszyjnik z zębów Leilani i trzymał woalkę zrobioną z jasnych Włosew dziewczynki. Kiedy nałożył Micky woalkę loki Leilani zasłoniły jej uszy i oczy, i Micky przestała odbierać bodźce; stała się głucha, ślepa, niema i pozbawiona węchu. Czuła tylko ruch wózka, który podskakiwał na drobnych wybojach. Maddoc transportował ją w stronę jej przeznaczenia, a ona siedziała bezwolna, bezradna, pozbawiona nadziei.

Obudziła się w ten ciepły poranek zmrożona do szpiku kości powracającym snem. Wpadające przez okno światło, a potem zegar powiedziały jej, że świt nadszedł jakieś trzydzieści lub czterdzieści minut temu.

Śpiąc z głową przy drzwiach, usłyszałaby nawet najcichsze pukanie. Leilani nie przyszła.

Micky podniosła się z trzech poduszek, ułożyła je jedną na drugiej i odsunęła z drogi.

Wraz ze wschodem słońca nabrała odwagi, by otworzyć drzwi, choćby znalazła za nimi stu Maddoców. Przekroczyła próg i stanęła na betonowym ganku u szczytu trzech stopni.

Dom w sąsiedztwie był pogrążony w ciszy. Na podwórku nie płaszała żadna wariatka. Żaden statek kosmiczny nie wpadł z wizytą do Maddoca. Przeleciały trzy wrony, skrzydlaci robotnicy, dojeżdżający na

pierwszą zmianę do pracy w koronach figowców lub powykręcanych drzew oliwnych, lecz żadna nie rozwrzeszczała się na płocie, tak jak poprzednio.

Przy tym płocie kolczaste macki krzaka róży kłuły różową skórę poranka, a skąpe i chore liście kpiły z wysiłków Genevy. Lecz pomiędzy tymi znajomymi nagimi chaszczami pojawiły się trzy ogromne białe róże o płatkach zabarwionych brzoskwiniową barwą światła słonecznego, witały dzień powolnymi skinieniami ciężkich głów.

Micky zesłała po schodkach i zbliżyła się zdumiona.

Ten krzak od lat nie chciał kwitnąć. Wczoraj po południu na spletanym kłębie niesfornych kolców nie było witać nawet jednego pączka, a cóż dopiero trzy.

Po bliższych oględzinach okazało się, że te trzy wielkie róże pochodzą z innego ogrodu, niewątpliwie któregoś sąsiada. Każda została przywiązana zieloną wstążeczką do krzaka rodem z Małego Sklepiku z Horrorami.

Leilani.

Więc jednak zdołała się wykraść z domu, lecz nie zapukała, co znaczy, że porzuciła wszelką nadzieję i nie chciała narazić Micky i Genevy na gniew Maddoca.

Te trzy róże, każda idealnie piękna i wyraźnie dobrana z największą starannością, stanowiły coś więcej niż podarunek – były wiadomością. Mówiły: żegnajcie.

Gwałtownie, jakby ukłuta jednocześnie wszystkimi kolcami krzaka, Micky odwróciła się od wiadomości, której nie potrafiła zaakceptować, i spojrzała na sąsiednią przyczepę. Wyglądała na pustą.

Przemierzyła trawnik i stanęła przy zwalonym ogrodzeniu między działkami, nie zdając sobie sprawy, że w ogóle ruszyła z miejsca. Kiedy zorientowała się, że jest już przy kuchennych drzwiach sąsiedniej przyczepy, prawie biegła.

Zapukała głośno, gorączkowo, nie zawracając sobie głowy usprawiedliwieniem dla Maddoca czy Sinsemilli. Pukała zbyt długo i zbyt głośno, a kiedy zrobiła przerwę i zaczęła rozcierać obolałe kostki, cisza zawładnęła domem tak całkowicie, jakby nikt w ogóle jej nie zmacił.

Tak jak poprzednio, okna były zasłonięte. Rozejrzała się w nadziei, że zobaczy drgnienie fałd materiału, jakikolwiek dowód na to, że ktoś ją obserwuje. Znowu zapukała i znowu nie otrzymała odpowiedzi, więc nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyły się.

W kuchni Maddoców jeszcze nie nastał dzień, poranny blask z trudem przenikał przez grube zasłony. Mimo otwartych drzwi, przez które do środka chlusnęły strumienie słońca, w pomieszczeniu nadal zalegały cienie.

Zegar o podświetlanej tarczy, najjaśniejszy punkt tego pokoju, wydawał się unosić w nadprzyrodzony sposób w powietrzu, jakby był to zegar zagłady odliczający minuty, które pozostały do śmierci. W tej głębokiej ciszy słyhać było tylko pomruk cichego jak kot mechanizmu.

– Halo? – zawołała Micky. – Jest tu kto? Czy ktoś jest w domu? Halo!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, przekroczyła próg.

Teraz przyszło jej do głowy, że to może być pułapka. Nie sądziła, żeby Maddoc chciał ją zwabić do domu i zatłuc młotkiem, ale z całą pewnością wtargnęła na teren prywatny. Gdyby Maddoc zadzwonił na policję i ściągnął tu radiowóz, z łatwością mógłby ją zrobić we włamanie. Przy jej więziennej przeszłości wystarczy jakikolwiek zarzut.

Przestała udawać, że szuka kogoś innego i zaczęła wołać Leilani, coraz bardziej zdenerwowana przesuwając się w głąb domu. Zatłuszczone zasłony, wypaczone meble, wytarty do osnowy dywan chłonęły jej głos równie efektywnie, jak pluszowe kotary i powierzchnie domu pogrzebowego; krok za

krokiem coraz bardziej zagłębiała się w duszące objęcia klaustrofobii.

Z całej dostępnej oferty umeblowanych przyczep mieszkalnych ta stanowiła propozycję dla desperatów; wynajmowano ją na tygodnie ludziom, którzy na ogół wydawali piątkową wypłatę tuż po piątkowym wschodzie słońca. Meble, oprócz tego, że zdewastowane, były kompletnie pozbawione cech osobistych: brakowało maskotek, pamiątek czy rodzinnych fotografii, nawet jeden tani obrazek nie wisiał na ścianie.

W kuchni i salonie nie było niczego, co nie stanowiłoby umeblowania domu, żadnej wskazówki obecności Maddoców w rezydencji. Doktor Zagłada, zrodzony w bogactwie, wychowany wśród pięknych rzeczy, mógłby sobie pozwolić na apartament prezydencki w Ritzu-Carltonie, a tymczasem najwyraźniej wolał mieszkać w czymś takim. Fakt, iż wynajął tę przyczepę na tydzień, posługując się nazwiskiem Banks, dowodził, że nie tylko nie chciał się rzucać w oczy, lecz także – kiedy skończy z Leilani i jej matką – że chciał zostawić jak najmniej dowodów na to, że kiedykolwiek podróżował w ich towarzystwie.

Ta przygnębiająca spelunka i obojętność na wygodę żony, choć zadbanie o nią przyszłoby mu z łatwością, wskazywały, iż Preston Maddoc nie ożenił się z miłości bądź potrzeby posiadania własnej rodziny. Kierowała nim jakaś tajemnicza żądza i nawet barwne obserwacje i dziwaczne spekulacje Leilani nie rzuciły światła na jego motyw.

Zapuszczenie się w głąb pokojów wymagało więcej odwagi – a może bezdennej głupoty – niż otworzenie drzwi. Nocny mrok, który schronił się w tych czeluściach przed światłem dnia, czekał tu na zachód słońca, który znów odda świat w jego władanie. Micky włączyła po drodze wszystkie światła, lecz wydawało się, że w lampy wkręcono zbyt słabe żarówki i mrok nadal czał się po kątach.

W obskurnej łazience nie było szczoteczek do zębów, przyborów do golenia, ani jednej buteleczki z lekarstwem, niczego, co by wskazywało na obecność mieszkańców.

W mniejszej z dwóch sypialni szafa świeciła pustką, podobnie jak szalka nocna i komoda. Pościel leżała skłębiona.

Szafa w większej sypialni była otworzona, a na pręcie kołysały się tylko puste druciane wieszaki.

Na podłodze, widoczna już od progu, stała butelka cytrynowki. Pełna. Z nietkniętą banderolą.

Na jej widok Micky zaczęła dygotać, lecz nie z pragnienia.

Maddoc zobaczył różę Leilani i domyślił się, że kiedy Micky je odkryje, natychmiast tu przyjdzie. Zostawił dla niej otwarte drzwi.

Musiał się udać do całonocnego sklepu, żeby kupić ten alkoholowy upominek, pewien, że Micky dotrze do ostatniego pokoju i znajdzie to, co dla niej zostawił. Złośliwy drań przytwierdził fantazyjną kokardkę do szyjki butelki.

W ciągu jednej krótkiej rozmowy i po kilkuminutowej rewizji w pokoju Maddoc zdążył rozpoznać jej charakter w zastraszająco trafny sposób.

Rozmyślanie nad tą nadnaturalną przenikliwością doprowadziło Micky do wniosku, że Maddoc jest Goliatem, który nie boi się procy. Dygot, jaki ogarnął ją na widok butelki, przybrał na mocy, gdy pomyślała o Leilani uwięzionej w jednym samochodzie z tym człowiekiem, w samochodzie coraz szybciej oddalającym się od sprawiedliwości, coraz dalej od wszelkiej nadziei, ku śmierci, którą można nazwać uzdrowieniem, ku nieoznakowanemu grobowi, w którym małe ciało wkrótce ulegnie rozkładowi, nawet jeśli dusza poszybuje do gwiazd.

Zostawiając tę butelkę, Maddoc dał znak, że się jej nie obawia, że według niego jest słaba, niezaradna, całkowicie przewidywalna. Objąwszy funkcję jej doradcy do spraw samobójstwa, sądził, że

wystarczy jedynie ta prosta wskazówka, by wysłać ją na tamten świat za pomocą gorzały.

Wysłała z domu, nie tknąwszy butelki.

Na dworze zbyt jaskrawy poranek poraził jej oczy, ostry jak ból; wszystko w tym sierpniowym dniu wydawało się twarde, kruche, podatne na stłuczenie, wszystko, od porcelanowego nieba po ziemię pod jej stopami, będącą zbiornikiem na sejsmiczne dreszcze, tak samo jak butelka jest zbiornikiem na wódkę. Z czasem wszystko to przeminie: niebo, ziemia i ludzie uwięzieni pomiędzy nimi. Nie bała się zanadto śmierci, do której została urodzona, lecz zaczęła się bać jak jeszcze nigdy dotąd, że zjawi się na rendez-vous z nią, nie wypełniwszy misji, z jaką została tu wysłana, z jaką, jak teraz zdała sobie sprawę, zostali wysłani wszyscy ludzie – wnoszenie nadziei, błogosławieństwa i miłości do życia innych.

To, czego nie nauczyło jej dwadzieścia osiem lat życia, czego uparcie nie chciała się nauczyć po najboleśniejszych ciosach, nagle wniknęło do jej świadomości po niespełna trzech dniach dzięki jednej kalekiej dziewczynce, która dała jej tylko dwie wskazówki: swoją wielką radość z istnienia, nieugaszoną radość, i niewzruszoną wiarę, że jej małe, zagrożone życie, choć chaotyczne, ma jakieś znaczenie i miejsce w porządku świata. Lekcja, której udzielił Micky niebezpieczny młody mutant, choć prosta i zwyczajna, wstrząsnęła nią do głębi na tym wyschniętym zbrązowiałym trawniku, na którym Sinsemilla tańczyła przy księżycu: nikt z nas nie może się ocalić, wszyscy jesteśmy stworzeni, by ratować innych i tylko nadzieja, którą dajemy, może nas wydzwignąć z mroku w światło.

Ciocia Gen stała na podwórku w piżamie i kapciach. Znalazła pożegnalne róże.

Micky rzuciła się do niej.

Geneva rozwiązywała zieloną wstążeczkę, starała się uwolnić jeden biały kwiat, kalecząc się nieustannie o kolce. Jej ręce znaczyły krwawe kropelki. Ale ona nie zwracała uwagi na rany, a mokry ślad na jej twarzy nie miał nic wspólnego z cierniami, lecz z ostatnią wiadomością, którą ona także zdołała odczytać.

Spojrzały sobie w oczy i natychmiast musiały popatrzeć gdzie indziej, ciocia Gen na idealną różę, Micky na przewrócone ogrodzenie między działkami, potem na porzuconą wstążkę, zieleń na zieleni trawy, wreszcie na własne dłonie.

Zdolność mowy wróciła jej szybciej, niż się spodziewała.

– Jak się nazywało to miasto?

– Jakie miasto?

– W Idaho. Tam gdzie Obcy uleczyli tego faceta.

– Nun's Lake – odparła ciocia Gen bez śladu wahania. – Leilani powiedziała, że to Nun's Lake w Idaho.

Tancerki hula, tancerki hula, rozkołysane biodra, rozkołysane spódniczki z poliestrowej trawy. Nieustannie uśmiechnięte, z błyszczącymi czarnymi oczami, rękami wyciągniętymi w wiecznym powitaniu, będą tańczyć, dopóki nie zetrą na pył stawów biodrowych; ale ich kości udowe i panewki były nie z kości, lecz z wyjątkowo wytrzymałego plastiku.

Słowo „panewka”, a raczej „acetabulum”, jego łacińska nazwa, zadziało na wyobraźnię Leilani nie tylko ze względu na jego magiczne brzmienie, lecz także dlatego, że nie było tym, czym się wydawało. Można by się spodziewać, że jest to coś, czego stara Sinsemilla używa do palenia, łykania w postaci pigułek, wstrzykiwania sobie w żyły wielkimi weterynaryjnymi strzykawkami, zapiekania w ciasteczkach i pożerania tuzinami lub wprowadzania do organizmu bardziej egzotycznymi sposobami i drogami, o których lepiej nie wspominać. Panewka to okrągłe zagłębienie, w którym mieści się staw łączący kość udową z miednicą. Leilani nie miała zamiaru zostać lekarzem, więc ta informacja była dla niej w zasadzie nieistotna, jednak w jej głowie od dawna zaczęły zalegać złogi bezużytecznych wiadomości, które miały posłużyć jako rozrywka i odwrócić uwagę od innych spraw, bardziej przygnębiających i strasznych.

Stół, przy którym siedziała, czytając broszurowe wydanie powieści fantasy, stanowił parkiet taneczny dla trzech plastikowych tancerek hula, mających od ośmiu do dwunastu centymetrów wysokości. Były ubrane w podobne spódniczki, lecz ich topy miały odmienne kolory i fasony. Dwie miały piersi raczej skromnych rozmiarów, lecz trzecia była małą cycatą *wahine*, której proporcje Leilani miała nadzieję osiągnąć drogą pozytywnego myślenia, kiedy tylko ukończy szesnaście lat. Wszystkie tancerki były skonstruowane i wyważone tak, że nawet najdelikatniejsze wibracje pojazdu wprawiały je w ruch.

Na małym stoliku pomiędzy parą foteli tańczyły jeszcze dwie tancerki, kolejne trzy podrygiwały na stole koło rozkładanej sofy. Na kontuarze w kuchni tańczyło dziesięć innych figurynek. Inne dawały występ w łazience i sypialni.

Prosty system przeciwwagi wprawiał w ruch większość tancerek, lecz inne działały na baterie, żeby święto hula-hula trwało nawet wtedy, gdy samochód zatrzymywał się na stacji benzynowej, lub w nocy, gdy robili przerwę. Sinsemilla wierzyła, że wiecznie podrygujące laleczki produkują dobroczynne fale elektromagnetyczne, a te fale zapobiegają wypadkom, awariom oraz wessaniu w inny wymiar w autostradowym trójkącie bermudzki. Specjalnie dopilnowała, żeby w każdym pokoju zawsze kołysały się co najmniej dwie tancerki.

Leilani zapadała czasem w sen na rozkładanej sofie w salonie, ukołysana rytmicznym ruchem maleńkich wirujących spódniczek. Ale równie często musiała zasłaniać uszy poduszką i powstrzymywać pokusę, by wsadzić tancerczki do garnka, postawić je na kuchence i ugotować, zgodnie ze scenariuszem, który już ułożyła w głowie i zatytułowała „Niebezpieczny młody mutant będący jednocześnie hawajską boginią wulkanu”.

Przy tych nieczęstych okazjach, gdy irytował ją uporczywy szmer hawajskich spódniczek, do snu kołysała ją namalowana na suficie twarz, mająca jakieś dwa i pół metra średnicy. Życzliwe oblicze hawajskiego boga słońca, słabo fosforyzujące w ciemnościach, spoglądało na nią w dół sennie, z uśmiechem.

Ich dom mieszkalny, umeblowany z uwzględnieniem motywów hawajskich, był luksusową przeróbką autobusu. Stara Sinsemilla ochrzciła go imieniem Makani ‘olu’olu – co jest hawajską nazwą wietrzyka i stanowi nie mniej stosowną nazwę dla dwudziestopięcioletniego pojazdu niż imię „Puszek” dla słońca. Na każdym kempingu był największym pojazdem, tak wielkim, że dzieci otwierały na jego widok buzie.



Emerytowani podróżnicy w pewnym wieku, i tak wiecznie martwiący się o możliwość swobodnego wyjazdu i dostania się do swoich domostw, na widok tego wieloryba błedli jak mleczko wapienne, jeśli mieli niefart zaparkować swoje skromne przyczepki w cieniu bestii. Przeważnie odnosili się do tego lewiatana z nienawiścią lub paranooidalnym przerażeniem.

Za to w drodze był bardzo wygodny, stabilny i solidny jak kasa pancerna na kółkach. Tancerki hula miarowo kołysały biodrami, powoli i łagodnie, bez spazmatycznych podrygów. I nawet podczas jazdy można było w nim czytać powieść o złych świnioludach z innego wymiaru, nie ryzykując choroby lokomocyjnej.

Była tak przyzwyczajona do laleczek, że nie rozpraszały jej uwagi, podobnie jak kolorowa tapicerka krzeseł w hawajskie wzory. Za to stara Sinsemilla i doktor Zagłada, zajmujący miejsce kierowcy i pasażera, wciąż rozpraszały jej uwagę.

Coś knuli. Oczywiście w przypadku tej pary knucie stanowiło stan naturalny, tak jak produkcja miodu u pszczół i budowanie tam u bobrów.

Rozmawiali konspiracyjnie ściszonymi głosami. Ponieważ jedyną osobą na pokładzie Wietrzyka była oprócz nich Leilani, należało przyjąć, iż rozmawiają o niej. I raczej nie planują prostej zabawy w rodzaju „Gdzie jest klamra?” czy czegoś podobnego. Takie podłe rozrywki stanowiły zawsze element improwizowany, zależnie od nadarzającej się okazji i chemikaliów, które ostatnio przyswoiła droga mater. Poza tym drobne świństwka nie miały uroku dla doktora Zagłady, podniecającego się jedynie okrucieństwem na skalę przemysłową.

Sinsemilla spoglądała czasem dyskretnie na Leilani bądź zerknęła na nią ponad oparciem fotela. Leilani udawała, że tego nie widzi. Matka mogłaby uznać nawet najbardziej przelotny kontakt wzrokowy za zaproszenie do sadystycznej zabawy.

Najbardziej denerwował ją ten chichot. Sinsemilla w ogóle miała skłonność do chichotów i w siedemdziesięciu-osiemdziesięciu procentach przypadków oznaczało to tylko tyle, że ma szampański humor i chce się zabawić, lecz czasem jej chichot pełnił tę samą funkcję co grzechot grzechotnika – ostrzegał przed atakiem. Co gorsza, podczas tej długiej rozmowy pełnej szeptów i pomruków nawet doktor Zagłada zachichotał parę razy, a jego chichot nasuwał na myśl mrozące krew w żyłach rozradowanie Charlesa Mansona.

Pędzili na wschód międzystanową autostradą 15 w stronę granicy Nevady. Byli na samym środku rozprażonej pustyni Mojave, gdy Sinsemilla opuściła swoje miejsce i usiadła przy Leilani.

- Co czytasz, mała?
- Fantasy – odparła Leilani, nie podnosząc oczu znad książki.
- O czym?
- O złych świnioludach.
- Świnki nie są złe – sprostowała Sinsemilla. – Świnki to dobre, łagodne stworzonka.
- Ale to nie są takie normalne świny. Te są z innego wymiaru.
- To ludzie są źli, nie świnki.
- Nie wszyscy – wystąpiła Leilani w obronie swojego gatunku, wreszcie odrywając wzrok od książki.
- Matka Teresa nie była zła.
- Była – uparła się Sinsemilla.
- Haley Joel Osment nie jest zły. Jest kochany.
- Ten mały aktor? Jest zły. Wszyscy jesteśmy źli, mała. Jesteśmy rakiem tej planety – wyjaśniła Sinsemilla z uśmiechem, który był zapewne ubocznym skutkiem przepuszczenia przez mózg tyłu voltów,

że na czole można by usmażyć bekon.

– Ale to są świnioludy. Nie świnię.

– Leilani, mała, zaufaj mi. Jeśli skrzyżujesz świnkę z człowiekiem, naturalna dobroć świnki zwycięży zło człowieka. Świnioludy nie byłyby złe, tylko właśnie dobre.

– A te tutaj to kompletne łobuzy – powiedziała Leilani, zastanawiając się, czy ktoś jeszcze w historii świata prowadził takie filozoficzne dyskusje, jak ona z matką. O ile jej było wiadomo, Platon i Sokrates nigdy nie zastanawiali się nad moralnością i motywami działania świnioludów z innych wymiarów. – Te tutaj – oznajmiła, stukając palcem w książkę – wypatroszyłyby cię kłami od razu, jakby cię zobaczyły.

– Kłami? To pewnie dziki, nie świnki.

– Świnię – zapewniła ją Leilani. – Kompletne. Złe, podłe, ordynarne, niezdolne i brudne.

– Dzikoludy – zaczęła Sinsemilla z miną, którą ludzie na ogół rezerwują na okazję pogrzebów – także nie byłyby złe. Świnkoludy i dzikoludy byłyby dobre. Tak jak małpoludy, kurołudy, psoludy i wszystkie inne mieszańce zwierzęco-ludzkie.

Leilani pożałowała, że nie może przynieść dziennika i zapisywać tej rozmowy na bieżąco. Matka domyśliłaby się wtedy jego prawdziwej natury.

– W tej książce nie ma kurołudów, mamó. To jest literatura.

– Jesteś bardzo mądra i powinnaś przeczytać coś naprawdę pouczającego, nie książeczki o świnkoludach. Może już pora, żebyś przeczytała Brautigana.

– Już czytałam.

Sinsemilla zrobiła zdziwioną minę.

– Naprawdę? Kiedy?

– Zanim się urodziłam. Wtedy także go ciągle czytałaś, raz za razem, a ja go sobie przyswoiłam poprzez łóżysko.

Sinsemilla przyjęła to z pełną powagą i absolutnym zachwytem. Rozpromieniła się.

– Super. Ale super! – Potem wraz z chytrą miną na jej twarzy pojawiły się wszystkie lisie cechy, jakby Sinsemilla miała się zacząć zmieniać pod wpływem księżyca. Pochyliła się nad stolikiem i szepnęła: – Zdradzić ci sekret?

Pytanie to postawiło Leilani w stan gotowości bojowej. Rewelacja, która teraz padnie, z pewnością wyjaśni, o czym jej matka i pseudoojciec szeptali przez całą drogę z Santa Ana do San Bernardino, spalone słońcem Barstow, Baker i jeszcze dalej. To, co ich tak uszczęśliwiło, nie może być dla niej dobrą wieścią.

– Właśnie robię małą świnkę – szepnęła Sinsemilla.

Na jakimś poziomie Leilani natychmiast pojęła, o czym mówi jej matka, ale umysł odrzucił tę myśl.

Sinsemilla spojrzała na nieruchomą twarz córki, dała sobie spokój z szeptami i powiedziała dobitnie, jakby Leilani była ocieżała umysłowo:

– Właśnie... robię... małą świnkę!

Leilani nie zdołała usunąć z głosu tonu obrzydzenia.

– Boże.

– Tym razem wszystko będzie jak należy – obiecała jej Sinsemilla.

– Jesteś w ciąży.

– Dwa dni temu zrobiłam test. To dlatego kupiłam sobie wężusia, moje wężowate kochanie. – Wskazała lewą rękę, owiniętą szerokim bandażem. – To był prezent dla mnie ode mnie za to, że zaszłam.

Leilani zrozumiała, że właściwie już nie żyje, jeszcze oddycha, ale już nie żyje, a to stanie się nie

w lutym, lecz dużo wcześniej. Nie wiedziała dlaczego, dlaczego ciąża matki oznacza dla niej rychłą egzekucję, ale nie miała wątpliwości, że powinna słuchać podszeptu instynktu.

– Kiedy tak głupiutko potraktowałeś biednego wężusia – ciągnęła Sinsemilla – pomyślałam, że ściągnęłaś na mnie pecha. Zabijając wężusia, mogłaś na mnie rzucić urok, a to by zaszkodziło ciąży. Ale wczoraj znowu sprawdziłam i – poklepała się po brzuchu – świniątko ciągle siedzi w chlewiku.

Do ust Leilani napłynęło dużo śliny, ponieważ ścisnął się jej żołądek. Przełknęła ją przez zaciśnięte gardło.

– Twój tatuś, Preston, chciał tego dziecka już od dawna, ale wtedy nie byłam gotowa. Dopiero teraz.

Leilani spojrzała na fotel kierowcy, na Prestona Maddoca.

– Widzisz, mała, potrzebowałam czasu, żeby się zastanowić, dlaczego ty i Luki nigdy nie mieliście mocy, choć dałam wam cały magiczny autobus, wyładowany doskonałymi halucynogenami, podałam je wam we krwi, kiedy jeszcze siedzieliście w brzuszku mamusi.

Opuszczany ekran przeciwsłoneczny był wyposażony w lusterko do poprawiania makijażu. Nawet z odległości pięciu metrów Leilani widziała w nim oczy Maddoca, nieustannie zerkające na nią i Sinsemillę.

– A potem nagle mnie oświeciło: muszę być blisko natury! Oczywiście brałam kaktusa, peyotl, rozumiesz, i także psylocybinę z grzybków, ale także DMT i mnóstwo LSD, a to gównem jest syntetyczne, Lani, jest dziełem człowieka.

W zdeformowanej dłoni Leilani zapulsował ból. Uprzytomniła sobie, że w obu rękach ścisnęła książkę.

– Moc psychiczna pochodzi od Gai, rozumiesz, od samej Ziemi, ona jest żywa i jeśli się z nią zsynchronizujesz, mała, da ci prezent.

Leilani złamała grzbiet książki, nie zdając sobie z tego sprawy, zmięła okładkę i parę kartek. Odłożyła książkę i ujęła obolałą dłoń w drugą.

– Ale, mała, jak można się z nią zsynchronizować, kiedy oddziałują na ciebie dobroczynne halucynogeny, jak kaktus, a jednocześnie atakują cię chemiczne świństwa jak LSD? Tu właśnie popełniłam błąd. Maddoc chciał zrobić dziecko Sinsemilli, doskonale zdając sobie sprawę, że przez całą ciążę będzie bez opamiętania przyjmował środki halucynogenne, wskutek czego najprawdopodobniej urodzi następne dziecko z poważnymi wadami wrodzonymi.

– Tak, to syntetyczne świństwo mnie zgubiło. Ale przeżyłam oświecenie. Tym razem nie będę używać niczego oprócz trawki, peyotlu, psylocybiny – wszystko to zdrowe, naturalne. I tym razem urodzę sobie cudowne dziecko.

Doktor Zagłada nie przepadał za sentymentalizmem. Nigdy nie rozrzewniał się na ślubach ani smutnych filmach. Trudno było sobie wyobrazić, żeby mógł się bawić z dziećmi, czytać im bajki, rozmawiać. Skoro chciał mieć z kimś dziecko, a już zwłaszcza z taką kobietą, było w tym coś dziwnego. Jego motywy pozostawały równie tajemnicze jak oczy, raz za razem zerkające w lusterko.

Sinsemilla przysunęła do siebie zniszczoną książkę i zaczęła wyglądać pomięte kartki, nie przestając mówić:

– Więc jeśli Gaja będzie łaskawa, zrobimy sobie jeszcze niejedno czarodziejskie dziecko. Dwoje, troje, może cały miot. – Uśmiechnęła się łobuzersko i mrugnęła. – Może zwinę się na kocyku w kącie, jak prawdziwa suka, z moimi małymi szczeniaczkami, których maleńkie głodne buzie będą walczyły o tylko dwa sutki.

Przez całe swoje życie Leilani żyła w zimnych nurtach tego dziwnego, głębokiego morza zwanego Sinsemilla, walczyła z nimi, by nie utonąć, wypływała z codziennych sztormów i mielizn, jak rozbitek

trzymający się resztek pokładu, świadomy, że pod powierzchnią krążą ciemne, złowrogie kształty. Od dziewięciu lat, o ile sobie przypominała, starała się przeciwstawiać każdej niespodziance i każdemu wijącemu się potworowi, który wypływał z tych głębin. Choć nie straciła szacunku dla morderczej siły żywiołu zwanego Sinsemilla, choć pozostała czujna i zawsze gotowa na nadejście huraganu, zdolność do walki stopniowo uwolniła ją od większości lęków, które przeżywała w dzieciństwie. Kiedy jedynym stałym punktem twojego życia jest dziwaczność, traci ona swoją moc, a kiedy prawie od dziesięciu lat brodzi się w dziwaczności jak w wodzie, zyskuje się pewność siebie konieczną, by stawić czoło temu, co niespodziewane, a nawet nieznanne.

Po raz drugi od wielu lat i po raz pierwszy od czasu, gdy Preston odjechał wraz z Lukipelą w góry Montany, Leilani poczuła paralizujący strach, którego nie potrafiła z siebie strząsnąć, nie przelotny, taki jak wtedy przy zmił, lecz koszmarnie przerażenie, które wieloma dłońmi chwyciło ją za gardło, serce, żołądek. To nowe dziwactwo, ten irracjonalny i chory plan produkcji czarodziejskich dzieci wstrząsnął w posiadach pewnością Leilani, że potrafi zrozumieć swoją matkę, przewidzieć jej szaleństwa i stawić im czoło tak, jak do tej pory.

– Miot? – spytała – Szczeniaczki? O czym ty mówisz? Sinsemilla nadal wygładzała pomięte kartki książki. Nie odrywała od nich wzroku.

– Brałam leki na płodność. Nie są mi potrzebne tylko po to, żeby zrobić jedno tłuste prosiątko. – Uśmiechnęła się. – Jestem płodna jak króliczka. Ale czasami, jeśli się bierze leki na płodność, to do koszyczka wpada od razu wiele jajeczek, wiesz, ma się bliźniaki, trojaczki albo jeszcze więcej. Więc jeśli zharmonizuję się z matką Ziemią dzięki peyotlowi, czarodziejskim grzybkom i wszystkim zdrowym substancjom, może zdołam przekonać starą Gaje, by pomogła mi wysiedzieć od razu trzy lub cztery czarodziejskie dzieci, całe gniazdko różowych wiercących się superdzieci!

Leilani od dawna знаła prawdziwą naturę tej kobiety, jednak nigdy nie potrafiła dodać do jej opisu jednego słowa. Oszukiwała samą siebie, nazywała matkę słabą egoistką, usprawiedliwiała ją jako narkomankę, uciekała się do wymijających określeń w rodzaju „pokręcona”, „chora”, nawet „szalona”. Sinsemilla z całą pewnością zasługiwała na nie wszystkie, lecz była jeszcze czymś gorszym, czymś o wiele mniej godnym litości niż zwykła narkomanka czy pokręcona kobieta. Istniało jeszcze jedno słowo, które opisywało lepiej od innych tę piękność o krystalicznie błękitnych oczach anioła, patrzących na innych ludzi tak, jakby nie miały się czego wstydzić, piękność potrafiącą się uśmiechać tak ciepło, że mogłaby zafascynować najbardziej zgorzkniałego cynika – i tym słowem było „zła”.

Z wielu przyczyn aż do tej chwili Leilani nie potrafiła przyznać, że jej matka jest nie tylko zagubiona, lecz także nikczemna, podła i przeżarta zgnilizną do szpiku kości. Przez tyle lat pragnęła dla Sinsemilli odkupienia, marzyła o dniu, w którym wreszcie staną się normalną matką i córką – mutantem, ale prawdziwego zła, tej czystej lodowatej potworności, nie da się odkupić. A jeśli się uzna, że jest się dzieckiem zła, co można pomyśleć o sobie, o własnej mrocznej stronie, o tym, że kiedyś będzie się wieść przyzwoite, dobre, pożyteczne życie? Co ma się wtedy myśleć?

Tak jak po stracie Lukiego, znowu znalazła się w kleszczach strachu i bólu. Drżała, ponieważ wreszcie poznała nić, na której wisiało jej życie, lecz także z wysiłku, by powstrzymać łzy. Właśnie w tej chwili, tu i teraz, straciła nadzieję, że pewnego dnia jej matka stanie się normalna i przytomna, że z czasem okaże jej matczyną miłość. Czuła się jak idiotka, ponieważ tak długo hołubiła to naiwne, nieziszczalne marzenie. W ułamku chwili samotność przeżarła jej serce na wylot, zostawiając w nim wielką ziejącą dziurę. Trzęsła się nie tylko ze strachu, ale także z poczucia, że została zupełnie sama. Porzucona, opuszczona, zapomniana.

Z niechęcią usłyszała drżenie swego głosu, zdradzające jej słabość.

– Dlaczego? Dlaczego chcesz mieć dzieci, dlaczego? Bo on chce?

Matka podniosła wzrok znad książki, przysunęła ją do Leilani i powtórzyła niekończącą się mantrę, którą skomponowała jako wyraz zadowolenia z siebie.

– Jestem chytrym kotem, jestem letnim wiatrem, jestem ptakiem w locie, jestem słońcem, jestem morzem, jestem sobą!

– Co to w ogóle znaczy?

– To znaczy: tylko twoja mamusia jest super na tyle, żeby zrodzić nową rasę ludzi, połączonych z Gają psychiczną więzią! Będę matką przyszłości, Lani, nową Ewą.

Naprawdę wierzyła w te nonsensy. Wiara rozświetlała jej twarz cudownym blaskiem, skrzyła się w oczach.

Maddoc jednak na pewno nie zawraca sobie nimi głowy, bo doktor Zagłada nie jest kretyńcem. Tak, jest zły, zasłużył sobie na przywilej posiadania ręczników z wyhaftowanym słowem „ZŁY”, a miłością własną dorównuje Sinsemilli. Ale nie jest głupi. Nie wierzy, że płody pławiące się w halucynogennej kąpieli staną się pierwszymi nadludźmi. Chciał mieć te dzieci z własnych powodów, z jakiejś nieodgadnionej przyczyny, która nie miała nic wspólnego z byciem nowym Adamem czy tęsknotą za ojcostwem.

– Czarodziejskie dzieci pod koniec kwietnia, na początku maja – oświadczyła Sinsemilla. – Zaszłam prawie miesiąc temu. Już jestem szczena, jestem pełna czarodziejskich dzieci, które zmienią świat. Czas nadchodzi, ale najpierw pora na ciebie. – Na mnie?

– Pora cię uleczyć, ty głuptasie – wyjaśniła Sinsemilla, wstając. – Żebyś była zdrowa, normalna, ładna. Tylko dlatego od czterech lat wałęsamy się po całym kraju, przez te wszystkie gówniane miasteczka.

– Uleczyć mnie, aha, jak Lukiego.

Sinsemilla nie wychwyciła sarkazmu w głosie córki. Uśmiechnęła się i przytaknęła, jakby myślała, że już na następnym postoju Luki w nowej postaci zstąpi do nich ze statku kosmicznego.

– Tatusz mówi, że to się stanie już wkrótce. Ma przecucie, że w Idaho spotkamy jakiegoś Obcego, który zechce cię uleczyć. To właściwie więcej niż przecucie, a mniej niż wizja, tak powiedział. Bardzo silne przeświadczenie, że wkrótce nastąpi twoje uzdrowienie.

Szczena suka podeszła do lodówki i wyjęła piwo, żeby popić nim peyotl, grzybki czy co tam przewidziała na tę porę dnia. W drodze na fotel koło kierowcy zmierzwiła włosy Leilani.

– Wkrótce zmienisz się, mała, z dyni w księżniczkę. Znowu pomieszała bajki. Dynia zmieniła się w powóz Kopciuszka. Mater miała na myśli bajkę o żabie, która zmieniła się w księcia, nie księżniczkę.

Hula-hula, rozkołysane spódniczki.

Bóg słońca na suficie.

Chichocząca Sinsemilla na fotelu koło kierowcy.

Lusterko. Rozbiegane oczy Prestona.

Za panoramiczną przednią szybą płonęła ogromną pustynia, słońce zdawało się zbierać w kałużach roztopionego metalu na piaszczystych równinach.

W Nun's Lakę w Idaho jakiś mężczyzna miał podobno kontakt z pozaziemskimi uzdrowicielami.

W lasach Montany Lukipela czekał na swoją siostrę. Nie jest już jej bratem, lecz wylęgarnią robali, odszedł nie w gwiazdy, lecz do nieba.

Kiedy i ona znajdzie się sama z Prestonem w najgłębszym lesie, tak jak kiedyś znalazł się z nim Luki,

z dala od sprawiedliwości i ludzkich oczu, czy zabije ją w cywilizowany sposób? Czy przyciśnie do twarzy gałgan nasączony chloroformem, żeby jak najszybciej ją uśpić, a potem zakończyć sprawę śmiertelnościami zastrzykiem, oszczędzając jej w ten sposób przerażenia? Czy też w pustej świątyni wiecznej ziele – ni, gdzie nie dociera słońce cywilizacji, stanie się kimś innym, bardziej bestią niż człowiekiem, czy przyzna, że czerpie rozkosz nie z dostarczania łaski, jak to nazywał, lecz z samego mordowania?

Odczytała odpowiedź w tych drapieżnych oczach, które wciąż obserwowały ją w lusterku. Ciche zgony przy wykorzystaniu tych łagodnych rytuałów, skomplikowanych jak ceremonia parzenia herbaty – jak w przypadku zbierającej pingwiny Tetsy – nie zaspokajały w pełni jego pragnienia wyrządzenia zła, za to w pustym lesie będzie mógł wreszcie zrealizować wszystkie swoje marzenia. Leilani zrozumiała, że jeśli znajdzie się sama ze swoim pseudoojcem w jakimś odludnym miejscu, będzie umierać tak jak Lukipela – boleśnie, strasznie i długo.

Preston Maddoc ożenił się z Sinserrtillą częściowo ze względu na jej narkotyczne transy, kiedy wydawała się martwa, bo śmierć podniecała go tak, jak uroda podnieca innych mężczyzn. Co więcej, miała dwoje dzieci, które zgodnie z jego filozofią powinny umrzeć, a on mógł im w tym pomóc. Więc czy pragnienie spłodzenia nowych dzieci naprawdę było tak tajemnicze? Preston lubił powtarzać, że śmierć nigdy nie jest tragedią, lecz naturalnym wydarzeniem, ponieważ wcześniej czy później wszyscy musimy umrzeć. Czy z jego punktu widzenia istnieje jakaś wyraźna różnica między dzieckiem, które wcześniej czy później musi umrzeć, a takim, które musi umrzeć na jego życzenie?

Gdzie indziej kalifornijski blichtr może jeszcze zachować lśniąca pozłotę, lecz tu od dawna łuszczył się i obłaził z farby. Niegdyś ta ulica znajdowała się w dobrej dzielnicy. Bungalowy z epoki wielkiego kryzysu, piętrowe hiszpańskie domy – nigdy zbyt okazałe, lecz nigdy pełne wdzięku i dobrze utrzymane – teraz błagały o odmalowanie, załatanie tynków, remont połamanych schodków. Niektóre zburzono, a na ich miejscu zbudowano budki z fast foodami i sklepy. Najlepsze lata tych przybytków także już minęły; już nie widziało się w telewizji reklam tutejszych tuczających smakołyków, niechlujne salony piękności same potrzebowały mocnego makijażu, a sklepy oferowały głównie starzyznę. Micky zaparkowała przy krawężniku i wyszła, zamykając samochód. Na ogół nie martwiła się o los swego prehistorycznego camaro, ale wygląd okolicy sugerował, że tutaj będzie on smakowitym kąskiem.

W lewym oknie koło frontowych drzwi wąskiego domu migotał niebieski neon „Czytanie z dłoni”, w prawym lśnił pomarańczowy neonowy kontur ręki, wyraźny nawet w słoneczny poranek. Spękany i wyboisty chodnik prowadził do niebieskich drzwi ozdobionych mistycznym okiem, lecz po drodze wypuszczał z siebie odnogę wiodącą do zewnętrznych schodów, najprawdopodobniej dobudowanych znacznie później. Na południowej ścianie budowli znajdował się dyskretny szyld powiadamiający o biurze detektywa.

Dom stał wśród ogromnych palm; jedna ocieniała schody swoją ogromną zieloną koroną. Nikt chyba nie przycinał jej od lat, bo wokół pnia miała sześciometrowy pierścień suchych liści, stwarzających zagrożenie pożarowe i będących idealnym schronieniem dla koszątek.

Micky, wspinając się ku zadaszonemu podestowi, usłyszała szelest suchych brązowych liści, poruszonych przez zabiegane gryzonie, pędzące jakby jej śladem.

Nikt nie odpowiedział na dzwonek, więc zapukała. Kiedy i pukanie zostało zignorowane, jeszcze raz uwiesiła się na dzwonku.

Mężczyzna, który wreszcie zareagował na jej uporczywe wezwania, był duży, przystojny w pewien surowy sposób, z melancholijnymi oczami. Miał na sobie drelichowe spodnie, koszulę hawajską i podarte trampki. I nie ogolił się tego ranka.

– Pani – powiedział bez wstępów – potrzebuje pomocy, ale ja już się tym nie zajmuję.

– A może jestem z Okręgowego Urzędu Kontroli i chcę z panem porozmawiać w sprawie tej fermi koszątek na palmie?

– Niech pani nie marnuje talentu.

Najeżyła się, spodziewając się paskudnego dowcipu w stylu F. Bronson.

– Tak? Co to miało znaczyć?

– Nie chciałem pani obrazić, jeśli tak to zabrzmiało.

– Nie chciał pan? Talent? Myśli pan, że będę tu odstawiać jakieś przedstawienie czy coś podobnego?

– Tego problemu chyba pani nigdy nie miała. Chciałem tylko powiedzieć, że powinna pani skopać coś większego od tyłka kosztki.

– Jest pan detektywem?

– Byłem. Jak już wspomniałem, zamknąłem interes.

Nie uprzedziła go telefonicznie o swojej wizycie, ponieważ bała się, że przed jej przyjazdem zdąży zdobyć raport na temat jej finansów. Teraz, widząc, jak mieszka, nabrała przekonania, że jego klienci nie należą do kategorii osób, którym American Express proponuje platynowe karty.

– Nazywam się Micky Bellsong. Nie jestem z Urzędu Kontroli, ale ma pan paskudny problem.

– Jak wszyscy – odparł i coś jej powiedziało, że nie chodzi mu o gryzonie z długimi ogonami. Zaczął zamykać drzwi.

Postawiła stopę na progu.

– Nie odejdę, dopóki mnie pan nie wysłucha... albo będzie mi pan musiał złamać kark, a zwłoki rzucić ze schodów.

Najwyraźniej zaczął się zastanawiać nad drugą możliwością, bo uważnie obejrzał jej szyję.

– Powinna pani sprzedawać Jezusa w handlu obwoźnym. Do wtorku zbawiłaby pani świat.

– Przysłużył się pan kobiecie, którą znałam. Była zdesperowana, nie mogła panu wiele zapłacić, ale pan i tak wykonał dobrą robotę.

– Zakładam, że pani też nie może.

– Częściowo gotówką, częściowo na kredyt. Może trochę potrwać, zanim zdobędę pieniądze, ale jeśli mi się nie uda, sama połamię sobie nogi i oszczędzę panu kłopotu.

– To nie kłopot, to dla mnie przyjemność. Ale fakt pozostaje faktem. Odszedłem z zawodu.

– Kobieta, której pan pomógł, nazywa się Wynette Jenkins. Swego czasu siedziała. Wtedy ją poznałam.

– Jasne. Pamiętam.

Wynette zostawiła swego sześciolatniego syna u dziadków na czas odsiadki. Przebywała w pudle niespełna tydzień, kiedy jej eksmąż Vin zabrał chłopca do siebie. Sąd nie zgodził się interweniować, ponieważ Vin był ojcem dziecka. Był także pijakiem i sadystą, często wyżywał się na Dannym, a Wynette wiedziała, że będzie się nad nim znęcał, dopóki go nie złamie, a może nawet zabije. Słyszała o Farrelu od innej więźniarki i namówiła rodziców, żeby się do niego zwrócili. W ciągu dwóch miesięcy Farrel dostarczył policji dowody kryminalnej działalności Vina, dzięki którym bydlak został aresztowany i skazany, a chłopak wrócił do rodziców Wynette. Starsi państwo powiedzieli, że według nich Farrel wziął tę sprawę – choć wydawała się w góry przegrana – ponieważ w grę wchodziło skrzywdzone dziecko, a on miał słabość do dzieci.

– Pewna mała dziewczynka zginie, jeśli jej nie pomogę – powiedziała Micky, nie usuwając stopy z progu. – A nie mogę tego zrobić sama.

Te dramatyczne słowa odniosły efekt przeciwny do zamierzonego. Zmęczona, obojętna twarz detektywa stwardniała w grymasie, choć jego nagły gniew nie był chyba skierowany przeciwko niej.

– Droga pani, jestem osobą, której pani nie potrzebuje. Pani potrzeba prawdziwych gliniarzy.

– Oni mi nie uwierzą. To dziwna sprawa. A ta dziewczynka... jest wyjątkowa.

– Wszystkie są wyjątkowe. – Głos Farrela brzmiał sucho, niemal odpychająco. Być może Micky powinna usłyszeć w tych trzech słowach odmowę, może nawet zgryźliwość. Jednak wydało się jej, że w jego oczach widzi ból zamiast prawdziwego gniewu i nagle grymas stał się tylko maską kryjącą od dawna skrywane cierpienie. – Pani potrzebna jest policja. Wiem. Sam byłem gliną.

– Siedziałam. Ten drań, ojczym dziewczynki, jest bogaty i ustosunkowany. I cieszy się wielkim szacunkiem, głównie ze strony bandy idiotów, ale ludzie liczą się z tymi idiotami. Nawet gdybym zdołała przekonać policjantów, żeby mi uwierzyli, nie uda mi się ich nakłonić do szybkiego działania.

– Nie mogę nic dla pani zrobić.

– Słyszał pan – oznajmiła z uporem. – Albo mnie pan wysłucha, albo zepchnie ze schodów. A jeśli wybierze pan to drugie, radzę sobie przygotować opatrunek i zimny kompres na genitalia.

Westchnął.

– Ciekawe, po co otworzyłem te drzwi.



– W głębi serca miał pan nadzieję, że to posłaniec z kwiatami.

Cofnął się.

– Nie wiem, co to ma być, ale proszę szybko i zwięźle. Niech mi pani oszczędzi chwytających za serce opowieści.

– Nie można chwycić za coś, czego nie ma.

Jego salon służył również za biuro. Po lewej stronie stało biurko, dwa krzesła dla klientów, szafka z aktami. Po prawej – jedyny w tym pokoju fotel, odwrócony w stronę telewizora. Obok niego znajdowały się mały stolik i lampa stojąca. Puste ściany. Sterty książek.

Brzydkie meble pochodziły prawdopodobnie ze sklepu ze starzyzną na rogu. Dywan wyglądał na najtańszy na świecie. Jednak wszystko było wyszorowane do czysta, a w powietrzu unosił się zapach cytrynowego wosku do mebli oraz środka dezynfekcyjnego o sosnowym aromacie. Można by pomyśleć, że jest to surowa cela mnicha ogarniętego obsesją czystości.

Za jednymi z dwóch wewnętrznych drzwi znajdowała się ciasna kuchnia. Drugie, teraz zamknięte, prowadziły chyba do sypialni i łazienki.

Farrel usiadł za biurkiem, Micky zajęła twarde krzesło dla klientów, niewygodne jak narzędzie tortur.

Kiedy nacisnęła guzik dzwonka, detektyw pracował przy biurku na komputerze. Drukarka cicho mruzczała. Micky nie widziała, co znajduje się na ekranie.

Dziesiąta rano minęła parę minut temu, a Farrel pracował już także nad puszką budweisera. Podniósł ją, pociągnął łyk.

– Wczesny obiad czy późne śniadanie? – zainteresowała się Micky.

– Śniadanie. Jeśli dzięki temu będę bardziej wyglądać na odpowiedzialnego obywatela, to zjadłem także chrupki.

– Znam tę dietę.

Jeśli to pani nie przeszkadza, dajmy sobie spokój z pogaduszkami. Niech mi pani streści swoją rzewną historię, jeśli to konieczne, a potem wrócimy do mojego odejścia z branży. Micky się zawahała. Chciała rozpocząć historię we właściwy sposób i nagle przypomniała sobie prorocze słowa cioci Gen, ogłoszone w poniedziałkowy ranek, niespełna cztery dni temu.

– Czasami ludzkie życie może się zmienić na lepsze w jednej chwili łaski, niemal jakby cudem. Pojawia się ktoś wyjątkowy, całkiem niespodziewany i obraca człowieka w nowym kierunku, zmienia na zawsze. Doświadczył pan kiedyś czegoś takiego?

Skrzywił się.

– Więc jednak sprzedaje pani Jezusa.

Zwięźle opowiedziała mu o Leilani Klonk, starej Sinsemilli i pseudoojcu, szukającym pozaziemskich uzdrowicieli. Opowiedziała o Lukipeli, który odszedł między gwiazdy, ale nie zdradziła tożsamości Prestona Maddoca z obawy, że Farrel, wzorem F. Bronson, również podziwia tego mordercę. Gdyby usłyszał nazwisko, nie pozwoliłby jej mówić dalej.

W czasie opowieści Farrel raz za razem spoglądał na komputer, jakby wszystko, co słyszał, nie zdołało go odciągnąć od ekranu. Nie zadawał pytań, nie zdradzał najmniejszych oznak zainteresowania. Czasami odchyłał się na krzesło, zamykał oczy i nieruchomiał z tak obojętną miną, jakby zapadł w sen. Czasem rysy twardniały mu na kamień i spoglądał na nią z tak niepokojącą intensywnością, jakby stracił cierpliwość i postanowił ją jednak zrzucić ze schodów, nie przejmując się zapowiedzianą walką.

Raptem przestał przygważdżać ją spojrzeniem i gwałtownie zerwał się z miejsca.

– Im więcej słyszę, tym bardziej nabieram pewności, że ta sprawa nie jest dla mnie. Nigdy nie była,

nawet kiedy działałem w branży. Nawet nie wiem, czego pani ode mnie chce.

– Właśnie do tego zmierzam.

– I pewnie nie da się pani powstrzymać. Więc żeby lepiej mi się słuchało, przyniosę drugie piwo. Ma pani ochotę?

– Nie, dziękuję.

– Myślałem, że zna pani tę dietę.

– Już jej nie stosuję.

– Gratulacje.

– Straciłam wszystkie lata, które mogłam stracić.

– A ja nie.

Poszedł do kuchni, a Micky, która obserwowała go przez otwarte drzwi, poczuła, że do serca zakrada się jej szara mgła zniechęcenia. Farrel wyjął puszkę z lodówki, otworzył ją, upił łyk i dopełnił puszkę whiskey.

Powrócił do biurka, lecz nie usiadł. Wydawał się dygotać z ledwie tłumionej furii, której Micky nie sprowokowała. Odezwał się cicho, głosem raczej zmęczonym niż gniewnym, jednak pełnym napięcia, którego nie potrafił ukryć.

– Marnuje pani czas mój i swój. Ale mój jest wart niewiele. Więc idę do wychodka, a jeśli chce pani tu czekać, proszę bardzo. A może już pani dojrzała do wyjścia?

O mało nie wyszła. Noah Farrel miał dla niej wartość tylko wtedy, gdy interesował się jej problemem.

Ale pozostała na tym twardym krześle, ponieważ ból w jego oczach przeczył rzekomej obojętności. Zdołała jakoś do niego dotrzeć, choć nie chciał się w to mieszać. – Jeszcze nie skończyłam.

– Jak pani skończy, trzeba mi będzie przeszczepić nowe bębenki.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi sypialnio-łazienki. Zabrał ze sobą wzmocnionego budweisera.

Prawdopodobnie wcale nie musiał korzystać z tego wychodka i z całą pewnością nie musiał pić drugiego piwa na śniadanie. Chciał jednak w jakiś sposób przerwać opowieść Micky i osłabić jej wpływ. Los Leilani nie był mu obojętny, to pewne, ale chyba nie zamierzał przejąć się aż tak, by pomóc dziewczynce.

Z własnego gorzkiego doświadczenia Micky wiedziała, jak pomocny bywa alkohol, kiedy podjęcie moralnie nagannej decyzji nie przychodzi bez trudu i kiedy trzeba znieczulić sumienie, żeby postąpić źle. Rozpoznała tę strategię.

Farrel nie wróci, dopóki nie upije się wzmocnionym budweiserem. Najprawdopodobniej wpadnie jeszcze do kuchni po trzecią kolejkę, zanim wreszcie usiądzie znowu za biurkiem. Wtedy łatwiej mu przyjdzie spławić Micky i przekonać samego siebie, że zła decyzja była właściwym posunięciem.

Gdyby nie wiedziała, jak wielką życzliwość okazał Wynette, nie siedziałaby tu tak długo.

Dostrzegła jednak światełko nadziei, ponieważ Noah Farrel wyraźnie nie miał dużego doświadczenia z porannym piciem, a może nawet z piciem w ogóle. Dowodem na jego świeży status pijaka był sposób, w jaki trzymał puszkę: najpierw odsunął ją na bok, jakby chciał ją odepchnąć, potem ujął oburącz, nerwowo powiódł kciukiem wzdłuż krawędzi, zastukał paznokciem w aluminium, jakby chciał ocenić, ile jeszcze alkoholu pozostało w środku. Zdecydowanie nie był to niewymuszony stosunek doświadczonego pijaka do swojej trucizny.

Praktyka w kontaktach z płynami wysokowymi podpowiedziała Micky, że nie pora naciskać mocniej, że jest to ten moment, gdy wycofanie się i taktyka specjalna okazały się mądrzejszą strategią.

Potrzebowała jego pomocy, ponieważ nie było jej stać na innego detektywa. Liczyła na dobroć, którą okazał Wynette, oraz jego słynną wrażliwość na los dzieci znajdujących się w niebezpieczeństwie.

Pomiędzy różnymi drobiazgami na biurku znajdował się także żółty notes w linie i pióro. Ledwie Farrel opuścił pokój, Micky chwyciła je i zaczęła pisać: *Ojczymem Leilani jest Preston Maddoc. Proszę go sprawdzić. Zabili 11 osób. Obecnie występuje jako Jordan Banks, ale zawierając związek małżeński, podał prawdziwe personalia. Gdzie to było? Dowód? Kim tak naprawdę jest Sinsemilla? Jak można udowodnić, że miała kalekiego syna? Czas ucieka. Wrażenie – dziewczynka umrze za tydzień. Kontakt przez moją ciotkę, Genewę Davis.*

Pod spodem podała numer telefoniczny cioci Gen i zostawiła notes na biurku. Wyjęła z torebki trzysta dolarów w dwudziestkach. Tylko na tyle było ją stać. Prawdę mówiąc, nie było jej stać nawet na tyle, ale doszła do wniosku, że ta suma zobliguje go do jakiegoś działania.

Zawahała się. Oczywiście Farrel mógłby wydać te pieniądze na piwo. Miała ich zbyt mało, by zaryzykować utratę choćby dziesięciu dolarów, co dopiero trzystu.

Ale było w nim coś takiego, że jednak położyła banknoty na notesie i przycisnęła je piórem. Może był świeżo upieczonym pijakiem, ale wyraźnie coś go dręczyło, a według niej to właśnie stanowiło jego dodatkowy plus. Nie wiedziała, jaka tragedia mu ciążyła, ale własne doświadczenie podpowiedziało jej, że ludzie cierpiący nie są z natury rozwiązli i spróbują przepędzić swoje demony, jeśli ktoś poda im w odpowiedniej porze pomocną dłoń.

Wychodząc, spojrzała jeszcze na monitor jego komputera, Farrel szperał w Internecie. Micky przebiegła wzrokiem tekst artykułu; dotyczył epidemii zabójstw, rzekomo ze współczucia, popełnianych przez pielęgniarki, które uważały się za anioły śmierci.

Wzdłuż kręgosłupa Micky przebiegł dreszcz, nie tyle strachu, ile zdumienia tym przedziwnym połączeniem losów jej i Farrela. Gen mawiała często, że to, co uważamy za zbiegi okoliczności, to tak naprawdę misternie ułożone płytki w mozaice, której nie możemy ujrzeć w całości. Teraz Micky poczuła, że ta skomplikowana mozaika naprawdę istnieje, ogromna, panoramiczna i tajemnicza.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi, jak włamywaczka umykająca z naręczem drogocennych klejnotów.

Pospiesznie zbiegła po schodach ocienionych przez palmę.

Narastający upał poranka oszołomił koszatki. Ciche, niewidoczne, zwisały pomiędzy warstwami zwiędłych brązowych liści niczym obrzydliwe owoce.

Dzięki bezpośredniemu przelewowi danych do mózgu Curtis wie, że aczkolwiek New Jersey ma gęstość zaludnienia bliską dwa tysiące osób na kilometr kwadratowy, Nevada liczy ich poniżej trzydziestu na kilometr kwadratowy, a większość gromadzi się wokół świątyń hazardu w Las Vegas i Reno. Dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych tego stanu leżą odłogiem, od opuszczonych jałowych ziem na południu po góry na północy. Głównymi bogactwami tego stanu są maszyny do gier hazardowych, inne przyrządy służące temu samemu celowi, technologia lotnicza, złoto, srebro, ziemniaki, cebula i tancerki topless. W „Carson City Kid” pan Roy Rogers – dzielnie wspomagany przez niezastąpionego pana Gabby’ego – Hayesa – prowadzi zakończony sukcesem pościg za mordercą, hazardzistą z Nevady; jednak film ten pochodził z 1940 roku i został nakręcony w czasach niewinności, więc nie występują w nim kobiety z nagimi piersiami. Gdyby panowie Rogers i Hayes nadal zajmowali się bohaterskimi czynami, bez wątplenia odkryliby niesławną działalność w Strefie 51, znanej bazie wojskowej w Nevadzie, gdzie podobno znajdują się kosmici, martwi lub żywi, bądź i tacy, i tacy, a także pojazdy kosmiczne z innych planet, a która tak naprawdę jest zamieszana w o wiele dziwniejszą i bardziej niepokojącą działalność. W każdym razie rozległe rejony Nevady są puste, tajemnicze, zakazane, a w nocy wyjątkowo straszne.

Ze stacji benzynowej i sklepu na rozdrożach – gdzie w samochodzie spoczywają zwłoki męża i żony i gdzie leżą dwa splątane i zmasakrowane kulami szczątki nieprawdopodobnych organizmów, które cholernie wystraszą tego, kto je znajdzie – autostrada numer 93 prowadzi na północ i nie przecina żadnej innej drogi, dopóki nie spotka się z autostradą numer 50. A do tego dochodzi pięćdziesiąt kilometrów przed Ely.

Poiły, która kieruje pojazdem z wprawą pilota odrzutowców i wyciska z niego szybkość nieprzewidzianą przez konstruktorów, postanawia nie skręcać w lewo na autostradę numer 50, prowadzącą do granicy stanu Utah.

Reno, liczące sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, leży na zachodzie. W Reno jest mnóstwo ruchu i zamieszania. Ale od Reno dzieli ich pięćset trzydzieści kilometrów na połacie jałowych gór, właśnie takich, w których jeden chłopiec i dwie tancerki rewiiowe – nawet uzbrojone po zęby – mogą zniknąć bez śladu.

Księżyc wschodzi, zapada noc, a Poiły dalej mknie na północ autostradą 93, aż za dwieście trzydzieści kilometrów docierają do autostrady międzystanowej numer 80. Dwieście osiemdziesiąt pięć kilometrów na zachód leży Winnemucca, gdzie w 1900 roku Butch Cassidy i Sundance Kid obrabowali bank First National. Dwieście dziewięćdziesiąt sześć kilometrów na wschód znajduje się Salt Lake City, gdzie Curtis mógłby usłyszeć Mormoński Chór Kościelny, śpiewający pod największą na świecie kopułą bez centralnych podpór.

Cass zastępuje Poiły za kółkiem i śmiga autostradą 93, ponieważ obie siostry nie mają ochoty podziwiać widoków. Sto osiem kilometrów przed nimi znajduje się Jackpot w stanie Nevada, tuż przy granicy z Idaho.

– Jak dojedziemy, zatankujemy i ruszamy dalej – oświadcza Cass.

Curtis, siedzący w fotelu pasażera, przyznaje się do luki w wiadomościach:

– Nie mam żadnych informacji o mieście Jackpot.

– To nie miasto – wyjaśnia Cass. – Tylko takie miejsce przy drodze, gdzie ludzie wyrzucają pieniądze.

– Ze względów religijnych – domyśla się Curtis.

– Jeśli się czci ruletkę – rzuca Poiły z salonu, gdzie położyła się na sofie w towarzystwie Starego Rudzielca. Nie zna żadnych odpowiedzi, ale szeptem zadaje psinie pytania. Normalnym głosem odzywa się do Curtisa: – W Jackpot znajduje się pięćset pokoi hotelowych i dwa kasyna, parę pierwszorzędných knajp i tysiące akrów pustych terenów. Jak już się najesz i zbankrutujesz, możesz skoczyć na jakąś sympatyczną pustynię, pojednać się z naturą i rozwalić sobie mózg na osobności.

– Może to dlatego tak wiele osób z rancza Neary’ego kupowało słynną w okolicy salsę babuni. Może chcieli z niej skorzystać w Jackpot – wysnuwa teorię Curtis.

Poiły i Cass milczą. Potem Cass się odzywa:

– Bardzo niewiele rzeczy nie mieści mi się w głowie, ale ta za nic nie chce wejść do środka.

– Do mojej też – popierają Poiły. – Nawet nie próbuję jej wciskać.

– Z wozu sprzedawano napoje, podkoszulki i inne takie tam – wyjaśnia Curtis. – Przy salsie babuni napisano, że jest tak ostra, że urywa głowę na miejscu.

Bliźniaczki znowu milkną, tym razem na jakieś pół kilometra.

Potem Poiły mówi:

– Dziwny z ciebie chłopak, Curtisie Hammondzie.

– Podobno jestem nie tego, zbyt dobrym głupim Gumpem – informuje ją Curtis – ale na pewno kiedyś się wreszcie wtopię.

– Mnie przyszedł do głowy „Rain Man” – wtrąca Cass.

– Dobry film! – wykrzykuje Curtis. – Dustin Hoffman i Tom Cruise. Wiecie, że Tom Cruise jest znajomym seryjnego mordercy?

– Tego nie wiedziałam – wyznaje Poiły.

– Gościa nazwiskiem Vern Tuttle, który jest taki stary, że mógłby być waszym dziadkiem, i zbiera zęby swoich ofiar. Słyszałem, jak rozmawiał przez lustro z Tomem Cruise’em, choć tak się bałem, że nie zauważyłem, czy w lustrze było urządzenie nadawczo-odbiorcze, takie, jakim się posługuje zła królowa w „Królownie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach”. W każdym razie pan Cruise na pewno nie wie, że Vern Tuttle jest seryjnym mordercą, bo gdyby wiedział, to by o tym powiadomił policję. Jaki jest wasz ulubiony film z Tomem Cruise’em?

– „Jerry Maguire” – mówi Cass.

– „Top Guń” – mówi Poiły.

– A ulubiony film z Humphreym Bogartem?

– „Casablanca” – odpowiadają jednocześnie.

– Moim też! – cieszy się Curtis. – A z Katharine Hepburn?

Poiły mówi: „Kobieta roku”, Cass: „Filadelfijska opowieść”, ale potem jednogłośnie zmieniają zdanie: „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad”.

I tak zmierzają przez mrok nocny na północ, nawiązując kontakty towarzyskie ze swobodą starych przyjaciół i ani razu nie wspominając o strzelaninie w sklepie na rozdrożu, zmiennokształtnych zabójcach czy psinie, która za pomocą komputera ostrzegła Poiły przed obecnością złych przybyszów z kosmosu.

Curtis nie łudzi się, że jego gwałtownie rozwijające się zdolności towarzyskie i konwersacyjne na zawsze odciągną siostry od tych tematów. Castoria i Polluksja nie są głupie i wcześniej czy później poproszą o wyjaśnienia. Szczerze mówiąc, jeśli się weźmie pod uwagę energię, z jaką poczynają sobie na rozdrożach, należy się spodziewać, że kiedy będą gotowe poruszyć ten temat, wręcz zażądają od niego wyjaśnień. Wtedy będzie musiał rozstrzygnąć, jak wiele może im powiedzieć. Są jego przyjaciółkami,

a on nienawidzi okłamywać przyjaciół, ale im więcej wiedzą, w tym większym są niebezpieczeństwie.

Po tankowaniu do pełna w Jackpot, nie zatrzymując się już ani w żadnej restauracji, ani żeby popatrzeć na czyjeś samobójstwo, przekraczają granicę z Idaho i jadą dalej na północ do miasta Twin Falls, otoczonego pięciuset tysiącami akrów idealnych gospodarstw, których ziemię nawadnia rzeka Snake. Curtis zna strasznie wiele faktów dotyczących geologicznej i społecznej historii miasta, okolic „Magicznej Doliny” i rozległych rozlewisk lawy na północ od rzeki Snake, więc olśniewa siostry bogactwem swej wiedzy.

Twin Falls, liczące ponad dwadzieścia siedem tysięcy mieszkańców, stanowi pewną osłonę, dzięki której chłopiec nie jest już tak łatwo wykrywalny jak wtedy, gdy po raz pierwszy pojawił się w Kolorado i stał się Curtisem Hammondem. Jest tu bezpieczniejszy, ale nie naprawdę bezpieczny.

Nowy dzień ma dopiero dwie godziny, gdy Cass zatrzymuje samochód na parkingu. Bezsenna noc i długa jazda dają się odczuć, choć siostry nadal wyglądają uroczco i tak pociągająco, że dozorca parkingu, pomagający się im zainstalować, prawie przydeptuje sobie język.

Curtis nie potrzebuje snu, ale udaje, że ziewa, bo bliźniaczki rozkładają sofę w salonie i przykrywają ją pościelą. Stary Rudzielec niedawno dowiedziała się o ciemnej stronie wszechświata więcej, niż powinien wiedzieć jakikolwiek pies i od czasu strzelaniny zrobiła się trochę nerwowa. Sen dobrze jej robi, a Curtis będzie dzielił z nią nocne wizje, zanim przystąpi do dalszego planowania swojej przyszłości.

Siostry przygotowują łóżko, oglądając przy tym telewizję. We wszystkich dużych stacjach można trafić na wyczerpujące relacje z polowania na bossów narkotykowych, prawdopodobnie uzbrojonych po zęby. Rząd potwierdził wreszcie, że w strzelaninie na postoju dla ciężarówek w Utah zginęli trzej agenci FBI; trzej inni odnieśli rany.

Pojawiają się także doniesienia o jeszcze bardziej krwawym starciu w miasteczku-skansenie na zachód od parkingu dla ciężarówek. Ale FBI i wojskowi rzecznicy nie chcą komentować tych plotek.

Prawdę mówiąc, rząd ujawnia tak skąpe informacje na temat tych zająć, że dziennikarze telewizyjni nie mają czym zapełnić sporego czasu antenowego, jaki przyznano na ten temat. Dlatego nieustannie zamieszczają wypowiedzi dotyczące subiektywnych opinii, obaw i spekulacji.

Władze nie udostępniły żadnych zdjęć ani nawet portretów pamięciowych mężczyzn, na których zorganizowano obławę, co dla części dziennikarzy stanowi potwierdzenie, że rząd nie zna tożsamości ściganych.

– Idioci – odzywa się Poiły. – To nie żadni bossowie narkotykowi, tylko źli Obcy. Tak, Curtis?

– Tak.

– A rząd – dodaje Cass – ściga ciebie...

– Tak.

– ...bo widziałeś tych Obcych i za dużo wiesz...

– Aha, właśnie.

– ...a może ścigają także Obcych?

– E... chyba nas wszystkich.

– Jeśli wiedzą, że żyjesz, dlaczego rozpuścili wiadomość, że zabili cię w Kolorado? – dziwi się Poiły.

– Nie wiem. – Mama twierdziła, że każde przebranie w pewnym momencie ujawnia wewnętrzne sprzeczności, więc zamiast konstruować skomplikowane wyjaśnienia, co prowadzi tylko do następnych sprzeczności, należy po prostu przy każdej możliwej okazji wyrażać oszołomienie. Kłamcy mają opinię chytrych, a osoba oszołomiona zwykle robi wrażenie szczerzej. – Nie wiem. Bez sensu, prawda?

– Gdyby powiedzieli, że żyjesz, mogliby pokazać twoje zdjęcie we wszystkich mediach, żeby ludzie pomagali im ciebie szukać.

– Jestem oszołomiony. – Curtis żałuje, że musi je tak oszukiwać, ale jest także dumny z wprawy, z jaką stosuje się do rady mamy, panując nad sytuacją, która mogłaby obudzić podejrzenia. – Szczerze oszołomiony. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobili. Dziwne, co?

Siostry wymieniają jedno z tych spojrzeń, którym wydają się przekazywać sobie nawzajem całe encyklopedie informacji. Znowu uciekają się do oszałamiającego dialogu, przy którym Curtis wodzi rytmicznie spojrzeniem od jednych idealnych ust w kolorze zmrożonej czerwieni do drugich. Poły zawija prześcieradło pod materac i zaczyna:

– No, teraz jeszcze...

– ...nie pora – ciągnie Cass.

– ...żeby się wdawać w te...

– ...sprawy z UFO...

– ...i to, co się...

– ...stało na stacji benzynowej. – Cass obleka poduszkę w powłoczkę. – Jesteśmy zbyt zmęczone...

– ...oszołomione...

– ...żeby myśleć...

– ...a kiedy sobie usiądziemy, żeby porozmawiać...

– ...chcemy mieć jasne głowy...

– ...bo mamy wiele...

– ...pytań. To wszystko jest...

– ...pokręcone – konkluduje Poły. I Cass podchwytuje:

– Nie chciałyśmy...

– ...mówić o tym...

– ...podczas jazdy...

– ...bo musimy się zastanowić...

– ...żeby zrozumieć, co się stało.

Połączenie międzysiostrzane, telepatyczne spojrzenie, tomy informacji przekazywane bez jednego słowa, a potem spojrzenie czworga błękitnych oczu wbija się w Curtisa. Czuje się jak poddany skanowaniu wiązką elektronową tak wyrafinowanej natury, że nie tylko ujawnia stan naczyń krwionośnych i narządów wewnętrznych, lecz także obnaża jego sekrety i prawdziwy obraz duszy.

– Prześpijmy się osiem godzin – mówi Poły – i porozmawiamy o sytuacji przy wczesnej kolacji.

– Może do tego czasu – dodaje Cass – wszystko to przestanie się nam wydawać takie oszałamiające.

– Może – mówi Curtis. – A może nie. Kiedy coś jest oszałamiające, to zwykle się nie odszałamia tak samo z siebie. Istnieje pewna kategoria oszałamiających spraw, które zawsze, no po prostu zawsze oszałamiają, i przekonałem się, że kiedy człowieka spotyka takie coś oszałamiające, najlepiej to zaakceptować i żyć dalej.

Sparaliżowany intensywnością podwójnego błękitnego spojrzenia Curtis czuje potrzebę zastanowienia się nad tym, co właśnie powiedział, a kiedy słyszy w głowie powtórkę własnych słów, już mu się nie wydają takie gładkie i przekonujące jak wtedy, gdy je wypowiadał. Uśmiecha się, ponieważ mama twierdziła, że uśmiech sprzedaje to, czego słowa nie mogą.

Ale choćby chciał im sprzedać brylanty w zamian za orzechy, pewnie by ich nie przekonał. Jego uśmiech nie prowokuje rewanzu.

– Lepiej idź spać – mówi Poiły. – Bóg jeden wie, co nas czeka, ale cokolwiek to będzie, niech nas spotka, jak będziemy wyspani.

– I nie otwieraj drzwi – przestrzega Cass. – Alarm antywłamaniowy nie rozróżnia, czy się wchodzi, czy wychodzi.

Są zbyt zmęczone, żeby rozmawiać z nim o najnowszych wydarzeniach, ale dopilnowały, żeby im się nie wymknął, dopóki go dobrze nie wypytają.

Znikają w sypialni.

Curtis zostaje w salonie. Wślizguje się pod prześcieradło i cienki koc. Psina powinna się wykapać, ale chłopiec z radością wita ją na sofie.

Drogą starcia siły woli z materią – w skali mikro, gdzie siła woli powinna zwyciężyć – mógłby chyba wyłączyć ten alarm. Ale jest winien bliźniaczkom jakieś uczciwe wyjaśnienie i nie chce ich zostawiać w zupełnej nieświadomości.

Poza tym po trudnej i burzliwej podróży znalazł wreszcie przyjaciółki. Jego umiejętności towarzyskie nie są może jeszcze tak doskonałe, jak mu się przez chwilę wydawało, ale udało mu się zaprzyjaźnić z olśniewającymi siostrami Spelkenfelter i bardzo by nie chciał znowu samotnie walczyć z całym światem, mając u boku tylko swoją siostrzyczkę. Psina jest kochaną towarzyszką, ale nie zaspokaja wszystkich jego potrzeb. Samotność, choć sławiona przez poetów, to po prostu izolacja, i żyje skulona w jego sercu jak robak w jabłku, żywiąc się nadzieją i zostawiając po sobie tylko pustkę.

Co więcej, bliźniaczki przypominają mu utraconą matkę. Nie z wyglądu. Mimo wszystkich swych zalet, mama nie była urodzoną tancerką z Las Vegas. Niezlomny duch sióstr, ich ogromna inteligencja, odporność i czułość to cechy, które mama posiadała w sporych ilościach. W towarzystwie sióstr Curtis ma błogie poczucie przynależności, które wiąże się z życiem w rodzinie.

Zmęczona psina zasypia. Curtis kładzie jej dłoń na boku, czuje powolny stukot jej szlachetnego serca, wnika w jej sny i znów zdaje sobie sprawę z żartobliwej Obecności, z którą proste stworzenia, jak psy, nie utraciły kontaktu. Rzucony daleko od miejsca, które nazywał domem, osierocony chłopiec zaczyna cicho płakać, mniej z rozpacz, bardziej z powodu szczęścia swojej matki. Przekroczyła wielką przepaść pomiędzy sobą i światłem i teraz, w obecności Boga, czuje radość podobną do tej, którą on zawsze czuł w jej obecności. Curtis nie może spać, ale odnajduje chwilę spokoju po tej stronie nieba.



Słońce wypaliło jaskrawą dziurę w niebie na zachodzie, nadal o parę godzin od kojącego morza, a wiatr szumiący w osiedlu przyczep mieszkalnych zdawał się wiać właśnie przez tę dziurę, rozpalony, suchy i przyprawiony wonią rozgrzanego metalu.

W piątek po południu, pięć godzin po spotkaniu z Noahem Farrelem, Micky włożyła walizkę do bagażnika camaro.

Zrzurowała się na zmianę oleju, nowe filtry, nowe paski do wentylatora chłodnicy i cztery nowe opony. Jeśli do tego dodać zaliczkę, którą dała detektywowi, wydała już połowę oszczędności.

Nie odważyła się skontaktować z Leilani w Nun's Lake. Nawet gdyby się dowiedziała, dokąd Maddoc zamierza się udać następnie, pewnie nie starczyłoby jej pieniędzy na pościg, a potem powrót z dziewczynką do Kalifornii.

Ciocia Gen była w kuchni. Upychała dwie plastikowe torby z lodem do piknikowej lodówki, wypakowanej po brzegi kanapkami, ciastkami, jabłkami i puszkami dietetycznej coli. Z takim prowiantem Micky mogła nie marnować czasu na postoje. I nie musiała wydawać pieniędzy.

– Tylko nie jedź przez całą noc – nakazała ciocia.

– Nic się nie martw.

– Wyprzedzają cię o niecały dzień. Dogonisz ich raz dwa.

– Do północy powinnam być już w Sacramento. Tam znajdę jakiś motel, przekimam sześć godzin i do wieczora spróbuję dojechać do Seattle. A potem w niedzielę po południu do Nun's Lake.

– Niejedno może spotkać samotną kobietę w podróży.

– Tak. Albo samotną kobietę we własnym domu. Geneva zatrasnęła wieko lodówki.

– Kochanie, jeśli recepcjonista w hotelu będzie wyglądał jak Anthony Perkins albo jeśli jakiś człowiek na stacji benzynowej będzie wyglądał jak Anthony Hopkins, albo jeśli jakikolwiek facet gdziekolwiek będzie wyglądać jak Alec Baldwin, masz go kopnąć w krocze, zanim zdąży w ogóle przemówić, a potem wuj.

– Myślałam, że zastrzeliłaś Aleca Baldwina w Nowym Orleanie.

– Wiesz, ten człowiek był już spychany z dachów wieżowców, topiony, dżgany nożem, napadł go niedźwiedź, ludzie do niego strzelali – i ciągle wraca.

– Będę miała na niego oko – obiecała Micky, zdejmując lodówkę ze stołu. – Co do Anthony'ego Hopkinsa – Hannibal Lecter czy nie, dla mnie i tak wygląda jak pluszowy misiaczek.

– Może powinnam pojechać z tobą, kochanie, jako rewolwerowiec – powiedziała Geneva, idąc za Micky do drzwi.

– Niewykluczone, że to i dobry pomysł, ale nie mamy rewolweru. – Micky zmrużyła oczy przed niemiłosierną luną bijącą od białego camaro. – Zresztą musisz tu zostać i czekać na telefon od Noaha Farrela.

– A jeśli nie zadzwoni?

Micky otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Zadzwoni.

– A jeśli nie znajdzie tego dowodu, którego ci trzeba?

– Znajdzie – mruknęła Micky, stawiając lodówkę na siedzeniu. – Słuchaj no, gdzie się podziała moja optymistyczna cioteczka?

– Może powinnymy zawiadomić policję? Micky zamknęła drzwi.

– Która? Tutaj, w Santa Ana? Maddoc nie podlega już ich jurysdykcji. W miastach, przez które będzie przejeżdżał w Kalifornii, Oregonie czy Nevadzie, w zależności od tego jaką wybierze trasę? Hitler też mógłby przejeżdżać i by go przepuścili, byle tylko się nie zatrzymywał. Zadzwoń do FBI? Ja siedziałam, a oni mają pełne ręce roboty z ganiem tych narkotykowych potentatów.

– Może kiedy dojedziesz do Idaho, pan Farrel znajdzie jakiś dowód i będziesz mogła się zgłosić z nim na policję.

– E, ciociu, ten świat jest inny od tego, który widziałas na czarno-białych filmach. Gliniarze bardziej się wtedy przejmowali. W ogóle ludzie. Coś się stało. Wszystko się zmieni – to. Cały ten świat jest jak... połamany. Coraz bardziej możemy polegać tylko na sobie.

– A ty myślisz, że to ja straciłam optymizm.

– Tak, no prawda. – Micky się uśmiechnęła. – Nigdy nie byłam jakąś szczególną optymistką. Ale widzisz, nawet mając przed sobą to okropne zadanie, czuję się lepiej niż... może lepiej niż kiedykolwiek.

Przez zielone oczy cioci przemknął cień, gdzieś pomiędzy tęczęwkami i wewnętrznym światłem. Sprawiał, że jej spojrzenie pomroczyło.

– Boję się.

– Ja też. Ale będę się bardziej bać, jeśli tego nie zrobię. Geneva pokiwała głową.

– Masz tu słoiczek słodkich pikli.

– Lubię słodkie pikle.

– I słoiczek zielonych oliwek.

– Jesteś boska.

– Ale nie miałam papryczek.

– O. Hm. No to nie jadę.

Uścisnęły się. Przez chwilę Micky myślała, że Geneva nigdy jej nie puści, a potem sama nagle nie potrafiła rozluźnić uścisku.

Słowa Genevy zabrzmiały jak cicha modlitwa.

– Przy wieź ją.

– Przywiozę – szepnęła Micky, prawie pewna, że gdyby powiedziała to głośno, zabrzmiałoby to jak przechwałka i sprowokowałoby los.

Choć już uruchomiła silnik, Gen nadal stała z ręką na otwartym oknie.

– Spakowałam ci trzy torebki M&M.

– Po tej wycieczce będę musiała przejść na samą sałatę.

– I, kochanie, w takim małym zielonym słoiczku masz coś specjalnego. Koniecznie spróbuj dziś przy kolacji.

– Kocham cię, ciociu.

Geneva osuszyła oczy chusteczką, puściła okno i odsunęła się od camaro.

A potem, gdy Micky ruszyła, pobiegła za nią, machając mokrą od łez papierową chusteczką.

Micky przydepnęła hamulec. Ciocia znowu pochyliła się do okna.

– Myszko, pamiętasz tę zagadkę, którą ci zadawałam, kiedy byłeś malutka? Micky pokręciła głową.

– Zagadkę?

– Co znajdziesz za...

– ...ostatnimi drzwiami przed niebem – dokończyła Micky.

– Więc pamiętasz. A pamiętasz, jak dawałaś mi jedną odpowiedź za drugą, strasznie dużo odpowiedzi, a żadna nie była właściwa?

Micky skinęła głową.

– Te odpowiedzi powinny mi zdradzić, że w twoim życiu dzieje się coś złego.

– Już dobrze – wykrztusiła Micky. – Już mi nic nie dolega.

– Co znajdziesz za ostatnimi drzwiami przed niebem? Pamiętasz właściwą odpowiedź?

– Tak.

– Wierzysz, że jest prawdziwa?

– Powiedziałaś, że jest prawdziwa, więc jest. Wyjawiałaś mi prawdziwą odpowiedź... a ty nigdy nie kłamiesz.

W świetle popołudniowego słońca cień Genevy był dłuższy i węższy od niej, czarniejszy od asfaltu, na którym się kładł, a łagodny wietrzyk ułożył jej złoto-srebrne włosy w leniwie kołyszącą się aureolę, wskutek czego ciocia od razu zaczęła wyglądać jak ktoś nie z tej Ziemi.

– Kochanie, zapamiętaj naukę, która płynie z tej zagadki. Robisz coś bardzo dobrego, niesamowicie dobrego i szalonego, ale jeśli ci się nie uda, zawsze są te drzwi i to, co za nimi.

– Uda mi się, ciociu.

– Wróć do domu.

– A gdzie indziej będę mogła mieszkać za darmo i tak dobrze jeść?

– Wróć do domu – powtórzyła Geneva z odcieniem desperacji.

– Wrócę.

Geneva promieniejąca w świetle słońca, jakby sama była źródłem blasku. Geneva sięgająca przez otwarte okno, by dotknąć policzka Micky. Niechętnie cofająca rękę. Żadne miłe wspomnienie filmowe nie złagodziło bólu tej chwili. Potem Geneva we wstecznym lusterku, machająca na pożegnanie. Geneva coraz mniejsza, lśniąca w słońcu, machająca, machająca. Zakręt, nie ma Genevy. Micky samotna, a do Nun's Lake dwa i pół tysiąca kilometrów.

Pełna czarodziejskich dzieci królowa roju jedzie do Nevady u boku skorpiona, który ją zapłodnił, ich i tak nieprzeniknione oczy kryją się za ciemnymi okularami, owadzia para królewska w karecie.

Nadal knuli, nadal szeptali do siebie przyciszonymi głosami. Ich rozmowę przerywały świergoty śmiechu i piski szaleńczego zachwytu królowej.

Zważywszy na to, co już jej wyjawiała stara Sinsemilla, Leilani nie potrafiła wydedukować nawet ogólnych zarysów pozostałych, ukrytych przed nią tajemnic. Jako przyszła pisarka nie niepokoiła się tym niedostatkiem wyobraźni, bo od nikogo z tej strony piekła nie należy wymagać, żeby pojął, jakie to koszmary wiją się w najgłębszych czeluściach umysłu jej matki lub doktora Zagłady.'

Na zachód od Las Vegas zatrzymali się na obiad w barze przy hotelu z kasynem na środku kamienistej pustyni. Ktoś wznosił te budynki na pustkowiu nie dlatego, że naturalne warunki wydały mu się idealne dla tego typu lokali, ale dlatego że znaczny odsetek tłumów pielgrzymujących do Vegas zatrzymywał się najpierw tutaj, nie mogąc się już doczekać, żeby obedrzeć ze skóry Fortunę, choć to w końcu ona obdzierała graczy.

W tandetnym pałacu marzeń serwowano pijaczkom tanie drinki, prowokowano nałogowych hazardzistów do rujnowania się w grach losowych, w których los sprzyjał tylko właścicielowi kasyna, zaspokajano autodestrukcyjne impulsy, od żądzy pożerania gór ciężkich deserów z darmowego bufetu po pałace pragnienie doznania kary z rąk sadystycznych prostytutek z biczami. A jednak nawet tutaj można było dostać bezcholesterolowe omlety z samych białek z niskotłuszczowym serkiem tofu oraz blanszowane brokoły.

Stara Sinsemilla, uwięziwszy Leilani między sobą i Prestonem w półkolistej niszy z siedzeniami z czerwonego skaju, zamówiła dwie porcje tych mdłych frykasów, jedną dla siebie, drugą dla córki, z tostami bez masła i owocami. Doktor Zagłada spożył cheeseburgera z frytkami – szczyrzył zęby, oblizywał palce, był nie do zniesienia.

Kelnerką okazała się nastolatka z tłustymi jasnymi włosami, ułożonymi w naczupirzoną strzechę, prawdopodobnie za pomocą kosiarki do trawnika. Na fartuszkę miała plakietkę z napisem: CZEŚĆ, JESTEM DARVEY. Jej szare oczy miały kolor zmatowiałych łyżek. Znudzona, nie racząc tego ukrywać, ziewała gościom w twarz, mówiła ospałym, mamroczącym głosem, chodziła, powłócząc nogami, i myliła zamówienia. Kiedy zwracano jej uwagę, wzdychała ciężko jak pokutująca dusza, która od niepamiętnych czasów układa w czyścicu pasjansa nieistniejącymi kartami, na długo przed tym, jak trzej królowie ruszyli na wielbłądach z darami do Betlejem.

Pod koniec obiadu, kiedy kelnerka zjawiała się z rachunkiem, Leilani przemówiła do niej, sądząc, że ktoś tak śmiertelnie znudzony z radością rozproszy szarość swego dnia spotkaniem z trojgiem barwnych ludzi, że ocknie się i może nawet z przyjemnością weźmie udział w dramacie z życia wziętym:

– Oni chcą mnie zabrać do Idaho, rozbić mi czaszkę młotkiem i pochować w lesie.

Darvey mrugnęła ospale jak jaszczurka wygrzewająca się na kamieniu.

– Nie, kochanie, nie okłamuj tej pani – odezwał się Preston Maddoc. – Ani ja, ani twoja matka nie mordujemy ludzi młotkami. Zabijamy ich siekierami. Nie zamierzamy cię zatłuc na śmierć. Nasz plan zakłada posiekanie cię na kawałki i nakarmienie tobą niedźwiedzi.

– Mówię całkowicie poważnie – zapewniła Leilani Darvey. – Zabił mojego starszego brata i pogrzebał go w Montanie.

– Nakarmiłem nim niedźwiedzie – skorygował Preston. – Zawsze to robimy z niegrzecznymi

dziećmi.

Sinsemilla czule zwichrzyła włosy córki.

– Och, Lani, kochanie, czasami jesteś makabryczna. Powolnie, bardzo powolnie mrugająca Darvey zdawała się czekać ze zwiniętym językiem na jakąś nieświadomą zagrożenia muchę.

Droga mater odezwała się do jasnowłosego jaszczura:

– Tak naprawdę jej brata porwali kosmici, którzy teraz go leczą w tajnej bazie na ciemnej stronie Księżyca.

– Matka naprawdę wierzy w te głupoty – wyjaśniła Leilani – bo jest kompletnie porąbaną narkomanką, której kiedyś przepuszczono przez głowę miliard voltów.

Matka przewróciła oczami.

– Bzzzt, bzzzt – zabzyczała, naśladując prąd, roześmiała się i znowu zabzyczała: – Bzzzt, bzzzt! Preston Maddoc przemówił tonem surowego, lecz kochającego rodzica:

– Lani, wystarczy. To nie jest śmieszne. Sinsemilla skarciła pseudoojca spojrzeniem.

– Och, kochanie, daj spokój. Ona rozwija wyobraźnię. To dobrze. Do zdrowo. Nie jestem zwolenniczką tłumienia dziecięcej kreatywności.

– Jeśli wezwiesz policję i przysięgniesz, że widziałas, jak mnie bili – powiedziała Leilani do kelnerki – rozpoczną dochodzenie, a jak wszystko się skończy, zostaniesz bohaterką. Pokażą cię w telewizji i może nawet Oprah cię przytuli.

Darvey położyła rachunek na stole.

– Oto jeden z miliona powodów, dla których nie będę miała dzieci.

– Och, nie, nie mów tak – zaprotestowała Sinsemilla z uczuciem. – Darvey, nie odmawiaj sobie macierzyństwa. To taki naturalny odlot, a robienie dziecka wiąże cię z żyjącą Ziemią jak nic na świecie.

– Aha – mruknęła kelnerka i znowu ziewnęła. – Super. Kiedy jej człapanie ucichło w oddali, a Preston zostawił na stole hojny napiwek, Sinsemilla powiedziała:

– Lani, kochanie, te koszmary biorą się z tego, że czytasz za dużo głupich książek o złych świnioludach. Musisz poznać prawdziwą literaturę, która rozjaśni ci w głowie.

Oto rada matriarchini nowej paranormalnej ludzkości. W dodatku mówiła poważnie. Książki, które przedstawiały szlachetne świnię w złym świetle, zepsuły umysł Leilani i zapłodniły go koszmarnymi, paranoicznymi wyobrażeniami o losie Lukipeli.

– Mamo, jesteś zadziwiająca.

Stara Sinsemilla objęła Leilani i przyciągnęła ją do siebie, miażdżąc w uścisku, który jej zdegenerowany umysł uznał za objaw matczynej czułości.

– Czasami mnie niepokoisz, ty mały Klonkinatorze. – Po czym zwróciła się do Prestona: – Myślisz, że powinniśmy ją skierować na terapię?

– W odpowiednim czasie ulecą jej ciało i umysł – przepowiedział. – Dla wyższej pozaziemskiej inteligencji ciało i umysł to jedno.

Zwrócenie się do Darvey po pomoc okazało się fiaskiem, nie tylko dlatego, że czaszka kelnerki była zbyt pancerna, żeby przepuścić prawdę, lecz również dlatego, że po raz pierwszy Leilani zdradziła się przed Prestonem ze swoją niewiarą w historię o wniebowzięciu Lukipeli przez uzdrowicieli z Marsa czy Andromedy. Preston mógł wyczuwać jej podejrzenia, ale teraz zyskał pewność.

Wychodząc w ślad za matką z niszy, odważyła się zerknąć na niego. Mrugnęła.

O mało nie rzuciła się do ucieczki. Pomimo klamry na nodze potrafiła przebiec sto metrów prędko i z zaskakującą gracją, a potem już bez gracji, ale też szybko; jednak gdyby puściła się pędem między

stolikami i wypadła z restauracji, gdyby wpadła do kasyna, krzyżąc „On mnie chce zabić!”, personel i gracze na pewno najwyżej zaczęliby robić zakłady, jak daleko dobiegnie ta kaleka dziewczynka-cyborg, zanim zderzy się z kelnerką roznoszącą koktajle albo babcią grającą na jednorękim bandycie.

Dlatego nic nie zrobiła. Kiedy Darvey ziewnie nad napiwkami i pomyśli, że ta walnięta rozwyrzona kaleka ma szczęście, że jej ojciec jest tak hojny, ich zmotoryzowany dom będzie już mknął, zatankowany do pełna, po autostradzie między stanowej, coraz bardziej zbliżając się do Las Vegas.

Stara Sinsemilla, znowu na siedzeniu koło kierowcy, po względnie trzeźwym poranku i pogrzejającym obiedzie zaczęła, się przygotowywać do przyjęcia rozszerzających świadomość substancji, które musi zażywać każda odpowiedzialna producentka nadludzi o nadprzyrodzonej mocy psychicznej. Ścisnęła między kolanami ceramiczny aptekarski mózdzierz i tłuczkiem rozcierała na pył trzy tabletki.

Leilani nie miała pojęcia, co to za substancja, ale bez wahania wykluczyła aspirynę.

Królowa matka zakończyła ucieranie, zacisnęła prawe nozdrze wokół słomki z kutego srebra i wciągnęła porcję psychoaktywnej mączki. Następnie zmieniła nozdrze, by równomiernie rozłożyć nieuniknione uszkodzenia przegrody nosowej, będące rezultatem wchłaniania substancji toksycznych w ilościach przemysłowych.

Zabawę czas zacząć. Niech superdzieci zacząć się zmieniać w mutanty.

W Las Vegas skręcili w autostradę numer 95, ciągnącą się na północ wzdłuż zachodniej granicy Nevady. Przez dwieście pięćdziesiąt kilometrów sunęli równolegle do Doliny Śmierci, leżącej tuż za granicą Kalifornii. Za Doliną Śmierci teren wcale nie zrobił się bardziej zaludniony, podobnie jak za miastem Goldfield, a także dalej, gdy minęli Tonopah.

Trzymali się z dala od wschodniej części Nevady, gdzie oddziały rządowe zablokowały drogi i otoczyły kordonem setki kilometrów kwadratowych terenu w poszukiwaniu bossów narkotykowych, którzy według Prestona musieli być kosmitami. „Typowa rządowa dezinformacja”, mamrotał.

Leilani, przycupnięta we wnęce jadalnej, nie była zainteresowana dilerami ani Obcymi; z trudem skupiała uwagę na złych świnioludach z innego wymiaru, które niegdyś podbiły jej wyobraźnię. Była to trzecia część sześciotomowego cyklu, a ta frustrująca niemożność skupienia uwagi na akcji nie brała się stąd, że szynkonośne czarne charaktery utraciły fascynującą czerń, albo dlatego, że zabawni bohaterzy stali się mniej zabawni lub mniej bohaterscy. Ponieważ jej układy z Prestonem nabrały tak dramatycznego charakteru, nie mogła już się fascynować złowrogimi planami bekonowych złoczyńców. Za kierownicą Wietrzyka siedział odpowiednik świnioluda, miał na nosie ciemne okulary, w głowie okrutne plany i w porównaniu z nim nawet najstraszniejsze balerony wydawały się pozbawione inwencji i niegroźne.

W końcu zamknęła książkę i otworzyła dziennik, w którym opisała scenę w restauracji. Później, gdy samochód grzmiał, sunąc przez wyschnięte górskie przełęcze i doliny, uwieczniła przejście swojej matki przez różne, coraz bardziej niepokojące etapy odmiennych stanów świadomości. Wywołały je co najmniej dwa dodatkowe narkotyki, które mater dodała do utłuczonych tabletek.

W pobliżu Tonopah, trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Vegas, Sinsemilla przysiadła przy Leilani i zaczęła się przygotowywać do samookaleczenia. Rozłożyła na stoliku „ręcznik rzeźbiarski”, niebieski ręcznik kąpielowy, złożony kilkakrotnie, by podtrzymywać lewą rękę i chłonać rozbryzgi. W blaszanej puszcze po gwiazdkowych ciasteczkach, na której przykrywcę widniał bałwanek w cylinderku, znajdował się zestaw do samookaleczenia, w tym dezynfekcyjny alkohol, waciki, gaza, plastry, środek bakteriobójczy, żyłki, trzy skalpele różnego kształtu, a także czwarty, z wyjątkowo ostrym rubinowym

ostrzem, stosowany przy operacjach oczu, kiedy stal nie jest wystarczająco precyzyjna. Sinsemilla złożyła ramię na ręczniku i uśmiechnęła się do wzoru ze śniegowych płatków. Przez długie minuty kontemplowała tę zniekształcającą koronkę.

Leilani nie pragnęła być świadkiem tego szaleństwa. Chciała się ukryć, ale we wnętrzu samochodu brakowało bezpiecznych kryjówek. Nie wolno jej było wchodzić do sypialni, którą Sinsemilla dzieliła z Prestonem, a rozkładana sofa w salonie nie znajdowała się odpowiednio daleko. Gdyby Leilani schroniła się w łazience i zamknęła drzwi, matka mogłaby pójść za nią.

Tak, nauczyła się, że zdradzając choćby najdrobniejszy ślad odrazy lub dezaprobaty, ściągnie na siebie gniew matki, burzę, która nie uspokaja się łatwo. Co więcej, jeśli okaże zainteresowanie działalnością matki, Sinsemilla może ją oskarżyć o wścibstwo lub wywyższanie się, co pociągnie za sobą takie czy inne nieprzyjemności.

Najbezpieczniejszą taktyką wydawała się obojętność, nawet jeśli maskowała obrzydzenie. Dlatego teraz, gdy Sinsemilla zaczęła rozkładać narzędzia samoookaleczenia, Leilani skupiła się na dzienniku i zaczęła pisać z zapamiętaniem, bez chwili przerwy.

Tym razem obojętność okazała się nieskuteczną strategią. Leilani używała lewej dłoni do większości czynności w nadziei, że dzięki temu zdeformowane stawy zachowają maksymalną giętkość, a zrosnięte palce nabiorą zręczności. Dlatego nauczyła się pisać obiema rękami. Teraz pisała lewą, a matka przyglądała się jej z rosnącym zainteresowaniem. Leilani założyła w pierwszej chwili, że Sinsemilla jest zadowolona treścią zapisków, ale okazało się, że ta ciekawość bardziej pasowałaby domorosłemu rzeźbiarzowi z zamiłowaniem do rzeźnictwa.

– Mogę zrobić tak, że będzie ładna – odezwała się.

– Co ma być ładne? – spytała Leilani, nie przerywając pisania.

– Ta powykręcana dłoń, to kopytko świnioluda, które chce być ręką i jednocześnie raciczką, to małe-krzywe, małe-sękate, ten niedopieczony zakalec na końcu twojej ręki – to ma być ładne. Mogę tak zrobić, że będzie ładne i nawet więcej niż ładne. Mogę tak zrobić, że będzie piękne, stanie się dziełem sztuki, a ty nigdy więcej nie będziesz się go wstydzić.

Leilani uważała, że jej pancerz jest zbyt szczelny, by przepuścić ciosy matki. Czasami jednak atak nadchodził z tak niespodziewanego kierunku, że ostrze znajdowało szczelinę w zbroi, prześlizgiwało się po żebrach i wbijało w serce – szybki palący ból.

– Wcale się nie wstydzę – powiedziała, przerażona swoim napiętym głosem, ponieważ zdradził, że została zraniona, choćby tylko draśnięta. Nie chciała dawać matce tej satysfakcjonującej świadomości, że jej słowa spowodowały ból.

– Dzielna mała Lani i jej numer „nic mnie nie powstrzyma”, i jej sztuczka „nie jestem dynią, tylko księżniczką”. Mówię tu czystą prawdę, a ty jesteś z tych, co się upierają, że brzydkie stare śruby w szyi Frankensteina to piękna biżuteria od Tiffany’ego. Ja się nie boję powiedzieć „kaleka”, a tobie, dziecko, trzeba kontaktu z rzeczywistością. Musisz się pozbyć tego przekonania, że jeśli myślisz normalnie, to jesteś normalna, bo przez całe życie będziesz rozczarowana. Nigdy nie będziesz normalna, ale możesz być prawie normalna. Słyszysz?

– Tak. – Leilani zaczęła pisać szybciej, by zanotować każde słowo matki wraz z adnotacjami dotyczącymi rytmu i modulacji jej głosu. Traktując ten złośliwy monolog jak dyktando, mogła się odgrodzić od jego okrucieństwa, a jeśli zdoła odsunąć matkę od swoich emocji, nigdy więcej nie da się zranić. Zranić mogą ją tylko prawdziwi ludzie, ludzie, którzy są jej bliscy albo o których bliskości przynajmniej mogłaby marzyć. Więc trzeba ją nazywać „starą Sinsemillą”, „królową roju” i „drogą

mater”, uważać za obiekt kpin, podskakującą postać ze slapstickowej komedii, która nie myśli o tym, jak traktuje siebie i innych, bo jest tylko klaunem, a te głupoty, które wygaduje, nie mają żadnego znaczenia z wyjątkiem tego, że kiedyś Leilani umieści je w książce... jeśli dożyje.

– A żeby być prawie normalna – ciągnęła stara Sinsemilla, królowa roju, potraktowana elektrowstrząsami zaklinaczka węży, producentka czarodziejskich dzieci – musisz przyznać, że jesteś pokrecona. Musisz spojrzeć na tę swoją homarowo-kleszczową rękę, musisz naprawdę zobaczyć tę rękę, na której widok dzieci sikają ze strachu, a kiedy ją naprawdę zobaczysz, zamiast udawać, że wygląda jak rękę normalnych ludzi, kiedy przyznasz, że jesteś nieudana – wtedy zdołasz ją ulepszyć. A wiesz, jak ją ulepszyć?

– Nie – mruknęła Leilani, gwałtownie pisząc.

– Patrz.

Leilani podniosła wzrok znad dziennika. Sinsemilla przesunęła palcem po swoim ramieniu, po wzorze ze śniegowych płatków.

– Połóż tę świńską raciczkę na ręczniku do rzeźbienia, a zrobię tak, że będziesz piękna jak ja.

Sinsemilla, nakarmiona omletem z białek i tofu, po bankiecie z nielegalnych substancji chemicznych, nadal czuła głód, którego chyba nie da się zaspokoić. Jej twarz była ściągnięta głodem, jej spojrzenie miało zęby.

Leilani odniosła wrażenie, że spojrzenie Sinsemilli za chwilę ją oślepi. Spuściła wzrok na lewą rękę. Wyczuła, że uwaga Sinsemilli koncentruje się na jej zdeformowanych palcach i aż się zdziwiła, że nie pojawiają się na nich ślady ukąszeń, stygmaty psychicznego wampira.

Gdyby brutalnie odrzuciła ofertę upiększenia dłoni, mogłaby rozgniewać matkę. Ryzykowała, że objawiona przez nią chęć naznaczenia czyjejś skóry mogłaby się zmienić w obsesję i ciągnące się w nieskończoność nagabywanie.

W drodze do Idaho i, być może, także tego cichego zakątka Montany, w którym czekał na nią Luki, musiała zachować jasny umysł, by wychwycić pierwsze sygnały, że Preston Maddoc wkrótce da upust swoim morderczym skłonnościom, i by wykorzystać szansę ratunku, gdy tylko się ona pojawi.

Nie byłaby do tego zdolna, gdyby matka bez przerwy siedziała jej na głowie. W domostwie Maddoców spokój nie był łatwo osiągalnym towarem, ale musiała wynegocjować choćby chwilowe porozumienie w kwestii okaleczenia, jeśli miała zachować przytomność umysłu potrzebną do uniknięcia czegoś gorszego niż parę nacięć na skórze.

– Piękne – skłamała – ale czy nie bolało?

Sinsemilla wyciągnęła kolejny przedmiot z puszek po ciasteczkach: butelkę środka znieczulającego.

– Potrzyj tym skórę, to ci zdrętwieje i nie będziesz czuła najgorszego bólu. Trochę boleć musi, to cena urody. Wszyscy wielcy pisarze i malarze wiedzą, że piękno bierze się wyłącznie z bólu.

– Posmaruj mi palec – poprosiła Leilani, wyciągając prawą rękę i chowając lewą, którą matka zapragnęła poszatковать.

Jako wacik służył kłęb gąbczastego materiału, przymocowany na sztywnym drucie do wieczka pudełka. Płyn miał pieprzny zapach i oziębził miękka opuszkę palca wskazującego Leilani. Skóra zamrowiła i zdrętwiała, zmieniła się w kawałek gumy. Stara Sinsemilla przyglądała się jej czerwonoookim, zmrużonoookim, twarookim wzrokiem głodnej łasicy, obserwującej nieświadomego zagrożenia królika; Leilani odłożyła długopis i – doskonale świadoma zagrożenia – uniosła zdeformowaną dłoń, udając, że przygląda się jej w zamyśleniu.

– Twoje śniegowe płatki są ładne, ale chciałabym mieć własny wzór.



– Każde dziecko musi być buntownikiem, nawet mała Lani, nawet mała Panna Purytanka, co nie zje kawałka ponczowego ciasta, bo jeszcze by się zmieniła w bezdomną pijaczkę, kręci nosem na najbardziej niewinne przyjemności własnej matki, ale nawet mała Panna Zasadniczka musi być czasem buntowniczką, musi mieć własny wzór! Ale to dobrze, Lani, tak powinno być. Tylko głupie, nudne bachory chcą mieć takie same tatuaże jak ich mama. Ja też tego nie chcę. Psiakrew, zaraz potem zaczęłybyśmy się tak samo ubierać, tak samo czesać, chodzić na herbatki, piec ciasta na jakies głupie kościelne jarmarki, i Preston musiałby nas szybko zastrzelić, żeby nas wybawić od tego żalosego losu. O jaki wzór ci chodzi?

Leilani, nadal przyglądająca się swojej dłoni, spróbowała naśladować akcenty i rytmikę napiętnowanej narkotykami wypowiedzi matki, by przekonać królową roju, że łączy je niezwykła więź, a przyszłość kryje wiele czułych godzin wspólnych samookaleczeń.

– Nie wiem. Coś wyjątkowego, jak te wzory na skrzydłach gza, coś niesamowicie odłotowego, żeby wszystkim kopary zjechały, coś pięknego, lecz groźnego, strasznego, tak jak twoje zdjęcia rozjechanych zwierząt, coś, co mówi: „Odwalcie się, jestem mutantem i jestem z tego dumna”.

Stara Sinsemilla, zaciekle jak łasica, z błyskami w oczach i grzmotem zaczajonym w głosie, zrobiła psychiczne salto mortale, uwięziła łasicę, schowała nadciągającą burzę za szczytami swego szaleństwa i zmieniła się w kociątko, rozbawione dziewczątko.

– Tak! Pokaż palec światu, zanim świat cię uprzedzi, a w tym wypadku – ozdób palec! Może jednak odziedziczyłaś coś po mnie, słodka Leilani, może w twoich żyłach jednak płynie prawdziwa gęsta krew, choć już mi się wydawało, że to sama woda.

Samochód pędził osiemdziesiątką, niebo nad Nevadą miało kolor spłowiałego błękitu, rozpalone do białości słońce opadało powoli jak młot ku kowadłu gór na zachodzie, tancerki hula kołysały biodrami w rytmie kół, a Leilani i jej matka pochyliły się nad stołem jak nastolatki plotkujące o chłopakach albo wymieniające się poradami na temat makijażu i mody, choć tak naprawdę krążyły wokół wzorów, mających ozdobić i tak już dziwną rękę.

Sinsemilla upodobała sobie szczególnie pewien projekt, mający powstawać przez wiele lat: obsceniczne słowo wypisane pod różnymi kątami, pokrywające wszystkie palce, owijające girlandami dłoń, rozprzestrzeniające się w obraźliwych promieniach na śródreżu – Leilani знаła to słowo, ponieważ nauczyła się szczegółowej budowy ręki, żeby lepiej zrozumieć swoją odmienność.

Udając, że pomysł przemiany dłoni w żywy transparent z demonicznymi, występnyymi hasłami wydaje się jej zabawny, Leilani podsunęła matce inne możliwości: wzory kwiatowe, liściaste, egipskie hieroglify, szeregi liczb, których magiczne znaczenie kryło się w podręcznikach numerologii...

Po prawie czterdziestu minutach zgodziły się, że to wyjątkowe tworzywo, jakim stała się „potworna dłoń” Leilani (zgodnie z określeniem drogiej mater), nie może zostać zmarnowane. I choć byłoby strasznie fajnie od razu zacząć się nurzać w środku znieczulającym i bez dalszej zwłoki zabrać się do cięcia skalpelami i zyletkami, obie uznały, że wielka sztuka wymaga nie tylko bólu, ale i kontemplacji. Gdyby Richard Brautigan wymyślił i napisał „In Watermelon Sugar” jednego letniego popołudnia, książka byłaby tak prosta, że Sinsemilla pojęłaby jej przesłanie po pierwszym czytaniu i nie odkrywałaby tych cudownych tajemnic drogą tak wielu wysiłków. Przez parę dni będą teraz rozmyślać nad projektem i konsultować się w sprawie wzoru.

Leilani nadała tej odmianie sztuki nazwę, biorzeźbiarstwo, mającą przyjemniejszy wydźwięk niż samookaleczenie. Artystka drzemiąca w starej Sinsemilli zadrżała z zachwytu na dźwięk tego awangardowego terminu.

Niebezpieczeństwo poważnego sinsemillowego sztormu zostało zażegnane tak pomyślnie, że droga mater spakowała znowu przyrządy, nie wykorzystawszy skalpela ani na ręce Leilani, ani na śniegowym fryzie na swoim ramieniu. Na jakiś czas straciła rzeźnicki apetyt.

Ale apetyt innego rodzaju przyciągnął ją do szuflady lodówki, z której wyjęła plastikową torbę pełną suszonych grzybków, raczej niezalecanych jako dodatek do sałatek. Zanim zainstalowali się na kempingu przy motelu z kasynem w Hawthorne, królowa matka zdołała już wydzielić z siebie halucynogenną mgiełkę. Mgiełka ta miała taką intensywność, że gdyby skupić ją w promień tak wąski, jak lasera z Gwiazdy Śmierci Dartha Vadera, zdołałaby zmienić Księżyc w parę.

Sinsemilla legła na podłodze w salonie, spoglądając na uśmiechniętego boga słońca na suficie, łącząc się z tym do starczycelem ciepła i promieni, złocących fale na dalekich wyspach, i przemawiała do niego, to po angielsku, to znowu po hawajsku. Oprócz kwestii mistycznych i duchowych, wśród tematów, które postanowiła przedyskutować z pulchnym bóstwem, znalazły się jej poglądy na temat najnowszych boys-bandów, rozważania, czyjej dzienna dawka selenu jest wystarczająca, przepisy na produkcję tofu, analiza fryzur, które będą najkorzystniej uwydatniać kształt jej twarzy, a także pytanie, czy Kubuś Puchatek z „Chatki Puchatka” nie był czasem potajnym palaczem opium z wtórnym uzależnieniem od prozacu.

O zachodzie słońca doktor Zagłada przeszedł nad swoją żoną, która nie zwróciłaby na niego uwagi, nawet gdyby przemaszerował po niej, i wyszedł po kolację dla całej trójki, zostawiwszy Leilani w towarzystwie mamroczącej, mruczającej, chichoczącej matki oraz zasilanych baterijkami tancerek hula, w nieskończoność kołyszących biodrami.

Piątkowy wieczór w Twin Falls w Idaho nie różni się specjalnie od sobotniego, poniedziałkowego albo środowego wieczoru w Twin Falls w Idaho. Idahijczycy nazywają swoją ojczyznę Stanem Klejnotów, być może dlatego, że to tutaj znajdują się wielkie złoża granatów; głównym pod względem objętości miejscowym produktem są ziemniaki, ale nikt z minimalnym poczuciem godności obywatelskiej oraz wyczuciem towarzyskim nie chciałby nazywać swojej ojczyzny Stanem Ziemniaczanym. To w Idaho można znaleźć najbardziej zapierające dech w piersiach górskie krajobrazy, choć nie w okolicach Twin Falls. Ale nawet wizja fantastycznych widoków alpejskich nie wyzwala w Curtisie Hammondzie turystycznych instynktów, gdyż tego wieczora woli on domowe wygody. Poza tym żaden cud natury czy dzieło ludzkich rąk nie mogą się równać ze zdumiewającym pięknem przygotowujących kolację Castorii i Polluksji.

W identycznych piżamach z jedwabiu w kolorze chińskiej czerwieni, z rozszerzającymi się ku dołowi rękawami i nogawkami, jeszcze wyższe w sandałach na platformach wysadzanych granatowymi iskrzącymi się brylancikami, z paznokciami – mi u rąk i nóg już nie lazurowymi, lecz karmazynowymi, ze lśniąco złotymi włosami zaczesanymi w koki, z długimi spiralnymi lokami obramowującymi ich twarze, suną, obracają się i lawirują w ciasnej przestrzeni, w niezwykle sposób w każdej chwili świadome, gdzie znajduje się ta druga, popisują się choreografią, która wzbudziłaby zachwyt Busby Berkeleya, i przygotowują ucztę z mandaryńskich i sycuańskich przysmaków.

Wspólne zainteresowanie sztuką kulinarną oraz efektownym używaniem noży w sposób charakterystyczny dla niektórych japońskich kucharzy, wspólne zainteresowanie numerami polegającymi na rzucaniu tomahawkami i toporkami w jaskrawo odziane asystentki na obracających się tarczach strzelniczych oraz wspólne zainteresowanie samoobroną, zakładającą użycie najrozmaitszych ostrych i spiczastych narzędzi, pozwoliło bliźniaczkom przygotować kolację w sposób tak efektowny, że z całą pewnością ich telewizyjny program kulinarny, gdyby go prowadziły, odniósłby fantastyczny sukces. Ostrza błyskają, stalowe czubki mrugają, ząbkowane krawędzie migoczą serpentynami światła, kroją selery, szatkują cebulę, filetują kurczaka, ćwiartują wołowinę, tną sałatę...

Curtis i Stary Rudzielec siedzą obok siebie w kąciku jadalnym w kształcie podkowy, zafascynowani siostrzanym stylem efektownego gotowania, szeroko otwartymi oczami śledząc ruch krzeszących iskry ostrzy fruujących w powietrzu w sposób, który każe się spodziewać powstania śmiertelnych ran. Najdoskonalsze tancerki, specjalizujące się w skokach i piruetach pomiędzy błyskającymi mieczami, na widok występu bliźniaczek poczułyby się upokorzone. Wkrótce staje się jasne, że można się spodziewać przepysznych posiłku, a w trakcie przygotowań nikt nie straci palców ani głowy.

Siostrzyczka Curtisa zasługuje na miejsce przy stole z wielu powodów, w dużej mierze ze względu na to, że pomogła im uratować życie, ale również dlatego, że została wykąpana. Po siedmiogodzinnym wypoczynku i przed wzięciem prysznicą Poiły i Cass wyszorowały psinę w wannie, ułożyły jej fryzurę za pomocą dwóch tysiączsześćsetwatomowych suszarek, uczesały ją imponującą kolekcją instrumentów do pielęgnacji włosów i rozpyliły na jej sierści dwa małe obłoczki White Diamonds Elizabeth Taylor. Stary Rudzielec siedzi dumnie u boku Curtisa, puszysta i uśmiechnięta od ucha do ucha, pachnąca właśnie tak, jak muszą pachnieć piękne gwiazdy filmowe.

Jak szkarłatne motyle, jak płomyki ognia, lecz tak naprawdę jak one same i nikt inny, bliźniaczki stawiają na stole tak wiele wonnych i pysznych potraw, że aż trudno je pomieścić; niektóre zostają na kuchennej szafce, gdzie będą czekać na swoją kolej. Siostry przynoszą także strzelbę kalibru 12 oraz

dziwięciomilimetrowy pistolet, ponieważ od wydarzeń na rozdrożu w Nevadzie nigdzie, nawet do łazienki, nie ruszają się bez broni.

Siostry otwierają sobie butelki piwa Tsingtao i butelkę piwa bezalkoholowego dla Curtisa, żeby zdołał się mniej więcej zorientować w walorach dobrego chińskiego jedzenia połączonego z zimnym piwem. Talerze są kopiaste, a siostry mają apetyt jeszcze większy niż Curtis, choć chłopiec musi jeść nie tylko, żeby przeżyć, lecz także by wyprodukować dodatkową energię niezbędną do kontrolowania tej biologicznej struktury i dalszego bycia Curtisem Hammondem, co nadal nie przychodzi mu w naturalny sposób.

Stary Rudzielec dostaje kawałki wołowiny i kurczaka na talerzu, jak każdy gość. Curtis wykorzystuje psio-chłopięce połączenie, by ją powstrzymać od pożarcia wszystkiego od razu, co leży w psiej naturze, i skłonić do spożywania mięsa po kawałku, rozkoszowania się każdym kęsem. Psina początkowo uważa takie tempo za dość dziwne, ale wkrótce spostrzega, że posiłek daje więcej przyjemności, kiedy nie pochłania się go w czterdzieści pięć sekund. Nawet gdyby potrafiła używać sztućców, trzymać porcelanową filiżankę w łapie, odchylając pazur jak mały paluszek, i konwersować nieskazitelną angielszczyzną arystokratki, która ukończyła najlepsze szkoły, nie mogłaby się zachowywać bardziej dystygowanie niż podczas tej chińskiej uczy.

Przez cały posiłek siostry zabawiają ich rozmową, wspominają przygody, które przeżyły podczas skoków ze spadochronem, ujeżdżania dzikich koni, polowania na rekiny, zjeżdżania na nartach po zboczach nachylonych pod kątem siedemdziesięciu stopni, skoków na parolotni z wysokościowców oraz bronienia swojej czci na snobistycznych hollywoodzkich przyjęciach, na które uczęszczają, według określenia Poily, „drapieżne hordy łapczywych, napalonych, naćpanych, ogłupiałych, obleśnych gwiazd i słynnych reżyserów”.

– Niektórzy byli mili – mówi Cass. Poily się z nią nie zgadza.

– Z całym szacunkiem i uczuciem, Cassie, ty byś znalazła kogoś miłego nawet na zjeździe nazistowskich kanibali, w wolnym czasie mordujących małe kotki.

Cass zwraca się do Curtisa:

– Kiedy opuściłyśmy Hollywood, dokonałam wyczerpującej analizy naszych doświadczeń i określiłam, że sześć i pół procent pracowników przemysłu filmowego to osoby dobre i zdrowe psychicznie. Przyznaję, że reszta to ludzie źli, choć cztery i pół procent to jednostki przy zdrowych zmysłach. Ale nie wolno potępiać całego środowiska, nawet jeśli w ogromnej większości składają się na nie szalone świni.

Kiedy wszyscy najedli się do syta, talerze znikają ze stołu, pojawiają się dwie nowe butelki tsingtao i jedna z piwem bezalkoholowym, dla Starego Rudzielca miska z wodą, zapalają się świece, gaśnie światło elektryczne; Cass uznaje, że sceneria jest „rozkosznie straszna”, bliźniaczki wracają do kącika jadalnego, zaciskają dłonie na szyjkach tsingtao, pochylają się nad stołem i spoglądają przenikliwie na swoich gości, chłopca i psinę. Cass mówi:

– Jesteś kosmitą, prawda, Curtisie? Poily mówi:

– Ty też jesteś kosmitką, prawda, Stary Rudzielcu? I obie dodają:

– No to nawijajcie, E.T.

Czekając, aż doktor Zagłada wróci z kolacją, starając się nie słuchać świrniętego monologu matki, Leilani siedziała na fotelu koło kierowcy, przy panoramicznej przedniej szybie, i przyglądała się zachodowi słońca. Hawthorne było prawdziwym pustynnym miasteczkiem, wzniesionym na rozległej równinie i otoczonym surowymi górami. Słońce, pomarańczowe jak smocze jajo, rozbiło się o szczyty na zachodzie i rozlało szkarłatne żółtko. Na tym płomiennym tle góry przez chwilę przystroiliły się w złoto przynależne władcom, po czym powoli zdjęły lśniące korony i zasłoniły swe zbocza koszulami nocnymi w kolorze królewskiego błękitu.

Preston już wie, że Leilani sądzi, iż to on zamordował Lukipekę. Jeśli dotąd nie zamierzał pozbyć się jej w Idaho lub podczas wyprawy do Montany, od obiadu zmienił zdanie.

Szkarłatny zmrok wsączył się w niebo na zachodzie i zniknął, zmyty nadchodzącym przyływym zrodzonego na wschodzie mroku. Znad pustyni uniosła się zasłona skumulowanego upału, od której fioletowe góry zadrżały jak krajobrazy w halucynacyjnych fantazjach drogiej mater.

Kiedy zmrok ocienił okna i w domu na kótkach zapadły ciemności, rozpraszane tylko słabym światłem lampy w salonie, stara Sinsemilla przestała mamrotać, przestała chichotać i zaczęła szeptać do boga słońca lub innych duchów, niewidocznych na suficie.

Pomysł biorzeźbienia dłoni córki padł na żyzne bagno umysłu Sinsemilli. To ziarno wypuści kielek, a kielek zacznie rosnać.

Leilani bała się, że matka, posiadaczka rozległej kolekcji farmaceutyków, doprawi czymś jej mleko lub sok pomarańczowy, dosypie jakichś prochów. Już sobie wyobrażała, jak się budzi, oszołomiona, zdezorientowana, i odkrywa, że Sinsemilla była bardzo zajęta pracami rzeźbiarskimi.

Wzdrygnęła się; na zachodzie zgasły ostatnie promienie słońca. Noc na pustyni jest ciepła, ale po kręgosłupie Leilani co chwila przelatywał dreszcz.

Gdyby matkopodobny stwór wpadł w zły humor, spowodowany podejrzanym grzybkiem lub źle skomponowanym koktajlem chemicznym, mógłby uznać, że uślicznienie dłoni Leilani nie poprawi jej wyglądu, że łatwiejsze, ciekawsze i bardziej twórcze będzie wyrzeźbienie jej zdrowych części ciała tak, by pasowały do zdeformowanej dłoni i powykręcanej nogi. Wówczas Leilani mogłaby się obudzić w bólu, z obscenicznymi wyrazami wyciętymi na twarzy.

To dlatego ze wszystkiego żartowała, to dlatego kpiny i modlitwy były dla niej jednakowo ważne. Skoro nie zdołała znaleźć srebrzystego śmiechu, jasnego i migotliwego, zadowolili ją jego ciemniejszą odmianą, zimną, lecz niosącą pociechę, bo gdyby śmiech znalazł się zupełnie poza jej zasięgiem, przerażenie i brak nadziei zmiażdżyłyby ją swoim ciężarem i byłoby już wszystko jedno, czy z technicznego punktu widzenia jest jeszcze żywa, bo jej serce by już umarło.

Ale śmiech, jakikolwiek, stawał się coraz bardziej deficytowym towarem.

Opętana wizjami królowa roju szeptała, szeptała, nie leżąc już na plecach, nie zwracając się już twarzą do uśmiechniętego słonecznego boga, lecz skulona w pozycji płodu na podłodze, przemawiała jakby dwoma różnymi głosami, choć oba były ściszone jak głosy kochanków. Jeden należał do niej, drugi brzmiał głębiej, był bardziej chrapliwy, dziwny, jakby rozmawiała z demonem, który ją opętał i przemawiał jej ustami.

Leilani, siedząc w fotelu koło kierowcy, odwrócona plecami do salonu, nie rozróżniała szeptanych słów starej Sinsemilli ani jej alter ego. Z szemrzącego nurtu dialogu wyłaniały się tylko dwa powtarzane słowa, choć Leilani prawdopodobnie je sobie wyobrażała, karmiąc bezsensownym bełkotem własną

paranoję. *Ta dziewczynka*, zdawała się szeptać Sinsemilla, a demon później także to powtórzył, z żądzą płynącą prosto z trzewi, *ta dziewczynka*.

To z pewnością tylko wyziewy wyobraźni, bo gdy Leilani zaczęła nasłuchiwać uważnie, przekrzywiając głowę na lewo lub prawo, albo kiedy odwracała się razem z fotelem w stronę złożonej w pół sylwetki na podłodze, słyszała tylko nic nieznaczące mamrotanie, jakby królowa roju wróciła do owadziego języka albo pod wpływem grzybkowego boga mówiła językami, których nie sposób zrozumieć. Jednak kiedy znowu się odwracała, kiedy jej myśli krążyły wokół Idaho i środków samoobrony, kiedy nie wsłuchiwała się pilnie w bełkot starej Sinsemilli, wydawało się jej, że słyszy lub znowu słyszała to, czego się bała najbardziej: *ta dziewczynka... ta dziewczynka...*

Potrzebny jej nóż.

Lukipela odjechał z Prestonem Maddokiem w mrok Montany, by nigdy nie wrócić, i tej pierwszej nocy po zniknięciu brata Leilani zakradła się do kuchni domu na kółkach i ukradła z szuflady nóż o ośmiocentymetrowym ostrzu. Jako broń zajmował lokatę niższą niż rewolwer kalibru.38 lub miotacz płomieni, lecz w przeciwieństwie do tych zachwycających narzędzi był łatwiejszy do zdobycia i ukrycia.

Parę dni później zrozumiała, że Preston nie zamierza jej wysłać w gwiazdy w najbliższej przyszłości, być może aż do dnia poprzedzającego jej dziesiąte urodziny w lutym. Gdyby usiłowała przez piętnaście miesięcy nosić przy sobie nóż, w końcu mogłaby go upuścić albo w jakiś inny sposób zdradzić, że spodziewa się walczyć o własne życie.

Bez elementu zaskoczenia ten nóż byłby tylko trochę bardziej skuteczny od walki gołymi rękami.

Zastanawiała się, czy nie odnieść go na miejsce do kuchni, ale bała się, że w razie kryzysu, gdyby obudziła podejrzenia i znalazła się pod ścisłą obserwacją, mogłaby nie mieć szans zbliżyć się do szuflady.

Dlatego ukryła nóż w materacu składanej sofycy, na której sypiała. Uniosła róg materaca i zrobiła sześciocentymetrowe nacięcie w pokryciu. Wsunąwszy w nie nóż, zakleiła rozcięcie dwoma kawałkami taśmy izolacyjnej.

Zmiana pościeli i pranie należały do jej obowiązków. Dlatego nikt poza nią nie powinien zauważyć zaklejonego taśmą rozcięcia.

W środku nocy, kiedy Preston i stara Sinsemilla będą twardo spać, Leilani znowu podniesie róg materaca, oderwie taśmę, którą przykleiła tu dziewięć miesięcy temu i wyjmie nóż. Aż do Idaho – i podczas wycieczki z Prestonem w lasy Montany, jeśli do tego dojdzie – będzie chodziła z nożem przyklejonym do ciała.

Na samą myśl o dźgnięciu kogoś nożem dostawała mdłości, nawet jeśli miał to być doktor Zagłada, który na studiach na pewno dostał tytuł „Najbardziej prawdopodobny kandydat do zasztyletowania”, i to tylko dlatego, że nie było kategorii „Najbardziej zasługujący na zasztyletowanie”. Leilani była twarda jak wszyscy, jednak ten typ twardości, który zakłada użycie przemocy i wymaga skłonności do okrucieństwa, był nadal poza jej zasięgiem.

Ale i tak przyklei sobie ten nóż.

W końcu nadejdzie pora działania, a ona zrobi wszystko, żeby się bronić. Była okaleczona w mniejszym stopniu niż Luki; zawsze była od niego silniejsza. Kiedy wreszcie nadejdzie ta niechciana chwila sam na sam z pseudoojcem, kiedy Preston odrzuci maskę, którą się posługuje na co dzień, i odsłoni prawdziwą, makabryczną twarz, być może czekają śmierć równie okropna jak śmierć słodkiego Lukiego, ale ona nie podda się bez walki. Może nie starczy jej odwagi, żeby posłużyć się nożem, ale stoczy walkę, jaką Preston Maddoc długo zapamięta. Jęk starej Sinsemilli skłonił ją do odwrócenia się z fotelem w stronę salonu.

W łagodnym świetle lampy Sinsemilla przewróciła się na brzuch. Leżała z podniesioną głową, spoglądając na ciemną kuchnię. Potem, jakby trafiła tu ze sklepu zoologicznego w pudełku z wentylacyjnymi dziurkami, popęzła na brzuchu w głąb domu.

Leilani przyglądała się, jak matka dociera do lodówki i otwiera jej drzwi. Sinsemilla nie chciała niczego z niej zabrać, ale nie potrafiła wstać, żeby dosięgnąć włącznika żarówki pod sufitem i nad zlewem. W stożku lodowatego światła, zwężającego się w miarę, jak drzwi lodówki powoli się zamykały, podpełzła do szafki, w której – szczęśliwie na poziomie podłogi – znajdował się zapas alkoholu.

Coś powstrzymywało Leilani, gdy powoli podniosła się z siedzenia i poszła za matką. Jej opancerzona noga nie poruszała się ze zwykłą płynnością, utykała niezdarnie, tak jak wtedy, gdy Leilani chciała w ramach dowcipu uwydatnić swoje kalectwo.

Kiedy dotarła na miejsce, drzwi lodówki się już zamknęły. Włączyła halogen nad zlewem.

Stara Sinsemilla wydostała już litr tequili. Siedziała na podłodze oparta plecami o szafkę, trzymała butelkę między udami i usiłowała ją otworzyć, jakby zakrętka była tworem futurystycznej technologii, przekraczającej możliwości człowieka dwudziestego pierwszego wieku.

Leilani wyjęła z górnej szafki plastikową szklankę. Wszystkie naczynia do napojów w Wietrzyku były plastikowe, wyłącznie dlatego, że w takich chwilach Sinsemilla mogłaby się skaleczyć prawdziwym szkłem.

Leilani wrzuciła do szklanki lód i plasterki limonki.

Matkopodobna z radością wypiłaby tequilę ciepłą, bez szklanki, ale konsekwencje takiego postępowania zawsze były smutne. Z gwinta zawsze piło się jej za szybko i za dużo. Potem to, co się znalazło w środku, wracało na zewnątrz, a Leilani musiała sprzątać.

Dopóki Leilani nie wyciągnęła ręki po butelkę, Sinsemilla nie zdawała sobie sprawy, że ma towarzystwo. Oddała tequilę bez oporu, ale skuliła się w kącie szafek i zasłoniła twarz rękami. Po policzkach niespodziewanie potoczyły się łzy, jej usta zadrżały pod słonymi strugami.

– To tylko ja – odezwała się Leilani, sądząc, że matka nadal pozostaje w odmiennym stanie świadomości i przebywa nie tyle w kuchni, ile w jakiejś pokręconej odmianie prawdziwego świata.

Sinsemilla, z twarzą ściągniętą grymasem, z głosem pełnym cierpienia, wygłosiła bolesne błaganie o zrozumienie:

– Nie, czekaj, nie, nie... chciałam tylko troszkę razowca z masłem...

Na dźwięk słowa „razowiec” dłoń Leilani nerwowo zastukała szyjką butelki o plastikową szklankę.

Kiedy budziła się i przy łóżku nie znajdowała stalowej podpory, kiedy była zmuszona przejść przez trudną i upokarzającą zabawę „Gdzie jest klamra?”, matka zwykle była szalenie rozbawiona widokiem jej wysiłków, lecz upierała się także, że w ten sposób uczy ją polegania tylko na sobie i przypomina, że życie „częściej rzuca w ciebie kamieniami niż razowcem z masłem”.

To szczególne stwierdzenie wyglądało na jedno z wielu w skarbnicy mądrości starej Sinsemilli. Leilani doszła do wniosku, że ten razowiec z masłem nie ma tu większego znaczenia, że równie dobrze można by go zastąpić makaronikami, pieczonymi piankami albo herbacianymi różami, bez różnicy.

Skulona na podłodze Sinsemilla, spoglądając spoza rozstawionych palców, wyraźnie spodziewając się ataku, ponowiła błaganie:

– Nie, nie, nie... błagam, nie.

– To ja.

– Błagam, błagam, nie.

– Mamo, to ja, Leilani. Leilani.

Nie chciała dopuszczać do siebie myśli, że matka może nie przeżywać jakiejś narkotycznej fantazji, lecz własną przeszłość, ponieważ to by dowodziło, że kiedyś się bała, cierpiała i błagała o łaskę, której jej nie okazano. To by znaczyło, że zasługuje nie tylko na pogardę, lecz także odrobinę współczucia. Leilani często litowała się nad matką. Litość pozwalała zachować bezpieczny emocjonalny dystans, ale współczucie łączyło się z cierpieniem, pokrewnym doświadczeniem, a ona nigdy, przenigdy nie zamierzała wybaczyć matce w takim stopniu, by okazać jej współczucie.

Wstrząsane dreszczami ciało Sinsemilli załomotało o drzwi szafki, o które się opierała; każdy łomot zaburzał rytm jej oddechu, więc wdychała i wydychała powietrze krótko i gwałtownie, jednocześnie wyrzucając z siebie gorączkowe, zdyszane słowa:

– Błagam, błagam, błagam. Chciałam tylko razowca z masłem. Razowca. Razowca z masłem.

Leilani przyklękła na zdrowe kolano, wyciągnęła szklanę z lodem i limonką – tak jak lubiła droga mater.

– Masz, czego chciałaś. Weź. No masz.

Dwa wachlarze drżących palców osłaniały twarz Sinsemilli. Jej oczy, błyskające zza rozcapierzonych palców, były błękitne jak zawsze, lecz naznaczone bezbronnością i przerażeniem, których nigdy dotąd nie okazywała. Nie był to szalony strach przez nieistniejącymi potworami, czasami ścigającymi ją podczas odlotów, lecz bardziej ponure przerażenie, którego nie stępił upływ lat, które przeżarto jej serce, spaczyło umysł, strach przed jakimś potworem, który jeśli nawet już nie nawiedzał tego świata, to kiedyś istniał naprawdę.

– Tylko razowca. Tylko z masłem.

– Weź, mamusiu, to tequila, dla ciebie – nalegała Leilani głosem równie drżącym jak głos matki.

– Nie rób mi krzywdy. Nie, nie, nie.

Leilani przycisnęła szklanę do dłoni osłaniających twarz matki.

– Masz ten swój cholerny razowiec z masłem, mamusiu, no weź. No bierz, do cholery!

Jeszcze nigdy dotąd nie krzyknęła na matkę. Te cztery ostatnie słowa, wykrzyczane w bezradności, wstrząsnęły nią i napełniły przerażeniem, bo zdemaskowały wewnętrzną rozterkę bardziej, niż chciałaby przyznać. Ale to nie wystarczyło, żeby wyrwać Sinsemillę ze wspomnień.

Dziewczynka wcisnęła szklanę między uda matki, obok butelki.

– Masz. Trzymaj. Trzymaj. Jak przewrócisz, sama będziesz sprzątać.

Potem raptem jej cyborgowa noga się zepsuła, a może w panice zapomniała, jak obsługiwać ten mechanizm wokół kończyny – w każdym razie pozostała w pokornym przykłęku przed upadłym wcieleniem macierzyńskiej miłości, a Sinsemilla dalej szlochała, zasłaniając twarz rozcapierzonymi palcami. Kuchnia zaczęła się zmniejszać, aż stała się ciasna jak konfesjonał, aż zaczęło się wydawać, że klaustrofobiczne ciśnienie wydusi z Sinsemilli niechciane wyznania i zmusi Leilani do zrozumienia goryczy tak głębokiej i palącej, że jeśli zacznie się nad nią zastanawiać, utonie jak w bagnie.

Gorączkowo pragnąc się wyzwolić z dławiącej aury matki, chwyciła się najbliższej szafki, klamki lodówki i wydzwignęła się do pozycji stojącej. Obróciła się na chorej nodze, odepchnęła od lodówki i pokuśtykała na front Wietrzyka, jakby znajdowała się na pokładzie tonącego statku.

Częściowo wpełzła, częściowo upadła na fotel, zacisnęła pięści na kolanach, zacisnęła zęby, zdławiła cisnący się jej do gardła krzyk, przegryzła go, przełknęła, powstrzymała łzy, które mogłyby rozpuścić wszystkie tak jej potrzebne mechanizmy obronne; dyszała szybko, staccato, potem głębiej, wolniej, potem jeszcze wolniej, odzyskując panowanie nad sobą jak zawsze, bez względu na rodzaj prowokacji czy rozczarowania.



Dopiero po paru minutach zdała sobie sprawę, że siedzi za kierownicą, że wybrała to miejsce nieświadomie, by stworzyć iluzję panowania nad sytuacją. Nie mogła uruchomić silnika i odjechać. Nie miała kluczyka. Miała tylko dziewięć lat i musiałyby usiąść na poduszce, żeby coś widzieć nad kierownicą. Choć dzieckiem była tylko w sensie metrykalnym, choć nigdy nie pozwolono jej być dzieckiem, wybrała to siedzenie tak, jak każde dziecko, które udaje, że ma nad czymś kontrolę. Jeśli udawanie siły ma być jej jedyną siłą, tak jak udawanie wolności ma być jedyną znaną jej wolnością, lepiej mieć bogatą wyobraźnię i czerpać jakąś satysfakcję z tego udawania, ponieważ być może jest to jedyna dostępna jej satysfakcja. Rozwarła zaciśnięte dłonie i chwyciła kierownicę tak kurczowo, że ręce niemal natychmiast zaczęły ją boleć. Nie rozluźniła chwytu.

Mogła znosić wyczyny starej Sinsemilli, mogła po niej sprzątać, być jej posłuszna na tyle, by nie krzywdzić siebie i innych, mogła się nad nią litować, traktować ją ze zrozumieniem, nawet się za nią modlić, ale nie mogła wycisnąć z siebie współczucia. Jeśli istniały ku temu jakieś powody, nie chciała ich znać, bo współczując, musiałyby zrezygnować z dystansu, dzięki któremu zdołała przeżyć w tej ograniczonej przestrzeni. Bo współczując, mogłaby się dać wciągnąć w wir chaosu, wściekłości, narcyzmu i rozpaczy, który był Sinsemillą. Bo, cholera, nawet jeśli to stare matkopodobne stworzenie także cierpiało w dzieciństwie lub później, nawet jeśli to cierpienie zmusiło ją do szukania ucieczki w narkotykach, to miała tyle samo wolnej woli jak wszyscy inni, tyle samo siły, by się sprzeciwić złym wyborom i łatwym pocieszeniom. A jeśli uważała, że nie musi tego robić ze względu na samą siebie, to musiała wiedzieć, że jest to winna swoim dzieciom, które nigdy nie chciały być czarodziejskie ani w ogóle nie chciały się pojawić na tym świecie. Nikt nigdy nie zobaczy naćpanej Leilani Klonk, pijanej do nieprzytomności, leżącej we własnych wymiocinach, we własnym moczu, na Boga, nigdy, nikt, pod żadnym pozorem. Będzie mutantem, proszę bardzo, ale nie robi z siebie widowiska. Współczucie dla matki? To za wiele, dobry Boże, za wielkie wymagania, za wielkie, i nie znajdzie go w sobie, bo musiałyby je okupić tym bezcennym sanktuarium w swoim sercu, tym malutkim zakątkiem spokoju, w którym kryła się w najcięższych czasach, wewnętrznym zakątkiem, do którego matka nie miała dostępu, w którym nie istniała i w którym właśnie dlatego pozostała odrobina nadziei.

Poza tym, gdyby dała jej to współczucie, nie mogłaby go odmierzyć; znała samą siebie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że odkręci kurek do oporu. Co więcej, gdyby pozwoliła sobie na współczucie dla matkopodobnej, straciłaby niezbędną czujność. Nie byłaby już tak ostrożna. Przestałaby się spodziewać narkotyków w mleku. Mogłaby się obudzić z głębokiej narkozy i odkryć, że jej dłoń jest pokryta obscenicznymi wyrazami albo że jej twarz jest zdeformowana tak, by pasowała do ręki. Nawet cała rzeka współczucia nie obmyje matki z nałogów, złudzeń, uzależnień. Żałosny potwór to jednak ciągle potwór.

Leilani siedziała za kierownicą, ściskając ją ze wszystkich sił. Nie mogła odjechać, ale przynajmniej nie ześliznęła się w przepaść, która od tak dawna chciała ją pochłonąć.

Musi mieć ten nóż. Musi się przygotować na to, co nadchodzi, musi być silniejsza niż kiedykolwiek. Musi mieć Bożą miłość i przewodnictwo, więc zwróciła się do Stwórcy o pomoc i trzymała się mocno kierownicy, mocno, mocno, mocno.

I tak oto Curtis Hammond, roztrząsając swój moralny dylemat, siedzi w miejscu, w którym nigdy nie spodziewał się znaleźć: w domu na kółkach w Twin Falls w Idaho. Biorąc pod uwagę wszystkie egzotyczne, efektowne, niebezpieczne i wprost niemożliwe miejsca we wszechświecie, które odwiedził, to otoczenie wydaje się najbardziej przyziemną dekoracją do przeżywania największego kryzysu etycznego w życiu. „Przyziemny” nie odnosi się, oczywiście, do sióstr Spenkelfelter, lecz do otoczenia.

Jego matka była posłem nadziei i wolności w walce toczącej się nie tylko między planetami, lecz wręcz galaktykami. Toczyła walki z zabójcami z ras o wiele bardziej krwiożerczych niż fałszywe małżeństwo ze sklepu na rozstajach, niosła światło wolności i rozpaczliwie potrzebnej nadziei niezliczonym duszom, poświęciła życie rozpraszaniu mroków ignorancji i nienawiści. Curtis niczego nie pragnie bardziej niż kontynuowania jej dzieła i wie, że szansa sukcesu kryje się w przestrzeganiu jej zasad i szanowaniu zdobytej z trudem mądrości.

Jeden z najczęściej powtarzanych aksjomatów mamy poucza, że bez względu na to, jaką się odwiedziło planetę, bez względu na stan cywilizacji tej planety, nic się nie osiągnie, jeśli ujawni się swoje kosmiczne pochodzenie. Jeśli ludzie się dowiedzą, że pochodzisz z innej planety, kontakt z Obcym stanie się sensacją, i to tak ogromną, że przesłoni wszystko, co masz do powiedzenia, do tego stopnia, iż nigdy nie wypełnisz swojej misji.

Musisz się wtopić. Musisz się stać jednym z tych, których świat chciałbyś ocalić.

I choć z czasem nadejdzie pora, by się ujawnić, swoją pracę musisz w dużej mierze wykonać anonimowo.

Co więcej, staczająca się w otchłań cywilizacja często uważa, że ten upadek jest podniecający i jest zachwycona tym, co obiecuje głębia. Ludzie często uważają ciemność za romantyczną i nie dostrzegają najstraszniejszej okropności, która czeka na dnie, w najgłębszej czerni. Dlatego odpychają wyciągniętą rękę, choćby podsuwano ją w dobrej woli, i zdarza się, że zabijają niedoszłych dobroczyńców.

W tym zawodzie, przynajmniej na początku, kluczem do sukcesu jest tajemnica.

Dlatego gdy Cass pochyla się nad stołem w budzącym dreszczyk świetle świec i pyta, czy Curtis jest kosmitą, i gdy Poiły sugeruje, że Stary Rudzielec też nim jest, i gdy spostrzegawcze bliźniaczki dodają: „No to nawijajcie, E.T.”, Curtis spogląda w przenikliwe błękitne oczy jednej siostry, przenosi spojrzenie na przenikliwe błękitne oczy drugiej, pociąga łyk piwa bezalkoholowego, przypomina sobie wszystkie nauki matki – których nie przyswoił sobie podczas bezpośredniego domózgowego przelewu informacji, lecz przez dziesięć lat codziennych instrukcji – bierze głęboki oddech i mówi:

– Tak, jestem kosmitą.

A potem opowiada im całą prawdę i tylko prawdę.

Mama uczyła go przecież, że w nadzwyczajnych okolicznościach mądrze jest łamać zasady. I często powtarzała, że od czasu do czasu poznaje się kogoś tak niezwykłego, że w trakcie tego spotkania twoje życie zmienia się w niespodziewany sposób, a ty się zmieniasz na zawsze i na lepsze.

Gabby, nocny stróż z odbudowanego miasteczka duchów w Utah, zdecydowanie nie stanowił źródła pozytywnych zmian.

Ale bliźniaczki Spelkenfelter, wraz z olśniewającą kolekcją wspólnych zainteresowań, z ogromnym apetytem na życie, z dobrymi sercami i czułością, są z całą pewnością tymi magicznymi istotami, o których wspominała jego matka.

Zachwyty, z jakim przyjmują jego oświadczenie, przejmują osieroconego chłopca dreszczem radości.

Tak często ogarnia je dziecinny zachwyty, że od razu widać, jakie były i jak musiały wyglądać jako dziewczynki w Indianie. Teraz, choć inaczej niż Stary Rudzielec, Castoria i Polluksja także stają się jego siostrami.

Może Preston wstąpił do małego kasyna w Hawthorne, żeby zagrać w blackjacka, może znalazł dobry punkt obserwacyjny, z którego mógł obserwować olśniewającą panoramę rozświetlających niebo nad pustynią gwiazd w nadziei, że ujrzy majestatyczny pozaziemski statek kosmiczny w tournée po zapyziałych miasteczkach. A może tak długo zwlekał z powrotem, bo zapragnął zabić jakieś biedne brzydactwo o zbyt paskudnych kciukach, przez które musiałyby wieść życie poniżej standardowego poziomu.

Wreszcie się pojawił z papierowymi torbami, z których unosiły się upojne aromaty. Kanapki z mięsem, serem, cebulką i papryką, ociekające sosem. Kilogramy bajecznej sałatki ziemniaczanej i makaronowej. Ryżowy pudding, ciasto z serem i jabłkami.

Dla starej Sinsemilli kochający mąż przewidział kanapkę z pomidorami i cukinią, pastą fasolową i musztardą na pełnoziarnistej bułce, jak również dynię w occie z solą morską oraz pudding z toru o smaku chleba świętojańskiego.

Po długim dniu podróży, po całym tym potajemnym knuciu, po narkotykach wciąganych nosem, palonych, zjadanych, popijanych tequilą droga mater była na szczęście na tyle nieprzytomna, że nie mogła usiąść do stołu.

Cnotliwy Preston okazał się w równym stopniu atletą jak naukowcem. Uniósł z podłogi omdlewające ciało matkopodobnej istoty i zaniósł je do sypialni na tyłach samochodu, gdzie mogła spokojnie leżeć z nieprzyzwoicie rozrzuconymi nogami i rękami. Uprzątnięta z otwartej przestrzeni nie wydawała głośniejszych dźwięków i nie zdradzała wyraźniejszych oznak życia niż worek betonu.

Doktor Zagłada pozostał przez chwilę w jej buduarze i choć drzwi były otwarte, Leilani nie zrobiła ani jednego kroku w stronę tego złowrogiego pomieszczenia, żeby przypadkiem nie zobaczyć, co się w nim dzieje. Założyła, że Preston ścieli łóżko, zapala kadzidelko o zapachu kiwi i truskawki, rozbiera swą uroczo nieprzytomną małżonkę i ogólnie rzecz biorąc, przygotowuje teren do chwil małżeńskiego szczęścia, nieprzypominającego nic, co nieżyjąca już Barbara Cartland, wyjątkowo płodna autorka romansów, zdołała przedstawić na kartach setek swoich dzieł.

Leilani wykorzystała nieobecność Prestona na rozłożenie sofy w salonie i przejrzenie toreb ze sklepu z kanapkami, by odebrać swój przydział najsmaczniejszych przysmaków. Wróciła do łóżka z kolacją i powieścią o złych świnioludach z innego wymiaru. Zaczęła jeść i udawać, że jest kompletnie pochłonięta lekturą, żeby nie musieć usiąść przy stole z pseudoojcem.

Obawa, iż zostanie zmuszona do złowrogiej kolacyjki dla dwojga z Prestonem Maddokiem, alias Jordanem Banksem, być może przy czarnych świecach i czaszce, okazała się bezpodstawna. Doktor Zagłada otworzył butelkę guinnessa i usiadł samotnie przy stole, nie występując z żadnymi zaproszeniami.

Siedział przodem do niej, jakieś trzy metry dalej.

Przyglądająca się mu kątem oka Leilani widziała, że od czasu do czasu spogląda na nią, może nawet się jej przypatruje, ale nie wypowiedział ani słowa. Właściwie nie odezwał się do niej od tego obiadu w restauracji na zachód od Vegas. Ponieważ otwarcie powiedziała, kto zabił jej brata, doktor Zagłada się nadał. Można by pomyśleć, że seryjni mordercy mają grubą skórę. Biorąc pod uwagę ich zbrodnie przeciwko ludziom, całej ludzkości, można by sądzić, że liczą się z tym, iż ktoś zakwestionuje ich motywę, a czasem nawet obrazi. Ale z biegiem lat Leilani przekonała się, że szaleńcy o morderczych skłonnościach są bardziej delikatni i drażliwi od dziewcząt w wieku dojrzewania. Niemal czuła

promieniające od Prestona urazę i poczucie krzywdy.

Oczywiście wiedział, że to on zabił Lukipekę. Nie cierpiał na amnezję. Nie zamordował go w chwilowym zamroczeniu. A jednak najwyraźniej uważał, że Leilani okazała żałośnie złe manery, robiąc aluzję do tego smutnego, makabrycznego zajścia, w dodatku w restauracji, przy obcej osobie, podając w wątpliwość jego wiarę w pozaziemskich uzdrowicieli i promienie lewitacyjne.

Była pewna, że gdyby podniosła głowę znad powieści o złych świnioludach i wyraziła skruchę, Preston uśmiechnąłby się i powiedział coś w rodzaju: „Nie przejmuj się, pączusiu, każdemu się zdarza”, co było zbyt upiorne, żeby się nad tym zastanawiać, choć właśnie nie potrafiła przestać.

W tym samym czasie czekała na niego ukochana żoneczka, zmięta jak szmata, nieprzytomna i zachęcająca jak kawał sera. Słodka wizja namiętnych chwil wprowadziła go w doskonały nastrój, więc nie siedział nad obiadem ponuro nabzdyczony. Jadł szybko i szybko wrócił do sypialni, tym razem zamknąwszy za sobą drzwi i zostawiwszy po sobie porozrzucane torby, pojemniki i plastikowe łyżki, pewien, że Leilani posprząta.

Natychmiast wyskoczyła z łóżka, złapała pilota i włączyła nieśmieszna komedię. Dźwięk nastawiła tak głośno, jak pozwalano jej o tej porze, ale choć nie było to bardeo głośno, wystarczyło, by zagłuszyć wszelkie odgłosy namiętności, które w przeciwnym razie poraziłyby jej uszy.

Nosicielka czarodziejskich dzieci leżała nieprzytomna, Preston zajmował się niewyobrażalnymi czynnościami w tym miłosnym gniazdku potępieńców, a Leilani uniosła materac w nogach, po prawej stronie, odkleiła dwa kawałki taśmy i ostrożnie wsunęła palce do dziury. Odnalazła małą plastikową torebkę, w której wiele miesięcy temu zamknęła nóż, by stopniowo nie zapadł się w wyściółkę.

Pakunek był jakiś dziwny. Nic się w nim nie zgadzało, ani rozmiar, ani kształt, ani ciężar. Plastikowa torebka była przezroczysta. Leilani wydłubała ją z materaca i natychmiast stwierdziła, że nie ma w niej noża, który tam ukryła, w ogóle żadnego noża, tylko pingwinek Tetsy, którego Preston przyniósł do domu, bo przypominał mu Lukiego, a którego Leilani oddała Genevie Davis.

Północ w Sacramento: te słowa nigdy nie staną się tytułem romansu ani słynnego broadwayowskiego musicalu.

To miasto, jak wszystkie, miało swoją specyficzną urodę i pewien urok. Ale w oczach zatroskanej i zmęczonej podróżniczki, która przybyła tu o nieludzkiej godzinie i szuka tylko taniego noclegu, ta stolica stanu wyglądała jak gromadka domów, żałośnie kulących się pod parasolem mroku.

Zjazd z autostrady wyrzucił Micky w upiornie opustoszałą dzielnicę handlową: jak okiem sięgnąć, ani żywej duszy, jedynym samochodem na całej ulicy był jej camaro. Kilometry betonu, ciągnącego się w pionie i poziomie, przytłoczyły ją pomimo jasnego blasku wrzaskliwie kolorowych neonów. Rażące światło rodziło głębokie cienie, a nad wszystkim unosiła się tak dziwnie średniowieczna atmosfera, że Micky wzięła stertę zeschniętych liści w rynsztoku za leżące na sobie zdechłe szczury. Prawie uwierzyła, że wszyscy mieszkańcy już nie żyją lub właśnie umierają na dżumę.

Lecz choć ulice były wyludnione, jej niepokój nie brał się z przyczyn zewnętrznych, miał swoje źródło gdzie indziej. Podczas długiej podróży na północ uświadomiła sobie wszystkie sposoby, na jakie może zawieść Leilani.

Znalazła motel mieszczący się w jej możliwościach finansowych, w którym recepcjonista nie tylko żył, ale pochodził z tego stulecia. Na jego podkoszulku widniało zapewnienie: ODPOWIEDZIĄ JEST MIŁOŚĆ! Kropką w wykrzykniku było małe zielone serduszko.

Micky zaniósła walizkę i lodówkę turystyczną do pokoju na parterze. W drodze zjadła tylko jabłko, nic więcej. Teraz głód dawał o sobie znać.

Pokój był jaskrawą paletą kolorów, studium nad dezorientującym wpływem gryzących się ze sobą wzorów, bezbarwnym pomimo całej wścieklej wesołości. Właściwie na – wet nie był makabrycznie brudny; raczej wystarczająco czysty, by karaluchy znały mores.

Usiadła na łóżku, lodówkę postawiła obok siebie. Kostki lodu w plastikowych torebkach nie rozpuściły się nawet w połowie. Puszki coli były wciąż zimne.

Zjadła kanapkę z kurczakiem oraz ciasteczko, obejrzała telewizję, skacząc z jednego talk-show na następny. Gospodarze programów byli zabawni, ale cynizm, którym podszyte były wszystkie żarty, wkrótce ją przygnębił, a pod tymi wszystkimi obrzydliwościami wyczuła cichą rozpacz.

Od lat sześćdziesiątych największym odjazdem w Ameryce jest nihilizm. Kiedyś odjazd oznaczał celebrowanie wolności jednostki, teraz jest to stadne myślenie i przekonanie, że życie nie ma sensu.

Pomiędzy autostradą i motelem znajdował się sklep monopolowy. Kiedy Micky zamykała oczy, widziała szeregi lśniących butelek na półkach, które dostrzegła przez wystawę.

Zajrzała do lodówki w poszukiwaniu tego szczególnego przysmaku, o którym wspomniała Geneva. Pólitrowy wek z zieloną nalepką, zabezpieczony gumową uszczelką i drucianą klamrą.

Przysmak okazał się zwiłkiem opasanych gumką banknotów dziesięcio – i dwudziestodolarowych. Ciocia Gen ukryła go na samym spodzie lodówki i wspomniała o nim w ostatniej chwili, sądząc, że Micky w przeciwnym razie nie przyjęłaby pieniędzy.

Czterysta trzydzieści dolców. Dokładnie tyle, ile mogła zainwestować w sprawę Geneva.

Micky przeliczyła pieniądze, zwinęła je ciasno i znowu zamknęła w weku. Postawiła lodówkę na toaletce.

Podarunek wcale jej nie zdziwił. Ciocia rozdawała wszystko, co tylko mogła.

Myjąc twarz w łazience, zaczęła się zastanawiać nad drugim podarkiem, który otrzymała w postaci

zagadki, gdy miała sześć lat: co znajdziesz za ostatnimi drzwiami przed niebem?

*Drzwi do piekła*, wymyśliła Micky, ale ciocia Gen powiedziała, że to nie jest dobra odpowiedź. I choć małej Micky wydawała się logiczna i prawdziwa, Gen musiała mieć rację, bo w końcu to była jej zagadka.

*Śmierć*, powiedziała ta dawna Micky. *Za drzwiami jest śmierć, bo zanim pójdziesz do nieba, musisz umrzeć. Ale ci, co nie żyją... są okropnie zimni i dziwnie pachną, więc w niebie musi być okropnie.*

*Ciała nie idą do nieba*, wyjaśniła Geneva. *Tylko dusze, a dusze nie ulegają rozkładowi.*

Po paru następnych błędnych odpowiedziach, dzień czy dwa później, Micky wpadła na nowy pomysł: *za tymi drzwiami jest ktoś, kto mnie złapie, bo nie chce, żebym trafiła do nieba.*

*Co za szczególny pomysł, myszko. Kto mógłby nie wpuścić do nieba takiego małego aniołka?*

*Wiele osób.*

*Na przykład?*

*Nie chcę, żebym poszła do nieba, więc każą mi robić brzydkie rzeczy.*

*Ale im się nie uda. Bo nie mogłabyś być niedobra, nawet gdybyś chciała.*

*Mogę być niedobra*, zapewniła ją Micky. *Bardzo niedobra.*

To twierdzenie wydało się cioci Gen urocze – niewiniątko o czystym serduszku udaje twardziela. *Cóż, kochanie, przyznaję, że nie sprawdzałam ostatnio listy najbardziej poszukiwanych przez FBI przestępców, ale podejrzewam, że na niej nie figurujesz. Wymień choć jedną rzecz, za którą mogliby cię nie wpuścić do nieba.*

To życzenie od razu wycisnęło Micky łzy w oczu. *Jeśli ci powiem, przestanieś mnie lubić.*

*Myszko, myszko, ćśśś, chodź tutaj, uściśnij ciocię Gen. No już, myszko, zawsze będę cię kochać, zawsze, zawsze.*

Łzy doprowadziły do przytulank, przytulanki do pieczenia ciastek, a kiedy ciastka były już gotowe, pociąg z informacjami został odstawiony na boczny tor i pozostawał na nim przez dwadzieścia dwa lata, aż do przedwczoraj, gdy Micky wreszcie opowiedziała o upodobaniu jej matki do złych chłopców.

*Co znajdziesz za ostatnimi drzwiami przed niebem?*

Ciocia Gen wyjawiała w końcu właściwą odpowiedź, która brzmiała nie jak rozwiązanie zagadki, lecz raczej jak wstęp do wyznania wiary.

Micky przypomniała ją sobie, tutaj, teraz, kończąc myć zęby i przyglądając się sobie w łazienkowym lustrze – i zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek zdoła uwierzyć, że ciocia naprawdę w to wierzy.

Wróciła do łóżka. Zgasła lampę. Jutro Seattle. W niedzielę Nun's Lake. A jeśli Preston Maddoc się tam nie pojawi?

Była tak zmęczona, że pomimo wszystkich zmartwień zasnęła – i śniła. O więziennych kratkach. O pociągach gwizdzących żalobnie w mroku nocy. Opuszczona, oświetlona dziwnym blaskiem stacja. Maddoc czekający na nią z wózkiem inwalidzkim. A ona, sparaliżowana od szyi w dół, widzi, jak się nią zajmuje i nie może się przeciwstawić. *Pobierzemy większość twoich narządów dla ludzi, którzy na nie zasługują*, powiedział, *ale jeden należy do mnie. Zanim umrzesz, otworzę ci klatkę piersiową i zjem twoje serce.*

Na widok pingwinka na miejscu noża Leilani poderwała się na równe nogi szybko jak jeszcze nigdy. Nagle wydało się jej, że Preston widzi i wie wszystko. Spojrzała w stronę kuchni, niemal spodziewając się go tam ujrzeć, zobaczyć, jak się uśmiecha i mówi: „A kuku”.

Leilani wyłączyła dźwięk; postacie z sitcomu oniemiały w ułamku sekundy i przestały być zabawne. Z sypialni napłynęła podejrzana cisza, jakby Preston chciał ją przyłapać na odkryciu pingwinka, nie po to, żeby się z nią policzyć, lecz wyłącznie dla zabawy.

Leilani przeszła w miejsce pomiędzy salonem i kuchnią. Przyjrzała się nieufnie tylnej części domu.

Drzwi do łazienko-pralni stały otworem. Ciemne miejsce za nimi to drzwi sypialni: zamknięte.

Cienki, ciepło lśniący bursztynowy pasek oznaczał wąską szparę pomiędzy drzwiami i progiem. I to się nie zgadzało. W kwestiach sercowych Preston Maddoc nie czerpał natchnienia z romantycznego blasku lamp z jedwabnymi abażurami czy płynnego migotania płomieni świec. Czasami potrzebował do tych spraw zupełnych ciemności, może dlatego że w ten sposób łatwiej sobie wyobrażał, że sypialnia to kostnica, a łóżko to trumna. A czasami...

Bursztynowy blask zgasł. Pod drzwiami zaległa ciemność. A potem w szparze Leilani dostrzegła słabe, lecz charakterystyczne migotanie telewizora: puls zjaw, które suną przez nierealne krajobrazy na ekranie, rzucającym upiorne światło na ściany sypialni.

Usłyszała znajome dźwięki, muzykę z czołówki „Faces of Death”. Ten odrażający dokument przedstawiał filmy rejestrujące gwałtowne zgony. Ze szczególnym upodobaniem przedstawiał ludzkie cierpienie i zwłoki w różnym stadium rozkładu i okaleczeń.

Preston oglądał to tak często, że chyba znał już każdy ohydny obraz tak dobrze, jak fani „Star Treka”, którzy potrafią recytować dialogi słowo po słowie. Czasami Sinsemilla także uczestniczyła w tych makabrycznych projekcjach; to pod wpływem „Faces of Death” zrodziła się w niej potrzeba fotografowania rozjechanych zwierząt.

Leilani, zmuszona niegdyś do obejrzenia paru minut tego dzieła, wyrwała się z objęć Sinsemilli i od tej pory odmawiała udziału w rozrywce. To, co fascynowało jej pseudoojca i królową roju, w niej budziło mdłości. Coś więcej niż mdłości: film budził taką litość dla tych zmarłych i umierających ludzi na ekranie, że po trzech czy czterech minutach musiała uciec do łazienki, gdzie rozsłochała się, zatykając usta rękami.

Czasami Preston nazywał „Faces of Death” doskonałym intelektualnym stymulantem. Czasami awangardą rozrywki, upierając się, że nie podnieca go treść, lecz wysoce artystyczne ujęcie tego ponurego tematu.

Szczerze mówiąc, nawet jeśli się ma tylko dziewięć lat, nie trzeba być cudownym dzieckiem, żeby pojąć, iż ten film działa na doktora Zagładę w podobny sposób, jak filmiki imperium Playboya działają na większość mężczyzn. Każdy to rozumie, ale nikt nie chce zastanawiać się nad tym zbyt często czy zbyt wnikliwie.

Muzyka ucichła, gdyż Preston skorygował dźwięk. Lubił oglądać film w ciszy, bo bardziej przemawiały do niego obrazy niż krzyki bólu i cierpienia.

Leilani czekała cierpliwie.

Upiorne światło pod drzwiami, trzepot białych zjaw.

Wzdrygnęła się, bo wreszcie do niej dotarło, że Preston nie zamierza jej na niczym przyłapać. Miłość – bądź to, co w Wietrzyku za nią uchodziło – była już w pełnym rozkwicie.



Leilani śmiało ruszyła dalej, włączyła halogenek nad zlewem, który Preston niedawno zgasił, i otworzyła szufladę z nożami. Preston, wydobywszy jej broń z materaca, nie odłożył jej do kolekcji. Zniknęły także noże do mięsa, ziemniaków, chleba – krótko mówiąc, wszystkie. Ulotniły się bez śladu.

Otworzyła szufladę ze sztućcami. Łyżki do herbaty, do kawy, do zupy leżały jak zwykle w równych rzędach. Zniknę – ty noże do mięsa. Noże stołowe, choć zbyt tępe, by nadawały się na skuteczną broń, również zostały zabrane. Brakowało widelców.

Szuflada za szufladą, drzwi za drzwiami, nie przejmując się już, że Preston przyłapie ją na poszukiwaniach, zaczęła szukać czegokolwiek do obrony.

Och, tak, oczywiście, jeśli się ma pilnik albo ostrzałkę, można zmienić trzonek zwykłej łyżeczki do herbaty w śmiertelne ostrze, niebezpieczne jak sztylet. Możliwe, że ktoś zdołał dokonać tego w tajemnicy nawet w ciasnocie domu na kółkach, ręką przypominającą małe – krzywe, małe – sękaty, niedopieczony zakalec na końcu ręki. Ale nie można tego zrobić bez pilnika ani ostrzałki.

Kiedy otworzyła ostatnią szufladę, przeszukała ostatnią szafkę i sprawdziła suszarkę, wiedziała już, że Preston zabrał wszystko, co mogłoby posłużyć za broń. Oczyszczył także kuchnię z wszelkich narzędzi mogących posłużyć za pilnik lub ostrzałkę, za pomocą których można zmienić zwykły przedmiot w niebezpieczną broń.

Przygotowywał się do końcowej rozgrywki.

Może po złożeniu wizyty uleczonemu przez Obcych świrowi z Nun's Lake pojedą prosto do Montany. A może Preston da sobie spokój z satysfakcjonującą symetrią pochowania jej razem z Lukim i po prostu zabije ją na miejscu w Idaho.

Po latach spędzonych w tym ciasnym pomieszczeniu знаła kuchnię jak nic na świecie, a jednak poczuła się w niej zagubiona, jakby nagle znalazła się w pierwotnej puszczy. Powoli obróciła się, zdumiona czarną nieprzyjazną gęstwiną, na próżno szukając jakiejś ścieżki.

Tak długo wierzyła, że do czasu swoich dziesiątych urodzin tak naprawdę nic jej nie grozi, że jeszcze ma czas, żeby zaplanować ucieczkę... W rezultacie jej zbiór sposobów na przeżycie był ubogi, choć nie całkiem pusty.

Preston musiał zmienić plany jeszcze przed apelem, jaki wystosowała do kelnerki. Dowodem były te brakujące noże, które musiał wynieść z domu w nocy, zanim rano zawiózł Leilani i Sinsemillę do mechanika i zanim wyruszyli w dalszą drogę.

Nie była jeszcze gotowa do ucieczki. Ale lepiej, żeby zdążyła się przygotować do niedzieli, gdy znajdą się w Nun's Lake.

Do tej pory najlepsze, co mogła zrobić, to utwierdzić Prestona w przekonaniu, że nie dowiedziała się jeszcze o zamianie noża na pingwinka ani o usunięciu wszystkich ostrych przedmiotów z kuchni. Kpił z niej dla czystej przyjemności, więc postanowiła, że nie pokaże mu, jak bardzo się boi, nie będzie go karmić swoim strachem.

Poza tym, kiedy się zorientuje, że już się dowiedziała o pingwinku, mógłby jeszcze bardziej przyspieszyć datę morderstwa. Mógłby nie czekać do Idaho.

Dlatego jak zwykle posprzątała ze stołu. Resztki jedzenia schowała do lodówki. Oplukała plastikowe sztućce ze sklepu – same łyżki – i wyrzuciła je do śmieci.

Wróciła do sofy, włożyła pingwinka do materaca i zakleiła rozcięcie dwoma kawałkami taśmy.

Włączyła pilotem dźwięk w telewizorze, zagłuszając cichą muzykę i głosy z „Faces of Death”.

Położyła się na łóżku, gdzie zostawiła niedojedzoną kolację. Zaczęła jeść, choć nie miała apetytu.

Później, leżąc samotnie w ciemnościach, które rozpraszał tylko blask telewizora, przyglądając się

upiornemu światłu, pulsującemu na wizerunku boga słońca na suficie, zaczęła się zastanawiać, co się stało z panią D. i Micky. Zostawiła pingwinka pod ich opieką, ale Preston jakoś go odzyskał. Pani D. ani Micky nie oddałyby mu go z własnej woli.

Rozpaczliwie zapragnęła do nich zatelefonować.

Preston miał telefon, z którego można się było dodzwonić na cały świat, ale jeśli nie nosił go przy pasku, zostawiał go w sypialni, do której Leilani zakazano wstępu.

W ciągu paru miesięcy zdołała ukryć trzy ćwierćdolarówki w trzech miejscach w domu. Wszystkie zwędziła z portmonetki Sinsemilli, kiedy przebywały w Wietrzyku i kiedy matka znajdowała się w takim czy innym narkotycznym transie.

W razie sytuacji alarmowej za pomocą jednej ćwierćdolarówki mogła zadzwonić na policję, pod warunkiem że znajdzie automat telefoniczny. Mogła także zamówić rozmowę z kimś, kto zgodzi się za nią zapłacić – choć jedynymi osobami, które by to zrobiły, była pani D. oraz Micky.

W pobliskim motelu-kasynie na pewno znajdowały się telefony, ale dotarcie do nich przedstawiało pewne trudności. Szczerze mówiąc, aż do rana znalezienie się w pobliżu telefonu nie wchodziło w grę, ponieważ Preston włączył alarm antywłamaniowy. Tylko on i Sinsemilla znali kod, który go unieszkodliwiał. Gdyby Leilani otworzyła drzwi, spowodowałyby włączenie syreny i wszystkich świateł w samochodzie. Pod powiekami zamkniętych oczu widziała panią D. i Micky przy kuchennym stole, w świetle świec, roześmiane, tak jak tego wieczora, gdy zaprosiły ją na kolację. Modliła się, żeby nic się im nie stało.

Kiedy ma się lewą rękę typu „przeżyłam katastrofę nuklearną” oraz lewą nogę typu „cyborg-zabójca w akcji”, można by się spodziewać, że ludzie będą jakoś szczególnie zwracać na ciebie uwagę, będą się przyglądać, gapić, wybałuszać gały, blednąć ze strachu i rzucać się do panicznej ucieczki, jeśli tylko się na nich syknie i przewróci oczami. Tymczasem, nawet jeśli przystroisz twarz w najładniejszy uśmiech, umyjesz włosy i będziesz wyglądać dość znośnie, nawet ładnie, oni będą odwracać od ciebie oczy albo patrzeć przez ciebie na wylot – może dlatego że wstydzą się za ciebie, jakby uważali, że sama jesteś sobie winna i że się tego wstydzisz lub przynajmniej powinnaś. Albo, żeby ich tak zupełnie nie skreślać, może udają, że cię nie ma, bo myślą, że gdyby na ciebie spojrzeli, przyglądaliby się za bardzo, albo że nie umieliby się do ciebie odezwać, nie sprawiając ci niechcący przykrości jakimś słowem. Niewykluczone też, że myślą, iż jesteś zakompleksiona, że chcesz, by cię omijano wzrokiem. A może procent beznadziejnych palantów w społeczeństwie jest po prostu niesamowicie wysoki. Kiedy się do nich odzywasz, na ogół słuchają cię jednym uchem; i nawet wtedy, choć zdają sobie sprawę, że jesteś niegłupia, wolą tego nie przyjmować do wiadomości, brną w zaparte i rozmawiają z tobą jak z małym dzieckiem, ponieważ w swojej ignorancji równają fizyczne usterki z głupotą. A jeśli poza tym, że masz potworną rękę i chodzisz jak Frankenstein, w dodatku jesteś dzieckiem, zawsze jesteś w drodze w poszukiwaniu Obi-Wan Kenobiego i jasnej strony Mocy – wtedy stajesz się niewidzialna.

Ale ciocia Gen i Micky ją widziały. Patrzyły na nią. Słuchały jej. Dla nich była prawdziwa i pokochała je za to, że ją zobaczyły.

Jeśli przez nią spotkało je coś złego...

Leżała bezsennie, dopóki telewizor nie przestał migotać, a wtedy zamknęła oczy, żeby nie widzieć lśniącego i sennego uśmiechu boga słońca i z niepokojem myślała o niezliczonych sposobach, w jakie mogły zginąć. Jeśli Preston zabił Gen i Micky, ona zabije jego, i nieważne, czy będzie musiała poświęcić siebie, żeby go dopaść, ponieważ wtedy i tak nie będzie już warto żyć.

– Ma pan szalenie interesującą pracę. Gdybym mogła rozpocząć życie od nowa, też bym została prywatnym detektywem. Nazywacie siebie „psami”, prawda?

– Może niektórzy – powiedział Noah Farrel. – Ja mówię „detektyw”. Mówiłem.

Nawet tak rano, dwie godziny przed południem, sierpniowy upał zdążył już wypełznąć do kuchni jak żywe stworzenie, wielki kot o nagrzanym słońcem futrze, spacerujący pod stołem i krzesłami. Noah czuł pot na czole.

– Jako dwudziestolatka – ciągnęła Geneva Davis – zakochałam się na zabój w pewnym detektywie. Ale muszę przyznać, że nie byłam go warta.

– Trudno mi w to uwierzyć. Z szanownej pani musiała być niezła sztuka.

– Jesteś słodki, kochanie. Ale prawda wygląda tak, że byłam trochę niedobrą dziewczyną, a on, jak wszyscy w tym zawodzie, trzymał się pewnych zasad, których nie chciał dla mnie złamać. No, ale sam wiesz, jakie macie zasady.

– Moje leżą odłogiem.

– Bardzo w to wątpię. Smakują ci ciasteczka?

– Przepyszne. Ale to nie są migdały.

– Dokładnie. To orzechy. A ta waniliowa cola?

– Wydaje mi się, że jest wiśniowa.

– Tak, użyłam syropu wiśniowego zamiast wanilii. Waniliową colę z wanilią piłam przez dwa dni. Doszłam do wniosku, że to będzie miła odmiana.

– Nie piłam wiśniowej coli od dzieciństwa. Już zapomniałem, jakie to dobre.

Uśmiechnęła się, wskazała głową szklanekę i spytała:

– Więc jak ta waniliowa cola?

Noah siedział za stołem Genevy Davis już od piętnastu minut. Zdążył się przystosować do ducha rozmowy. Uniósł szklanekę jakby w toaście.

– Przepyszna. Powiedziała pani, że siostrzenica zadzwoniła?

– Tak, o siódmej rano z Sacramento. Martwiłam się, że zamierza tam zanocować. Ładna dziewczyna nie jest bezpieczna w mieście, gdzie mieszka tak wielu polityków. Ale teraz jest już w drodze. Ma nadzieję, że do wieczora dotrze do Seattle. – Dlaczego nie poleciała do Idaho samolotem?

– Mogłaby nie zdołać od razu porwać Leilani. Niewykluczone, że będzie musiała jechać za nią w jakieś inne miejsce, kto wie, może przez wiele dni. Wolą mieć własny samochód. No i jej budżet nie pozwala na bilety samolotowe i wynajmowanie samochodów.

– Ma pani numer jej komórki?

– Kochanie, my nie należymy do ludzi, którzy mają komórki. Jesteśmy biedne jak myszy kościelne.

– Nie sądzę, żeby to, co zamierza, było rozsądne.

– Och, dobry Boże, oczywiście, że nie jest rozsądne. Ona to po prostu musi zrobić.

– Preston Maddoc to groźny przeciwnik.

– To okrutny, chory sukinsyn, kochanie, i właśnie dlatego nie możemy mu zostawić Leilani.

– Nawet jeśli Maddoc bezpośrednio nie zagrozi pani siostrzenicy, nawet jeśli Micky zdoła porwać dziewczynkę i przywieźć ją tutaj, zdaje sobie pani sprawę, jakich sobie narobi kłopotów?

Pani Davis skinęła głową i pociągnęła łyk coli.

– O ile się orientuję, nasz gubernator skaże ją na komorę gazową. Bez wątplenia mnie też. Nie jest za

miły ten nasz gubernator. Można by pomyśleć, że zadowolony się potrojeniem opłat za prąd.

Noah otarł czoło papierową chusteczką.

– Proszę pani...

– Proszę, mów mi Geneva. Jaka ładna koszula hawajska.

– Genevo, nawet przy najszlachetniejszych motywach porwanie pozostaje porwaniem. Pogwałceniem prawa federalnego. Tą sprawą zajmie się FBI.

– Chcemy ukryć Leilani z papugami – wyznała Geneva konfidencjonalnie. – Nigdy jej nie znajdą.

– Z jakimi znowu papugami?

– Clarissa, moja szwagierka, święta kobieta, ma okropną nadwagę, wole i sześćdziesiąt papug. Mieszka w Hemet. Kto zagląda do Hemet? Nikt. Na pewno nie FBI.

– Zjrzą – zapewnił ją poważnie.

– Jedna z papug miała zwyczaj okropnie przeklinać, ale pozostałe nie. Ta klnąca należała niegdyś do policjanta. To smutne, prawda? Funkcjonariusz policji. Clarissa usiłowała ją oduczyc, ale nic z tego nie wyszło.

– Genevo, nawet jeśli ta dziewczynka nie zmyśla, nawet jeśli jest w prawdziwym niebezpieczeństwie, nie możecie brać prawa we własne ręce...

– W ostatnich czasach zrobiło się wiele praw – przerwała mu – ale mało sprawiedliwości. Słynni ludzie mordują swoje żony i wychodzą na wolność. Matka zabija swoje dzieci, a potem słyszy się w dzienniku, że to ona jest ofiarą i że trzeba przysłać pieniądze jej prawnikom. Skoro wszystko stanęło na głowie, trzeba być idiotą, żeby siedzieć na tyłku i myśleć, że sprawiedliwość zatriumfuje.

Była to zupełnie inna kobieta niż ta, która rozmawiała z nim przed chwilą. Zielone oczy rzucały błyskawice. Rysy tej słodkiej twarzy stwardniały tak, że aż się zdziwił.

– Jeśli Micky tego nie robi, ten chory umysłowo drań zabije Leilani i będzie tak, jakby w ogóle nie istniała, nikt oprócz mnie i Micky nie dowie się, co straciliśmy. I lepiej mi uwierz, że to by była strata dla wszystkich, bo ta dziewczynka jest wyjątkowa, ma świetlistą duszę. W dzisiejszych czasach ludzie robią bohaterów z aktorów, piosenkarzy, obłąkanych polityków. Jak strasznie musiało się wszystko popsuć, skoro tak wyglądają teraz bohaterowie? Oddałabym wszystkich tych bufonów za tę dziewczynkę. Ma silniejszy kręgosłup i piękniejsze serce niż tysiące tych tak zwanych bohaterów. Może jeszcze ciasteczko?

Noah wziął z talerza drugie ciastko.

– Znalazłeś jakieś dowody, że Maddoc wziął ślub z matką Leilani?

– Nie. Nawet w Internecie. Ale to duży kraj. W paru stanach, jeśli ma się przekonujące powody i przyjaciół na odpowiednich stanowiskach, można zaaranżować ślub w zaciszu sędziowskiej kancelarii. Wtedy wydaje się akt, który nie zostaje opublikowany. Niełatwo znaleźć coś takiego. Prawdopodobnie pojechali do innego kraju, w którym cudzoziemcy mogą zawierać związki małżeńskie. Może do Meksyku, albo raczej do Gwatemali. Można by sobie oszczędzić wielu wydatków, gdyby Leilani powiedziała, gdzie wzięli ślub.

– Właśnie o to zamierzałyśmy ją spytać podczas następnej wizyty, ale nie zobaczyłyśmy jej więcej. Pewnie prawdziwe nazwisko matki i dowód na istnienie Lukipeli także nie były łatwiejsze do znalezienia?

– Nie jest to niemożliwe. Ale znowu bardzo by mi pomogło, gdybym mógł porozmawiać z Leilani. – Zdenerwowany odłożył nietknięte ciastko. – Siedzę tutaj i mówię tak, jakbym zamierzał się tym zająć, ale się nie zajmę, Genevo.

– Wiem, że to będzie dużo kosztować, a Micky nie dała ci zbyt wiele pieniędzy...  
– Nie w tym problem.  
– ...ale mam ten dom i mogę wziąć pożyczkę pod zastaw, a Micky wkrótce dostanie dobrą pracę, jestem pewna.

– Trudno dostać dobrą pracę i ją utrzymać, kiedy jest się ściganym przez FBI. O to chodzi. Jeśli będę dla was pracować, chociaż wiem, że twoja siostrzenica zamierza porwać dziewczynkę mającą legalnych opiekunów, stanę się współsprawcą.

– Ależ to śmieszne, kochanie.  
– Będę oskarżony o współudział w przestępstwie. Tak stanowi prawo.  
– Prawo jest śmieszne.  
– Szczerze mówiąc, żeby zupełnie uniknąć oskarżenia o współudział, powinienem iść na policję zaraz po tym, jak oddam wam te trzysta dolarów, które mam przy sobie.

Geneva przekrzywiła głowę i obdarzyła go spojrzeniem pełnym rozbawionego niedowierzania.

– Kochanie, przestań się ze mną droczyć.  
– Słucham? Mówię śmiertelnie poważnie. Puściła do niego oko.  
– Nieprawda.  
– Prawda.  
– Nieprawda. – I znowu mrugnęła. – Nie pójdziesz na policję. I nawet jeśli oddasz nam pieniądze, nadal będziesz się zajmować sprawą.

– Nie będę.  
– Wiem, jak to jest, kochanie. Musisz sobie zapewnić, jak to mówią, wiarygodne alibi. Jeśli się nie uda, będziesz mógł powiedzieć, że nie pracujesz nad tą sprawą, bo nie wzięłaś pieniędzy.

Noah wyjął z kieszeni spodni trzysta dolarów i położył na stole.

– Niczego sobie nie zapewniam. Rezygnuję.  
– Nieprawda.  
– Przede wszystkim w ogóle nie przyjąłem tego zlecenia. Pogroziła mu palcem.  
– Ależ tak!  
– Ależ nie. – Ależ tak, kochanie. W przeciwnym razie skąd byś miał te trzysta dolarów?  
– Rezygnuję – powiedział dobitnie. – Rezygnuję. Odchodzę. Zabieram zabawki, opuszczam lokal, koniec, finito, zegnani.

Geneva uśmiechnęła się szeroko i znowu do niego mrugnęła. Tym razem był to przesadny, komicznie konspiracyjny grymas.

– Och, ależ oczywiście, drogi panie. Jeśli kiedykolwiek będę musiała zeznawać w jakimś śmiesznym sądzie, może być pan pewny: powiem, że zrezygnował pan w sposób niepozostawiający cienia wątpliwości.

Ta kobieta miała uśmiech, którym mogłaby zwabiać ptaki prosto do klatki. Jedna babcia Noaha zmarła przed jego narodzeniem, druga, ze strony Farrelów, w niczym nie przypominała Genevy Davis; była odpalającą jednego peta od drugiego wychudłą jędzą o drapieżnych oczach i głosie zdartym przez hektolitry whisky. W czasach gdy razem z dziadkiem Farrelem prowadziła lombard, stanowiący przykrywkę dla kantoru bukmacherskiego, nieodmiennie przerażała młodych chuliganów samym spojrzeniem i paroma celtyckim przekleństwami, chociaż ich nie rozumieli. A jednak Noah czuł, że siedzi tu, chrupiąc ciasteczka, w towarzystwie swojej babci, raczej idealnej niż prawdziwej, i mimo frustracji zaczęło w nim wzbierać ciepłe, rozanielone uczucie, którego dotąd nie znał, a które w tych

okolicznościach musiało być niebezpieczne.

– Nie mrugaj do mnie. Usiłujesz udawać, że coś tu knujemy, a to nieprawda.

– Och, kochanie, oczywiście. Przecież zrezygnowałeś, zabrałeś zabawki, opuściłeś lokal, finito, ja to doskonale rozumiem. – Uśmiechnęła się szeroko i tym razem powstrzymała się od mrugnięcia – za to energicznie uniosła oba kciuki.

Noah wziął nietknięte ciastko i ugryzł. Dwa razy. Było duże, ale dwoma kęsami wykończył je do połowy. Pożerał je łapczywie, spoglądając na Genewę Davis.

– Jeszcze waniliowej coli, kochanie? – spytała. Usiłował odmówić, ale miał zbyt pełne usta, a poza tym nagle poczuł, że kiwa twierdząco głową.

Geneva dołała mu do szklanki syropu wiśniowego, coli i wrzuciła parę kostek lodu.

Znowu usiadła przy stole. – Dobrze, spróbuję jeszcze raz – powiedział.

– Co spróbujesz, skarbie?

– Wytłumaczyć sytuację.

– Dobry Boże, nie jestem tępą, kochanie. Doskonale rozumiem, jak wygląda sytuacja. Masz swoje wiarygodne alibi, a ja zeznam, że nam nie pomogłeś, choć to zrobiłeś. Albo zrobisz. – Zgarnęła ze stołu pieniądze. – A jeśli wszystko pójdzie dobrze i nikt nie trafi do sądu, oddam ci te pieniądze i zapłacimy całą sumę. Być może nie od razu, być może w miesięcznych ratach, ale Micky i ja zawsze zwracamy długi. A zresztą nikt nie trafi do sądu. Nie chcę cię pouczać, kochanie, ale na pewno twoja znajomość prawa jest nieco niedoskonała.

– Zanim zostałem prywatnym detektywem, byłem policjantem.

– Więc naprawdę powinieneś się lepiej orientować – skarciła go z uśmiechem typu „babcia uważa, że jesteś rozkoszny”, który jeszcze bardziej zaostrzył objawy rozanielenia.

Łypnął na nią spode łba, oparł się o stół – pora zademonstrować swoją mroczną stronę i wyrwać ją z iluzji, w której tkwiła.

– Orientuję się doskonale, ale i tak odebrali mi odznakę, ponieważ brutalnie pobiłem podejrzanego. Stłukłem go na marmoladę.

Geneva cmoknęła karcąco.

– Nie powinieneś być z tego dumny, kochanie.

– Nie jestem dumny. Mam szczęście, że mnie nie posadzili.

– Mówiłeś tak, jakbyś jednak był dumny.

Wlepił w nią nieruchome spojrzenie i pożarł ostatni kawałek ciastka. Popił go waniliową colą o smaku wiśniowym.

Geneva nie dała się onieśmielić. Uśmiechała się, jakby była zadowolona, że smakują mu jej ciastka.

– Tak naprawdę jestem trochę dumny. Nie powinienem, nawet w tych okolicznościach. Ale jestem. Przybyłem na wezwanie do domowej awantury. Jeden facet bardzo pobił żonę. Kiedy wszedłem, wyglądała strasznie, a on bił córkę, małą dziewczynkę, miała może osiem lat. Wybił jej kilka zębów. Na mój widok puścił ją i nie stawiał oporu. Ale na widok tej dziewczynki i tak mnie poniosło.

Geneva uścisnęła jego dłoń.

– I dobrze zrobiłeś.

– Nie, niedobrze. Powinienem go pobić na śmierć, ale ta dziewczynka mnie powstrzymała. W raporcie skłamałem, że bydlak stawiał opór. Na przesłuchaniu żona zeznała przeciwko mnie... ale dziewczynka skłamała na moją korzyść i jej uwierzyli. Albo udawali, że wierzą. Zawarłem z nimi układ, że wystąpię z policji, a oni zgodzili się wypłacić mi odprawę i poprzeć mój wniosek o licencję detektywa.

– A co się stało z dziewczynką?

– Okazuje się, że ojciec bił ją od dawna. Sąd odebrał matce prawa rodzicielskie i nakazał dziewczynce zamieszkać z dziadkami ze strony matki. Niedługo skończy liceum. Jest w porządku. To dobre dziecko.

Geneva znów uściśnęła jego dłoń i rozpromieniona oparła się wygodnie.

– Jesteś całkiem jak mój detektyw.

– Jaki detektyw?

– Ten, za którym tak szalałam, kiedy miałam dwadzieścia lat. Gdybym nie ukryła ciała mojego męża, Philip by mnie nie odrzucił.

Noah nie wiedział, jak ma na to zareagować. Znowu otarł spocone czoło.

– Zabiłaś męża? – spytał w końcu.

– Nie, zastrzeliła go moja siostra Carmen. Ukryłam zwłoki, żeby ją ratować i oszczędzić naszemu ojcu skandalu. Generał Sternwood – czyli tatuś – podupadał na zdrowiu. I...

Przez jej twarz przemknęło zdziwienie, głos zamarł.

– I...? – zachęcił ją Noah.

– No tak, oczywiście, to nie byłam ja, tylko Laureen Bacall w „Wielkim śnie”. A ten detektyw to Humphrey Bogart w roli Philipa Marlowe’a.

Klasnęła w dłonie i roześmiała się melodyjnie.

Noah uśmiechnął się, choć właściwie nie wiedział dlaczego.

– Wspomnienie jest cudowne, nawet fałszywe – powiedziała. – Muszę przyznać, że jestem beznadziejna, jeśli chodzi o złe zachowanie. Nigdy nie potrafiłam być złą dziewczyną, więc gdyby nie postrzał w głowę, nie miałabym takich wspomnień.

Cukier w ciastkach i coli zapewnił mu dostateczne obroty, żeby stawić czoło szerokiemu wachlarzowi wyzwań intelektualnych, ale na Boga, niektóre nie dawały się ruszyć na trzeźwo. Nie miał tu piwa, więc zamiast silić się na logiczną dedukcję w poszukiwaniu sensu tych słów, zapytał po prostu:

– Ktoś cię postrzelił w głowę? – Uprzejmy i dobrze ubrany bandyta wstąpił do naszego sklepu, zabił mojego męża, postrzelił mnie i zniknął. Nie powiem ci, że pojechałam za nim do Nowego Orleanu i sama go wykończyłam, bo to był Alec Baldwin, a nie tamten. Ale nawet będąc taką oferą, mogłabym go zastrzelić, gdybym tylko umiała odnaleźć drania. Strzeliłabym do niego parę razy, tak mi się wydaje. W obie nogi, niech cierpi, potem dwa razy w brzuch i raz w głowę. Uważasz, że jestem przerażająco okrutna?

– Nie okrutna, ale bardziej mściwa, niż się spodziewałem.

– Dobra, szczerza odpowiedź. Zrobiłaś na mnie wrażenie. Znowu przywołała na twarz ten uśmiech, który mógł roztopić lodowiec.

Noah poczuł, że też się uśmiecha.

– Bardzo mi się podoba ta nasza pogawędka – powiedziała.

– Mnie też.

Sobota: Hawthorne w Nevadzie, w drodze do Boise w Idaho. Siedemset kilometrów. Głównie przez pustynię, w palącym słońcu, ale łatwą drogą.

Chmara sępów krążyła nad ścierwem na pustyni, jakieś pół godziny na północ od Lovelock w Nevadzie. Preston Maddoc poczuł się zaintrygowany, ale zrezygnował z tej wycieczki dla zaspokojenia ciekawości.

Zatrzymali się na obiad w Winnemucca.

Na chodniku przed restauracją mrówki pożywiały się rozpaćkanym tłustym żukiem. Sok, który z niego wypływał, miał interesującą tęczową barwę, jak olej na wodzie.

Zabieranie Ręki w miejsca publiczne stało się ostatnimi czasy dość ryzykowne. Jej piątkowy występ w barze koło Vegas podziałał mu na nerwy. Mogłaby osiągnąć to, o co jej chodziło, gdyby kelnerka nie była głupia.

Ludzie są w większości głupi. Preston Maddoc doszedł do tego wniosku jako jedenastolatek. Przez ostatnie trzydzieści cztery lata nie miał powodu zmienić zdania.

W knajpie było czuć skwierczące parówki. Frytki smażyły się w rozgrzanym oleju. Bekon.

Ciekawe, jak pachnie to, co wypłynęło z żuka. Przy barze siedziało kilku facetów na wysokich stołkach. Przeważnie z nadwagą. Obrzydliwie się obżerali.

Może podczas obiadu któryś dostanie zawału albo wylewu. Szansę były dość duże.

Ręka pierwsza podeszła do stolika. Usiadła przy oknie.

Czarna Dziura usadowiła się koło niej.

Preston zajął miejsce naprzeciwko nich. Jego ślicznotki.

Ręka była oczywiście groteskowa, ale Czarna Dziura wyglądała naprawdę ślicznie. Po takim grzaniu powinna od dawna przypominać starą jędzę.

Kiedy wreszcie zaczniesz tracić urodę, dzieło dokona się bardzo szybko. Prawdopodobnie w dwa, trzy lata.

Może zdoła z niej wycisnąć ze dwa mioty, zanim stanie się zbyt odrażająca, żeby jej dotykać.

Na parapecie leżała martwa mucha. Robiła nastrój.

Przejrzał menu. Właściciel powinien zmienić nazwę swojej knajpy. Na Pałac Tłuszczu.

Oczywiście Czarna Dziura nie miała tu zbyt wielkiego wyboru. Przynajmniej nie kwękała. Była wręcz rozradowana. W dodatku nie straciła kontaktu z otoczeniem, bo przed południem raczej nie brała twardych narkotyków.

Pojawiła się kelnerka. Brzydkie dziewczysko. Nabrzmiała twarz z wybałuszonymi oczami, rybi pysk.

Była ubrana w schludnie wyprasowany różowy uniform. Skomplikowana fryzura, włosy w kolorze szczerzej szczeciny, przewiązane różową wstążką pod kolor mundurka. Staranny makijaż, eyeliner, szminka. Paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem, jakby były godne podziwu, jakby jej palce nie były grube i brzydkie jak cała reszta.

Strasznie się starała ładnie wyglądać. Z góry przegrana sprawa.

Właśnie dla takich ludzi buduje się mosty. Mosty i wieżowce. To dla nich są rury wydechowe i piecyki gazowe. Gdyby kiedykolwiek zatelefonowała na gorącą linię dla niedoszłych samobójców i ktoś by jej wyperswadował palnięcie sobie w łeb, wyświadczyłby jej niedźwiedzią przysługę.

Złożyli zamówienie.



Preston spodziewał się, że Ręka zwróci się o pomoc do Rybiego Pyska. Ale nie zrobiła tego. Siedziała przygaszona.

Jej wczorajszy występ wytrącił go z równowagi, ale szkoda, że dziś nie spróbowała znowu. Preston z przyjemnością przyjmował wyzwania, jakie rzucała mu, gdy wpadła w ten swój buntowniczy nastrój.

Zanim pojawiło się jedzenie, Dziura głądziła coś bez sensu, jak zwykle.

Była Czarną Dziurą częściowo ze względu na wariacką energię i bezrozumne gadanie, które razem produkowały potężne przyciąganie, zdolne obezwładnić każdego, kto nie miał dość sił.

Ale on był silny. Nigdy nie uchylał się przed żadnym zadaniem. Nigdy nie cofał się przed prawdą.

Rozmawiał z Dziurą, ale poświęcał jej raptem połowę uwagi. Zawsze żył bardziej w wewnętrznym niż zewnętrznym świecie.

Myślał o Kulasie, bracie Ręki. Ostatnio całkiem sporo o nim myślał.

Biorąc pod uwagę fakt, na jakie się naraził ryzyko podczas wycieczki z chłopcem w lasy Montany, nie doznał odpowiedniej satysfakcji. Wszystko wydarzyło się o wiele za szybko. Takie wspomnienia powinny być bogate. To one dawały mu siłę.

Jego plany co do Ręki były znacznie bardziej wyrafinowane.

A skoro o niej mowa: jej spojrzenie powoli wędrowało po sali, nonszalancko, niemal podstępnie. Wyraźnie czegoś szukała.

Zauważył, że jej oczy zatrzymały się na tabliczce wskazującej łazienkę.

W chwilę potem Ręka oznajmiła, że musi odwiedzić ubikację. Powiedziała „ubikacja”, ponieważ wiedziała, że Preston nie lubi tego słowa.

Wychował się w dobrej rodzinie, gdzie nikt nie używał wulgaryzmów. O wiele bardziej wolał słowo „toaleta”. Od biedy mógł znieść „WC”.

Dziura wstała, przepuszczając córkę.

Ręka podniosła się niezdarnie, szepcząc:

– Bardzo mi się chce siusiu.

To także było policzkiem wymierzonym Prestonowi. Ręka wiedziała o jego niechęci do wspomniania o czynnościach fizjologicznych.

Nie lubił przyglądać się jej, kiedy szła. Jej zdeformowane palce i tak przejmowały go obrzydzeniem. Nadal rozmawiał z Dziurą o głupotach, myślał o Montanie i śledził Rękę kątem oka. Raptem zdał sobie sprawę, że pod tabliczką „WC” znajduje się inny, mogący dotyczyć tego, czego naprawdę szukała: „TELEFON”.

Przeprosił Dziurę, wstał i poszedł za dziewczyną.

Zniknęła w krótkim korytarzyku na tyłach sali.

Po prawej stronie znajdowały się męskie toalety, po lewej damskie. Na ścianie naprzeciwko wisiał automat telefoniczny.

Ręka stała przy telefonie, odwrócona do niego plecami. Sięgając zniekształconą dłonią po słuchawkę, wyczuła jego obecność i odwróciła się.

Preston stanął nad nią. W zdrowej ręce trzymała monetę.

– Znalazłaś ją w telefonie? – spytał.

– Tak – skłamała. – Zawsze sprawdzam.

– To cudze – skarcił ją. – Przy wyjściu oddamy ją kasjerce. Wyciągnął rękę.

Zawahała się. Nie chciała mu oddać pieniążka.

Rzadko jej dotykał. Od kontaktu fizycznego dostawał gęsiejszej skórki.

Na szczęście trzymała te dwadzieścia pięć centów w zdrowej dłoni. Gdyby miała je w lewej, też by mógł jej odebrać, ale wtedy nie zdołałby tknąć obiadu.

Udała, że przyszła tu, żeby skorzystać z toalety. Zniknęła za drzwiami z kółeczkiem.

Preston skorzystał z okazji i wszedł do męskiej toalety. Na szczęście nikogo nie było. Zaczekał tuż przy drzwiach.

Ciekawe, do kogo chciała zatelefonować. Na policję?

Kiedy usłyszał, że wychodzi, także wrócił na korytarz.

Zaprowadził ją do stołu. Gdyby siedł za nią, musiałby patrzeć, jak kuśtyka.

Jedzenie pojawiło się na stole, ledwie usiedli.

Rybi Pysk, brzydka kelnerka, miała myszkę z boku nosa. Prestonowi skojarzyła się z czerniakiem.

Jeśli to naprawdę czerniak, a ona zaniedba go na tydzień czy dwa, nos jej zgnije. Po operacji zostanie jej krater na środku twarzy.

Jeśli choroba nie zainfekuje mózgu i nie zabije jej, może wtedy wreszcie zrobi, co trzeba z rurą wydechową, kuchenką gazową czy pistoletem.

Jedzenie było nawet dobre.

Jak zwykle podczas posiłku nie patrzył na usta swoich towarzyszek. Skupił się na ich oczach lub przestrzeni tuż nad nimi, starannie unikając widoku ich języków, zębów, warg i poruszających się szczęk.

Dopuszczał możliwość, że od czasu do czasu ktoś może spojrzeć także na jego usta, kiedy będzie żuł, lub na gardło, gdy będzie przetykał, ale zmuszał się, by o tym nie myśleć. Gdyby się nad tym zastanawiał, musiałby spożywać posiłki w jakimś ustronnym miejscu.

W czasie jedzenia jeszcze bardziej zamykał się w sobie.

Życie w wewnętrznym świecie nie stanowiło dla niego problemu, nie wymagało żadnego szczególnego wysiłku. Na Yale kierunkiem, który studiował i z którego później się doktoryzował, była filozofia. Filozofowie z natury mają większe skłonności do życia we własnym świecie niż zwyczajni ludzie.

Intelektualiści w ogóle, a filozofowie w szczególności potrzebują świata o wiele mniej niż świat ich.,

Przez cały obiad gawędził z Dziurą, wspominając Montanę.

Dźwięk pękającego kręgosłupa...

Ta zgroza, w oczach chłopca, rozplywająca się w mętnej rezygnacji, a potem przechodząca w spokój...

Przedziwny zapach ostatniego oddechu, przy którym śmierć zawarczała w gardle Kulasa jak werbel...

Zostawił trzydziestoprocentowy napiwek, ale nie oddał ćwiecdolarówki kasjerce. Był pewien, że Ręka nie znalazła jej w telefonie. Z etycznego punktu widzenia mógł ją zatrzymać.

Dla uniknięcia blokad we wschodniej Nevadzie, gdzie FBI rzekomo poszukiwało handlarzy narkotyków, lecz według niego raczej tuszowało jakieś związane z UFO zajścia, skręcił na północ z Winnemucca w stronę Oregonu, autostradą 95, niepodzieloną dwupasmówką.

Dziewięćdziesiąt kilometrów za granicą Oregonu autostrada skręciła na wschód w stronę Idaho. Przekroczyli rzekę Owyhee, a po niej granicę.

O szóstej znaleźli się na kempingu na północ od Boise w Idaho, gdzie podłączyli się do kanalizacji.

Preston przyniósł posiłek, tym razem chińszczyznę. Taką sobie.

Czarna Dziura uwielbiała ryż. I choć znowu była naćpana, zachowała tyle przytomności umysłu, żeby jeść.

Jak zwykle skierowała rozmowę na siebie. Zawsze chciała znajdować się w centrum uwagi.

Kiedy wspomniała, że zamierza ozdobić zdeformowaną rękę córki, zachęcił ją, by koniecznie to zrobiła. Dekoracyjne okaleczenia wydały mu się tak idiotyczne, że aż zabawne – pod warunkiem że uda mu się omijać wzrokiem powykęcianą kończynę dziewczynki.

W dodatku wiedział, że pomysł przeraził Rękę, choć dobrze ukryła strach. Ten strach wreszcie rozproszył jej złudzenia, że ma jakieś szansę na normalne życie.

Zdołała chytrze załatwić matkę, udając, że bierze udział w tej beznadziejnie durnej zabawie. Ale kiedy usłyszy, jak Czarna Dziura ekscytuje się perspektywą zabrania się do niej za pomocą skalpeli, może wreszcie zrozumie, że nie została stworzona, by wygrać, a już na pewno nie w tym wypadku.

Wyszła ze swojej matki pokraczna, niedoskonała. Była nieudana od chwili, gdy lekarz dał jej klapsa, żeby pobudzić jej oddychanie, zamiast miłosiernie i dyskretnie ją zadusić.

Kiedy nadejdzie pora, by zabrać ją do lasu, może w końcu pojmie, że śmierć jest dla niej najlepszym rozwiązaniem. Powinna zdecydować się umrzeć, zanim matka zacznie ją rzeźbić. Bo wcześniej czy później i tak do tego dojdzie.

Śmierć była jej jedyną deską ratunku. W przeciwnym razie będzie musiała jeszcze przez wiele lat wieść bolesne życie outsidera. Komuś tak pokreconemu życie niesie same rozczarowania.

Oczywiście Preston nie chciał, żeby poddała się zupełnie. To dzięki oporowi ofiar miał co wspominać.

Skończyli kolację, zostawili Rękę stół do posprzątania i wzięli prysznic – osobno – po czym udali się na spoczynek.

Dziura zasnęła, czytając „In Watermelon Sugar”.

Miał ochotę ją wykorzystać, ale nie potrafił określić, czy narkotyki ściągnęły na nią głęboki letarg, czy też po prostu zwyczajny sen. Jeśli tylko sen, mogłaby się obudzić w trakcie. To by mu zepsuło nastrój.

Gdyby się obudziła, byłaby zachwycona. Wiedziała, że umowa, jaką zawarli, nie pozwala jej na aktywny udział w stosunku. A jednak i tak byłaby zachwycona.

Umowa: Dziura otrzymuje wszystko, czego jej potrzeba, w zamian za tę jedną jedyną rzecz, której pragnie Preston.

Na myśl o jej zachwycie, udziale, poczuł słabe mdłości. Nie miał ochoty być świadkiem czyichś intymnych czynności fizjologicznych.

I nie znoził być obserwowany. Jeśli miał katar, zawsze wychodził do innego pokoju, żeby wydmuchać nos. Nie chciał, żeby ktoś słyszał, jak wycieka z niego śluz.

Dlatego wizja orgazmu w obecności zainteresowanej partnerki była nieznośna, wręcz niedopuszczalna.

Współczesne społeczeństwo nie docenia znaczenia dyskrecji.

Nie mając pewności co do natury i głębi letargu Dziury, zgasił światło i umościł się na swojej stronie łóżka.

Pomyślał o dzieciach, które miała sprowadzić na ten świat. Małe pokrecone czarodziejskie stworki. Etyczne dylematy, które czekają na zdecydowane rozstrzygnięcie.

Niedziela: z Boise do Nun's Lake. Pięćset sześćdziesiąt dwa kilometry. Teren trudniejszy niż w Nevadzie.

Na ogół nie ruszał w drogę przed dziewiątą lub dziesiątą, gdy Czarna Dziura jeszcze leżała w łóżku, a Ręka już nie spała. Wyruszyli na poszukiwanie bliskich spotkań trzeciego stopnia, lecz ich misja była

nie aż tak pilna.

Jednak tego ranka wyruszył o szóstej piętnaście.

Ręka była już ubrana. Jadła batonik muesli.

Ciekawe, czy wie, że z kuchni zniknęły wszystkie noże i ostre narzędzia.

Nadal sądził, że brak jej odwagi, by wbić mu nóż w plecy, gdy będzie siedział za kierownicą. Prawdę mówiąc, nie wierzył nawet, żeby zdołała się zdobyć na prawdziwą obronę, kiedy znajdą się sam na sam w tej rozstrzygającej chwili.

Mimo to ostrożności nigdy za wiele.

A więc na północ, tam gdzie szeroka pierś Idaho przechodzi w wąską szyję. Sunęli przez olśniewający teren. Niebosiężne góry, rozległe lasy, szybujące orły.

Po każdym spotkaniu z naturą w jej najbardziej olśniewającej postaci budziła się w nim myśl: ludzkość to pasożyt. Ludzkość tu nie pasuje.

Nie mógł uchodzić za jednego z tych radykalnych obrońców środowiska, którzy marzą o wymazaniu ludzkości z powierzchni Ziemi za pomocą stworzonej w laboratorium śmiertelnej plagi. Miał kłopoty z etyczną systematyzacją eksterminacji całego gatunku, nawet jeśli chodzi o gatunek ludzki.

Jednak dziesiątkowanie istot ludzkich za pomocą odpowiedniej polityki publicznej wydawało mu się godne pochwały. Miłosierne zlekceważenie plagi głodu doprowadzi do usunięcia milionów istnień. Wystarczy zaprzestać eksportu ratujących życie leków do Trzeciego Świata, gdzie AIDS zbiera śmiertelne żniwo, a wkrótce nastąpią kolejne miliony zgonów.

Niech sama natura usunie zbędny nadmiar. Niech zdecyduje, jak wiele ludzkich istnień zamierza tolerować. Jeśli nie będzie się jej przeszkadzać, wkrótce rozwiąże ten problem.

Niewielkie konflikty zbrojne, które raczej nie doprowadzą do międzynarodowych walk, powinno się uznać nie za okropność, której należy się wystrzegać, lecz za plewienie chwastów.

Ponadto tam, gdzie totalitarne rządy chcą zlikwidować setki tysięcy czy nawet miliony dysydentów, nie powinno się ich karać żadnymi sankcjami. Dysydenci to na ogół osoby buntujące się przeciwko rozsądnemu zarządzaniu dobrami.

Sankcje doprowadzą do rebelii, potajemnych akcji militarnych, które przerodzą się w wielkie wojny, a mogą doprowadzić nawet do konfliktu jądrowego, szkodliwego nie tylko dla ludzkiej cywilizacji, lecz także naturalnego świata.

Żadna ludzka istota nie powinna zmieniać natury, bo ona, pozbawiona ludzkości, jest doskonała.

Zresztą trudno znaleźć jakieś plusy ludzkiej cywilizacji. Zgodnie z założeniami etyki użytecznej, tylko osoby przydatne dla społeczeństwa lub państwa mają prawo żyć. Na ogół ludzie bywają zbyt niedoskonali, żeby się na cokolwiek przydać.

Niebosiężne góry, rozległe lasy, szybujące orły.

Za przednią szybą: piękno natury.

Wewnątrz, z drugiej strony jego oczu, tam gdzie na ogół upływało mu życie, czekała wspaniałość inna od tej za przednią szybą, lecz dorównująca jej we wszystkim, prywatny krajobraz, który go fascynował od niepamiętnych czasów.

Preston Klaudiusz Maddoc szczycił się zdolnością uczciwego przyznawania się do własnych słabości. Był równie niedoskonały jak inni, o wiele bardziej niedoskonały od niektórych i nigdy nie pozwalał sobie w tej kwestii na złudzenia.

Jego najgorszą wadą z całą pewnością były te częste mordercze impulsy. I przyjemność, którą czerpał z zabijania.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość – już we wczesnym wieku zrozumiał, iż ta chęć zabijania to skaza na jego charakterze i że nie można jej łatwo usprawiedliwić. Nawet jako dziecko usiłował rozumnie kontrolować swoje mordercze skłonności. Początkowo torturował i zabijał owady. Mrówki, żuki, pająki, muchy, gąsienice...

W tamtych czasach wszyscy uważali, że robale są obrzydliwe. Być może największym błogosławieństwem jest czerpanie radości z użytecznej pracy. Jego radością było zabijanie, a użyteczną pracą – likwidowanie wszystkiego, co pełza lub się wije.

Nie miał wówczas szacunku dla środowiska. Dopiero później, w szkole, uświadomił sobie ze zgrozą, jak wielką krzywdę wyrządził w dzieciństwie naturze. Robale są bardzo pożyteczne.

Po dziś dzień pozostało w nim niepokojące podejrzenie, że gdzieś w głębi serca wiedział, iż jego postęпки są nieetyczne. W przeciwnym razie dlaczego tak bardzo krył się ze swoją radością?

Nigdy nikomu się nie pochwalił, że lubi miażdżyć pająki. Posypywać solą gąsienice. Podpalać żuki.

I bez żadnych przemyśleń, zupełnie nieświadomie, przeniósł zainteresowanie z owadów na małe zwierzęta. Myszy, chomiki, świnki morskie, ptaki, króliki, koty...

W jego rodzinnej trzydziestoakrowej posiadłości w Delaware żyło dostatecznie wiele dzikich zwierząt, na które polował. Jeśli sezon okazywał się mniej urodzajny, dzięki sporemu kieszonkowemu mógł się zaopatrywać w sklepach zoologicznych.

Dwunasty i trzynasty rok życia spędził jakby w półtransie. Tyle potajemnych zabójstw! Często, gdy usiłował wrócić do nich pamięcią, te lata wydawały mu się zamglone.

Nic nie usprawiedliwia okrucieństwa względem zwierząt. Mają prawo żyć na tym świecie, większe niż ludzie.

Czasem zastanawiał się, czy w tamtych czasach nie zbliżył się niepokojąco blisko do utraty samokontroli. Ten okres nie budził w nim ciepłych wspomnień. Wołał wspominać lepsze czasy.

W nocy przed czternastymi urodzinami Prestona jego życie zmieniło się na lepsze wraz z wizytą kuzyna Brandona, który przybył na długi weekend w towarzystwie rodziców.

Brandon, od urodzenia sparaliżowany od pasa w dół, był przykuty do fotela inwalidzkiego.

W wewnętrznym świecie, w którym Preston przebywał częściej niż w realnym życiu, kuzyn nazywał się Szambiarz, ponieważ prawie przez dwa lata jako siedmio – i ośmiolatek Brandon musiał używać worka kolostomijnego, dopóki ciąg skomplikowanych operacji nie rozwiązał jego problemów jelitowych.

Ponieważ w domu znajdowała się winda, kuzyn miał swobodny dostęp do obu pięter. Spał w pokoju Prestona, w którym od dawna stało drugie łóżko na wypadek wizyt przyjaciół.

Świetnie się bawili. Trzynastoletni Szambiarz miał wyjątkowy talent imitatorski: rewelacyjnie naśladował głosy krewnych i służby. Preston nigdy dotąd nie śmiał się tak, jak tamtego wieczora.

Szambiarz zasnął koło pierwszej w nocy.

O drugiej Preston go zabił. Udusił go poduszką.

Szambiarz miał sparaliżowane tylko nogi, lecz cierpiał na inne dolegliwości, które upośledziły sprawność górnej połowy ciała. Usiłował się bronić, ale mu się nie udało.

Po niedawnym przewlekłym bronchicie płuca Szambiarza mogły nie być u szczytu swoich możliwości. Śmierć nastąpiła zbyt szybko, by Preston poczuł zadowolenie.

Parę razy, w nadziei przedłużenia tego doznania, Preston cofał poduszkę, dając Szambiarzowi szansę złapania oddechu, lecz nie na tyle, żeby udało mu się krzyknąć. Mimo to koniec nadszedł zbyt szybko.

Po niemrawej walce pościel była trochę wzburzona. Preston wygładził ją starannie.

Przyczesał włosy zmarłego kuzyna, żeby jakoś wyglądał.

Ponieważ Szambiarz umarł na wznak, a tak zwykle sypiał, nie było potrzeby zmieniać jego pozycji. Preston w taki sposób ułożył jego ręce i nogi, by stworzyć wrażenie spokojnego zejścia.

Szambiarz miał rozdziawione usta. Preston zamknął je mocno, przytrzymał i zaczekał, aż zaskoczą w tej pozycji.

Oczy były szeroko rozwarte, wpatrywały się przed siebie z czymś w rodzaju zaskoczenia. Preston opuścił powieki i przycisnął je ćwierćdolarówkami.

Po paru godzinach zdjął monety. Powieki pozostały zamknięte.

Wyłączył lampę, wrócił do łóżka i wtulił twarz w tę samą poduszkę, którą udusił kuzyna.

Miał wrażenie, że zrobił coś dobrego.

Przez resztę nocy był zbyt podniecony, żeby głęboko zasnąć, choć parę razy zapadał w drzemkę. O ósmej rano, gdy matka Szambiarza, ciocia Janice – znana także jako Cycatka – zapukała do drzwi, Preston był przytomny, lecz udawał, że śpi. Nikt nie odpowiedział nawet po drugim pukaniu, ale weszła, ponieważ przyniosła synowi poranne lekarstwa.

Preston zamierzał udać, że budzi się na wrzask Cycatki, ale nie było mu dane przeżyć tej dramatycznej sceny, ponieważ Cycatka wydała tylko jakiś zduszony żalony dźwięk i osunęła się na łóżko Szambiarza, płacząc równie cicho, jak zapukała.

Na pogrzebie Preston słyszał, jak liczni krewni i przyjaciele rodziny mówią, że tak jest dla niego lepiej, że został wybawiony od wiecznego cierpienia, że być może rozpacz rodziców nie jest tak wielka jak odpowiedzialność, którą zdjęto im z barków.

To potwierdziło jego przekonanie, że postąpił dobrze.

Jego zabawy z owadami dobiegły końca.

Niefortunne przygody z małymi zwierzętami miały ustać na zawsze.

Znalazł zajęcie, które także niosło wiele satysfakcji.

To zrozumiałe, że tak wspaniały chłopak i doskonały uczeń – pierwszy w klasie – zainteresował się nauką, dzięki której mógł zrozumieć swoją szczególną rolę. W szkole i książkach znalazł wszystkie potrzebne odpowiedzi.

A jednocześnie praktykował. Jako młodzieniec z bardzo bogatej i uprzywilejowanej rodziny zyskał sobie ogólny szacunek, pracując jako wolontariusz w domach pomocy, co sam nazywał skromnie „dawaniem czegoś z siebie społeczeństwu w zamian za wszystkie błogosławieństwa, które go spotkały”.

Kiedy nadeszła pora zdawania na studia, Preston uznał, że jego polem działania będzie filozofia.

Wchodząc do wielkiego lasu filozofów i filozofii, nauczył się, że wszystkie drzewa są równe, każde zasługuje na szacunek, a żaden pogląd na życie oraz jego cel nie jest lepszy od pozostałych. A to znaczyło, że nie istnieje żadna prawda absolutna, nic pewnego, żadne uniwersalne prawo czy zakaz, tylko różne punkty widzenia. Przed sobą widział miliony metrów kwadratowych materiału, z którego mógł zbudować dokładnie takie schronienie, jakie mu się podobało.

Niektórzy filozofowie przywiązywali do ludzkiego życia większe znaczenie niż inni. Ci mu nie pasowali. Wkrótce się przekonał, że jeśli filozofia jest jego środowiskiem, to współczesna etyka jest ulicą, na jakiej najbardziej chciałby zamieszkać. W końcu stosunkowo nowe pole bioetyki stało się przytulnym domkiem, w którym po raz pierwszy w życiu poczuł się u siebie.

W ten sposób osiągnął obecną pozycję. I znalazł się w tym miejscu i czasie.

Niebosiężne góry, rozległe lasy, szybujące orły.

Na północ, na północ, do Nun's Lake.

Czarna Dziura powstała z martwych. Usiadła obok niego.

Rozmawiał z nią, czarował, rozśmieszał, jechał jak zwykle z dużą wprawą, na północ, do Nun's Lake, ale nadal żył we własnym świecie.

Przywołał wspomnienia najpiękniejszych zabójstw. Miał ich do wspomnienia więcej, niż ktokolwiek się spodziewał. Wspomagane samobójstwa, o których wiedziały media, to tylko ułamek jego zawodowych osiągnięć.

Jako najbardziej kontrowersyjny i jednocześnie najbardziej szanowany bioetyk swoich czasów, ze względu na swoją profesję czuł się zobowiązany do zachowania skromności. Dlatego nigdy nie chwalił się prawdziwą liczbą miłosiernych przysług, jakie wyświadczył tym, którzy potrzebowali śmierci.

W miarę jak mknęli coraz bardziej na północ, niebo stopniowo coraz bardziej kryło się za chmurami: cienkimi szarymi całunami, a potem grubymi kłębami ciemniejszej materii.

Przed końcem dnia Preston zamierzał zlokalizować i odwiedzić Leonarda Teelroya, człowieka, który twierdził, że został uleczony przez Obcych. Miał nadzieję, że pogoda nie pokrzyżuje mu szyków.

Domyślał się, że Teelroy jest oszustem. Przeróżająco często rzekome spotkania z kosmitami okazywały się jawnym szalbierstwem.

Mimo to uparcie wierzył, że Obcy odwiedzają Ziemię od tysięcy lat. A nawet wiedział, co tu porabiają.

Przypuścmy, że Leonard Teelroy nie kłamie. Załóżmy nawet, że na farmie doszło do kontaktu z Obcymi. Preston i tak nie wierzył, że kosmici ulecą Rękę i odeślą ją z powrotem.

Wcale nie miał „wizji” Ręki i Kulasa. Zmyślił ją, żeby wytłumaczyć Czarnej Dziurze, dlaczego chce się błąkać po kraju w poszukiwaniu kosmitów. Teraz, nadal gawędząc z Dziurą, spojrzął w lusterko na osłonie przeciwsłonecznej. Ręka siedziała przy stole. Czytała. Jak to wołają za skazańcami w więzieniu? Trup idzie. Tak, chyba tak.

A tutaj: trup czyta.

Miał własne powody, dla których chciał nawiązać kontakt z kosmitami. Nie miały nic wspólnego z Ręką. Ale wiedział, że jego motywy nie zainspirują Czarnej Dziury.

Wszystkie czynności musiały się w jakiś sposób obracać wokół niej. W przeciwnym razie nie zgadzała się współpracować.

Doszedł do wniosku, że Dziura kupi historię o kosmitach-uzdrowicielach. Równie pewien był, że kiedy już zabije jej dzieci i powie, że zostały zabrane w gwiazdy, Dziura pogodzi się z ich zniknięciem z radosnym zdumieniem i zachwytem – i nie zorientuje się, że teraz sama znalazła się w niebezpieczeństwie.

I tak też się stało. Jeśli natura dała jej zdrowy rozum, Czarna Dziura zniszczyła go z własnej woli. Teraz była zupełną kretynką.

Co innego Ręka. Ta była aż za cwana.

Nie mógł ryzykować czekania do jej dziesiątych urodzin.

Odwiedzi farmę Teelroya i oceni sytuację. Jeśli nie dostrzeże żadnych szans nawiązania kontaktu z Obcymi, z samego rana ruszy na wschód do Montany. O trzeciej zaprowadzi dziewczynkę do odległej, zacienionej dolinki, gdzie czeka na nią jej brat.

Rozkopie grób i zmusi ją do spojrzenia na szczątki Kulasa.

To będzie okrucieństwo. Sam o tym wiedział.

Jak zawsze uczciwie przyznawał się do własnych błędów. Nigdy nie twierdził, że jest doskonały. Żadna ludzka istota nie może rościć sobie do tego prawa.

Oprócz upodobania do zabójstw z biegiem lat odkrył w sobie apetyt na okrucieństwo. Miłosierne

odbieranie życia – szybko i w miarę bezboleśnie – z początku sprawiało mu ogromną satysfakcję. Potem już mniejszą.

Nie szczycił się tą usterką charakteru, ale też się jej nie wstydził. Jak każdy na tej planecie był tym, kim był – i starał się osiągnąć jak najwięcej.

Najważniejsze, że wciąż pozostawał użyteczny, w prawdziwym i doniosłym sensie tego słowa, że jego wkład na rzecz podupadającego społeczeństwa nadal był większy niż dobra, których potrzebował, żeby funkcjonować. Zgodnie z zasadami etyki utilitarnej wykorzystał swoje wady dla dobra ludzkości i zachowywał się odpowiedzialnie. Okrucieństwo rezerwował wyłącznie dla tych, którzy i tak musieli umrzeć, a torturował ich tylko bezpośrednio przed zabiciem.

Poza tym w sposób godny naśladowania panował nad wszystkimi agresywnymi impulsami. Do wszystkich innych – tych, których nie przeznaczył na śmierć – odnosił się życzliwie, z szacunkiem i serdecznością.

Prawdę mówiąc, świat potrzebował więcej takich ludzi jak on – mężczyzn i kobiet! – działających w ramach zasad etycznych, by oczyścić przeludniony świat z tych, co tylko biorą, z tych bezwartościowych stworzeń, które, gdyby im pozwolić żyć, swoimi żądzami doprowadziłyby do upadku nie tylko cywilizację, lecz całą naturę.

Tych bezwartościowych było tak wiele. Legiony.

Miał ochotę poddać Rękę wyrafinowanemu okrucieństwu, ponieważ drażniła go tą swoją świątobliwą pewnością, że Bóg stworzył ją w jakimś celu, że jej życie ma sens, który pewnego dnia się ujawni.

Więc niech sobie poszuka sensu w biologicznej papce i sterczących kościach gnijącego ciała jej brata. Niech na próżno szuka w tym cuchnącym grobie śladu istnienia jakiegokolwiek boga.

Na północ, do Nun's Lake, pod ciemniejącym niebem.

Niebosiężne góry, rozległe lasy. Orły schroniły się w gniazdach.

Trup czyta.



Zgodnie z załączonym do mapy wykazem odległości przeliczonych na czas podróży, Micky powinna pokonać te sześćset dziesięć kilometrów pomiędzy Seattle i Nun's Lakę w osiem godzin i dziesięć minut. W obliczeniach uwzględniono ograniczenia szybkości i przystanki na odpoczynek, podobnie jak warunki drogowe na szosach, które zamierzała wybrać po zjeździe z międzystanowej autostrady 90 na południowy wschód od Coeur d'Alene.

Opuściwszy Seattle punktualnie o 5.30 rano, dotarła do celu o 12.20, godzinę i dwadzieścia minut przed czasem. Do tego sukcesu przyczyniły się puste szosy, brak szacunku dla ograniczeń prędkości i zerowe zainteresowanie wypoczynkiem. Nazwa miasteczka\* [\*Nun's Lake – Jezioro Zakonnic (przyp. tłum).] okazała się mocno osadzona w rzeczywistości. Tuż za jego południowymi granicami znajdowało się duże jezioro, a na wysokim wzgórzu na północy wznosił się imponujący klasztor, zbudowany w 1930 roku z wydobywanego w okolicy kamienia. Zajmowały go karmelitanki, a w głębinie jeziora medytowały ryby najróżniejszych wyznań, dzięki czemu społeczność miasteczka znalazła się w kleszczach monumentalnej siły ducha i kipiących życiem terenów rekreacyjnych.

Miasto otaczały wiecznie zielone lasy. Potężne sosny, niemal sięgające czubkami chmur burzowych, stały na straży nadciągającej nawałnicy – zakon symbolicznych siostr w zielonych barbetach, kornetach i habitach, najeżonych igiełkami szatach, które w tym ponurym świetle wydawały się tak ciemne, że z daleka wyglądały niemal jak czarne suknie prawdziwych zakonnic z klasztoru.

Choć miasto poza sezonem liczyło niespełna dwa tysiące mieszkańców, w lecie ich liczba się podwajała dzięki systematycznemu napływowi wędkarzy, żeglarzy, biwakowiczów, turystów i entuzjastów skuterów wodnych.

W gwarным sklepie sportowym, w którym można było kupić wszystko od dżdżownic na kilogramy po sześciopaki piwa, Micky dowiedziała się, że w okolicy istnieją trzy kempingi, na których przyczepy i samochody mieszkalne mogą się podłączyć do elektryczności i ujęć wody. Kemping państwowy przeznaczony dla nich tylko dwadzieścia procent powierzchni. Dwa prywatne kempingi zapewniały więcej wygody.

W ciągu godziny odwiedziła wszystkie trzy miejsca, dopytując się o rodzinę Jordana Banksa. Była pewna, że Maddoc nie posłuży się własnym nazwiskiem. Nie wykupił miejsca na żadnym kempingu, na żadnym też nie zrobił rezerwacji.

Ponieważ zastój gospodarczy ograniczył plany wakacyjne niektórych urlopowiczów i ponieważ nawet w lepszych czasach kempingi występowały w tej okolicy w nadmiarze, rezerwacje nie zawsze były konieczne i wszędzie można było znaleźć wolne miejsce.

Micky za każdym razem prosiła, żeby nie wyjawiano rodzinie Banksów, że o nią pytała.

– Jestem siostrą Jordana. On nie wie, że tu jestem. Chcę mu zrobić niespodziankę. Niedługo jego urodziny.

Jeśli Maddoc miał fałszywe dokumenty na nazwisko Banks, prawdopodobnie zaopatrzył się także w dowody na parę innych nazwisk. Mógł się już zameldować na którymś kempingu pod nazwiskiem, którego nie znała.

Leilani powiedziała, że podróżują luksusowym autobusem. „Jak się wytaczamy na autostradę, ludzie robią wielkie oczy, bo to wygląda, jakby Godzilla jechała na wakacje”. Ponadto Micky widziała granatowego dodge'a durango, zaparkowanego przy przyczepie obok domu Gen, i wiedziała, że Maddoc ciągnął go za autobusem. Dlatego jeśli wystąpił pod trzecim nazwiskiem, i tak by go znalazła podczas

objazdu kempingów.

Problem w tym, że żeby wjechać na ich teren, musiała podać nazwisko biwakującej tu osoby, dzięki czemu mogła otrzymać przepustkę. Jeśli Maddoc nie posłużył się nazwiskiem Banks albo jeśli ona nie dowie się, jakiego nazwiska używa, plan mógł się nie powieść.

Mogła wynająć miejsce na każdym kempingu, dzięki czemu mogłaby wchodzić na ich teren bez żadnych ograniczeń, ale nie miała namiotu ani nic w tym rodzaju. I choć można spać w furgonetce i nadal uchodzić za osobę godną szacunku, spanie w samochodzie osobowym lokuje cię o oczko wyżej od bezdomnego, a takich sąsiadów nikt sobie nie życzy.

Poza tym jej finanse były już bardziej niż skromne; gdyby można je przełożyć na dźwięk, byłby słyszalny tylko dla psów. Gdyby namierzyła Maddoca, lecz nie miała szansy przechwycić Leilani, powinna za nimi jechać. Nie wiedziała, dokąd się wybierają, więc musiała oszczędzać.

Bliska jeżdżenia w kółko po wszystkich trzech kempingach i obrzydzenia życia ich pracownikom wpadła w końcu na jedyny pomysł, który mógł ją naprowadzić na trop Maddoca. Przejechała całą tę trasę, żeby porozmawiać z jakimś gościem rzekomo uleczonym przez kosmitów. Jeśli stanie na czatach pod jego domem, doczeka się w końcu tropionej zwierzyny.

W gwarnym sklepie sportowym, gdzie poprzednio dowiadywała się o kempingi dla przyczep mieszkalnych, spytała o lokalną znakomitość, na co sprzedawca zareagował nieufnym śmiechem. Facet nazywał się Leonard Teelroy i mieszkał na farmie pięć kilometrów na wschód za miastem.

Wskazówki brzmiały jasno, a wąska wiejska droga była dobrze oznakowana, ale kiedy Micky znalazła się na miejscu, okazało się, że posiadłość Teelroya nazywano farmą chyba tylko z przyzwyczajenia. Obecnie nikt tu niczego nie uprawiał. Wokół pól, które od dawna zarosły po pas chwastami, leżały przewrócone płoty.

Zniszczonej stodoły nikt nie odnawiał od kilkudziesięciu lat. Wiatr, deszcz, zgnilizna, termity oraz ogólne zaniedbanie zdarły jedną trzecią desek budynku, jakby były one żebrami martwego potwora, którego ścierwniki oczyściły z mięsa. Zapadający się dach groził zawaleniem pod ciężarem zwykłego kosa.

Stary traktor z nazwą wymalowaną spłowiałą, niegdyś jadowicie zieloną farbą leżał w rowie przy podjeździe na boku, porośnięty płożącymi się chwastami, jakby w zamierzchłych czasach rozgniewana ziemia zbuntowała się przeciwko nieustannej uprawie i wyrzuciwszy z – siebie plątaninę zielonych chaszczy, omotała pracujący traktor, zwała go na ziemię i udusiła kierowcę.

Micky pierwotnie nie zamierzała rozmawiać z Teelroyem, tylko obserwować jego dom z daleka w oczekiwaniu na przybycie Maddoca. Przejechała koło farmy i przekonała się, że prowadząca tu odnoga szosy biegnie przez wzniesienie terenu; miała do dyspozycji kilka kryjówek wśród drzew, skąd mogła obserwować dom, nie rzucając się w oczy.

Zanim zdążyła się zdecydować, przyszło jej do głowy, że Maddoc mógł tu już dotrzeć. Musi jechać w ślad za nim, nie wolno jej tracić go z oczu, gdy wraz z Sinsemillą wyruszy z Nun's Lake, by zabrać Leilani w nieznane miejsce.

Zdecydowała się na objazd Nevady w obawie, że oblawa może się rozciągnąć ze wschodnich rejonów stanu na całe jego terytorium. Jeśli Maddoc przejechał przez Nevadę i nie utknął w blokadzie, miał do przebycia krótszą trasę niż ona.

Codziennie jechała przez wiele godzin, z pewnością o wiele dłużej niż Maddoc, który siedział za kierownicą trudniejszego do prowadzenia pojazdu. Była pewna, że jej camaro przez całą drogę osiągał większą prędkość niż ciężki autobus.

Ale mimo to...

Przy pierwszej okazji zawróciła i znów ruszyła w stronę farmy Teelroya. Wtoczyła się na podjazd, minęła rdzewiejący szkielet przewróconego traktora, zwolniła i przyjrzała się jej dokładniej. Prawie spodziewała się dostrzec błysk wyschniętych na słońcu kości uduszonego kierowcy, bo przy drugim oglądaniu farma zrobiła na niej jeszcze bardziej ponure – i niesamowite – wrażenie.

Gdyby Norman Bates, król psychopatów? uciekł z domu wariatów i obawiając się tak od razu wrócić do swego motelu, chciał wynająć zwykłą kwaterę mieszkalną, ten stary dom zachwyciłby go chyba jak nic na świecie. O te ściany od lat dbało tylko słońce, deszcz, śnieg i wiatr. Teelroy zdobył się jedynie na tyle prac remontowych, by nie zginąć gwałtowną śmiercią na skutek samoistnego zawalenia się budynku.

Micky przemierzyła szczątki trawnika przed domem: uklepana ziemia i rozczochrane kępy chwastów. Drewniane schodki uginały się pod nią i trzeszczały. Podłoga ganku jęczała.

Micky zapukała i cofnęła się parę kroków. Gdyby stała zbyt blisko progu, za bardzo by prowokowała ewentualnego Kubę Rozpruwacza.

Wszędzie panowała głucha cisza, jak gdyby ktoś przykrył całą farmę szklanym kloszem.

Posiniaczone i obrzmiałe niebo wyglądało na rozjątrzone, jakby za chwilę miało wziąć odwet na ziemi.

Micky nie słyszała zbliżających się kroków, ale drzwi nagle gwałtownie otworzyły się do środka. Na progu stanęła potężna postać pachnąca kwaśnym mlekiem, z twarzą okrągłą i czerwoną jak balon, z brodą tak rosochatą, że przypominała raczej kłęb szarlatu. Drelichowy kombinezon i biały podkoszulek z krótkimi rękawami sugerowały, że stojący przed nią kształt jest człowiekiem, ale to podejrzenie potwierdziło się dopiero na widok tego, co dostrzegła nad spłaszczonym, rozjątrzonym i objętym siecią spękanych naczynek krwionośnych nosem. Pomiędzy tym nosem i bezwłosą jak pomidor czaszką znajdowało się dwoje tonących w tłuszczu brązowych oczu, bez wątpienia ludzkich, gdyż wypełniała je podejrzliwość, rozpacz, nadzieja i głód.

– Pan Teelroy? – spytała.

– No pewnie. A kto ma być? Sam tu mieszkam. – Z potężnego ciała, zza brody i brzydkiego zapachu doszedł ją głos słodki jak chłopięcy śpiew.

– Pan jest tym Leonardem Teelroyem, który miał bliskie spotkanie z kosmitami?

– Z jakiej jest pani wytwórni? – spytał miłym głosem.

– Słucham?

Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. – Zwyczajni ludzie nie wyglądają tak dobrze jak ty, laluniu. Przebrałaś się, żeby to ukryć, ale masz na sobie piętno Hollywoodu.

– Hollywoodu? Chyba nie rozumiem. Spojrzał ponad jej ramieniem na camaro.

– Niezły pomysł z tym rupieciem.

– To nie żaden pomysł. To mój samochód.

– Do takich gratów są stworzeni ludzie tacy jak ja. Gdy ktoś wygląda jak ty, jak jakaś gwiazda filmowa, rodzi się od razu z kluczykami do mercedesa.

Nie chciał jej obrazić ani się z nią pokłócić. Miał swoje zdanie i, wbrew słodkiemu głosowi, twardy charakter.

Chyba spodziewał się kogoś innego. Ponieważ wziął ją za tę osobę, usiłowała go wyprowadzić z błędu.

– Przyjechałam tylko po to, żeby usłyszeć o pańskim kontakcie z UFO i spytać...

– Spytać, no myślę, bo to jedna z najwspanialszych historii na świecie. Wszystko, co mi się

przydarzyło, to gotowy hit. I dam ci wszystko, co chcesz – po podpisaniu kontraktu.

– Kontraktu?

– Ale od każdego, z kim robię interesy, spodziewani się uczciwości. Powinnaś tu przyjechać prawdziwym mercedesem, w prawdziwych ciuchach i szczerze powiedzieć, z której wytwórni czy stacji jesteś. Nawet się nie przedstawiłaś.

Wreszcie zrozumiała. Wydawało mu się, że jego przygoda stanie się następnym hitem Spielberga, z Melem Gibsonem w roli Leonarda Teelroya.

Nie obchodziło jej jego bliskie spotkanie, ale zrozumiała, że może wykorzystać to nieporozumienie, żeby zdobyć potrzebną informację.

– Jest pan bardzo przebiegły.

W odpowiedzi na komplement uśmiechnął się promiennie i jakby napęczniał. Nienaturalnie czerwona cera poczerwieniała jeszcze bardziej, jak bojler w kreskówkach na chwilę przed wybuchem.

– Wiem, co mi się należy. Tylko o to proszę – o to, na co zasługuje tak fantastyczna historia.

– Dziś jest niedziela, nie złapię szefa. Jutro zadzwonię do wytwórni, przedstawię sytuację i wrócę z profesjonalną ofertą.

Powoli szarmancko skłonił głowę, jak dżentelmen w odpowiedzi na uprzejmą propozycję damy. – Będę zaszczycony.

– Tylko jedno pytanie. Czy mamy konkurencję? – Uniósł brew, więc dodała: – Czy dziś rano pojawił się u pana reprezentant innej wytwórni?

– Nie było nikogo. – Nagle wyraźnie zdał sobie sprawę, że powinien zachowywać się tak, jakby już mu zaproponowano ogromne sumy pieniędzy. – Wczoraj był tu jeden gość... – zawahał się – z jednej z tych wielkich wytwórni.

Biedny Leonard nie umiał kłaniać; jego chłopięcy głos ochrypl z wrażenia przy tak wielkiej brawurze.

Nawet jeśli ktoś tu przyjechał w sobotę z pytaniami o UFO, nie mógł to być Maddoc, gdyż w najlepszym razie dotarł do Nun's Lake parę godzin przed Micky.

– Nie powiem z której – dodał Teelroy.

– Rozumiem.

– I jakieś pół godziny temu ktoś do mnie zadzwonił. Pewien pan powiedział, że przyjechał z Kalifornii, żeby się ze mną spotkać, więc to pewnie jeden z was. – Z jego głosu zniknęło wahanie i chryпка. Teelroy nie kłamał. – Wkrótce tu będzie.

– Cóż, na pewno słyszał pan o Paramount Pictures, prawda?

– Spora wytwórnia.

– Bardzo spora. Nazywam się Janet Hitchcock – przypadkowa zbieżność – i jestem dyrektorem w Paramount Pictures.

Jeśli to Maddoc zapowiedział swoją wizytę, nie chciała dopuścić, żeby Teelroy o niej wspomniał. Teraz nie będzie już śladu po „gwiazdzie filmowej” w zakurzonej starożytności. Za to Teelroy na pewno wspomni o Janet Hitchcock z Paramount Pictures.

– Miło mi panią poznać.

Wyciągnął rękę, a ona ją uściśniła, zanim zdążyła się zastanowić, czego mogły niedawno dotyczyć te palce.

– Jutro do pana zadzwonię – skłamała. – I spotkamy się po południu.

Choć był groteskowy, usiłował ją nabrać oraz mógł być niebezpieczny, i tak żałowała, że musi go

okłamać. Wyzbył się podejrzeń, ale jego oczy nadal wypełniała rozpacz i głód. W sumie postać raczej żalosna niż odrażająca.

Na tym świecie jest zbyt wiele osób, które bez wahania dobiją rannego. Nie chciała być jedną z nich.

Curtis siedzi na fotelu obok kierowcy w zaparkowanym domu na kółkach, wygląda przez przednią szybę i zastanawia się, czy zakonnice są na tyle odważne, że pływają na skuterach wodnych przy nadciągającej burzy.

Przybył do Nun's Lakę w sobotę wieczorem, otoczony opieką sióstr Spelkenfelter. Znaleźli miejsce na kempingu z widokiem na zasłonięte drzewami jezioro.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny Curtis nie zauważył żadnych zakonnice ani na jeziorze, ani na brzegu przy swoich codziennych zajęciach. Jest zawiedziony, bo na filmach widział bardzo wiele pięknych i dobrych zakonnice – Ingrid Bergman! Audrey Hepburn! – lecz od przybycia na tę planetę nie spotkał ani jednej.

Bliźniaczki zapewniły go, że jeśli będzie cierpliwy i uważny, zobaczy całe zastępy zakonnice w habitach, bawiące się na nartach wodnych, ślizgaczach i skuterach wodnych. Z ich rozkosznych chichotów Curtis wnosi, że bawiące się zakonnice muszą być jednym z najbardziej uroczych widoków na tej planecie.

Kiedy w piątek wieczorem w Twin Falls ujawnił swoją prawdziwą naturę, Cass i Poity zaproponowały, że będą jego nadwornymi strażniczkami. Usiłował wyjaśnić, że nie pochodzi z rodziny królewskiej i jest tak samo zwyczajny jak one. No, może nie całkiem, no bo jednak potrafi kontrolować swoją biologiczną strukturę i zmieniać kształt, tak by udawać wszystkie organizmy o odpowiednio wysokim poziomie inteligencji, ale poza tym jest całkiem do nich podobny, tyle tylko że nie potrafi żonglować, a gdyby przyszło mu występować nago na scenie w Las Vegas, ze wstydu nie mógłby nawet ruszyć palcem.

Jednak one uparły się przykładać do tej sytuacji szablon „Gwiezdnych wojen”. Chcą w nim widzieć księżniczkę Leię, tylko bez bujnego biustu i skomplikowanej fryzury. Mówią, że od dawna marzyły o tej chwili i są gotowe pomagać mu przez resztę życia w wykonywaniu zadania, z którym przybyła tu jego matka i jej uczniowie.

Wyjaśnił im, na czym polega jego misja, więc wiedzą, co może zrobić dla ludzkości. Jeszcze nie dał im Daru, ale wkrótce to zrobi i już teraz nie mogą się doczekać.

Ponieważ okazały mu tyle dobroci i ponieważ przyzwyczaił się uważać je za siostry, z początku nie był pewien, czy z nimi pozostać, gdyż to narażało je na niebezpieczeństwo. Od tego czwartkowego potknięcia był Curtisem Hammondem w każdym calu. Wrogowie nie mogą go już wykryć tak łatwo jak na początku, a w dodatku z każdą godziną lepiej wtapia się w ludzką populację. Jednak nawet kiedy nie będzie już wykrywalny dla biologicznych skanerów, których tak długo unikał z największym wysiłkiem, łowcy ludzkiego oraz nieludzkiego rodzaju nadal będą go ścigać. A jeśli złe huncwoty go odnajdą, ci, którzy mu towarzyszą – na przykład Cass i Poity – zostaną skazani na śmierć tak samo jak on.

Ale przez tych sześć gorączkowych dni na Ziemi zdążył dorosnąć; wskutek straszliwej straty i odseparowania od własnego gatunku zrozumiał, że powinien nie tylko przeżyć, nie tylko mieć nadzieję, że wypełni misję matki, lecz chwycić każdy dzień i działać. Działać! A do tego potrzebne mu silne oparcie w kręgu przyjaciół, zaufanej kadrze oddanych mu dusz, dobrych serc i bystrych rozumów; rzecz jasna ci przyjaciele muszą też być odważni. Bardzo nie chciał brać odpowiedzialności za cudze życie, ale nie ma wyboru, jeśli zamierza udowodnić, że jest godnym synem swojej matki.

Zmienianie świata, a musi go zmienić, żeby uratować, ma swoją cenę, czasami straszliwą.

Jeśli ma skupić dość sił, by doszło do zmiany, Cass i Poity są idealnymi kandydatkami. Dobroć ich

serc jest niepodważalna, podobnie jak bystrość umysłów, a razem mają tyle odwagi, że można by nią obdzielić pluton komandosów. Co więcej, dzięki życiu w Hollywood nauczyły się walczyć o przetrwanie i doskonale władać bronią, co już im się zdażyło przydać.

Przywiozły Curtisa do Nun's Lake, ponieważ i tak by tu przyjechały, nawet gdyby ich nie spotkał. To kolejny przystanek w ich pielgrzymce w poszukiwaniu UFO, a na ranczo Neary'ego wstąpiły po drodze, kiedy wojskowe organizacje odgrodziły kordonem połowę Utah w pościgu za obłąkanymi handlarzami narkotyków, którzy – co wiedzą wszyscy przy zdrowych zmysłach – muszą być kosmitami.

Poza tym po strzelaninie w sklepie na rozdrożu doszły do wniosku, że mądrze będzie oddalić się od granicy Nevady dalej niż do Twin Falls w Idaho.

Teraz, po bardzo potrzebnym dniu odpoczynku, obie naradzają się przy stole, studiują mapy i zastanawiają się, dokąd powinny pojechać, a Curtis wypatruje bawiących się za – konnic. No i zajmuje się tak rozległymi planami kampanii zmieniania świata, że jego dziesięcioletni mózg – aczkolwiek organicznie powiększony na prośbę ukochanej matki – chyba mu za chwilę eksploduje.

A gdy tak z zajęciem snuje plany ratowania świata, psina musi wyjść na siusiu. Daje mu to do zrozumienia, drapiąc do drzwi i przewracając oczami.

Curtis wstaje, żeby ją wypuścić, lecz Poily zrywa się z miejsca i mówi, żeby został w samochodzie, gdzie trudniej go dostrzec, jeśli w pobliżu czają się agenci imperium zła wraz ze swoimi skanerami.

Curtis zapewniają, że nie walczy z żadnym imperium. Jego sytuacja jest w pewien sposób prostsza, a w inny bardziej skomplikowana niż standardowe polityczne twory. Ale bliźniaczki i tak tkwią w szablonie „Gwiezdných wojen”, być może w nadziei, że wkrótce w podróźnej przyczepie mieszkalnej pojawi się Hań Solo oraz Wookie i zabawa się rozkręci.

– Jaja wyprowadzę – mówi Poily.

– Nikt nie musi z nią wychodzić – wyjaśnia Curtis. – Wypuszczę ją samą, ale pozostanę w jej duszy.

– Więź psio-chłopięca – domyśla się Poily.

– Aha. I mogę się rozejrzeć po kempingu oczami mojej siostrzyczki.

– To zupełnie jak u Arta Bella – mówi Poily, mając na myśli gospodarza radiowej audycji o spotkaniach z UFO. Drży z emocji.

Stary Rudzielec skacze z samochodu na ziemię, siostry znowu pochylają się nad mapą, a Curtis wraca na siedzenie koło fotela kierowcy.

Jego więź z siostrzyczką ciągle się umacnia, dwadzieścia cztery godziny na dobę, czy nad nią pracuje, czy nie. Teraz pracuje.

Szoferka samochodu, drzewa za przednią szybą i jezioro bez jednej zakonnicy rozplywają się przed jego oczami i Curtis znajduje się zarazem w samochodzie i na świeżym powietrzu ze Starym Rudzielcem.

Psina robi siusiu, ale nie do końca. Drepcze pomiędzy domami na kółkach i przyczepami, radośnie poznaje nowe terytorium, a kiedy znajduje coś, co szczególnie przypada jej do gustu, zaznacza to miejsce odrobiną moczu.

Ciepłe popołudnie stopniowo się ochładza, w miarę jak od zachodu przypływają chmury, które osiadają na skalistych szczytach i uwięzione między górami kondensują się w jeszcze ciemniejszą szarość.

Dzień pachnie cienistymi sosnami, igliwiem, nadciągającym deszczem.

Powietrze, śmiertelnie nieruchome, jest ciężkie od napięcia, jakby w jednej chwili ten upiorny spokój mógł wybuchnąć wściekłym tumultem.

Wszędzie widać ludzi przygotowujących się na nadejście burzy. Zwijają płócienne markizy. Kobiety

składają meble ogrodowe i chowają je w samochodach. Jakiś mężczyzna prowadzi znad jeziora dwoje dzieci, malcy mają na sobie kąpielówki, a w rękach trzymają dmuchane zwierzaki. Wszyscy zbierają gazety, książki, koce, to, co nie powinno zamoknąć.

Starego Rudzielca spotykają komplementy i zachwyty, na które odpowiada uśmiechem i żwawym machaniem ogona, choć nie daje się odwieść od badania terenu, niesłuchanie dla niej intrygującego. Świat jest niezmiernym oceanem zapachów, a każdy z nich to osobny nurt, który odświeża skomplikowane wspomnienia lub kokietuje tajemniczością i obietnicą cudownych odkryć.

Ciekawość i konieczność opróżnienia pełnego pęcherza prowadzą Starego Rudzielca przez labirynt pojazdów, drzew i piknikowych ław do domu na kółkach, który góruje nad wszystkim niczym Lewiatan, gotów połknąć całe bataliony w wielkiej wojnie, która może się rozpętać lada chwila. Nawet w porównaniu z budzącym respekt pojazdem bliźniaczek wydaje się niebosiężny.

Siostrzyczka czuje, że coś ją przyciąga do tego pojazdu godnego Zeusa, nie tylko ze względu na jego ogromne rozmiary i wspaniały wygląd, lecz także z powodu wydobywających się z niego zapachów, które fascynują ją i niepokoją zarazem. Zbliży się nieufnie, obwąchuje opony, ostrożnie zagląda w cień pod pojazdem i wreszcie staje pod zamkniętymi drzwiami, które obwąchuje intensywniej.

Curtis, oddalony od niej w sensie fizycznym, także zaczyna się niepokoić, przejęty poczuciem niebezpieczeństwa. W pierwszym odruchu myśli, że ten Lewiatan, jak corvetta za sklepem na rozdrożu, może być czymś więcej, niż się wydaje, machiną nie z tego świata.

Psina przejrziała iluzję sportowego samochodu i dostrzegła pod nią obecność kosmicznego pojazdu. Jednak tutaj widzi tylko to, co wszyscy – i uważa, że jest tu coś ogromnie, przeogromnie dziwnego.

Przy drzwiach pojazdu jeden ostry zapach mówi o goryczy, drugi jest esencją zgnilizny. Nie jest to gorzki zapach kwasu ani chininy, lecz gorycz zrozpaczonej duszy. Nie jest to smród rozkładającego się ciała, lecz straszliwie zepsuta dusza w jeszcze żywym ciele. Dla psiny ciała wszystkich ludzi wydzielają feromony, wiele zdradzające na temat stanu duszy, która w nich tkwi. A tutaj można także wyczuć burzliwą kwaśną woń, nie cytryny albo skwaśniałego mleka, lecz strachu trwającego od tak dawna i mającego tak czystą postać, że siostrzyczka skomli ze współczucia dla serca, które żyje w nieustannym lęku.

Jednak nie ma ani grama współczucia dla okrutnej bestii, której smród przytłacza wszystkie inne zapachy. Ktoś, kto mieszka w tym pojeździe, jest trującym wulkanem tłumionej furii, ziejącym szambem nienawiści tak czarnej i gęstej, że choć go tu chwilowo nie ma, jego palące wyziewy parzą wrażliwy nos siostrzyczki niczym toksyczne opary. Gdyby Śmierć naprawdę chodziła po świecie w realnej postaci, w pelerynie z kapturem i kosą czy bez nich, nie mogłaby wydzielać bardziej przerażających feromonów. Psina kicha, żeby oczyścić nozdrza z drażniących wyziewów, i wycofuje się tyłem.

Potem obiega ogromny pojazd, znowu dwukrotnie kicha i gdy na prośbę Curtisa podnosi głowę, by spojrzeć na panoramiczną przednią szybę, widzi – a on razem z nią – nie upiora czy strzygę, lecz ładną dziewczynkę, dziewięć – lub dziesięcioletnią. Dziewczynka stoi koło pustego fotela kierowcy, opiera się o niego, pochylona, spogląda na jezioro i coraz bardziej pochmurne niebo, jakby usiłowała się zorientować, kiedy chmury nie wytrzymają ciśnienia i wypuszczą z siebie burzę.

Być może to do niej należy zapach gorzkiej rozpacz i od dawna destylujący się kwas strachu, który między innymi skłonił siostrzyczkę do zbadania tego złowrogiego pojazdu.

Ale to na pewno nie ona jest źródłem tego zgniłego fetoru, który według psiny oznacza głębokie zepsucie. Jest za młoda, żeby robactwo tak doszczętnie stoczyło jej duszę.

I na pewno nie ona jest tym potworem, w którego sercu pracuje machina furii, a w żyłach płynie



nienawiść.

Dziewczynka zauważa siostrzyczkę i przygląda się jej. Psina – a także Curtis, niewidzialny we wnętrzu samochodu – spogląda w górę pod ostrym kątem, który jest psim punktem widzenia na cały świat powyżej pół metra.

Merdający ogon stanowi osąd niewymagający żadnych słów.

Dziewczynka promienieje.

W tym domu na kółkach, który najwidoczniej jest jej domem, wydaje się zagubiona. I jakby prześladowana przez duchy. Nie, więcej, sama wydaje się na wpół duchem, a wielka szyba pomiędzy nią i psiną jest jak zimna membrana pomiędzy światem żywych i umarłych.

Dziewczynka odwraca się i znika w głębi mrocznego pojazdu.

Natura niemal zupełnie odzyskała ziemię, która była farmą Teelroya. Tam gdzie niegdyś konie ciągnęły pług, teraz biegały jelenie. Chwasty zawładnęły całym terenem.

Wiktoriański domek, niegdyś z pewnością ładny, pod wpływem czasu, czynników pogodowych i zaniedbania zmienił się w gotycką makabrę.

Jego mieszkańiec był odrażającą ropuchą. Miał słodki głos młodego księcia, ale wyglądał jak wylęgarnia brodawek i innych, gorszych rzeczy.

Preston omal nie wrócił do samochodu na sam jego widok. Mało brakowało i odjechałby bez słowa.

Prawie nie wierzył, że fantastyczna opowieść tego odrażającego wsioka wyda mu się prawdopodobna. Ten człowiek wyglądał w najlepszym razie jak kiepski żart, a najprawdopodobniej stanowił umysłowo upośledzony produkt końcowy wielu pokoleń krzyżujących się ze sobą degeneratów.

Mimo to...

Przez ostatnie pięć lat pomiędzy setkami osób, których opowieści o spotkaniach z UFO Preston słuchał z wielką cierpliwością, od czasu do czasu najmniej prawdopodobne okazy okazały się najbardziej przekonujące.

Przypomniał sobie, że świny są bardzo użyteczne przy szukaniu trufli. Czasem nawet ropucha w drelichowym kombinezonie może znać prawdę, której warto się dowiedzieć.

Dlatego przyjął zaproszenie i wszedł. Próg okazał się granicą pomiędzy zwyczajnym Idaho i królestwem surrealizmu. W korytarzu Preston znalazł się raptem w plemieniu Indian. Niektórzy uśmiechali się do niego, inni zastygli w wyniosłych pozach, ale w większości byli równie nieprzeniknieni, jak każdy śpiący Budda czy kamienne głowy z Wysp Wielkanocnych. Wszyscy wydawali się usposobieni pokojowo.

Dziesiątki lat temu, gdy kraj był bardziej niewinny, te ręcznie rzeźbione figury naturalnej wielkości stały przed wejściami do trafik. Wiele trzymało pudełka cygar, jakby kogoś częstowały.

Na ogół byli to wodzowie, strojni w skomplikowane pióropusze, także wyrzeźbione z drewna i pomalowane jak reszta. U ich boku stało kilku zwykłych wojowników w opaskach z jednym lub dwoma drewnianymi piórami.

Ci, którzy nie trzymali pudełek z cygarami, stali z rękami uniesionymi w wiecznym geście pokoju. Jeden, uśmiechnięty, robił kciukiem i palcem wskazującym gest „okay”.

Dwóch – wódz i wojownik – wznosiło tomahawki. Nie wyglądali groźniej, lecz bardziej surowo od pozostałych: pierwsi adwokaci agresywnych reklam papierosów.

Dwaj wodzowie dzierżyli fajki pokoju.

Korytarz miał jakieś dziesięć metrów długości. Sklepowi Indianie stali pod obiema ścianami. Jakieś dwa tuziny.

Przeważnie byli odwróceny tyłem do ściany, patrzyli na siebie w ciasnym korytarzu. Tylko cztery figury burzyły porządek, zwrócone w stronę drzwi wejściowych, jakby były strażnikami domostwa Teelroya.

Inni Indianie zajmowali miejsca na schodach, pod ścianą. Wyglądali, jakby schodzili na walne zgromadzenie.

– Tatunio kolekcjonował Indian. – Ropuch nie przycinał zbyt często wąsów. Długie frędzle opadały mu na usta i niemal zupełnie je zasłaniały. Kiedy mówił, jego urzekający głos przenikał przez zarost, tak jak duch na seansie spirytystycznym przemawia przez medium. Ponieważ Ropuch mówił, niemal nie

poruszając zakrytymi wargami, można było wręcz uwierzyć, że głos wychodzi nie z jego gardła, lecz z jakiegoś organicznego radia, które odbiera sygnały innego organizmu. – Ci moi Indianie są warci kupę szmalu, ale ich nie sprzedam. To chyba jedyna pamiątka po tatuniu.

Preston podejrzewał, że rzeczywiście mogą mieć jakąś wartość jako zabytki sztuki ludowej, ale go nie interesowały.

Na ogół sztuka, zwłaszcza ludowa, to celebrowanie życia. Preston tego nie popierał. – Wejźmy do salonu – powiedział gospodarz. – Spokojnie porozmawiamy.

Ruszył świńskim truchtem w stronę łukowatego wejścia po lewej.

Łuk, niegdyś obszerny, został zredukowany do wąskiego przejścia przez gazety, związane sznurkiem po dziesięć i dwadzieścia, a następnie ułożone w nabite, wzajemnie się podpierające sterty.

Ropuch wyglądał na zbyt opasłego, żeby się precyzyjnie przemieszczać przez to wąskie przejście.

A jednak bez cienia wahania prześliznął się pomiędzy kolumnami sprasowanego papieru. Pewnie po latach ten żywy kibel łożu natłuścił otaczające go gazety własnymi wydzielinami.

Salon nie wyglądał jak pokój. Zmienił się w labirynt splecionych korytarzy.

– Mamunia zbierała gazety – wyjaśnił Ropuch. – Ja też. Ściany labiryntu tworzyły półtora – i dwumetrowe sterty magazynów. Niektóre były oplatane szpagatem. Inne znajdowały się w kartonowych pudłach, na których wypisano drukowanymi literami tytuły.

W murze z gazet i pudeł tkwiły wysokie drewniane półki pełne czasopism w miękkich okładkach. „National Geographic”. Pożółkłe sterty rozrywkowych magazynów z lat dwudziestych i trzydziestych.

W skąpych niszach tej ekscentrycznej palisady przycupnęły niewielkie meble. Jedno krzesło wcisnęło się między kolumny magazynów; na jego wytartym do osnowy siedzeniu leżały inne wyświechtane pisemka. A otóż i mały stolik z lampą. A tam wieszak o ośmiu hakach, z których zwisała kolekcja co najmniej szesnastu zżartych przez mole fedor.

Przy ścianach, pomiędzy rupieciami, znajdowały się inne drewniane figury. I były też dwie Indianki, księżniczki. Obie urodziwe. Jedna wpatrywała się w jakiś odległy punkt, poważna i uduchowiona. Druga wydawała się zdziwiona.

Ani jeden promień światła nie docierał do środka labiryntu. Jego wnętrze tonęło w mroku, a ciemności rozpraszała tylko żarówka pod sufitem i od czasu do czasu lampy o brudnych abażurach z frędzelkami..

Nad wszystkim unosił się kwaśny odór butwiejących gazet i parciejących książek. Z zakamarków bił gęsty smród mysiego moczu. Spod powierzchni dochodził zapach pleśni, środka owadobójczego w proszku i subtelna woń rozkładającego się ciała, być może jakiegoś gryzonia, który dawno temu oddał tu ducha, a teraz zmienił się w strzępek skóry i szarego futerka, obciążonego na kruchych kosteczkach.

Preston nie był zachwycony brudem, ale nastrój mu się spodobał. Nikt tu nie używał życia. Był to dom śmierci.

Dzięki Indianom pod ścianami labiryntu dom kojarzył się z katakumbami, jakby te rzeźby stanowiły zмумifikowane zwłoki.

W drodze przez zawijasy i zakręty tej trójwymiarowej pajęczyny Preston zaczął się spodziewać, że znajdzie państwa Ropuchów, martwych, usadowionych we własnych niszach. Ubrania zwisałyby luźno na ich wysuszonych szkieletach. Oczy i wargi byłyby zeszyte nicią. Uszy skurczyłyby się w skórzaste gruzły. Zetlała skóra opinałaby ich czaszki. Z nozdrzy zwisałyby jedwabiste pajęczne nici, jakby nieboszczycy mieli katar.

Wreszcie Ropuch wyprowadził go na otwartą przestrzeń, gdzie mogli usiąść i porozmawiać. Preston

z rozczarowaniem stwierdził, że nie ma tu żadnych pieczołowicie zachowanych rodzinnych szczątków.

Salon w sercu labiryntu z trudem mieścił dwie osoby. Fotel, wciśnięty między stojącą lampę i mały stolik, stał naprzeciwko telewizora. Z boku znajdowała się stara brokatowa sofa z frędzlami.

Ropuch zajął fotel.

Preston precyzyjnie się koło niego i usiadł na sofie, jak najdalej od swego gospodarza. Jeszcze parę centymetrów i bliskość stałaby się nie do zniesienia.

Otoczały ich ściany magazynów, gazet, książek, starych płyt w plastikowych skrzynkach po mleku, piramidy puszek po kawie, mogących zawierać wszystko – od przydatnych różności po odcięte ludzkie palce – skrzynkowe aparaty radiowe z lat trzydziestych, ustawione jeden na drugim, oraz najróżniejsze przedmioty, których było zbyt wiele, by je wymieniać, złożone na sobie, podtrzymujące się wzajemnie dzięki oddziaływaniu masy, brudu i bezwładności, unieruchomione strategicznie rozlokowanymi deskami i podpórkami.

Ropuch, podobnie jak jego walnięty tatunio i mamunia, miał obsesję światowej klasy. Absolutny lider.

– Więc o co chodzi? – spytał, siadając w zapadniętym fotelu. – Jak już wspomniałem przez telefon, chciałem spytać o pańskie bliskie spotkanie.

– A proszę bardzo. Po wielu latach rząd wziął i odebrał mi rentę inwalidzką.

– To smutne.

– Powiedzieli, że od dwudziestu lat udawałem kalectwo, co jest nieprawdą.

– Na pewno.

– Może faktycznie lekarz, który wydał mi zaświadczenie, to oszust, tak jak powiedzieli, i może naprawdę byłem jedynym prawdziwie chorym człowiekiem, który kiedykolwiek przekroczył próg jego gabinetu, ale rzeczywiście byłem półkaleką, no niech mnie diabli, jeśli nie.

– A wszystko to ma związek z pańskim bliskim spotkaniem. W jaki sposób? – spytał Preston.

Lśniące różowe żyjątko wychyliło główkę ze splecionej gęstwiny zarostu Ropucha.

Preston pochylił się do przodu zafascynowany. Potem zdał sobie sprawę, że różowe żyjątko to język. Poruszał się pomiędzy wargami, które z pewnością nie powinny być odsłaniane, być może dlatego, że z wilgotnych warg kłamstwa wychodzą gładko.

– Jestem głęboko wdzięczny – zaczął – tym trójkimi kosmitom, że przylecieli i mnie uleczyli. Strasznie dziwny to był ludek, bez dwóch zdań, i tak okropny, że zadowolą największą widownię, ale choć mi napędzili stracha, przyznaję, że wyświadczyli mi wielką przysługę. Problem w tym, że skoro już nie jestem żalonym półkaleką, nie mogę dostawać renty.

– To rzeczywiście problem.

– Złożyłem im obietnicę, z ręką na sercu, że nigdy nikomu nie wyjawię, co dla mnie zrobili. Kiepsko się czuję, że nie mogę dotrzymać słowa, ale muszę mieć pieniądze na chleb i rachunki.

Preston przytakiwał brodatemu kretynowi.

– Jestem pewien, że kosmici to zrozumieją.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że nie jestem im na wieki wdzięczny za to, że wyciągnęli ze mnie kalectwo tymi niebieskimi światłami. Ale choć są niesamowicie mądrzy, aż dziw, że nie domyślili się, by dać mi jakiś talent, z którego mógłbym żyć. Na przykład czytanie w myślach albo przewidywanie przyszłości. – Albo zdolność zmieniania ołowiu w złoto – podsunął Preston.

– A to by było! – ubawił się Ropuch i uderzył dłonią w oparcie fotela. – Na pewno bym tego nie wykorzystał w złym celu. Zrobiłbym sobie tylko tyle złota, żeby jakoś przebiedować.

– Robi pan wrażenie osoby bardzo odpowiedzialnej w tych sprawach – przyznał Preston.

– Dziękuję, panie Banks, doceniani pańskie słowa. Ale to wszystko czcze gadanie, bo kosmitom nie przyszło do głowy, żeby mnie obdarzyć takim błogosławieństwem. Więc... pomyślałem, że złamię „obietnicę, bo nie widzę żadnego wyjścia z tej sytuacji poza sprzedaniem historii upełnosprawienia mnie przez Obcych.

Choć Ropuch nadał słowu „oszustwo” znaczenie głębsze znaczenie niż jakikolwiek znany ostatnio polityk i choć Preston nie miał zamiaru wyciągnąć portfela ani wyjąć z niego dwudziestodolarówki, ciekawość kazała mu zapytać:

– Ile pan sobie życzył?

Coś jakby chytry grymas pofałdowało upstrzone czerwonymi plamami czoło Ropucha, zmrużyło mu oczy i jeszcze bardziej uwypukliło kartoflany nos. A może był to mały atak konwulsji.

– Obaj jesteśmy ludźmi interesu, a ja mam dla pana ogromny szacunek, pan dla mnie zapewne także. Sądzę, że określenie ostatecznej ceny nie należy do mnie. To raczej pan powinien rozpocząć negocjacje od przedstawienia mi uczciwej oferty, na którą po namyśle odpowiem. Ale skoro był pan dla mnie tak uprzejmy, w ramach wyjątku przyznam, że wiem, co mi się należy i że jest to coś w okolicach miliona dolarów.

Ten gość całkowicie ześwirował.

– Cena jest na pewno rozsądna, ale chyba nie mam tyle przy sobie – oznajmił Preston ostrożnie.

Chórzysta parsknął srebrzystym, prawie dziewczęcym śmiechem, Ropuch uderzył obiema dłońmi w fotel. Zachowywał się tak, jakby nigdy nie słyszał śmieszniejszej riposty.

Pochylił się przekonany, że potrafi odpowiedzieć w równie dowcipny sposób, mrugnął i rzekł:

– Kiedy nadejdzie pora, przyjmę pański czek i to bez pokazywania dokumentów.

Preston uśmiechnął się i skinął głową. Przez lata poszukiwań kontaktów z kosmitami nauczył się znosić niezliczonych idiotów i oszustów. Miał nadzieję, że jest to cena za nadzieję, że pewnego dnia odnajdzie prawdę i transcendencję.

Obcy istnieją naprawdę. Bardzo chciał, żeby tak było, choć nie z tego samego powodu co Ropuch czy przeciętni poszukiwacze UFO. Musieli istnieć, żeby nadać sens jego życiu.

Ropuch spoważniał.

– Jeszcze mi pan nie powiedział, z jakiej wytwórni pan przyjechał.

– Słucham?

– Chcę prowadzić interesy uczciwie, więc muszę pana ostrzec, że właśnie dziś była u mnie panna Janet Hitchcock z Paramount Pictures. Jutro złoży mi ofertę. Od razu zastrzegłem, że pan także jest zainteresowany, ale nie mogłem powiedzieć, z jakiej jest pan wytwórni, bo nie wiedziałem.

Jeżeli wytwórnia Paramount Pictures przysłała kogoś do Nun’s Lake z zadaniem kupienia opowieści Ropucha, zawarcie przez nich transakcji można uznać za znak, że lada moment nastąpi implozja wszechświata, który w ułamku chwili zmieni się w zbitą kulkę materii wielkości ziarnka grochu.

– Obawiam się, że zaszło nieporozumienie – oświadczył Preston.

Ropuch nie chciał słuchać o nieporozumieniach, tylko o siedmiocyfrowych sumach.

-. No przecież nie wciskam panu ciemnoty. Za bardzo się nawzajem szanujemy, żeby wciskać sobie ciemnotę. Mogę udowodnić, że mówię szczerą prawdę, bo pokażę panu jedno, tylko jedno, i od razu będzie pan wiedział, że to wszystko prawda, wszyściuteńko. – Zaczął się wygrzebywać z fotela jak wieprz z gnojówki i opuścił serce labiryntu trasą inną niż poprzednia. – Niech pan pozwoli, zaraz pan zobaczy!

Preston nie bał się Ropucha i był niemal pewien, że oprócz niego nie ma tu nikogo. Ale nawet gdyby gdzieś po kątach czaili się inni członkowie tego zdegenerowanego klanu i gdyby okazali się szaleńcami spragnionymi jego krwi, i tak nie odstraszyłyby go myśl o spotkaniu z nimi.

Panująca w tym domu atmosfera upadku i rozpadu stanowiła w jego oczach esencję romantyzmu. Dla człowieka tak bardzo zakochanego w śmierci był to odpowiednik hawajskiej plaży pod rozgwieżdżonym niebem. Zapragnął dłużej się nią rozkoszować. Ponadto, choć Ropuch na razie wydawał się beczelnym oszustem, w jego słodkim czystym głosie zabrzmiało coś w rodzaju szczerości, gdy wspomniał o dowodzie, na którego widok Preston miał od razu uwierzyć we „wszyściuteńko”.

Preston podążał za swoim gospodarzem wśród Indian i stert papieru, wśród krętych ścian z lakierowanych żurnali, tanich romansideł i pożółkłych gazet, ściśniętych w budowlane bloki.

Wyszli ze splełanych, przecinających się ze sobą korytarzy, pachnących osobliwie jak najgłębsze egipskie grobowce, ominęli mroczny ślimak, gdzie zdyszany oddech Ropucha odbijał się od wszystkich powierzchni z chrobotem gmerającego w ścianie skarabeusza, minęli dwa duże pomieszczenia, dające się sklasyfikować jako oddzielne pokoje jedynie z uwagi na otwór drzwiowy między nimi. Same drzwi zostały wyjęte, chyba dla łatwiejszego poruszania się po labiryncie. Futryny i próg ginęły w ściśle ubitym materiale, z którego zbudowano korytarze tej czarodziejskiej chatki.

Wszystkie okna były zasłonięte. Ściany labiryntu często dotykały sufitu. Na dębowych, wytartych do gołego drewna parkietach pojawiły się tajemnicze plamy niczym z testu Rorschacha.

– Zaraz będzie – zipnął Ropuch, przeciskając się przez kręte korytarze jak zdegenerowany hobbit. – Och, zaraz będzie dowodzik, zaraz będzie!

Wreszcie, gdy Preston zaczął na w pół poważnie zastanawiać się, czy ten dziwaczny dom nie znajduje się przypadkiem w przejściu do innego wymiaru, czy nie istnieje w wielu światach równoległych i czy nie będą iść przez niego do końca wieczności, Ropuch wyprowadził go z labiryntu do kuchni.

Ale nie była to zwyczajna kuchnia.

Owszem znajdowały się tu standardowe sprzęty. Stary blat, pokryty białą emalią, pożółkłą i odpryskującą, kuchenka z piekarnikiem. Warcząca i podrygująca lodówka chyba jeszcze sprzed wojny. Toster, mikrofalówka. Ale na tym zwyczajność się kończyła.

Na wszystkich powierzchniach, od blatu po spód wiszących szafek, tłoczyły się puste butelki po piwie i oranżadzie, ułożone horyzontalnie jak wino w piwnicy. Za otwartymi drzwiami kilku szafek widać było puste butelki. Na kuchennym stole stała piramida butelek. Za oknem nad zlewem widniało zamknięte podwórko, na którym tłoczyły się tysiące kolejnych butelek.

Ropuch przygotowywał posiłki na blacie stojącym na środku pomieszczenia. Stan tej powierzchni nie dawał się opisać słowami.

Za otwartymi drzwiami majaczyły kuchenne schody, zbyt wąskie, by postawić na nich Indian. Tutaj setki pustych butelek przytwierdzono do łuszczących się ścian i sufitu niczym trójwymiarową tapetę.

Choć osad od dawna w nich wysechł, na schodach nadal było czuć zwietrzałym piwem.

– Proszę za mną! To już niedaleko. Zobaczy pan, dlaczego milion to uczciwa propozycja.

Preston wszedł po oklejonych butelkami schodach. Przestrzeń na piętrze zastawiona była taką samą zbieraniną rupieci jak na dole.

Pokoje, które mijali, miały usunięte drzwi. Widać było w nich odnogi labiryntu-matki.

Sypialnia Ropucha była wyposażona w drzwi. Przestrzeń za progiem nie wyglądała jak tunele w mrowisku. Po obu stronach wielkiego nieposłanego łóżka stały dwa nocne stoliki z lampami. Szafa, szafka i komoda dostarczyły Ropuctiowi mnóstwo miejsca na drelichowe kombinezony.

Ale groźba normalności i tutaj została zażegnana dzięki kolekcji słomkowych kapeluszy, wiszących na wszystkich ścianach od sufitu do podłogi. Słomkowe kapelusze: męskie, damskie i dziecinne. Słomkowe kapelusze w każdym możliwym stylu, na każdą okazję, dla każdego, od wiejskiego parobka do damy szukającej stosownego nakrycia głowy na niedzielne nabożeństwo w upalny letni dzień. Słomkowe kapelusze w kolorze naturalnym i w pastelowych odcieniach, w różnych stadiach zniszczenia, zwisały zewsząd całymi gronami, aż prawie można było zapomnieć, że to kapelusze, a ich główki zaczynały robić wrażenie powtarzającego się wzoru na tapecie lub dziurek w dźwiękochłonnych płytach, jakimi wykłada się studia nagraniowe albo radiowe.

W pokoju znalazło się miejsce jeszcze na drugą kolekcję: dziesiątek zwykłych i niezwykłych lasek. Zwyczajne, z orzechowego drewna, z gumowym końcem i zakrzywionymi rączkami. Laski z drewna hikorowego, proste, lecz z rzeźbionymi rękojeściami. Dębowe, mahoniowe, klonowe, wiśniowe i stalowe, niektóre ze zwyczajnymi rączkami, inne upiękkszzone rękojeściami z mosiądzu czy rzeźbionego drewna. Lakierowane czarne laski ze srebrnymi czubkami, idealne dla Freda Astaire'a w smokingu, wisiały obok białych, przeznaczonych dla niewidomych.

Laski były uporządkowane grupami na kilku stojakach na parasole, ale zwisały także z boków szafy, szafki i komody. Z prętów na zasłony zamiast materiału zwisały całe ich draperie.

Przy jednym oknie Ropuch zdjął z pręta jakieś dziesięć lasek, by odsłonić część szyby. Przetarł także szkło ręką.

Teraz zaprowadził Prestona do tego punktu obserwacyjnego i wskazał w stronę zachwaszczonego pola i dwupasmowej drogi.

– Widzi pan te lasy, o tam, za szosą? – spytał, nieco zasapany po przejściu labiryntem. – To teraz pan spojrzysz tak ze siedemdziesiąt metrów od mojej bramy i od razu pan zobaczy samochód w tych tam drzewach.

Preston poczuł się zmieszany i rozczarowany, ponieważ miał nadzieję, że dowodem Ropucha okaże się przedmiot, niemogący być produktem ziemskiej technologii, zdjęcia trójokich stworów lub, jeśli dowody byłyby spreparowane, przynajmniej coś, z czego można by się pośmiać.

– To ten niby to gruchot, co chciała mnie nim oszukać, że to niby nie jest z filmu.

Preston zmarszczył brwi.

– Kto?

– Panna Janet Hitchcock, jak już wspominałem, pofatygowała się tu aż z samego Paramount Pictures z Kalifornii, czyli z pańskiego domciu. Obserwuje moją farmę, żeby sprawdzić, jaką ma konkurencję!

Na parapecie leżała silna lornetka. Ropuch podał ją Prestonowi.

Była tłusta w dotyku. Preston skrzywił się i z obrzydzenia omal jej nie upuścił.

– Oto dowód – oznajmił Ropuch. – Dowód, że nic nie zmyślam z tym Paramount Picture, że jestem z panem szczerzy jak biznesmen z biznesmenem. Z całym szacunkiem. To tylko kropeczka w sosnach, ale niech pan sam spojrzysz.

Zaciekawiony Preston podniósł do oczu lornetkę i nastawił ostrość na samochód w lesie. Był biały, lecz stał w gęstych zaroślach, w cieniu i trudno było dostrzec jakieś szczegóły. – Wcześniej opierała się o maskę i przyglądała się mojemu podjazdowi. Pewnie chciała zobaczyć, kim pan jest.

Kobieta nie opierała się już o samochód. Może do niego wsiadła. We wnętrzu było ciemno. Nie widział, czy ktoś siedzi za kierownicą.

– Nie wiem, w której wytwórni pan pracuje, ale na pewno ma pan znajomości w całym świecie filmu, chodzi pan na te przyjęcia dla gwiazd, więc na pewno rozpozna pan taką wielką szychę jak panna Janet

Hitchcock z Paramount Pictures.

Preston dostrzegł wreszcie kobietę i – owszem – rozpoznał ją od razu. Stała w pewnej odległości od samochodu, w nieco mniej głębokim cieniu, teraz opierała się o drzewo, można ją było rozpoznać nawet w sinym świetle nadciągającej burzy. Michelina Teresa Bellsong – była więźniarka, początkująca alkoholiczka, zresocjalizowana tania dziwka, targany poczuciem winy wyciruch, szukający sensu swojego głupiego, żalosego życia, samozwańcza wyzwolicielka Lellani, przyszła ekshumatorka Lukipeli, pogromczyni wiatraków, wścibska natrętna suka.

– Tak, to Janet Hitchcock, rzeczywiście – powiedział, nie odrywając od niej wzroku. – Ale myślę, że zdołam uniknąć licytacji o lepszą ofertę, panie... – omal nie powiedział „Ropuchu” – Teelroy.

– Wcale nie o to mi chodziło. Chciałem tylko pana uczciwie uprzedzić, że ma pan konkurencję. Nie zamierzam żądać za moją historię więcej, niż jest warta.

– Oczywiście. Rozumiem. Chciałbym złożyć panu ofertę jeszcze dzisiaj, ale w takich sytuacjach wolę to robić w obecności całej rodziny, ponieważ taka suma pieniędzy będzie miała wpływ na was wszystkich. Czy jest tu pańska żona i dzieci? Oraz rodzice?

– Tatunio i mamunia od dawna nie żyją.

– Przykro mi to słyszeć.

– A ja się nie ożeniłem; nie żebym nie miał propozycji...

– Więc mieszka pan zupełnie sam w tym wielkim domu? – spytał Preston, nadal przypatrując się kobiecie w oddali.

– Sam. I choć na pewno jestem zaprzysięgłym kawalerem, muszę przyznać... że czasem czuję się cholernie samotny. – Westchnął. – Jak palec.

– Doskonale – mruknął Preston, odwrócił się od okna i z dziką siłą zdzielił Ropucha w twarz masywną lornetką. Rozległo się mokre chrupnięcie, zdławiony krzyk i mężczyzna upadł na ziemię.

Preston odrzucił lornetkę na rozbebeszone łóżko, skąd zamierzał ją później zabrać.

Na parapecie wisało kilka lasek. Chwycił egzemplarz z mosiężną rękojęścią w kształcie wilczej głowy.

Ropuch, rozciągnięty na wznak na podłodze, podniósł wzrok; ohydny nos miał złamany i jeszcze bardziej odrażający, niechlujną brodę ustrojoną w klejnoty krwi, czerwona twarz nagle zupełnie pobladła.

Preston chwycił laskę za odwrotny koniec i wznosił ją nad głowę.

Ropuch leżał oszołomiony, być może zdezorientowany, ale potem jego spojrzenie nabrało klarowności i gdy spostrzegł, co się za chwilę stanie, przemówił głosem drżącym z emocji i pełnym oczywistej ulgi:

– Dziękuję.

– Proszę – odparł grzecznie Preston i wbił wilczy łeb w sam środek jego czoła. Uderzył więcej niż raz. Pewnie z pięć. Laska trzasnęła, ale nie pękła..

Kiedy stwierdził, że Ropuch nie żyje, rzucił zniszczoną laskę na łóżko obok lornetki. Później wytrze je, żeby nikt nie znalazł na nich odcisków palców.

I tak zamierzał spalić tę ruderę. Płomienie strawią wszelkie dowody rzeczowe. Ale lepiej uważać, niż żałować.

Szybko wybrał następną laskę. Rękojęść stanowił wąż z polerowanego mosiądzu, z oczami z czerwonego wielofasetowego szkła.

Preston powściągnął wariacką chęć włożenia zawadiackiego słomkowego kapelusza, w sam raz na schadzki z damą. Zabijanie, oprócz tego, że było przysługą dla ludzkości i matki Ziemi, sprawiało mu



masę radości, ale nigdy nie należy zapominać, że to również bardzo poważna sprawa, wiążąca się z ryzykiem i nie zawsze akceptowana przez społeczeństwo.

Z buduaru martwego płaza, przez zapchany korytarz na piętrze, schodami z reliefem z butelek na parter. Przez cuchnącą kuchnię na zamknięte podwórko, gdzie miliony butelek połyskiwały mrocznie, jakby nadciągająca burza burzyła się w nich, by wkrótce wysadzić korki.

Przebiegł pospiesznie przez podwórko, łyse i wydeptane, dokładając starań, by dom zasłaniał go przed oczami niewydarzonej panny Bellsong. Najprawdopodobniej chciała pojechać za nim do Nun's Lake, trzymając się w pewnej odległości, żeby jej nie spostrzegł. Po zorientowaniu się, gdzie zaparkował swój pojazd mieszkalny, chciała pewnie zacząć się i obserwować go – i przy pierwszej okazji porwać Leilani z Idaho i zawieść do Clarissy z Wolem oraz sześćdziesięcioma papugami w Hemet.

Głupia kurwa. Kretynki, co do jednej. Spodziewały się, że go zaskoczą, ale nic z tego.

Za jałową ziemią znajdował się bujny łąn sięgających ramion chwastów. Musiał się tylko lekko pochylić, żeby w nich zniknąć.

Ruszył na wschód, przez perz i mleczę. Mógł się ukryć w wybującej kukurydzy, która niegdyś była tu uprawiana i zdziczała dawno temu, lecz nadal z uporem nie chciała ustąpić pola.

Pobiegł równoległe do odległej drogi. Zamierzał po jakimś czasie skrócić na północ, przejść przez jezdnię w miejscu, w którym Micky go nie dostrzeże, i skrócić na zachód. Zatoczy koło wokół bezużytecznej Micky Bellsong i przygwoździ ją do ziemi wężową laską.

Sine niebo z każdą chwilą coraz bardziej ciążyło ku ziemi, czarne chmury były jak zaciśnięte pięści, pełne skoncentrowanego okrucieństwa. Na razie nie grzmi, ale wkrótce zagrzmi. I w końcu błyskawice przeszyją niebo i zalśnią gorącym blaskiem na mosiężnym wężu, być może nawet w chwili, gdy uderzy – wiele razy. Ale choć wkrótce miały się rozszaleć pioruny i grzmoty, Preston Maddoc wiedział, że komnaty niebios są puste i że na tych wysokościach nie mieszka nikt, kto będzie widział jego czyny i kto je osądzi.

Osierocony chłopiec jest zaniepokojony, a nie ma zwyczaju niepokoić się byle czym. Siedzi na sofie w salonie bliźniaczek, głaszcze Starego Rudzielca, która leży mu na kolanach, a siostry nadal debatuja nad mapami.

Podczas wstępnych przygotowań Curtis zyskał wyczerpujące informacje o większości ziemskich gatunków, które prawdopodobnie przyjdzie mu spotkać podczas misji. Dlatego też tak wiele wie o psach, nie tylko to, co sobie przyswoił na temat zadziwiającej liczby psich bohaterów w 9658 filmach, lecz także błyskawicznie przelane mu do głowy dane o faunie i florze tej planety.

Jego siostrzyczka ma niezliczone godne podziwu zalety, wśród których jedno z bardziej eksponowanych miejsc zajmuje nos. Jego kształt, gruźelkowatość i lśniąca czerń dodają jej urody, ale zmysł węchu jest chyba ze dwadzieścia tysięcy razy wrażliwszy niż u jakiegokolwiek człowieka.

Gdyby ogromny dom na kółkach, w którym znajduje się promieniejąca dziewczynka, mieścił w sobie także łowców z rodzaju, na jaki natknęli się w sklepie na rozdrożu, psina natychmiast wykryłaby ich wyjątkowy zapach, od razu by go rozpoznała i zareagowała by z większą zaciekłością lub strachem. Curtis, połączony więzią ze swoją siostrzyczką, doznałby jej wspomnień ze sklepu w Nevadzie, strzepów wizji, przywołanych tą egzotyczną wonią, tak jak ich doznaje, gdy psina napotyka inne znajome zapachy.

Straszna bestia, której smród Stary Rudzielec wyczuła w domu na kółkach, pochodzi z tego świata.

Curtis nie czuje się pocieszony. Pamięta, jak psina zareagowała na Verna Tuttle'a, zbierającego zęby seryjnego mordercę, którego rozmowę z lustrem podglądali z sypialni. Pomachała wtedy ogonem. Jeśli potwór taki jak Tuttle nie zjeżył jej sierści na karku, o ile straszniejsze musi być ludzkie monstrum z nowego domu na kółkach, z tego złowrogiego lewiatana? Bo jego zapach sprowokował ją do warknięcia.

Ponieważ Curtis jest pewien, że ich tajemniczy sąsiedzi nie są wrogo nastawionymi kosmitami, a co za tym idzie, on nie jest zobowiązany do przedsięwzięcia jakiejś akcji, zaczepnej czy obronnej, najrozsądniej byłoby pozostać we wnętrzu samochodu. Ale, jak się okazuje, trudno jest zachować rozwagę lub nawet ostrożność, gdy wspomnienie promieniejącej dziewczynki nie pozwala mu o sobie zapomnieć.

Nie może się go pozbyć.

Kiedy zamyka oczy, widzi ją koło siedzenia kierowcy, pochyloną do przodu, wyglądającą przez przednią szybę. Sprawia wrażenie bardzo samotnej i zrozpaczonej, co budzi w nim natychmiastowy oddźwięk, ponieważ są to uczucia doskonale znane także jemu, uczucia, które na nowo odżywają, gdy odważa się wrócić myślami do tego, co wydarzyło się w górach Kolorado, zanim został Curtisem Hammondem.

W końcu dochodzi do wniosku, że nie byłby synem swojej matki, gdyby odwrócił się od dziewczynki, która wygląda na zranioną. Rozsądne zachowanie nie zawsze jest tym, którego domaga się serce.

Zresztą przybył tu, żeby zmienić świat. I jak zwykle, to zadanie zaczyna się od uratowania pierwszej duszy, potem drugiej, i następnej, cierpliwie i z poświęceniem.

Więc idzie do bliźniaczek i przerywa ich naradę, żeby wytłumaczyć, co zamierza zrobić. Protestują przeciwko jego planowi. Wolałyby, żeby siedział bezpiecznie w samochodzie, a rano ruszą do Seattle. Tam znajdą dużą populację, odpowiednie zamieszanie i kryjówkę, dopóki nie nauczy się do końca być Curtisem Hammondem, a jego sygnał energetyczny stanie się zwyczajny i niewykrywalny.

Ich niezłomny opór jest przez chwilę frustrujący. Potem Curtis wykorzystuje schemat, dzięki któremu zaaklimatyzowały się w obecnej sytuacji, i przypomina im, że są jego nadwornymi strażniczkami, i że choć ceni ich nieustraszoną odwagę oraz szanuje mądre rady, nie może pozwolić, żeby strażniczki dyktowały następcy tronu, co ma robić.

– W tej sprawie nie mam większego wyboru niż księżniczka Leia.

Być może zdają sobie sprawę, że skrepował je ich własnym sznurem, by się tak wyrazić, bo do tej pory tłumaczył im, że nie jest kosmicznym władcą, ale ta strategia i tak zbija je z tropu.

Nadal są tak przejęte jego pozaziemskim pochodzeniem i tym, że mogą mu pomagać, iż nie są w stanie zbyt długo się sprzeciwiać. I choć chciałyby go traktować czasem jak monarchę z odległej planety, a czasem jak zwykłego dziesięciolatka, nie potrafią tego robić jednocześnie. Doszedłszy do tego wniosku, dokonują obustronnego przelewu informacji za pomocą słynnego spojrzenia sióstr Spelkenfelter, wzdychają z wdziękiem, jak to tylko one potrafią, i przygotowują się do zapewnienia mu eskorty.

Wolałyby, żeby Curtis pozostał w ukryciu, ale skoro już to z nimi przedyskutował, na myśl o towarzyszeniu mu okazują cichy entuzjazm. W końcu, jak same powiedziały, są dziewczętami, które lubią przygody.

Tego wieczoru ubrały się w kowbojskie botki z tłoczonej skóry, błękitne dżinsy i kraciaste westernowe koszule z krawatami bolo. Taki strój wydaje się całkiem stosowny dla ochroniarzy, choć brakuje mu oszałamiającej urody obcisłych spodenek i topów, jak również opali w pępkach. Obie zarzucają sobie na prawe ramię torebkę. W każdej torebce tkwi dziewięćmilimetrowy pistolet.

– Idź między nami, kochanie – nakazuje Poiły, co wydaje się dość dziwnym tytułem, skoro upiera się nazywać go także kosmicznym władcą, ale Curtisowi się bardzo podoba.

Cass wychodzi pierwsza, z prawą ręką w torebce zarzuconej na ramię.

Za Cass truchta psina. Za nią Curtis, a pochod zamyka Poiły, prawą ręką także ściska pistolet w torebce.

W to letnie popołudnie, parę minut temu minęła trzecia, dzień jest ciemniejszy niż w zimie po zmroku, i choć powietrze jest ciepłe, poszarzałe światło jakby mroziło wszystko, czego tylko dotknie, podkreśla mroźne srebro igieł wiecznie zielonych drzew, skuwa jezioro iluzją lodu.

Stary Rudzielec obejmuje prowadzenie; podąża poprzednią trasą do Lewiatana, choć tym razem nie robi przystanków na siusiu.

Na zewnątrz pozostało niewiele osób. Wnieśli już wszystko do samochodów i sami też się schowali.

Promienna dziewczynka nie wróciła na miejsce przy przedniej szybie. Curtis nie dostrzega nic prócz mrocznego wnętrza wielkiego pojazdu, odległego światła, przytłumionego przez przydymiane szyby, oraz odbicia sosnowych gałęzi i nabrzmiąłych chmur na szkle.

Cass chce zapukać, ale Curtis powstrzymuje ją cichym „nie”.

Tak jak poprzednio, psina czuje nie tylko smród okrutnej bestii z gatunku ludzkiego, lecz także to, że nie ma jej w domu. I znowu wyczuwa obecność dwóch osób, pierwszej, wydającej gorzki odór zrozpaczonej duszy, oraz drugiej, cuchnącej feromonalnym odorem dogłębnego zepsucia. Ten ostatni należy do kogoś, kto żyjąc w strachu od dawna, stoczył się w chroniczny lęk, choć jest całkowicie wolny od rozpacz.

Curtis wnioskuje, że przerażone serce należy do dziewczynki, którą widział przez szybę.

Ta druga zepsuta osoba jest do tego stopnia odrażająca, że psina obnaża zęby i prezentuje grymas tak bliski obrzydzenia, jak to tylko możliwe w jej przypadku. Gdyby potrafiła splunąć, zrobiłaby to.

Curtis nie ma pewności, czy obiekt jej odrazy stanowi dla nich zagrożenie. Być może jednak oznacza to, że ta osoba nie czuje lęku, przeciwnie niż dziewczynka. Bliźniaczki osłaniają go z dwóch stron i obserwują otaczający ich teren, tymczasem Curtis kładzie obie dłonie na drzwiach domu na kółkach. Na poziomie mikro, gdzie siła woli odnosi zwycięstwo nad materią, wyczuwa obwód elektryczny o niskim napięciu i dostrzega w nim podobieństwo do tego z samochodu bliźniaczek, które włączają go co noc.

Każdy obwód ma swój wyłącznik. Prąd to energia, ale wyłącznik jest mechanizmem i dlatego może się poddać sile woli. A Curtisa cechuje potężna siła woli. Alarm jest włączony – a potem już nie.

Drzwi były mocno zamknięte, lecz teraz są otwarte. Curtis uchyla je cicho i zagląda do szoferki, która okazuje się pusta.

Dwa kroki po schodkach i do środka.

Słyszy karcące syknięcie bliźniaczki, ale się nie ogląda.

W salonie pali się jedna lampa. Jedna z sof została rozłożona i przypomina teraz łóżko.

Dziewczynka siedzi na łóżku, pisze coś gorączkowo w dzienniku. Jedną nogę ma zgiętą, drugą wyprostowaną, uwięzioną w chwycie stalowej klamry.

Promienna dziewczynka.

Wpatrzona w swoje dzieło, nie słyszy otwierających się drzwi i z początku nie zdaje sobie sprawy, że ktoś wszedł do środka i stoi u szczytu schodów.

Siostrzyczka wskakuje w ślad za Curtisem, przepycha się między jego nogami, żeby wszystko zobaczyć.

Jej ruch przyciąga uwagę dziewczynki, która podnosi głowę.

– Świecisz – mówi Curtis.

Micky wjechała tyłem w zagajnik i przez pewien czas stała, oparta o samochód, przyglądając się odległemu o jakieś siedemset metrów wjazdowi na farmę Teelroya. Przez następne dziesięć minut szosą przejechały trzy pojazdy, dzięki którym zorientowała się, że z tej odległości nie da rady dostrzec, czy Maddoc przyjechał sam, choć na pewno rozpoznałaby jego pojazd. Przesunęła się o pięćdziesiąt metrów na zachód.

Niespełna dwadzieścia minut później ujrzała nadjeżdżającego od strony Nun's Lake durango. Pojazd zwolnił, by wjechać na drogę prowadzącą do domu Teelroya, i wtedy dostrzegła, że kierowcą jest sam Preston Maddoc. Pobiegła na wschód, na dawne miejsce, i schowała się w sosnowym zagajniku w pobliżu swojego camaro. Z tej odległości nie widziała frontowego ganku wystarczająco dobrze, by być świadkiem spotkania Leonarda Teelroya z Maddokiem, ale za to miała dobry widok na jego samochód; kiedy znowu ruszy, będzie miała dość czasu, by wsiąść do camaro, wyjechać z zagajnika i ruszyć za nim do Nun's Lake w odpowiedniej odległości, która nie wzbudzi jego podejrzeń.

Wbrew wszelkiemu rozsądkowi liczyła, że Preston przyjedzie z Leilani; w takim wypadku zakradłaby się na farmę z zamiarem uszkodzenia durango i nadzieją, że w powstałym zamieszaniu trafi się okazja, by wywieźć dziewczynkę, zanim Maddoc zda sobie sprawę z jej zniknięcia.

Jednak nadzieje spełzły na niczym. Micky mogła wybierać między czekaniem tutaj, by później pojechać za Maddokiem, lub powrotem do Nun's Lake i rozpoczęciem poszukiwań jego – lub Jordana Banksa – na trzech kempingach.

Bała się, że jeśli wróci do miasta, nie zdoła uzyskać wiarygodnych informacji w administracji kempingów. Maddoc mógł użyć nazwiska, którego nie знаła. Albo w ogóle nie zjawił się na żadnym kempingu, lecz chwilowo zaparkował samochód w miejscu publicznym, nie zamierzając zatrzymać się tu na noc. Ona błąkałaby się od jednego urzędnika do drugiego, a on tymczasem mógłby skrócić poszukiwania kosmitów na farmie Teelroya i ruszyć w drogę. Wracając do Nun's Lake przed nim, ryzykowała, że go straci z oczu, ale choć ryzyko było niewielkie, nie zamierzała go podejmować.

Zważywszy na charakter swojego krótkiego spotkania z Leonardem Teelroyem, nie spodziewała się, żeby Maddoc spędził u niego zbyt wiele czasu. Teelroy był dziwakiem, ewidentnym naciągaczem i wyraźnie miał nie po kolei w głowie. Jego opowieść o pozaziemskich uzdrowicielach nie zajmie doktora Zagłady na długo, bez względu na motywy, które cztery i pół roku temu popchnęły Maddoca do wejścia na ścieżkę UFO.

Ale minęło pięć minut, potem jeszcze pięć, a durango nadal stał przed domem.

Micky miała Czas, żeby się zastanowić; zdała sobie sprawę, że nie zadzwoniła do cioci Gen. Opuściła Seattle o niehumanitarnej godzinie, więc gdyby zatelefonowała z motelu, obudziłaby ją. Zamierzała zadzwonić z publicznego telefonu w Nun's Lake, ale ledwie przybyła, rzuciła się na poszukiwanie Maddoca i zapomniała o wszystkim. Gen pewnie się martwi. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, Micky może do niej zadzwonić z jakiejś przydrożnej restauracji w stanie Waszyngton, a wtedy będzie miała u boku Leilani, która tylko czeka, by zamienić z ciocią parę słów i rzucić jakiś dowcip o Alecu Baldwinie.

Niebo, miejscami koloru żelaza, przytłaczało swoim ciężarem. Przyjemne ciepło zaczęło stygnąć. Drzewa wokół Micky drżały i szeptały na wietrze.

Ptaki, samotnie i stadami, wracały w gałęzie sosen i z trzepotem znikwały w gęstwinie: nieomylny znak, że wkrótce zacznie się burza.

Micky odwróciła się, słysząc wrzask wróbli, i ujrzała za sobą Prestona Maddoca oraz opadający kij.

Potem znalazła się na ziemi; nie czuła, że pada, w ustach miała igły sosnowe i ziemię, lecz zabrakło jej sił, by je wypluć.

Parę centymetrów przed jej nosem maszerował żuczek, bardzo zafrapowany swoją wyprawą, niezwracający na nią żadnej uwagi. Z tej perspektywy wydawał się ogromny; tuż za nim leżała szyszka, wielka jak góra.

Świat rozplątał się jej przed oczami. Zamrugła, żeby odzyskać wzrok. Od tego mrugnięcia z czaszki wypadł jej jakiś ważny element konstrukcyjny i natychmiast poczuła dojmujący ból. Pogrążyła się w ciemności.

Curtis Hammond widzi dziewczynkę najpierw własnymi oczami i nie dostrzega tego promiennego blasku, który od niej bił, gdy wyglądała przez przednią szybę.

Potem jego siostrzyczka wskakuje do środka i przepycha mu się między nogami. Przez oczy niewinnej psiny, oczy, które dzięki widzeniu peryferyjnemu nieustannie dostrzegają żartobliwą Obecność, dziewczynka naprawdę promienieje, lśni łagodnym światłem, jarzy się od środka.

Psina od razu się w niej zakochuje, ale nieśmiało pozostaje w pewnej odległości, niemal tak jak by to robiła, gdyby żartobliwa Obecność przywołała ją do siebie, żeby ją pogłaskać lub podrapać pod brodą.

– Świecisz – oznajmia Curtis.

– Żadna dziewczyna cię nie polubi, jeśli będziesz jej wypominał, że się spociła – karci go dziewczynka.

Mówi cicho i ogląda się za siebie. Curtis, uczestnik tajnych misji na niejednej planecie, szybko podchwytuje aluzję i ścisza głos.

– Nie miałem na myśli potu.

– Czyli o to ci chodziło? – pyta dziewczynka, klepiąc się po stalowej klamrze.

O Boże, znowu wdepnął w krowi placek – oczywiście w przenośni. Ostatnio nabrał przekonania, że kontakty towarzyskie idą mu coraz lepiej, może nie aż tak, jak Cary’emu Grantowi w dosłownie wszystkich jego filmach, ale lepiej niż, powiedzmy, Jimowi Carreyowi w „Głupim i głupszym” czy „Grinchu”.

Usiłuje nadrobić to potknięcie” i zapewnijają:

– Tak naprawdę wcale nie jestem Gumpem.

– Wcale tak nie uważam – odpowiada dziewczynka i uśmiecha się do niego.

Od tego uśmiechu robi mu się cieplej, a już jego siostrzyczka po prostu się rozplywa ze szczęścia i na pewno podeszłaby bliżej do promiennej dziewczynki, przewróciła się na grzbiet i podniosła wszystkie łapy w wyrazie zupełnej kapitulacji, gdyby nie powstrzymywała jej nieśmiałość.

Brwi dziewczynki unoszą się, a jej spojrzenie celuje poza Curtisa; chłopiec ogląda się przez ramię i widzi Poity, która stoi na schodkach za jego plecami, i choć zatrzymała się na przedostatnim stopniu, to i tak może spoglądać nad jego głową. Wygląda niesamowicie, nawet kiedy nie pokazuje broni. Jej oczy koloru płomienia gazowego zrobiły się lodowato-błękitne, a sądząc po bystrym spojrzeniu, którym omiata wnętrze domu na kółkach, a potem dziewczynkę, czas spędzony w Hollywood nauczył ją posługiwać się w miarę potrzeby okrucieństwem bądź zachowywać się jak prawdziwy twardziel, jeśli sytuacja tego wymaga.

W salonie naprzeciwko posłania dziewczynki znajduje się okno, za którym jakiś ruch przykuwa uwagę jej i Curtisa. Cass znalazła coś, na czym stanęła, być może przewrócony kubeł na śmieci lub stół piknikowy, który przyciągnęła w pobliże domu na kółkach. Teraz framuga okna obramowuje jej głowę, a ona, podobnie jak jej siostra, kiedy mruży oczy, wygląda równie nieugięcie jak Clint Eastwood, jak to on, z wyrazem „no strzelaj, daj mi się zabawić”.

– Ooo... – szepcze dziewczynka z podziwem, odkłada dziennik i znowu spogląda na Curtisa. – Podróżujesz z Amazonkami. – Tylko z dwiema.

– Kim jesteś?

Ponieważ oczami spozostzegawczej psiny Curtis widzi, że dziewczynka promienieje, i ponieważ wie, co oznacza ten blask, postanawia od razu być z nią tak szczerzy. Dlatego odpowiada:

– Obecnie jestem Curtisem Hammondem.

– Obecnie jestem Leilani Klonk – odpowiada dziewczynka, robiąc wymach nogą z kłamrą, która jak przeciwwaga unosi ją do pozycji siedzącej na rozkładanej sofie. – Jak wyłączyłeś alarm i otworzyłeś drzwi?

Curtis wzrusza ramionami.

– Siła woli przeciwko materii na poziomie mikro, gdzie siła woli zwycięża.

– Dokładnie w ten sam sposób hoduję sobie piersi.

– To nie działa – odpowiada on.

– A mnie się wydaje, że działa. Przedtem byłam zupełnie wklęsła. Teraz przynajmniej zrobiłam się płaska. Po co przyszedłeś?

– Żeby zmienić świat – wyjaśnia Curtis.

Poiły kładzie mu ostrzegawczo rękę na ramieniu.

– Nie, w porządku – zapewnia Curtis swoją nadworną strażniczkę.

– Żeby zmienić świat – powtarza Leilani, znowu oglądając się za siebie. Potem wydzwiguje się do pozycji stojącej. – I co, udało się?

– No, dopiero zaczynam, a to nie idzie szybko.

Leilani wskazuje dość niezwykłą dłonią sufit z namalowaną na nim rozradowaną twarzą, a potem tancerki hula, kołyszące biodrami na pobliskich stolikach.

– Zmieniasz świat i zacząłeś akurat stąd?

– Jak mówiła moja mama, wszystkie życiowe prawdy i wszystkie rozwiązania tajemnic objawiają się w każdym nowym wydarzeniu, w każdym miejscu, choćby było nie wiadomo jak wspaniałe lub skromne.

Leilani znowu wskazuje sufit i laleczki.

– Albo tandetne?

– Moja matka posiadała wiedzę, która ratowała nas w każdej sytuacji, kryzysie i tragedii. Ale nigdy nie wspomniała nic o tandecie.

– To twoja matka? – pyta Leilani, mając na myśli Poiły.

– Nie. To Poiły, i nigdy nie pytaj jej, czy chce ciasteczko. Umówiliśmy się, że ja zjem wszystkie ciasteczka za nią. A przez okno zagląda Cass. Co do mojej matki... byłeś w Utah?

– Przez ostatnie cztery lata byłam wszędzie z wyjątkiem Marsa.

– Nie spodobałoby ci się na Marsie. Tam nie ma powietrza, jest zimno i nudno. A czy w zajeździe dla ciężarówek w Utah poznałeś kelnerkę imieniem Donella?

– Nie przypominam sobie.

– Och, ją byś zapamiętała, na pewno. Donella nie wygląda jak moja mama, bo to zupełnie inny gatunek, choć gdyby mama stała się Donella, wyglądałaby dokładnie jak ona.

– Oczywiście – zgadza się Leilani.

– Ja także mógłbym wyglądać jak Donella, ale nie mam wystarczającej masy.

– Masy. – Leilani kiwa głową ze współczuciem. – Masa jest zawsze problemem, prawda?

– Nie zawsze. Chcę powiedzieć, że Donella na swój sposób przypomina mi mamę. Te wspaniałe mocarne ramiona, ta szyja, która rozsadziłaby każdy kołnierzyk, te dumne podbródki tłustego buhaja. Majestatyczna. Przewspaniała.

– Już teraz lubię twoją mamę bardziej niż swoją.

– Będę zaszczycony, mogąc poznać twoją matkę.

– Wierz mi – zapewnia go promieniejąca dziewczynka – że nie. Dlatego wszyscy szepczemy. Jest



makabryczna.

– Właśnie podejrzewałem, że prowadzimy potajemną rozmowę. Jakież to smutne, że przyczyną jest twoja matka. A... chyba ci jeszcze nie powiedziałem, że jestem kosmitą.

– To coś nowego – zgadza się Leilani. – Powiedz mi coś jeszcze...

– Co tylko zechcesz – obiecuje Curtis, ponieważ dziewczynka promienieje.

– Czy jesteś krewnym Genevy Davis?

– Nie, jeśli pochodzi z tej planety.

– No, bardziej tak niż nie. Ale przysięgłabym, że jesteś przynajmniej jej siostrzeńcem.

– Chciałbym mieć zaszczyt ją poznać – deklaruje Curtis.

– Ja też bym chciała, żebyś ją poznał. A kiedy byś z nią rozmawiał, chciałabym być muchą w tym pokoju.

Do tej pory kontakty towarzyskie szły mu bardzo dobrze, ale ta ostatnia uwaga zupełnie zbija go z tropu.

- Muchą? Ty też jesteś zmiennokształtna?

W drodze z farmy Teelroya do samochodu Królowej Dziwek Preston miał czas na zastanowienie i modyfikację pierwotnego planu.

Po pierwsze, gdy wyruszył przez chwasty i kukurydzę na tyłach domu, nazwał ją Pijaczką, ale nie brzmiało to satysfakcjonujące. Pani Moczymorda lub Zgniła Wątróbka były zabawniejsze, ale nadal niewłaściwe. Nie mógł jej nazwać Cycatką, choć byłoby to całkiem trafne, ponieważ tym imieniem obdarzył już ciocię Janice, matkę swojej pierwszej ofiary, kuzyna Szambiarza. Z czasem wykorzystał na swoje prywatne imiona kobiet wszystkie interesujące części damskiej anatomii. Zawsze mógł użyć ich powtórnie, gdyby dołączył do nich jakiś świeży i zadowalający przymiotnik, ale one także zaczęły mu się kończyć. Wreszcie zdecydował się na Królową Dziwek, opierając się na tych nielicznych, lecz wiele mówiących informacjach o jej słabości do wykorzystujących ją mężczyzn i o tym, że w młodości została prawdopodobnie wykorzystana wbrew własnej woli. W końcu królowe także są zrodzone do pewnej roli w życiu.

Trudno przecenić znaczenie odpowiedniego imienia. Oczywiście musi być ono zabawne, lecz także odpowiednio dobrane, i powinno także skutecznie poniżyć osobę w celu odebrania jej człowieczeństwa. W dążeniu do przeredzenia ludzkiej trzody i uratowania w ten sposób świata, propagator etyki utilitarnej musi przestać uważać większą część tej trzody za ludzi takich samych jak on. W wewnętrznym świecie Prestona tylko ludzie użyteczni, ludzie wnoszący do społeczeństwa coś wartościowego, ludzie, których życie ma jakąś wartość, nosili takie same imiona jak w świecie zewnętrznym.

Dlatego należy zabić Królową Dziwek. Z taką misją opuścił farmę i przy tym postanowieniu pozostał, skradając się przez zarośla. Jednak po drodze parę razy zmienił zdanie co do tego, jak ma z nią skończyć.

Po wykorzystaniu laski z głową węża rzucił ją na tylne siedzenie camaro.

Kluczyki Królowej Dziwek tkwiły w stacyjce. Otworzył nimi bagażnik.

Zawłókł ją po ściółce z suchego igliwia i roślin na tył samochodu. Niebo, obserwujące jego czyny, pociemniało jeszcze bardziej. Tama powstrzymująca napór grzmotów mogła w każdej chwili pęknąć.

Napięcie i zapach zbliżającej się nawałnicy podnieciły Prestona. Królowa Dziwek – tak bardzo atrakcyjna, bezwładna i jeszcze ciepła – wyglądała kusząco.

Ściółka mogła im posłużyć za prymitywne łóżko. A wyjący wiatr obudził w jego sercu okrucieństwo.

Zdawał sobie sprawę – z całą świadomością, z której był tak dumny – że to okrucieństwo w nim tkwi. Jak każdy śmiertelnik, nie mógł aspirować do doskonałości. Ta świadomość stanowiła efekt wnikliwej autoanalizy, którą musi przejść każdy etyk, by zdobyć wiarygodność i moc ustanawiać zasady, zgodnie z którymi będą żyć inni ludzie.

Rzadko trafiała mu się okazja, by dać nieograniczony upust swojemu okrucieństwu. Na ogół, by uniknąć więzienia, musiał się ograniczać do podawania ogromnych dawek digitoksyny, delikatnego duszenia, wstrzykiwania powietrza dożył...

Niedawne przygody z Ropuchem i Królową Dziwek podziały na niego ożywczo, dodały mu wigoru. Wręcz go podnieciły.

Niestety nie miał czasu na namiętność. Zostawił swój samochód przed domem. Pobite ciało oczekiwało w pełnej kapeluszy sypialni na odnalezienie. I choć gośćmi Ropucha mogli być tylko umyślowo upośledzeni oraz odmieńcy, Preston musiał jak najszybciej wyeliminować obciążające go dowody.

Królowa Dziwek także była dowodem. Uniósł ją i wrzucił do bagażnika.

Na rękach zostały mu plamy krwi. Podniósł z ziemi garść suchych igieł, zgniótł je w dłoniach.

Potem samochód, droga, podjazd, stary przewrócony traktor.

Zaparkował przed domem koło durango.

Wyciągnięcie Królowej Dziwek z samochodu okazało się trudniejsze niż wrzucenie jej do środka.

Na dywanie, gdzie spoczęła, zalsniła krew. Widok tych plam sparaliżował Prestona na chwilę.

Zamierzał upozorować wszystko tak, jakby ta kobieta spłonęła razem z Ropuchem. Dom, zapakowany pod dach papierem, drewnianymi Indianami i innymi łatwopalnymi materiałami, a przy tym obficie podlany benzyną, mógł się zająć takim płomieniem, że ze zwłok zostałyby bardzo niewiele, ogień spaliłby nawet kości, dzięki czemu nie pozostałby żaden dowód na to, że to nie pożar był przyczyną ich śmierci. Policja w takich zabitych dechami wiochach nie ma odpowiednich środków, by wykryć starannie zatuzszowane morderstwo.

Będzie się musiał zająć plamami krwi w bagażniku. To później. Będzie także musiał wytrzeć samochód, żeby usunąć swoje odciski palców. To też później.

Teraz, gdy wiatr podnosił z ziemi smużki pyłu, zaniósł na rękach Królową Dziwek: przez trawnik, na ganek, przez drzwi frontowe, przez korytarz, w którym Indianie pełnili straż i częstowali cygarami, koło drewnianych wozów, uśmiechających się do tego, który pokazywał „okay”, do labiryntu.

Tu, w katakumbach, wybrał odpowiednie miejsce. Poczynił konieczne przygotowania.

Po paru minutach znowu usiadł za kierownicą durango.

W drodze powrotnej do Nun's Lake wiatr uderzał w jego samochód, jakby go ponaglał, tłukł w boczne okno i wył radośnie, jakby dla zademonstrowania poparcia dla jego poczynań, a także doradzając, co jeszcze należy uczynić.

W świetle ostatnich wydarzeń nie mógł już czekać na dziesiąte urodziny Ręki, żeby się z nią rozprawić. Nie mógł nawet wrócić na grób Kulasa w Montanie, ponieważ znajdował się on pół dnia drogi stąd.

Dom Teelroya też stanowił doskonałą scenografię dla ostatniego aktu smutnego i beзуżytecznego życia Ręki. Oczywiście nie będzie mógł jej zmusić do konfrontacji, dotknięcia, pocałunku i położenia się koło gnijących szczątków jej brata, zanim ją zabije, o czym marzył od kilku miesięcy. Szkoda, że los odmówił mu tego rozkosznego i krzepiącego wspomnienia. Ale na szczęście labirynt zapewniał prywatność konieczną, by pomęczyć Rękę bez obawy, że ktoś im przerwie. Sama konstrukcja dziwnego tworu Ropucha obiecywała wspaniałą zabawę. Samotne chwile w lesie z Kulasem były dla Prestona najwyższym szczęściem. Szczęściem niedoskonałego człowieka, to prawda, ale jednak szczęściem. Zabawa z Ręką będzie szczęściem podwojonym, potrojonym. A kiedy się skończy, okrutna jak wszystkie jego rozkosze, pozostanie mu jeszcze satysfakcja – a nawet do pewnego stopnia cicha duma – że jednego dnia udało mu się uwolnić świat od trzech żałosnych i beзуżytecznych pasożytów, dzięki czemu uratował dobra, które by marnotrawili jeszcze przez wiele lat, i oszczędził wszystkim użytecznym ludziom widoku ich nędzy, powiększając w ten sposób ogólne rozmiary szczęścia na świecie.

Zmiennokształtny kosmita, który przybył, żeby zmienić świat, wyglądał na miłego chłopca. Nie był tak zjawiskowy jak Haley Joel Osment, ale miał sympatyczną buzię i przyjemne piegi.

– W całym znanym wszechświecie istnieją tylko dwa zmiennokształtne gatunki – oznajmił z całą powagą. – Jednym z nich jest mój.

– Gratulacje – powiedziała Leilani.

– Dziękuję ci, pani.

– Mów mi Leilani. Rozpromienił się w uśmiechu.

– Mów mi... e, nie zdołałabyś tego wymówić, biorąc pod uwagę budowę ludzkich narządów mowy, dlatego mów mi Curtis. No więc są to także dwa najstarsze gatunki w całym wszechświecie.

– Jaka część wszechświata została poznana?

– Niektórzy mówią, że czterdzieści procent, inni uważają, że około sześćdziesięciu.

– Rany, a ja myślałam, że od czternastu do szesnastu. No dobrze, więc przybyłeś tu, żeby zmienić świat na lepsze czy raczej go zniszczyć?

– O Boże, nie, nie jesteśmy niszczycielami. To ten drugi gatunek zmiennokształtnych. Są źli i zależy im tylko na entropii. Kochają chaos, destrukcję i śmierć.

– Skoro jesteście dwoma najstarszymi gatunkami... to mniej więcej tak, jak anioły i demony.

– Nawet więcej niż mniej więcej – odpowiedział z uśmiechem równie enigmatycznym, jak uśmiech słonecznego boga z sufitu. – Nie żebyśmy byli doskonali. Dobry Boże, skąd. Ja sam ukradłem pieniądze, sok pomarańczowy, parówki i dżipa, choć mam nadzieję, że uda mi się to zrekompensować. Wyłamywałem zamki i wchodziłem na teren, który nie należał do mnie, prowadziłem pojazd mechaniczny nocą bez świateł, nie zapiąłem pasów bezpieczeństwa i kłamałem przy rozlicznych okazjach, choć nie w tej chwili.

Śmieszne, ale mu uwierzyła. Nie wiedziała dlaczego, ale wydawał się mówić prawdę. Żyjąc wśród kłamców, wyrobiła sobie słuch absolutny, który odróżniał fałszywe tony kłamstwa od muzyki prawdy. Poza tym przez pół życia błąkała się po kraju w poszukiwaniu kosmitów i choć ogromna większość raportów okazała się bujdą, zdążyła się oswoić z tematem pozaziemskich gości i podświadomie przyjęła do wiadomości, że choć unikają rozgłosu, to jednak istnieją.

Teraz stała twarzą w twarz z autentycznym kosmicznym kadetem zupełnie nie z tego świata.

– Przybyłem tutaj – powiedział chłopiec – bo moja psina powiedziała, że jesteś w wielkiej trwodze i potrzebie.

– To się robi coraz lepsze.

Śliczny kundel wygląda nieśmiało spomiędzy nóg Curtisa, ma nieco spuszczoną głowę, wpatruje się w Leilani, i lekko klepie ogonem w podłogę.

– Ale jestem tutaj także dlatego – dodaje chłopiec – że promieniejesz.

Ten Curtis robi się z minuty na minutę coraz bardziej podobny do Haleya Joela Osmenta.

– Potrzebujesz pomocy? – pyta.

– O Boże, tak.

– Co się dzieje?

Leilani doszła do wniosku, słuchając siebie, że wszystko, co mu opowiedziała – i co jeszcze pozostało do opowiedzenia – brzmi niemal równie niewiarygodnie jak jego deklaracja pozaziemskiego pochodzenia. Miała nadzieję, że on także ma słuch absolutny, dzięki któremu rozróżnia prawdę od

kłamstwa.

– Mój ojczym jest mordercą i wkrótce mnie zabije, moja matka narkomanka ma to w nosie, a ja nie mam dokąd uciec.

– Teraz już tak.

– Tak? Dokąd? Nie przepadam za podróżami międzygwiazdowymi.

Stara Sinsemilla, wiedzona nieomylnym instynktem niszczyciela dobrego humoru, wydała raptem jednostajny pisk:

– LaniLaniLaniLaniLaniLani! Chodź, szybko! Lani, chodź, jesteś mi potrzebna! Głos drogiej mater był tak przeraźliwy i nieludzki, że Poiły, Amazonka stojąca za Curtisem, wyszarpięła broń z torebki i uniosła ją gotową do strzału.

– Idę! – krzyknęła Leilani, zdecydowana ukrócić zapędy matki. Nieco ciszej dodała, zwracając się do pozaziemskiej delegacji: – Zaczekajcie tutaj, ja się tym zajmę. Kule nic by nie dały, nawet srebrne.

Nagle przeraziła się i tym razem nie był to tępy, drążący strach z każdego dnia jej życia, lecz przerażenie tnące jak skalpel z rubinowym ostrzem, którego matka używała czasem do samookaleczeń. Przeraziła się, że Sinsemilla wypadnie z sypialni i znajdzie się między nimi, zawiruje jak zła wiedźma albo zacznie ich gonić w napadzie furii, a cała nagromadzona energia elektryczna z terapii elektrowstrząsowej będzie z niej uchodzić jak szalona i w ułamku sekundy nastąpi koniec wszelkiej nadziei – albo postrzeli ją kosmiczna blond piękność, czego Leilani także sobie nie życzyła.

Zrobiła szybko trzy kroki w stronę sypialni, a potem uderzyła ją myśl, tak intensywna, że omal nie zwała jej z nóg. Leilani odwróciła się, spojrzała na Cass za oknem, na Curtisa, Poiły za jego plecami, znowu na Curtisa i wreszcie zdołała złapać oddech, by spytać:

– Znasz Lukipelę? Chłopiec uniósł brew.

– To hawajska nazwa szatana.

– Mojego brata – powiedziała z galopującym sercem. – On też się tak nazywa. Luki. Znasz go?

Curtis pokręcił głową.

– Nie. A powinienem?

To jakże potrzebne przybycie Obcych, choć bez latającego spodka i promieni lewitacyjnych, powinno jej wystarczyć za cud. Trudno się spodziewać, że raptem największa tragedia jej życia okaże się nieaktualna. Codziennie dostrzegała dowody istnienia łaski boskiej i błogosławieństw, czuła ich moc i żyła tylko dlatego, że czerpała z nich siłę, ale wiedziała, że nie można bez reszty uniknąć cierpienia, ponieważ ludzie mają wolną wolę, dzięki której potrafią się nawzajem uratować, lecz także pogłębić. Zło jest równie rzeczywiste jak wiatr i woda, a Preston Maddoc był jego sługą i cała żarliwa nadzieja jednego dziewczęcego serca nie potrafi odwrócić tego, co zrobił.

– LANILANILANILANI! Lani, chooooooóóó! – Zaczekaj – szepnęła do Curtisa Hammonda. – Proszę cię, zaczekaj.

Poszła tak szybko w głąb samochodu, na ile pozwalała jej lewa noga, w stronę na wpół uchylonych drzwi do sypialni.

Bujne łąki przy drodze falowały na wietrze, lecz na trawie, po której szedł Preston, nie tworzyły się kręgi ani skomplikowane wzory.

Niebo coraz bardziej się obniżało, złowieszcze jak na filmach o kosmitach, ale z groźnych chmur nie wyłonił się żaden pozaziemski statek-baza.

A więc poszukiwania bliskiego kontaktu trzeciego stopnia nie zakończą się w Idaho, na co liczył Preston. Raczej spędzi resztę życia w pogoni za tym transcendentalnym doświadczeniem, szukając potwierdzenia, które – jak sądził – mogą mu dać kosmici.

Był cierpliwy. Tymczasem miał do wykonania pożyteczną pracę, tym razem dotyczyła Ręki.

Ręka wiedziała, że zegar odlicza jej ostatnie dni. Zaczęła sama szukać drogi ucieczki. Nawiązała niespodziewaną więź z Królową Dziwek i jej sfiksowaną ciotką, postanowiła wyjąć nóż z materaca, ale znalazła tylko pingwinka Tetsy, i opracowała strategię walki lub ucieczki przed Prestonem, kiedy po nią przyjdzie.

Wiedział to, bo potrafił odczytać jej zapiski.

Szyfr, który wymyśliła na potrzeby swojego dziennika, był całkiem sprytny, zwłaszcza jak na kogoś tak młodego. Gdyby miała do czynienia z kimś innym niż Preston Maddoc, jej tajemnice pozostałyby niezgłębione.

Jako powszechnie szanowany intelektualista, mający przyjaciół i zwolenników wśród licznych naukowców na kilku największych uczelniach, skontaktował się z matematykiem Trevorem Kingsleyem, specjalistą od kryptografii. Ponad rok temu ten zajmujący się tworzeniem i łamaniem szyfrów naukowiec zastosował do odszyfrowania dziennika Ręki skomplikowany program komputerowy.

Mając do dyspozycji kopię jednej strony, Trevor spodziewał się, że wykona zadanie w piętnaście minut, ponieważ tyle właśnie wynosił średni wynik w przypadku prostego szyfru opracowanego przez kogoś, komu brak wyższego wykształcenia – nią w licznych gałęziach matematyki; dla porównania, do złamania bardziej skomplikowanych szyfrów potrzeba dni, tygodni, nawet miesięcy. Tymczasem przy wykorzystaniu swojego najlepszego programu Trevor złamał szyfr Ręki nie w piętnaście, lecz w dwadzieścia sześć minut, co zrobiło na nim duże wrażenie. Zapragnął poznać tożsamość autora szyfru.

Preston nie pojmował, czym się tak znowu wyróżnia szyfr, który opierał się złamaniu tylko jedenaście minut dłużej. Nie wyjawiał imienia Ręki i nie wspominał, jaki sposób są powiązani. Oświadczył, że znalazł dziennik na ławce w parku i ogromnie się nim zainteresował ze względu na tajemniczą treść.

Trevor powiedział także, że tekst dostarczonej próbki jest „zabawny, kpiarski, lecz pełen subtelного poczucia humoru”. Preston odczytał stronę kilka razy i z ulgą przekonał się, że nie zaprzecza on jego bajeczce o ławce w parku, ale nie znalazł w nim nic zasługującego choćby na uśmiech. Za pomocą dostarczonego mu przez Trevora klucza do łamania szyfru przestudiował w tajemnicy cały dziennik – po kilka stron każdego ranka, gdy Leilani brała prysznic, urywki przy innych okazjach – i prawdę mówiąc, nie znalazł ani jednej zabawnej uwagi, ani jednej. Przez cały następny rok, gdy ukradkiem podczytywał przemądrzałe zapiski, żadna jej obserwacja nie przywołała na jego usta nawet nikłego uśmiechu. Ręka okazała się rozwydrzoną, podłą, bezczelną idiotką, o równie brzydkim wnętrzu jak powierzchowności. Najwyraźniej Trevor Kingsley miał zwyrodniałe poczucie humoru.

Zapiski z ostatnich dni ujawniły, że Ręka snuje plany, by się uratować, w związku z czym Preston poczynił staranne przygotowania, dzięki którym mógł bez trudu przezwyciężyć jej opór, gdy będzie

gotów zabrać ją w odpowiednio zaciszne miejsce. Nie wiedział, kiedy i w jakich okolicznościach będzie musiał ją obezwładnić, i choć nie wątpił, że zdoła tego dokonać, nie chciał dopuścić do żadnych krzyków, które mogłyby zwrócić uwagę ewentualnych intruzów.

Ód piątku, kiedy wyruszyli z Kalifornii, w lewej tylnej kieszeni spodni nosił złożoną torbę plastikową. Można ją było szczelnie zamknąć dzięki specjalnemu plastikowemu przyrządkowi. Wewnątrz znajdowała się szmatka nasycona środkiem odurzającym domowej produkcji; sam go sporządził, połączywszy starannie odmierzone dawki amoniaku i trzech innych używanych w gospodarstwie domowym środków chemicznych. Używał tej mieszaniny w pracy, podczas kilku wspomaganych samobójstw. Wprowadzona do organizmu drogą wziewną powodowała natychmiastową utratę przytomności; dalsze podawanie doprowadzało do upośledzenia oddychania i uszkodzenia wątroby. Zamierzał wykorzystać ten środek tylko do zwalczenia oporu i pozbawienia przytomności, ponieważ taki sposób zadania śmierci był zbyt miłosierny i go nie podniecał.

Do Nun's Lakę zostały dwa kilometry.

Stara Sinsemilla, ubrana w sarong w jaskrawe hawajskie wzory, siedziała w zmiętej pościeli, oparta o stertę poduszek. Wyrwała kartki z zaczytanego „In Watermelon Sugar” i rozrzuciła to edukacyjne confetti po łóżku i podłodze.

Pląkała, z twarzą zaczerwienioną i zlaną łzami, ale to był płacz wściekłości.

– Ktoś, jakiś drań, jakiś chory psychol, pozmieniał mi książkę, wszystko poprzekręcał i nic już nie jest jak kiedyś, to niesprawiedliwe!

Leilani zbliżyła się ostrożnie do łóżka, wypatrując pudełek ze sklepu zoologicznego i tym podobnym rzeczy.

– Mamo, co się stało?

Sinsemilla warknęła przekleństwo, od którego jej twarz wykrzywiła się w grymasie gniewu, chwyciła pełne garście kartek z rozgrzebanej pościeli i rzuciła je w powietrze.

– Wszystkie słowa są nie takie, źle wydrukowane, na odwrót, specjalnie, żeby mi pomieszać w głowie! Ta strona zamiast tamtej, przemieniane akapity, zdania tyłem do przodu. Zabrali piękną rzecz i zmienili ją w gówno, bo nie chcą, żebym zrozumiała, nie chcą, żebym pojęła!

Zwykle łzy ustąpiły miejsca wściekłym szlochom; Sinsemilla uderzyła się pięściami w uda, biła się raz za razem, mocno, żeby się posiniaczyć. Być może biła się, bo w jakiś sposób choć częściowo rozumiała, że problem nie leży w książce, że tym problemem jest jej uparte postanowienie znalezienia sensu życia w jednej cienkiej książeczce, żądanie, żeby rzadka zupa okazała się gulaszem, żeby oświecenie przychodziło jej tak łatwo, jak codzienne szukanie zapomnienia w pigułkach, proszkach i zastrzykach. W normalnej sytuacji – o ile sytuacja w Wietrzyku mogła być normalna – Leilani wysłuchałaby matki cierpliwie i przyjęłaby niewdzięczną rolę, która zwykle przypadała jej w tych dramatach, jej współczucie, pocieszanie i poświęcona uwaga wyciągnęłaby z matki ból jak kataplazm z rany. Ale ta chwila była nadzwyczajna, gdyż nagle utracona nadzieja została jej przywrócona w fantastyczny i może nawet mistyczny sposób; nie śmiała zaprzepaścić szansy, dając się pochłonać kolejnym emocjonalnym żądaniom matki lub własnej tęsknocie za prawdziwą więzią między matką i córką, która nigdy miała nie zaistnieć.

Nie usiadła na łóżku, lecz stanęła obok niego, nie pospieszyła z pocieszaniem, lecz spytała:

– Czego chcesz? Czego potrzebujesz? Co ci przynieść? – Powtarzała te proste pytania, a Sinsemilla nurzała się w poczuciu krzywdy. – Czego potrzebujesz? Co ci przynieść? – Mówiła spokojnie, lecz natarczywie, bo wiedziała, że w rezultacie okaże się, iż nawet największe współczucie czy troska nie przyniosą matce ukojenia i że Sinsemilla jak zwykle poszuka go w narkotykach. – Czego potrzebujesz? Co ci przynieść?

Upór opłacił się, bo Sinsemilla – wciąż zapłakana, lecz już nie gniewna, tylko nadąsana – opadła na poduszki, spuściła głowę i powiedziała:

– Drętowski. Moje drętowski. Już wzięłam jakiś towar, ale to nie były drętowski. Namieszał mi w głowie. Jakieś gówno. Miałam pójść z Alicją do króliczej nory, ale to była jakaś węzowa nora.

– Jakie drętowski ci przynieść? Gdzie są? Matka wskazała komodę.

– W dolnej szufladzie. Niebieska butelka. Drętowski przepędzą węże.

Leilani znalazła pigułki.

– Ile ci dać? Jedną? Dwie? Dziesięć?

– Teraz jeden drętusek. Drugi na później. Później to będzie niedługo. Mamusia ma zły dzień, Lani.



Wężowaty zły dzień. Nie wiesz, co to kłopoty, dopóki nie staniesz się swoją mamusią.

Na nocnej szafce stała butelka sojowego mleka o smaku waniliowym. Sinsemilla usiadła prosto i popiła nim pierwszą pigułkę. Drugą położyła na szafce obok butelki.

– Chcesz coś jeszcze? – spytała Leilani.

– Nową książkę. – On ci kupi.

– Ale nie to świństwo.

– Nie. Coś innego.

– Taką mądrą.

– Dobrze.

– Nie o tych twoich świnioludach.

– Nie. Nie o nich.

– Zgłupiejesz, jak będziesz czytać głupie książki.

– Już nie będę.

– Nie możesz sobie pozwolić, żeby być brzydka i na dodatek głupia.

– Nie. Nie mogę.

– Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, bo jesteś pokręcona.

– Spojrzę. Spojrzę prawdzie w oczy.

– A, do diabła, daj mi spokój. Idź, czytaj tę głupią książkę. Co za różnica? Teraz już nic nie ma znaczenia. – Sinsemilla przewróciła się na bok i skuliła się w pozycji embrionalnej.

Leilani zawahała się; być może widzi matkę po raz ostatni. Po wszystkim, przez co przeszła, po tych ponurych latach spędzonych na pustyni zwanej Sinsemillą powinna czuć co najmniej ulgę, jeśli nie radość. Ale niełatwo odciąć się od tych resztek korzeni, które cię trzymają, nawet jeśli są zgniłe. Wizja wolności przejęła ją radosnym dreszczem, ale życie w charakterze przenoszonego wiatrem nasiona, rzucanego tu i tam przez kapryśny los, nie wydawało się znacznie lepszą perspektywą.

– Kto się tobą zaopiekuje? – szepnęła tak cicho, że matka nie mogła jej usłyszeć.

Nie sądziła, że coś takiego przyjdzie jej do głowy, kiedy wreszcie nadarzy się jej od dawna wyczekiwana szansa ucieczki. Dziwne, że mimo tylu lat okrucieństw nie stwardniało jej serce, czego się spodziewała. Stała się bardziej czuła, mogła nawet współczuć tej żalostnej bestii. Gardło jej się ścisnęło, właściwie nie z żalu, w piersi poczuła ból.

Wyszła z sypialni do łazienki. Do kuchni.

Wstrzymywała oddech. Przypuszczała że, że Curtis i Poity odeszli.

Czekali. Kundel też, zamiatał podłogę ogonem.

Micky nie przejechała dwóch i pół tysiąca kilometrów tylko po to, żeby umrzeć. To mogłaby zrobić w domu, wystarczyłaby butelka i odpowiednio dużo czasu albo samochód wbijający się w filar mostu, gdyby bardzo się jej spieszyło opuścić ten świat.

Po odzyskaniu przytomności w pierwszej chwili pomyślała, że chyba nie żyje. Otaczały ją obce ściany, niepodobne do niczego, co dotąd widziała na jawie i w koszmarach: ani z cegieł, ani z gipsu, kręte i zawiłe. Jej zmacony wzrok wziął je za twór organiczny, jakby znalazła się w jelitach jakiegoś lewiatana. W cuchnącym powietrzu unosił się odór pleśni i stęchlizny, mysiego moczu, słaby powiew wymiocin, desek podłogi, zalanych piwem w czasach, gdy Micky nie było jeszcze na świecie, papierosowego dymu, zatężonego w kwaśny osad, a przez wszystkie pozostałe wonie przebijał słaby, lecz przejmujący zapach rozkładu. Przez jeden oddech, przez pięć czy sześć gwałtownych uderzeń serca myślała, że umarła, bo tak powinno wyglądać piekło, gdyby nagle się okazało, że jednak nie wygląda tak, jak we wszystkich książkach i filmach, gdyby w piekle ogień liczył się mniej od daremności, siarka mniej od osamotnienia, tortury fizyczne mniej od rozpacz.

Potem odzyskała pełne widzenie w lewym oku. Dostrzegła, że ściany są zbudowane ze śmieci i związanych razem gazet, po czym domyśliła się, gdzie się znalazła. To nie piekło. To dom Teelroya.

Wcześniej, gdy stała na frontowym ganku i rozmawiała z Leonardem Teelroyem, nie domyśliłaby się, że tak tu wygląda, ale teraz to wewnątrz bardzo pasowało jej do jego mieszkańca.

Poza wszystkimi innymi składnikami w tym gęstym gulaszu zapachów wyczuła krew. Oblizła wargi i poczuła także jej smak.

Miała problemy z otwarciem prawego oka, ponieważ zaschnięta krew sklepiła jej rzęsy. Usiłowała ją zetrzeć i odkryła, że ręce ma mocno związane w nadgarstkach.

Leżała na boku, na narzucie przykrywającej lepką od brudu sofę. Przed nią znajdował się telewizor i fotel.

W prawej skroni stukał – stuk stuk stuk – w miarę znośny ból, ale kiedy podniosła głowę, stukanie zmieniło się w łupanie, łupanie w ogłuszającą eksplozję i przez chwilę myślała, że zemdleje. Potem nawałnica opadła do poziomu, który mogła wytrzymać.

Usiłowała usiąść i odkryła, że kostki ma związane równie mocno jak przeguby, a biegnąca od nóg do rąk linka metrowej długości nie pozwalała jej ani się wyprostować, ani stanąć. Zsunęła nogi na podłogę i przysiadła na brzegu sofy.

Manewr wyzwolił kolejną falę bólu; mogłaby przysiąc, że jedna strona jej głowy nadyma się jak balon. Ten ból był jej starym znajomym; można go było nazwać bólem poimprezowym, tylko gorszym niż jakikolwiek dotąd, no i wolnym od zwykłych wyrzutów sumienia, za to wzbogaconym o lodowaty gniew. I nie był to ten irracjonalny gniew, który tak długo w sobie hołubiła jako pretekst do szukania samotności, lecz wściekłość precyzyjnie wycelowana w Prestona Maddoca.

Stał się dla niej wcieleniem diabła, być może nie tylko dla niej, niewykluczone, że nie tylko w przerośni. Przez parę ostatnich dni nabrała nowych poglądów na zło; zaczęło się jej wydawać, że zło obecne w mężczyznach i kobietach jest – czemu niedawno zaprzeczyłaby z całym przekonaniem – odbiciem większego i bardziej skoncentrowanego Zła, chodzącego wśród ludzi i oddziałującego na nich w podstępny i subtelny sposób.

Kiedy ból znowu zmalął, pochyliła się i potarła zlepioną krwią powieką o prawe kolano; gumowaty strup przeniósł się z rąk na niebieskie dzinsy. Oko funkcjonowało bez zarzutu, krew nie pochodziła

z niego, lecz z rozcięcia na głowie. Być może jeszcze się z niego sączyła, lecz największy strumień już ustał.

Zaczęła nasłuchiwać. Cisza stawała się tym głębsza, im dłużej czekała na jakiś hałas.

Logika podsuwała, że Leonard Teelroy nie żyje. Że mieszkał tutaj sam. I że teraz jego dom stał się wesołym miasteczkiem Maddoca.

Nie wzywała pomocy. Dom stał na odludziu, daleko od jezdni. W pobliżu nie mieszkał nikt, kto by usłyszał jej krzyk.

Doktor Zagłada przeniósł ją gdzie indziej, ale wróci i to raczej dość szybko.

Nie wiedziała, co właściwie chce z nią zrobić, dlaczego nie zabił jej w lesie, ale nie miała zamiaru czekać, żeby go o to zapytać.

Prowizoryczne więzy były zrobione z kabli od lamp. Miedziane druty w miękkiej plastikowej osłonce.

Biorąc pod uwagę materiał, pęta nie powinny trzymać tak mocno, jak trzymały. Micky przyjrzała się im bliżej i przekonała się, że są sprytnie i mocno splecione, z jak najmniejszą liczbą węzłów – i że każdy węzeł jest stopiony. Plastik się rozpuścił i zalał supeł, robiąc z nich twarde gruzły i uniemożliwiając rozwiązanie ich lub rozluźnienie metodą metodycznego naciągania i puszczenia.

Zajęła się fotelem. Na stole nieopodal stała popielniczka, z której wysypywały się niedopałki.

Maddoc prawdopodobnie roztopił plastik zapalniczką Teelroya. Może ją gdzieś zostawił. Kabel, który roztopił się pod wpływem ognia, mógł rozpuścić się do końca i uwolnić ją, pod warunkiem że zabrałaby się do tego z dużą ostrożnością.

Miała zbyt ciasno związane ręce, żeby nie poparzyć się zapalniczką podczas operowania przy nadgarstkach, ale za to mogła bez przeszkód zabrać się do kabla krępującego jej kostki.

Zesliznęła się z sofy i – ograniczona kablem łączącym jej kostki z przegubami – stanęła pochylona, z lekko ugiętymi kolanami. Więzy na kostkach były zbyt ciasne, żeby mogła poruszać stopami, a kiedy usiłowała podskoczyć, straciła równowagę i upadła, niemal uderzając głową w stolik stojący koło fotela. Grzmotnęła o ziemię tak ciężko, że usłyszała szcęk własnych zębów.

Gdyby nie udało się jej ominąć stołu, mogłaby złamać kark.

Leżąc na podłodze, zaczęła się czołgać na boku w poszukiwaniu zapalniczki.

Przy ziemi smród był intensywniejszy niż wyżej, tak gęsty, że niemal czuła jego smak. Musiała walczyć ze wzbierającymi mdłościami.

Na dźwięk jakiegoś nagłego huku omal nie krzyknęła ze strachu, bo przez ułamek chwili zdawało się jej, że to dźwięk zatraskiwanych drzwi, dźwięk obwieszczający powrót demona. Potem zdała sobie sprawę, że to grzmot.

Burza w końcu się rozpętała.

Noah Farrel, jadący wynajętym samochodem z lotniska w Coeur d'Alene, zadzwonił z telefonu komórkowego do Genevy Davis tuż po przekroczeniu granic Nun's Lake. Gdy Micky zadzwoni do ciotki przed wyjazdem z Seattle, Geneva powie jej, że trzystudolarowy podstęp, by zwabić do gry beznadziejnego detektywa, okazał się skuteczny i detektyw jest już w drodze do Idaho. Noah chciał, żeby Micky na niego poczekała, żeby nie zaczęła działać na własną rękę. Zgodnie z jego instrukcjami Geneva miała ją poprosić, by zadzwoniła jeszcze raz z Nun's Lake i podała nazwę miejscowej knajpy czy też innego miejsca, w którym mógłby się z nią spotkać natychmiast po przyjeździe. Teraz, gdy zadzwonił do Genevy, by się dowiedzieć, gdzie ma się odbyć to rendez-vous, okazało się, że Micky nie zadzwoniła ani

z Seattle, ani z Nun's Lake.

– Powinna już tam być. – Geneva jęknęła. – Nie wiem, czy mam się tylko bać, czy bać się do szaleństwa.

Promienna dziewczynka zaskakująco szybko ufa obcym. Curtis podejrzewa, że każdy, kto tak lśni, musi posiadać wyjątkową przenikliwość, dzięki której rozpoznaje z grubsza, czy ludzie, których spotyka, mają dobre czy złe zamiary.

Nie zabiera ze sobą walizki ani przedmiotów osobistych, jakby miała tylko to, co na sobie, jakby nie potrzebowała żadnych pamiątek i chciała zostawić swoją przeszłość całkowicie i na zawsze – choć pamięta o dzienniku leżącym na sofie. Zabiera go i podchodzi do Curtisa i Starego Rudzielca tak blisko, że chłopiec czuje poprzez psinę, ciepło jej wspaniałego promiennego blasku.

– Matka daje fantastyczny występ w roli totalnej narkomanki. Bardzo się zaangażowała – mówi cicho Leilani. – Może się nie zorientować, że zniknęłam, dopóki nie opublikuję dwudziestu powieści i nie dostanę Nagrody Nobla w dziedzinie literatury.

Bardzo imponuje tym Curtisowi.

– Naprawdę? Przewidujesz dla siebie taką przyszłość?

– Jeśli ma się w ogóle cokolwiek przewidywać, to najlepiej coś wielkiego. Tak uważani. Więc powiedz, Batmanie, uratowałeś już jakieś inne planety?

Curtis czuje się pochlebiony z powodu tej aluzji do Batmana, zwłaszcza jeśli Leilani ma na myśli kreację Michaela Keatona, który jest jedynym naprawdę wielkim Batmanem, ale musi być uczciwy:

– Ja nie. Ale moja mama uratowała całkiem sporo.

– Więc naszemu światowi przypadł nowicjusz. Ale na pewno ci się uda.

Zaufanie dziewczynki, aczkolwiek niezasłużone, sprawia, że Curtis oblewa się rumieńcem dumy.

– Dam z siebie wszystko.

Stary Rudzielec odrywa się od nóg Curtisa i zbliża się do Leilani. Dziewczynka pochyla się, żeby pogłaskać kudłaty łebek. Z racji więzi psio-chłopiecej Curtis omal nie omdlewa, gdy zalewa go potężna fala emocjonalnej reakcji jego siostrzyczki na Leilani. Psina jest oczarowana jak każdy pies na jej miejscu – to znaczy niesamowicie, bo każdy pies jest w równym stopniu zdolny do bycia oczarowanym jak czarujący.

– Skąd wiesz, że jakiś świat potrzebuje ratunku? – pyta Leilani.

Curtis walczy z omdleniem i mówi:

– To oczywiste. Jest mnóstwo znaków.

– Wyjdziemy stąd w tym tygodniu czy nie? – pyta Poiły, która weszła po schodkach do wnętrza domu na kółkach.

Odsuwa się na bok, żeby wypuścić siostrzyczkę, potem Leilani i Curtisa. Psina wyskakuje na zewnątrz, ale promienna dziewczynka schodzi ostrożnie, najpierw stawiając na ziemi zdrową nogę i zsuwając w dół tę z klamrą. Chwieje się, lecz od razu odzyskuje równowagę.

Curtis staje obok niej i czuje, że psina na nowo dygocze pod wpływem wyziewów zła, snujących się wokół domu na kółkach.

– Gdzie jest twój ojczym, ten morderca?

– Pojechał spotkać się z jakimś człowiekiem w sprawie kosmitów – odpowiada Leilani.

– Kosmitów?

– To długa historia.

– Czy wkrótce wróci?

Nagle jej piękna twarz gaśnie, a dziewczynka rozgląda się po mrocznym kempingu, na którym zerwał się wiatr, by otrząsnąć kaskady suchych igieł z wysokich konarów drzew nad nimi.

– Być może lada chwila.

Cass, opuściwszy posterunek na przewróconym kubie przy domu na kółkach, dołącza do nich w samą porę, by dosłyszeć tę wymianę zdań, która wyraźnie budzi w niej niepokój.

– Kochanie – zwraca się do dziewczynki – możesz biec z tym ciężarem?

– Mogę szybko iść, ale nie tak szybko jak wy. Jak daleko?

– Na drugi koniec kempingu – mówi Cass, wskazując ręką w kierunku dziesiątków domów na kółkach i przyczep, przymocowanych do ziemi na wypadek wichury, z ciepłym światłem w oknach.

– Bez trudu – zapewnia ich Leilani i rusza szybko, kule – jąć, we wskazaną stronę. – Ale nie dam rady zachować największej szybkości przez całą drogę

– Dobrze – mówi Poiły, ruszając za nią – skoro mamy popełnić to szaleństwo...

Cass chwytając Curtisa za rękę i ciągnie go za sobą, jakby w przeciwnym razie powędrował gdzieś w swoją stronę jak Rain Mań albo Gump. Idąc na wschód, kontynuuje wypowiedź swojej siostry i znowu zaczyna się jeden z ich przerywanych dialogów:

– ...jeśli naprawdę mamy to zrobić i zaryzykować, że będziemy ścigane...

– ...jako porywaczki...

– ...to lepiej...

– ...ruszyć stąd tyłek.

– Curtis, biegniesz ze mną – rozkazuje Cass. Teraz nie traktuje go jak szlachetnie urodzonego kosmity, tylko niczym zwyczajnego chłopca. – Pomożesz mi odczepić samochód. Musimy ruszać jak najszybciej, będzie ta burza czy nie, wszystko jedno, żeby dotrzeć do granicy stanu.

– Ja zostanę z tobą, Leilani – oświadcza Poiły.

Curtis nie chce zostawiać dziewczynki, więc zapiera się w miejscu i przytrzymuje Cass, ale tylko na tyle, by powiedzieć:

– Nie martw się, Spenkelfelter są w porządku.

– Och – zapewnia go Leilani – nie ma nic lepszego niż dobry Spenkelfelter.

Ta ekscentryczna odpowiedź budzi w umyśle Curtisa liczne pytania.

Cass nie dopuszcza do dalszych kontaktów towarzyskich, sycząc:

– Curtis!

Ton jej głosu całkiem przypomina ten, którego użyła jego matka przy trzech okazjach, gdy była z niego niezadowolona.

Błyskawica przeszywa niebo. Iglaste cienie choin miotają się, rzucając cienie na rozświetloną ziemię, na szeregi ścian domów na kółkach i przyczep, jakby chciały uciec przed tymi rozpalonymi niebiańskimi widłami lub rykiem, który rozlega się w dwusekundowym odsypie po nich.

Psina pędzi co sił do samochodu, Cass osiąga prędkość, która sugeruje, że i w jej żyłach płynie psia krew, a Curtis podąża tam, gdzie wzywa go obowiązek. Jeszcze raz ogląda się za siebie; promienna dziewczynka kuśtyka o wiele szybciej, niż się spodziewał. Ten świat jest równie wielobarwny jak inne, które do tej pory poznał, i bardziej oszałamiający od wielu z nich, ale nawet wśród jego niezliczonych cudowności, nawet w porównaniu z bajeczną Polluksją u swego boku, to Leilani Klonk jest centralnym punktem tej sceny i wydaje się wlec cały świat za sobą, jakby był zaledwie jej płaszczem.

Licencja prywatnego detektywa ma piorunujące działanie na terenie całego kraju, niezależnie od stanu, w którym została wydana. I dość często kobiety, które do tej pory cię nie dostrzegały, na widok licencji dochodzą do wniosku, że promieniejesz mroczną tajemniczością i magnetycznym urokiem. Setki tysięcy kryminałów, programów telewizyjnych i filmów to magiczny pędzel, który nanosi pozłotę romantyzmu na wszystkie brodawki i kurczaki.

Urzędnik w rejestracji kempingu nie zaczął trzepotać rzęsami na widok licencji, którą machnął mu przed nosem Noah Farrel, ale zareagował jak większość mężczyzn, z wyraźnym zainteresowaniem i rodzajem przyjacielskiej zazdrości. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, bladą twarz, szerszą na dole niż u góry oraz ciało o podobnych proporcjach, jakby nudne życie zdefasonowało go i przyciągnęło do ziemi silniej niż grawitacja. Na widok Noaha obudziło się w nim pragnienie rozrywki. Łatwiej dałby się przekonać, że krowy są urodzonymi śpiewaczkami operowymi, niż że prywatny detektyw zajmuje się głównie nudnymi dochodzeniami w sprawie niewiernych mężów i nielojalnych pracowników. On po prostu wiedział, że takie życie to jeden korowód ekstralaseczek, strzelaniny, szybkich samochodów i grubych plików banknotów. Zadał więcej pytań niż Noah, nie tylko o obecne dochodzenie, ale także o Życie. Noah nakłamał mu, ile wlezie, odmalowując obecną sprawę jako nudne poszukiwanie potencjalnie ważnych świadków w sprawie przeciwko wielkiej korporacji, z terminem rozprawy tak bliskim, że musiał ścigać ludzi na wakacjach, po czym sfabrykował romantyczne szczegóły swoich poprzednich przygód.

Wdzięczny rejestrator potwierdził w rewanżu, że Jordan Banks wynajął tego popołudnia doskonałe miejsce na kempingu. Numer licencji oraz opis pojazdu mieszkalnego – przerobionego autobusu – pasował do informacji, które Noah uzyskał dzięki znajomościom w Kalifornijskim Wydziale Pojazdów Mechanicznych. Bingo.

Gość z rejestracji rozpoznał również Micky na zdjęciu, które Noah otrzymał od jej ciotki.

– O tak, oczywiście, przyszła tu dzisiaj jeszcze przed panem Banksem, pytała, czy już się zameldował.

Strach postawił Noaha na baczność. Jeśli Maddoc się dowiedział, że Micky go szuka...

– To jego siostra – wyjaśnił człowiek z rejestracji. – Chce mu zrobić niespodziankę na urodziny, więc nie wspominałem o niej, jak się tu meldował. – Przymrużył oko. – Hej, bo to chyba jego siostra, nie?

– Tak. Tak, siostra. Czy wróciła po przybyciu pana Banksa?

– Nie. Mam nadzieję, że przyjdzie, zanim skończy mi się zmiana. Ta dziewczyna to prawdziwa rozkosz dla oczu.

– Czy muszę mieć wejściówkę dla gościa? – spytał Noah.

– To nie takie proste. Jak pan Banks nie podał pańskiego nazwiska, a nie podał, to muszę wysłać na miejsce sześćdziesiąt dwa któregoś pomocnika i spytać, czy mogę pana wpuścić. Problem tylko w tym, że jeden wziął dziś wolne, a drugi mało nie dostanie kota, tak się uwija za siebie i niego. Muszę sam iść i spytać, a pan tu poczeka.

Za oknami biura rozbłysła pierwsza błyskawica nadchodzącej burzy, grzmot wstrząsnął wszystkimi szybami, oszczędzając Noahowi konieczności wyłowienia z portfela banknotu i odegrania ogrananej scenki rodem z utworów o detektywach.

– Nie lubię wychodzić z biura podczas burzy – wyjął skrzywiony urzędnik. – Mam tu obowiązki. A, co tam, pan to tak jakby prawie policjant, nie?

– Prawie – zgodził się Noah.

– No to wchodzi pan. Otworzę bramę.

Pierwsza błyskawica, która uderzyła w ziemię, nie wyzwoliła deszczu. Minęła niemal minuta, zanim drugi piorun, jaśniejszy od pierwszego, wyłamał drzwi niebios i wypuścił nawałnicę.

Rzadkie krople deszczu, wielkie jak winogrona, zabębniły o naoliwiony grunt, uderzając z taką siłą, że każda rozpryskiwała się na fontannę małych kropelek, tryskającą na pół metra w górę. Leilani traciła siły. Cyborgowa noga mogła wyglądać niesamowicie, ale zdrętwiała przedwcześnie szybko, być może dlatego, że Leilani mało chodziła przez kilka ostatnich dni, gdy byli w drodze. Straciła płynne ruchy bioder, niezbędne do utrzymania tempa, i nie mogła już odzyskać dawnego rytmu.

Preludium do deszczowej symfonii trwało tylko parę minut potem na kemping spadły kaskady wody, koncert skomponowany wyłącznie na wściekłe bębny. Ulewa uderzyła tak gwałtownie, że nawet tam gdzie ziemię osłaniały drzewa, ich konary nie dawały żadnej osłony.

Leilani usiłowała osłonić dziennik ciałem, ale wiatr smagał ją deszczem ze wszystkich stron i na jej oczach okładka zaczęła ciemnieć jak nasiąkająca wodą gąbka. Leilani była już przemoczona do suchej nitki, ociekała, jakby kąpała się w ubraniu, toteż przyciskanie dziennika do piersi było zbędne.

Poiły położyła jej rękę na ramieniu i pochyliła się, żeby przekrzywić ryk ulewy i grzmoty, które wstrząsały światem raz za razem.

– Już blisko! Tamten samochód, trzydzieści metrów! Leilani wcisnęła jej dziennik.

– Weź to! Biegnij! Dogonię cię!

Poiły powtórzyła, że są już blisko, lecz Leilani przecież to wiedziała, tylko nie mogła biec tak szybko jak ona, bo zdrętwiała noga zaczęła ją boleć, a biodra mimo wszelkich wysiłków nie chciały odzyskać dawnego rytmu, droga zaś, nasączona olejem, żeby zapobiec pyleniu, podczas deszczu stała się śliska i utrudniała utrzymanie równowagi. I choćby każdego dnia swojego życia upierała się, że jest niebezpiecznym młodym mutantem, w takich sytuacjach była bez wątpienia jedynie małą kaleką dziewczynką, co wcale się jej nie podobało. Wepchnęła dziennik w dłońe Poiły z sercem pękającym na myśl, że deszcz wdziera się pomiędzy kartki, rozmazuje atrament, utrudnia, jeśli nie uniemożliwia, odczytanie jej skomplikowanego szyfru, z pękającym sercem, bo między tymi okładkami kryły się nie tylko lata cierpień, nie tylko opowieści o Sinsemilli i doktorze Zagładzie, ale wiele szczegółowych wspomnień o Lukipeli, a ich mogłaby już nie odtworzyć z taką dokładnością. Te strony mieściły obserwacje i pomysły, które miały jej pomóc stać się pisarką, stać się kimś, nadać znaczenie i cel jej bezkształtnemu życiu, i wydało się jej, że jeśli straci te czterysta zapisanych maczką stron skondensowanych doświadczeń, jeśli pozwoli, żeby zmieniły się w bezsensowne smugi i mgławice, jej życie także straci sens. Na jakimś poziomie świadomości wiedziała, że ten strach jest bezpodstawny, ale mimo to wcisnęła dziennik w dłońe Poiły i krzyknęła:

– Zabierz go z deszczu, zabierz, to moje życie, moje ŻYCIE!

Może Poiły pomyślała, że Leilani zachowuje się jak wariatka, gdyż naprawdę się tak zachowała, ale dziewczynka musiała mieć w oczach coś strasznego, wstrząsającego, poruszającego, bo jakieś dwadzieścia pięć metrów od samochodu Poiły chwyciła dziennik i usiłowała wepchnąć go do torebki, a kiedy okazało się, że się nie zmieści, ruszyła biegiem. Niebo – spadający na ziemię ocean. Wiatr – wrzeszczący upiór. Leilani potykała się, traciła równowagę, ślizgała, ale sunęła naprzód, coraz bliżej samochodu, w równym stopniu dzięki sile pozytywnego myślenia, jak sile nóg. Poiły przebiegła sprintem dziesięć metrów, zwolniła, obejrzała się, jeszcze piętnaście metrów od samochodu; nie wyglądała już jak olśniewająca postać, lecz szary cień Amazonki za kurtyną deszczu. Leilani machnęła ręką – biegnij, biegnij! – więc Poiły odwróciła się i ruszyła dalej. Poiły miała do celu dziesięć metrów, Leilani dwadzieścia, każdy metr – skok gazeli dla kobiety, każdy metr – walka dla dziewczynki, aż w końcu

Leilani zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie poświęciła wyleczeniu swojej nogi tyle pozytywnego myślenia co hodowaniu piersi.

Leżąc na podłodze Micky była prawie pewna, że widzi ten gęsty smród w postaci bladej zielonożółtej mgły, rozpraszającej się parę centymetrów nad deskami.

Szukała zapalniczki, ale nie mogła znaleźć. Po niespełna minucie poszukiwań po raz drugi, tym razem dokładniej, przyjrzała się górującym nad nią dziwnym ścianom i zdała sobie sprawę, że wyzwolenie się z więzów za pomocą ognia grozi czymś więcej niż powierzchownymi oparzeniami. Skrepowana, spanikowana, mająca nie więcej swobody ruchów niż gąsienica, nie mogła zaryzykować nieumyślnego spowodowania pożaru.

Drugi grzmot zakołysał światem, przez dach przemaszerowały kolumny deszczu, a Micky zaczęła wodzić wzrokiem po ścianach, szukając w nich jakiegoś przedmiotu, którym mogłaby się posłużyć. Tylko puszki po kawie mogły stanowić jakiś ratunek. Maxwell House. Pomiędzy stertami powiązanych gazet tkwiły cztery rzędy wielkich dwukilowych puszek, po sześć w każdym, stojące i przywalone papierami. Każda miała plastikowe wieczko.

Nikt by tu nie trzymał dwudziestu czterech nietkniętych puszek w salonie zamiast w spiżarni. Ludzie zachowują puste pojemniki po kawie, żeby przechowywać w nich różne rzeczy. Teelroy, który chyba nigdy w życiu niczego nie wyrzucił, który zapełnił swój dom ekscentryczną kolekcją godną rozdziału w podręczniku psychologii, na pewno nie zostawił pustej żadnej z tych dwudziestu czterech puszek.

Odpełzła od fotela, minęła telewizor, doczołgała się do piramidy puszek, z niemałym trudem dźwignęła się na kolana i mocno chwyciła puszkę w górnym rzędzie. Zawahała, się przed wyszarpieniem jej ze ściany z obawy, że zasypiają tony pleśniejących papierysk.

Przyjrzała się ścianie, zbadała jej stabilność i zdecydowała się działać, ponieważ nie miała innego wyboru. Początkowo puszka tkwiła w gazetach jak kamień w murze. Potem drgnęła lekko pomiędzy zbitym blokiem ulotek na górze i drugim rzędem puszek na dole. Drgnęła, poruszyła się lekko i wysliznęła się ze ściany.

Micky, nadal na kolanach, ścisnęła puszkę między udami i chwyciła ciasno siedzące wieczko. Przez całe lata przygniatał je ciężar papieru. Zdesperowana Micky wbiła w nie palce i w końcu zdołała je zedrzeć.

Z pojemnika wysypało się co najmniej sto małych białych półksiężyców, różnokolorowych, od białych po brudnożółte, rozprysnęły się po podłodze koło jej kolan, zanim zdążyła wyprostować puszkę. W jej wnętrzu znajdowały się tysiące malutkich księżycowych sierpów; Micky wpatrywała się w nie przez chwilę w zdumieniu, nie dlatego że ich nie rozpoznała, po prostu nie potrafiła się pogodzić z zakresem obsesyjnego zbieractwa Teelroya. Były to ścinki paznokci u rąk i nóg, zbiory z wielu lat.

Nie wszystkie pochodziły od tej samej osoby. Niektóre były mniejsze i lśniły lakierem: paznokcie kobiety. Być może w minionych latach, kiedy w tym domu żył ktoś oprócz biednego Leonarda o zropaczonych, głodnych oczach, do powstania kolekcji przyczyniła się cała rodzina. Wielopokoleniowa obsesja. Micky odstawiła puszkę, wygrzebała ze ściany następną. Zbyt lekka. Na pewno nie zawiera nic użytecznego. Mimo to zdarta wieczko.

Włosy. Tłuste kosmyki włosów.

Z trzeciej uniósł się czysty wapienny zapach, kojarzący się z muszlami. Micky zajrzała do środka, krzyknęła i upuściła puszkę.

Potoczyła się po podłodze, syjąc maleńkimi szkielecikami sześciu czy ośmiu ptaszków, kruchych



jak lukrowe ozdoby. Były tak małe, że mogły należeć tylko do kanarków lub papużek. Teelroyowie najwidoczniej hodowali papużki, a kiedy któraś z nich oddawała ducha, w jakiś znany tylko sobie sposób zdzierali z kości pióra i mięso, pozostawiając te zbielełe, kruche szczątki, żeby... żeby co? Mieć pamiątkę? Kruche kosteczki rozsypały się w proch przy uderzeniu o podłogę, a czaszki, nie większe od pomidorów koktajlowych, potoczyły się po deskach, podskakując i turkocząc jak zniekształcone kości do gry.

Może jednak zbyt szybko wyzbyła się przekonania, że umarła i poszła do piekła. To miejsce z pewnością było swego rodzaju piekłem dla Leonarda Teelroya i najwidoczniej także jego przodków. W tych puszkach nie ma nic przydatnego.

W zapaskudżonym pokoju nie było zegara, ale ona i tak słyszała tykanie odmierzające czas do przybycia Prestona Maddoca.

Polly dotarła do samochodu, ściskając przemoczony dziennik, otworzyła drzwi, wbiegła na schodki, zatrzymała się, odwróciła, żeby ponaglić Leilani – i przekonała się, że dziewczynka zniknęła.

Curtis, który właśnie odłączył pojazd od kanalizacji, wyłonił się zza samochodu w chwili, gdy Cass włączyła silnik.

– Mamy kłopot! – krzyknęła Poiły, wrzuciła dziennik do salonu i na powrót wyskoczyła na deszcz.

Rozejrzała się po chłostanym wodą kempingu, niemal odrętwiała z niedowierzania. Dziewczynka była tuż za nią. Poiły obejrzała się, gdy Leilani była od niej oddalona niespełna pięć metrów. Resztę drogi przebiegła sprintem i nie zajęło jej to dłużej niż pięć sekund, na miłość boską, a jednak dziewczynka zdażyła zniknąć. Wycieraczki ledwie radziły sobie ze spływającymi po szybie strugami, ale Noah zdołał przejechać przez kemping i prawie bez trudu zlokalizować miejsce 62, choć przyszło mu do głowy, że powinien wypożyczyć arkę zamiast zwykłego coupe.

Na widok mieszkalnego samochodu Maddoca szeroko otworzył oczy ze zdziwienia; ten behemot dorównywał chyba rozmiarami przydrożnej kawiarni. Wyłaniał się z ulewy jak galeon z mgieł burzliwego morza; mazda Noaha wyglądała przy nim jak szalupa przy burcie wielkiego okrętu.

Miał zamiar przyjrzeć się miejscu nr 62 i znaleźć sobie dogodny punkt obserwacyjny na jakieś piętnaście do dwudziestu minut, dopóki nie zorientuje się w sytuacji. Jednak musiał zrezygnować z tego planu, gdyż pomimo ulewy drzwi autobusu były szeroko otwarte.

Wiatr uderzał nimi o ścianę pojazdu. Deszcz chlustał do szoferki i przez całą minutę nie pojawił się nikt, by je zamknąć.

Tu się stało coś złego.

Błyskawica obnażyła lśniące kły na niebie, jej odbicie mignęło w lustrzanej powierzchni jezdnii.

Preston zostawił Nun's Lakę trzy kilometry za sobą, do farmy zostało jeszcze dwa.

Czuł się brudny, choć deszcz obmył go od stóp do głów. Sytuacja zmusiła go do dotknięcia Ręki, w tym także jej najbardziej zdeformowanych części ciała, i nie miał czasu nałożyć przedtem rękawiczek.

Jeżeli w domu Teelroya ich nie znajdzie, będzie musiał dotknąć jej znowu, i to nie raz, choćby po to, żeby zanieść ją do nieczystego serca labiryntu w salonie, gdzie zostawił Królową Dziwek. Tam będzie zmuszony przywiązać ją do fotela, dzięki czemu będzie miała widok z pierwszego rzędu na śmierć swojej przyjaciółki.

Ona sama umrze w tym fotelu, kiedy Preston zaspokoi tkwiące w nim okrucieństwo i zrobi z nią odpowiednio dużo niosących satysfakcję bolesnych rzeczy. Był do tego stworzony, tak jak ona. Oboje

byli jak złamane szprychy w głupim kole zamachowym natury.

Tortury można zastosować bez bezpośredniego dotknięcia Ręki dzięki pomysłowym narzędziom. Dlatego w chwili, gdy unieruchomi ją w fotelu, powinien energicznie wyszorować dłonie antyseptycznym mydłem i niemal wrzącą wodą. Wtedy poczuje się czysty, żołądek przestanie się mu burzyć, a zadanie, które miał do wykonania, zacznie mu sprawiać przyjemność.

Przez chwilę niepokoił się, że Ropuch mógł nie trzymać w domu mydła. Potem parsknął krótkim, ostrym śmiechem. Ten brodaty nieudacznik był niechlujny, lecz bardziej prawdopodobne jest, że miał tysiące nie do końca zużytych kawałeczków mydła, starannie poukładanych i może nawet skatalogowanych, niż że nie miał w ogóle żadnego mydła.

Ręka zaczęła powoli odzyskiwać przytomność. Jęknęła cicho na siedzeniu obok niego. Siedziała przytrzymywana pasami bezpieczeństwa, z głową opartą bezwładnie o boczną szybę.

Plastikowy hermetycznie zamykany woreczek leżał na desce rozdzielczej, złożony, ale nie zamknięty. Preston chwycił kierownicę jedną ręką, drugą wyłowił z torby nasyconą środkiem usypiającym szmatkę i zarzucił ją dziewczynce na twarz.

Nie zamierzał przedłużać jej kontaktu ze środkiem chemicznym z obawy, że zabije ją zbyt szybko i miłosiernie.

Jej jęk przeszedł w niespokojne mamrotanie, ohydna ręka przestała podrygiwać na kolanach, ale dziewczynka nie znieruchomiała całkowicie, tak jak poprzednio. W zetknięciu z powietrzem środek usypiający domowej produkcji zaczął tracić moc, a deszcz rozrzedził go jeszcze bardziej, choć Preston szybko schował szmatkę do woreczka, gdy już uspił dziewczynkę oparami.

Nieustannie spoglądał w lusterko wsteczne, spodziewając się zobaczyć za srebrnymi słupami deszczu blask reflektorów.

Był pewien, że burza doskonale zasłoniła go przed oczami świadków, kiedy pochwycił Rękę. Nawet jeśli inni mieszkańcy kempingu wyglądali akurat przez okna, to, co dostrzegli w mroku i przez kurtynę deszczu, uznają z pewnością za coś nieszkodliwego, po prostu ojciec chwyta zabłąkane dziecko i niesie je wśród piorunów i grzmotów do bezpiecznego schronienia.

Co do tych dwóch kobiet i chłopca, nie miał pojęcia, co to za jedni i co robili w jego pojeździe. Wątpił, żeby działali w porozumieniu z Królową Dziwek, bo gdyby przybyła do Nun's Lake z pomocnikami, na pewno nie siedziałyby samotnie w lesie koło farmy.

Kimkolwiek byli, nie mogli sforsować systemu alarmowego, chyba że Czarna Dziura wpuściła ich do środka. Przed wyjazdem na farmę Teelroya kazał głupiej suce zamknąć dobrze Wietrzyk. Do tej pory zawsze robiła to, czego od niej żądał. Tego dotyczyła ich umowa. A ona dobrze ją знаła, wszystkie paragrafy i aneksy, znała ją tak doskonale, jakby umowa istniała w formie pisemnej. Była dla niej korzystna, kontrakt marzeń, zapewniający jej fortunę na prochy i standard życia, którego by w przeciwnym razie nigdy nie poznała, gwarantujący jej agresywne i niemiłosierne nadużycie tak pożądanych narkotyków. I choć była obłąkana – obłąkana, sprzedajna i chora – zawsze dotrzymywała warunków umowy.

Oczywiście bywało, że Dziura nacpała się tak różnie działających środków chemicznych, że nie pamiętała nie tylko o umowie, ale nawet jak się nazywa. Na ogół o tej porze nie staczała się tak nisko, za to niemal zawsze w nocy, gdy uspokajał ją tym samym środkiem znieczulającym domowej produkcji, jeśli nie działały na nią słowa czy umiarkowana przemoc.

Zdjął szmatkę z twarzy dziewczynki i rzucił ją na podłogę, nie zawracając sobie głowy wkładaniem do woreczka. Ręka nadal jęczała i rzucała się na siedzeniu, ale wreszcie dotarli do zjazdu na farmę

Teelroya.

Wicher ustąpił miejsca gwałtownym podmuchom, które uderzały ze wszystkich stron świata; raz za razem ciskały drzwiami o ścianę wielkiego autobusu, lecz nikt z niego nie wybiegł, żeby je zamknąć.

Noah Farrel, przemoczony do suchej nitki po tych paru sekundach, które zajęło mu przejście z samochodu do autobusu, wszedł do środka ostrożnie, lecz nie zatrzymując się, żeby zapukać. Wspiął się po schodkach, stanął koło fotela pasażerskiego. Drzwi nadal łupały za jego plecami, deszcz bębnił wściekle o blaszany dach, a on nasłuchiwał innych dźwięków, dzięki którym mógłby, zanalizować sytuację. Nie wychwycił nic przydatnego.

Większą część salonu zajmowała rozłożona sofa. Nocna lampka rzuciła światło na trzy laleczki, dwie nieruchome, jedną kołyszącą biodrami, oraz na sennie uśmiechniętą malowaną twarz, która zajmowała prawie cały sufit.

Choć dzień się jeszcze nie skończył, szarość zakleiła okna niczym mokra sadza; jedyne dodatkowe światło sączyło się z głębi pojazdu, zza otwartych drzwi do sypialni. Było przyćmione i czerwone.

W sobotnie popołudnie, gdy Noah opuścił domostwo Genevy Davis, by sprawdzić jeszcze parę rzeczy dotyczących Maddoca i spakować walizkę, dziś rano podczas lotu na Coeur d'Alene, a potem w drodze do Nun's Lakę przeanalizował liczne sposoby podejścia do problemu, każdy uzależniony od innych okoliczności, jakie mógł napotkać po przybyciu. W żadnym ze scenariuszy nie uwzględnił takiej sytuacji, więc całą kunsztowną analizę diabli wzięli.

Przede wszystkim musiał zdecydować, czy działać po cichu, czy od razu zdradzić swoją obecność. Zdecydował się na to drugie.

– Halo! – zawołał, przybrawszy kordialny sąsiedzki ton. – Jest tu kto? – A kiedy nie otrzymał odpowiedzi, ruszył w kierunku kuchni. – Drzwi są otwarte. Pomyślałem, że coś się stało.

W kąciu jadalnym stały inne tancerki. Na blacie też.

Obejrzał się w stronę szoferki. Nikt za nim nie stał.

Pioruny błyskały raz za razem, wszystkie okna migotały jak ekrany psujących się telewizorów. Zza spływających po szybach strug deszczu wyglądały widmowe twarze cieni, jakby dzięki mocy burzy duchy zdołały się przenieść ze swojego wymiaru na ten świat. Zagrzmiało, a kiedy ostatnie echa ucichły wreszcie na skraju nieba, okazało się, że metalowa skorupa domu nadal cicho wibruje, jakby odezwały się w niej słabe jęklive głosy upiórów.

Zrobił jeszcze parę kroków w głąb samochodu i zawołał jeszcze raz:

– Sąsiedzie, wszystko w porządku? Czy ktoś tu nie potrzebuje pomocy?

W łazience tancerki stały rzędem na umywalce.

Noah zawahał się w otwartych drzwiach sypialni. Jeszcze raz zawołał, ale nikt nie odpowiedział.

Przestąpił próg, wyszedł z mroku łazienki i wstąpił w szkarłatny blask, promieniujący z lamp, na które ktoś zarzucił czerwone bluzki.

Czekała na niego koło rozgrzebanego łóżka, stała wyprostowana, z głową uniesioną wysoko na wdzięcznej szyi, jak szlachetna dama mająca zaszczycić audiencją prostaczka. Była ubrana w sarong w krzykliwe wzory. Włosy miała rozczochrane, jakby od wichru, ale nie była na zewnątrz, bo ubranie miała suche.

Obnażone ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż boków i choć jej twarz przypominała spokojną maskę, jak niebiańsko pogodne posążki medytującego Buddy, oczy miała rozbiegane jak wściekle zwierzę. Widział już taki kontrast, także w młodości. Nie wyglądała na kogoś na amfie, ale na pewno

funkcjonowała pod wpływem czegoś mocniejszego od kofeiny.

– Jesteś Hawajczykiem? – spytała.

– Nie.

– To skąd ta koszula?

– Dla wygody.

– Jesteś Lukipelą? – Nie.

– Wzięli cię w gwiazdy?

W drodze do Nun's Lake, snując skomplikowane plany, nie przewidział, że w jakichkolwiek okolicznościach śmiało przyzna się do swoich intencji tej kobiecie czy Prestonowi Maddocowi. Sinsemilla – którą bez trudu rozpoznał na podstawie opisu Genevy – przypomniała mu Wendy Quail, pielęgniarkę, która zabiła Laure. Nie była do niej podobna, ale w jej niezwruszenie spokojnej twarzy i rozbieganych ptasich oczach dostrzegł zadowolenie, satysfakcję, samouwielbienie, które tamta pielęgniarka także obnosiła jak jakąś aureolę. Jej zachowanie, atmosfera tego miejsca, łomot drzwi o ścianę podkreśliły jego instynkt i zesłały podejrzenie, że Micky i Leilani wpakowały się w coś więcej niż zwykłe kłopoty.

– Gdzie twoja córka? – spytał.

Zrobiła krok w jego stronę, zachwiała się i przystanąła.

– Luki, malutki, mamusia się cieszy, że jesteś już zdrowiusieńki i szybko wyrosłeś w całkiem nowiutkiej postaci, byłeś w gwiazdach i widziałeś same odlotowe rzeczy. Mamusia się cieszy, ale się boi, bo wróciłeś jakiś taki...

– Gdzie Leilani? – powtórzył dobitnie.

– A wiesz, mamusia będzie miała nowe dzieci, śliczne dzieci, tylko będą miały inaczej w główkach, nie tak jak ty, bo twoje biodra były całkiem do niczego. Mamusia zaczęła od nowa, Luki kochanie, mamusia zaczyna życie od nowa i nie chce, żeby jej nowe śliczne dzieci bawiły się ze starymi, pokreconymi dziećmi.

– Maddoc ją gdzieś zabrał?

– Może byłeś na Jowiszu i wróciłeś uzdrowiony, ale ciągle jesteś pokrecony w środku, ta mała brzydka paskuda, którą byłeś, nadal w tobie tkwi jak robak, a moje nowe śliczne dzieci zobaczą, że tak naprawdę jesteś smutny – brzydki – pokrecony, bo to naprawdę będą czarodziejskie dzieci, bo będą miały niesamowitą, nadprzyrodzoną moc. Prawa ręka Sinsemilli, do tej pory stulona lekko przy jej boku, zacisnęła się w pięść, a Noah przekonał się, że w pięści tkwi broń.

Cofnął się o krok; Sinsemilla rzuciła się na niego. Prawa ręka uniosła się w powietrze, przed twarzą świsnęło mu ostrze, które mogło być skalpelem. Minęło jego oczy o pięć centymetrów, lśniąc czerwienią.

Noah odskoczył, potem chwycił ją za prawy nadgarstek.

Skalpel w lewej ręce, czego nie przewidział, wbił się mu w prawe ramię, co stanowiło błogosławieństwo, szczęśliwy zbieg okoliczności. Mogła mu rozciąć gardło wraz z tętnicą.

Odczuł ten cios bardziej jako nacisk niż ból. Zamiast szarpać się z Sinsemilla, żeby ją rozbroić – a nagle zaczęła pluć i drzeć się jak diabeł tasmański – podciął jej nogi i jednocześnie pchnął ją do tyłu.

Upadając, wyrwała mu skalpel z rany. Tym razem zabolalo, nie da się ukryć.

Wylądowała na łóżku i dosłownie odbiła się od niego jak na sprężynie, bez wdzięku, za to ze skumulowaną energią wyskakującej z pudełka zabawki.

Noah wyciągnął spod koszuli tęponosą trzydziestkęósemkę, która tkwiła w przypinanej kaburze na krzyżu. Nie miał ochoty używać broni, ale z mniejszym entuzjazmem odnosił się do wypatroszenia.

Spodziewał się po niej jeszcze efektowniej szych występów, irracjonalnych wrzasków i nawet bardziej zdeterminowanych prób przemodelowania mu twarzy i anatomii, ale zaskoczyła go, odrzucając skalpele i odwracając się od niego. Podeszła do komody, a on zrobił parę kroków w głąb pokoju, zamiast się z niego wycofać, ponieważ przestraszył się, że Sinsemilla szuka broni. Jednak ona wyciągnęła z szuflady buteleczki z lekarstwami, coś nad nimi pomamrotała, wypuściła jedną, drugą – odrzuciła z gniewem, zaczęła grzebać w szufladzie w poszukiwaniu innych i wreszcie znalazła to, o co jej chodziło.

Jakby całkiem zapomniała o obecności Noaha, wróciła na łóżko i położyła się w rozrzuconej pościeli, pomiędzy podartymi i zmiętymi kartkami książki. Usiadła po turecku, jak dziewczynka czekająca na koleżanki, które zaprosiła na piżamową prywatkę, odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się beztrudno. Otworzyła butelkę i zaczęła zawodzić coś jakby litanię: – Jestem chytrym kotem, jestem letnim wiatrem, jestem ptakiem w locie, jestem słońcem, jestem morzem, jestem sobą!

Wzięła jedną pigułkę, pozostałe rozsypała w pościeli. Wreszcie znowu spojrzała na Noaha.

– Idź, idź, mały Luki, nie ma tu już dla ciebie miejsca. – A potem, jakby wcale nie rzuciła się na niego ze skalpelem, zaczęła kołysać głową, potrząsać zmierzwionymi włosami i znowu zawodzić: – Jestem chytrym kotem, jestem letnim wiatrem, jestem ptakiem w locie...

Noah wycofał się z pokoju przez łazienkę, nie tracąc z oczu zalanej czerwonym światłem sypialni, mocno ściskając broń w prawej ręce. Lewą dotknął rany na ramieniu. Ból był ostry, ale do zniesienia, a choć przód jego koszuli był całkiem zakrwawiony, krew nie pochodziła z tętnicy. Sinsemilla nie uszkodziła mu większych naczyń krwionośnych ani narządów wewnętrznych. Mógł się obawiać najwyżej infekcji – zakładając, że ujdzie stąd z życiem.

Jeszcze w kuchni słyszał jej zawodzenie ku czci własnej wspaniałości, co upewniło go, że została na łóżku, tam gdzie ją zostawił.

W jadalni odwrócił się, żeby stąd pryskać bez cienia wstydu.

W salonie stał chłopiec z posagową blondyną i psem, i choć brzmi to jak początek kawału o księdzu, rabinie i pastarze, Noah nie wywołał u nich nawet cienia uśmiechu. Chłopiec miał piegi, blondyna – dziewięćmilimetrowy pistolet, a pies – kudłaty ogon, którym po chwili zaczął merdać z takim zapałem, że krople deszczu rozprysnęły się z niego na najbliższe ściany pokoju.

Indianie, trwający w wiecznym oczekiwaniu, bezsilni strażnicy, obserwowali go, gdy wnosił Rękę do domu. Rzucił ją na podłogę przy wejściu do labiryntu.

Drzwi zamknął za sobą kopniakiem, ale od razu się otworzyły. Wrócił i zaniknął zasuwę.

Wycisnął mokre włosy, odgarnął je z twarzy.

Ręka leżała jak mokra szmata. Lśniąca noga w klamrze wystawała z bezkształtnej sterty na podłodze. Mała pokraka jeszcze nie odzyskała przytomności. Mamrotała, wzdychała i bekała, co przejęło Prestona takim samym obrzydzeniem, jakby oddała pod siebie mocz. Czuł, że mikroskopijne drobiny brudu tej bezużytecznej małej pokraki pełzają mu po rękach, roją się pomiędzy palcami.

Kiedy niósł ją do domu, doszedł do wniosku, że nie będzie mógł spędzić z nią tyle czasu, ile zamierzał. Te kobiety i chłopiec stanowiły dla niego nieprzewidywalny czynnik. Nie mógł założyć, że będzie mu dane poświęcić Rękę odpowiednio wiele uwagi w Obląkanym Królestwie Teelroya.

Trudno, będzie musiał zabić Królową Dziwek z mniejszą finezją, niż planował. Nie mógł rozkoszować się niespiesznie przeciąganymi praktykami. Wykończy ją na oczach dziewczynki tak szybko, jakby rozbijał łopatą czaszkę szczura.

Pokraka nie będzie chciała na to patrzeć. Dlatego należy nie tylko przywiązać ją do fotela, lecz

również unieruchomić jej głowę i powieki taśmą klejącą.

Zaryzykuje parę minut, bardzo niewiele, żeby ją podręczyć. Potem zostawi ją, związaną, i podpali labirynt. I nie włączy telewizora. Nie będzie sobie mogła poogleądać dla pocieszenia ostatniego odcinka „Dotyku anioła”.

Przed odejściem opowie jej, jak cierpiał jej brat. Spyta ją, gdzie jest jej ukochany Bóg, gdy ona go potrzebuje, spyta, czy może gra w golfa z aniołami albo drzemie. I zostawi ją w dymie i ogniu. Niech krzyczy, nie usłyszy jej nikt prócz Indian.

Przez lata poświęcone przynoszeniu śmierci licznym osobom, które chciały popełnić samobójstwo, oraz paru, które nie chciały, przekonał się, że po pierwsze istniejący w nim okrutnik czerpie przyjemność ze skrajnej przemocy, a po drugie, że przyjemniej jest zabijać młodych niż starych. Nie wiedział, dlaczego tak jest, ale taka była prawda. Jego prawda, a co za tym idzie, prawda w ogóle. Prawda obiektywna nie istnieje, jest tylko prawda subiektywna. Jak twierdzi większość etyków, żadna filozofia nie jest lepsza od innych. Moralność nie jest zjawiskiem relatywnym. Moralność nie istnieje. Doświadczenie także jest względne i nie można osądzać cudzych wyborów, jeśli ktoś zdecyduje się iść inną drogą niż my. Ty zaakceptuj moje upodobanie do zabijania młodych, a ja uprzejmie przyznam znaczenie twojej szczególnej pasji do kręgli.

Nie będzie mógł spędzić długich godzin sam na sam z Ręką, co było bolesnym rozczarowaniem, choć mógł je znieść, wiedząc, że Dziura jest w ciąży i całkiem możliwe, że urodzi dwoje, troje, czy nawet więcej bachorów, jeszcze bardziej potwornych niż Ręka i Kulas, żądających od świata więcej, niż mogłyby mu dać. W nadchodzącym roku będzie miał pracy pod dostatkiem, genialnie zaplanował sobie rozrywki – i tym razem dozna tego najwyższego szczęścia.

Ręka zamrugła przekrwionymi oczami. Zaczęła odzyskiwać przytomność. Dopóki była jeszcze oszołomiona, musiał zebrać w sobie siły i dokończyć nieprzyjemne zadanie, zawlec ją do serca labiryntu. Dotknął pokraki, wzdrygnął się, podniósł ją z podłogi i wniósł do labiryntu, przez płyty i ciało modzelowate zbiorowego mózgu rodziny Teelroyów, złożonego ze śmieci, pleśni i mysich odchodów.

W gniazdku, w którym czekał telewizor i fotel, podłoga wyglądała jak po ceremonii wudu: rozsypane ptasie kości, być może ułożone w znaczące wzory, a potem rozrzucone kopniakiem, ludzkie włosy i paznokcie rozsypane jak ryż po przejściu nowożeńców.

Królowa Dziwek zniknęła.

Dobrze przywiązana, nieprzytomna, zostawiona zaledwie na dwadzieścia minut – dwadzieścia minut! – których potrzebował na powrót do Nun's Lakę po Rękę – ta żywa, przesiąknięta wodą szmata zdołała jakoś wszystko spaprać. Ale w końcu przez całe życie tylko to potrafiła.

Nie mogła uciec daleko. Jej samochód nadal stał na podjeździe, a kluczyki podzwaniały cicho w kieszeni Prestona. Prawdopodobnie leży gdzieś w labiryncie, nadal związana, niezdolna do szybkiego ruchu.

Złożył Rękę w fotelu. Z dreszczem obrzydzenia rozpiął i zdjął jej klamrę. Jeśli oprzytomnieje przed jego powrotem, nie będzie mogła się poruszać szybciej niż Królowa Dziwek.

Zabrał klamrę ze sobą. Nadawała się na maczugę.

Indianin w czerwono-białym pióropuszu, dumnie wyprostowany pomiędzy wysokimi stertami gazet, nie proponował cygar, za to dzierżył tomahawk.

Micky przytrzymała się go i wstała. Kostki miała związane bardzo ciasno, z najwyżej pięcioma centymetrami luzu, więc mogła przesuwac stopy o ułamki milimetrów. Ale nie miała daleko.

Tuż za wozem w ścianie labiryntu znajdowała się wnęka, a w niej okrągły stolik, mający jakieś pół metra średnicy, na którym stała lampa z żółtym szklanym kloszem w kształcie dzwonka. Ozdobny ornament z brązu w kształcie głowy uśmiechniętego cherubinka łączył klosz z nóżką. Micky zamierzała ostrożnie postawić lampę na podłodze, żeby móc nią operować z większą swobodą. Po namyśle straciła ją ze stolika jednym ruchem ręki.

Klosz i żarówka rozbiły się podczas upadku, labirynt pograżył się w jeszcze głębszych ciemnościach. Odłamki szkła potoczyły się z brzękiem po podłodze.

Micky zamarła w bezruchu, wyciągając słuch. Szczęk tłukącego się szkła zabrzmiał niepokojąco głośno w tym domu cichym jak grobowiec. Prawie się spodziewała usłyszeć ciężkie, złowrogie kroki strażnika labiryntu prosto z „Opowieści z krypty”, potwornego, wskrzeszonego z martwych stwora w gnijących szmatach, bardzo niezadowolonego, że ktoś przeszkodził mu pożywiać się zdechłymi chrząszczami. Ale kiedy strażnik labiryntu naprawdę przybędzie, przebijając wszystkie najmroczniejsze pomysły scenarzystów „Krypty”, bo będzie to Preston Maddoc, niebudzący zgrozy swoim wyglądem, za to kryjący w sobie ojca wszystkich potworów.

Micky pochyliła się w mroku, ostrożnie przyjrzała się podłodze, znalazła dwa duże odłamki, ostrożnie wypróbowała je na kciuku i uznała, że jeden jest odpowiednio ostry. Usiadła na stole, który wytrzymał jej ciężar.

Wpierw zabrała się do kabla łączącego nadgarstki z kostkami. Plastik ustąpił bez trudu, a ponieważ miedź jest miękkim metalem, spłot drucików wewnątrz osłonki opierał się niewiele dłużej.

Gratulując sobie, że w więzieniu brała udział w zajęciach gimnastycznych, wciągnęła obie nogi na stolik i zaczęła pracować nad krępującymi je więzami. Po paru minutach jej nogi były już wolne od pęt.

Właśnie się zastanawiała, jak przepiłować kabel wokół nadgarstków, nie podcinając sobie przy okazji żył, kiedy z głębi domu dobiegły ją jakieś odgłosy. Potem rozległo się głośne łupnięcie, a następnie trzask drzewi.

Wrócił Maddoc.

Leilani, rzucona na lekki fotel, nie wiedziała, gdzie jest ani jak się tu dostała, ale choć jej umysł trochę się jeszcze zacinał, nie miała złudzeń, że wkrótce zjawi się pokojówka z imbrykiem earl greya i tacą herbatników.

To dziwne miejsce śmierdziało gorzej niż najbardziej cuchnące oczyszczające kąpiele Sinsemilli. Odór był tak gęsty, że to chyba tutaj gromadziły się wydzielane latami toksyny drogiej mater. Może te ohydne wyziewy byłyby rzeczywistym zapachem rodzicielki czarodziejskich dzieci, gdyby regularnie nie oczyszczała się z grzechów.

Leilani ześliznęła się z fotela, wstała – i upadła. Smród na poziomie podłogi zmusił ją do wzięcia się w garść i pozbycia się oparu, który zaległ jej w płucach.

Klamra zniknęła. Od wolności, od samochodu pełnego kosmitów dzieliły ją zaledwie kroki. Chłopiec, pies, Amazonki i szansa na wspaniałe przygody bez złych świnioludów. A teraz to. Wyraźnie rozpoznawała rękę doktora Zagłady. Maleńkie ptasie czaszki wpatrywały się w nią pustymi oczodołami.

Bezużyteczność Ręki, jej żalosna zależność, dogłębne genetyczne zepsucie widziało się na każdej płaszczyźnie stalowej klamry, w każdym jej załamku i zakamarku, były niczym bakterie w publicznej toalecie.

Preston, człowiek z wyższym wykształceniem, wiedział, że bezużyteczność i zależność to cechy

abstrakcyjne, które nie zostawiają śladu na przedmiotach. Wiedział również, że genetyczne zepsucie nie przenosi się tak jak choroby wirusowe. Mimo to prawa ręka, w której trzymał klamrę, lepiła się mu od potu, a gdy przemierzał labirynt w poszukiwaniu Królowej Dziwek, nabrał przekonania, że ohydne mikroby Ręki rozpuściły się w jego pocie i sączą się w głąb jego ciała przez zdradzieckie pory. Nawet w najlepszych czasach pot budził w nim takie same obrzydzenie, jak mocz, śluz i inne odrażające produkty metabolizmu, ale w tej chwili, gdy jego dłoń z sekundy na sekundę stawała się bardziej lepka, antypatia do dziewczynki przerodziła się w dojrzałą odrazę, a odraza w pełną goryczy nienawiść, do której właściwie jako znawca etyki nie powinien się zniżać. Jednak z każdym krokiem w głąb śmierzących wnętrzości tego labiryntu to, co wiedział, liczyło się coraz mniej od tego, co czuł.

Z nadal związanymi rękami, trzymając niebezpieczny odłamek szkła przed sobą jak halabardę, Micky zbliżała się do miejsca, w którym korytarze labiryntu spotykały się ze sobą. Szła z plecami przy ścianie i uniesioną głową, by w porę wychwycić wszystkie wymowne, lecz ciche sygnały. Poru – szalała się bezszelestnie jak mgła, wykorzystując nabytą w dzieciństwie umiejętność skradania się, kiedy mogła uniknąć ponizeń, jedynie uciekając przed złymi chłopcami matki niczym żywy duch, niewidzialny i bezgłośny.

Nie traciła czasu na przecinanie więzów na nadgarstkach, ponieważ to by zajęło co najmniej parę minut i na pewno rozproszyło jej uwagę. Była jak święty Jerzy, a przebudzony smok właśnie sunął jej śladem.

Zatrzymała się na zakręcie. Następny korytarz ciągnął się w lewo i prawo. Nie chciała wystawić głowy po to, żeby spojrzeć na czekającego, nasłuchującego Maddoca. Pamiętała, jak podstępnie, swobodnie i bezczelnie wtargnął do domu Genevy zaledwie przed kilkoma dniami i wiedziała, że nie może go nie doceniać.

W chwilę potem słusność jej przewidywań doczekała się potwierdzenia, bo Maddoc zaklął nagle niespełna kilka metrów od niej, za lewym zakrętem, gdzie stał tak cicho, że nie słyhać było nawet jego oddechu. Lecz raptem, chyba w ataku niekontrolowanej wściekłości, rzucił czymś, co upadło na podłogę z głośnym łomotem, potoczyło się i znieruchomiło o parę kroków od Micky: ortopedyczna klamra Leilani.

Jeśli Maddoc ruszy teraz śladem metalowego przyrządu, staną twarzą w twarz, a życie Micky będzie zależeć tylko od tego, czy w tej chwili zaskoczenia zdoła mu wbić szkło w oko. Jeśli nie trafi lub ugodzi go tylko w policzek czy czoło, on skorzysta z tego, że Micky ma nadal związane ręce i skończy z nią w jakiś brutalny sposób.

Wstrzymała oddech. Zamarła. Zmieniła pozycję, nie poruszając stopami, odwróciła się w stronę korytarza, uniosła odłamek szkła.

Miała na ręce taniego klasycznego timeksa, bez cyfrowych komponentów. Staroświecki mechanizm w kopercie. Mogłaby przysiąc, że słyszy ciche tik-tak trybików, przeżywających czas metalowymi ząbkami. Nigdy dotąd ich nie słyszała, dopiero teraz tak bardzo wyostrzyły się jej zmysły.

Po łomocie stalowej klamry nie rozległy się żadne inne dźwięki. Nie usłyszała ani zbliżających się, ani oddalających kroków. Tylko wyczekujące milczenie sprężonego do skoku węża – ale bez ostrzegawczego grzechotania.

Jej oszalałe ze strachu serce głośno galopowało. Ciało dygotało jak ziemia wibrująca od uderzeń dziesiątków kopyt rozpędzonego stada. A jednak poprzez tętent serca, a także przez stukot setek kropel o dach docierała do niej także cisza, i dotarłyby także wszystkie inne dźwięki, gdyby ją zmały.



Zaczekać jeszcze minutę? Dwie? Nie może tu ciągle stać. Kiedy się zbyt długo stoi, ludzie cię znajdują. Duchy, żywe czy martwe, muszą być nieuchwytnie, w ciągłym ruchu.

Wychyliła się do przodu, odsłaniając jak najmniej ciała, tylko skroń i jedno nieufne oko.

Maddoc się przemieścił. Korytarz ciągnący się w lewo i prawo był pusty.

Ta klamra znaczyła, że Leilani tu jest. I jeszcze żyje, bo Maddoc nie zdejmowałby klamry z trupa, tylko z żywej dziewczynki, by odebrać jej swobodę ruchów.

Trudny wybór. Zostawić klamrę czy spróbować ją zabrać? Łatwiej przyjdzie jej wydostać stąd Leilani, jeśli dziewczynka będzie mogła poruszać obiema nogami. Ale co będzie, jeżeli żelastwo narobi za dużo hałasu, gdy Micky spróbuje je podnieść? Poza tym ze związanymi rękami nie mogłaby nieść klamry i bronić się odłamkiem szkła.

Ale i tak pochyliła się i chwyciła urządzenie, ponieważ Leilani nie tylko mogłaby się dzięki niemu poruszać szybciej i pewniej, lecz także mniej by się bała. Podniosła je powoli, ostrożnie. Ciche szczęknięcie i brzęk. Przytuliła klamrę do siebie, by stłumić wszelkie inne dźwięki, i wstała.

Maddoc był przemoczony. Widziała, skąd przyszedł i dokąd się udał. Drewniane deski, z których lakier stał się już dawno temu, chłoneły wodę jak gąbka, prezentując ciemne ślady stóp.

Była pewna, że Maddoc zostawił dziewczynkę tam, gdzie wcześniej ją. I rzeczywiście, ślady prowadziły w to miejsce, ale Leilani w nim nie było.

Butelki, wszędzie butelki, i ani jednego dzinna, ani jednego listu, który można by wrzucić do morza. Tylko osad po oranżadzie i piwie, które pomimo zaawansowanego wieku nadal wydzielalo nieznośny fetor.

Ugodzony, lecz nie obezwładniony Noah z Cass u boku obiegnął dom i przekonał się, że drzwi ganku stoją otworem. Weszli z bronią gotową do strzału.

Pięciokilometrowa jazda z Nun's Lakę okazała się zbyt krótka, żeby Noah połapał się w historii bliźniaczek. Wiedział już, że są byłymi tancerkami rewiowymi, które fascynują się UFO, lecz ich ochocze nastawienie do walki oraz uzbrojenie nadal pozostawało dla niego tajemnicą.

Nie widział jeszcze, jak strzelają, ale na widok całkowicie profesjonalnego sposobu trzymania broni poczuł się w towarzystwie Cass równie bezpiecznie, jak z jakimkolwiek partnerem, z którym pełnił służbę za policyjnych czasów.

Podłoga ganku jęczała pod ciężarem kolekcji butelek, za które, gdyby je sprzedać w skupie po cencie za sztukę, można by kupić całkiem fajny wózek. Kiedy Noah przeszedł obok nich, butelki wydały z siebie bajkowe dźwięki.

Drzwi pomiędzy gankiem i kuchnią były zamknięte na dwa zamki. Jeden można było bez trudu otworzyć za pomocą karty kredytowej, drugim była zasuwa, niepoddająca się kawałkowi plastiku.

Musieli przyjąć, że Maddoc słyszał ich przybycie pomimo wichru, deszczu i grzmotów albo ich zobaczył. Mogliby się skradać, gdyby byli wewnątrz domu, ale skoro dopiero do niego wchodzili, mogli to sobie darować.

Butelki ograniczały jego ruchy z obu stron, ale i tak udało mu się mocno kopnąć w drzwi. Wstrząs przypomniał mu dokładnie o ranie w ramieniu, ale kopnął jeszcze raz, a potem znowu. Framuga koło zamka, na wpół spróchniała, pękła i drzwi runęły do wnętrza domu.

Domem wstrząsnęły trzy ciosy i Preston natychmiast zrozumiał, że w tej właśnie chwili zniknęła ostatnia nadzieja na coś więcej niż przelotną przyjemność z Ręką.

Ten hałas nie mógł być dziełem Królowej Dziwek. Była w domu, szukała wyjścia, ale starała się nie zwracać na siebie uwagi. Gdyby – co jest całkowicie nieprawdopodobne – znalazła wyjście z labiryntu, usiłowałyby raczej wydostać się na zewnątrz.

Preston nie słyszał syren, nikt nie wrzasnął „policja”, a jednak nie było się co ludzić, że to włamywacz, który przypadkiem wybrał akurat tę chwilę na wejście do domu. Ktoś chciał mu pokrzyżować szyki.

Porzucił poszukiwanie Królowej Dziwek, zanim się na dobre zaczęło, i wrócił po swoich śladach do fotela, w którym zostawił Rękę. Jeszcze ma czas udusić tę brzydką małą sukę, choć od tak intymnego kontaktu na pewno dostanie mdłości. Potem wymknie się z labiryntu. Nie może pozwolić, żeby dziewczyna dostała się pod cudzą opiekę, ponieważ jeśli w końcu zdoła kogoś przekonać, żeby jej wysłuchał, stanie się jedynym świadkiem mogącym zeznawać przeciwko niemu.

Polly chce, żeby Curtis pozostał w wynajętym samochodzie Noaha, ale galaktyczne szlachetnie urodzone znakomitości mają zwyczaj stawiać na swoim.

Curtis chce, żeby Stary Rudzielec pozostała w samochodzie i tu wygrywa równie szybko, jak Poiły przegrała, bo jego siostrzyczka jest grzeczną, kochaną psinką.

Suche podwórko zmieniło się w grzęzawisko, które wsysa ich buty. Rozbryzgują wodę z głębokich kałuż, błyskawica uderza w sosnę na pobliskim polu, jakieś trzydzieści metrów dalej, kłęb ognia obejmuje przez chwilę konary, po czym ulewa go gasi, a ziemię wstrząsa grzmot tak głośny, jakby obwieszczał nadejście Apokalipsy. Jejku, jakie to wszystko cudowne.

Na ganku Poiły naciska klamkę, przekonuje się, że drzwi są zamknięte na klucz, wyciąga pistolet z torebki i mówi Curtisowi, żeby się odsunął.

– Fajnie by było rozwalić drzwi – mówi on – ale mój sposób jest łatwiejszy, a mama zawsze mówiła, że najprostsze strategie zwykle bywają najlepsze.

Lekko kładzie obie ręce na drzwiach, nakłania je siłą woli, żeby się otworzyły i na poziomie mikro, gdzie ma to jakieś znaczenie, cząstki zasuwki nagle wolą być tam zamiast tu i drzwi stają otworem.

– Możesz mnie tego nauczyć? – pyta Poiły.

– Nie – odpowiada, otwierając drzwi szerzej.

– Do tego trzeba być takim kosmicznym kowbojem jak ty, co?

– Każdy gatunek ma swoje umiejętności – wyjaśnia, przepuszczając ją w drzwiach, bo, prawdę mówiąc, Poiły odtrąca go na bok i nie pozostawia mu innego wyboru.

W korytarzu – stoją mumie. Indianie, zabalsamowani w pozycji stojącej, w najlepszym ceremonialnym stroju.

Na tyłach domu Noah lub Cass wyważa drzwi i po chwili pojawiają się po drugiej stronie korytarza, wpatrują się w osłupieniu w mumie.

Poiły daje im znak, żeby sprawdzili pokoje po swojej stronie, a do Curtisa mówi:

– Tędy, kochanie.

Więc idzie za nią przez komnaty tak interesujące, jak jeszcze nic na tej planecie, ale – o Boże – to na pewno jedno z tych miejsc, w których zbierają się seryjni mordercy, żeby oglądać zgromadzone trofea.

Leilani zniknęła z gniazdka, ale mokre ślady jej stóp nadal widniały na podłodze, zmieszane z wcześniejszymi, blednącymi śladami Prestona Maddoca. Micky widziała, gdzie dziewczynka się potknęła, upadła i znowu wstała, gdyż zostawiała mokry odcisk ubrania.

Micky poszła jej śladem krótkimi korytarzykami, obeszła ślepy zaułek znacznie szybciej, niż nakazywał rozsądek, przestraszona, że dziewczynka wpadnie na Maddoca.

Drań najwyraźniej przywiózł ją tutaj, żeby zabić, tak jak wcześniej Micky. Nie mógł czekać do Montany. Nie teraz, gdy Micky pokrzyżowała jego plany.

Domem zatrzęsł trzykrotny głośny huk, nie grzmot, lecz mocne uderzenie, jakby ktoś walił w budynek młotem.

Hałasy przestraszyły Micky, bo nie miała pojęcia, co jest ich przyczyną. Czy to śmiertelne ciosy? Maddoc triumfujący? Leilani martwa?

Potem wyszła zza kolejnego zakrętu i oto dwa metry dalej ujrzała dziewczynkę – jedną ręką opierała się o ścianę labiryntu, kulała, lecz z determinacją brnęła przed siebie, taka mała, a jednocześnie górująca nad wszystkim, z wysoko uniesioną głową, ramionami wyprostowanymi w geście absolutnego zdecydowania.

Wyczuła czyjaś obecność, obejrzała się przez ramię i na widok wiernej przyjaciółki na jej twarzy odmalowała się taka radość, że Micky nie mogłaby jej zapomnieć nawet wtedy, gdyby dożyła pięciuset lat, a Bóg postanowił odebrać jej sędziwej pamięci wszystkie wspomnienia. Te inne mógł sobie zabrać w każdej chwili, ale za nic nie oddałaby Mu widoku twarzy Leilani, bo to jedno wystarczy, żeby dodać jej otuchy nawet w godzinie śmierci.

Przekonawszy się, że Ręka nie spoczywa w fotelu, gdzie ją zostawił, i że nie ma jej w gniazdku, Preston postanowił podpalić labirynt.

Po wszystkich cierpieniach, którym zamierzał ją poddać, planował pozostawić ją żywą, żeby w swoich ostatnich chwilach doznała jeszcze panicznego strachu na widok otaczających ją płomieni i dymu wyzerającego tlen z jej płuc. To pierwsze zostało mu odebrane, lecz nadal pozostała mu rozkosz stania na deszczu i przysłuchiwania się jej wrzaskom, gdy będzie pełzła i kuśtykała przez płonący labirynt.

Gazety i magazyny stanowiły najlepsze paliwo na świecie. Pocałunek zapalniczki spowodował natychmiastową i ognistą reakcję. Pisma w dolnych warstwach ścian były tak mocno zbite – niemal twarde jak cegły – że mogły się palić godzinami.

Obszedł zatłoczony pokój, podkładając ogień w sześciu miejscach. Nigdy dotąd nie zabijał za pomocą ognia, z wyjątkiem dziecinnych wprawek z robakami, kiedy zrzucił na nie do słoika płonące zapalki. Jaskrawe języki ognia, powolnie oblizujące ściany, przejęły go dreszczem podniecenia.

Kiedy odkrył, że fotel jest pusty, zauważył też, że mokre ślady stóp pokraki nakładają się na jego własne. Teraz poszedł ich tropem, przystając co parę metrów, żeby przyłożyć zapalniczkę do łatwopalnych ścian.

Nie czas na łzy, ale i tak się popłakały, choć twarde babki w rodzaju Micky B. i niebezpiecznego młodego mutanta nie lubią pokazywać nikomu swoich łez.

Płacz nie spowolnił jednak ruchów Leilani, która kawałkiem żółtego szkła przepiłowała kabel krępujący nadgarstki Micky. Zajął jej to jakieś pół minuty, a zapięcie klamry na nodze – jeszcze mniej.

Kiedy były gotowe ruszyć dalej, labirynt stał już w ogniu. Leilani nie widziała jeszcze samego ognia, bo na suficie pełgała łuna niczym stado ognistych salamander, siekących gips płazimi ogonami.

Nie bój się niczego. Tak mówią surferzy. No jasne, tylko jak często podczas surfowania po wysokich falach grozi im, że spłoną żywcem?

Ruszyły w stronę, z której przyszły, ale jednocześnie dostrzegły wilgotne ślady i bez słowa doszły do tego samego wniosku: Preston pójdzie ich śladem, tak samo jak wcześniej zrobiła to Micky.

Prawdę mówiąc, nie będzie im trudniej znaleźć wyjścia, jeśli ruszą w drugą stronę. Ale i nie łatwiej.

Pełzające ogniste salamandry na suficie ukryły się za kłębami dymu, który najpierw uniósł się, lecz za chwilę miał opaść na labirynt gęstymi, dławiącymi chmurami.

Micky objęła Leilani ramieniem i razem ruszyły przed siebie tak szybko, jak pozwalała na to cyborgowa noga. Skrzyżowanie za skrzyżowaniem, skręcały w lewo lub prawo, albo szły prosto, jeśli było to możliwe, każdego wyboru dokonując instynktownie – w wyniku czego dotarły prosto w ślepy zaułek.

Dwie z trzech specjalizacji Prestona dotyczyły filozofii, dlatego przeszedł on liczne kursy logiki. Zapamiętał jeden z wykładów, który częściowo dotyczył logiki labiryntów. Kiedy trójwymiarowe układanki konstruowali matematycy lub logicy, czerpiący podstępne pomysły z posiadanej wiedzy, w rezultacie powstawał labirynt, z którego tylko nieliczni potrafili wyjść w przyzwoitym czasie, a pewną liczbę sfrustrowanych śmiałków musieli ratować przewodnicy. Z kolei gdy labirynt był dziełem kogoś nieznającego matematyki czy logiki – a więc zwykłego człowieka – ci bardziej przeciętni budowniczy stosowali zadziwiająco przewidywalny schemat, ponieważ wynikał on raczej z instynktu niż inteligentnego planowania; najwyraźniej w ludzkiej psychice tkwi jakiś pierwotny wzór, wyłaniający się przy budowaniu labiryntu. Być może był to schemat jaskiń i tuneli, w których żyła pierwsza wielka rodzina ludzka, być może mapa tych najwcześniejszych schronień została odcisnięta w naszych genach i odtwarzamy ją, by poczuć się bezpiecznie. Ta tajemnica intryguje psychologów tak samo jak filozofów, choć Preston nigdy nie poświęcił jej zbyt wiele rozmyślań.

Ropuch z farmy Teelroya mógł nie wydawać się zwyczajny jak na standardy tego świata, lecz w porównaniu z wykształconym na Harvardzie matematykiem stawał się taki ponad wszelką wątpliwość. Preston już po pierwszym przejściu przez labirynt, nie zastanowiwszy się nawet, czy powielił on klasyczny schemat, nabrał podejrzeń, że i owszem.

Podążając za wzorem, który zapamiętał z tego dawnego wykładu, nieustannie podpalał sterty papierzyk za sobą, odcinając sobie w ten sposób drogę ucieczki. Gdy w tunelach pojawiły się pierwsze siwe smużki dymu, po których miały nadejść gęste kłęby sadzy, i gdy fale gorąca zaczęły wyciskać z niego irytujący pot, dotarł do ślepego zaułka, w którym uwięzła Ręka z Królową Dziwek.

Nie wrócił specjalnie dla nich, ale kiedy przebiegał obok, zauważył je kątem oka. Gdy wrócił i zablokował im wyjście, kobieta i dziewczynka kulily się w korytarzyku bez wyjścia, kaszląc i spoglądając na niego przez opadające zasłony dymu, wyraźnie bity się tego, co mógł im zrobić.

A on wszedł do korytarzyka, zmuszając je, by wycofały się w sam jego koniec. Potem zatrzymał się w jego połowie i podpalił obie ściany w kilku miejscach.

Jak za dawnych czasów. Robale w słoiku.

Gdy ogień pojawia się niespodziewanie i rozrasta z wybuchową siłą, Poiły chce od razu rzucić się do labiryntu, być może za bardzo uwierzyła we własny wizerunek superbohaterki bez peleryny.

Curtis ją zatrzymuje.

– Tam jest dziewczynka – przypomina mu Poiły, jakby był aż takim Gumpem, że mógłby zapomnieć, po co tu przyszli. – I Cass, i Noah... mogli zawędrować za daleko, żeby wrócić.

– Wycofaj się tą samą drogą, którą przyszliśmy, zanim dym stanie się zbyt gęsty, żeby odczytać

znaki. – Przy każdym zakręcie robił na ścianach znak szminką Poiły z napisem TRUSKAWKOWY SZRON na etykietce. – Ja znajdę pozostałych.

– Ty? – powtarza Poiły z niedowierzaniem, bo choć ma świadomość, że Curtis jest kosmitą, wie także, że jest chłopcem i mimo historii, którą jej opowiedział, potrafi wyobrazić sobie chłopca tylko w tej jednej podstawowej postaci, w dodatku bardzo kruchej. – Kochanie, nie puszcę cię tam samego. Zaraz, w ogóle cię tam nie puszcę!

– Nie wyobrażam sobie, żebym mógł przestraszyć Spenkelfeltera – mówi Curtis – ale obiecaj, że się nie przestraszysz.

– O czym ty mówisz? – pyta, wodząc wzrokiem między nim i płonącym labiryntem.

Więc jej pokazuje, o czym mówi, przestając być Curtisem Hammondem i przyjmując nie jedną z wielu postaci ze swego repertuaru, lecz kształt, w którym się urodził, wcielenie, w którym potrafi się poruszać szybciej niż jako Curtis i które ma bardziej wyczulone zmysły. To całkiem niezły widok, nawet jeśli on sam tak twierdzi.

Nie byłby zdziwiony, gdyby Poiły zemdląła. Ale w końcu co Spenkelfelter, to Spenkelfelter, i choć lekko się chwieje, nie traci równowagi. Za to, czyniąc aluzję do historii, którą opowiedział im przy chińskim posiłku w T win Falls, wykrzykuje:

– O jasna ciasna Anielka! Micky nie miała ochoty stawić czoła Prestonowi Maddocowi w ślepym zaułku, trochę ze względu na to, że drań był od niej silniejszy, lecz także z uwagi na zapalniczkę. Prawdopodobnie usiłowałby podpalić jej ubranie.

Płomienie pełzły po ścianach korytarza przed nimi. Za chwilę złączą się ze sobą, tworząc nieprzepuszczalną ścianę śmierci.

Dym gęstniał z każdą sekundą. Już teraz obie zanosily się kaszlem. Czuła palącą suchość w gardle. Wkrótce nie będą miały czym oddychać, chyba że pochylą się nad podłogą. A gdy będą musiały to zrobić, to już właściwie tak, jakby nie żyły.

Odwróciła się w stronę ściany zamykającej ślepy zaułek i spróbowała wyszarpnąć z niej plik gazet i magazynów, by przebić się do następnego korytarza, do którego ogień jeszcze nie dotarł. Paczki pism były tak ciasno ubite, że nie mogła ich ruszyć.

No dobrze. W porządku. Więc trzeba przewrócić to draństwo. Przecież to tylko sterta makulatury, prawda? Nikt tego nie zabetonował. Nikt tu nie wsadzał prętów zbrojeniowych.

Ale kiedy naparła na palisadę, ta okazała się niewzruszona jak budowle faraonów. Mijając niektóre korytarze, dostrzegła, że na ściany labiryntu zawsze składały się dwie lub trzy rzędy stert, przedzielone sklejkami i płytami pilśniowymi. Być może znajdowały się tu jakieś inne, niedostrzegalne na pierwszy rzut oka umocnienia. Micky uderzyła w ścianę ze wszystkich sił, bez skutku, potem spróbowała ją rozkołysać, rytmicznie naciskając i cofając się, i znowu naciskając, w nadziei, że makulatura zacznie się kołysać. Na próżno.

Odwróciła się, by spojrzeć poprzez płomienie na Maddoca. Przyciągnęła Leilani do siebie i zebrała w sobie całą odwagę. Nie pozostało jej nic innego, jak rzucić się pędem do wyjścia, wydostać się stąd, zanim ogień odetnie im drogę, i spróbować zaatakować Maddoca. Przewrócić go, kopnąć w głowę, jeśli upadnie – bo on by zrobił to samo, gdyby się przewróciła.

Papier szepcze, kiedy pali się w wielkich ilościach, także trzeszczy, strzela i syczy, ale przede wszystkim szepcze, jakby wyjawiał wydrukowane na nim tajemnice, zdradzał nazwiska, cytował źródła. Preston zdał sobie sprawę, że zbyt długo przebywał w dymie i skwarze, kiedy płonący papier zaczął

szeptać nazwiska tych, których zabił.

Śmierdzącym powietrzem nadal dawało się oddychać. Jednak zanim dym zgęstniał na tyle, żeby zatkać płuca, powietrze nasyciło się trucizną, uwolnioną z płonących materiałów, gazami, które nie były widoczne jak kłębiąca się sadza, lecz bardziej niebezpieczne. W procesie wytwarzania papieru używa się licznych chemikaliów, które ogień uwolnił i zmienił w jeszcze skuteczniejsze trucizny.

Skoro zaczął słyszeć nazwiska swoich ofiar, musiał nawdychać się tyle tego świństwa, że mu pomieszało w głowie. Lepiej się zabierać, zanim straci orientację.

Ale zawahał się, ponieważ na widok Królowej Dziwek i Ręki, uwięzionych w ślepym zaułku, poczuł podniecenie. Miał nadzieję, że rzucą się pędem przez płonącą bramę, zanim jedyna droga ucieczki zamknie się na zawsze. Może źle obliczą moment, dadzą się schwytać płomieniom i zmienią się w żywe pochodnie – szalenie zależało mu na tym spektaklu.

Ta zachlana kurwa przyciągnęła do siebie dziewczynę. Wyglądało to tak, jakby starała się ją osłonić własnym ciałem, kiedy rzucą się do ucieczki, jakby od tych paru oparzeń Ręka mogła stać się paskudniejsza.

Nagle kawał ściany pomiędzy nimi i Prestonem runął na ziemię, buchając chmurami iskier podobnych do świetlików i wielkimi czarnymi ćmami popiołu. Teraz już nie wyjdą, chyba że zechcą brodzić po kolana we wściekle płonących śmieciach.

Dokonało się. Kobieta i dziewczyna wycofały się w sam koniec ślepego zaułka.

Pożyją jeszcze ze trzy minuty, najwyżej pięć, potem dym dopłynie do nich duszącymi falami, a one zapłoną jak dwie świece. Preston nie odważył się czekać na ostatni akt, żeby nie utknąć w pułapce razem z nimi.

Było mu ciężko na sercu od ogromu rozczarowania. Ich ostatnie chwile, gdyby mógł być ich świadkiem, sprawiłyby mu przyjemność, w ten sposób przyczyniając się do zwiększenia ogólnej ilości szczęścia na świecie. Teraz ich śmierć będzie równie bezużyteczna jak życie.

Pocieszył się myślą, że Czarna Dziura już produkuje dla niego nową partię pokracznego towaru. Odwrócił się, zostawiając te dwie grudy łoju na pastwę płomieni. Kobieta zaczęła krzyczeć o pomoc. Ton desperacji w jej głosie był wysoce podniecający; Preston zatrzymał się jeszcze na chwilę.

Drgnął, bo gdzieś z głębi labiryntu dobiegła go odpowiedź. Całkiem zapomniał o tych trzech głośnych hukach, jakby ktoś wyłamywał drzwi – kolejny dowód na to, że zatrute powietrze już wpłynęło na jego procesy myślowe.

Kobieta znowu krzyknęła, wskazując odsiecz drogę do siebie.

Kolejne wołanie przebiło się przez gwałtownie potężniejący zaśpiew milionów języków ognia i po lewej stronie od Prestona, jakieś trzy metry dalej, pojawił się wielki facet w kolorowej koszuli hawajskiej. Trzymał rewolwer.

Wykazując się szokującą pogardą dla etyki, sukinsyn strzelił do Prestona. Wcale się nie znali, żaden z nich nie mógł ocenić przydatności tego drugiego dla społeczeństwa, a jednak ten bezlitosny drań bez wahania nacisnął spust.

Na widok unoszącej się broni Preston pojął, że powinien rzucić się do tyłu i na prawo, ale był raczej filozofem niż człowiekiem czynu i zanim zdążył zadziałać, kula ukarała go za opieszałość. Zatoczył się, upadł, przewrócił na brzuch i odpełził od strzelającego, od ślepego zaułka, w którym kobieta i dziewczyna oczekiwały na śmierć, za róg korytarza, w inny jego rejon, wstrząśnięty intensywnością bólu gorszego niż cokolwiek, co zdarzyło mu się przeżyć i czego spodziewał się kiedykolwiek doznać.

– Tutaj! – krzyknął Noah do Micky i dziewczynki. – Trzymajcie się, zaraz was wyprowadzimy!

Ogień, zrodzony zaledwie przed paroma minutami, rozprzestrzenił się po całym domu z zadziwiającą prędkością. Noah Farrel, który rzadko – jeśli w ogóle – podejrzewał, że na tym świecie działają moce nadprzyrodzone, a na horrorach nigdy nie dostał nawet gęsiej skórki, obecnie nie mógł się pozbyć wrażenia, że ten ogień jest jakiś inny, że jest jakby żywy, świadomy, podstępny. Pełził labiryntem, mając jakąś misję do spełnienia. Szukał czegoś więcej niż zaspokojenia wiecznego głodu. Podobno strażacy też miewają czasem takie wrażenie, nazywają ogień Bestią. Kiedy płomienie na niego syknęły, kiedy z bardziej odległych i ogarniętych pożarem korytarzy uniosło się coś jak warkot, mamrotanie i ochrypty charkot, Noah nabrał przekonanie, że Bestia to właściwa nazwa.

Wejście na zamknięty ganek i tylne drzwi pomiędzy gankiem i kuchnią, które wyłamał, stały otworem. Drzwi we wnętrzu domu zostały wyjęte z zawiasów już dawno. Teraz rozgrzane powietrze w domu zapragnęło ochłodzić się za kolekcją butelek, a nabierający rozpędu prąd powietrza wciągnął w korytarze labiryntu dym, popioły i iskry.

Na razie ogień ograniczył się do frontowej połowy domu. Nie na długo.

Noah znaczył drogę krwią z sączącej się rany. Bał się, że jeśli wkrótce nie ruszą po jego śladach, dym zasłoni szkarłatne znaki.

Zmrużył oczy, zajrzał do ślepego zaułka, przed którym niedawno stał Maddoc. Korytarz miał jakieś trzy metry. Z tego metr już się palił. Na podłodze leżał zagrządzający wyjście głęboki zwał płonących papierzysek. Droga do Micky i dziewczynki, widocznych za lśniąca taflą ognia, była od tej strony niedostępna.

Cass chwyciła go za koszulę hawajską i pociągnęła, wskazując, że tylko jedna ściana ślepego zaułka sięga aż do sufitu. Druga, za którą biegł równoległy korytarz, była krótsza o pół metra.

Wrócili w miejsce, z którego strzelił do Maddoca. Noah schował rewolwer i zgodził się, żeby Cass go podsadziła. Była wysoka i silna, toteż przy jej pomocy zdołał się wspiąć na ścianę dzielącą ich od ślepego zaułka.

Wspinając się, bardzo wyczulony na stabilność sterty, przygotował się, by zeskoczyć po pierwszym sygnale, że mógłby pogrzebać pod zwałami papieru osoby, które zamierzał uratować. Ściana nie była niewzruszona jak beton, ale nawet pod nim nie drgnęła.

Na szczycie, w wąskiej przestrzeni między ścianami labiryntu a sufitem, z nogami tkwiącymi w korytarzu, w którym czekała Cass, z piersią wbitą w ścianę, znalazł się w gęstszym – choć jeszcze nie oślepiającym – dymie, drażniącym mu oczy i wyciskającym łzy. Lepiej wstrzymywać każdy oddech najdłużej, jak się da. Zminimalizować ilość wdychanego świństwa. Ale nie mógł wypełnić całego zadania na jednym oddechu.

Więc wejdźmy w Dolinę Cienia. Z każdą sekundą odrobinę bliżej do Śmierci. Zabolą go rana. Prawie się ucieszył; miał nadzieję, że ból opędzi od niego oszałamiające działanie wyziewów, pozwoli mu zachować czujność.

Ostrożnie, lecz szybko pochylił się do przodu, dopóki jego oczom nie ukazał się ślepy zaułek. Metr na prawo ogień pożerał podłogę i pełził w górę po ścianie. Noah wzdrygnął się od uderzenia skwaru; pot na jego prawym ramieniu wysechł w ułamku sekundy.

Część dwumetrowej ściany bezpośrednio pod nim jeszcze nie zajęła się ogniem. Micky podniosła głowę dokładnie w chwili, gdy wyciągnął do niej rękę. Rzęziła. Jej twarz znajdowała się niespełna pół metra od niego. Prawy profil miała pokryty zaschniętą krwią, włosy zlepione.

Bez wahania podsadziła ku niemu Leilani; jej wykrzywiona twarz zdradziła, jak bardzo przy tym

cierpiała.

Chwycił dziewczynkę. Pociągnął ją ku sobie. Pomagała mu, jak mogła, chwyciła go za lewy bark jak za szczebel drabiny, oparła się o przepierzenie. Popychana z dołu, ciągnięta od góry, wcisnęła się pomiędzy Noaha i kąt zaułka, a potem w zadymioną szczelinę między ścianami labiryntu i sufitem.

Czując, że Leilani przepęła obok niego na korytarz, gdzie czeka na nią Cass, Noah chwycił Micky pod pachy, a ona poszła za przykładem dziewczynki. Była cięższa i nikt jej nie podsadził. Pomogła mu, ile mogła, szukając oparcia dla stóp, ale za każdym razem, gdy je znajdowała, Noah czuł, że ściana kołysze się pod ich ciężarem.

Teraz wstrzymywał oddech nie tylko po to, by ograniczyć zatrucie organizmu. Bał się, że ściana się przewróci, grzebiąc pod sobą Micky w płonącym zaułku lub przygniatając jego, Cass i Leilani.

Świadoma niebezpieczeństwa, wspięła się na ścianę szybko, lecz rozważnie, wpełzła na półmetrowy parapet na szczycie palisady.

Po prawej stronie języki ognia lizały sterty makulatury, już znacznie bliżej niż poprzednio. Włosy na przedramieniu Noaha, sztywne od wyschniętego potu, jeżyły się jak setki malutkich, czekających na ogień pochodni.

Wycofał się, po drodze uderzył głową o sufit. Znieruchomiał, bo zbita masa papieru zakołysała się pod nim. Trwał w bezruchu, dopóki się nie uspokoiła. Wtedy zeskoczył do bezpiecznego korytarza, do reszty. Bezpieczny jak „litanie”. Jak Hiroszima w czterdziestym piątym. Bezpieczny jak wszyscy diabli.

Akcja ratunkowa trwała najwyżej półtorej minuty, ale przez ten czas warunki wyraźnie się pogorszyły. Można by pomyśleć, że nad częścią labiryntu zawisła noc, choć to nie była noc, raczej czarna fala tsunami, zawieszona w powietrzu w magicznie zamrożonej chwili, potężna i kłębiąca się, lecz jeszcze niespadająca na ziemię. W gęstej czerni otworzyły się żyły czerwonego ognia, przez chwilę krwawiły, zamknęły się i pękły w innym miejscu. A tu gdzie stał, gęste powietrze oblepiało go ze wszystkich stron, ciężkie nie tylko od dymu, ciężarne przecuciem potężnych sił, których moc rośnie gwałtownie, przerasta wszelkie ograniczenia. Szerniały strony starych magazynów, nieco większe niż wielkie płyty popiołu, szybowały ku nim leniwie niczym wypatrujące łupu płaszczki, a wielkie ławice maleńkich świecących rybek przepływały nad ich głowami w niespiesznej paradzie, czasem rozpraszając się przy zderzeniu ze ścianami labiryntu, lecz gdzie indziej rozniecając niewielkie ognieki. Jeszcze nie zaczęły spadać na ich włosy i ubrania, które wkrótce tak im posmakują. Skwar wyciskał z nich tłusty pot, wysuszał wargi i osmałał nozdrza.

Wszyscy kaszleli, kichali, soplowali.

– Spadamy, już! – rozkazała Cass i ruszyła pierwsza, a za nią Leilani i Micky.

Noah, ostatni w pochodzie, z bronią w pogotowiu, na wypadek gdyby Maddoc chciał jeszcze coś udowodnić, ujrzał pulsowanie światła na tyłach domu, choć ogień jeszcze nie powinien tam dotrzeć. Może zdołają go jakoś ominąć.

Zakręć za zakrętem, przez zwoje labiryntu, jakby zwiedzał zakręty i bruzdy na powierzchni mózgu. Preston wybrał tę trasę zgodnie z wiadomościami na temat klasycznych schematów labiryntu, tkwiących w pamięci każdego człowieka, którymi nieodmiennie posługują się wszyscy zwyczajni budowniczy. Może Ropuch, mimo tych drelichów i kudłów, jednak nie był zwyczajnym człowiekiem – bardziej chyba podczłowiekiem – a może wspomnienia Prestona okazały się nieścisle, bo wyglądało na to, że zmierza donikąd, a ponadto podejrzewał, że kluczy po własnych śladach.

Być może winę należy przypisać tej ranie postrzałowej, z której bez przerwy leciała krew, albo



jakości powietrza, a nie błędnym wspomnieniem lub niezdolności Ropucha do kontaktu ze swoim wewnętrznym człowiekiem pierwotnym. Czarna Dziura ciągle się zamartwiała coraz gorszą jakością powietrza na planecie, na którą katastrofalny wpływ mają grille, krowy cierpiące na wzdęcia, samochody terenowe, kostki toaletowe i, och, jakże wiele rzeczy, bardzo, bardzo wiele. Powietrze w labiryncie stało się obrzydliwsze niż atmosfera w womitorium. Prawdopodobnie było w nim więcej psychoaktywnych substancji chemicznych, niż Dziura przyjęła przez całą swoją karierę narkomanki. Dziura, stara dobra Dziura, choć maksymalnie pokrecona, czasami potrafiła powiedzieć coś z sensem. Preston był jak na haju, na papierowo-chemicznym odlocie, spotęgowanym przez skwar i ciekłą mgiełkę dymu, dzięki której te strzeżone przez drewnianych Indian katakumby nabrały charakteru palarni opium, choć zapach nie był aż tak przyjemny, i nie było posłań dla tych, którzy czuli zmęczenie po wypaleniu fajeczki, tak jak on czuł, z każdym krokiem coraz większe.

Usiłował określić, które z tych barier śmieci mogą przylegać do zewnętrznej ściany domu, ponieważ za nimi znajdowały się okna, wyjście na wolność i świeże powietrze, czy też na tyle świeże, na ile to możliwe w świecie pełnym grillów. Na nieszczęście nie potrafił skupić uwagi na tym zadaniu. W jednej chwili pochłaniało go bez reszty szukanie okna, w drugiej nagle odkrywał, że stoi w oszałamiająco skomplikowanej płataninie korytarzy, mamrocze pod nosem i pluje sobie na buty. Ślina. Obrzydliwość. Człowiek ma w sobie tyle płynów. Ohydnych płynów. Zrobiło mu się niedobrze. Było mu niedobrze... a w następnej chwili nagle wyglądał nieufnie zza rogów korytarzy, szukając nie okien, lecz przeklętych tajemniczych, podstępnych kosmitów, którzy od lat mu umykali.

Przez większą część swojego życia nie potrzebował wiary w wyższą inteligencję. Wystarczała mu własna, przewyższająca wszystko inne. Intelkt wybitnego myśliciela, filozofa i szanowanego naukowca, którego poglądy na świat ukształtowali – i mogli przekształcić – inni naukowcy, elita elit, których przydatność dla społeczeństwa (jego zdaniem i na ogół ich też) miała nieporównywalną z niczym wartość. Pięć lat temu, gdy odkrył, że niektórzy specjaliści od fizyki kwantowej i biologii molekularnej podejrzewają, iż wszechświat zdradza liczne i wręcz niezaprzeczalne ślady inteligentnego planowania, a także że ich liczba stale rośnie, jego wygodny światopogląd doznał wstrząsu, zbyt wielkiego, żeby odsunąć od siebie tę informację i nadal radośnie zabijać. Owszem, zabijał dalej, ale już nie z taką radością. Nie mógł zaakceptować hipotezy istnienia Boga, ponieważ była zbyt ograniczająca; wskrzeszała z martwych całe to dobro i zło, moralność, którą oświecona elita etyków utylitarnych zdołała już niemal całkowicie wykorzenić ze społeczeństwa. Świat stworzony przez wyższą inteligencję, która wyposażyla ludzkie życie w cel i znaczenie, był światem, w którym Preston Maddoc nie chciał istnieć, światem, który odrzucił, ponieważ on i tylko on był jedynym panem swego losu, jedynym sędzią swoich uczynków.

Na szczęście w samym środku tego kryzysu intelektualnego natknął się na wysoce użyteczne stwierdzenie Francisca Cricka, jednego z dwóch naukowców, którzy otrzymali Nagrodę Nobla za odkrycie podwójnej helisy DNA. Crick, sam przeżywający kryzys, osiągnął etap, na którym przestał wierzyć, że teorię ewolucji drogą doboru naturalnego można uznać za uzasadnioną z naukowego punktu widzenia. Życie nawet na poziomie molekularnym okazało się tak niezwykle skomplikowane, że wręcz sugerowało istnienie struktury stworzonej przez jakiś inteligentny byt, co przekonało Cricka (który także nie miał serca do tych numerów z Bogiem), że wszelkie formy życia na Ziemi – cała flora i fauna, cały ekosystem – zostały stworzone nie przez Boga, lecz obcą rasę o niewyobrażalnie zaawansowanej inteligencji i możliwościach, rasę, która stworzyła ten i inne wszechświaty.

Kosmici.

Kosmiczni stwórcy.

Tajemniczy kosmiczni stwórcy.

Jeśli ta teoria zadowoliła wymagania Francisa Cricka, laureata Nagrody Nobla, to była też całkiem w sam raz dla Prestona Klaudiusza Maddoca. Kosmiczni stwórcy mogli się tak samo nie przejmować, co ich twory robią ze swoim życiem, jak każde przygłupie dziecko z mrówczą farmą nie przejmując się, czy mrówki przestrzegają swoich owadzych praw.

Preston miał nawet teorię tłumaczącą, dlaczego obca rasa o niewyobrażalnie zaawansowanej inteligencji i możliwościach miałyby się włóczyć po wszechświecie, stwarzając światy i zasiewając na nich nieskończenie różnorodne gatunki, inteligentne i nie. Była to całkiem dobra teoria, wręcz świetna, nawet olśniewająca. Wiedział, że była olśniewająca, po prostu genialna, ale kiedy tak stał, plując na buty, nie potrafił jej sobie przypomnieć, ani jednego słowa.

On pluje na buty? Obrzydliwość.

Nie powinien tu tak stać i pluć na buty, skoro jeszcze nie znalazł okna. Okna w każdym domu na świecie są umieszczone zgodnie z pewnym klasycznym schematem, sięgającym epoki kamienia łupanego i zakorzenionym w pamięci ludzkiego gatunku, więc można je znaleźć nawet w tej dziwacznej i krętej palarni opium.

Okna. Ukryte okna. Znaleźć ukryte tajemnicze okno. Najprawdopodobniej stoi za nim jakiś kosmita z szerokim uśmiechem na tej swojej stworzycielskiej gębie.

Ale on się na nich poznał. Wiedział, o co im chodzi. Perwersyjna banda niewyobrażalnie inteligentnych i dysponujących ogromnymi możliwościami starych przyków.

Jego teoria – tak, teraz ją sobie przypominał – jego olśniewająca teoria zakładała, że kosmici tworzą światy i zasiewają na nich życie, ponieważ nakreśla ich cierpienie stworzonych przez siebie gatunków. Niekoniecznie w tym sensie, że ich podnieca. Ta teoria jest genialna, nie obleśna. Ale tworzą nas, żebyśmy umierali, umierali dziesiątkami miliardów przez setki lat, ponieważ nasza śmierć coś dla nich znaczy, daje im coś ważnego. Może jest to jakaś energia, która wyzwala się, gdy ktoś umiera, energia, której człowiek nie potrafi wykrzyć, a która zasila ich statki kosmiczne i tostery albo którą pobierają sami kosmici, żeby zapewnić sobie życie wieczne. Och, to najwspanialszy utilitarianie, etyczni w każdym calu, stworzyli nas na swoje potrzeby i zużywają wszystkich, nikogo nie marnują.

Ustąp miejsca, Francisie Cricku. Ustąp miejsca, wszyscy wy niewydarzeni nobliści. Akademia oddałaby mu nie tylko tę tak pożądaną nagrodę, ale całą Szwecję, gdyby potrafił udowodnić swoją teorię.

Szukając jej potwierdzenia, przez ostatnie cztery i pół roku miotał się po całym kraju, od jednego miejsca kontaktu z UFO do następnego, wysłuchiwał bełkotu porwanych przez Obcych, od zabitych dechami wioch w Arkansas po Seattle, od majestatycznych gór po żyzne równiny, pragnąc, by i jego porwali i dali mu szansę zaprezentowania swojej teorii samym niewyobrażalnie inteligentnym stwórcyom w drelichowych ogrodniczkach i słomkowych kapeluszach, i to dlatego przyjechał do Nun's Lake, gdzie znowu spotkało go rozczarowanie i teraz pozostało mu tylko szukać okna i pluć sobie na nogi.

Pluć na nogi? Co za odrażająca czynność. Mało brakuje, a posika się w gacie. Może już się posikał.

A jednak mimo całej swej wybredności nie mógł zaprzeczyć: znalazł się w przedziwnym zakątku przedziwnego miejsca, nieustannie i energicznie spluwając na własne nogi wielkimi gruzłami obrzydliwej czarnej flegmy. Wrzeszczał także do samego siebie na temat własnej teorii. Poczł się upokorzony, słysząc, że zachowuje się jak bezdomny pijak, jednak nie mógł zamilknąć, ponieważ należy sobie uświadomić, że jego praca polega na dogłębnej intelektualnej analizie i filozoficznych przemyśleniach. I to właśnie robił. Tym się zajmował. Analizą, przemyśleniami, zabijaniem. Mógł się ewentualnie

wstydić tylko tego, że głośno mówi do samego siebie... ale raptem zdał sobie sprawę, że jednak nie jest sam.

Miał towarzystwo.

Kłęby dymu cofnęły się jak szary odpływ, powietrze przy nim oczyściło się i w tej nagłej klarowności pojawił się gość o nadzwyczajnej powierzchowności. Był mniej więcej rozmiarów Ręki, ale to nie była Ręka, to nie było nic znanego Prestonowi czy chociażby coś, czego istnienie przeczuwał. Jakby kotowate, ale nie kot. Jakby psowate, ale nie pies. Pokryte lśniącem białym futrem, gładkim jak gronostajowe, ale przypominającym też pióra, tak, z całą pewnością było to futro i pióra – a jednocześnie żadne z nich. Okrągłe i złociste oczy, wielkie jak spodki, przejrzyste i lśniące oczy mimo swego piękna obudziły w nim lęk, choć wiedział, że gość nie zrobi mu krzywdy.

Preston nie zdziwił się, kiedy zjawisko przemówiło, choć jego głos – głos chłopca, tak melodyjny, że mógłby śpiewać w wiedeńskim chórze – nie brzmiał tak, jak się spodziewał. Zjawisko chyba słuchało jego wrzasków, bo powiedziało:

– Jeden błąd w teorii. Jeśli niewyobrażalnie inteligentni kosmici stworzyli ten świat i wszystko, co się w nim znajduje – kto stworzył kosmitów?

Odpowiedź znalazła się poza zasięgiem Prestona; nie wydusił z siebie nic prócz następnego kleistego gruzła czarnej flegmy.

Szary przypływ znowu go zagarnął, a przybysz wycofał się w mrok, rozpląnął się w białym mżeniu, odszedł. Preston poczuł, że utracił coś niewyobrażalnego.

To zjawisko było oczywiście wytworem jego wyobraźni, zrodzonym z powodu utraty krwi i wchłaniania toksycznych wyziewów. Wytwory na ogół nie mówią. Ten mówił, choć Preston nie pamiętał co.

Ogień świecił słabiej, bo zasłoniła go gęstniejąca mgła. Najwyraźniej w tej starej palarni opium wypalono za wiele fajek.

Z dalekiego krańca nadszedł dziwny dźwięk, przeciągłe łuuuuup. I znowu: łuuuuup. I po raz trzeci: łuuuuup. Jakby gigantyczne kostki domina spadały na siebie w zwolnionym tempie. Złowrogo.

Czuł, że zbliża się śmierć. Fala. Nagle czerń, absolutna. I brak tlenu, tylko sadza, której miał w płucach już chyba kilogram.

Preston Maddoc krzyknął w czarną poduszkę, krzyknął ze strachu, bo zrozumiał, że teraz on musi dostarczyć nieco paliwa statkowi kosmicznemu.

ŁUUUUUP...

Noah, ostatni w pochodzie zmierzającym na tyły domu, w stronę ognia, którego nie powinno tam być, obejrzał się z niepokojem tam, gdzie zwęglone strony gazet dryfowały jak płaszczyki, gdzie pływały ławice świecących rybek, ujrzał, że zawieszona w bezruchu fala tsunami właśnie spada na labirynt i krzyknął tak jak wtedy, przed laty, gdy ciocia Lilly do niego strzeliła.

Łuuuuup...

Ściany labiryntu runęły, sterty związanych gazet i innych śmieci przewróciły się na pobliskie ściany, a te na następne.

Łuuuuup...

Przy trzecim łupnięciu podłoga się zatrzęsła, co oznaczało, że na tym na razie się skończy, ale fala tsunami zbliżała się coraz bardziej, pędziła ku nim, dławiący przypływ dymu, tak gęsty, że stłumił głos nadal szalejącego pożaru.

– Padnij! – wrzasnął Noah.

Nie mogli przed tym uciec. Mogli tylko paść na podłogę, przycisnąć twarze do zniszczonej podłogi i mieć nadzieję, że pod czarną chmurą ostał, się choć centymetr czystego powietrza.

Teraz, już. O Boże. Ciemno jak w grobie albo krypcie. I tylko resztkę powietrza, nawet tuż przy podłodze. Potem coraz mniej i bardziej kwaśne. A potem wcale, a potem... Czarna fala odpłynęła, ustąpiła, a wokół nich utworzyła się zadziwiająca bańka powietrza, słodkiego jak w pierwotnym lesie, bez najmniejszego śladu dymu. Tsunami nadal na nich pędziło, nad nimi, poza nimi, oszczędzając to niewiarygodne schronienie, to oko spokoju w chaosie.

A potem z osłepiającej masy wyszło stworzenie tak przejmującej urody, że Noah padłby na jego widok na kolana, gdyby już nie leżał na podłodze. Białe jak świeży śnieg w dziewiczej głuszy, jakby szalejące wokół sadze nie miały na nie wpływu. Ogromne jaśniejące złotem oczy, które powinny go przerazić przez samą swoją osobliwość i przenikliwość spojrzenia, nie obudziły w nim strachu, lecz spokój. Przejęła go upokarzająca świadomość, że przybysz ujrzał go takiego, jakiego nikt go dotąd nie oglądał, spojrział w najtajniejsze miejsca jego serca i nie poczuł odrazy na widok tego, co tam znalazł. Nie czuł strachu, tylko pewne onieśmienie na widok cudu; zamiast przerażenia wybuchła w nim radość, jakiej nigdy przedtem w sobie nie czuł, tak jakby przez wiele lat nosił w piersi uwięzione życie, które teraz zerwało się z uwięzi.

Podniósł się powoli, spojrział pytająco na Cass... Micky... Leilani. One czuły to samo co on. Była to magiczna chwila, taka jak wtedy, gdy nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się biała gołębnica, ale skrzydła należały do Noaha i były skrzydłami uniesienia.

Urocza istota pojawiła się, stąpając jak lampart, lecz teraz się wyprostowała i stanęła wyprostowana, tylko trochę przerastała Leilani, do której podeszła i odezwała się, niewiarygodne, głosem chłopca. Właściwie był to chyba głos Curtisa Hammonda.

– Nadal świecisz, Leilani Klonk.

– Ty też – powiedziała dziewczynka.

– Nie możesz być zepsuta.

– Taka się urodziłam.

– Ale nie w sercu.

Z oczu dziewczynki popłynęły łzy; Noah, a także Micky i Cass zbliżyli się do niej. Noah nie rozumiał, co się tu dzieje, nie pojmował, jak to możliwe, że ta magiczna istota i Curtis Hammond to jedno i to samo, ale od dawna przyginające go do ziemi jarzmo rozpaczki uniosło się i przez jedną chwilę nie musiał rozumieć nic poza tym, że świat nigdy nie będzie już dla niego taki jak kiedyś. Dotknął ramienia Leilani, Cass dotknęła jego ramienia, a Micky ujęła powykęcianą rękę dziewczynki.

Złociste oczy spojrzwały na nich kolejno, po czym znowu wróciły do Leilani.

– Nie w sercu – powtórzyło zjawisko. – Cierpienie cię nie złamie. Zło cię nie zmieni. Dokonasz wielkich rzeczy, Leilani Klonk, wielkich i cudownych. I wcale ci nie wciskam kitu.

Leilani roześmiała się przez łzy. Odwróciła wzrok od swojego wybawiciela jakby zawstydzona tym, co usłyszała, spojrziała, mrugając, na morze sadzy i wyziewów, kłębiących się ponad ich ochronną bańką i powiedziała:

– Hej, bracie, niezłą sztuczkę zrobiłeś z tym dymem.

– Dym to tylko cząsteczki materii. Na poziomie mikro, gdzie wola jest silniejsza, potrafię przesunąć niektóre cząsteczki. Tutaj jest ich mniej niż w zasuwie. To jedynie taka sztuczka. Tak naprawdę znam tylko trzy i wszystkie są proste, ale użyteczne.

– Jesteś lepszy od Batmana – mówi Leilani. Zjawisko ma uśmiech równie olśniewający jak oczy.

– Jejku, dzięki. Ale to bardzo energetyczna sztuczka, zużywa mnóstwo parówek i *mu mu sam pan*, więc lepiej się stąd zbierajmy.

Przez zawieruchę dymu i ognia suną w czystym krystalicznym powietrzu, podążając za krwawymi śladami, którymi Noah znaczył drogę.

Długimi krętymi korytarzami do kuchni, przez kolekcję pustych butelek...

Zapierające dech w piersiach szare niebo, przepiękny kolor wypolerowanego i pokrytego patyną srebra. Deszcz padający z mniejszą siłą niż w chwili, gdy weszli do domu, deszcz, jakiego Noah nie widział nigdy przedtem – czysty, świeży, upajający.

Na podwórku czekała na nich Poiły z przemoczonym ubraniem i butami Curtisa Hammonda. Ociekająca wodą, zabłocona, uśmiechała się jak święty szaleniec, niezdarzący sobie sprawy z burzy.

Złotookie zjawisko, pełne gracji jak płynąca woda, z białym futrem, na którym deszcz nie zostawiał śladów, podeszło do Poiły, odebrało od niej chłopiące ubranie i odwróciło się do zebranych. Patrzyło na nich tak długo, aż pojęli aluzję i jednocześnie odwrócili się do niego dyskretnie plecami. Przez chwilę stali w milczeniu, nadal oszołomieni, usiłując przyswoić sobie ogrom tego doświadczenia – a potem Leilani zachichotała. Jej śmiech zaraził bliźniaczki, Micky i nawet Noaha.

– Z czego się śmiejecie? – spytało zjawisko.,

– Już cię widzieliśmy nago – powiedziała Leilani pomiędzy chichotami.

– Nie, tylko kiedy jestem Curtisem Hammondem.

- Zawsze to miło wiedzieć – mruknęła Leilani – że nie jesteś jakimś obleśnym ratującym świat kosmitą, który koniecznie musi wszystkim pokazywać siedzenie.

-

Gdy opuszczają farmę Teelroya w dwóch samochodach, spod okapu dachu sączą się tylko wątle smużki dymu. Dopiero potem szalejąca wewnątrz burza ogniowa zaczyna wybijać okna, a na zewnątrz wystrzeliwiają wielkie czarne fontanny.

Docierają do jezdni i ruszają w stronę Nun's Lakę. Po drodze nie mijają ich ani jeden samochód.

Porzucając ludzkie przebranie, a potem do niego wracając, osierocony chłopiec odzyskał swoje pierwotny biologiczny sygnał, po którym łatwo go było wytropić w ciągu tych pierwszych pełnych przygód dnia bycia Curtisem Hammondem. Przez jakiś czas, jeśli pojawią się tu gorsze huncwoty, łatwo wykryją jego wyjątkowy sygnał energetyczny.

Natychmiast po powrocie do domu na kółkach muszą zwinąć obozowisko i ruszać w drogę, być w ciągłym ruchu. Ruch to zamieszanie i tak dalej, ale żał mu wyjechać z Nun's Lakę, ponieważ nie zobaczył żadnych zakonnicy, ślizgających się na nartach wodnych czy ścigających się motorówkami. Może kiedy świat zostanie uratowany, wrócić tu, a wtedy zakonnice będą miały lepszy humor i więcej ochoty do rekreacji.

Wygląda przez tylne okno camaro, żeby się upewnić, że Poiły i Cass nadal jadą za nimi w wynajętym samochodzie Noaha. Tak, Poiły siedzi za kierownicą, a Cass obok niej. Bez wątplenia torebki leżą obok nich, otwarte, żeby można było do nich sięgnąć.

Gdyby utracił bliźniaczki, jego bajeczne siostry, byłby to cios w samo serce, nie do zniesienia, dlatego nie może ich utracić. Nigdy. Za dużo już tych strat. Micky siedzi za kierownicą camaro, Noah obok niej. Leilani siedzi z tyłu z Curtisem, pomiędzy nimi leży Stary Rudzielec. Śpi, wyczerpana po pełnym wrażeń dniu.

Jadą w milczeniu, każde pochłonięte własnymi myślami, co jest dla Curtisa zupełnie zrozumiałe.

Czasami kontakty towarzyskie przychodzą bez trudu, czasami z trudem, a czasami po prostu należy milczeć.

Kiedy docierają do kempingu, deszcz już nie pada. Opłukane sosny mają urzekająco zielony kolor, piękne konary są obwieszane brylantami, nasycone wodą pnie i gałęzie w kolorze gorzkiej czekolady dają schronienie ptakom śpiewającym i ciekawskim wiewiórkom. Jest to zachwycający świat i osierocony chłopiec kocha go z całego serca.

W drodze do pojazdu bliźniaczkę muszą minąć autobus Prestona; w pobliżu samochodu, w którym Leilani była uwięziona, Curtis dostrzega karetkę pogotowia i radiowóz. Obracające się, przymocowane do dachów światła nie mogą spłoszyć piękna górujących nad nimi drzew, lecz przypominają mu, że ten świat, aczkolwiek nadzwyczajny, jest pogrążony w chaosie i daleko mu do spokoju.

Umundurowany policjant daje Micky znak, żeby jechała dalej, nie zatrzymywała się przy nich.

Ambulans stoi gotowy do drogi, z otwartymi drzwiami z tyłu.

Dwaj sanitariusze toczą nosze po naoliwionej ścieżce, przez kałuże.

Na noszach spoczywa kobieta. Curtis widzi ją po raz pierwszy, ale wie kto to.

Dla własnego bezpieczeństwa i chyba także dla bezpieczeństwa tych, którzy przybyli jej na ratunek, matka Leilani została przypięta pasami. Miota się w więzach, natęża się z furją, żeby je zerwać, dziko szarpie głową, przeklina sanitariuszy, przeklina gapiów, krzyczy w niebo.

Leilani odwraca wzrok, spuszcza głowę i patrzy na swoje złożone na kolanach dłonie.

Scena przy autobusie nie obudziła śpiącej na siedzeniu pomiędzy nimi siostrzyczki. Jej mokry bok podnosi się i opada w rytm powolnego oddechu.

Camaro mija ambulans, a Curtis sięga po zdeformowaną dłoń dziewczynki i unosi ją z jej kolan.

Leilani spogląda na niego oczami pociemniałymi z rozpacz. – Cśśś – szepcze on, delikatnie kładzie jej dłoń na śpiącej psinie i przykrywa ją własną ręką.

Na każdej planecie istnieje odpowiednik psa, stworzenia czerpiącego siłę z towarzystwa innych, stworzenia o wysokim, choć nie najwyższym poziomie inteligencji, wskutek czego jest odpowiednio nieskomplikowane w swoich pragnieniach i potrzebach, by zachować niewinność. Dzięki połączeniu niewinności i inteligencji może służyć jako łącznik pomiędzy tym, co przemijające, a tym, co wieczne, pomiędzy skończonym i nieskończonym.

Pierwszą z trzech prostych sztuczek Curtisa jest umiejętność działania siłą woli na poziomie mikro, gdzie wola zwycięża. Drugą jest urocza umiejętność nawiązywania więzi psio-chołpięcej. Trzecia to umiejętność nauczenia drugiej sztuczki wszystkich napotkanych osób, i właśnie dzięki tej trzeciej sztuczce Curtis potrafi ratować światy.

– Cśśś – powtarza, a oczy Leilani robią się wielkie, bo zabrał ją wraz z sobą w psie sny.

Na tych, którzy rozpaczają, że ich życie nie ma znaczenia i celu, na tych, którzy żyją w samotności tak strasznej, że upośledziła ich serca, na tych, którzy nienawidzą, bo nie rozumieją swego przeznaczenia, wspólnego dla całej ludzkości, na tych, którzy trwonią swe życie na uzalanie się nad sobą i autodestrukcyję, ponieważ stracili ocalającą mądrość, z którą się urodzili, na nich wszystkich i wielu więcej czeka nadzieja, ukryta w psich snach, gdzie święta natura życia jest widoczna na pierwszy rzut oka, ponieważ nie zasłania jej filtr ludzkich żądz, potrzeb, chciwości, zazdrości i bezdennego strachu. I to właśnie tutaj, w wysnionych lasach i polach, na plażach wysnionych mórz, z potężną świadomością istnienia żartobliwej Obecności Curtisa może udowodnić Leilani to, o czym do tej pory zaledwie odważała się marzyć: że choć matka nigdy jej nie kochała, jest Ktoś, kto ją kocha od zawsze.

Stary Rudzielec wpada przez otwarte podwójne drzwi gabinetu, niesie w zębach kolorową szmacianą zabawkę. Tuż za nią pędzi para golden retrieverów, Rosencrantz i Guildenstern, w skrócie Rosie i Jilly.

W tym to gabinecie Constance Veronica Tavenall, wkrótce była małżonka kongresmana Jonathana Sharmera, siedzi za wspaniałym biurkiem w stylu chippendale z chińskimi motywami. Wypisuje czeki.

Ta pani przypomina Curtisowi Grace Kelly w filmach takich jak „Złodziej w hotelu”. Potrafi połączyć urok z godnością, królewską postawę z ciepłem i wdziękiem łabędzia. Nie jest tak gigantyczna, majestatyczna i fantastyczna jak Donella, kelnerka z zajazdu dla ciężarówek, ale drugiej takiej to w ogóle nie ma.

Noah pochyla się, żeby podnieść karty z podłogi, ale pani Tavenall mówi:

– Nie, nie. Proszę je tak zostawić. Jeszcze chwilę.

Wcześniej, działając pod wpływem Curtisa, jego siostrzyczka wybrała z potasowanej talii wszystkie kiery. Nosem i łapami ułożyła je od dwójki do asa.

Rosie wycofuje się w głąb korytarza, ku drzwiom gabinetu, ciągnąc z drugiej strony za zabawkę – zrobioną ze splecionych czerwonych i żółtych sznurków, z obu stron zakończoną wielkim węzłem i frędzlem – i wlecze za sobą psinę, uwieszoną drugiego końca zabawki. Oba psy warczą i usiłują wyrwać sobie zdobycz, ale ich ogony merdają.

Pani Tavenall wrywa czek i przesuwając go po blacie w stronę Curtisa. Jej charakter pisma jest precyzyjny i przyjemny dla oka jak wzór do kaligrafii.

Curtis odczytuje liczbę na czeku i gwizdże cicho.

– O Boże, na pewno panią na to stać?

– To na dwa mieszkalne pojazdy – mówi ona. – Powinny być najlepsze z najlepszych, bo będziecie w nich spędzać mnóstwo czasu.

Pierwszy będzie dla Micky, Leilani i cioci Gen. Drugi dla Noaha, Curtisa i Richarda, któremu Curtis jeszcze nie został przedstawiony.

Poiły i Cass już mają swój pojazd, dzięki hollywoodzkim rozwodom, o które wystąpiły, gdy ich mężowie-produccenci, Julian i Don Flackbergowie, zamordowali scenarzystę. Bracia Flackbergowie, osławieni furia, rządzą swoimi pracownikami strachem i terrorem – choć nigdy nie wpadali w furie przy gwiazdach filmowych, krytykach i bliźniaczkach. Cass twierdzi, że bracia zawsze byli kochani dla niej i Poiły i nawet Poiły przyznaje, że w domu stawali się misiaczkami. Julian i Don jeszcze nigdy nie zabili żadnego scenarzysty, a w tym wypadku uciekli się do przemocy tylko dlatego, że scenarzysta wygrał z nimi proces o zerwanie kontraktu. W swojej karierze zerwali miliony kontraktów, zawsze bezkarnie, dlatego w sądzie ze łzami w oczach domagali się uznania ich za chwilowo niepočetalnych z powodu szoku, gdyż cały znany im świat stanął na głowie.

Curtis zaczyna się zastanawiać, czy ratowania świata nie trzeba by zacząć od Hollywoodu.

W drzwiach Stary Rudzielec odzyskuje siły i wlecze Rosiego razem z zabawką na korytarz. Kontrakt, jaki ze sobą zawarli, opiewa na zabawę w zamian za zabawę i żadne z nich nie zamierza go zerwać.

Teraz przez kilka tygodni Curtis ze swoją nową rodziną będzie w ciągłym ruchu, dopóki nie stanie się w pełni Curtisem, jakim chce być, dopóki pozaziemscy wrogowie – oraz, być może, FBI – nie będą go mogli zidentyfikować na podstawie wyjątkowego biologiczno-energetycznego sygnału.

Gorsze huncwoty będą go nadal szukać, choć już za pomocą mniej skutecznych środków. Od jakiegoś czasu działają już na tej planecie i nie spodoba się im ingerencja w ich plany, stanowiące

przeciwieństwo tych, których przeprowadzenie wzięła na siebie matka Curtisa, a teraz on sam. Walka się rozpoczęła.

Curtis, jego cztery nowe siostry, jego ciocia Gen, jego brat Noah, jego brat Richard, któremu jeszcze nie został przedstawiony, oraz jego siostrzyczka staną się na długi czas cyganami, ponieważ nawet wtedy, gdy jego sygnał będzie już nieczytelny dla skanerów, i tak będzie bezpieczniej, jeśli pozostanie w ciągłym ruchu, działając w sekrecie. Poza tym jego misja wymaga częstych podróży; nie można uratować świata na odległość, siedząc w biurze w Cleveland.

Od czasu do czasu, niezbyt często, lecz regularnie, gdy przekazuje dar psich snów, spotyka ludzi, którzy przejąwszy od niego moc, potrafią przekazywać ją innym. Wtedy ruszają w swoją drogę, dzieląc się darem z innymi na całym świecie, na najwyższych szczytach i w najniższych dolinach wszystkich kontynentów.

Pierwszą taką osobą jest Leilani. Jeszcze przez wiele lat nie będzie działać na własną rękę, ale jej czas nadejdzie. Ona świeci.

Pani Tavenall przesuwa po blacie kolejne czeki i tym razem to Noah gwizdże.

– Zadatowałam je w miesięcznych odstępach – mówi pani Tavenall. – Realizujcie je na bieżące potrzeby. Zerka na komputer na swoim biurku i uśmiecha się do siebie.

Curtis nie widzi ze swojego miejsca ekranu, ale wie, co na nim jest. Po sztuczce z kartami psina, która siedzi na krześle, trzymając patyczek w zębach, wystukała na klawiaturze pod kierunkiem Curtisa: JESTEM GRZECZNĄ PSINKĄ. MAM PLAN, ALE POTRZEBUJĘ DOTACJI.

– Zanim wykorzystacie te czeki – mówi pani Tavenall – długoterminowy plan dotacyjny będzie już gotowy

– Nie wiem, jak pani dziękować – odpowiada Noah.

– To ja jestem panu winna podziękowanie – protestuje pani Tavenall. – Już drugi raz zmienia pan moje życie... tym razem w sposób, o jakim nawet nie śmiałam marzyć.

Jej oczy wypełniają się tymi pięknymi ludzkimi łzami, które nie wyrażają bólu ani smutku, lecz radość. Pani Tavenall ociera oczy i policzki, po czym wydmuchuje nos w papierową chusteczkę.

Curtis ma nadzieję na takie śmieszne trąbienie, jakie wydaje Meg Ryan w „Kiedy Harry poznał Sally”, ale pani Tavenall załatwia to prawie bez żadnego dźwięku. Jest bardzo delikatna, wyrafinowana. Ciekawe, czy dobrze by wpłynęło na ich stosunki towarzyskie, gdyby poprosił o chusteczkę i zatrąbił w nią dla zabawy.

Zanim udaje mu się rozwiązać to niełatwe zagadnienie, pani Tavenall wyrzuca chusteczkę do kosza, wstaje, opanowuje łzy najlepiej, jak potrafi, i mówi do Noaha:

– To drugie może być trudniejsze. Nie chodzi tu o coś tak prostego, jak wypisanie czeku.

– Jego ciotka i wuj mają nad nim opiekę prawną – mówi Noah – ale jestem całkiem pewien, że zechcą z niej zrezygnować. Po śmierci rodziców odesłali go do domu opieki i nigdy go nie odwiedzają. Wstydzą się go. Myślę, że to kwestia głównie... finansowa.

– Dranie – rzuca pani Tavenall.

Curtis jest do pewnego stopnia wstrząśnięty, bo do tej pory sądził, że pani Tavenall jest zbyt wielką damą, by znać takie słowa.

– No cóż – ciągnie pani Tavenall. – Mam dobrych prawników. I może uda mi się nieco zaczarować tych ludzi.

– Nieco? – wykrzykuje Curtis z przejęciem. – Och, niech mnie pani nazwie wieprzkiem, zarżnie i przerobi na bekon, pani by ich mogła zamienić w żaby, gdyby tylko pani chciała! Pani Tavenall



wybuchu śmiechem, choć ma trochę dziwny wyraz twarzy. Mówi mu, że jest kochany, a on właśnie zamierza odpowiedzieć, że nigdy nie był małym wrednym niewdzięcznym bezczelnym gnojkiem, za którego mają go niektórzy, gdy Jilly wpada do gabinetu z jakąś białą szmatą w zębach, a za nim Rosie i Stary Rudzielec.

Jilly najwyraźniej został pominięty w zabawie w przeciąganie liny. Znalazł tę szmatę i zdołał przekonać swoich kumpli, że to o wiele fajniejsza zabawka. Teraz wszyscy muszą ją mieć, muszą, muszą, muszą, muszą.

– Jilly, chodź! – woła pani Tavenall i Jilly natychmiast reaguje, podchodzi do swojej pani, niemal omdlewając ze szczęścia. – Oddaj to, ty nieszczęsny kundlu.

Trzy psy, pozbawione obiektu swojego pożądania, padają na dywan, zdyszane, uśmiechając się do siebie.

– Ponieważ kongresman okazał się tym, kim się okazał – wyjaśnia Noahowi pani Tavenall – postanowiłam wyrzucić wiele rzeczy z tego domu. Nie chcę żadnych pamiątek. Jilly zabrał to chyba ze śmietnika.

Szmatą nie jest więc szmata, lecz podkoszulkiem. Widnieją na nim jakieś słowa i wykrzyknik. Kropka w wykrzykniku wygląda jak małe zielone serduszko.

Curtis odczytuje słowa z podkoszulka i przypomina sobie mężczyznę, któremu Stary Rudzielec ukradła sandał na między stanowej autostradzie:

– Odpowiedzią jest miłość.

– To chyba prawda – mówi pani Tavenall – nawet jeśli głoszą ją ludzie, którzy w nią nie wierzą.

Curtis Hammond wstaje z krzesła i kręci głową.

Nie, proszę pani. Jeśli mówimy o Odpowiedzi, to nie. Ta Odpowiedź, którą mam na myśli, cały ten wielki przekładaniec, jest o wiele bardziej skomplikowana. Sama miłość to łatwa odpowiedź, a łatwe odpowiedzi na ogół są tym, co doprowadza świat do zagłady. Miłość także jest częścią Odpowiedzi, naturalnie, ale tylko częścią. Inną częścią jest nadzieja, odwaga, dobroć, śmiech i prawdziwe widzenie wszystkiego, na przykład, jak wyglądają zielone sosny po deszczu i jak zachodzące słońce zmienia prerię w złote roztopione szkło. Ta odpowiedź jest tak długa, że nie zmieściłaby się na podkoszulku.

-

Czas upływa jak to czas i pewnego popołudnia pod koniec lata karawana zatrzymuje się na kempingu w pobliżu leniwie płynącej rzeki, gdzie na szemrzącej wodzie kładzie się koronkowy cień gałęzi wierzbowych.

Zbliża się pora kolacji, toteż wyładowują koce, ładują do koszyków pyszności i wynoszą liczne psie zabawki na trawiaste zbocze, gdzie śpiewają żaby, a motyle tańczą w słońcu koloru starego brązu.

Poiły przyprowadza Dianę, piękną czarną labradorkę. Cass ma Apolla, przystojnego żółtego labradora.

A otóż i Noah z wielkim starym, przygłupim kundlem o imieniu Norman, a także cocker spanielka Biedronka, która jest siostrzyczką Richarda Velnoda, zwanego też Ricksterem.

Ciocia Gen, Micky i Leilani zjawiają się w towarzystwie Larry'ego, Curly'ego i Moe. Te golden retrievery to suczki, ale ciocia Gen wybrała im takie imiona, i już.

Larry, Curly i Moe zjawiły się u nich z organizacji ratującej golden retrievery. Niegdyś były źle traktowane, zanedbywane, porzucone, ale teraz są szczęśliwe, mają lśniąca sierść, merdające ogony i rozumne oczy.

Pozostałe psy zostały znalezione w schroniskach; ich przeszłość także wypełniło cierpienie, choć nikt

by się tego nie domyślił, widząc, jak biegają za piłeczkami, skaczą za frisbee i wiercą się wiercą-wiercą na grzbietach w trawie, z czterema łapami zadartymi w górę, w absolutnie radosnym hołdzie dla żartobliwej Obecności.

Curtis ma oczywiście swoją siostrzyczkę. I choć wszystkie te psy mogłyby opowiedzieć fascynujące historie – gdyby umiały mówić – opowieść Starego Rudzielca na pewno jest i chyba już zawsze będzie najbardziej fascynująca.

Są także zabawy bez udziału psów, choć Leilani nalega, żeby nie było żadnych wyścigów. Rickster i Curtis grają parę rund „Kto jest Gumpem?“, zabawy swojego autorstwa. Polega ona na tym, żeby wyjawić akt najwyższej głupoty w swoim życiu. Wygrywa ten, który – w ocenie osoby trzeciej – popełnił największy idiotyzm. Czasami w „Kto jest Gumpem?“ grają Leilani i Curtis, a Rickster sędziuje. Czasami grają Micky i Curtis, a sędzią jest ciocia Gen. Wszyscy lubią tę grę, ale rzadko grają ze sobą, wszyscy chcą się zmierzyć z Curtisem. Rickstera, który jest nie tylko uczestnikiem, lecz i współwynałazcą gry, fascynuje to, że Curtis przeważnie wygrywa, chociaż jest kosmitą, otrzymał potężny ładunek informacji w bezpośrednim przelewie do mózgu i bez wątpienia jest mądrzejszy od nich wszystkich. I tak oto pod wierzbami na brzegu rzeki, po kolacji, gdy zapada już zmrok, gdy motyle udają się na spoczynek, a świetliki zastępują je na nocnej zmianie, rodzina gromadzi się przy ognisku, by opowiadać o swoim życiu, tak jak prawie każdej nocy, bo każde z nich widziało i przeżyło co innego niż inni. Na tym także polega gra w „Kto jest Gumpem?“ – żeby się lepiej poznać. Mama Curtisa często mawiała, że im lepiej znasz innych, tym lepiej poznajesz siebie, a dzieląc się doświadczeniami z innymi, uczymy się mądrości świata. I co jeszcze ważniejsze, dzieląc się doświadczeniami, dowiadujemy się, że życie każdej istoty jest wyjątkowe i bezcenne, że nikt nie jest zbędny, a z tą świadomością zyskujemy inną pokorną – że musimy dobrze wykorzystać życie, przeżyć je z wdziękiem i dziękować za możliwość oddychania.

Curtis okropnie tęskni za mamą; jej odejście zostawiło mu pustkę w sercu, która nie zagoi się do końca życia, ale zawsze będzie mu towarzyszyć jej wspomnienie. Kiedy życie się skończy i znowu się spotkają... och, Boże, dopiero będą się mieli czym dzielić!

Dziś wieczorem mówi ciocia Gen, w świetle ognia wyglądająca jak młodziutka dziewczyna. Przy innych okazjach opowiedziała już o życiu z ukochanym mężem, który nie żyje od dziewiętnastu lat, ale dziś wyjawia dzieje swojego dzieciństwa, gdy mieszkała nad rzeką całkiem podobną do tej cienistej, osrebrzonej światłem księżyca wody, chlupoczącej obok w ciemnościach. Jej opowieść jest dość dramatyczna, występuje w niej zły ojczym, kaznodzieja, który zabił jej matkę i usiłował również zabić ją i jej brata, żeby zagarnąć ich spadek. Prawie wszyscy zebrani orientują się po chwili, że nie jest to historia cioci Gen, tylko ogólne zarysy akcji „Nocy myśliwego” z Robertem Mitchumem w roli głównej. Nikt jej tego nie wypomina, bo ciocia Gen opowiada bardzo dobrze i z uczuciem. Z czasem i ona zdaje sobie sprawę, że to wpływ postrzału w głowę, w oku błyska jej przebiegłość i zamiast się poprawić, zaczyna wzbogacać opowieść elementami „Zaklinacza deszczu” z Burtem Lancasterem, a także postaciami oraz zwrotami akcji z „Gliniarza w przedszkolu” z Arnoldem Schwarzeneggerem. Wszyscy świetnie się bawią.

Śmiech oraz obecność tak wielu wspaniałych psów nieodmiennie przyciąga gości, którzy także obozują na kempingu. Wybawione za wszystkie czasy psy zasypiają. Choć rodzina w tej chwili nie pracuje, nikt by sobie nie darował takiej okazji, by przekazać Dar. I zanim wszyscy udadzą się na spoczynek – długo po północy – przy ognisku siedzi już siedem nowych postaci, i pojawiają się łyzy, choć to tylko łyzy radości, a życie siedmiu osób zmienia się na zawsze, ale tylko na lepsze.

Przybyszom, którzy zajrzeli już w psie sny, Micky prezentuje zagadkę, której nauczyła się od cioci

Gen. Co znajdziesz za ostatnimi drzwiami przed niebem?

Do tej pory tylko Curtis udzielił właściwej odpowiedzi przy pierwszym podejściu. Tego wieczora siedmioro przybyszów rozpracowuje z wysiłkiem zagadkę, ale nikt nie wygrywa cygara.

Leilani wyjawia im odpowiedź Genevy; wszyscy członkowie rodziny znają na pamięć każde słowo:

– Jeśli masz zamknięte serce, nie znajdziesz za tymi drzwiami nic, co by ci oświetliło drogę. Ale jeśli twoje serce jest otwarte, znajdziesz tam ludzi, którzy szukają, tak jak ty, i razem odnajdziecie właściwe drzwi. Nikt z nas nie może się uratować o własnych siłach; wszyscy jesteśmy narzędziami cudzego zbawienia i tylko dzięki nadziei, którą dajemy innym, możemy wynieść się ponad ciemności w światło.

Czas upływa jak to czas, ognisko zmienia się w stertę żarzących się węgli. Ludzie i psy wracają do domu, do łóżek.

Ostatnie – oprócz Curtisa – odchodzą Micky i Leilani. Larry, Curly i Moe poszły do domu z cicią Gen. Kemping znajduje się jakieś dwieście metrów od miejsca, w którym wolno palić ognisko; Micky oświetla drogę trzymaną wysoko latarnią. Dziewczynka i kobieta trzymają się za ręce i idą w mrok, w którym nie kryje się żadne zagrożenie. Pomruk ich głosów i cichy śmiech niesie się ku niemu z daleka, jedyna muzyka, jakiej nam potrzeba. Gdyby to był film i gdyby Curtis był reżyserem, tak by sobie wyobrażał scenę finałową: kobieta i dziewczynka, które uratowały się nawzajem, oddalają się od kamery w stronę przyszłości, którą wspólnie odkupiły. A tytuł brzmiałby „Odkupienie”. Z 9658 i jeszcze trochę obejrzanych filmów dowiedział się, że w tej ostatniej scenie ich odejścia powinno nastąpić ściemnienie, ale to jest życie, nie film, i Micky ani Leilani nie będą ciemnieć, tylko żyć wiecznie.

Curtis zostaje, żeby zgasić żar wodą z rzeki i rozrzucić popiół, choć nie robi tego od razu. Siedzi z siostrzyczką u boku, tylko oni dwoje, olśnieni tajemnicą gwiazd i krągłym jak perła księżycem, wspólnie rozkoszując się słusnością wszystkiego. Curtis nie jest obecnie Curtisem Hammondem, lecz po prostu nim jest. Jego los jest już związany z tym światem i trudno by sobie wymarzyć wspanialszy czy piękniejszy dom. O Boże, to prawda, jest Gumpem, ale mimo to jakoś sobie radzi.

Nagły poryw wiatru podrywa z ziemi wir zeschniętych liści, rusza z nimi do tańca, powoli, powoli wokół żarzącego się ogniska, aż docierają do Curtisa, gdzie wiatr dmucha mu nagle liśćmi prosto w twarz. Wplątują się mu we włosy, zwisają z uszu. Jeden wpadł mu do ust.

Psy się śmieją. Przynajmniej większość, a obecna tu psina zawsze jest chętna do zabawy. Żartobliwa Obecność musi ją za to kochać chyba bardziej od reszty jej sióstr i braci, a w Curtisie widzi nie tylko kogoś, kto w przyszłości ocali ten świat, lecz także doskonały obiekt swoich żartów.

*Ostatnie drzwi przed niebem.  
Nasz adres w dzień i w nocy.  
Ostatnie drzwi przed niebem.  
I nie jest w naszej mocy  
Otworzyć drzwi do nieba,  
przekroczyć tych drzwi próg.  
Ostatnie drzwi przed niebem,  
zginął nam do nich klucz.  
Ostatnie drzwi przed niebem  
na skraju naszych dróg.*

Księga Policzonych Smutków

## OD AUTORA

Przedstawieni w „Ostatnich drzwiach przed niebem” zwolennicy bioetyki utylitarnej nie są, niestety, wytworem mojej wyobraźni, lecz prawdziwym zagrożeniem dla was i wszystkich, których kochacie. Ta filozofia mieści w sobie antyhumanitarną esencję faszyzmu, wyraża taką samą pogardę dla wolności jednostki, niepełnosprawnych i chorych, jaką w przeszłości charakteryzowały się systemy totalitarne. Pewnego dnia nasze wielkie uniwersytety będą zmuszone odpokutować za haniebne wyróżnianie i popieranie etyków, którzy usprawiedliwiają i umożliwiają zabijanie niepełnosprawnych, słabych i starych.

Znaczący zbieg okoliczności sprawił, że kiedy kończyłem pisać tę powieść, wydawnictwo Encounter Books opublikowało najlepszy znany mi przegląd zwolenników bioetyki utylitarnej. Jeśli – dla własnego bezpieczeństwa i dla dobra tych, których kochacie – chcecie się dowiedzieć czegoś więcej o poruszonym przeze mnie temacie, polecam „Culture of Death: The Assault on Medical Ethics in America” (Kultura śmierci: atak na etykę medycyny w Ameryce) Wesleya J. Smitha. Znajdziecie tam więcej mrozących krew w żyłach szczegółów niż w jakiegokolwiek powieści.

Po raz drugi (pierwszy był podczas mojej pracy nad „Kątem oka”) zdarzyło mi się pisać powieść wyłącznie przy pięknej muzyce nieżyjącego już Israela Kamakawiwo'ole. Kiedy w poprzedniej książce wspomniałem o Bruddah Iz, otrzymałem od was parę tysięcy listów, w której dzieliliście się ze mną entuzjazmem dla tej afirmującej życie muzyki. Z jego sześciu płyt CD moimi ulubionymi są „Facing Future”, „In Dis Life” i „E Ala E”. Utwory Israela są dostępne poprzez The Mountain Apple Company, P.O. Box 22373, Honolulu, Hawaje 96823. Możecie też odwiedzić ich stronę na [www.mountainapplecompany.com](http://www.mountainapplecompany.com)